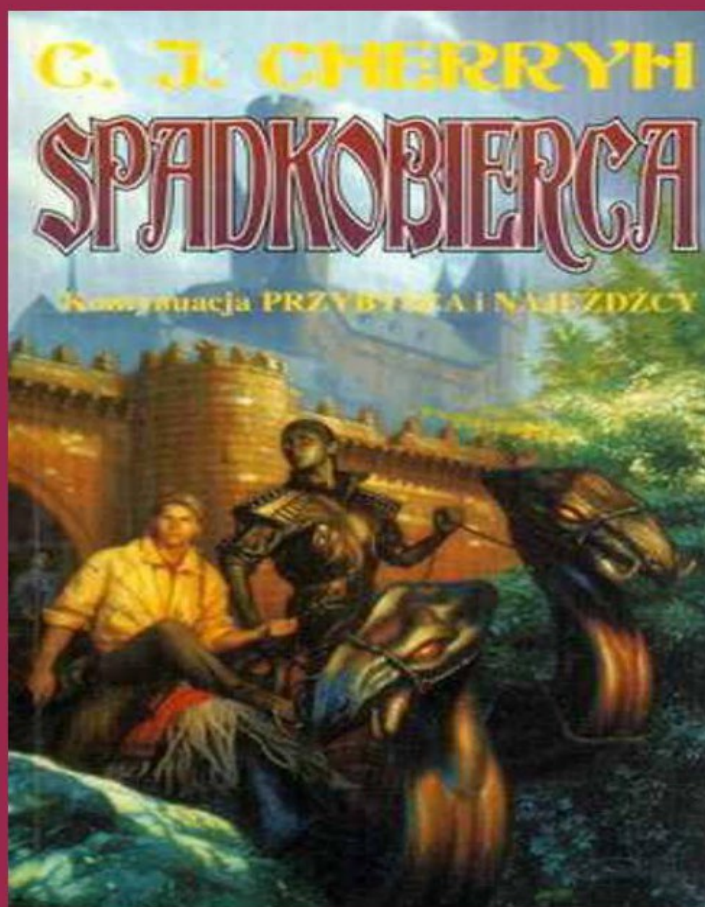


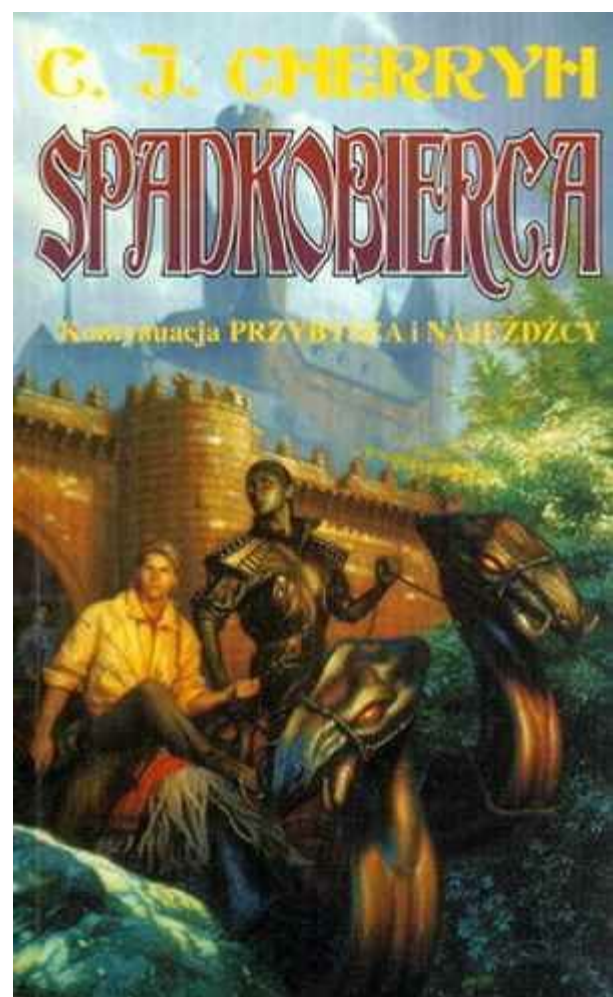
C.J. Cherrych

Spadkobierca



tom 3 cyklu „Przybysz”

litERA



C.J. Cherrych

Spadkobierca

tom 3 cyklu „Przybysz”

litΘRA

1

Inheritor -

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Data wydania oryginalnego 1996

Data wydania polskiego 1999

Wydawnictwo MAG

ISBN 8387968803

Od powrotu statku kosmicznego Feniks minęło pół roku - pół

roku, podczas którego atevi pracowali nad rozbudową swego programu kosmicznego. W tym czasie sytuacja na planecie stawała się coraz bardziej napięta - spiskowcy z Mospheiry, wspierani przez ambitną Deanę Hanks i atewskich sojuszników przygotowywali powstanie przeciwko Tabiniemu... Czy Bren Cameron, obarczony odpowiedzialnością za los ludzi i atevich, rozpaczliwie starający się nadążyć za politycznymi manewrami atewskich patronów, znajdzie sposób na ocalenie obu gatunków przed konfliktem, w którym nie będzie wygranych? Czy potrafi zjednoczyć ich w obliczu nowego zagrożenia - wrogiej rasy obcych, na którą Feniks natknął się podczas swej podróży?

2

Rozdział 1

Wiatr wiał od morza, z zachodu, docierając aż na balkon i poruszając białym obrusem z żywością, która sprawiała, że parująca śniadaniowa herbata była dość mile widziana. Za otynkowaną na biało balustradą rozciągał się widok na błękitną wodę, bladoniebieskie niebo i słynne urwiska Elijiri, z których, jak przemknęło przez myśl Brenowi Cameronowi, być może rzucały się w dół wi'itikiin.

Chociaż nie, morze z pewnością stanowiło zbyt wielkie ryzyko dla tych niewielkich, eleganckich szybowników.

- Jajka - zachęcił pan Geigi i poparł słowa machnięciem palców. Było to delikatne danie, coś w rodzaju sufletu ze skórką, a

jajka, jak przysięgał kucharz, nie zawierały toksyn szkodliwych dla ludzkiego gościa.

Bren ufał swojemu personelowi; Tano i Algini dość wyraźnie uświadomili kucharzowi jego wrażliwość na pewne miejscowe przyprawy; był też pewien, że równie wyraźnie uświadomili atewie konsekwencje jakiegoś kulinarnego wypadku dla reputacji pana Geigiego, który miał osobisty interes w nie otruciu Brena.

Pozwolił służącemu nałożyć sobie drugą porcję wspaniałego, dobrze przyprawionego dania. Rzadko zdarzało się, żeby, znalazłszy coś, co mu smakowało, odważał się to jeść w większych ilościach - jedna z wewnątrzdepartamentowych mądrości głosiła, że aby przeżyć atewską kuchnię, trzeba zmieniać

3

jadłospis i nie pozwolić, by przypadkowy ślad niewłaściwej substancji stał się trzema lub czterema śladami podczas tego samego posiłku - ale Tano i Algini sądzili, że to danie jest zupełnie bezpieczne.

Geigiego wyraźnie cieszyło uznanie Brena dla kuchni, rześkie, czyste powietrze poranka nad morzem i obecność ważnego gościa.

Apetyt atewy rozciągnął się na drugą, o wiele większą porcję sufletu. Czarnoskóry, złocistooki, przerastający o głowę i ramiona wysokiego człowieka oraz obdarowany metabolizmem tolerującym alkaloidy, Geigi, jak każdy atewa na kontynencie, uznawał jedzenie za główny cel gościnności, a spożywanie go za

oznakę zaufania i zapewnienie o szczerości, co było zrozumiałe w społeczeństwie, w którym zabójcy stanowili ważną Gildię oraz zwykły środek rozsądzania sporów, tak międzypersonalnych, jak i politycznych.

Tak się składało, że byli nimi Tano i Algini, patrzący Brenowi przez ramię, stojący przy stoliku śniadaniowym na balkonie; była nimi, czego Bren był pewien, para krążąca po stronie Geigiego, przy balustradzie. Tano powiedział, że kobieta nazywa się Gesirimu, a jej starszy partner Casurni - oboje mieli ciemne, modnie skrojone ubrania, doskonale odpowiadające stylem osobistej ochronie pana. Człowiek zakładał, że Tano wie o takich rzeczach. Człowiek zakładał, że wśród tysięcy członków Gildii Zabójców najwyżsi rangą znają się z reputacji i, co ważniejsze, z man-chi - które to słowo oznaczało coś w rodzaju lojalności i nie miało nic wspólnego z wynajmowaniem, urodzeniem czy czymkolwiek, co mogli zrozumieć ludzie.

Ludzie jednak nie musieli rozumieć namiętności rządzących atewskimi umysłami i duszami - przynajmniej to nigdy nie było konieczne, dopóki wszyscy ludzie na świecie - oprócz jednego - zamieszkiwali wyspę Mospheirę, leżącą w spowitej w mgiełkę błękitnej i pięknej cieśninie naprzeciwko tego balkonu.

Taki był stan atewsko-ludzkich spraw, kiedy Bren nie tak

4

dawno temu rozpoczął swoją kadencję. Tłumacz, urzędnik

terenowy Departamentu Spraw Zagranicznych, a w terminologii atevich paidhi-aiji, jedyny człowiek, któremu Traktat Mospheirski zezwalał postawić stopę na kontynencie.

On, Bren Cameron, potomek gwiazdnych podróżników przez prawie dwieście lat uwięzionych na ziemi atevich, był jedynym żyjącym człowiekiem, który chodził i żył wśród atevich; mający dwadzieścia siedem lat Bren przyjął za swoje życiowe zadanie oraz święty obowiązek łagodzić różnice między atevimi i ludźmi.

Aż do ostatniego roku zadanie to było bardzo podobne do tego, co robili jego poprzednicy. Większość czasu spędzał w atewskiej stolicy Shejidan, przenosząc słownictwo atewskich dokumentów na słownictwo dozwolone ludzko-atewskiemu słownikowi dla Uniwersytetu Mospheirskiego, do użytku przy szkoleniu innych paidhiin. Był to długoletni program, i po przejściu go te dwadzieścia procent, które dotarło aż do zdobycia stopnia naukowego w dziedzinie spraw zagranicznych, zniknęło w trzewiach Biura Spraw Zagranicznych, oprócz osoby mającej oceny drugie w kolejności: paidhiego-następcy, drugiego licencjonowanego absolwenta programu (zwykle nie mającego żadnego znaczącego głosu), który czekał za kulisami, aż urzędnik terenowy zrezygnuje, umrze albo będzie potrzebował dwutygodniowego urlopu. Tak jak czekali wszyscy inni, w kolejności swoich stopni, jako personel wspierający paidhiego w Biurze Spraw Zagranicznych. Taki był program. To było jedno z

zadań paidhiego. Wyszkolić jednego następcę i pisać słowniki.

Innym zadaniem było służyć jako przekaźnik, za którego pośrednictwem mospheirski departament stanu powoli przekazywał ludzką technikę atewskiej gospodarce. Tu paidhi pełnił zdecydowanie ważną rolę. Służył też jako oczy i uszy swojego rządu w terenie. Przekazywał wszelkie zebrane przez siebie dane; przyjmował prośby atewskiego rządu i przekazywał je dalej; zajmował się kwestiami obyczajów, a czasem jakimiś problemami prawnymi czy przeszkodami biurokratycznymi.

5

Opierając się na przekazywanych przez niego informacjach, Uniwersytet Mospheirski i mospheirski departament stanu powoli podejmowały decyzje, które technologie zwolnić - instytucje te czasem całymi latami debatowały nad zwolnieniem jednego słowa, a co tu mówić o, powiedzmy, mikrochipach. Celem było utrzymanie jednolitości techniki, należało zachować takie standardy, żeby na przykład przewód produkowany na kontynencie można było zamontować w opiekaczu skonstruowanym na Mospheirze, nie zastanawiając się nad trudnościami.

Bren nigdy się nie spodziewał, że coś zmieni się w znacznym stopniu za jego życia - ani opiekacz, ani społeczeństwo, ani poziom techniki. Stały, stabilny ekonomicznie postęp: taka miała być atewsko-ludzka przyszłość. Splecione gospodarki, pasujące do

siebie jak idealnie dobrane śruby i nakrętki.

Teraz, od zeszłego roku, na kontynencie przebywał jeszcze jeden człowiek, niejaki Jase Graham, urodzony całe lata świetlne od ziemi atevich i z całą pewnością nie będący produktem uniwersyteckiego programu kandydackiego na urzędnika terenowego.

I to właśnie ze względu na przybycie Jase'a Grahama Bren siedział na balkonie pana Geigiego i jadł suflet z mocno przyprawionych jaj, polegając na zawodowym osądzie dwóch Zabójców, że w daniu tym nie ma nic celowo lub przypadkiem szkodliwego.

Cała sytuacja i jego praca zmieniła się radykalnie z dnia na dzień, kiedy pojawił się statek kosmiczny, ten sam statek, który dwieście lat temu zostawił przodków Brena, by sami sobie dawali radę wśród atevich. Atewski rząd (który wyniósł intrygę do poziomu sztuki) natychmiast zaczął podejrzewać ludzki rząd na Mospheirze (który, co Bren doskonale wiedział, nie mógł przyznać lokalizacji nowej toalecie w parku publicznym bez politycznej trzęsionki) o oszukiwanie atevich na całego i ze

6

znacznym sprytem przez niemal dwieście lat.

Oczywiście, tak nie było; ludzie nie oszukiwali atevich, chociaż przez pewien czas nawet paidhi musiał się zastanawiać, czy jego własny rząd nie jest jednak sprytniejszy, niż pozwalała

myśleć jego ocena w kwestii parkowej toalety. Ludzie na

Mospheirze nie mieli pojęcia, że statek wróci. Właściwie wierzyli w coś wręcz przeciwnego.

Jak się okazało, departament stanu na Mospheirze rzeczywiście zareagował równie rozpaczliwie i kretyńsko, jak Bren się obawiał. Starali się skontaktować ze statkiem bezpośrednio i w tajemnicy, by zapewnić sobie wyłączność na sojusz.

Krótko mówiąc, usiłowali wyłączyć atevich z wszelkich działań.

Gdyby zapytali, Bren mógłby im powiedzieć, że są głupi i że nie oszukuje się atevich. Jasne, departament stanu początkowo nie mógł sobie zapewnić jego rady; ale kiedy już do nich dotarł, też go nie słuchali. O, nie - ponieważ jego rady nie zgadzały się z tym, jak kazały im reagować na atewskie zagrożenie ich własne obawy i uprzedzenia.

Atewski rząd oczywiście ich przejrzał. Bystre atewskie oczy spostrzegły nową gwiazdę, która przyczepiła się do opuszczonej stacji kosmicznej na niebie, a atewskie anteny przechwyciły wiadomości krążące między Mospheirą i statkiem. Atevi podjęli natychmiastowe działanie, w które Bren został nieodwołalnie wplątany i dzięki któremu nawiązali bezpośrednią łączność ze statkiem.

Manewry Mospheiry nie zyskały przychylności statku;

okazało się, że chce on rokować z atevimi i ludzką enklawą na zasadach równości - statek utrzymywał, że w kosmosie każdy jest mile widziany, a jedynym, co do czego nie mogli się porozumieć, był czas.

7

Statek chciał pomocy, siły roboczej do naprawy stacji opuszczonej przed dwoma wiekami, i chciał jej natychmiast lub tak szybko, jak tylko świat nie dysponujący załogowym statkiem kosmicznym mógł go wybudować. Statku nic nie obchodziła ostrożna wielowiekowa praca nad tym, by nie zdestabilizować atewskiego rządu - który z kolei wspierał atewską bazę przemysłową, zaopatrującą fabryki i sklepy na Mospheirze, oraz wspomagającą go ludzką gospodarkę.

Jednak wraz ze zmianą priorytetów Mospheirą zmieniła postawę. Departament stanu oczywiście popierał atewski rząd i oczywiście był bardzo chętny do współpracy z atevimi w celu uzyskania przez nich materiałów potrzebnych im, by na równi z ludźmi znaleźli się w kosmosie, i oczywiście wspierał też paidhiego, każdego paidhiego, którego chcieli atevi, byle tylko utrzymać Traktat.

Tymczasem przeciętny obywatel Mospheiry bał się i statku na niebie, który zwiastował zmiany w mającym trwać wiecznie stylu życia, i atevich, którzy już raz pokonali ludzi w wojnie i którzy według ogólnego przekonania byli dla nich całkowicie

niezrozumiali - choć jednocześnie atevi podobno coraz bardziej upodabniali się do ludzi, mając telewizję i bary szybkiej obsługi, narty i piłkę nożną.

Tak więc jakoś nie destabilizując atevich - a przecież uczono ich przez całe życie, że tak miało się stać, jeśli zostanie przekazane atevim zbyt dużo techniki zbyt szybko - mieli teraz błyskawicznie zmieszać swoje kultury i zaznać powszechnego pokoju.

Nic dziwnego, że populacja Mospheiry była zdezorientowana.

W rezultacie Bren Cameron nie służył już wyłącznie prezydentowi Mospheiry, który na taką dezorientację pozwolił. Z całą pewnością nie służył już wyłącznie wysoko postawionym urzędnikom departamentu stanu, którzy usiłowali zastraszyć Biuro Spraw Zagranicznych i wykorzystać powstałą sytuację do

8

wewnętrznych rozgrywek politycznych.

Biuro Spraw Zagranicznych w departamencie stanu - owszem, był mu wierny, o ile zamieszanie wywołane jego działaniami nie powodowało wyrzucenia z biura jego personelu i jego przełożonych.

Ostatnie wiadomości od swego dawnego szefa, Shawna Tyersa, miał dwa miesiące temu. Bren był przekonany, że prezydent nie śmiałby odebrać Shawnowi urzędu, ponieważ bez niego mospheirski rząd nie miał żadnego wpływu na paidhiego.

Jednak nawet te dwa miesiące od ich ostatniej rozmowy telefonicznej stanowiły długi okres, i milczenie oznaczało, że Shawn nie ma możliwości ani dzwonić do niego tak często, jakby chciał, ani wysłać mu korespondencji.

Poza tym teraz (chyba że Shawn jakoś uchronił w ramach systemu kody komputerowe, które tak pomysłowo przekazał Brenowi przy okazji jego ostatniej podróży do domu) kody dostępu urzędnika w terenie do mospheirskiej sieci komputerowej były bezużyteczne. Dostęp Brena do samego Shawna stał się o wiele mniej pewny.

Nie znał już prawdziwego podziału władzy w urzędach mospheirskiego rządu. Wiedział, kto może być u steru. I dlatego za żadne skarby nie chciał teraz łączyć swego cennego komputera z mospheirskimi kanałami - ponieważ bez ochrony uaktualnionych kodów ludzie (ci naprawdę nie chcący, żeby jego komputer przechowywał dane, które przechowywał) mogliby zarazić jego wrażliwy system jakimś wirusem.

Sytuacja, która przed sześcioma miesiącami zmusiła sekretarza spraw zagranicznych do ukrycia kodów komputerowych w pancerzu na ramieniu paidhiego, nie wzbudzała w paidhim zaufania do departamentu stanu nawet wtedy, a ponieważ jego rząd zareagował wewnętrzną paniką i wydaniem oświadczeń, które nie przeredagowane mogłyby zniszczyć kruchy pokój, Bren nie uważał, by ogólny obraz się poprawił.

Tak więc, ponieważ Shawn i wszyscy w Biurze Spraw Zagranicznych, którzy znali atevich, najwyraźniej nie mieli możliwości zapobieżenia takiemu szaleństwu, paidhi, Bren Cameron, lojalny względem poprzedniego reżimu, lecz ani na jotę względem obecnego, uznał za swój obowiązek pozostanie na kontynencie i nie-wracanie do domu.

W tej sytuacji paidhi uważał się za szczęściarza, że może siedzieć na tym balkonie.

Bren pomyślał trzeźwo, że i ludzie, i atevi mają niezwykle szczęście, iż ta sytuacja, tak czasami drażliwa, nigdy nie przerosła zdolności rozsądnych ludzi i atevich do prowadzenia konstruktywnych rozmów.

Faktem było, że ich dwa gatunki rzeczywiście osiągnęły już taki poziom techniczny, iż miały wspólną podstawę do porozumienia. Chyba nie groziła im już destabilizacja gospodarcza i społeczna. Kłopot w tym, że postawa ta była zwodniczo wspólna. Lub wspólnie zwodnicza - ale ten międzykulturowy styk to właśnie działka paidhiego.

Na szczęście zasadnicze cele obu gatunków nie były nie do pogodzenia, co oznaczało, że oba mogą zaadaptować się w kosmosie - a celem obu gatunków i co lepiej myślących członków obu rządów, nawet jeszcze zanim na scenie pojawił się statek, było wyruszyć tam jeszcze w tym stuleciu.

Jednak ta wspólna podstawa była w najwyższym stopniu zdradliwa. I atevi, i ludzie przeżyli już chwile najwyższego ryzyka: szczególnie paskudny moment, kiedy Bren leżał nieprzytomny w mospheirskim szpitalu, a konserwatywne siły polityczne pod przewodnictwem sekretarza stanu Hamptona Duranta wysłały na jego miejsce paidhiego-następcę, w nadziei na poczynienie nieodwracalnych zmian, w chwili gdy ich opozycja w rządzie przeżywała kryzys.

Prawie im się to udało.

10

Deanie Hanks, kochanej Deanie, córce znaczącego mospheirskiego konserwatysty, udało się w ciągu jednego tygodnia zawalić dwieście lat współpracy, gdy wypowiedziała w obecności pana Geigiego z prowincji Sarini proste słowa „szybciej niż światło”.

Tego samego pana Geigiego, z którym i na którego balkonie Bren spożywał teraz śniadanie.

Proste słowo, SNS. Podstawowe pojęcie - dla ludzi. Nie dla atevich. Przez małostkową złośliwość czy też porażającą głupotę Deanie udało się jednym prostym wyrażeniem zagrozić strukturze władzy rządzącej w tej prowincji i na sporym sąsiednim terytorium, która z kolei spajała Patronat Zachodni, Traktat i cały uprzemysłowiony świat - ponieważ SNS zagrażało samej naturze atewskiej psychologii i przekonań.

Jeśli chodzi o jakiegokolwiek sprawy związane z liczbami, to atewski mózg, sterowany atewskim językiem (problem dotyczący tego, czy pierwsze było jajko czy kura), był o wiele sprawniejszy od mózgu człowieka. Atewski język wymagał obliczeń, choćby dlatego, żeby w swobodnej wypowiedzi uniknąć niepomysłnych liczb.

Matematyka? Atevi ssali ją z mlekiem matki. A pytań było wiele. W uporządkowanym wszechświecie, na którym zasadzała się atewska filozofia, nie mógł istnieć żaden paradoks.

Na szczęście, pewien atewski astronom, naukowiec reprezentujący klasę pogardzaną, od czasu gdy nie potrafiła przewidzieć ludzkiego Lądowania, potrafił znaleźć w paradoksie SNS logikę matematyczną możliwą do przyjęcia przez filozoficznych deterministów półwyspu. Reputacja ważnych osób została ocalona, a paidhi-następczynię ciupasem odesłano z powrotem za cieśninę, gdzie do woli mogła wygłaszać wykłady dla konserwatywnych grup Ludzkiego Dziedzictwa i nikomu nie czynić krzywdy.

Jednak w rezultacie krótkiej wyprawy Deany na kontynent i

11

dzięki rozgłosowi, jakiego nabrało w atewskim społeczeństwie to niepozorne akademickie pytanie, zeszłej jesieni pojęcie SNS weszło do powszechnej kultury atevich.

Bren musiał w publicznej telewizji wyjaśnić atevim, że ludzki

statek, który pojawił się w ich świecie, przybył do ich układu słonecznego od innego słońca, czyli od jednej z tych gwiazd, które atevi widzą na swoim niebie w nocy i nad którymi większość z nich nigdy zbyt nie zastanawiała. Owszem, ludzie spadli na ziemię na żaglach-kwiatach, o których opowiadają legendy (istniały nawet prymitywne fotografie) i nie pochodzą z księżyca. Teraz jednak nadszedł czas rozpatrzenia różnicy między układem słonecznym i galaktyką oraz dylematu pochodzenia człowieka, aż do tej chwili utrzymywanych w tajemnicy przed atevimi.

Tak, powiedział, że istnieją inne słońca, i nie, takich słońc nie ma w tym układzie słonecznym, i tak, istnieje wiele, bardzo wiele innych gwiazd, ale nie na wszystkich z nich powstało życie.

Tak więc atevi, którzy dotąd budowali system rakietowy wielkiego udźwigu, biorąc udział w cichym wyścigu kosmicznym z Mospheirą, teraz konstruowali statek kosmiczny typu ziemia-orbita, który miał lądować jak samolot, dzięki informacjom otrzymanym ze statku na niebie. Budowa tego właśnie była przyczyną przyjazdu Brena do tej prowincji.

Musiał przyznać, że o wiele mniej martwił go statek i jego dokumentacja, hurtowo wprowadzająca do atewskiej gospodarki nie przewidzianą technikę (choć rok temu proponowany import zegara cyfrowego wywołał - całkiem słusznie - burzę niepokoju w Biurze Spraw Zagranicznych) niż praca łagodnego, nieco stukniętego atewskiego astronoma, który wypracował ten

matematyczny wzór, pozwalający zrozumieć atevim, co to jest
SNŚ.

Ten starszy astronom, Grigiji, który mógł się okazać
najbardziej niebezpiecznym ateva, jaki wyłonił się z tych gór od
czasów ostatniego zdobywcy, był chętnie zapraszany przez

12

panów gościem w ciągu całego zimowego sezonu towarzyskiego;
filozofowie i matematycy-amatorzy rezydujący na każdym
pańskim dworze wynieśli go do poziomu legendy - Grigiji,
łagodny i życzliwy profesor uczył każdego, kto chciał słuchać
(szacunek, z jakim go traktowano, graniczył z religijną
żarliwością) jego spokojnie postawionych i filozoficznie mętnych
poglądów.

Teraz Grigiji wrócił do swego górskiego obserwatorium, gdzie
nadal mącił w głowach studentom. A paidhi, który przeżył
społeczne wstrząsy spowodowane beztróskimi wzmiankami
paidhi-następczyni o SNŚ, nie chciał sobie nawet wyobrazić, co
przez ostatnie miesiące działo się w atewskich uniwersytetach na
całym kontynencie, kiedy pojęcie szybciej-niż-światło wraz z jego
matematyczną podwaliną trafiło do sal wykładowych i chłonnych
umysłów atewskich studentów, którzy nie byli ani rezydentami,
ani amatorami.

Biorąc pod uwagę wzburzenie wywołane przez staruszka i
zdolność atevich do rozwijania wszelkich modeli

matematycznych, paidhi spędzał bezsenne noce na wyobrażaniu sobie, jak atevi beztrosko oznajmiają pod koniec roku, że odkryli fizykę, która do wyniesienia ich między gwiazdy nie potrzebuje ośrodka kosmicznego ani żadnego statku, a nawiasem mówiąc, oni sami tak naprawdę wcale nie potrzebują ludzi.

Paidhi, który sądził, że w ramach przygotowań do objęcia urzędu otrzymał wystarczające wykształcenie matematyczne, miał sześć bardzo krótkich miesięcy na zaznajomienie się z gałęzią matematyki, ze względów bezpieczeństwa całkowicie pominiętą w programie Mospheirskiego Uniwersytetu - z pojęciami matematycznymi wkraczającymi teraz w inne gałęzie atewskiej nauki, oprócz ostatnio modnej astronomii.

A całe te wyczerpujące studia odbył tylko po to, żeby on, paidhi, który wcale nie był matematycznym geniuszem, mógł z trudem tłumaczyć dokumenty atevich, którzy matematycznymi

13

geniuszami byli, ludziom na wyspie i na statku, ani w połowie nie podejrzewającym niebezpieczeństwa zagrażającego im ze strony gatunku, który uważali za zależny od siebie.

Bren miał nadzieję, że przynajmniej na tyle będzie się orientował w kwestiach matematycznych, by wciąż było możliwe tłumaczenie pojęciowe między dwoma językami i dwoma (licząc oficerów statku, trzema) rządami; jeszcze do niedawna musiał też tłumaczyć między dwoma, a teraz zdecydowanie trzema

zespołami naukowców i inżynierów, przerzucających się

pojęciami z oszałamiającą szybkością.

Teraz ludzie, którzy nigdy nie stanęli twarzą w twarz z atevimi (załoga tego statku) chcieli sprowadzić atevich w kosmos i dać im potęgę, której, jak rozumiał Bren, nie można było uwolnić na planecie.

Jeszcze w zeszłym roku uniwersytecki komitet doradczy na Mospheirze, który miał jakieś takie pojęcie o atevich, utrzymywał, że energia jądrowa, zegary cyfrowe i koncepcja czasu, bardziej dokładna niż ta, do jakiej byli przyzwyczajeni atewscy numerolodzy, wciąż są zbyt niebezpieczne, by umieścić je w atewskich rękach. A ci ludzie z góry chcieli dać atevim technologię napędu gwiazdowego.

Ludzie na statku wciąż mieli trudności ze zrozumieniem, że ludzie ery kosmicznej, którzy wylądowali na tej planecie, zasłużenie i nieprzypadkowo przegrali wojnę z atevimi epoki pary. Ludzie naprawdę przegrali tę wojnę militarnie, tak że według zawartego później Traktatu Mospheira oddawała atevim z Patronatu Zachodniego swoją technikę krok po kroku - był to wymóg Traktatu, a nie ich swobodny wybór.

I przez wszystkie te lata w procesie nadzorowanym przez paidhiin zmiany techniczne były rozmyślnie hamowane i tak ukierunkowywane, by atevi i ludzie osiągnęli równość techniczną bez destabilizacji atewskiego społeczeństwa i wywołania kolejnej

atewskiej wojny.

14

Sądząc po rozmowach z kapitanem i Jasonem Grahamem, z którym Bren dzielił mieszkanie w stolicy, wyglądało, że statek jest przekonany, iż atevi się zaadaptują.

Paidhi miał nadzieję, że tak się stanie, ale mimo wszystko nie był o tym przekonany.

W gruncie rzeczy pewne atewskie stronnictwa w ramach Patronatu Zachodniego patrzyły dość podejrzliwie na strumień wiedzy spadający z nieba, wiedzy i nauki ery kosmicznej, którą bardzo łatwo można było obrócić przeciwko nim w ich regionalnych i historycznych niesnaskach ze stolicą Patronatu, Shejidan.

Aktualny aiji, Tabini - atewski prezydent, którego siedzibą był Shejidan - wywodził się z atevich szczepu Ragi, którego to pojęcia statek nie rozumiał. Tabini-aiji, którego pozycja pochodziła zarówno z wyboru, jak i w znacznym stopniu była dziedziczna, był także sprytny i zdecydowany przejąć na rzecz centralnego atewskiego rządu wszelką możliwą władzę, według oceny Brena z dobrych i przemyślanych powodów; trzeba było jednak przekonać o tym prowincje, którym ta coraz większa centralizacja odbierała odwieczne prawa.

Biorąc pod uwagę powyższe, nie było nic dziwnego w tym, że atevi z Półwyspu czuli niepokój, iż program kosmiczny znajduje

się w rękach atevich Ragi; większość atevich na Półwyspie nie pochodziła z Ragich - byli to Edi, pokonani przez Ragich jakieś pięćset lat temu.

A pan Geigi, siedzący naprzeciwko niego przy stole i tak jak on sączący herbatę na porannym wietrze, nie był nawet Edi: był Mas'chi, co samo w sobie stanowiło całą historię, ale nosił tytuł pana Edich. I by jeszcze skomplikować łamigłówkę - której nie zrozumiałby ani statek, ani współlokator Brena - aż do niedawna, a właściwie do zeszłego roku, Geigi znajdował się w bardzo niezręcznej sytuacji, starając się dbać o swój region pod względem gospodarczym i prawnym, usiłując być umiarkowanym w rejonie

15

pełnym dobrze uzbrojonych zapaleńców, którzy nie całkiem byli jego etnicznymi krewniakami, starając się jednocześnie nie stracić tego, co ludzie mogliby nazwać jego duszą w kontaktach z Tabinim, przywódcą atevich Ragi, Patronatu Zachodniego i cywilizowanego świata.

Tabini, nawet jeszcze przed pojawieniem się statku, targował się z Mospheirą o każdy fragment ludzkiej techniki, jaki mógł dostać w swoje ręce. Teraz Tabini układał się ze statkiem, chcąc otrzymać wszelkie wykresy techniczne oraz informacje o materiałach, jakie statek mógł przekazać w jego ręce poprzez wielki talerz w Mogari-nai. Tabini miał hopla na punkcie nowej techniki i wszystkiego, co oznaczała ona dla władzy centralnej,

oraz szacunku dla tradycyjnej filozofii matematycznej wciąż składającej się na atewskie rozumienie wszechświata.

Geigi był jedynym prowincjonalnym panem, który dzięki swej wyjątkowej pozycji - jako osoba wykształcona technicznie i matematycznie, pan stowarzyszony z większym Patronatem Ragi oraz filozoficzny determinista (jak większość atevich z Półwyspu) - musiał nagle znaleźć uczciwe odpowiedzi na paradoks SNS ujawniony przez Deanę Hanks.

SNS było strasliwym wyzwaniem (poprzez matematykę obecną w tym nowym poglądzie na wszechświat) dla filozofii, według której żył pan Geigi i wszyscy jego sąsiedzi ze szczepu Edi: jeśli coś mogło się poruszać szybciej niż światło, to naukowcy, którzy sądzili, że zrozumieli wszechświat, mylili się, a filozofowie z Półwyspu i wszyscy Edi, którzy wzięli udział w filozoficznej rebelii przeciw absolutystycznej teorii liczb, wyszli na głupców.

A jednak Geigi, stojący na krawędzi publicznej niesławy oraz utraty szacunku, co mogło spowodować jego ruinę finansową, chciał stanąć twarzą w twarz z prawdą i zażądał od Bren-paidhiego, by ten odpowiedział na matematyczne pytania postawione przez Deanę-paidhi.

16

Wsparcie i środki, jakie Bren-paidhi otrzymał od samego Tabiniego, pozwoliły mu odpowiedzieć na to pytanie, a

odpowiedź niewątpliwie uratowała reputację Geigiego i prawdopodobnie jego życie, zważywszy na chaos finansowy i polityczny, jaki wybuchłby w prowincji.

Bren właściwie lubił pulchnego i rozmiłowanego w nauce Geigiego, tego mężczyznę, który stawiał odważne pytania na temat swojego wszechświata (choćby miało go to zabić) ponieważ pragnął prawdy: baji-naji, jak mówili atevi, choćby świat miał stanąć na głowie, pan Geigi nie chciał usłyszeć jakichś powierzchownych zapewnień, które pozwoliłyby mu zignorować wszechświat. Nie, to był mężczyzna wykształcony, ale nie dlatego, że należało to do powinności atewskiego pana, lecz dlatego, że chciał zrozumieć wszechświat, ujrzeć go w całej jego matematycznej krasie.

Zrozumieć ludzką stronę wszechświata - może Geigi mógłby dojść nawet i do tego.

Ale pan Geigi nie rozumiałby, co to znaczy być lubianym, w języku atevich nie istniało takie słowo, a jego atewskie serce nie znało takich uczuć. To, co działo się wewnątrz Geigiego, było równie złożone i mogło dać takie same efekty, lecz nie było ludzkie; to pierwszy ze wszystkich dogmatów, które paidhi musiał przyjąć w kontaktach z atevimi.

Jako człowiek Bren lubił pana Geigiego; szanował też jego odwagę i rozsądek, co Geigi mógł zrozumieć, przynajmniej na tyle, by powiedzieć, że istnieje dostateczna zbieżność między ich

poglądami na stowarzyszenie (to bardzo atewskie słowo)

interesów Geigiego i Brena - w sposób, w jaki atevi postrzegali takie sprawy. Wydawało się, że Geigi też szanuje paidhiego jako jedynego urzędnika opanowanego przez atevich Ragi dworu Tabiniego, który, o ironio, potrafi najlepiej zrozumieć trudną sytuację Geigiego jako atevy Maschi w regionie Edi w narodzie Ragi. To była następna kwestia, w której byli stowarzyszeni - to

17

tak bardzo atewskie słowo na oznaczenie tak emocjonalnie naładowanego związku.

A może ich wspólne liczby dodawały się, nie pozostawiając im innego kosmicznego wyboru, jak stowarzyszenie.

To bardzo przypominało przyjaźń. Człowiek w tym równaniu mógł lubić atevę. Ale dodać ich, by równało się to przyjaźni?

Tego atewskie nerwy Geigiego nie potrafiłyby odczuć, nie mówiąc już o myślach kłębiących się w atewskim mózgu

Geigiego; a to bardzo delikatne rozróżnienie stosowało się bezwzględnie do wszystkich atevich. Podstawowe prawo służby zagranicznej: atevi nie są przyjaciółmi. Atevi nie mogą być przyjaciółmi. Oni cię nie lubią. Nie są do tego zdolni. Nie mają odpowiedniego okablowania.

Nigdy o tym nie zapominaj. Nigdy się tego nie spodziewaj.

Zacznij budować tę koncepcję dla zaspokojenia własnych potrzeb, a zginiesz. I pokój diabli wezmą.

A Bren, opierając się na własnych doświadczeniach, dodałby, gdyby, jak jego własny poprzednik Wilson-paidhi, występował przed studentami spraw zagranicznych: Nie doprowadzajcie też do tego, żeby spodziewali się po was zbyt wiele.

Miał nadzieję, że Geigi nie przypisywał zmiany nastawienia Tabiniego i zezwolenia na produkcję w tym regionie bezpośrednio zabiegom paidhiego. To byłby błąd, i to poważny. Tabini podejmował działanie z własnych pobudek i Bren nigdy nie chciałby wejść między aijiego Shejidan i któregoś z panów Patronatu. Dla człowieka absolutnie nie było miejsca w strukturze man'chi, lojalności między panami, i biorąc sobie tę część rad swojego poprzednika głęboko do serca, Bren nigdy nie zamierzał się tam znaleźć.

Po balustradzie przemknęła brązowa jaszczurka. Ona nie bała się niczego. Wraz z nadejściem wiosny znów rozkwitły pnącza djossi i maleńki gad zanurkował wśród kwiatów i sercowatych liści w poszukiwaniu smacznej ofiary.

18

Ludzie przyszli i ludzie mogą odejść. Ziemia jednak żyje, morze omywa skały, a atevi, tacy jak Geigi, którzy mają rytmy swego świata we krwi... stanowią poważną siłę w kwestiach dotyczących tej planety.

Napawając się porankiem, Bren był zadowolony, że wybrał gościnnie w domu pana Geigiego. Jego ochrona miała poważne

zastrzeżenia co do przyjęcia zaproszenia Geigiego, by paidhi zatrzymał się w siedzibie jego przodków zamiast w hotelu gwarantowanym przez Gildię. Było sprawą bezprecedensową, żeby osoba z otoczenia Tabiniego (a za taką pod względem towarzyskim uchodził paidhi) gościła w tym domu, który do niedawna nie miał statusu, środków ani certyfikatu bezpieczeństwa do przyjmowania takiego gościa z dworu w Shejidan.

No cóż, okoliczności, stojące niegdyś na przeszkodzie takiemu posunięciu, zmieniły się. A zezwolenie dla paidhiego na przyjęcie zaproszenia Geigiego przyszło od samego aijiego.

Nie można też było powiedzieć, że pan Geigi zawdzięczał tę zmianę nastawienia głównie paidhiemu. Tabini znakomicie orientował się w sytuacji i postanowił zmienić status Geigiego z własnych pobudek.

Oprócz tego pan Geigi też ryzykował, przyjmując tak niezwykle gościa, ponieważ na pewno będzie się o tym mówić - w wieczornych wiadomościach, od wybrzeża do wybrzeża, jeśli dzień upłynie spokojnie - co postawi pana Geigiego w pewnej sprzeczności z polityką jego sąsiadów, Edi: Bren miał nadzieję, że sprawa nie będzie poważna.

Jednak, właśnie pociągając łyk herbaty (wybranej z całej kuchni pełnej ziół śmiertelnych dla człowieka), paidhi stawiał własne życie, że Geigi jest dokładnie taki, jaki się wydawał.

Postawił na to zeszedł nocy i spał pod tym dachem dość mocno.

Wilson-paidhi utrzymywałby, że Brenowi grozi utrata zdrowego rozsądku i że paidhi, który zaczyna mieć takie zaufanie do swojej

19

oceny atevich, pakuje się w poważne kłopoty, ale przecież nic mu się nie stało.

Z drugiej strony, jakie były jego inwestycje emocjonalne? To, jak potraktował paidhi-następczynię, oraz odmowa podporządkowania się kierownictwu departamentu stanu, właściwie oznaczało, że nie może wrócić do domu. Oznaczało, że nie będzie miał już okazji usiąść nad brzegiem morza po drugiej stronie tej cieśniny. Oznaczało, że nie będzie już jadał śniadań u brata na ganku - a zamienił to wszystko na pobyt w tym bardzo rzeczywistym miejscu, na tę chwilę, ten patronat w obcym rządzie, na możliwość siedzenia tu jako przedstawiciel obcego władcy. Za mgiełką przesłaniającą cieśninę miał matkę, brata, ojca, który zerwał z nimi stosunki, rodzinę brata; biorąc pod uwagę niepokojące wiadomości o zdrowiu matki, które otrzymał tej zimy, istniała możliwość, że nigdy już jej nie zobaczy. Był rozgoryczony z powodu tej kary, do zapłacenia której został zmuszony przez własny rząd; był zły, a od czasu do czasu w bardzo niebezpiecznych chwilach, jak ta, pytał samego siebie, czy nie byłoby dla niego psychologicznie czy zawodowo do przyjęcia zbudować w myślach wokół pewnych atevich małe ogrodzenia i

pomyśleć jednostronnie o polubieniu ich - co, u diabła, ma robić?

Miał ludzkiego współlokatora. Jase'a Grahama. No tak.

Mógłby polubić Jase'a Grahama. To było dozwolone psychologicznie i politycznie, jak najbardziej pochwalane przez departament stanu; coś takiego tolerowano.

Bren jednak nie miał odwagi całkowicie pozbyć się podejrzliwości wobec człowieka pochodzącego z ludzkiej kultury odległej od jego własnej o całe wieki, człowieka, który ze swej strony nie czynił żadnych głębokich wyznań. Natomiast Geigi, z wyraźnym zachwytem goszcząc pod swoim dachem Brena oraz członków Gildii związanych z aijim, oddał w ręce paidhiego swoje życie. Poprzedni wieczór i ten poranek spędzili na rozmowach o morskich muszlach, architekturze i małżeńskich

20

planach Geigiego. Jase, który mieszkał z Brenem, jadał z nim kolacje i większą część ostatnich sześciu miesięcy spędził w jego towarzystwie; niechętnie rozmawiał o swoim domu, rodzinie czy miejscach pobytu statku przez ostatnie dwa stulecia.

To wydawało się znaczącą małomównością.

Jase powiedział, że podróże międzygwiazdne trwają bardzo długo. I że każdy wykonywał swoje zadanie, to wszystko.

„Ale gdzie byliście?” - zapytał Bren. Jase wziął kawałek papieru i spróbował narysować mu wykres miejsc położenia statku przez długi czas względem gwiazdy, której nie potrafił

zidentyfikować, ale Bren nic z tego nie zrozumiał. Potem wzięli butelkę shibei i próbowali rozmawiać o sprawach osobistych, ale na wszystkie pytania o położenie gwiazdy, przy której według Jase'a tkwili całymi latami, Graham odpowiadał: „Nie wiem”.

A na pytanie: „Co tam jest?” - Jase odparł: „Tylko gwiazdy.

Tylko gwiazdy, to wszystko”.

Może to nie było to, co chciał usłyszeć od kogoś, kto się tam urodził, człowiek, który marzył o zobaczeniu stacji kosmicznej, który poświęcił swoją młodość, romantyczne plany i dorosłe życie nadziei popchnięcia tej planety na krawędź kosmosu.

Może w ich stosunkach coś się leciutko pogorszyło, dlatego że po całym tym zamieszaniu, wśród którego Bren powitał Jase'a, ten ostatni nie miał mu zbyt wiele do opowiedzenia. Bren nie wiedział, dlaczego czuje się zbywany przez Jase'a Grahama.

Jednak od czasu, kiedy zmienił się świat i od kiedy dzielił go z nieszczęśliwym, często przerażonym młodym człowiekiem, Bren nie był szczęśliwy. Miał tego świadomość.

Nie chciał o tym myśleć tego miłego poranka, kiedy jego umysł, chociaż teraz wyczerpali już wszystkie tematy, starał się uporać z zawłościami rozmowy z atewskim panem, którego Bren podziwiał, ale wcale tak dobrze nie znał.

21

A najbardziej nie chciał myśleć o tym, że podczas gdy on się znajduje po tej stronie cieśniny i uczy Jase'a bardzo trudnego

języka, jego własną matkę dręczą w środku nocy telefony od czubków, którzy go nienawidzą, czubków, których rząd po tamtej stronie jakoś nie może złapać.

Nie chciał myśleć o tym, że jego prawie narzeczona (co do swojej miłości względem której nie był całkowicie przekonany, tak jak ostatnio nie był, bez zagładania w podświadomość, całkowicie przekonany, czy podoba mu się cokolwiek na świecie) zmęczyła się czekaniem i jego nieobecnością. Tak powiedziała.

Teraz Bren sądził, że bała się podobnych nocnych telefonów.

Tak czy owak, poślubiła człowieka, którego ani trochę nie kochała; tak zniknęły kolejne więzy Brena z Mospheirą.

Jako żona Paula Saarinsona, dobrze ustawionego w rządzie,

Barb była teraz bezpieczna i nie stanowiła już ciężaru dla sumienia Brena. Był pewien, że teraz nie dostaje już pogróżek przez telefon.

Z drugiej strony, jego brat Toby nie miał takiego azylu. Toby dostawał telefoniczne pogróżki pod adresem rodziny, a jego dzieci bały się iść piechotą do szkoły w cichym miasteczku na północnym wybrzeżu wyspy, leżącym w głównie wiejskiej okolicy, gdzie takie zachowanie nigdy wcześniej nie miało miejsca i gdzie ludzie nie mieli zwyczaju zamykania drzwi na klucz.

Bren nie chciał myśleć o tym, że gdyby pojechał w odwiedzin do domu i spróbował rozładować sytuację polityczną

poprzez konsultacje z departamentem stanu i prezydentem, to

mógłby zostać aresztowany już na lotnisku

Nie sądził jednak, żeby mospheirski rząd mógł go zatrzymać, choćby dlatego, że aiji w Shejidan zagroziłby totalną wojną, żeby go odzyskać, a poza tym Tabini-aiji zdecydowanie nie przyjąłby na jego miejsce Deany Hanks. Bren uważał, że każdy z tych powodów stanowi wystarczającą zachętę dla rządu Mospheiry, by

22

zachowywał się przyzwoicie, i pomyślał o kilkugodzinnej wizycie w celu wyjaśnienia sytuacji.

W sumie jednak nie chciał stawiać własnego życia ani światowego pokoju na rozsądek swojego rządu, w przeciwieństwie do tego, jak właśnie je stawiał, zgadzając się, by kucharz Geigiego sam wybrał i zaparzył mu herbatę.

Ufać, że jest bezpieczny na tym otwartym balkonie, pijąc herbatę, może siedemdziesiąt mil od atewskich terenów rekreacyjnych, będących w zasięgu instalacji radarowej, wyczulonej na nielegalne ludzkie samoloty? Tak. Mimo że świat oszalał, Bren wierzył, iż jest tu bezpieczny. Rejon, który spiskował przeciwko niemu, a potem zmienił zdanie, zmienił je nie z powodu prawa (które dopuszczało zabójstwa jako alternatywę dla procesów), lecz dlatego, że zrobienie krzywdy Brenowi nie leżało już w interesie Geigiego.

Natomiast wróg na Mospheirze, szczególnie szalony wróg, był

zupełnie czymś innym; a ludzie, którzy zaczęli wydzwaniać do jego brata i matki o trzeciej nad ranem, by grozić im z powodu działań Brena na kontynencie, byli w stanie zrobić wszystko. Więc gdyby rzeczywiście musiał odwiedzić Mospheirę przed wysłaniem statku w kosmos, co postawi wszystkie kwestie sporne pod znakiem zapytania, to kto wie? Z pewnością główny doradca prezydenta, George Barrulin, oraz inne wysoko postawione osoby odczułyby wściekłość ich niechętnie ujawniających się, przekazujących łapówki popleczników, gdyby Bren znalazł się w zasięgu tych pierwszych, a oni musieli go przywrócić na urząd paidhiego, ulegając naciskowi atevich. Już raz to zrobili, odsyłając go na kontynent pół roku temu wprost ze stołu operacyjnego. Nie było w tym jednak nic dziwnego. George i prezydent doskonale potrafili ulegać naciskom. To dlatego ich poplecznicy umieścili ich na tych stanowiskach.

A zatem runda pierwsza - starali się go zwolnić. O to chodziło w sprawie z Deaną Hanks.

23

W rundzie drugiej Deana usiłowała stworzyć sobie wśród atevich własną bazę (wbrew wszelkim starannie przemyślanym przepisom i zasadom departamentu stanu), kontaktując się z atevimi znajdującymi się w opozycji do Tabiniego.

Jej sromotny powrót na wyspę postawił George'a i prezydenta w dość krępującej sytuacji, ponieważ musieli prowadzić rozmowy

z atevimi, by utrzymać dopływ surowców przemysłowych, a nie mieli paidhiego-następcy oprócz Deany, która ani nie była starsza i zakorzeniona na Mospheirze, ani na tyle młoda, by jeszcze studiować. Jakikolwiek następca, choćby w pełni wykwalifikowany, nie byłby dla atevich bardziej do przyjęcia niż Deana Hanks, ponieważ Tabini chciał tylko Brena. A gdyby atevi znów odrzucili wybranego przez ludzi kandydata, nie wzbudziłoby to pewności wśród mospheirskiego elektoratu, że mospheirski rząd panuje nad sytuacją.

Prezydent Mospheiry, wybrany przy poparciu różnych grup nacisku, a także Gaylorda Hanksa, ojca Deany Hanks, otrzymywał rady od swego doradcy, George'a Barrulina, oraz sekretarza stanu, Hamptona Duranta.

A Biuro Spraw Zagranicznych było tylko jednym z biur w departamencie stanu. Zawsze było tylko jednym z biur, kierowanym przez sekretarza spraw zagranicznych, obecnie Shawna Tyersa, który nie mógł się dodzwonić do swego urzędnika w terenie.

Zatem jedyna rada, jaka mogła dotrzeć do prezydenta od kogoś, kto rozmawia z atevimi, musiała pochodzić od Brena. A dobry, stary George nie przekaże jej prezydentowi, jeśli nie będzie ona służyła interesom George'a.

No cóż, przynajmniej pan Geigi porzucił myśl, że Brena trzeba zastrzelić. A pan Geigi miał zbyt dużą klasę, by wspominać o tej

starej sprawie.

Mimo wszelkich innych niepowodzeń, paidhi czasami zdobywał punkty. Musiał się tym zadowolić.

24

- Gdybyś tylko mógł tu zostać na jeszcze jeden dzień -

zauważył pan Geigi z głębokim westchnieniem - to ateva mógłby zorganizować wyprawę na ryby. W tym sezonie łowi się żółtogonki. Podniecające widowisko, kiedy zaczynają skakać.

Kiedyś wskoczyła mi na pokład łodzi. To był bardzo emocjonujący moment.

- Człowiek nie wątpi - odrzekł Bren i roześmiał się. - Dorosła?

- Miał wrażenie, że to ryby osiągające spore rozmiary.

- Załoga nie mogła się zdecydować, czy wrzucić ją do wody, czy zamknąć w kabinie. Uciekła przez reling i prawdopodobnie po dziś dzień śmieje się z nas, kiedy przepływa obok łodzi. Sądzę, że to mógł być rekordowy okaz. Zapewniam cię jednak, nand' paidhi, że jej nie mierzyłem.

- To bardzo kuszące. - Seria miast, zakładów i laboratoriów ciągnęła się już osiem dni. W hotelach zaaprobowanych przez Gildię nie spał ani trochę tak dobrze jak zeszłej nocy, nawet w luksusowo wyposażonym samolocie. Tabini pewnie mógłby dać mu jeden dzień. I nie był to zapewne spiszek Półwyspu mający na celu wyrzucenie go za burtę. Chyba mógłby przekonać Tano i Alginiego, że chronienie go podczas jednodniowych wakacji

byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby otaczała go ta cudownie niebieska woda.

Najprawdopodobniej jednak powinien wrócić po południu do stolicy, a po drodze pracować w samolocie. Miał do wpisania potężną stertę notatek, kilka list eksportowych do przejrzenia i zaaprobowania oraz garść pytań dotyczących kontroli jakości, które trzeba przetłumaczyć dla techników laboratoryjnych z ostatnich dwóch zakładów.

- Żółtogonki - kusił go Geigi - upieczone na węglach. Nie ma nic lepszego.

- Panie Geigi, jeśli nie przestaniesz, z pewnością mnie namówisz, a ja muszę być jutro w stolicy. Jeśli nie wykonam swojej pracy, sterta papieru może osiągnąć wysokość orbity,

25

zanim znajdzie się tam nasz statek. Tak bardzo chciałbym przyjąć twoje zaproszenie.

Zaryzykował - i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Żartowanie z wysoko postawionymi obcymi było całkowicie sprzeczne z polityką departamentu, język był tak niepewny, nawet dla niego. Robił to jednak ze swoimi ochroniarzami i wciąż żartował z Tabinim, aijim Shejidan, którego niezadowolenia należało się bać o wiele bardziej.

Jednak pana w jego prowincji, drażliwego na punkcie swej godności, stojącego twarzą w twarz z przedstawicielem aijiego

Shejidan, który miał bardzo nieokreślony status, też należało się bać.

Geigi był rozbawiony. Geigi wydawał się uspokojony odmową, a nawet zadowolony z poufałości paidhiego.

A więc Bren postąpił jak najwłaściwiej, kiedy Geigi dość zaskakująco zaproponował miejscową, wiejską atrakcję ludzkiemu gościowi, i to gościowi na wysokim stanowisku. Była to jedna z tych chwil tryumfu, które paidhi tak bardzo sobie cenił jako część swej pracy - część, o której nie mógł teraz wspominać departamentowi stanu, przekonanemu, że jest nie tylko głupcem, ale i renegatem.

A Bren nie potrafiłby wyjaśnić nikomu na świecie, nawet temu człowiekowi ze statku, z którym dzielił mieszkanie, czemu go to cieszy. Poza tym, że to była prawdziwa praca, której wykonania się podjął i że czasami miło było mieć te małe dowody, że owszem, większe decyzje zagrażające cywilizacji, które podejmuje rutynowo, być może są oparte na mniej spektakularnym rozumieniu tej rasy.

- No cóż - powiedział Geigi - słońce nie czeka nawet na aijiego, więc chyba nie będzie czekało na nas. Powinniśmy jechać.

To oznaczało koniec śniadania. Ochrona i służba podjęły swoje obowiązki. Kiedy Geigi wstał od stołu, Bren poszedł w jego

przyjął oficjalny, zapinany na liczne guziki kaftan. Pozwolił, by ta młoda kobieta pomogła mu go włożyć, a potem zręcznie ułożyć na modnym, sztywnym kołnierzu jego warkocz. Nie zdawał sobie sprawy, że zmarzł, siedząc w samej koszuli. Wiosna pozwalała siedzieć na balkonie, wabiło morskie powietrze i ten wspaniały widok, więc Bren od razu się zgodził, nie zastanawiając się nawet nad tym, że atevi świeżym nazywali powietrze, które ludzie określali jako lodowate.

Sklonił się, a Geigi pochylił głowę. Wszyscy byli odprężeni i uprzejmi. Po drodze musiał zejść do swojego pokoju po papiery, znajdujące się pod opieką jeszcze jednego młodszego agenta ochrony, również z Gildii. Bagaż dotrze do samolotu oddzielnie i będzie na niego czekał.

Przy wszystkich podobnych manewrach Tano i Algini nie spuszczała z niego oczu i upierała się przy wożeniu go samochodem dostarczonym przez Gildię Zabójców (co dziwne, to była jedyna gwarancja, podobnie jak w przypadku hoteli z licencją Gildii, bezpieczeństwa pojazdu) przez cały pobyt w tej prowincji, kiedy znajdował się poza zasięgiem zwykłych środków bezpieczeństwa stosowanych na dworze aijiego w Shejidan. Była to oficjalna wizyta mająca nie tylko pokazać Zakłady Kosmiczne Patinandi, najważniejszy kompleks przemysłowy w prowincji Sarini, ale i pozwolić paidhiemu na bezpośrednie rozmowy z inżynierami w tych oraz innych zakładach

odwiedzonych w ciągu ostatnich kilku dni. Bron przeznaczył ten ranek na wizytę w dawnym zakładzie montażu samolotów. Nie była to wystarczająca ilość czasu, ale opuści zakład z furą notatek na papierze i portfelem pełnym komputerowych plików.

One z kolei zostaną przekazane personelowi paidhiego w Shejidan, w tej chwili dość okazałemu personelowi biurowemu i technicznemu. Przed wizytą w zakładzie musiał przejrzeć notatki, co powinno mu się udać w samochodzie. Pan Geigi też jechał, ale

27

miał własny orszak. W zakładach czekało Brena sprawozdanie i, czego był pewien, podobny zestaw ulotek i dokumentów od oficjeli firmy, łącznie z osobistymi listami, które trzeba będzie zawieźć do stolicy i oddać personelowi aijiego. Takie przysługi oficjalni goście jadący do stolicy robili od stuleci, kiedy poczta nie działała sprawnie.

Zbieranie danych oraz kolejka spotkań i prezentacji miały już przewidywalny przebieg. Wśród personelu ochrony Bren miał jednego z pracowników swojego sekretariatu, który, dowiedziawszy się, że jedzie z paidhim w ten objazd, zareagował tak, jakby zaproponowano mu rządowe wakacje.

Być może ten młody ateva rzeczywiście bawił się jak nigdy w życiu, mieszkając zwykle w luksusowych hotelach zaaprobowanych przez Gildię i oglądając widoki podczas objazdów pod eskortą członków Gildii, a nawet tylko patrząc za

ziemię z okien samolotu; ale kiedy Bren ostatnio go widział, młodzieniec zestawiał dokumenty z ostatniego przystanku na trasie, usiłując wydobyć z nich jakiś sens, za śniadanie mając zimną bułeczkę i filiżankę herbaty - na parterze okazałego domostwa Geigiego.

Bren ufał, że papiery zostaną uporządkowane, zanim do sterty zostanie dodana kolejna porcja: młodzieniec - miał na imię Surieji - jeszcze nigdy go nie zawiódł. A poranek, choć już późny, wciąż był radosny.

28

Rozdział 2

Konstrukcja jeszcze nie bardzo wyglądała na statek kosmiczny, ani z posadzki olbrzymiego hangaru, ani z drabin roboczego pomostu wspinających się na oszałamiającą wysokość, w budynku o bardzo małych oknach i reflektorach umieszczonych wysoko wśród krokwi. Elementy konstrukcyjne stanowiące załączki statku spoczywały na wspornikach. Niektóre elementy stanowiły szkielet, na którym miał powstać kompozytowy i ceramiczny kadłub. Bren widział fragmenty skrzydeł, które, jak mu powiedziano, były prawdziwe i gotowe do nałożenia powierzchni nośnych. Wśród tych kształtów poruszali się atewscy robotnicy, wyglądający przy tym kolosie jak karły.

Można się było dać niebezpiecznie zahipnotyzować zmieniającymi się wielkościami i wysokościami. Człowiek

przyzwyczał się do nieco większej skali przedmiotów, mieszkając na kontynencie wśród atevich - tu położenie stopni schodów, klamek u drzwi i wielkość krzeseł zawsze trochę odbiegały od oczekiwań człowieka. Na Mospheirze Bren był wysoki, ale i tak miał wzrost mniej więcej atewskiego dziewięciolatka; nieustannie zwracał uwagę, gdzie stawia kroki na atewskim pomoście lub gdzie staje, kiedy atewski urzędnik pokazywał mu olbrzymi autoklaw, stanowiący duży krok w technologii kompozytów.

- Tylko w tym zakładzie - powiedział z dumą ateva.

Oświadczenie to równie dobrze mogło brzmieć „Jedyny na

29

świecie”, chociaż atewski kierownik mógł nie wiedzieć, że mospheirski prototyp stał się bezużyteczny dziesięć lat wcześniej z powodu braku uszczelek.

Bren uważał na coś więcej niż wysokość stopni schodów.

Stąpił ostrożnie, poruszając się w tłumie czarnoskórych, złocistookich bogów o twarzach bez wyrazu i niewzruszonych manierach, z których każdy miał lokalne, a niektórzy ogólnonarodowe plany - wśród mężczyzn i kobiet wyróżniających się kolorem oznaczającym pozycję, stanowisko, pochodzenie i patronat.

Jego ochronie nie podobała się ta część objazdu. Na zaproszenie dyrektora Bren wspiął się na pomost wystawiony na widok co najmniej siedmiuset obcych, stojących poniżej, z

których każdy - albo ich krewni wpuszczeni na teren zakładu - mógł stanowić zagrożenie. Ktoś taki byłby oczywiście nie zarejestrowany i nie miałby licencji, na co Gildia Zabójców i prawo patrzyły groźnym okiem; niebezpieczeństwo wciąż jednak istniało, lecz Bren postanowił zepchnąć je do zakamarków umysłu.

Jednym z panów znajdujących się stale w pobliżu był oczywiście pan Geigi, który wszystkich przerastał pozycją i który miał już okazję wyrządzenia paidhiemu krzywdy; byli tam jednak też pomniejsi panowie, pochodzący z wyboru przedstawiciele prowincji, różni sekretarze i asystenci, z których każdy, z różnych powodów, łącznie z obłędem, miał okazję do podjęcia próby sabotażu atewskiego programu kosmicznego.

Obserwując tłum, panów, dyrektorów i własne stopy, Bren wspinał się ostrożnie po ciemnych, obcych drabinach na coraz większe wysokości, czasami oślepiany blaskiem reflektorów. Cały czas trzymał się poręczy i nie słuchał ponagleń, dopóki, będąc w największej montażowni, nie ogarnął wzrokiem całej podłogi.

Nie miał lęku wysokości. Jeździł na nartach. No dobrze, to było kiedyś, gdy jeszcze bywał w domu; nie miał możliwości

30

dotarcia na ośnieżony łańcuch Bergid, gdzie atevi próbowali uprawiać ten sport na nowych i niezbyt starannie utrzymywanych trasach. Zamiast tego tej zimy przyzwyczał się do takich

pomostów i drabin, do rozbrzmiewających echem zakładów produkujących maszyny, i czystych laboratoriów, do ciasnych elementów konstrukcyjnych, które były wykresami na jego biurku w atewskiej stolicy Shejidan.

Po raz pierwszy ujrzał części konstrukcji, która stanie się statkiem kosmicznym, rzeczywistej, masywnej, namacalnej konstrukcji, przeznaczonej w przyszłości kosmosowi, stanowiącej marzenie, które studiował tak długo, nad którego urzeczywistnieniem tak ciężko pracował i na które tak bardzo liczył - w przyszłym pokoleniu.

Tego poranka paidhi wysłuchiwał szczegółów dotyczących problemów atewskich inżynierów, spraw technicznych i kłopotów spowodowanych tempem prac oraz tłumaczeniem projektów, planów, podręczników i układu miar, powstałych w obcym języku. To oznaczało, że przez kilka w miarę przyjemnych godzin Bren wykonywał pracę paidhiego, pierwotną pracę, uzupełniając słowniki.

Atewscy inżynierowie przejmowali lub tworzyli słowo na oznaczenie czegoś dotąd nie znanego atevim, paidhi posłusznie je zapisywał i za pośrednictwem oficjalnego słownika przekazywał innym inżynierom łączami komputerowymi, które teraz docierały do wszystkich zakładów. Nauka i inżynieria tworzyły własne słowa na oznaczenie rzeczy, dla których rok temu atevi nie mieli jeszcze żadnej nazwy ani nawet nie wiedzieli, że one istnieją.

Język atewski nigdy nie wzdragał się przed przyjmowaniem do swej gramatyki terminów technicznych - słowo „arispesa” było hybrydą powstałą bez najmniejszego udziału Brena.

Poza tym w aktówce miał pełno sprawozdań o tym, co zadziało, co nie działało dobrze oraz co powinna ulepszyć legislatura, komisja kosmiczna czy też laboratoria i zakłady

31

wytwórcze znajdujące się u źródła wiedzy. Ale przecież nie było znów tak wielu powodów do narzekań. Na początku jesieni Bren zrobił objazd kopalni.

Zapisy z opuszczonej stacji, bibliotekę, która przybyła do tej gwiazdy wraz z tym, co miało stanowić kolonialną bazę kosmiczną - rzeczy, które paidhi niegdyś przekazywał na kontynent - wymieniano w przeszłości na towary. Teraz jednak na niebie pojawiło się nowe źródło pomysłów i wylewało je z siebie za darmo. Głównym darem był projekt tego właśnie statku.

To, czy Mospheira ma już którykolwiek z zapisów stanowiących przedmiot tej darmowej transakcji, było pytaniem, które nie przebiło się jeszcze przez oficjalne milczenie Mospheiry; Bren bardzo w to wątpił. Po pierwsze, ludzie, którzy porzucili stację kosmiczną, by zejść na planetę, zrobili to w dwóch rzutach. Pierwsi ludzie wylądowali w kapsułach na spadochronach, ponieważ kierownictwo stacji odmówiło przyszłym kolonistom środków oraz planów potrzebnych do zbudowania wahadłowca.

Druga fala kolonistów pojawiła się na planecie dopiero po odlocie statku - jak twierdziła jego załoga: w poszukiwaniu drogi do domu - oraz po tym, jak stacja, cierpiąca na coraz większy brak personelu, zaczęła się psuć. Ówczesne kierownictwo stacji nie miało ani środków, ani siły roboczej, by zbudować wahadłowiec, więc posługując się istniejącymi zapiskami, ostatni twardogłowi, a także członkowie kierownictwa, też wylądowali na spadochronach. Tak więc nigdy nie zbudowano żadnego ładownika wielokrotnego użytku. Być może zarząd stacji przywiózł ze sobą bibliotekę. A może nie? Pojazd opisany w projekcie przesłanym teraz ze statku nie był statkiem dużego udźwigu jak rakiety chemiczne mospheirańskich zwolenników programu kosmicznego. Surowce statek zdobywał, albo mógł zdobyć na orbicie, w sposób w jaki robili to ich przodkowie - tak powiedział kapitan statku. Najważniejszą sprawą byli robotnicy, którzy mogliby go wykorzystać - tak powiedział Jason Graham.

32

Historia także znała pewne niepokojące szczegóły dotyczące wypadków wśród robotników, o których Jase nigdy nie wspominał, a to właśnie one pchnęły kolonistów na planetę - lecz gdy tylko atevi znajdą się na górze, to, do cholery, będą mieli głos; a atevich będzie więcej niż ludzi na statku, o czym Bren nie wspominał Jase'owi.

W bibliotece mogą się znajdować wskazówki, jak zbudować

taki statek; albo i nie.

A może atewski pocisk, który trafił w Bazę Alfa podczas Wojny, zniszczył większą część uratowanej biblioteki, niż głosiły ludzkie władze.

Jednak między przeszłość i terażniejszość wkradły się niesnaski polityczne. Bren nigdy nie miał uprawnień, nawet jako paidhi - szczególnie jako paidhi - do przeglądania ściśle tajnych archiwalnych plików w bibliotece. Bren uznał nawet za możliwe, że podczas dysputy między stacją, kolonistami i statkiem ktoś celowo wymazał je z bazy danych na stacji, zostawiając jedyny ich egzemplarz w posiadaniu statku, żeby koloniści nie mogli opuścić planety bez polepszenia bazy przemysłowej.

Ale, o ironio, Jase, trzecia fala, znowu musiał posłużyć się spadochronem, ponieważ smutna prawda była taka, iż ten cudowny statek nie mógł wybudować ładownika, którego miał projekt, ponieważ nie dysponował konieczną siłą roboczą, a nawet gdyby jakoś udało się pokonać tę przeszkodę, to i tak nikt nie mógłby sprowadzić go na ziemię, bo żaden pilot kosmiczny nie umiał latać w atmosferze.

Tak więc, biorąc to wszystko pod uwagę, i mimo że Yolanda Mercheson, przedstawicielka statku na Mospheirze, miała organizować u ludzi budowę statku identycznego z atewskim, Bren miał coraz większą pewność, że statkiem, który jako pierwszy wyniesie personel i towary na orbitę, będzie ten, na który

w tej właśnie chwili patrzy.

Nawet dysponując planami, ludzie na Mospheirze nie potrafili

33

już zdobyć się na taki wysiłek, jakiego efekt Bren miał przed sobą.

Prężny przemysł lotniczy był niezwykle cenny dla

przyśpieszonego programu kosmicznego. Podobnie

wykwalifikowani robotnicy, którzy przerabiali formy i zajmowali

się kompozytami.

Niestety, ludzie na Mospheirze nie mieli takich możliwości.

Co prawda, był tam zakład lotniczy, ale w wyniku konkurencji ze

strony atewskiego przemysłu na kontynencie przestał wytwarzać

duże odrzutowce. Subsydia rządowe konieczne do utrzymania

mospheirskiego przemysłu lotniczego, właściwie pozbawionego

klientów, zostały obcięte przez legislaturę w ramach ogólnego

protestu przeciwko podatkom dwie elekcje prezydenckie wstecz i

ludzie pracujący przy budowie samolotów odeszli do innych

zawodów.

Tymczasem mospheirskiej wytwórni kompozytów, mimo

wniosków zwolenników programu kosmicznego, zabrakło części

zamiennych, koniecznych do jej funkcjonowania, ponieważ nie

mogła znaleźć klientów poza nie istniejącym już zakładem

lotniczym. W stosunkach atewsko-ludzkich od dziesięcioleci

panował pokój, a obronne implikacje kupowania nowych

odrzutowców, potrzebnych na Mospheirze do obsługi

miejscowych linii, od Zakładów Lotniczych Patinandi, po prostu przegrywały w legislaturze ze społecznym sprzeciwem wobec wysokich podatków. Nawet ludzie prowadzący kampanie na rzecz powrotu na orbitę promowali rakiety chemiczne, ponieważ takimi zawsze się latało, takie najwyraźniej istniały plany i taką historyczną koncepcję łatwiej było sprzedać Partii Ludzkiego Dziedzictwa - która, politycznie mówiąc, poszła z nimi do łóżka - niż bardziej złożony technicznie wahadłowiec zależny od wytwórni kompozytów, której nie chcieli finansować.

Tak więc ci polityczni kochankowie skoncentrowali wysiłki i wyłożyli niewielkie pieniądze pochodzące z podatków na swój program raketowy, na, co było ujęte w Traktacie Mospheirskim, jednoczesny rozwój ludzkiego i atewskiego programu

34

kosmicznego. Przez całe wolno ciągnące się dziesięciolecia mospheirski departament obrony ujawniał za pośrednictwem paidhiin jedynie te dane, które mospheirski rząd musiał ujawnić atevim, by stworzyć przemysł mający w ostatecznym rozrachunku zasilać mospheirski program kosmiczny surowcami i gotowymi wytworami, a znając zamiłowanie Mospheiry do takich militarnie niebezpiecznych transakcji, surowce miały trafić w mospheirskie ręce na tyle wcześnie, by dać ludziom fory.

Bren powinien o tym wiedzieć; część z tego miała już miejsce podczas jego, co prawda krótkiej, kadencji, oraz za kadencji jego

poprzednika, Wilsona, zanim ten odszedł na emeryturę.

Z drugiej strony, z tego, co mówił Jase, wynikało, że statek bardzo szczegółowo wypytywał Mospheirę o te sprawy i odkrył prawdę, której Mospheira żadną miarą nie mogła zaprzeczyć: Mospheira nie może niczego wystrzelić ani natychmiast, ani w przewidywalnej przyszłości, czy byłby to pojazd załogowy, czy bezzałogowy.

Prawdopodobnie w toku ostatnich negocjacji prezydent Mospheiry powiedział kapitanowi Jase'a prawdę i nawet nie brał pod uwagę możliwości zbudowania tajnej bazy raketowej.

No i właśnie: kiedy ludzie spuścili się na legendarnych żaglach-kwiatach w sam środek atevich, ci nikogo nie niepokoiłi i poszli drogą postępu, poczynając od maszyn parowych.

Atevi ledwo w zeszłym roku zaczęli się zastanawiać nad satelitami i załogowymi lotami kosmicznymi, przekonani, że stacja jest opuszczona, a jedyni ludzie znajdują się na Mospheirze, kiedy na ich świat spadł nowy grom ludzkiej obecności oraz przesłane drogą elektroniczną z nieba rysunki techniczne, gwarantujące działanie zbudowanych według nich urządzeń bez eksperymentowania.

W ciągu ostatniego pół roku narodowym priorytetem stała się przebudowa - słowo to niosło się echem we wszystkich departamentach - atewskiego programu kosmicznego. Tabini-aiji

przystąpił do wyścigu, wyścigu w pokazywaniu wyników swemu
własnemu niespokojnemu ludowi, wyścigu do zdobycia punktu
zaczepienia na niebie, gdzie atevi mieliby coś do powiedzenia na
temat przyszłości swojej planety - i ten szczególny zakład
produkcji samolotów miał zasadnicze znaczenie.

Zbudowanie statku kosmicznego w oparciu właściwie o taką
samą bazę materiałową i konstrukcję co samoloty, które seryjnie
wytwarzał ten zakład, było o wiele szybsze niż wynalezienie
nowych ciężkich wyrzutni raketowych.

Testowanie odbywało się na podstawie wykazu materiałów,
pochodzącego z bardzo wyraźnych zapisów.

Powstawały już programy szkoleniowe dla starannie dobranej
grupy atewskich pilotów, mające ich nauczyć obsługi budowanego
pojazdu.

O ile Bren rozumiał sytuację na wyspie, ludzcy uczeni
pośpiesznie nadrabiali braki, by nadążyć za potokiem danych
technicznych spływającym z niebios.

On sam odkrył lukę informacyjną w uniwersyteckich
programach nauczania fizyki i chemii: departament obrony
trzymał niektóre sprawy w tajemnicy - SNS było tylko jednym z
przykładów. Uniwersytet nie uczył, ani jego, ani jego
poprzedników, tego, do czego nie miał dostępu; o dziwo, ludzie w
departamencie obrony, którzy rozumieli te dane, umarli, a ich
następcy po prostu strzegli szuflad z aktami, nie wiedząc, na czym

siedzą... aż informacje ze statku w kilka sekund przedawniły

tajemnice skrywane przez departament obrony.

Teraz więc wykonawcze ramię mospheirskiego rządu nie miało żadnych kart przetargowych. Atevi, władający głównym kontynentem, mieli większość kopalni surowców mineralnych.

Ludzie mieszkający na dużej, w części środkowej górzystej wyspie, musieli wymieniać ryby na aluminium i miedź. Ludzkie zamówienia na te produkty jeszcze się nie zwiększyły, być może dlatego, że nie zostało to jeszcze zatwierdzone przez ludzką

36

legislaturę; aiji natomiast jednym pociągnięciem pióra upoważnił atewskie kopalnie do produkcji tego, co było potrzebne dla statku.

Mospheira importowała z kontynentu ceramikę, plastik i samoloty. Z kontynentu importowano nawet ropę naftową. U północnych wybrzeży wyspy znaleziono ropę, ale było to w sąsiedztwie najdroższych nieruchomości na wyspie i wydobywanie wciąż opóźniano, ponieważ dostawy ropy z kontynentu nigdy nie były zagrożone.

Atewski przywódca nie był głupcem. Atewski przywódca sprzedawał wyspie samoloty i ropę po bardzo dobrych cenach - podobnie jak kiedyś jego ojciec. Ludzkie lotnictwo kierowane sprawozdaniami paidhiego oraz ludzkim pragnieniem handlu wyszło poza rynek wewnętrzny i skierowało swoje ambicje ku satelitom. Potrzebny mu był pojazd orbitalny, który planowano

rozbudować na wyspie, lecz aby to osiągnąć, trzeba było najpierw doprowadzić atewski przemysł do takiego samego poziomu, by dostarczyć konstruktorom komponentów. Zanim więc zaczęto podejrzewać obecność statku na niebie, na stole negocjacyjnym znalazły się rakiety projektowane na Mospheirze, a Zakłady Lotnicze Patinandi na kontynencie stały się Zakładami Kosmicznymi Patinandi.

Pojawił się statek: rakiety dużego udźwigu planowane przez Mospheirę umarły śmiercią naturalną. Z nieba przybyły projekty samolotu kosmicznego wielokrotnego użytku i w ciągu jednego dnia, po uznaniu koncepcji za możliwą, aiji w Shejidan rozkazał zakładom Patinandi, by na czas budowy dodatkowej fabryki lotniczej przenieśli produkcję części wystarczających dla floty lotniczej do innego, nieco starszego, lecz wciąż czynnego zakładu. Natychmiast po otrzymaniu tego rozporządzenia z Shejidan i dosłownie przed kolejnym zachodem słońca zakłady Patinandi w prowincji Sarini zaczęły pakować matryce i podstawowe wyposażenie produkcyjne, by przewieźć je do innej prowincji, która miała wyciągnąć z tego znaczne zyski.

37

I mimo że nikt nie był przygotowany do takiej pracy aiji w jednej chwili zmienił na mocy dekretu największą na świecie wytwórnię samolotów w pracujący całą dobę zakład budowy statku kosmicznego, bez żadnych debat, komisji i decyzyjnego

bezwładu. To zdumiewające, z jaką szybkością działał teraz cały atewski system, zważywszy, że kiedyś cały program kosmiczny został wstrzymany na trzy miesiące z powodu debaty na temat projektu kołnierza komory spalania w silniku rakiety chemicznej. Pół roku temu niczego takiego jeszcze nie było.

A zależnie od technicznej dokładności międzygatunkowej interpretacji i tłumaczenia przez paidhiego, w gruncie rzeczy historycznych dokumentów, ten statek poleciał szybciej, niż paidhi mógł to przyznać, nawet przed Jasem. Projekt szkieletu żadną miarą nie był nowatorski; rewolucyjne natomiast były podwójne silniki, układy zerowej grawitacji, osłona termiczna i interaktywne komputery.

A jeśli chodzi o to, dlaczego atewi przyjęli ten projekt bez zwykłych debat nad liczbami, które zajmowały poprzednio całą ich uwagę i sprawiały, że projekty realizowano w żółwym tempie - no cóż, liczby tego statku były najwyraźniej pomyślne i znajdowały się poza wszelką debatą, nawet te, które dotyczyły silników i komputerów. Aż po opony kół była to historyczna replika autentycznego wahadłowca orbitalnego o nazwie „Pegaz”, który przez dwadzieścia lat kursował nad ziemią w podobnej grawitacji i wykonywał podobne zadanie, któremu nigdy nie przytrafiła się żadna katastrofa czy jakiegokolwiek niepomyślne zdarzenie i który istniał w harmonii z niebem oraz liczbami nieskończonej przestrzeni do czasu zakończenia służby, przez co

okazał się statkiem zharmonizowanym ze wszechświatem i przynoszącym szczęście swoim projektantom oraz użytkownikom.

To proste zapewnienie - a tylko atewscy bogowie wiedzieli, w jaki sposób sprytni numerolodzy Tabiniego doprowadzili do zgody w tej kwestii - zamknęło debatę, która mogłaby utraścić

38

projekt. Numerolodzy, wciąż oszołomieni koncepcją SNS, byli zadowoleni - a przynajmniej zajęli się studiowaniem liczb składających się na projekt, by określić, co uczyniło go pomyslnym, by mogła na tym skorzystać atewska nauka.

Taka gwałtowna zgoda nigdy jeszcze nie przyspieszyła wprowadzania w życie żadnego innego programu. Nikt nie podnosił tej sprawy w obecności Brena, ale według niego była to rewolucja w atewskiej filozofii dorównująca koncepcji SNS i prawie tak samo przerażająca. Można się było domyślać, że pojawiły się groźby śmierci albo że gdzieś na tajnych spotkaniach osoby, które zwykle się sprzeciwiały liczbom, zostały stanowczo uciszone. Tabini chciał wprowadzić ten program w życie i jeśli atevi mieliby jakieś obiekcje, to liczby atewskiej pomyslności rzeczywiście mogły się obrócić przeciwko nim.

Ustawili fotele i poszerzyli je na miarę atewskich ciał, ale by, jak mówili atevi, utrzymać harmonię pomyslnych liczb, nie zmienili żadnych innych parametrów, a ostateczna masa okazała się ta sama, ponieważ atevi po prostu wazyli więcej niż ludzie.

Atevi będą musieli pochylać głowy, siedzieć bliżej siebie i po oswojeniu się z projektem statku kosmicznego po prostu przystosować się do innego stopnia wygody.

Powstała nawet (ku, czego Bren był pewien, całkowitej konsternacji pewnych elementów na Mospheirze) dyskusja nad sprzedawaniem miejsc pasażerskich ludziom, gdyby udało się wypracować szczegóły dyplomatyczne. Podobno pomysł ten spodobał się niektórym frakcjom na wyspie jako sposób na loty kosmiczne bez gwałtownego podnoszenia podatków.

Innym, jak powiedział w ostatniej rozmowie Shawn, pomysł podobał się dlatego, że tak bardzo rozwścieczył konserwatystów z Towarzystwa Ludzkiego Dziedzictwa. Kiedy przed dwoma miesiącami Bren przetłumaczył prezydentowi ofertę aijiego dotyczącą sprzedaży miejsc, Biuro Spraw Zagranicznych prawdopodobnie wypuściło w powietrze baloniki i dęło w trąbki, a

39

telefony George'a Barrulina pewnie były tak rozgrzane, że stopiły mu się na biurku.

Pomost zatrzęsł się pod stopami pana Geigiego, który, zatrzymany przez rozmówców na niższym poziomie, wchodził teraz po schodach w towarzystwie pozostałych panów i oficjeli.

Pilnujący ich ochroniarze zajęli dogodne pozycje i nie dopuszczali paidhiego do poręczy. Czarna skóra i złociste oczy były standardem nie tylko u miejscowych, ale w całym atewskim

świecie, i Bren doskonale zdawał sobie sprawę, że jasnowłosy człowiek, ubrany w kolory nie świadczące o przynależności do żadnego rodu, po prostu wyróżnia się wśród tłumu.

Wyróżniał się niskim wzrostem na tle wysadzanej srebrem czarnej skóry mundurów Tano i Alginiego, którzy reprezentowali władzę aijego.

Wyróżniał się kaftanem dworskiego kroju, sięgającym kolan, zapinanym na wiele guzików, oraz białą wstążką wplecioną w warkocz: to kolor paidhiego, osoby bez przynależności rodowej.

Tabini powiedział, że Bren powinien wybrać sobie jakiś kolor, ponieważ musi mieć coś rozpoznawalnego na oficjalne okazje; sama Ilisidi oznajmiła, że biel będzie bardzo pasować do jego jasnych włosów i podkreśli niezależność od czerni i czerwieni - kolorów rodu aijiego - nikogo przy tym nie obrażając.

Bren doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby w zakamarkach za reflektorami czaili się jacyś snajperzy, to stanowili dla nich wymarzony cel, jaśniejąc niczym pastelowy neon.

Ale wiedział, że budynek został dokładnie przeszukany przez ochronę, zanim Bren do niego wszedł, a także minionej nocy; przeszukała go nie tylko jego ochrona, ale i ochrona pana Geigiego, zainteresowana utrzymaniem go przy życiu oraz powstrzymaniem jakiegokolwiek

wroga

przed

skompromitowaniem go przez dopuszczenie do ataku na paidhiego.

40

Dlatego Bren wiedział, że stanowi kłopot dla robotników, którzy, idąc rano do pracy, musieli poddać się drobiazgowej rewizji.

Jednak paidhi, przysłany osobiście przez aijiego, czynił gest publicznego wsparcia absolutnie wymagany przez atewską politykę. Zobaczą go robotnicy. Atevi zainteresowani losami Geigiego będą świadkami kolejnego dowodu na uratowanie Geigiego od finansowej ruiny i wyniesienie go na wyżyny władzy gospodarczej w jego regionie.

Stojąc na tak eksponowanym miejscu, paidhi miał tylko nadzieję, że wszyscy atevi Geigiego są lojalni. Od czasu, kiedy wylądował na lotnisku i oznajmił, że będzie spał w domu Geigiego, a teraz na prośbę dyrektora zakładów zgodził się wejść na ten pomost, Tano i Algini równie dobrze mogli zacząć pić całymi butelkami środki zubożniające kwasy. Nawet jednak oni musieli przyznać, że szansę na zdradę ze strony Geigiego praktycznie były równe zeru, podczas gdy szansę na lojalność jego atevich względem niego były dość wysokie. Z atewskiego punktu widzenia liczby Geigiego wciąż się zwiększały, stanowiąc tym

samym problem w atewskiej wersji równania.

Poza tym nikt nie próbował zgłosić Zamiaru na życie paidhiego, przynajmniej w ciągu ostatniego miesiąca.

To właśnie analitycy na dworze aijiego nazywali dopuszczalnym ryzykiem w zrobieniu tego przystanku podczas objazdu. Bren był pewien, że zawodowcy, strzegący go w trakcie pobytu w tym regionie, kiedy robił takie spontaniczne gesty, mają na to zupełnie inne określenie.

- Wspaniała robota - oznajmił Bren, zwracając się do pana Geigiego. - Jestem prawdziwie zdumiony postępem prac. Jestem absolutnie zdumiony. Podobnie zdumiony będzie aiji.

- Nand' Borujiri - rzekł pan Geigi - pracuje bardzo ciężko.

- Nand' Borujiri. - Bren skłonił głowę w kierunku tego

41

zaczynającego dzentelmena, dyrektora Zakładów Kosmicznych Patinandi, który mimo fizycznej słabości wszedł z nim na najwyższy pomost w asyście panów z okręgów miejskich, istniejących w ramach patronatu pana Geigiego w prowincji Sarini. - Przekażę twoje zalecenia aijiemu. Absolutnie wspaniała organizacja. Człowiek chciałby przekazać wyrazy uznania wszystkim odpowiedzialnym za to osobom.

- Nand' paidhi - powiedział Borujiri, poruszając się powoli nie tylko z powodu wieku, ale i długotrwałej choroby. - Ta praca to mój pomnik. Postanowiłem, że tak będzie. Przeznaczyłem część

mojej posiadłości dla wypoczynku robotników, którzy wezmą udział w tych pracach. A jaki to wielki wysiłek z naszej strony!

- Wszystko tu działa na zmiany - wtrącił pan Geigi. - Noc nie jest żadną przeszkodą. I kontrola jakości, nand' paidhi, skrupulatna kontrola jakości. - Rozległo się kilka krótkich dźwięków rogu, sygnał „uwaga”; Bren i jego nerwowi ochroniarze zostali uprzedzeni zawczasu. Pan Geigi oparł dłonie na poręczy pomostu górującego nad rozległą montażownią. - Nadiin-ji! Paidhi chwali waszą pracę i wasze poświęcenie! Zechciejcie wysłuchać paidhi-aijiego!

Bren przyzwyczał się do takich przemówień. Reporterzy wszędzie za nim jeździli: poniżej stali dziennikarze, którzy przekażą jego słowa do redakcji wiadomości, dziennikarze, których dzięki głównym liniom komunikacyjnym było tu o wiele więcej niż w dwóch ostatnich, bardziej wiejskich, ośrodkach przemysłowych.

- Nadiin - zawołał, patrząc na uniesione w górę twarze, i sam się oparł o zakazaną poręcz. - Przekroczyliście ambitne oczekiwania i narzuciliście wysokie normy, bardzo wysokie normy w pracy, której dzielni atevi w kosmosie powierzą swoje życie. Co więcej... - Widok rozpościerający się przed nim, te fragmenty statku, był rzeczywiście piękny. Choćby ze względu na reporterów Bren usiłował urozmaicać swoje przemówienia,

starając się zarazem ich nie przeciągać; nagle zapragnął powiedzieć coś innego niż zazwyczaj podczas takich objazdów. W obecności starego Borujiriego i pana Geigiego, w chwili, kiedy po raz pierwszy mógł pozwolić sobie na uwierzenie w istnienie statku kosmicznego oraz w entuzjazm inżynierów i zwykłych robotników, którzy zrzekli się urlopów i przedłużali godziny pracy, by przyspieszyć prace, poczuł natchnienie.

- Co więcej, nadiinnai, są to normy w pracy nie mającej precedensu w historii świata. Ze stalowych płyt można zbudować żaglowiec. Kiedy jednak zostaje spuszczone na wodę, kiedy pracowite dłonie czynią z tego statku żywą istotę, wtedy wiąże on wszystkich swoich twórców i tych, którzy kiedykolwiek będą na nim pływać, w patronat sięgający wszystkich wybrzeży, do których przybije. Własnymi rękoma zbudujecie statek, który poniesie nadzieje całego świata, nadiin! Dzieło waszych rąk, wizja waszego dyrektora, mądrość waszych panów i odwaga atevich, którzy znajdą się na tym statku, sięgną do nowych obiektów na niebie i oddadzą je wraz ze wszystkimi jego możliwościami w wasze władanie. Aiji w Shejidan otrzyma moje sprawozdanie o was jako o nadzwyczajnych i pełnych poświęcenia robotnikach i nie wątpię, że pozostaniecie w jego myślach przy następnej audiencji, na którą, jak informują mnie pan Geigi i nand' Borujiri, oraz pozwalają mi poinformować was, wyślą na własny koszt przedstawiciela z każdej zmiany. Gratulacji od siebie, nadiin, nie

muszę wam składać! Wyróżniliście się i przynieśliście zaszczyt swojej prowincji, swojemu regionowi, swojemu przedsięwzięciu!

Po upływie setek lat atevi będą opowiadać, jak chętnie ręce i umiejętności budowniczych wyniosły atevich w kosmos na ich własnych warunkach i dzięki im samym!

Spodziewał się jedynie uprzejmej uwagi, jaką atevi poświęcają mówcy, a po niej formalnych, odmierzonych oklasków.

- Nand' paidhi! - usłyszał zamiast tego, a potem zewsząd rozległy się krzyki: - Nand' Bren!

43

Ten mniej niż oficjalny tytuł narodził się w co bardziej szmatławych gazetach. Bren zarumienił się, pomachał ręką i cofnął się od poręczy; Tano i Algini natychmiast stanęli między nim i tłumem, tworząc żywy mur.

- Nand' paidhi - powiedział pan Geigi i pokazał gestem, żeby zaczął schodzić.

- Cudowne przemówienie. - Nand' Borujiri był wyraźnie poruszony. - Polecę je wygrawerować, nand' paidhi. Wspaniały podarunek!

- Jesteś bardzo uprzejmy, nand' dyrektorze.

- Gorąca mowa - rzekł pan Geigi, trzymając się blisko Brena. -

Jeśli aiji może się bez ciebie obyć, nadi, proszę, byś przyjął moje zaproszenie i przedłużył wizytę o kilkudniowy pobyt w Dalaigi, w o wiele wolniejszym tempie i, zapewniam cię, w najwspanialszym

klimacie w kraju. Żółtogonki nie będą czekać. Praca papierkowa nie ucieknie. A jeśli dasz mojemu kucharzowi rybę oraz jeden dzień na przyrządzenie jej, nand' paidhi, zapewniam cię, że w efekcie otrzymasz nadzwyczajne, pełne natchnienia danie. On ogromnie pochwała twój gust, jakim się wykazałeś zeszłego wieczoru podczas krótkiego przeżywania jego sztuki.

Bren dobrze wiedział, że częściowo była to formalność spowodowana w pewnym stopniu obawą, by Borujiri nie zaproponował czegoś podobnego; równie dobrze mogła to być szczerza propozycja. Algini dał Brenowi do zrozumienia, że zeszłego wieczoru kucharz był niezwykle zadowolony z prośby Brena o miejscową specjalność. To rzeczywiście był wspaniały kucharz: Geigi podchodził do jedzenia z wielkim, entuzjazmem, a jego kuchnia cieszyła się zasłużoną sławą.

Bren miękł. Już miał poprosić ochronę, by zapytała w biurze, czy może tu spędzić jeszcze jeden dzień.

Kiedy jednak zaczęli schodzić z trzeciego ciągu schodów,

Bren poczuł wibrację swojego kieszonkowego komunikatora. Był

44

to sygnał, że ochrona chce zwrócić jego uwagę lub coś odradzić -

Bren uznał, że chodzi o to ostatnie, jako że Tano rzucił mu

bezpośrednie spojrzenie i wcale nie powiedział: „Jeśli paidhi sobie życzy” w związku ze zmianą w rozkładzie lotów i opóźnionym powrotem do rezydencji pana.

- Obawiam się, nandi - westchnął Bren - że mój rozkład zajęć w stolicy wyklucza przyjęcie zaproszenia. - Ta delikatna wibracja nie ostrzegała przed bezpośrednim niebezpieczeństwem. Uznał ją za ostrzeżenie od swego personelu przed pozostawianiem na publicznym widoku czy też proste stwierdzenie, że jest pilnie oczekiwany gdzie indziej. - Lecz jeśli byłbyś uprzejmy wystosować takie zaproszenie jeszcze raz, być może na polowanie na inną sezonową zwierzynę, byłbym ogromnie zadowolony, nand' Geigi, bardzo zadowolony.

Boże, ależ pragnął tych wakacji, a poza tym lubił-lubił-lubił pana Geigiego, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, rządzącemu stosowaniem tego mylącego i zabójczego słowa, i wcale nie chciał usłyszeć od swojej ochrony, że pan Geigi znów przeszedł na drugą stronę.

Gdy tylko Bren postawił stopę na posadzce montażowni, usiłował się do niego zbliżyć cały batalion reporterów. Jednak frontalny atak kamer nie pokonał jego ochroniarzy; Tano i Algini skierowali go wraz z towarzyszącym mu orszakiem na bok przez biuro dyrektora zakładów, natykając się tam na rozpromienioną kobietę, dla której, jak dla Borujiriego, wizyta Brena oznaczała pomyślność i zaszczyt.

- Nand' paidhi! - Ukłoniła się i podała mu kartę z białą wstążką, oznaczającą paidhiego, jedną z tych, które zapobiegliwy personel wydał wcześniej pewnym ważnym osobom. W powietrzu

unosił się zapach podgrzanego wosku, a w biurze czekał przygotowany specjalnie na tę okazję stoczek. Przez drzwi natychmiast wlała się fala oficjeli z panem Geigim i nand'

45

Borujirim; na zewnątrz kłębili się reporterzy.

Bren podpisywał karty i wyciskał na nich w wosku swoją pieczęć; będą one stanowiły dumną ozdobę ścian nie tylko dla tego, ale i dla przyszłych pokoleń. Jego ochrona płonęła z niecierpliwości i najwyraźniej chciała czym prędzej znaleźć się na zewnątrz. Były jednak chwile, kiedy pośpiech zdawał się stwarzać większe problemy niż jego pozorny brak; na razie nie rzucili go na podłogę i nie wyciągnęli broni. Bren uznał więc, że sytuacja nie jest krytyczna.

- Samochód czeka, nand' paidhi - rzekł Tano, gdy tylko została opieczętowana ostatnia karta.

Drogę ucieczki stanowiły drzwi: reporterzy jeszcze ich nie obiegli. Algini wyszedł pierwszy, bacznie przyglądając się samochodowi dostarczonemu przez Gildię, który według procedury podlegał osobistej i stałej obserwacji ochrony paidhiego. Tano przytrzymał drzwiczki, stanowiąc żywą tarczę przed nie wiadomo czym.

Znajdując się w tej pozycji, przez dwie sekundy byli poza zasięgiem słuchu miejscowych atevich.

- Pan Saigimi nie żyje - powiedział Tano cicho, lecz z

naciskiem. - Nie wiadomo, kto to zrobił.

A więc stąd ten pośpiech. Bren przyjął informację i przy następnym odpaleniu neuronów pomyślał, że prawdopodobnie pan Geigi, zatrzymany po przeciwnej stronie tych samych drzwi, otrzymuje dokładnie tę samą wiadomość od swojej ochrony.

Pan Tasigin Marid, kręgu wybrzeża u dołu Półwyspu, stracił życie, i to nie z przyczyn naturalnych.

Pan Tasigin Marid, z pochodzenia Edi, był najbardziej z całego Półwyspu przeciwny programowi kosmicznemu. Kiedy Geigi stanął po stronie programu, a Deana Hanks ujawniła bombę, która osłabiła go politycznie, pan Saigimi natychmiast zażądał, by pan Geigi w całości spłacił swój dług zaciągnięty na inwestycje w

46

górnictwie naftowym, co według oczekiwań pana Saigimiego miało zrujnować pana Geigiego i zmusić go do oddania władzy w Dalaigi.

Tak się nie stało - dzięki astronomowi Grigijiemu.

Geigi przeszedł przez drzwi z trzeźwą miną, śmiertelnie trzeźwą miną atevy, który nie chce nikogo urazić. Bren mógłby się założyć, że nie jest niezadowolony z tej wiadomości. Możliwe - myśl ta uderzyła go jak grom - że Geigi był nawet bezpośrednio zamieszany w to zabójstwo.

Nie. Geigi nie zrobiłby czegoś takiego. Na pewno nie. Miał przecież, dosłownie pod swoim dachem, przedstawiciela aijiego,

który mógłby zostać powiązany z tym wydarzeniem.

- Wiadomości - rzekł Bren, postanowiwszy zaufać swojemu osądowi i potraktować atevę jako współnika - a już w następnej chwili zadawał sobie pytanie, czy w sprawę jest zamieszany Tabini - podczas gdy przedstawiciel Tabiniego był gościem pod dachem Geigiego. - Nandi, właśnie został zabity pan Saigimi. Troskam się o twoje bezpieczeństwo i koniecznie muszę trzymać się rozkładu lotów. Obawiam się, że wydarzenia nie pozostawiły mi żadnego wyboru i muszę wrócić do moich obowiązków, bym mógł pośredniczyć w rozmowach ze statkiem, gdyby ten miał jakieś pytania. Czy zechcesz jednak wyświadczyć mi zaszczyt i dotrzymać towarzystwa w drodze na lotnisko w moim samochodzie?

Twarz Geigiego pobladła tak, jak było to możliwe u atevy. Być może Geigi - nie mający nic wspólnego z zabójstwem i obawiający się, że może zostać o niego oskarżony - chciał odwołać wyprawę na ryby jako nieodpowiednią w zaistniałych okolicznościach i zaproponować swój samochód ze względów bezpieczeństwa.

Ale właśnie, jak mówili atevi, zaproponował człowiekowi deser. To znaczy następne danie po złowieszczej wiadomości przy obiedzie.

47

- Nand' paidhi - odparł Geigi z energicznym skinieniem głową

- z przyjemnością pojedę z tobą i będę zaszczycony twoim towarzystwem.

Pokazanie się w takim towarzystwie było zdecydowanie deklaracją z obu stron: gdyby sąsiedni panowie ze skomplikowanego patronatu na Półwyspie chcieli zdenerwować aijiego w Shejidan, uderzając w jego chlubę w tej prowincji, Geigi na wszelki wypadek opowiadał się za aijim.

Ateva poszedł z Brenem betonową ścieżką do jego samochodu; za nimi podążały obie grupy ochroniarzy.

- Proszę cię, Tano-ji, zajmij się też bezpieczeństwem nand'

Borujiriego - powiedział niemalże ze wstydem Bren.

- Przekazaliśmy tę radę ochronie budynku - odparł Tano.

Podchodzili właśnie do samochodów; środkowy, ciasno otoczony przez pozostałe, był samochodem Brena. Tano w żaden sposób nie

chciał go opuścić. Jakoś zawiadomił ochronę budynku,

prawdopodobnie za pośrednictwem ochroniarza Geigiego,

Gesirimu, kiedy Bren, niczego nie zauważywszy, podpisywał

karty. Nie dopuścili też reporterów do zewnętrznych drzwi.

- To niepokojące - rzekł pan Geigi. - Zapewniam paidhiego, iż

żadne wydarzenie nie zagrozi jego bezpieczeństwu. Byłbym

ogromnie zawstydzony, gdyby tak się stało.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odparł Bren - narazić

mojego gospodarza na ryzyko, i proszę cię, panie Geigi, byś

docenił wartość, jaką przedstawiasz dla aijiego. Wiem, że w razie

jakiegokolwiek akcji wymierzonej przeciwko tobie czy twoim towarzyszom Tabini-aiji podjąłby stanowcze kroki.

Było to bardzo kurtuazyjne. A także prawdziwe. Geigi nadzorował budowę statku. Geigi stanowił źródło stabilności i zatrudnienia w tym regionie.

Kiedy zbliżyli się do drogi, dostrzegli ich rozentuzjzmowani atevi z zakładów. Wrota otworzyły się i wylał się z nich tłum

48

robotników wymachujących kwiatami; towarzyszyli mu reporterzy i kamerzyści, na co ochroniarze Brena i Geigiego patrzyli zdecydowanie krzywo.

Robotnicy chyba jednak nie mieli pojęcia o alarmie, a atewskie uprzejme, pozbawione wyrazu milczenie podczas przemówienia wcale nie oznaczało powściągliwości, kiedy już uwierzyli w dobrą wolę mówcy. Rozległy się wiwaty, a na zaimprovizowane pośpiesznie ogrodzenie z liny trzymanej przez ochronę zakładów poleciały bukiety kwiatów. To, że lądowały na trawie i nie były podnoszone, w żaden sposób nie peszyło wiwatujących. Wystarczał im sam akt ofiarowania kwiatów, a poza tym atevi byli przyzwyczajeni do ścisłej ochrony: im wyżej stał dany pan, tym szczelniej był otoczony przez nerwowych ochroniarzy.

Bren podbiegł kilka kroków z chodnika na trawnik, pochylił się i podniósł jeden z bukietów, czego z całą pewnością nie

mógłby uczynić pan Patronatu, ale jego, człowieka z białą wstążką, nie dotyczyły żadne takie ograniczenia ani wymagania związane z pańską godnością. Uniósł bukiet nad głowę i pomachał nim wiwatującemu tłumowi, podczas gdy Algini i Tano popychali go ku otwartym drzwiom samochodu.

Przecież dobra wola zwykłych atevich też była jego ochroną i podejmowanie takiego ryzyka stanowiło do pewnego stopnia zadanie paidhiego. Tłum był zachwycony gestem Brena; okrzykom i machaniu rękoma nie było końca. Ucieszyło to reporterów, którzy zrobili dobre zdjęcia nie tylko osobom idącym do samochodu.

Obrona Brena przed konsekwencjami takich gestów była oczywiście zadaniem Tano i Alginiego i kiedy paidhi oraz pan Geigi wsiadali do samochodu, Tano zajął swoje miejsce, siadając tyłem do kierunku jazdy, a Algini usiadł z przodu, obok kierowcy. Ruszyli w ślad za samochodami personelu ochrony; za nimi jechały następne.

49

- Ateva podtrzymuje zaproszenie - odezwał się pan Geigi. -

Wiem, że ta ryba się z nas śmieje.

- Nie mogę się doczekać polowania na nią - odparł Bren. -

Mam nadzieję na zaproszenie w czasie następnej migracji tego lekkomyślnego stworzenia. Bardzo żałuje, że nie mogę spróbować w tym sezonie. Wierzę, że będziesz o mnie pamiętał w następnym.

- W rzeczy samej. Bez najmniejszych wątpliwości.

Najwyraźniej Tano i Algini nie mieli zamiaru się odprężyć, dopóki Bren nie opuści granic prowincji.

Człowiek jednak wierzył, że o zamachu dowiedzieli się przed służbami informacyjnymi, chyba że reporterzy tych właśnie służb akurat otaczali pana Saigimiego w chwili jego śmierci - i to tylko wtedy, gdyby mieli takie środki łączności jak Gildia. Ochrona Brena usłyszała o tym tak szybko, ponieważ osoby odpowiedzialne za zabójstwo (lub straż Saigimiego) miały elektroniczne połączenie z Gildią Zabójców; ona mogła przekazywać bezpośrednio wiadomości swoim członkom szybciej niż osobiści przedstawiciele aijiego, którzy nie zawsze byli informowani, co się dzieje.

A było to zabójstwo Gildii, inaczej mogłyby powstać prawdziwe kłopoty. Gildia była uczciwym kontrahentem i utrzymywała spokój. Mogła autoryzować swemu członkowi kontrakt na dokonanie zabójstwa, ale nie pozbawiała środków innych prawowitych członków, mogących akurat chronić wybraną ofiarę. Bardzo surowo patrzyła na szkody uboczne - Gildia szczyła się biichi'ji, finezją, tak przy autoryzacji i oficjalnym zawiadomianiu ofiar, jak przy wypełnianiu kontraktów - i w razie konieczności zawsze wysyłała ostrzeżenia, by zapobiec takim szkodom.

Tak więc oczywiście Tabini-aiji ostrzegał o swoich zamiarach

swoją własną ochronę, która mogła nie być poinformowana przez Gildię - nawet aiji musiał zgłaszać Zamiar, jak kiedyś doświadczył tego Bren. Natomiast panowie i szaleńcy, jak raz powiedział Tano,

50

nie zawsze spełniali ten wymóg i obrona nie zawsze wiedziała zawczasu o zagrożeniu. Gdyby pana Saigiriiego wyeliminował Tabini, Tano i Algini mogliby o tym wiedzieć ze źródeł aijiego.

Chyba że zrobił to Geigi. Bren miał pełną świadomość obecności dość pulchnego i miłego atevy, który obok niego ugniatał swoim ciężarem poduszkę na siedzeniu, w tym samochodzie przesiąkniętym przyjemnym, piźmowym zapachem atevich, obecnością ogromnych atevich. To z pewnością miałyby sens. Geigi nie był takim zadowolonym z siebie ateva, na jakiego wyglądał, a w zeszłym roku odzegnał się od spisków pana Saigimiego przeciwko aijiemu.

Wydawało się całkiem sensowne, że dysponujący nowymi zasobami Geigi umieścił członków Gildii tak blisko Saigimiego, jak tylko mógł; można było założyć, że Saigimi zrobił dokładnie to samo w okręgu pana Geigiego.

Tak więc bezpośrednie zaangażowanie pana Geigiego w minione wydarzenia stanowiło dobry powód do wielkiego zaniepokojenia ochrony paidhiego jego gestem, gdy podnosił kwiaty. Bren pomyślał, że czasami przejawia zdumiewający talent samobójczy.

To, że Geigi zostawił swoją własną ochronę w innych samochodach i usiadł obok niego w otoczeniu agentów Tabiniego, było deklaracją dużego zaufania do paidhiego i aijiego w Shejidan; gdyby jednak to Geigi był sprawcą zamachu, rzucało to na paidhiego i aijiego cień podejrzenia o współudział.

Cholera. Na pewno nie. Tabini nie wie, gdzie jest Bren i co się dzieje. Ochrona Tabiniego nie pozwoliłaby mu popełnić takiego błędu.

Tymczasem wszyscy reporterzy, którzy zebrali się z okazji wizyty Brena w zakładach, wrócili na swoje stanowiska, by poinformować cały Półwysep, że paidhi wziął pana Geigiego pod swoją ochronę, nie mówiąc już o zawiadomieniu o tym geście wszystkich panów Patronatu.

51

Wśród nich, w Dolinie Padi na północy, znajdowała się pani Direiso z rodu Kadigidi, która z całego serca życzyła paidhiemu śmierci i która sama żyła tylko dlatego, że próżnia władzy, jaka powstałaby po jej śmierci, mogłaby być dla aijiego bardziej kłopotliwa niż ona sama żyjąca.

Direiso. To jest dopiero ciekawy temat.

52

Rozdział 3

Kiedy prywatny odrzutowiec zawrócił w kierunku domu, samochody eskorty jak zabawki przepłynęły pod jego prawym

skrzydłem. Na betonie, w miejscu gdzie stał samolot, było widać kolorową plamę kwiatów, jeszcze więcej bukietów i wieńców.

Teraz otaczały skupisko czarnych dachów samochodów.

A więc pan Geigi nie odjechał, gdy zamknęły się drzwi samolotu ani nawet podczas długiego czekania, kiedy samolot kołował do odległego pasa startowego biegnącego ze wschodu na zachód. Geigi zaczekał, by zobaczyć go w powietrzu.

Jeszcze teraz obok samochodów stało kilku atevich obserwujących samolot - przesadny gest ze strony jednego z panów Patronatu, w polityce, w której wszystkie takie gesty miały znaczenie.

W języku atevich Ragi nie było żadnego słowa określającego miłość, żadnego słowa określającego przyjaciela czy choćby znajomego. Wobec ironicznych aspektów tego języka, czy też atewskiego umysłu, atevie w sytuacji pana Geigiego bardzo trudno było jasno wyrazić swoją osobistą pozycję, skoro istniały logiczne powody podejrzewania jego związków - ponieważ związki zabarwiały wszystko, żądały wszystkiego i wszystko naginały.

Bren stwierdził, że - mówiąc po ludzku - jest dość wzruszony

53

tym widokiem; nie wątpił w robotników z zakładu ani zwykłych mieszkańców białego miasteczka, które właśnie wchodziło w pole jego widzenia. To oni przynieśli te kwiaty.

Lecz z perspektywy takiej wysokości i odległości Bren nie był już ślepo ufny.

Nawet względem pana Geigiego, poza tym, że znane i nieznane związki Geigiego ciążyły obecnie ku temu samemu politycznemu ośrodkowi co związki Brena: ku Tabiniemu, aijiemu Patronatu Zachodniego, Tabiniemu, który miał ten samolot, ochroniarzy oraz lojalność panów i gminu na całym kontynencie. Man'chi. Lojalność instynktowna, a nie świadomie wybrana. Identyczne man'chi tworzyło sprzymierzeńców. Nie było innego mechanizmu.

Do podziału przepływającego poniżej ziemi nie dawało się też zastosować ludzkiego słowa „granica”. Na atewskiej mapie nie było właściwie granic. Było za to coś w rodzaju własności ziemi. Istniały okręgi miejskie, ale miały nieostre krawędzie. Mówiło się „prowincja” i było to zbliżone do linii na mapie oraz zdecydowanie miało odniesienie geograficzne, ale nie oznaczało tego, co miał na myśli twardogłowy ludzki urzędnik, usiłujący wepchnąć kontynentalne kategorie do mospheirskich szufladek. Zatem nic, czego doświadczał tam na dole, nie miało krawędzi, tak jak ziemia nie miała krawędzi i jak nie miały krawędzi zachodzące na siebie patronaty.

Taka myśl, jeśli ją zanalizować, mogła zbudzić u samotnego człowieka pragnienie, by choć jedna rzecz, której dotknął, oznaczała coś ludzkiego, zwykłego i odwzajemniła mu dotyk, by

zaspokoila uczucia budzące się w ludzkim sercu pod wpływem dobrych działań.

Lecz gdyby coś takiego się stało, to czy byłoby to prawdziwe?

Czy uczucie było prawdziwe, skoro czuła je jedna strona, a druga zawsze czuła coś innego?

54

Klaskanie jedną dłonią. Czy tak właśnie było?

Samolot wyrównał lot, biorąc kurs na północny wschód. Za oknem leżały teraz wzgórza południowego Półwyspu, prowincja Talidi - jednostka geograficzna, znów bez ostrych krawędzi. Za tym zamglonym łańcuchem wzgórz na południowym wybrzeżu leżały Marid Tasigin, gdzie pan Saigimi miał największe wpływy.

Teraz pewnie panuje w nich zamęt po rozniesieniu się wieści o zabójstwie ich pana.

Z drugiego okna, leżącego po przeciwnej stronie kabiny tego skromnego odrzutowca, było widać tylko błękitne niebo. Bren wiedział, co zobaczy, jeśli wstanie i wyjrzy: to samo lśniące, pomarszczone przez fale morze, które widział z balkonu Geigiego, i tę samą mgiełkę na horyzoncie, która była południowym wybrzeżem Mospheiry.

Tego popołudnia nie chciał wstawać i patrzeć w tamtym kierunku. Rano patrzył i myślał tak dużo, że, nie zdając sobie z tego sprawy, rozognił zakamarek w swoich uczuciach, który już praktycznie uważał za nieczuły.

Budzając wspomnienia, zaczął jak jakiś głupiec myśleć o Barb, o swojej matce i bracie, o tym, jaką mają pogodę, i czy brat, ignorując na kilka godzin groźby śmierci, znów zaczął dłużyć przy łodzi, tak jak zawsze to robił wieczorami wiosną.

Tę część swojego życia po prostu musi zamknąć. Dać jej spokój, przestać rozdrapywać strup. Po prostu znalazł się zbyt blisko Mospheiry mógł ją zobaczyć wyraźnie z okna samolotu, a przedtem siedział na balkonie u Geigiego, mając zbyt dużo czasu na myślenie.

Druga część życia, jego praca, obowiązek, jakkolwiek chciał to nazwać...

Przynajmniej ona toczyła się o wiele lepiej, niż miał nadzieję.

Każdy taki podnoszący na duchu sukces, jak w tym miasteczku i fabryce, znikającymi teraz w tyle za odrzutowcem,

55

stanowił kolejne bezpośrednie wyzwanie dla z trudem powstrzymywanych odśrodkowych sił atejskich w ramach Patronatu: jeśli szybko nie pozbędą się Tabiniego, to nawet najbardziej tępi spiskowcy zrozumieją, że zmiany, które zwalczają, staną się faktem atejskiego życia, tak głęboko zakorzenionym w gospodarce, że przetrwa on Tabiniego. Nawet gdyby Tabini zginął w tej minucie, to życie już nigdy nie będzie takie, jakie mogłoby być, gdyby Tabini nigdy się nie urodził. Liczni atejscy panowie byli wrogo nastawieni do ludzkich

wpływów kulturowych. Do diabła! Człowiek mógł właściwie powiedzieć, że każdy pan w Patronacie, łącznie z samym Tabinim, żywi obawy co do ludzkiej kultury, chociaż nawet Tabini miękł w kwestii telewizji i wydłużania czasu nadawania programów.

Paidhi zaczął się martwić tym złagodzeniem nastawienia.

Inni panowie i przedstawiciele byli skłonni przyjąć ludzką technikę w takim stopniu, w jakim przynosiła korzyści ich regionom, lecz mieli wrogie nastawienie do Tabiniego jako zwierzchnika, z przyczyn historycznych i etnicznych.

Istniała jednak grupka zarówno panów, jak i atevich z gminu, którzy stanowczo przeciwstawiali się tak jednemu, jak i drugiemu.

W sumie był to chwiejny postument dla rządu, który zasadniczo utrzymywał równowagę jedynie dzięki umiejętnościom Tabiniego w wyważaniu gróźb i nagród. Geigi stanowił dobry przykład: bardzo możliwe, że zaczął w obozie panów wrogich Tabiniemu z powodów nie mających nic wspólnego z techniką, natomiast ściśle związanych z etnicznymi podziałami wśród atevich.

Kiedy jednak Geigi wkopał się finansowo, politycznie i patronacko, Tabini nie tylko powstrzymał się przed usunięciem czy upokorzeniem go, lecz przyznał, że Półwysep od pewnego czasu otrzymywał mało kontraktów rządowych (nic dziwnego, skoro Półwyspem rządzą najzacieklejsi wrogowie Tabiniego) i zgodził się, że Geigi, uczciwy, szanowany pan Geigi, ma

podstawy do skarg.

I teraz Geigi, który miał w swojej prowincji jedyny na świecie zakład produkujący duże samoloty, a ten z rozkazu aijiego mógł być zastąpiony, wyparty z rynku, a nawet przeniesiony poza prowincję, zawdzięczał życie oraz pomyślność swego lokalnego patronatu opowiedzeniu się po stronie Tabiniego.

Tak więc dyrektor Borujiri oraz robotnicy stanowczo stali za Tabinim. Jeśli atevi mają wyruszyć w kosmos szybciej, niż to planowali, to jest to gratka dla Zakładów Kosmicznych Patinandi, życiowa szansa dla Borujiriego, dobra koniunktura dla lokalnego rynku pracy, przeżywającego kryzys i oszałamiający wzlot dla spokojnego, uczciwego pana, który zainwestował pieniądze w pola naftowe Tasigin Marid i prawie wszystkie je stracił, nie otrzymawszy żadnej pomocy od Saigimiego, którego oszukańczy krewniacy zarządzali feralnymi platformami.

Jakie obietnice Saigimi mógł uzyskać od Geigiego, a następnie je wyegzekwować podczas zeszłorocznej próby zastąpienia paidhiego paidhi-następczynią, Bren mógł się jedynie domyślać.

Geigi nigdy o tym nie wspominał.

To, jak przerażili się Geigi oraz Saigimi, kiedy paidhi-następczyni nagrodziła swoich atewskich popleczników informacją, która miała wartość bomby nuklearnej - to wszystko prawdopodobnie znalazło schronienie w nieskazitelnej dyskrecji

Geigiego, a teraz i w grobie Saigimiego. Być może nikt nigdy nie pozna wszystkich szczegółów tej historii.

Ale - do cholery! - Bren chciał je poznać, choćby z czystej, prostackiej ciekawości.

Wyraźnie jednak albo sprawa Saigimiego jątrzyła się dłużej, niż Bren sądził, że ta zeszłoroczna próba zabójstwa może nękać Tabiniego, albo nagle znów rozgorzała z przyczyn, których nie dostrzegł podczas planowania tej wyprawy.

To znaczy: jeśli Saigimiego rzeczywiście załatwił Tabini.

57

Wedle pokrętej logiki, której Bren nauczył się doszukiwać w motywacjach atevich, jeśli Tabini naprawdę to zrobił, to może zabójstwo Saigimiego było zaplanowane dokładnie na chwilę, kiedy Bren przebywał z Geigim w publicznym miejscu, by w ten sposób zapewnić go o dobrej woli aijiego: gdyby ta wiadomość nadeszła w środku nocy po jakimś zwykłym dniu, Geigi mogłby dojsć do wniosku, że aiji rozpoczął czystkę wśród wrogów.

Wtedy Geigi mogłby zrobić coś katastrofalnego - na przykład uciec do pani Direiso, wroga o wiele bardziej niebezpiecznego niż Saigimi - a to mogłoby się skończyć śmiercią Geigiego, gdyby ten niewłaściwie odczytał jej intencje. Albo, choć Bren w to wątpił, Direiso mogłaby zebrać resztę swojej grupy konspiratorów, z powrotem wciągając Geigiego do swojego man'chi i nastawiając go przeciwko Tabiniemu; taki ruch uczyniłby z budowanego

statku zakładnika wobec wszelakich żądań.

Tabini wolał nie prowokować przerażenia. W atewskich kategoriach jedynie głupiec denerwuje swoich wrogów; a o wiele większy głupiec straszy swych potencjalnych sprzymierzeńców.

Tabini rzadko uciekał się do tak radykalnych kroków jak zabójstwo, woląc w pewnych sytuacjach zostawić władzę starym i dobrze znanym wicherzycielom, niż wynieść na wyżyny ich nie znanych następców, którzy mogliby knuć Bóg wie co, a on nie miałby takich dobrych i szczegółowych sprawozdań. Ta skłonność Tabiniego do zostawiania spraw własnemu biegowi, jeśli otrzymywał w zamian porządne informacje, powinna źle wpływać na sen pani Direiso.

Oznaczało to bowiem, że albo stało się coś na tyle poważnego, by przewyższyć ostatnie wykroczenia Saigimiego i uzasadnić jego usunięcie, albo, co nawet było możliwe - zabójstwo Saigimiego stanowiło po prostu ostrzeżenie dla Direiso, która była główną przeciwniczką Tabiniego.

Oczywiście, istniała możliwość, że prawdziwym celem była Direiso.

58

Bren jednak nie zdecydował się poruszyć tej kwestii z Geigim; a jeśli chodzi o Tano i Alginiego, to kiedy przy wsiadaniu do samochodu zadał im jedno ostrożne pytanie, które musiał zadać:

„Czy coś o tym wiecie, nadiin, i czy aiji dobrze się czuje?”

oznajmili, że nie znają sprawcy, lecz głosami pełnymi przekonania zapewnili paidhiego, że Tabini jest bezpieczny.

Zwykle byli bardziej pomocni.

A skoro już zaczął o tym myśleć - zaniehbując porządkowanie notatek, co należało do właściwych obowiązków paidhiego - wiadomość o śmierci Saigimiego sprawiała niesamowite wrażenie listu od nieobecnego...

...przyjaciela.

Oj, duże myślowe potknięcie.

Banichi był jednak niezmiennie Banichim, tak jak Jago była Jago - a przez część ostatniego roku oboje stanowili ochronę Brena, stając się najbliższymi mu atevimi. A wśród bardzo nielicznych Zabójców z Gildii, którym Tabini mógł powierzyć coś tak delikatnego, jak usunięcie pana o wysokiej pozycji w Patronacie, Banichi i jego partnerka z pewnością znajdowali się na szczycie listy.

Banichi i Jago, umieszczeni przez Brena w tym zakamarku serca, który u ludzi był miękki, ciepły i wrażliwy; oboje od kilku miesięcy wykonywali jakieś zadanie poza Shejidan i mimo pełnych niepokoju pytań Bren nie mógł ich zlokalizować.

Tano i Algini, także członkowie Gildii, zapewniali go przez całą zimę, że Banichi i Jago mają się dobrze i wciąż są czymś zajęci. Bren wysyłał do nich listy. Przynajmniej wierzył, że je wysyłano. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Niestety, ani Tano, ani Algini nie wiedzieli, czy Banichi i Jago wróca. Pytał ich o to za każdym razem, kiedy pojawiała się coś, co mogło mu dać choćby cień pretekstu do zadania tego pytania:

Banichi i Jago byli wyżsi rangą od Tano i Alginiego, a Bren

59

nigdy, przenigdy, nie chciałby, aby Tano i Algini zwątpili w jego uznanie dla nich, ale... myślał. Martwił się o tych dwoje.

Cholera! - tęsknił za nimi.

Nie było to uczciwe względem personelu, który miał bardzo mu oddanych i kompetentnych atevich, dających mu wszelkie wsparcie i ochronę, jakie tylko mogli mu dać atevi z ich Gildii, łącznie z listą krewnych Tano; jeden z nich kierował personelem biura paidhiego, a inni, pisarze w biurach rozrzuconych po kontynencie, przesyłali mu wiadomości za pośrednictwem Tano, którego klan wydawał się składać z płodnych, bardzo dobrych i przyzwoitych atevich.

I Algini - Boże! - Algini, który, pomijając jego długoletni związek ze swoim partnerem, wydawał się samotnikiem. Algini był nieugięty o wiele dłużej niż Tano i o wiele bardziej od niego sztywny, ale był spokojnym, zacnym ateva, potrafiącym rzucać nożem z niesamowitą dokładnością, i otrzymał kiedyś (jak napomknął Tano) dwa bardzo niedobre zadania, które przyniosły mu wielkie osobiste cierpienie; Tano powiedział, że pracując dla Gildii, zachowywał się tak spokojnie, iż jej władze na dwa lata

straciły go z oczu i uznały za zmarłego, aż dopiero Tano zwrócił im uwagę, że Algini stale bierze udział w głosowaniach i on, Tano, może ręczyć za jego tożsamość - przez dwa lata otrzymywali zadania jako partnerzy; to prośba aijiego o nich jako osobistych ochroniarzy wyciągnęła na światło dzienne informację, że Algini został wpisany na listę zmarłych. Algini, podobnie jak Tano, uważał to za świetny żart, ale paidhi rozumiał, że nigdy nie wy dostał się on poza tajne ściany ich Gildii i stanowił rzecz dla niej bardzo krępującą, a także nigdy nie przeznaczoną do ujawnienia.

Świadczyło to również o tym, jak Algini doskonale potrafił się kamuflować. Dopiero po roku spędzonym z tym ateva Brenowi udało się w końcu doprowadzić do sytuacji, w której Algini rozpiął kurtkę, swobodnie położył nogi na stole i uśmiechnął się -

60

zresztą dość nieśmiało - po tym, jak usłyszał jakąś niefrasobliwą uwagę Tano.

Teraz Algini stał, w mundurze zapiętym pod szyję, na przedzie kabiny. Rozmawiał z Tano, a młodszy personel trzymał się nieco dalej; nikt nie kwapił się do udzielania informacji Brenowi. Paidhi przypuszczał, że najpierw jego personel usiłuje zebrać dokładne sprawozdania o sytuacji w Marid - być może nadchodziły raporty z różnych innych newralgicznych miejsc i trzeba było przekazać je dalej; jeden z nich mógł nawet mówić o napiętej atmosferze w

stolicy. Były chwile, kiedy można było rozmawiać z własną ochroną, oraz chwile, kiedy należało schodzić jej z drogi i pozwolić pracować.

A Bren miał notatki, które powinien przejrzeć; miał zadanie do wykonania. Może właśnie ktoś traci życie. Może...

Nie, do diabła, nic nie może na to poradzić. A oni nie potrzebują jego rady. Na tyle długo przebywa! na kontynencie, by pewne rzeczy wiedzieć i rozumieć, że atewski styl postępowania stanowi część szerszych działań, w efekcie których nikt nie ginął.

Jednak jakiś czas temu podjął decyzję, że nigdy nie zaaklimatyzuje się aż tak, by nie myśleć o pewnych sprawach.

Wciąż musiał się nimi gnębić. Było to konieczne w jego pracy: miał tłumaczyć, a nie wtapiać się w kulturę, i bez względu na to, jak bardzo go emocjonalnie kusiło, by przekląć Saigimiego za porządnych atevich, którzy przez niego zginęli, Bren musiał pamiętać, że nie ma pojęcia o przyczynie, a w każdym razie nie na najgłębszym, instynktownym poziomie, na którym Atevi wiedzą, co sobie nawzajem robią. Musi trzymać się od tego z daleka.

Kiedy samolot osiągnął odpowiedni pułap, paidhi włączył komputer i wywołał pliki słownikowe, zawierające setki takich nie wyjaśnionych rozróżnień jak man'chi.

Lojalność to nie man'chi; man'chi nie jest lojalnością.

Man'chi odpowiadało porządkowi wszechświata, harmonii, która w jakiś nieokreślony sposób dyktowała man'chi - a zarazem go

nie dyktowała.

Man'chi, jak się dowiedział, jest sprawą emocji. Patronat logiki. A po to, by dojść, jak postrzega je jakiś inny ateva, atevi stali się niezrównanymi matematykami. Ateva wciąż dodawał liczby związane ze swoim życiem, a co bardziej tradycyjne szkoły filozoficzne dosłownie wierzyły, że data jego narodzin i pomyślne czy niepomyślne liczby związane z jego najbliższymi towarzyszami czy też kwiatami w bukietcie mają znaczenie dla harmonii kosmosu i kierują posunięciami tego atevy. Logiczne. Tabini podchodził do takich spraw sceptycznie i konsekwentnie drwił z purystów. Tabini mawiał, na wpół żartobliwie, że Saigimi nie dodał swoich liczb prawidłowo i nie wiedział, jaką sumę miał na myśli aiji.

Dla człowieka najlepiej jest trzymać się w możliwym do przewidzenia samym środku man'chi, związanego z bardzo potężnym ateva, słuchać swoich ochroniarzy i nigdy, ale to nigdy nie zadawać się z nie zaaprobowanymi osobami.

Deana Hanks rozpoczęła kadencję od takich właśnie kontaktów i teraz miała na swoich rękach więcej krwi, niż kiedykolwiek będzie w stanie to zrozumieć. Na przykład Saigimiego. Kręgi rozchodzące się od kamienia, który tak lekkomyślnie wrzuciła do wody w poszukiwaniu atevich, mających zdanie przeciwne do zdania aijiego (czyli wszystkich

dysydentów, jakich mogła znaleźć), połączyły ze sobą atevich, którzy mogli wcale nie chcieć wchodzić we wzajemne patronaty.

Właściwie Saigimiego mogła zabić Hanks.

To znaczy w ludzkim rozumieniu odpowiedzialności.

Atevi po prostu powiedzieliby, że wprowadziła do sytuacji

Saigimiego niepomyślne liczby, a Saigimi cały czas je pogarszał.

- Soku owocowego, nand' paidhi? - zapytał najmłodszy z

ochroniarzy i Bren wynurzył się z elektronicznego morza danych,

by przyjąć proponowany napój.

62

Z Półwyspu do Shejidan leciało się jakieś dwie godziny,

biorąc pod uwagę okreśną trasę, dzięki której wyglądało, jakby

ten szczególny samolot przylatywał na lotnisko w Shejidan ze

wschodu, a nie z zachodu. Trasa nie była o wiele dłuższa, ale

samolot skręcił jakieś pół godziny wcześniej, co dość dokładnie

powiedziało Brenowi, gdzie są.

Bał się, że z powodu tego zabójstwa na południu spotka się z

opóźnieniami stworzonymi przez ochronę. Prawie żałował, że nie

proponuje mu się czegoś więcej niż sok owocowy, ale będzie

musiał poczekać na jedzenie, aż znajdzie się na bezpiecznym

terenie - byli w trzech miastach i zrobili cztery kurtuazyjne

przystanki, nie przyjmując zaaprobowanych przez ochronę

posiłków, przekraczali granice dzielące obszary, na których

odpowiednie dla tej pory roku mięso nieco się różniło od

wymaganego. Były to jedne z drobiazgów nie mających znaczenia dla przeciętnego atevy, ale musiały mieć znaczenie na pokładzie prywatnego samolotu aijiego, i Bren naprawdę nie sądził, żeby mógł przełknąć kolejną sałatkę rybną czy kanapkę z sałatką jajeczną - dania, które prawie zawsze były „kabiui” i które prawie zawsze stanowiły deskę ratunku dla wszystkich samolotów mających problemy z ochroną oraz dużo sezonowych stref do przekroczenia.

Kanapki wydawały się zupełnie dobre - przez pierwsze trzy dni.

- Są jakieś wiadomości? - zapytał Bren strażnika, mając na myśli zabójstwo Saigimiego, o którym na pewno wiedzieli już wszyscy w całym kraju po obejrzeniu telewizji, a strażnik odpowiedział:

- Mam zapytać, nand' paidhi?

Bren domyślił się, że są już oficjalne informacje i że młody rangą strażnik nie zamierza zaspokoić poważnej potrzeby paidhiego swoją ograniczoną wiedzą: tym pytaniem młody rangą strażnik proponował, że o pytaniu paidhiego poinformuje swojego

63

przełożonego.

- Proszę - powiedział Bren i zanim zdążył przełknąć drugi łyk soku, na siedzenie naprzeciwko niego wsunął się Tano.

- Za twoim pozwoleniem, nand' paidhi, sytuacja w Bu-javid

jest normalna, a w samej stolicy panuje spokój. Myśleliśmy, żeby przewieźć cię do Taiben, ale chyba nie ma takiej potrzeby. Jeśli się zgodzisz, polecimy na lotnisko.

- A co ty myślisz, Tano-ji? - Nie zamierzał kwestionować kroków podejmowanych przez ochronę. - Twojemu osądowi ufam całkowicie.

- Uważam, że powinniśmy wylądować jak najszybciej, nand' paidhi. Mam zapewnienia, że otrzymamy bardzo odpowiednią ochronę, a im bardziej będziemy zwlekać, tym trudniej będzie ją zagwarantować, przynajmniej przez następne kilka godzin.

Bardziej prawdopodobna jest radość niż sprzeciw wobec tego wydarzenia, podobnie, jak rozumiem, w prowincji Sarini; a to zniechęci głupców do nie zgłoszonych działań odwetowych.

Zawodowcy wciąż jednak mogą działać w ramach legalnego kontraktu przeciwko osobom innym niż ty, nand' paidhi, zalecałbym więc ostrożność.

- Jestem pewien. - W obecności personelu Tano i Alginiego sprawy były przedstawione sztywno i formalnie; w innej sytuacji Bren zaprosiłby obu, żeby usiedli, napili się z nim i powiedzieli, co się dzieje naprawdę. Samolot leciał spokojnie w przestrzeni między zajęтым przez ludzi niebem i niespokojną atewską ziemią. A jego ochrona, licencjonowani Zabójcy z Gildii, oznajmili, że można bezpiecznie wylądować na stołecznym lotnisku, choć było parę drobiazgów, które ich martwiły. To właśnie usłyszał Bren w

wypowiedzi Tano: wiedział, że istnieje zagrożenie nie skierowane bezpośrednio na paidhiego, lecz któremu być może będzie musiał stawić czoło. Członkowie Gildii na kontrakcie u Saigimiego byli zawodowcami, którzy nie narażaliby życia swojego lub kolegów w straconej sprawie, ale w samym klanie i wokół niego zaczęły się

64

zabiegi o władzę. Echa wstrząsu nie umilkną jeszcze przez jakiś czas.

Zawierzyć tym dwóm i opuścić Geigiego, który zawdzięczał ocalenie Brenowi? Całkowicie. Man'chi Tano i Alginiego było związane z Tabinim i jeśli Tabini zapragnąłby kiedyś jego śmierci, to zajęliby się tym właśnie oni. Jeśli Tabini zechce utrzymać go przy życiu, to ci dwaj bez namysłu osłonią go własnymi ciałami.

Man'chi było bardzo prostą rzeczą, dopóki nie weszło się na grząski grunt między posiadłościami, gdzie man'chi Geigiego stawało się zbyt niewyraźne, by zawierzyć mu podczas takiego kryzysu. Man'chi wznosiło się ku przywódcy, lecz nie rozchodziło się od niego. To był instynkt. Matematyka w atewskim stylu. I ci dwaj poradzili Brenowi, żeby poruszał się szybko i nie zbaczał z wyznaczonej drogi.

Zebrał i poskładał papiery, po czym wyłączył komputer, a Tano wstał, żeby wydać jakieś polecenia dotyczące lądowania. Samolot przechylił się ostro i zanurkował, rzucając dostojnych atevich na fotele. Bren zacisnął palce na gładkiej, plastikowej

obudowie swego cennego komputera, który zaczął nieubłaganie wysuwać mu się z rąk, celując w okno.

Szklanka z sokiem trafiła w to samo okno i ścianę, tworząc na nich pomarańczowe paciorki.

Samolot wyrównał lot.

- Nand' paidhi - odezwał się drugi pilot przez głośniki -

wybacz nam. Na naszym kursie pojawiła się jakaś awionetka.

Tano, Algini i reszta personelu gramolili się z podłogi.

Najmłodszy ateva, Audiri, natychmiast podszedł ze ściereczką, podniósł szklankę i wytarł rozlany sok owocowy.

Bren nie wypuścił komputera. Bolały go palce. Jego serce nie miało czasu, by przyśpieszyć rytm uderzeń. Teraz, ponieważ, zastanawiało się, czy jest do tego uprawnione, ale świadomy umysł poradził mu, żeby sobie odpuściło, że jest na to o wiele za

65

późno.

- Nadiin - powiedział Algini do załogi przez interkom -

zechciejcie określić, dokąd leci ta awionetka, i poinformujcie kontrole ruchu powietrznego, że personel aijiego żąda nazwisk i znaków rozpoznawczych samolotu zamieszanego w te sprawę.

- To pewnie nic wielkiego - mruknął Bren, oddając cenny

komputer pod opiekę Tano. System kontroli ruchu powietrznego

był stosunkowo nowy. Samoloty nie. Pewne osoby uważały się za

zwolnione z obowiązku przestrzegania przepisów KRP.

Jeśli któregoś dnia pewne osoby wyznania absolutystycznego zgodnie z wyznawaną przez siebie numerologią uznawały, że system podał im niepomysłne liczby, to samowolnie zmieniały te liczby, a wraz z nimi kurs, pułap czy też godzinę przylotu, by na ich ważne interesy w stolicy spłynęło lepsze błogosławieństwo losu.

A to zabójstwo na południu na pewno zmieniało jakieś liczby.

Tabini i władze KRP toczyły tę bitwę od lat, szczególnie starając się wpoić fakty wynikające z fizyki panom przyzwyczajonym do bezkarności. Istniało prawo. Istniały przepisy KRP. Istniało wyraźne niezadowolenie aijiego z powodu takich wykroczeń oraz słynny przykład katastrofy nad mostem Weinathi, stanowiący opowieść ku przestrodze.

Tego dnia ochrona bardzo starannie skierowała prywatny samolot aijiego na tor lotu zwykle używany przez wolniej poruszające się samoloty pasażerskie... dla bezpieczeństwa paidhiego.

Jego ochrona, co zrozumiałe, zaniepokoiła się tym incydem. Bez względu jednak na to, jak blisko znalazła się awionetka, niebezpieczeństwo minęło. Samolot skorygował pozycję, delikatnie zmniejszył pułap i kontynuował podejście do lądowania.

Tano i Algini usiedli naprzeciwko Brena i zapięli pasy.

- Prawdopodobnie to ktoś inny, też zaniepokojony sprawą

Saigimiego - powiedział Bren. - I podobnie jak my podejmuje środki ostrożności co do trasy. Albo swoich liczb. Wątpię, żeby to było celowe.

- Aiji nie chce cię narażać na żadne ryzyko, nadi Bren - odparł Tano.

- Jestem tego pewien, Tano.

W oknie pokazał się za mgiełką łańcuch gór Bergid, wciąż pokrytych śniegiem, stanowiących kontynentalny dział wód.

Pokazał się las, błękitnozielony i podobnie zamglony - tę mgiełkę tworzyły jednak zarodniki i pyłek. Na nizinach wiosna wybuchnęła kwiatami i nie kończące się lasy atewskich rezerwatów myśliwskich rozmnażały się z dzikim zapamiętaniem, podobnie jak żyjące w tej mgiełce stworzenia.

Wyraźnie widać było pola, niewielki rolniczy obszar, który nie został zabudowany i rozciągał się wokół Shejidan. A stoków wzgórz trzymały się uparcie uprawiane działki - zawsze ogrody: atevi Ragi z entuzjazmem kopali i sadzili, nie wzdragali się przed tym nawet arystokraci. Ogrody, ale żadnych zwierząt na rzeź: atevi uważali, że jedzenie oswojonych zwierząt jest okrutne i niecywilizowane.

Następnie pojawiła się geometria dachów pokrytych dachówkami, rozmieszczonych w liczbowo znaczących rzędach w górę i w dół wzgórz - małe dachy, większe dachy, a potem

skupisko hoteli i nowoczesnych budynków, które jak najciaśniej przywarły do ośrodka rządowego, starożytnego Bu-javid - rezydencji aijiego.

Samolot przechylił się, skręcił i wyrównał, podchodząc do lądowania nad płaskimi dachami kompleksu przemysłowego, który wyrósł wokół lotniska.

Jeden z tych zakładów to Zakłady Kosmiczne Patinandi: ten duży budynek był, jak Bren dobrze wiedział, zakładem

67

remontowym. Aiji rozdzielił profity płynące z przemysłu kosmicznego po wszystkich prowincjach, a pęd do znalezienia się w kosmosie spowodował w tym roku zmiany, których nie da się już powstrzymać. Nigdy.

Powstał nowy zakład produkcji komputerów, a atewscy projektanci byli w pełni zdolni do wprowadzenia zasadniczych poprawek do tego, co ludzie długo uważali za jedną z ostatnich tajemnic, która miała wpasować atewskie społeczeństwo w coraz bardziej zrozumiały szablon.

Ale niekoniecznie.

Płyty lotniska coraz szybciej migały pod skrzydłami.

Koła dotknęły betonu, piskiem oznajmiając przybycie samolotu.

Paidhi-aiji był w domu. W domu. Koniec podróży. Shejidan.

Słyszając uderzenia kół o spojenia płyt i słabnący szum

silników, znów czując rzeczywistość gruntu pod sobą, Bren odetchnął swobodniej i uświadomił sobie, że jest, po pierwsze, w najbezpieczniejszym dla siebie miejscu na świecie, a po drugie, wśród osób najbardziej na świecie zainteresowanych jego dobrem. Może to złudzenie, ale Bren zrozumiał, że jest tu bezpieczny jak nigdzie indziej.

68

Rozdział 4

Przejazd furgonetką do znajdującej się na lotnisku stacji podziemnej kolei odbył się na szczęście bez wylewnych powitań, obecności mediów czy oficjalnego śledztwa. Paidhi-aiji wrócił do domu. Paidhi-aiji oraz jego bagaż tym razem jednocześnie znaleźli się we właściwym wagonie, który bez przeszkód ruszył do Bu-javid leżącego na wyniosłym, historycznym wzgórzu na obrzeżach Shejidan.

A potem, kiedy Bren odpoczywał w luksusie aksamitnych wspaniałości, przez odbiornik radiowy jego ochrony nadeszła prośba władz lotniska o rozmowę z pilotem i drugim pilotem aijiego oraz informacja o tożsamości pilota zbłąkanej awionetki: był to syn pana wyspy Dur, niejaki Rejiri z rodu Niliini z Dur-wajran; jego powiązania miały zostać z rozkazu Tano i Alginiego zbadane przez pewne ponure i tajne agencje, zetknięcia z którymi panowie Dur-wajran, niech Bóg ma ich w opiece, prawdopodobnie się nie spodziewali w najśmielszych

wyobrażeniach.

Zapewne właściciel takiego prywatnego samolotu jest zamożny. Zapewne na małej wyspie Dur pilot prawdopodobnie jedyne samolotu na wyspie Dur nigdy nie spotkał w powietrzu innych obiektów latających.

Lecz jako wypadek czy prawie wypadek nie była to sprawa paidniego. Ktoś inny musiał wyjaśnić synowi pana przepisy ruchu

69

powietrznego. Pijąc sok owocowy, Bren oparł się wygodnie o miękkie czerwone poduszki w prywatnym wagonie podziemnej kolei Tabiniego. Był przekonany, że tym razem płyn nie opuści szklanki. Ostatni łyk wypił dokładnie w chwili przybycia na stację.

Wychodząc z wagonu, pozwolił któremuś z młodszych rangą ochroniarzy nieść komputer. Innym, bardzo początkującym, dał do niesienia bagaże, a urzędnik biurowy, Surie-ji, zajął się dużym plikiem notatek na papierze. Tano i Alginiemu zostawił szczegóły przeprowadzenia go wraz z jego świtą przez wyłożoną betonem i kafelkami, doskonale strzeżoną stację Bu-javid. Nad tą rozbrzmiewającą echem jaskinią mieścił się cały aparat rządowy oraz sezonowe rezydencje różnych panów t Bren zupełnie spokojnie szedł do windy, która miała zawieźć jego, Tano i Alginiego na trzecie piętro owych rezydencji.

Jego apartament, wypożyczony od Atigeinich, sąsiedował z

rezydencją Tabiniego i Bren nie mógł narzekać na bezpieczeństwo czy wygodę, ale wchodzenie i wychodzenie zmuszało go do kontaktów z uzbrojonymi strażnikami wysokiej rangi. Nie było mowy, żeby zapomniał zabrać czegoś z biura i sam po to biegiem wracał.

Zresztą czasy, kiedy mógł gdzieś chodzić bez ochrony, i tak już dawno minęły.

- Tabini-aiji pragnie się osobiście z tobą zobaczyć - poinformował go Algini, gdy tylko uruchomili windę; niewątpliwie ta informacja została mu przekazana za pomocą urządzenia umieszczonego w uchu. - Ale nand' Eidi mówi, że aiji w tej chwili jest zajęty przyjmowaniem raportów. Mówi, że możesz polegać na jego słowie, iż aiji, wbrew swoim oczekiwaniom, będzie zajęty cały wieczór i że Eidi-nai weźmie odpowiedzialność za tę informację. Ma nadzieję, że paidhi wygodnie odpocznie, prawdopodobnie całą noc, chociaż ja sam nigdy bym czegoś takiego nie obiecywał. Aiji robi to, co się

70

aijiemu podoba.

Eidi był przełożonym domowego personelu Tabiniego, starszym dżentelmenem, którego dobrą wolę mądrze było podtrzymać, a prywatnych rad słuchać.

- Zapewniam cię, nadi-ji, że nie będę żałował całonocnego odpoczynku. - Incydent z zabłąkaną awionetką zużył cały zapas

adrenaliny Brena. Paidhi czuł się wyczerpany i spokojna kolacja oraz noc przespana w znajomym łóżku, przed zajęciem się jakimikolwiek sprawami politycznymi, a szczególnie dalekosięzną polityką kłującą się teraz w rezydencji aijiego, były bardzo mile widziane. Żałował tych jednodniowych wakacji, na które nie mógł sobie pozwolić, ale teraz zastanawiał się, skąd wzięłby energię do pływania łodzią, nie mówiąc już o złowieniu ryby rekordowych rozmiarów.

Zastanawiał się też nad bardziej znajomymi sprawami, a mianowicie, co pod jego nieobecność robił Jason Graham i jak mu się wiodło, kiedy został sam z personelem mówiącym jedynie w ragi.

Był ciekaw, czy robotnicy naprawiający historyczne lilie Atigeinich w pokoju śniadaniowym (które padły ofiarą incydentu) już wszystko odmalowali. Chcieli to zrobić podczas zapowiadanej - dokładnie, jak się okazało - dobrej pogody; Bren śledził prognozy pogody, co było pretekstem do utrzymywania kontaktów z Shejidan.

Wyobrażał sobie dachy Shejidan pokryte dachówkami - w promieniach słońca i o zmroku; ochrona mogła mu zmieniać widoki, przenosząc to tu, to tam po Bu-javid, i Bren wiedział, że pewnego dnia klan Atigeinich, będący właścicielem apartamentu, z którego korzystał, będzie musiał go odzyskać, ale na razie był to jego dom; a prognoza pogody w telewizji w pokoju hotelowym

stanowiła łącznik z tym miejscem i z tym, co się stało jego domem.

Teraz cieszył się, że wrócił. Jeżeli istniało jakieś okablowanie,

71

wspólne dla atevich i ludzi, leniwie pomyślał Bren, czując, jak spowalnia się bieg jego myśli, to musi to być ta instynktowna potrzeba posiadania stałego miejsca, do którego można wrócić.

Odczuł dogłębną ulgę, kiedy wyszli we trzech z windy w najlepiej strzeżone miejsce w Bu-javid; znajomy korytarz był obstawiony ekstrawaganckimi porcelanowymi bukietami w szklanych gablotach, a marmurowa podłoga wyciszona szerokim, ręcznie tkanym, złocistym chodnikiem w skomplikowane wzory.

Dotarli do drzwi apartamentu znajdujących się niedaleko

windy, którą miała przyjechać reszta personelu oraz bagaże.

Zamiast skorzystać z klucza, który Tano na pewno miał, ateva spokojnie zadzwonił.

Drzwi windy znów się otworzyły. Przyjechały bagaże.

Otworzyły się także drzwi, przed którymi stali. Człowiek miał głęboką nadzieję, że śmiercionośne urządzenia zostały wyłączone

- stąd ta drobna zwłoka. Wpuściła ich służąca, po czym pojawiło

się pół tuzina innych służących (w tym domu cała służba składała

się z kobiet; była to siedziba pani Damiri, zanim ateva zgorszyła

cały klan Atigeinich, przeprowadzając się do sąsiedniej rezydencji

i oficjalnie zamieszkując z Tabinim), by zaopiekować się paidhim,

jego kaftanem i bagażami.

- Nand' paidhi. - Saidin, ochmistrzyńni pani Damiri, wyszła z wewnętrznych korytarzy, by powitać ich w foyer. Była dystygowaną i łagodną przełożoną personelu, która bardzo poważnie traktowała wygodę i bezpieczeństwo swego ludzkiego gościa - i która zapewne regularnie składała pani Damiri sprawozdania. - Ateva bardzo się cieszy, że dotarłeś tu bezpiecznie, nand' paidhi.

- Dziękuję. - Założyłby się o każdą sumę ze swojej niemożliwej do odebrania pensji, że Saidin została dokładnie poinformowana o przyczynie trochę wcześniejszego przyjazdu, a może nawet o tym powietrznym incydencie; wiedział też z doświadczenia, że wszystko, czego sobie zażyczy, pojawi się jak

72

za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Kąpiel i kolacja. Czy prawidłowo wyczuwamy twoje życzenia?

- Bardzo prawidłowo, nand' Saidin.

Był głodny i zupełnie nie miał ochoty zająć się koszykiem z wiadomościami, tkwiącym na ozdobnym stoliku przy drzwiach wejściowych, ale widział tam sporo czekających tutek. Teraz do jego apartamentu trafiały tylko te sprawy, których personel biurowy nie potrafił załatwić bez pomocy Brena. Wiadomości było sporo, około dwudziestu, większość w metalowych tutkach;

lecz jedna z nich... jedna z nich została zapisana na luźnym welinowym zwoju, typowym dla telegramu przysłanego przez służbę telegraficzną. Mógł pochodzić z jakiegoś urzędu z drugiego końca kraju, z jakiegoś miejsca, które odwiedził Bren. Reszta może zaczekać. Wziął do ręki telegram, paznokciem kciuka złamał pieczęć i przejrzał treść, bo istniała możliwość, że nadała go Barb, która od dnia ślubu przysłała mu kilka wiadomości na temat plotek krążących po wyspie; mogła też go nadać jego matka; albo nawet oficjalne czynniki w Departamencie Spraw Zagranicznych.

To był telegram od jego brata. Od Toby'ego. Z datą sprzed dwóch dni.

„Mama jest w szpitalu. Prosiłem, żeby zamieszkała ze mną.

Jeśli mógłbyś jakoś na nią wpłynąć, bardzo byś pomógł. Mówi, że tam jest jej lekarz, i że nie wyjedzie z miasta. Później napiszę dłuższy list. Nie martw się, ale żeby namówić ją do przeprowadzki, będziemy chyba musieli trochę ponaciskać.

Potrzebne mi Twoje poparcie”.

Cholera, pomyślał. Właśnie tego trzeba ich matce. Nacisku.

Jasna cholera!

Bren pomyślał, że pewnie znieruchomiał, podczas gdy w ramach zwykłej procedury powinien wyjść z foyer i pozwolić

73

personelowi zająć się pracą dla niego. Stali tam wszyscy. Drzwi

były zamknięte. Rozległo się stukanie do drzwi.

- To zapewne bagaże, nadi - rzekł Tano i wyjrzał przez wizjer, by przed otwarciem drzwi mieć całkowitą pewność.

Bren włożył przesyłkę do kieszeni. Przypomniawszy sobie słowa z listu brata: „Później napiszę list”. Po dwakroć, do diabła! Nie sądził, żeby następnym razem Toby miał coś przyjemnego do powiedzenia. Toby nigdy nie wypowiedział na głos swoich zarzutów: „Pomóż mi, wróć do domu, bracie, przemów do rozsądku rządowi - nie postępujesz z nami uczciwie. Nie jest uczciwe to, co robisz matce”.

Nie mógł wrócić do domu i załatwić spraw za swego młodszego brata. Nie było na to żadnego sposobu.

A ich matka od pewnego czasu obrywa za ten kryzys. Może tym razem lekarze w końcu ją przycisną i zmuszą do przyjmowania lekarstw oraz przestrzegania diety.

Telefony o trzeciej nad ranem nie pomagały. Nie pomagała świadomość tego, że ktoś śledzi jej wnuki po drodze do szkoły.

Bren nie był pewien, czy posłużyłaby jej przeprowadzka na północne wybrzeże, gdzie policja i firma telefoniczna wydawały się ignorować skargi Toby'ego, z przyczyn, jak obawiał się Bren, politycznych.

Cholera, cholera i jeszcze raz cholera! Był w dobrym nastroju, dopóki nie trafił na to - nie pierwszy raz zdrowie ich matki stanowiło powód do troski. To nawet nie była żadna zapaść, tylko

stała sytuacja. Ich matka znalazła się w szpitalu po raz pierwszy, ale lekarz cały czas mówił, że jeśli nie zażyje odpoczynku i nie poprawi trybu życia, to będzie musiała tam zostać i na swój sposób była to prawdopodobnie dobra wiadomość. Trzeba było ją uspokoić, zmusić do przyhamowania, żeby nie wrzeszczała na głupców, którzy dzwonili o trzeciej nad ranem - to ich tylko jeszcze bardziej prowokowało.

74

I, na litość boską, matka musi przestać dyskutować z dziennikarzami. Toby kiedyś powiedział Brenowi, że zadzwoniła do ogólnokrajowego programu i oskarżyła przewodniczącego Stowarzyszenia Ludzkiego Dziedzictwa o nękanie jej sprośnymi telefonami.

A potem powiedziała, wciąż będąc na antenie, że nie podoba się jej to, iż jej syn mieszka na kontynencie z bandą bezbożnych obcych.

Bren nie miał pojęcia, co ma z tym zrobić. Naprawdę nie miał pojęcia. Pisał do niej listy. Otrzymał jedną odpowiedź pełną wściekłości. Napisała, że niszczy życie swojemu bratu.

Służące otworzyły drzwi: pojawiła się reszta bagażu, tworząc sporą stertę. Najwyraźniej czekano, żeby wszystko zebrało się na zewnątrz, i dopiero wtedy ochroniarze zajmujący się bagażem poprosili o otwarcie drzwi apartamentu. Pokojówki mężnie chwyciły walizy i zabrały je z foyer, żeby zająć się brudną

bielizną i rozpakowywaniem. Tymczasem ochrona Brena otrzymywała i przekazywała informacje przez własne kieszonkowe komunikatory oraz silniejsze urządzenia posterunku ochrony znajdującego się tuż obok foyer, gdzie skupiło się kilkoro członków Gildii w czarnych mundurach.

Madam Saidin, przełożona domowego personelu, wciąż czekała.

Bren spodziewał się, że na spotkanie wyjdzie mu jeszcze jedna osoba, i stał, nieco oszołomiony i zmaltretowany, patrząc w kierunku pustego korytarza, prowadzącego do prywatnych pokoi.

- Gdzie jest Jason? - zapytał Saidin. Jase był nieśmiały, wciąż miał kłopoty z biegłością w mowie i dlatego z zasady unikał zgromadzeń służby, ale Bren spodziewał się, że Jase przynajmniej pojawi się w tym korytarzu. Przemieszczanie dużej ilości bagażu musiało dać mu do zrozumienia, że Bren wrócił wcześniej.

- Ubiera się, jak sędzę, nand' paidhi.

75

Ubiera się? Ubiera się o tej porze. To było bardzo dziwne u Jasona, który miał bardzo dokładny rozkład dnia i zawsze co rano kąpał się dokładnie o tej samej porze, podobnie jak zawsze o tej samej porze żądał śniadania.

Co więcej, w odpowiedzi Saidin Bren wyczuł wahanie.

Zachorował? - prawie zapytał ją Bren. Może uczył się do późna?

Gdyby zadał to pytanie, mógłby uzyskać odpowiedź.

Przed prysznicem?

Przed kolacją?

Nie - do diabła! - nie zapyta. Mieli umowę. Dzień zaczynał się według rozkładu Jase'a, jak w zegarku. Dzień kończył się według rozkładu Brena, jeśli udało mu się znaleźć czas na jedzenie. Jase pojawi się na kolacji. Cokolwiek wytrąciło Jase'a z jego drobiazgowego rozkładu dnia, Bren na pewno usłyszy wszystkie szczegóły. Ufał Jase'owi, że jeśli foyer wygląda na nietknięte, a służące wciąż żyją, to nie wydarzyła się żadna katastrofa. Ufał Saidin, że jeśli byłoby to coś oburzającego lub uwłaczającego godności Atigeinich, usłyszałby o wiele wyraźniejszą aluzję.

Z doświadczenia Brena wynikało, że gorąca woda w rezydencji Atigeinich jest niewyczerpana. Siła strumienia, tryskającego z sitka umieszczonego na wysokości odpowiedniej dla atevich, mogła utopić człowieka i po całodziennym przemierzaniu w górę i w dół stromych schodów dopasowanych do atewskiego wzrostu oraz po spryskaniu lepkiem sokiem owocowym na wysokości pięciu tysięcy metrów Bren chciał się wtopić w ścianę kabiny prysznica i stać bez ruchu w tym jednym z nielicznych miejsc, gdzie był w pełni, całkowicie sam. Wraz z powietrzem wdychał mieszankę kropelek wody i podstawał pod uderzenia natrysku węzły mięśni karku, które zapomniał rozluźnić.

Wierzył Tano i Alginiemu. Podczas tego wyjazdu bez najmniejszego wahania oddał się w ich ręce.

Kiedy jednak nieplanowe samoloty zakłócały mu lot, stawał się trochę niespokojny. Prawdopodobnie było dokładnie tak, jak mówiła ochrona - incydent spowodował pilot z wyspy nieobeznany z koncepcją ruchu powietrznego, a co dopiero z jego kontrolą. Syn pana Dur nie był prawdopodobnym bywalcem, a już na pewno nie spiskowcem z wyższych sfer.

Bren zamknął oczy i znów się tam znalazł, na tym samym fotelu, w którym spędził tyle godzin podczas tej ostatniej, długiej, meandrującej wyprawy. Prawie czuł pod palcami chłodną powierzchnię szklanki z sokiem, będącej przeciwieństwem gorącej wody tryskającej na niego prysznicą.

Gdyby zechciał, znów mógłby ujrzeć przez okno samolotu rozległe, obfitujące w minerały południe, prowincję Talidi rozciągającą się tuż za koniuszkiem skrzydła, zamglone błękitnozielone trawiaste wzgórza, świeżą zieleń wiosny, dobrze już zdomowionej na południu, i chmury pyłku.

Prowincja Talidi i Tasigin Marid.

Nie winił atevich, że od czasu do czasu zadawali sobie pytanie, co paidhi-aiji albo ich szanowany aijsi planuje wobec narodu, skoro wyniósł paidhiego tak wysoko i teraz ma dwóch paidhiin mieszkających pod jednym dachem - kiedy cały Traktat

zasadzał się na nienaruszalnej koncepcji jednego paidhiego.

Niektórzy panowie z Patronatu Zachodniego żywili podejrzenia co do ludzkich motywów, jeszcze zanim pojawił się statek.

Jednocześnie według garstki atevich, prawdziwie oddanych teorii konspiracji, Tabini wiedział, że statek powróci, i był w zmwowie z ludzkim prezydentem na Mospheirze od dnia objęcia władzy: bardziej nieprawdopodobnej kombinacji człowiek nie mógł już sobie wyobrazić.

Jednak w świetle wydarzeń mijającego dnia wszystkie

77

elementy tego równania trzeba było rozważyć na nowo.

Nie, żeby po dzisiejszym upadku głównej postaci opozycji względem Tabiniego człowiek spodziewał się natychmiastowej kapitulacji: atewscy panowie nie byli tak szybcy albo na tyle pozbawieni poczucia przyzwoitości, by opuszczać byłych sprzymierzeńców. Mogli jednak z wdziękiem, i tak niepostrzeżenie, jak tylko się dało, przysunąć się bliżej centrum oraz Geigiego, który w ten sposób przeszedłby bardzo niebezpieczny okres swego wznoszenia się na wyżyny, ponieważ teraz sąsiedzi będą go sprawdzać. Wystawią na próbę spryt, finezję, zmyślność w interesach oraz jego godność osobistą.

Właściwie można było założyć, że sama Direiso bezpośrednio czy też pośrednio wystawi na próbę ochronę Geigiego.

Tego jednak nie trzeba było mówić żadnemu atewskiemu

panu.

A ponieważ po śmierci pana Tasigin Marid prowincja Talidi, w której leżały wioski Marid, miała teraz najlepszego klienta dla swoich wyrobów przemysłowych w prowincji pana Geigiego, fakt ten na pewno będzie stanowił zachętę dla protabiniistycznych dysydentów i robotniczych związków w prowincji Talidi, by zwrócili się ku Tabiniemu i władzy centralnej, a nie koalicji, która usiłowała sformować się w Marid.

Było to typowe dla polityki Tabiniego. Rzeka płynie sobie w jednym kierunku, a Tabini umieszcza ładunek, mający zmienić jej bieg, w miejscu tak niespodziewanym, że pływające w niej ryby są kompletnie zaskoczone.

Direiso w Dolinie Padi (nie należała ona do grona panów z Półwyspu) na pewno tego wieczoru podwaja ochronę, może jeszcze nawet nie wierząc, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdzie, jeśli szybko nie zmieni kursu: była sprytna i szybka - dlatego żyła. Była też pewna siebie, co oznaczało, że nie ma żadnego man'chi, że nie odczuwa żadnego man'chi, tak jak nie mają go i nie czują aijiin najwyższej rangi, i że nie popiera nikogo,

78

lecz sama przyciąga man'chi innych: to oznaczało, że jest niebezpieczna w sposób, do którego inni atevi nie są psychologicznie przygotowani.

Poplecznicy Direiso na pewno po jej śmierci podejmą jakieś

działania, dzieląc się na trudne do wyśledzenia, mniejsze patronaty i być może przyciągając innych, z powodu odmiennej natury związków między podpatronatami. To chroniło większych panów przed zabójstwami: jeśli się któregoś z nich zabije, to będzie się miało nie jeden duży problem, ale dwadzieścia mniejszych, trudniejszych do wyśledzenia.

Tabini też miał zagwarantowaną taką ochronę. I to w większym stopniu. Direiso jedynie myśli, że będzie potrafiła unosić się na falach wywołanych możliwym upadkiem Tabiniego. Był to czas, kiedy atevi, zagrożeni niebezpieczeństwem z nieba, zupełnie nie mogli sobie pozwolić na niezdecydowanie, a większość panów Patronatu Zachodniego wiedziała, że Tabini jest jedynym przywódcą chroniącym ich przed społecznym chaosem. Bren bardzo chciał, żeby sprawa Direiso została uregulowana. Nie wierzył żadnym składanym przez nią deklaracjom zmiany kierunku czy przekonań. Nawet jeśli atewskie emocje i polityka sprawiłyby, że takie zmiany były dla niej naturalnie instynktowne, to Bren i tak by w nie nie uwierzył. Nigdy jej nie spotkał, ale wiedział, że nie podoba mu się ani ona, ani żaden z jej zwolenników.

Kolejny psychologiczny znak ostrzegawczy. On nie czuje tego jako rzeczy naturalnej, on nie potrafi instynktownie ocenić, jakie działania są naturalne dla atevich, i po prostu nie może nie myśleć, jak bardzo w tej chwili chwiejna jest cała kwestia ludzkiego i

atewskiego przeżycia.

Stracić Tabiniego?

To byłaby krwawa łaźnia, jakiej świat nie widział.

Pozwolić, żeby konserwatyści na Mospheirze wyrwali się spod

79

kontroli?

Rezultat taki sam.

Bren był do głębi wstrząśnięty wydarzeniami tego dnia. W

końcu się do tego przyznał. Pędził w dół na łeb na szyję, skakał z

miejsca na miejsce, aż oznaczanie punktów, o które zahaczał po

drodze, przestało mieć jakikolwiek sens: one już nie istniały. Nie

można było wrócić do atewskiego państwa, które istniało dawno,

dawno temu. Nie można było układać się z rządem na

Mospheirze, który go wysłał. Ludzie, względem których był

lojalny, zostali właściwie pozbawieni władzy.

Ten samolot to był czysty, nie zapowiedziany, bezsensowny

wypadek. Prawie wypadek. Brenowi nic się nie stało. Podobnie

jak mocno skarconemu nastolatkowi.

Skóra na palcach Brena zaczęła się marszczyć. Czas wyjść

spod prysznic i znów pooddychać chłodniejszym powietrzem.

Dziś wieczorem odsunie od siebie wszystkie problemy. Kolacja

czeka. Bardzo dobra kolacja, przygotowana przez kucharkę, która

fachowo dostosowywała jadłospis do jego potrzeb.

Zakręcił kurek i wyszedł z łazienki; natychmiast został

owinięty grubym ręcznikiem. Był to jeden z luksusów posiadania służby, z którego był zadowolony; Bren wydał polecenie swemu kobiecemu personelowi, by zadanie to wykonywała jedna ze starszych, bardziej... hm... matczynych... kobiet.

Jednak kiedy przetarł oczy, zobaczył, że nie pokojówka narzuciła na niego ręcznik, ale uczynił to Tano, który kontynuował rolę osobistego służącego przyjętą na czas wyjazdu. Bren pomyślał, że powinien zrezygnować z jego usług: ateva tego dnia pracował dwa razy więcej niż zwykle.

Z drugiej strony, skoro to jest Tano, Bren może go zapytać...

Ale nie, do cholery, nie. Nie będzie pytał o treść czekających na jego powrót pozostałych wiadomości, które mogłyby się okazać katastrofami. Był w zasięgu radia i łączności ochrony, a

80

jego personel (czterdziestu siedmiu sekretarzy i doświadczony kierownik oddany takim problemom) wiedziałby, jak go zawiadomić, gdyby coś było nie w porządku, łącznie z telegramami w obcym języku, nie do przeczytania, czy telefonami. Wziął już z koszyka jedną bombę - wybrał ją właśnie dlatego, że był to telegram, a zatem sprawa pilna i świeża.

Nie mogło być więcej niespodzianek. Miła kolacja. Spokojny sen. Rutyna. Nie chciał niczego więcej. Rozbieranie zdań dla Jase'a. Spacer w ogrodach - pod odpowiednią ochroną.

Pozwolił Tano owinać się ogrzаныmi, grubymi ręcznikami -

był to ludzki nawyk nieszkodliwie rozprzestrzeniony wśród
atevich, chociaż niektórzy wciąż używali tradycyjnych
prześcieradeł. Włożył luźne, skrojone na ludzką miarę spodnie z
gumką w pasie, koszulę i krótki kaftan o szerokich rękawach,
odpowiedni do kameralnej kolacji w prywatnej jadalni. Wytarte
ręcznikiem, jeszcze lekko wilgotne włosy opadały mu na ramiona,
na co dżentelmen czy też dama mógł sobie pozwolić przy
zaufanym personelu.

W wyłożonym kafelkami przejściu, przy szeregu podobnych
kabin prysznicowych, pojawił się jakiś cień.

To był Jase, bez kaftana, w ciemnej koszuli. Włosy w ciągu
pół roku urosły mu ledwie na tyle, by można było je zapleść, i
choć były związane z tyłu, kosmyki wciąż spadały mu luźno na
twarz. Służące nie wypuściłyby go z pokoju bez kaftana. Chyba że
- niepokojąca myśl - Jase nie zwracał uwagi na służące.

- A, jesteś - powiedział radośnie Bren, usiłując ignorować
ponure spojrzenie Jase'a. - Człowiek zastanawiał się, gdzie się
podziewasz, nadi.

- Nie wiem, gdzie miałbym być. - Jase nie odezwał się w ragi.

Na jego twarzy nie malowała się radość. Było to jednak jakieś
powitanie. Chyba. - Jak podróż?

- W porządku - odparł Bren, upierając się przy ragi i radości.

Jase nie miał mówić w języku ludzi. Jase zgodził się na zasady,

według których uczył się on sam: żadnego mospheiranu. - A co u ciebie, nadi-ji?

- W porządku. - Jase przeszedł na ragi. - Słyszałem, że na Półwyspie były jakieś kłopoty.

- Saigimi. Tak. Nawiasem mówiąc, prawidłowy dobór rzeczowników. A więc słyszałeś.

- Nie za dużo - odparł Jase. - Ale personel się zmartwił.

- Ochrona trochę śpieszyła się z powrotem. Ale to nic poważnego. A ty, nadi-ji? Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

Wahanie. I słowa wypowiedziane w języku ludzi:

- Witaj w domu.

Witaj w domu.

Może powiedział to z lekką urazą. Z odrobiną ironii. Albo życzliwości. Bren nie miał pewności. Był to termin, który musieli omówić w mospheiranie. Jase nie rozumiał, jaki jest związek słowa „dom” z tą planetą, jednego z miriadów drobnych ludzkich pojęć, które jakoś nie wróciły spośród gwiazd nie zmienione. Dla Jase’a „dom” pierwotnie oznaczał świat „Dom” to Ziemia.

Podobnie „dom” to atewska gwiazda, której nie widział ani Jase, ani jego rodzice, i do której wrócili z miejsca, w którym spędzili ostatnie dwieście lat.

A cokolwiek miało znaczyć słowo „dom”, to dla Jase’a, który nigdy w życiu nie przebywał poza stalowym światem, w którym

się urodził - aż wszedł do maleńkiej kapsuły i runął w atmosferę tego świata - nie przedstawiało ono większej wartości.

- W domu, tak, nadi. - Bren osuszył ręcznikiem włosy, które, nie zaplecione, sięgały mu połowy pleców. Tano wciąż stał w łazience, wraz z dwiema służącymi. Jase doskonalił kontrolę nad tikami mięśni twarzy i tonem głosu podczas wypowiedzania

82

pewnych treści, ale tutaj nie było to właściwe. A może istniało jakieś inne wytłumaczenie? Jase miał humory. Bren był tego świadkiem. Nie miał jednak zamiaru zaatakować go jakimś wykładem. - Odpręż się. To tylko personel. Jest jakiś problem?

- Nie.

Wypowiedziane tym ciężkim tonem słowo oznaczało „Tak”.

Świetnie. Katastrofy. Bren je przewidział. W domu miał miejsce jakiś kryzys.

Nie musiało to jednak stanowić wstępu do kolacji. Cholera, nie chce o tym słyszeć przed kolacją. Chyba że poląła się krew.

- Czy to może zaczekać, aż zjemy kolację, nadi?

Jase nie odpowiedział. Stroił fochy. Było to skierowane przeciwko Brenowi.

Znajdował się w obecności atevich, tak służących, jak i ochrony. Znajdował się pod dachem wielmoży. Robił się zły - Jase potrafił go rozżłościć z ludzką precyzją, jakiej nie udawało się osiągnąć żadnemu atevie. Nie będzie się, do cholery, sprzeczał.

Postarał się mówić gładko, zachowując przyjemny wyraz twarzy.

- Dobrze, jeśli to nie może poczekać, chodźmy do biblioteki.

- Świetnie - odpowiedział Jase tym samym drewnianym głosem.

Bren poszedł przodem. Jase przemierzał spokojnie krótki, zakrzywiony korytarz prowadzący z łazienki do głównego holu i dalej do zacisza prywatnej biblioteki pani Damiri, w większości wypełnionej antycznymi, delikatnymi książkami.

Tano poszedł za nimi. Tano, niewzruszony w przekonaniu, że man'chi Jase'a jest związane z innym przywódcą, nie pozwalał Brenowi przebywać z nim sam na sam, a już na pewno nie wtedy, kiedy Jase tak się zachowywał. Było zupełnie możliwe, że wbrew różnicom gatunkowym Tano wyczuł niektóre z sygnałów

83

odbieranych przez Brena, wyczuł jego gniew oraz to, że w tej chwili paidhi nie ma cierpliwości do sytuacji, w której Jase prowokuje burzę w atewskiej szklance wody.

Kiedy Bren wszedł za Jasem do środka i zamknął drzwi, Tano zajął stanowisko na zewnątrz biblioteki.

- A więc o co chodzi? - zapytał Bren.

- Po prostu... - Jase wrócił do własnego języka. - Cholera, mógłbyś zadzwonić, to wszystko.

- Po co?

- Nieważne! Czekałem. Czekałem co wieczór. Nie mogłem

nawet zmusić tej cholernej ochrony, żeby mi powiedzieli, w jakim jesteś mieście!

Tano i Algini byli wyżsi stopniem od ochroniarzy, których zostawił do pilnowania Jase'a, ot co. Ale to był drobiazg. Nie to, co naprawdę gnębiło Jase'a. Zaczynał sprzeczki od odwracania uwagi - Bren już się tego nauczył. W porządku, pomyślał, może pozwolić na odwrócenie swojej uwagi, jeśli w tej chwili Jase chce poprowadzić rozmowę w tym kierunku; będą udawać, że rozmawiają, że dochodzą do jakiegoś wniosku, a prawdziwy problem zostawią sobie na deser.

Tymczasem Bren odezwał się w ragi:

- Ochrona to ochrona, Jasi-ji, a nie służba informacyjna. Nie przeklinaj w ich obecności. Oni znają to słowo. A ja cię przepraszam. Nie mogłem zadzwonić i, szczerze mówiąc, ryzykować tego, co powiedziałbyś, nie wiedząc, że zagrażasz mojemu bezpieczeństwu. Przepraszam. Ostrzegałem, że nie będzie można się ze mną skontaktować. Dzwoniłem do ciebie cztery dni temu...

- Żeby powiedzieć: „Cześć, u mnie wszystko w porządku, a u ciebie?”. Dzięki!

- Powiedziałem ci, że nie będę miał bezpiecznego telefonu, i

84

tak było. Dziś po południu w tej sytuacji ruch w eterze musiał być ograniczony do minimum. O co my się właściwie kłócimy? Czy

coś się stało?

W chwilach załamania słowa nie przychodziły łatwo i paidhi-
aiji wiedział, tak, u diabła, wiedział o tym i spodziewał się tego.
Jase, zbyt zdenerwowany, by znaleźć jakiegokolwiek słowo w ragi
czy w innym języku, nie był w tej chwili w stanie nic powiedzieć -
a sam Bren, mimo całych lat studiów, też to przechodził, te chwile
czystej dezorientacji na styku dwóch kultur. Dowództwo statku
nie miało pojęcia, w co pakuje Jase'a, wysyłając go bez szkolenia,
które powinno trwać latami, bez bezlitosnego procesu selekcji na
uniwersytecie, odsiewającego kandydatów mających choćby
najmniejsze kłopoty z panowaniem nad sobą, a Jase czynił
heroiczne wysiłki, by opanować złość - starał się tak bardzo, że
atevi zaczęli sobie zdawać sprawę, iż pod tym dachem przebywają
dwie bardzo odmienne osobowości, i czasami to komentowali.

„Jasi-ji - powiedziała kiedyś madam Saidin do Brena - jest
nieco bardziej pobudliwy, prawda, nand' paidhi? Czy to słuszne
spostrzeżenie? A może go obrażyliśmy?”.

„Żadną miarą nie jest to wasza wina” - odparł wtedy Bren.

Dlatego tuszowanie niedociągnięć Jase'a w zakresie
panowania nad sobą było teraz jego zadaniem, mimo faktu, że on
sam czuł się zbyt zmęczony, by myśleć. Atevi spoza personelu nie
zrozumieją trudności Jase'a, nie zechcą ich zrozumieć i nic ich
one nie obchodziły.

Zaczekał kilka sekund, obserwując, jak Jase walczy o

zachowanie zimnej krwi - powolny oddech, z trudem osiągnany
spokój. Coraz lepiej, powiedział sobie w duchu, podczas gdy jego
ciśnienie krwi, mimo wysiłków, by zachować spokój,
przekroczyło tak niedawno osiągnięty poziom.

- Zły dzień - powiedział w końcu Jase, a potem, zdobywszy
uznanie Brena, musiał dodać: - Widzę, że nie jesteś w nastroju, by
o tym rozmawiać.

85

- Porozmawiamy o tym. - Nie znosił sam siebie, kiedy zgadzał
się cierpieć.

- Kucharka czeka. Nie chcę ci przeszkadzać w kolacji.

- Opanuj wzburzenie, nadi. - Jase mówił w ragi. Bren zmienił
język. Szybko. Póki w pełni panował nad własnym wzburzeniem.
Atewski język przypominał mu o spokoju. Wymuszał spokój siłą
nawyku. - Twarz.

Jase był nachmurzony. Po chwili opanował się i całkowicie
uspokoił.

- Czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo? - spytał go Bren. -

Czy mogę coś poradzić? Albo odpowiedzieć? Pomóc?

Jase był zamknięty w tym apartamencie od pół roku, ucząc się
języka; miały miejsce chwile, kiedy jednojęzyczny personel, nie
mając doświadczenia Jase'a, mógł tylko patrzeć, nic nie
rozumiejąc. Bren zorientował się, że ostatnio Jase nie tylko nie
mógł znaleźć odpowiedniego słowa - nie mógł znaleźć żadnego

słowa w żadnym języku. Miały miejsce chwile, kiedy dorosły umysł, bezradny jak rozum noworodka, tracił jednocześnie wszelką możliwość postrzegania obrazów i kojarzenia słów, a proces myślenia stawał się bardziej nieporadny niż u trzylatka.

Biegłość pojawiała się i znikwała w nagłych przebłyskach.

Wydawało się, że tego dnia, w tej godzinie Jase zdecydowanie poczuł przesyty.

- Wróciłem na jakiś czas - powiedział łagodnie Bren i, czego nie robiło się z atevimi, poklepał Jase'a po ramieniu. - Rozumiem.

Porozmawiamy.

- Tak - odparł Jase w ragi. Wydawał się spokojniejszy. -

Chodźmy na kolację.

86

Rozdział 5

Jase siedział przy jednym końcu niewielkiego oficjalnego stołu, a Bren przy drugim; personel podawał pięciodaniową kolację, ściśle stosując się do etykiety. Personel mógł już z łatwością zachowywać się przy paidhim swobodniej, chociaż on sam ogólnie przestrzegał zasad właściwego zachowania, ale chciał, żeby Jase nauczył się formalnych i właściwych manier, posługiwania się właściwymi sztuccami, właściwego uchwytu, właściwej postawy, właściwego sposobu porozumiewania się ze służącymi - takie zostawił rozkazy i personel wykonywał je bezlitośnie, nawet tego dnia, kiedy z przyjemnością by je zawiesił.

Jeśli chodzi o komunikowanie się, a pod niektórymi
względami nawet o oczekiwania planety, Jase w zasadzie był
dzieckiem. Bren powiedział Saidin i o tym, a ona być może
włożyła wybuchy złości Jase'a do tego koszyka wraz ze swoim
sposobem i niedawnym stwierdzeniem Jase'a, że cały
personel to „deszczowe chmury” - ghidari' sai uchi'sa-ma -
podczas gdy Jase chciał powiedzieć Saidin, że być może obraził
członkinię personelu - jida-ri' sai uchi'sa-ma.

W przeddzień wyjazdu Brena „deszczowe chmury”
natychmiast stały się domowym żartem. Personel przyzwyczał
się, że Jase nie rozumie.

Przed wyjazdem Bren musiał delikatnie wyjaśnić Saidin, że
owszem, Jasi-ji rozumie żart; tak, Jasi-ji jest zażenowany, i nie,

87

Jasi-ji nie będzie drażył, dlaczego personel się uśmiecha - nikomu
nie chce wyrządzić krzywdy, więc nie trzeba się martwić, ale
chyba już nadszedł czas, żeby przestać się śmiać.

Być może właśnie to wybuchło, kiedy go nie było. Jase mógł
ze wzrostu przypominać atevim dziecko i mógł posługiwać się
dziecinnym językiem, po którym nie spodziewano się sztywnego
stosowania właściwych liczb, ale Jase dzieckiem nie był i jeszcze
przed wyjazdem Brena chodził poirytowany, że tak się go traktuje.

Służące wniosły trzecią kolejną tac i podały sezonową
dziczyznę.

- Walczyłem z czasownikami nieregularnymi - powiedział

swobodnym tonem Jase. - Personel był bardzo pomocny. Żadnych deszczowych chmur. „Dać”. Pracowałem nad „dać”. Niepodzielna liczba mnoga.

- Czasownik zwykły. Czasownik ułomny?

- Czasownik ułomny?

- Stary czasownik. Dużo zastosowań. One się rozpadają.

Jase spojrział na niego zdziwiony.

- To prawda - powiedział Bren. - Czasowniki zwykłe zużywają się. W ciągu wieków tracą różne fragmenty. Atevi je łączą. Atevi ich nadużywają. Każdy używa słowa „dać”. - To było tylko w połowie zabawne i skierowałem uwagę Jase'a na niespotykane formy, co sprawdzało jego ich opanowanie, Bren pośpieszył z wyjaśnieniem: - Jeśli jakiegoś czasownika używają tylko profesorowie, pozostaje on nie zmieniony. Skamieliny. „Dać” nie jest takim czasownikiem. Używa go zwykły ateva.

- To trudny czasownik.

- Zdecydowanie. Ale twój akcent znacznie się poprawił.

Bardzo dobrze. Posłuchaj: jeśli opanujesz „dać”, to będziesz miał z głowy nieregularne niepodzielne formy „shikira”, „makkiura” i „shis'urna”. Trzy czwarte wszystkich czasowników rodziny „-

88

irei”: rymują się z formami liczby mnogiej kończącymi się na „-ra”, przynajmniej w czasie przeszłym.

- Jesteś pewien. Przysięgasz.

- Przysięgam, że w formalnym ragi jest trzysta czterdzieści sześć kluczowych słów. Trzeba się ich nauczyć, a prawie wszystko, co się z nimi rymuje, odmienia się według ich wzoru.

- Mówiłeś, że jest ich sto dwanaście!

- Mówię o języku dworskim. Wychodzisz już daleko poza formy dzieciinne.

- Niezbyt szybko, do cholery.

- Odtąd pójdzie ci szybciej. Uwierz mi.

- Tak mówiłeś, kiedy wylądowałem.

Rozmowa zmieniła się w przekomarzanie. Zapanował żartobliwy nastrój.

- A co miałem mówić? Nie mogłem cię zniechęcać.

Jase nie podjął jednak tematu. Pochylił głowę i zjadł kawałek ryby, zrywając kontakt. Nastrój prysł.

Bren spojrzał przez stół zastawiony potrawami, obcymi nawet dla niego, wiedząc, że nie jest w stanie wyobrazić sobie, co myśli człowiek, który nigdy nie widział wypukłego horyzontu, który nigdy nie widział błękitnego nieba ani deszczowych chmur, jakie błędnie przywołał. Jase nawet nigdy nie spotkał nikogo obcego, dopóki nie spadł z nieba i nie poznał świata pełnego obcych i nieodgadnionych zwyczajów. Świat Jase'a składał się z załogi jego statku - jego statku, a nie statku w ogóle.

Jase w jakiś sposób nabrał ciekawości spraw spoza swego

stalowego świata. Kapitan statku twierdził, że właśnie dlatego wysłał Jase'a, który (Bren wyliczył to z nim na komputerze) jako dwudziestosześcioletek był o niecałe dwa planetarne lata młodszy od Brena; dlatego wysłał też Yolandę Mercheson, która była nieco

89

starsza i może nieco spokojniejsza. Kiedy wylądowała z Jasem, Bren nie miał okazji dobrze jej poznać - szybko odesłali ją do jej zadań na wyspie - ale przypuszczał, że może się zmierzyć z co twardszymi głowami na Mospheirze. Podczas krótkiej znajomości z Yolandą Mercheson Bren zauważył, że patrzyła na wszystko, choćby było to coś bardzo dziwnego, z kamienną twarzą i nie wykazując żadnej reakcji - i stwierdziła, że jest to zupełnie inne od tego, co mają na statku.

Zważywszy na zmienne usposobienie Jase'a, na jego skrępowanie wobec nie znanych mu sytuacji oraz jego skłonność do tracenia panowania nad wyrazem twarzy, Bren zadawał sobie pytanie, czy ludzie ze statku nie pomylili swoich wysłanników. Atevi przyjęliby suche i nieostentacyjne poczucie humoru Yolandy, choć daliby się zwieść pozorom; było ono zbyt atewskie, wcale atewskim nie będąc. Natomiast Jase nie zasklepiał się w skorupie, jaką wybudował wokół swej osoby poprzednik Brena, Wilson-paidhi. Trzeba było mu przyznać, że aby zbliżyć się do atevich, gotów był zaryzykować wszystko, gotów był zaryzykować ból emocjonalny i psychologiczny.

Jase przybył uzbrojony w ciekawość oraz historię atewsko-ludzkiego konfliktu, którą niezbyt dobrze usposobieni ludzie z Mospheiry przesłali na statek; a pochodząc z kultury statku, ograniczonej stalowymi ścianami, o której wspominał, że podlega hierarchii, lecz nie jest różnorodna, włączył się do sprawy bardziej ślepy i niezorientowany, w co się pakuje, niż jakikolwiek ateva mógłby sobie wyobrazić.

Osobista brawura, dzięki której i Jase, i Yolandą przybyli na planetę, byłaby powodem wyrzucenia ich z programu studiów zagranicznych. Jase miał mnóstwo zapału, był inteligentny i jako technik komputerowy nie pełnił na statku żadnych ważnych obowiązków, lecz ujmując sprawę na zimno i bez ogródek, statek mógł go poświęcić: miał niską rangę i nic nie wiedział. Dokładnie to samo myślał rząd Mospheiry, wysyłając w teren niejakiego Brena Camerona.

90

Paidhiin mieli jednak skłonność do imitowania w trakcie pełnienia obowiązków. Jeszcze się okaże, co ta praca zrobi z Jase'a, ale statek nie dostanie z powrotem bystrego i ciekawego młodzieńca, którego wysłał w świat, jeśli ktoś taki rzeczywiście kiedyś istniał. Bren nie widział tej strony Jase'a. Jase'a, który istniał w przekazach głosowych ze statku do czasu wylądowania kapsuły; przyznawał, że się rozczarował. Stres, problemy z porozumieniem i potrzeba, żeby ten z nich, który znał wszystkie

odpowiedzi, mówił temu drugiemu, kiedy i na jak długo ma ukryć

irytację - wszystko to zebrało swoje żniwo. A z pewnością

podminowało stosunki, jakie mogły się między nimi nawiązać.

- Przyszły jakieś wiadomości? - zapytał Jase'a, mając na myśli

wiadomości ze statku przekazywane za pośrednictwem wielkiego

talerza w Mogari-nai.

- Zwykły telefon od Yolandy.

- A jak ona się miewa, nadi?

- Dobrze.

Mówili w języku atevich. Na chwile pojawiła się madam

Saidin i położyła przy talerzu Brena notkę.

„Przyjdź do mnie po śniadaniu - przeczytał Bren. Pod spodem

był podpis Tabiniego, a cały tekst został napisany jego ręką, co

było rzadkością. - Chyba że Twoje sprawozdanie wymaga

pośpiechu. Będę Cię oczekiwał o zwykłej porze”.

- Nie - powiedział, spojrzawszy na Saidin. - Dziękuję ci, nadi.

Mogę to tak zostawić. Nie muszę odpowiadać. To tylko

potwierdzenie.

- Jakies wiadomości, nadi? - zapytał Jase.

- Spotkanie jutro z aijim. Rutynowe sprawy. Chociaż w tej

chwili nic nie jest rutynowe. - Zobaczył wyraz twarzy Jase'a. Albo

tak mu się wydawało. - Jase?

- Nic - rzekł Jase. Zaczerpnął tchu. - Cieszę się, że oglądam

ludzką twarz.

Co oznaczało, że Bren ma spotkanie i wyjdzie z apartamentu, a Jase zostanie sam. Znowu.

- Lustro staje się nudne, prawda? - powiedział Bren z całym współczuciem, na jakie było go stać.

- Powiedziałaś, że to mi przejdzie. Naprawdę nie rozumiem, jak wytrzymałaś to samotnie.

Nie była to pora na kolejny wykład o trzymaniu się własnego języka. Czy się to zainteresowanemu podoba czy nie, chcąc zrobić ten myślowy skok w pełną płynność, trzeba przynajmniej na chwilę zapomnieć o własnym języku. Jase nie potrafił tego zrobić, ponieważ był źródłem terminów technicznych: musiał utrzymywać kontakt z ludzkim językiem, ponieważ jego zadaniem było branie po kolei pojęcia statkowej inżynierii i nauczenie Brena tyle inżynierii i tyle z nieco odbiegającego od mospheiranu sposobu mówienia na statku, żeby ten mógł je dokładnie przetłumaczyć atewskim inżynierom. Jase miał o wiele większy kontakt z ludzką mową, niż normalnie miałyby to miejsce po tej stronie cieśniny, a ciągle przeskakiwanie z języka na język też mu nie pomagało.

Tego wieczoru jednak wszystko, co Bren wyczuwał u Jase'a, wskazywało na to, że stało się coś poważnego. Po tym ostatnim ponurym stwierdzeniu Jase się nie odzywał. Sączył gwarantowanie bezpieczną herbatę i z wystudiowaną

poprawnością maczał w sosie kawałki właściwego dla tej pory roku mięsa, nie wdając się w dyskusje z Brenem.

Cholera, był taki zmęczony. I to nie tylko tego dnia. Chodziło o cały ciąg minionych dni. Minionych miesięcy. O Saigimiego. o jutrzejsze spotkanie. Bren wiedział, że Jase jest usprawiedliwiony. Wiedział, że Jase przeszedł w odosobnieniu własne piekło, i było mu przykro, naprawdę było mu przykro z tego powodu, ale sam cierpiał na popodróżny spadek adrenaliny i miał odrętwiały umysł. Jeśli Jase chciał naciskać, to Bren nie zamierzał sprawiać wrażenia

92

osoby współczującej, humanitarnej czy nawet ludzkiej; nie wiedział, czy może odłożyć ich sprawy do rana, nie obrażając Jase'a, ale tak właśnie powinien postąpić.

Następne danie, ostatnie danie: Jase poprosił służącą o dwie miseczki, wprawiając młodą kobietę w spore zdumienie.

- Asso shi madihiin-sa - powiedział cicho Bren. - Mai, nadi.

- Mai, nadi, saijuri - powtórzył Jase i taktownie poprawił swoją wypowiedź. Bren pomyślał, że może Jase walczy ze swoim nastrojem i bierze emocje pod kontrolę; postanowił go wesprzeć.

- Trudne formy - odezwał się w ragi. Prośba w trybie warunkowym i nieregularne formy grzecznościowe liczby mnogiej - wszystkie sześć - miały stworzyć pomyślne i niepomyślne liczby w zdaniu. - Nie powiedziałaś niczego niepomyślnego.

- Miło słyszeć. - Uprzejma odpowiedź. Bezbarwnie właściwa.

Grzecznościowa liczba mnoga nie była najłatwiejszym aspektem języka atevich. Jak dotąd Jase poruszał się po nim niepewnie, używając athmai'in, form dziecińczych, co sygnalizowało każdemu rozmówcy, że ma do czynienia z osobą niepełnosprawną i nie należy się obrażać na jej słownictwo. W mospheiranie można posłać jakąś wpływową osobę do diabła i jest to, przynajmniej sytuacyjnie, uprzejma rozmowa. Natomiast odezwać się w niepomyślnym trybie do atevy o porównywalnej randze oznacza wyrażenie względem niego wrogich uczuć w bardzo obraźliwej formie i jeśli ktoś nie załagodzi sytuacji, może to pociągnąć za sobą zgłoszenie Zamiaru w Gildii.

- Ja po prostu nie rozumiem różnic - rzekł z niechęcią Jase. -

Domyślam się. Rozumiesz mnie?

- To jak z kapitanem - powiedział Eren, czerpiąc inspirację z żaglowców i ludzkich legend. - Nie mówi się do kapitana „proszę pana”, prawda? A im ważniejsza jest osoba, tym wyższa liczba grzecznościowa: lepiej przesadzić z komplementami.

93

- Wiem, że to melon! - odpowiedział Jase.

Jase najwyraźniej nie był w nastroju do delikatnego poprawiania. Służąca tłumiała śmiech.

- Wiesz, że to w a ż n e - poprawił go Bren z kamienną twarzą, decydując się na konfrontację.

- Cholera - rzekł Jase i odsunął od siebie talerz gestem, który mógł przerodzić się w wybuch. W ciągu kilku miesięcy doświadczeń z napadami złego humoru u Jase'a Bren nauczył się traktować je z pewną dozą stoickiego spokoju i teraz pomyślał, że dzięki Bogu dotarł prawie do deseru. Był głodny. A Jase'a i tak niech porwą diabli.

- Jase. - Spróbował dyplomacji. - To jest trudna część. To naprawdę najtrudniejsza część. Przysięgam. Potem język przyswaja się bardzo szybko. Wspaniale się spisałeś. W ciągu pół roku zrobiłeś to, co na Mospheirze trwa o wiele dłużej. Spisałeś się na medal.

- Nie rozumiem, jak ty to robisz! Nie potrafię tak szybko dodawać!

- To przychodzi z czasem.

- Nie mnie!

- Przyjdzie. Może lepiej przez kilka dni zostaw mi tłumaczenie i sprawy inżynieryjne, a ja przygotuje pytania, które naprawdę muszę zadać. Przerzucanie się z języka na język bardzo rozprasza. Nadchodzi czas, kiedy człowiek powinien się stopić z językiem w jedność. Zdaje się, że właśnie osiągnąłeś to stadium.

Jase spojrzał w bok.

- Mam jeszcze dużo do zrobienia.

- Wróciłem na jakiś czas i jeśli tylko uda ci się przyswoić formy grzecznościowe, to może na następny objazd moglibyśmy

pojechać razem. Chciałbyś?

94

- Wolałbym znaleźć się na moim statku, nadi!

- To się nie stanie nigdy, jeśli się załamiesz, nadi. Dobrze o tym wiesz.

- Może - odparł Jase. Zgarbił się, a w jego głosie zabrzmiał smutek, jakiego Bren przedtem u niego nie słyszał. To była porażka. Jak dotąd Jase się nie poddawał. Odwrócił się spokojnie z powrotem do stołu, zaczerpnął głęboko tchu, wyprostował ramiona i powiedział:

- Przepraszam cię, nand' Bren.

Służące podały następne danie, lekki sorbet owocowy. Jase zjadł dwie łyżki i zażyczył sobie czegoś do picia.

- Podajcie nam likier, nadiin-ji - zarządził cicho Bren - w salonie. Możemy otworzyć okna i pooddychać świeżym, wiosennym powietrzem. Robotnicy skończyli już na dzisiaj, prawda? Farba nam nie przeszkadza.

- W rzeczy samej, nand' paidhi. Zapach farby bardzo zelżał.

Ateva poinformuje nand' Saidin, nandiin-ji.

Wstał od stołu, poczekał na Jase'a i przeszedł z nim do oficjalnego salonu, gdzie pojawiły się inne służące, otwierając żaluzje i wpuszczając do środka podmuchy nocnego powietrza, które szeroko rozdęły delikatne firanki.

Teraz było już prawie zimno, ale ich fotele stały w pobliżu

gazowego piecyka - cóż za rozrzutność - a pokojówki dały im
pledy na nogi i kieliszki likieru, smakiem przypominającego
winiak.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał Bren. - Jasi-ji?

- Mam kłopot-z-sąsiadem - odparł Jase.

- Pewnie chcesz powiedzieć „kłopot-w-domu” - domyślił się
Bren.

Teraz byli w pokoju sami.

95

- Jestem głupcem - zaczął Jase. Być może chciał powiedzieć,
że czuje się głupio. Te słowa brzmiały podobnie. Bren darował
sobie jednak tę uwagę oraz dalsze poprawki; sam przeżywał
kiedyś coś podobnego i współczuł każdemu, kto usiłował zebrać
myśli w obcym języku. - Czy moglibyśmy mówić w
mospheiranie?

- Jeśli chcesz. - Bren odpowiedział w tym właśnie języku. - O
co chodzi?

Nastało milczenie. Długa chwila milczenia, podczas której

Jase oddychał tak, jakby w pokoju brakło powietrza.

- Nie jestem taki jak ty. Nie wiem, czy podołam.

- Tylko dwie osoby na Mospheirze są takie jak ja - odparł

łagodnie Bren - a personel całkowicie rozumie błędy, które
popelniasz. Podziwiają twoją wytrwałość. Nie powinni się śmiać,
ale mają dobre intencje. Powinieneś się martwić, gdyby się nie

śmiały.

- Chcesz powiedzieć, że nic nie szkodzi, jeśli mają mnie za głupca.

- Nie śmiałyby się, gdybyś nie był członkiem wspólnoty domowej. Nazywają cię Jasi-ji. Chcą ci dogodzić. To postęp.

Pracujesz bardzo ciężko i zrobiłeś bardzo dużo. Szanują cię za to.

Kontakty z osobami, którym ich styl życia jest zupełnie obcy, są dla tych służących stosunkowo nowym przeżyciem. Ani natura, ani kultura, nie wyposażyły ich do tego zbyt dobrze. Poza tym nigdy przedtem nie znały obcych.

- Czy mogę mówić bez ogródek? Czy mogę mówić zupełnie bez ogródek? Nie obchodzi mnie to. Nie chcę tu mieszkać. Chcę opuścić tę planetę. Chcę wrócić na mój statek. Jeśli będę musiał tu zostać, umrę. Nie podoba mi się tu. Wiem, że mam nie używać tego słowa, ale nie dam rady. Ja lubię pewne rzeczy, a pewnych rzeczy nie lubię. Przez pół dnia jest mi zimno, przez drugie pół za gorąco. Światło razi mnie w oczy. Przeszkadzają mi zapachy.

96

Jedzenie nie służy mojemu żołądkowi. I przykro mi, jeśli to rozbawiło personel, ale w moim pokoju było coś latającego - nie wiedziałem, że nie jest jadowite.

- Dziś rano?

- Nieważne.

- Jest wiosna. Światło przyciąga latające stworzenia. To

informacja, nie krytyka. Jeśli się śmiały, to było to zabawne, Jasi-
ji. Twoja reakcja prawdopodobnie też. One nie życzą ci źle.

- Ty tak mówisz. Zrobiłem z siebie głupca!

- Przykro mi, że muszę powiedzieć to, co oczywiste, ale nie
masz wyboru - twoim jedynym wyjściem jest uśmiechać się i być
miłym. Wybierając się tu bez możliwości powrotu, wiedziałeś, że
nie będzie łatwo. Znam to uczucie wyczerpania, kiedy wszystko, z
czym ma się do czynienia, jest inne. Wiem, przez co przechodzisz.

- Nie możesz tego wiedzieć! Ty się przynajmniej urodziłeś na
tej planecie! Ja nie! Nie podoba mi się to i nie obchodzi, że ten
język nie może sobie poradzić z „lubić” i „nie lubić”, ja to
przecież czuję!

- Możliwe, że nie mogę sobie wyobrazić. - Bren pomyślał, ale
nic nie powiedział, po chwili jednak zmienił zdanie: - Ja też nie
mogę wrócić do domu, Jase, jak na pewno gdzieś usłyszałeś w
trakcie swojego pobytu tutaj, więc daj mi trochę luzu, jeśli
potrafisz. Ja nie mogę wrócić do domu, ale jeśli kiedyś w ciągu
następnych paru lat uda się nam wystrzelić ten statek, to ty
będziesz mógł. I będziesz bohaterem, a ja nie, przynajmniej nie
dla ludzi, wśród których się urodziłem. Nie mów więc, że nie
mam pojęcia o tym, co czujesz.

Jase nie był gotów do przyznania Brenowi racji. Bren widział
to po gniewnej minie Jase'a i nie nalegał.

To było wyszkolenie. Zawsze postępował profesjonalnie,

zawsze racjonalnie i kiedy miał wystarczające powody, by

97

zaprzagnąć wstać, wywlec Jase'a z fotela i huknąć jego głową o ścianę, nie robił tego. Był to, napomniawszy się, człowiek obdarzony łagodnym poczuciem humoru i błyskawicznym dowcipem, chociaż tego wieczoru nie wykazywał się żadnym z nich.

- Mówię ci, nie wiem, czy wytrzymam. Już tego nie wiem,

Bren.

- Ale wiesz, że jeśli się poddasz, to nie tylko ty znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Więc nie zrobisz tego. To wszystko. Po prostu tego nie zrobisz.

- Nie mogę tu egzystować i rozmawiać z ludźmi tylko przez radio!

To zabolalo. To naprawdę zabolalo, cios wymierzony w skupisko własnych wątpliwości Brena. Siedział nieruchomo i mówił sobie w duchu, że w nieprzewidzianej uwadze Jase'a nie ma niczego znaczącego emocjonalnie.

Lecz dla dyplomaty była to ważna informacja o tym, jak postrzega go Jase.

I jako dyplomata nie zwrócił uwagi Jase'a na to potknięcie.

Stwierdzenie, że Jase mógłby mieć uprzedzenia względem tubylców, łącznie z ludźmi na Mospheirze, było jajkiem, które według atewskiego przysłowia po rozbiciu należało zjeść.

Prawdę mówiąc, było możliwe, że on sam nie miał pełnego

zaufania do Gildii Pilotów, co świadczyło o starym ludzkim podziale na załogę i pasażerów statku. Załoga niegdyś utrzymywała, że pasażerowie nie mają prawa głosu, dopóki potomkowie załogi potrzebowali potomków pasażerów do wykonywania niebezpiecznych i ważnych zadań.

Między pasażerami i załogą z dawnych czasów wiele się działo, co miało ogromny wpływ na losy statku. Gildia Pilotów była przeciwna Lądowaniu i niechętnie się poddała, jedynie w przekonaniu, że plan ten nie zdobędzie poparcia kierownictwa stacji. Statek z pewnością spodziewał się wrócić do cywilizacji

98

zdolnej do podróży kosmicznych i dysponującej dobrze utrzymaną stacją orbitalną, która powstała być może po śmierci pierwszej załogi ładownika; ale nie do tego, co zastał: żadnej stacji, żadnej możliwości wystrzelenia rakiety, a do tego kwitnąca kolonia planetarna utrzymująca bardzo niepewne stosunki z miejscowymi atevimi.

- Rozumiem twoje rozgoryczenie - odezwał się w końcu Bren; może Jase nie zdawał sobie sprawy ze swego potknięcia, ale gdyby właśnie teraz zdawał testy na studia zagraniczne na Mospheirze, to z miejsca zostałby odrzucony, po pierwsze, za to potknięcie, a po drugie, za niezauważenie go.

Chociaż może Jase zdawał sobie z niego sprawę. Kiedy człowiek raz nauczy się po atewsku oddzielać mimikę twarzy od

myśli, to coraz trudniej jest go rozgryźć w ludzkich kategoriach.

I coraz trudniej jest mu utrzymać starych przyjaciół w ludzkim świecie.

- Wiem - odparł Jase. - Wiem, że je rozumiesz. Ale...

Jase nie dokończył zdania.

- Może nigdy nie będziesz tym, czym ja jestem - powiedział

Bren. - Mówię to bez żadnej arogancji. Może tego nie chcesz. Ale twoja droga w kosmos musi wieść poprzez atewskich robotników, dla których paidhiin muszą być grzeczni i niezachwianie wspierający, oraz przez Tabini-aijiego, dla którego paidhiin muszą być użyteczni. Nigdy, przenigdy nie możemy zapomnieć o tych dwóch rzeczach.

- Staram się. Boże, jak ja się staram.

- Wiem o tym.

- Bren... powiedz mi prawdę. Powiedz mi uczciwą prawdę.

Gdy ten statek wystartuje, to czy ja naprawdę nim polecę?

A cóż, u diabła, wywołało to pytanie? - zapytał się w duchu

Bren.

99

- Kto mówił co innego? - zapytał.

- Chcę to po prostu usłyszeć.

- Będą loty próbne. Kiedy się okaże, że statek jest bezpieczny, polecisz.

- Oczywiście, zależnie od zezwolenia aijiego.

- On cię puści.

- Skąd wiesz?

- No cóż, poza tym, że tak powiedział - co stanowi znaczne zapewnienie - sporo inwestuje w twoją edukację, to miejsce, szkolenie. Dlaczego nie miałby chcieć, żebyś tłumaczył dla statku?

- Mógłbym zostać zakładnikiem.

- To nie w stylu aijiego. To byłoby niegodne.

- Zrobił tak z Hanks.

- Powiedzmy, że on zna mospheirski rząd. To co innego.

Postanowił jej nie zastrzelić.

- Nie widzę różnicy. A co, kiedy zechce czegoś od moich towarzyszy?

- Masz jakieś wskazówki, że tak jest?

- Nie bądź naiwny, Bren.

- Cóż takiego wywołało te pytania?

- Chcę po prostu wiedzieć, że kiedyś się to skończy!

- Nie wyglądasz mi na myślącego rozsądnie. Dlaczego uważasz, że aiji może cię nie puścić?

- Posłuchaj... chcę wyjść z tego apartamentu. Kogo trzeba poprosić?

Może Jase nie odpadłby ze studiów? Paidhi, doświadczony dyplomata, prawie wpadł w tę małą pułapkę.

- Mogę cię zabrać dokądkolwiek zechcę.

- To dlaczego nie na ten ostatni wyjazd? A może na następny?

Bo to nie takie proste. Przez Jase'a jednak nie przemawiał rozsądek.

- Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie nauczysz się tych form czasownikowych. - To odsuwało wyprawę na jakiś czas. - I dopóki nie przestaniesz wypowiadać tak nieprzemyślanych uwag jak ta, którą właśnie powiedziałaś o naszych gospodarzach.

- Do diabła z formami czasownikowymi!

Najpierw dezorientacja, potem gniew. On to też przeżył.

Przynajmniej Jase nie był na tyle głupi, by przeklinać Tabiniego.

- Jeśli źle przetłumaczymy jakieś parametry projektu i program kosmiczny nie wypali, możesz umrzeć na tej planecie ze starości. Jeśli nie będziesz rozumiał kulturowo, gdzie możesz znaleźć przewody bezpieczeństwa, być może umrzesz wcześniej.

Możesz umrzeć, jeśli twoje obelgi pod adresem aijiego zakłócają spokój tego kraju. Albo możesz siedzieć beczynn timerze na utrzymaniu państwa, podczas gdy ja będę wykonywał twoją robotę. To są poważne możliwości. „Do diabła z formami czasownikowymi!” nie jest jedną z nich. Wszystkie inne są nie do przyjęcia.

Rozwścieczył Jase'a. Naprawdę go rozwścieczył. Jase nie wstał jednak z fotela i nie wyszedł z pokoju, jak to raz uczynił zeszłej jesieni.

- Robisz to nawet w ludzkim języku, nie? - zapytał Jase.

- Co?

- Nadi - rzekł Jase odmierzoną tonem w ragi, z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu - człowiek rozumie, że jego możliwości równoważy pomyślna, piąta możliwość.

- A mianowicie?

101

- Ta, która jest po twojej myśli: moja uległość, nadi.

Bren użył liczby poczwórnej, niepomyślniej liczby poczwórnej, podczas gdy potrójna, którą ze względów kulturowych ludzie wybierali chętniej, była pomyślna. Jase przynajmniej to wyczuł.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Chwytasz.

- Nand' Saidin przydzieliła mi służącą do pomocy. A ja pracuję, nadi. Pracuję bardzo dużo, ponieważ mam nadzieję na wypuszczenie z tego zamknięcia oraz na seksualne wykazanie się w tej pracy.

Nie roześmiał się. Nie drgnął mu żaden mięsień twarzy.

- Chcesz powiedzieć: możliwość wykazania się.

Jase poczerwieniał.

- Tak, nadi. Możliwość wykazania się.

- Tak czy owak, jestem dobrej myśli, nadi-ji. Dołożę wszelkich starań, by zabrać cię w następną podróż. Będzie łatwiej, Jase.

- Jak ty to wytrzymujesz?

Głęboki oddech. Łyk likieru.

- Dzięki uporowi. Wcześniej miałem różne możliwości. Teraz

nie mam żadnych. Robi się to, co trzeba.

- Mógłbyś się wycofać. Mógłbyś wrócić.

- Moją następczynią byłaby Deana Hanks.

- Czy to ma jakieś znaczenie? W końcu jesteś tylko

człowiekiem. Po tobie sprawy będą się toczyć tak, jak będą się

toczyć. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak, to ma cholerne znaczenie. To moja praca.

Ta rozmowa go przygnębiała. Nie chciał omawiać własnej

sytuacji. Nie sądził, by to cokolwiek pomogło.

102

- Jacyś ludzie nękają twoją rodzinę - powiedział Jase.

- Gdzie to usłyszałeś?

Jase miał zakłopotaną minę.

- Nie jestem głuchy. I, jak sam mówisz, teraz już rozumiem

coś z rozmów służby.

- Moja sytuacja rodzinna nie jest oficjalna. To jest pewna

różnica, Jase, i statek powinien to wiedzieć. Teoretycznie... -

Teoretycznie rząd szukał sprawców. Nigdy ich jednak nie znalazł.

Policja nigdy nikogo nie złapała. Bren musiał sobie zadać pytanie,

jak dużo upłynie jeszcze czasu, zanim będzie zmuszony do

wzięcia polityki międzynarodowej jako zakładnika przeciwko

groźbom skierowanym do jego rodziny i do nakłonienia

Tabiniego, by ten zażądał jakichś działań.

Tego właśnie chcieli sprawcy. Dałoby im to podstawę do wysunięcia gróźb pod adresem rządu i robienia jeszcze większego hałasu. A Bren starał się znieczulić swoje nerwy i nie reagować, kiedy otrzymywał niepokojące wiadomości.

- Teoretycznie... - powtórzył Jase. Być może nie znał tego słowa.

Po pierwsze, nie chciał stracić wiarygodności, staczając się do poziomu wyzwisk i oskarżeń. Nigdy nie chciał ujawniać swoich problemów wobec atevich: zaniepokoiłaby się tym nawet tutejsza służba. Może jednak Jase jest zdolny zrozumieć złożoność ograniczeń nałożonych na Brena. Może przebywa wśród atevich na tyle długo, by nie wyciągnąć niewłaściwych wniosków, i jeśli Jase podsłuchiwał pod drzwiami, może rzeczywiście już czas wyłożyć nieco prawdy na stół. Bren przeszedł na mospheiran.

- Bardziej niż teoretycznie, Jase, te sukinsyny dzwonią do mojej matki o trzeciej nad ranem. Ona jest chora na serce. O ile jednak wiem, to są wolni strzelcy. Izolacjoniści. Zwolennicy programu kosmicznego. Przeciwnicy programu kosmicznego. Całe spektrum, Jase. Kolejnej wojny chce radykalny margines.

103

Podobnie jak zaprzestania budowania na północnym wybrzeżu. Jestem pewien, że pani Mercheson jadła z nimi obiad, chociaż nie chciałem sprawiać swoim działaniem wrażenia, że staram się

wpłynąć na jej niezależny osąd. Na pewno są dla niej niezwykle uprzejmi. Ubierają się w odświętne ubrania i mówią, że atevim nie można ufać - Wiedział, że zabrnął dalej, niż zamierzał, na obszary, których, politycznie mówiąc, prawdopodobnie nie powinien omawiać z Jasem. Jeśli jednak nie znajdzie punktu, w którym będzie mógł od środka włączyć Jase'a do przepływu informacji, to Jase nie zrozumie dobrowolnej izolacji atevich.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Bren. Naprawdę nadszedł czas, żeby poważnie porozmawiać o oszustwie, jakie mospheirski rząd na pewno spróbuje zaserwować Yolandzie Mercheson; Bren starał się zająć raczej wyniosłą pozycję niż narazić się na to, żeby jego postępowanie wyglądało na oszukaństwo. Ta strategia mogła jednak spalić na panewce, gdyby Jase dostał od Yolandy jakieś sprawozdanie odmalowujące przeciwną stronę cieśniny jako nieskazitelną i chętną do współpracy; Bren wcale nie żałował, że otworzył Jase'owi oczy na co paskudniejsze prawdy dotyczące ukrytej strony Mospheiry.

- Jest dużo ludzi - powiedział już spokojniej, wracając do ragi - którzy nie chcą, żeby atevi polecieć w kosmos. Niektórzy spośród nich są szaleńcami, a inni to uczciwi, prawomyślni obywatele.

- Niepomyślność dwójki. Chcesz powiedzieć, że niektórzy nie są ani jednym, ani drugim.

To już coś. Bren był naprawdę zadowolony. Jeśli Jase zaszedł

tak daleko, to mogą rozmawiać i Bren był gotów to zrobić.

- Właśnie, nadi. Coraz lepiej. Jeszcze jedno takie osiągnięcie i mógłbym cię przedstawić na dworze.

- Chyba jeszcze nie jestem na to całkiem gotowy.

- Ale zrobiłeś duże postępy. Nie wiem, czy informacja

104

wspomaga trawienie, ale taka jest moja prawda. A twoja?

Chwila wahania.

- Mój ojciec nie żyje.

Przez chwilę Bren nawet tego nie słyszał. Albo nie wierzył, że mógł usłyszeć to, co mu się zdawało, że usłyszał.

- Boże, Jase. Kiedy? - Nie miał pojęcia, skąd Jase mógł się o tym dowiedzieć. Każde nawiązanie łączności przez statek wywoływało poruszenie w domu, a Bren o niczym takim nie słyszał.

- Cztery dni temu. Yolanda mi powiedziała. Nie miałem możliwości, by skontaktować się z matką. Ochrona nie pozwoliła mi wywołać statku, bo ty nie zostawiłeś poleceń, a ja nie mogłem dotrzeć do ciebie.

A więc stąd ta uraza związana z okresem braku łączności. Stąd ta przerwana rozmowa przed kolacją.

- Cholera. Cholera, Jase, co mam powiedzieć? Przykro mi.

- Tak bywa. Po prostu tak bywa. Pracował... - Kieliszek zadrżał w palcach Jase'a; mężczyzna uniósł go i napił się. -

Wypadek. Yolanda rozmawiała ze statkiem. Usłyszała. Myślała, że ja już wiem. Złożyła kondolencje... W porządku? - Kieliszek zetknął się ze stolikiem. Stuk. - Ale ja nie mogłem zadzwonić do niej. Dowiedziałem się cztery dni temu i nie mogłem się skontaktować z tobą. Nie mogłem wywołać statku.

Bren stwierdził, że musi zrewidować swoją ocenę Jase'a - zachowywał się zarazem chłodno i zaczepnie, zuchwale zaczepnie; tyle wiem, niech cię cholera, chcę się wydostać z tej planety.

Nic dziwnego, że przez kilka ostatnich dni Jase zapamiętał się w nauce. Aż do hysterii, przeplatanej zimnym, jasnym, buntowniczym funkcjonowaniem. Mówił teraz w ragi i robił to z opanowaniem.

105

- Jase. Nawet ja o tym nie słyszałem. Nie wiem dlaczego. I nie wiem, dlaczego nie otrzymałeś wiadomości ze statku. Zadam parę oficjalnych pytań. Jest mi ogromnie przykro.

Mimikę twarzy Jase miał pod znakomitą kontrolą, podobnie jak Bren. Paidhi obawiał się, że zapomniał dostosować się do zmiany języka. Zapomniał zmienić nastawienie i zareagować po ludzku. Zapomniał posłużyć się ludzkim wyrazem twarzy.

- Jase. - Przerzucił się na mospheiran i, niczym aktor wczuwający się w rolę, świadomie ożywił twarz. - Nie wiedziałem. Dowiem się, dlaczego tak się stało. Wiem, że atevi

będą zaniepokojeni, że nie dowiedziałeś się o tym we właściwy sposób.

- Czy możemy użyć tu słowa „troska”? Czy wreszcie nam to wolno?

- Zapewniam cię, Jase, że w tym wypadku personel będzie zatroskany.

- Zapewne się rozplacze.

- Nie. - Bren nie bronił się przed atakiem, ale i sam nie zaatakował w odpowiedzi. - Jednak wysuwanie takich żądań nikomu nie służy. Przykro mi. Jest mi ogromnie przykro. Zbyłem cię i jest mi przykro. Żałuję, że mnie tu nie było. Teraz już jestem. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie. Uczę się. - Jase mówił lekkim tonem, wpatrzony w coś po drugiej stronie pokoju. Może w ścianę. Albo falującą firankę. - To jedyny wybór, jaki mam, prawda?

- Czy twoja matka dobrze się czuje?

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili Jase odezwał się powściągliwie:

- Nie mam pojęcia.

- Cholera. Cholera, Jase. Wyjaśnię sytuację z telefonami.

106

- Chciałbym porozmawiać z matką. Na osobności. Jeśli możesz to załatwić.

Bren nie wiedział, co powiedzieć.

- Coś załatwię. Jak tylko będę mógł. Chcesz z nią rozmawiać jeszcze dzisiaj?

- Jeśli poszła spać, wolałbym jej nie niepokoić tak późno.

Ludzie na statku rozsądnie dostosowali swoje zmianyienne i nocne do strefy czasowej Mospheira-Shejidan. Na statku był jeszcze wieczór, podobnie jak tu na dole, ale Bren nie chciał się spierać z Jase'm o taki drobiazg.

Wymówka, pomyślał. Zadał sobie pytanie, czym jest motywowana, i nie znalazł żadnej przyjemnej odpowiedzi, a takiej reakcji u siebie samego nie dowierzał. Teraz on był zły i nie wiedział dlaczego. Chyba nie był zły na Jase'a. Ani na służbę. Właśnie opisał sytuację u siebie w domu - wiedział, dlaczego mógł być zły.

Nie był jednak pewien, dlaczego jest zły, ani nawet na co może być zły, a jeszcze mniej był pewien, czy jego gniew wyjdzie komuś na dobre.

Do pokoju weszła służąca, zawahała się i na lekkie uniesienie ręki Brena napełniła kieliszki.

Jednak po jej wyjściu Jase powiedział:

- Wezmę mój do pokoju, jeśli nie masz nic przeciwko temu, nadi. Nie czuję się najlepiej.

Jase wstał. Bren też. Jakaś jego część mówiła mu, że mimo uników Jase'a i jego własnego gniewu powinien podejść do niego i położyć mu rękę na ramieniu. Powinien mu zaproponować

emocjonalne wsparcie.

Jednak tego nie zrobił. Zwracając się do niego w ragi, Jase właściwie nigdy nie używał poufalej formy, choć Bren używał jej

107

w stosunku do Jase'a.

Jase nigdy nie czynił pod jego adresem takich gestów. Może myślał, że ma za niską pozycję względem Brena? Może był jakiś inny powód?

Tak czy owak, nigdy nie robili względem siebie takich gestów i z pewnością nie posuwali się do uścisków - będąc jedynymi ludźmi na kontynencie. Bren wyciągnął rękę w geście powitania, kiedy pomagał wyjść Jase'owi z kapsuły. Jase przyjął jego dłoń, ale nie odpłacił mu entuzjazmem czy otwartością, jakiej spodziewał się Bren po przekazach ze statku.

Ten jeden gest, nic więcej, z każdej strony. I jakoś nie potrafili zacząć od nowa. Przez całe pół roku. Niemożliwym wydawało się spróbować to zrobić w obecnej sytuacji, kiedy nastroje były rozognione i, Bren przyznawał, kiedy nie miał pewności, że jego ruch w kierunku większej zażyłości z Jasem byłby szczery, a to z powodu gniewu, którego przyczyn do końca nie znał.

Stał więc, a Jase wyszedł z pokoju.

108

Rozdział 6

Może powinien spróbować. Może, pomyślał Bren, mimo

wszystko powinien pójść za Jase, zrobić ten gest i spróbować dojść, dlaczego i na co jest zły, i dlaczego (to przynajmniej wyczuł) Jase też płonie tak; głębokim gniewem.

W takim jednak momencie jego postępowanie mogło urazić jakieś czułe miejsce i pchnąć sytuację na tory dalekie od rozsądku.

Zamiast tego mógłby zrobić coś, co spełniłoby rolę gałązki oliwnej. Mógłby przedsięwziąć jakieś działania zmierzające do uspokojenia sytuacji. Mógłby spróbować złagodzić presję, pod którą znajdował się Jase, a potem z nim porozmawiać, kiedy gniew już przygaśnie. U nich obu.

Zobaczył służącą stojącą przy drzwiach; z założonymi rękoma czekała na jego rozkaz, być może świadoma, że coś jest nie w porządku.

- Czy nand' Saidin jest jeszcze uchwytna?

- Sądzę, że udała się już na spoczynek, nand' paidhi, ale bardzo wątpię, że zdążyła zasnąć. Czy mam ją zawołać?

- Nie. Czy nadi Tano jeszcze czuwa? Albo nand' Algini?

- Obaj albo jeden z nich, nand' paidhi. Mam ich zawołać?

- Proszę - powiedział. Stał, sącząc likier, dopóki ciche kroki i cień w drzwiach nie dały mu znać o czyjejs obecności.

109

- Nadi? - zapytał Tano. Przyszli obaj i weszli do salonu na skinienie Brena.

- Nadiin - odezwał się, w pełni świadom, jak bardzo będą się

winić za niedociągnięcie w kwestii informacji. - Jase mówi, że zmarł jego ojciec. Otrzymał tę wiadomość z Mospheiry cztery dni temu i skarży się, że nie mógł skontaktować się z matką na statku, ponieważ ochrona nie mogła na to zezwolić ani połączyć się ze mną. Czy możemy to naprawić?

- Natychmiast wszystkiego się dowiem, nand' paidhi - rzekł Algini, zawsze na właściwym miejscu.

Tano, tak samo na bieżąco z każdą sprawą, którą miał się zajmować, dodał:

- Zapis potwierdza telefon z Mospheiry. Personel ma nagranie.

Rozmowa była w mospheiranie. Chcesz ją usłyszeć?

- Tak. - To była jego praca. Ktoś powinien dojść, co się dzieje i co jeszcze zawiera ta wiadomość, a to przecież Bren przyznawał się do znajomości tego języka. Był przekonany, że rozumieją go też pewni atevi, a nawet że pewni atevi z jego otoczenia późno chodzą spać, pracując nad swoją płynnością kosztem Jase'a, który upierał się przy uciekaniu się do języka ludzkiego; z jaką jednak dokładnością atevi rozumieli biologię kryjącą się za słownictwem

- tego Bren wcale nie był pewien. - Czy nand' Jase wydawał się zdenerwowany?

- Tego nie było w sprawozdaniu, nadi. Dużo przebywał w swoim pokoju, to wszystko. Cztery dni temu późnym wieczorem otrzymał jeden telefon z Mospheiry. Nie zanotowano żadnych innych.

Bren nie wiedział wystarczająco dużo, by sprowokować ich do udzielenia informacji, o której mogli nie wiedzieć.

Co więcej, musi być niezwykle ostrożny. Wszystko, co znajdowało się na styku atewskiej odpowiedzialności i ludzkich emocji, było trudne i podlegało błędnym interpretacjom. Kiedy żył

110

wśród atevich, mógł domyślać się, czyje man'chi jest związane z którym panem; wiedział, że man'chi Tano, Alginiego oraz innych atevich jest związane z Tabinim, natomiast miał małe pojęcie o ich więzach rodzinnych albo o tym, jak man'chi związane z panem ma się do man'chi związanego z matką czy ojcem. Słyszał, jak Tano mówił o swoim ojcu i o pragnieniu zasłużenia na jego dobrą ocenę, ale jednocześnie wiedział, że wstępując do Gildii, Tano sprzeciwił się życzeniom ojca. Bren poprosił Tano o zarekomendowanie krewnych na stanowiska biurowe jako „odpowiedzialne osoby”; ich odpowiedzialność można było przypisać man'chi oraz faktowi, że tam, gdzie istnieje man'chi, istnienie zdrady nie jest biologicznie możliwe.

Wiedział, że Darnin sprzeciwiła się swojemu klanowi, by związać się romantycznie i politycznie (a może politycznie i romantycznie) z Tabinim, który utrzymywał bliskie stosunki z zadawnionym wrogiem jej klanu, bliskim sąsiadem posiadłości w Dolinie Padi i z całą pewnością persona non grata dla wuja Tatischeigiego, głowy klanu Atigeinich. Antypatia głowy klanu (z

którą było związane man'chi Damiri) z pewnością nie zniechęciła

Damiri - no, ale ona nie zniechęcała się łatwo.

Jedyną mądrością na temat atewskich relacji rodzinnych, jaką zdobyli paidhiin w ciągu dwustu lat, było to, że więzy uczuciowe spajające ludzką rodzinę nie tylko tu nie istnieją, ale są biologicznie niemożliwe.

Odmienne okablowanie.

Odmienne oczekiwania.

Odmienne związki rodzinne i odmienne konieczności.

Człowiek na przykład nie wiedział, czego atewskie dziecko oczekuje od rodziców. Pożywienia i schronienia do pewnego stopnia, owszem. Wydawało się, że granicą wspólnego mieszkania jest jakieś siedemnaście lat, może dwadzieścia. Tylko tyle wynikało z nagromadzonego doświadczenia. Wszystko inne podręczniki traktowały jako spekulacje. Sam Bron wysnuł

111

wstępną teorię, że tak jak ludzie muszą dojrzeć do emocjonalnego uniezależnienia się od swoich rodziców, tak atevi muszą jakoś wycofać się z man'chi związanego z rodzicami, bo inaczej rodzina nigdy nie dojrzeje. Żeby kultura mogła funkcjonować poza rodziną, musiało gdzieś następować psychologiczne odcięcie.

- Gdyby to ateva usłyszał taką wiadomość - zapytał dwóch najbliższych sobie towarzyszy i strażników, osoby, które, gdyby były ludźmi, nazwałby przyjaciółmi - czego spodziewaliby się po

nim inni atevi? A głównie, co według oczekiwań innych atevich powinien w tych warunkach czuć albo zrobić?

- Gdyby stosunki z jego ojcem były dobre - odparł Tano - to ateva spodziewałby się smutku, nand' paidhi. Pojechałby do swego domu. Pochowałby swego ojca. Potwierdziłby man'chi w ramach swego domu i swoich patronatów.

Potwierdziłby man'chi. Potwierdziłby. U atevich nie było to tylko przemożne uczucie. To było uczucie nadrzędne. Instynkt pozwalający odnaleźć drogę pod ostrzałem. Miejsce, do którego chciałoby się pójść. Osoba, którą uratowałoby się z płonącego budynku.

- W jaki sposób można potwierdzić man'chi, nadi, jeśli mogę zadać takie pytanie? Nie odpowiadajcie, proszę, jeżeli przekraczam jakąś granicę przyzwoitości.

- Wyrażenie, nand' paidhi. To jest wyrażenie. Ateva odwiedza dom. Wspomina. Zbiera żyjących domowników, choćby po to, żeby się dowiedzieć, gdzie może spoczywać ich man'chi, skoro tanto man'chi zostało odłożone. Dom musi zostać odbudowany.

- Zostało odłożone man'chi związane ze zmarłym.

- Do ziemi, nand' paidhi, albo w ogień. Ateva może być związany man'chi tylko z żywymi.

- Nigdy z umarłymi? - Bren oglądał mnóstwo sztuk machimi, gdzie man'chi i jego niuanse były standardowo punktem ciężkości, wokół którego obracały się zdrada i działanie, oszustwa

i decyzje podejmowane w ostatniej chwili. - W sztukach, nadi, to wydaje się możliwe.

- Jeśli wierzy się w duchy.

- Ach. - Niektórzy atevi w nie wierzyli.

W dawnym świecie sztuk machimi w duchy wierzyło więcej atevich. Bren był pewien, że taka wiara w siły nadprzyrodzone nie dotyczy dwóch mężczyzn, z którymi rozmawiał. Jednak wiara w duchy oczywiście wiązałaby się bezpośrednio z kwestią tego, czy zmarli wciąż mogą wymagać lojalności.

- Poza tym - powiedział spokojnym tonem Algini - żyjący wyegzekwują karę na żyjących osobach, które mogły być odpowiedzialne. To nie wymaga wiary w duchy. Jednak w dawnych czasach ateva równie dobrze mógł egzekwować karę na zmarłych.

To zaniepokoiło Brena. Wyjaśniało to do pewnego stopnia akcję niektórych machimi, gdzie oddawano cześć lub bezczeszczono pomniki i kości, wrzucając je do rzek czy w podobne miejsca.

Nie stanowiło to jednak rozwiązania jego problemu.

- Jase się martwi - powiedział Bren - ponieważ nie może skontaktować się z domem ani upewnić się, czy jego matka dobrze się czuje. - Nie należało budować pytań w formie przeczenia: jeśli atevi wyczują, że oczekuje się przeczącej

odpowiedzi, chętnie zgodzą się, że coś jest niemożliwe. - Czy w takich warunkach ochrona niepokoiłaby się posunięciami atevy?

- Gdyby tę śmierć spowodowała inna osoba - rzeki Algini - należałoby go starannie obserwować.

- Albo gdyby ta śmierć rozwiązywała ważne man'chi - powiedział Tano. - Na przykład żony. Jej klan miałby swobodę działania. Grupa ambitnych kuzynów, chcących przenieść man'chi na swoją linię. Rodzina mogłaby się rozpaść.

113

- Czy... - Bren znał tych mężczyzn na tyle dobrze, by pytać o bardzo delikatne, zwykle nie poruszane sprawy. - Czy ateva znajdujący się w takiej sytuacji czułby się związany man'chi z tymi kuzynami, gdyby, powiedzmy, udało im się przenieść man'chi klanu na siebie, odbierając je linii jego ojca?

- Niekoniecznie - odparł Algini i, co było u niego rzadkością, nachmurzył się.

To ostrzegło Brena, że być może poruszył coś, co dla Alginiego nie było czystą teorią. A może właśnie zapytał o zbyt delikatne obszary atewskich emocji. Przestał więc pytać dalej.

Koniecznie jednak trzeba było drobiazgowo poinformować osoby strzegące Jase'a o jego sytuacji:

- Jase chciałby wrócić na statek, żeby upewnić się, że jego matka dobrze się czuje. Oczywiście, nie może tego zrobić. Mówi, że chciał zadzwonić na statek, ale mu nie pozwolono, ponieważ

nie mógł przekonać ochrony, żeby skontaktowała się ze mną i poprosiła o potwierdzenie. Mogę się tylko domyślać. On naprawdę drobiazgowo stosuje się do wszelkich zasad i rozkładu dnia. Może bierze się to z jego dotychczasowego życia na statku w kosmosie. Nie wiem. Może nie chciał stanąć przed atevimi, nie panując nad swymi emocjami - bardzo wyraźnie mu tego zakazałem. Być może to nie pozwoliło mu w pełni wyjaśnić ochronie jego zdenerwowania. - Próba rozbioru ludzkich uczuć na tak drobne składniki, by zupełnie inny umysł mógł pojąć, o co chodzi, była czymś wyrachowanym i krępującym. -

Zaryzykowałbym twierdzenie, że był już wyczerpany, albo emocjonalnym napięciem od czasu mojego wyjazdu, albo próbami osiągnięcia dobrego wyniku - nawet mojej aprobaty - po moim powrocie; i nagle trafił go emocjonalny cios, kiedy był sam, zatopiony w obcym języku, otoczony obcymi twarzami i uprzedzony przeze mnie, żeby w obecności atevich nie reagować emocjonalnie.

- Ach - rzekł Tano i na obu atevskich twarzach pojawił się

114

wyraz zrozumienia. Czego? Bóg jeden wiedział.

- Pamiętajcie - ciągnął Bren - że to jest człowiek i że tak naprawdę nie czuje on man'chi, lecz coś równie dla niego istotnego. Zrozumcie, że przechodzi ogromny stres i stara się nie reagować. Mam jednak poważne wątpliwości, nadiin, co do

poprawności zachowania się ludzi na statku względem niego, którzy być może wyrządzili mu poważny afront. Chcę wiedzieć, czy statek usiłował się z nim skontaktować, chcę wiedzieć, dokąd trafiła ta wiadomość, jeśli ktoś starał się z nim skontaktować, i dlaczego w końcu musiał usłyszeć tę złą wiadomość od Yolandy Mercheson z wyspy.

- Komu przypisuje ten brak informacji? - zapytał Tano.

- Przyjąłbym, że może niesprawiedliwie samemu Manasiemu.

- Manasi był jednym z ochroniarzy Tabiniego, który przejął prowadzenie biura ochrony, kiedy Bren wyjechał z Tano i Algini. - Podejrzewa, że atevi mu jej nie przekazali. O wiele łatwiej przełknąć mu coś takiego niż myśl, że zawinili ludzie. Jednak jakakolwiek jest prawda, czy doprowadzi mnie ona do atevich czy do statku, muszę ją poznać bez względu na to, ile z niej później postanowię mu przekazać.

- Nadi Bren - rzekł Algini - znajdziemy odpowiedź. Nie otrzymaliśmy od personelu żadnego wezwania dotyczącego podobnej sprawy.

- Nadiin, darzę was wielkim zaufaniem. Darzę wielkim zaufaniem nand' Dasiebiego i nand' Manasiego. Wyrażcie to, proszę, podczas waszego śledztwa; proszę, byście nikogo nie oskarżali. Zostawiam wszystko waszemu, osądowi.

Bren był głęboko przekonany, że nie należy szukać winy u jego personelu biurowego ani u Manasiego, a raczej u personelu

aijiego na wybrzeżu, w Mogari-nai, gdzie wielki talerz anteny spijał wiadomości z kosmosu i przekazywał je, podobno bez cenzury, Brenowi, a za jego pośrednictwem Jase'owi. Gdzieś w administracji Mogari-nai krążyły polityczne prądy, które

115

sprawały, że już poprzednio nie docierały do Brena żadne informacje, nawet wbrew rozkazom Tabiniego. Była to skomplikowana kwestia lojalności, która, jak człowiek miał nadzieję, ale nie przekonanie, została rozwiązana zeszłej jesieni. Można było nawet szukać winy - człowiek był w stanie o tym pomyśleć - u samego Tabiniego, który mógł zarządzić zatrzymanie tej wiadomości z różnych powodów, łącznie z tym, że Bren-paidhiego nie było pod ręką, żeby zająć się sprawą, a nie było wiadomo, jak zareaguje na nią Jase.

Gdyby jednak Manasi uznał, że Jase może wybuchnąć, to Tabini nie miałby przecież żadnych kłopotów z dotarciem do Tano i Alginiego.

Informacja utknęła gdzieś w systemie? Jakaś wiadomość leży na biurku i czeka na działanie? Bren był pewien, że w Mogari-nai atevi, którzy potrafili tłumaczyć z mospheiranu, dokładnie przeglądali wszystkie wiadomości - a każda osobista wiadomość dla Jase'a, w przeciwieństwie do zwykłych procedur, włączyłaby dzwonki alarmowe i prawdopodobnie została przekazana na wyższe szczeble ochrony, znacznie opóźniając dalszą jej drogę.

- Nadiin - powiedział Bren, ponieważ znał olbrzymią dobrą wolę tych dwóch mężczyzn oraz konflikt, jaki mogła wywołać ta sprawa - gdyby ta nitka zniknęła pod drzwiami aijiego, zawiadomcie mnie, ale jej nie ruszajcie. To będzie moje zadanie.

- Ateva natychmiast cię zawiadomi, gdyby tak było, Bren-ji.

Powiedział to Tano, a jego partner nie wyraził sprzeciwu. Ich man'chi było związane z Tabinim, a z Brenem jedynie poprzez Tabiniego, i to, co powiedzieli, zostało wyrażone z milczącym założeniem, że i on, i oni wiedzą, że pewni atevi cholernie dobrze rozumieją mospheiran oraz dialekt używany na statku.

Bren podejrzewał, że elementy wichrzycielskie istnieją gdzieś w organizacji obronnej strzegącej wybrzeża i że ponownie mogły one zadziałać w Mogari-nai - albo tu, w murach Bu-javid.

116

Sam Tabini rozumiał mospheiran lepiej, niż dawał po sobie poznać. Nitki znikające pod drzwiami aijiego - albo supertajnej placówki w Mogari-nai - mogły się wzajemnie krzyżować wiele razy.

Zahamowanie przepływu informacji mogło jednak sprawić, że sytuacja krytyczna zmieni się w katastrofę. Mogło też sygnalizować jakieś problemy z man'chi - a to trzeba było naprawić.

- Nie potrzebuję niczego więcej - powiedział Bren. - I nie rezygnujcie z odpoczynku, nadiin-ji. Niech śledztwo zacznie dziś

wieczorem ktoś niższy rangą. Wy przejmiecie je jutro.

- Tak - odparł Tano, przyjmując polecenia, których, jak obawiał się Bren, nie wykona ani on, ani Algini. Podobnie jak on, nie potrafili zasnąć, nie znając odpowiedzi na gnębiące ich pytania.

Pytanie zawsze było takie samo: W jaki sposób atevi interpretują prośby ludzi i jak dobrze przewidują ludzkie działania? Wojna Lądowania nie zdarzyła się dlatego, że obie strony jej chciały.

Tak więc Bren siedział w salonie przy stoliku, ubrany w luźny kaftan, i pisał formalnym, dworskim charakterem pisma list do Tabiniego:

„Aiji-ma, Mercheson-daja poinformowała nand’ Jase’a o niespodziewanej śmierci jego ojca. Przyczyny są nieznane. Mając na uwadze inne Twoje ważne sprawy...”.

Nie, tak niedobrze. Wykreślił ostatnią linijkę. Aijiego zostawia się sprawom aijiego i nie wyraża się na papierze opinii, że śmierć Saigimiego stanowi dla aijiego ważną sprawę.

„Poinformowałem mój personel odnośnie normalnego zachowania nand’ Jase’a w takich okolicznościach oraz informuję

117

Ciebie, aiji-ma, że przewiduję w domu okres napięcia. Niepokoję się także implikacjami faktu, że wiadomość ta nie dotarła do niego ani do mnie w odpowiednim czasie. Wydaje się, że najpierw

otrzymała ją Mercheson-paidhi, co nie powinno mieć miejsca, jako że Mercheson nie jest przełożoną Jase'a, o czym władze na statku dobrze wiedzą. Otrzymanie takiej wiadomości ze źródła, które powinno być gorzej poinformowane od niego, było dla Jase'a krępujące i niepokojące. Jeśli była to decyzja oficerów ze statku, ich zachowanie w tej sprawie może mieć implikacje: mogło być spowodowane życzliwością, czy to w nadmiernej chęci ochrony Jase'a przed wiadomością o nieszczęściu w rodzinie, czy to z powodu faktu, że nie ma mnie na miejscu, a zatem nand' Jase jest sam. Nieżyczliwa byłaby jednak decyzja oficerów na statku, że nand' Mercheson powinna otrzymywać informacje szybsze i aktualniejsze od tych przekazywanych nand' Jase'owi. Te negatywne implikacje z pewnością mogą stanowić wnioski, jakie mógł wyciągnąć Jase, i ja jestem tym zaniepokojony.

Widząc jednak trzecią możliwość, a mianowicie, że polecenie wstrzymania informacji mogło wypłynąć z Twojego biura, poprosiłem mój personel o ustalenie faktów, tak aby przedstawiane Ci przeze mnie oceny były dokładne i rozważne”.

To ostatnie po to, żeby utorować drogę Alginiemu i Tano.

„Jeśli się niepokoisz w związku z nand' Jase...”.

Nad wszelką wątpliwość personel Darnin zdawał jej regularnie sprawozdania, a Damiri przekazywała Tabiniemu - sąsiadowi przez ścianę - to, co wydawało się użyteczne; było więc nie do pomyślenia, żeby nie wiedziała już wszystkiego, co wie personel;

wiedział też prawdopodobnie Tabini, a Bren był pewien, że opis zachowania, i Jase'a, i jego, oraz fakt, że paidhi poprosił na naradę swoich dwóch szefów ochrony, już znalazł się w obszernym raporcie.

„To jego zachowanie związane z ogromnym napięciem i moją nieobecnością jest powściągliwe i roztropne. Uginając się pod

118

zapewne poważnym ciosem, przez kilka dni powstrzymywał się od okazywania uczuć niezmiernie trudnych do stłumienia przez człowieka znajdującego się w o wiele mniej stresującej sytuacji, a wszystko po to, by dostosować się do mojego rozkazu, by nie okazywać niewytłumaczalnych emocji w obecności atevich.

Jestem wielce strapiony, że nie było mnie wtedy przy nim i nie mogłem mu służyć radą czy pomocą, ale on zachowywał się rzeczywiście bardzo dobrze”.

Nie podobało mu się analizowanie uczuć Jase'a. Naprawdę mu się to nie podobało. Starał się jednak podejść do sprawy klinicznie, dla informacji jedyne go mężczyzny - i jedynej kobiety - którzy najbardziej musieli zrozumieć, jak dobrze spisał się Jase: Jase czasami niepokoił służące, które były świadkami poprzednich wybuchów, i teraz pewnie zastanawiają się, jaka jest różnica między paidhim, którego znały, i tym, który przybył ze statku.

Na szczęście, burze wśród personelu uspokoiły się, kiedy personel otrzymał zapewnienie, że to nie jego wina. Nawet wtedy

Jase znakomicie się spisywał. Atevi nigdy nie widzieli napadów złego humoru, jakie miewali na Mospheirskim Uniwersytecie choćby najlepiej wyszkoleni paidhi-kandydaci, kiedy zbyt długo byli pozbawieni możliwości posługiwania się własnym językiem; nie widzieli też takich napadów u Jase'a - on ograniczał się jedynie do wybuchów słownych, powstrzymywany może przez własne wychowanie, a może dlatego, że otaczający go atewski świat był taki spokojny i pozbawiony gniewu.

Bren miał jednak nadzieję, że dobre zdanie Tabiniego wpłynie na Damiri, a jej osąd stanie się z kolei opinią personelu na temat Jase'a Grahama. Z pewnością ułatwiłoby to życie w apartamencie.

Bren miał też nadzieję, że gdyby poprzez Damiri udało mu się zachęcić personel do zrozumienia, to i Jase'owi byłoby lżej.

Wiedział, że informacja przepływa w obie strony poprzez służbę.

A człowiek chciał mieć dobrą reputację.

„Aiji-ma, chciałbym dodać, że Jase wyczerpał swe siły,

119

studiując język, by sprawić mi przyjemność i dostosować się do moich planów, nie wiedząc, do jakiego stopnia wiadomość, która miała na niego spaść, zachwieje jego opanowaniem.

Powiniennem Cię poinformować o zwykłej ludzkiej reakcji na taką stratę - najpierw myśli się o minionym czasie i nie wykorzystanych okazjach związanych z danym krewnym. W takiej chwili przyszłość nie ma dla Jase'a znaczenia; jego

teraźniejszość przepełniona jest odpowiedzialnością względem krewnych, której, w jego sytuacji, nie może sprostać. Bardzo możliwe, że ujawni się frustracja, co może doprowadzić do gniewu na samego siebie lub na mnie, a nawet na zmarłego. Gniew ten jednak w żaden sposób nie zagrozi mnie ani personelowi...”.

Niech Bóg ma nas w opiece, jeśli zagrozi apartamentowi, pomyślał Bren. Wystarczyło tylko, żeby uniósł głowę i rozejrzał się, a zobaczyłby zbiory istnego muzeum, własność i dziedzictwo klanu Atigeinich, jednego z najważniejszych i najniebezpieczniejszych sojuszników, jakich pozyskał sobie Tabini, wyrażone w koronkowych draperiach, bezcennych rzeźbach i kruchej porcelanie, w dywanach, które służące czyściły na kolanach ściereczkami od kurzu.

„Chciałby odwiedzić znajome miejsca. O ile rozumiem jego przekonania religijne, nie wierzy w duchy ani w ich interwencję. Jest odważny i zdecydowany, bo inaczej by się tu nie znalazł. Proszę i mam nadzieję na odpowiedzi na moje pytania, tak bym mógł go choć trochę uspokoić i zapewnić szybki kontakt z matką oraz innymi krewnymi na statku. Będę nadzorował takie rozmowy i czuwał nad treścią przekazywanych wiadomości.

Jestem gotów dostarczyć Ci o wiele lepsze informacje dotyczące postępów w budowie statku. Pan Geigi, który traktował mnie jak bardzo cennego gościa, oraz kierownik Patinandi w jego

rejonie pokazali mi bardzo obiecujące postępy; podobnie

laboratorium w Gioli robi postępy w projektowaniu silników oraz

120

w próbach praktycznych. Żywię pewne obawy w związku z niedawną zmianą kierownictwa w Ladisiri”.

Tam projektowano komputery. Determiniści i absolutyści prawie skakali sobie do oczu, a kiedy dwaj najbardziej utalentowani projektanci pili razem herbatę, ich dwaj pomocnicy spotkali się w holu i wdali w bójkę, której kres musieli położyć siłą inni pomocnicy.

„Mam zalecenia dotyczące personelu, dzięki którym będzie można rozdzielić i odizolować członków zespołów twórczych w dwóch miejscach, zamiast trzymać konfliktowe osoby w tym samym zakładzie. Proponuję, byś przydzielił odpowiednie osoby do zajęcia się tymi sprawami, jako że ja nie jestem w stanie ich ogarnąć, a wydają się one nabrzmiałe i szkodliwe, a poza tym, wedle otrzymanych informacji, nie pozwalają na stosowanie się do projektów”.

W wolnym tłumaczeniu: zainterweniuj w Ladisiri, aiji-ma, zanim ktoś zostanie zabity.

Zważywszy, że prowincja jest filozoficznie dualistyczna bez pomyślnego trzeciego odłamu, aiji mógłby zagrozić przeniesieniem badań do konkurencyjnej instytucji. To mogłoby zwrócić uwagę obu zespołów. Z pewnością dwaj wyżsi dyrektorzy

nie zdawali sobie sprawy z kłótni, pogrążywszy się w prawdopodobnie płodnej dyskusji nad projektem, która, niech Bóg ma ich w opiece, mogłaby być przydatna w zaawansowanej teorii, ale nie pomoże w wystrzeleniu tego statku.

„Zalecałbym także, aiji-ma, by potrzeby inżynierów lotnictwa miały w tej chwili pierwszeństwo nad dalszymi badaniami teoretycznymi.

Uważam to za sprawę wielce delikatną i pilną, którą - według Twego uznania - zajmę się zgodnie z Twoimi poleceniami lub zostawię bardziej taktownym osobom”.

Był to jedyny naprawdę nierozwiązywalny problem, jaki mieli

121

z tym projektem; dochodziło do niego kilka trudności operacyjnych, ale one nie były aż na takim poziomie. Problem ten aiji być może będzie musiał rozwiązać, wzywając pana prowincji na pilną rozmowę.

Tak czy owak, Bren skończył pisać. Zwinął list, włożył do swojej tutki na wiadomości, po czym ją zapieczętował.

I zamiast wezwać któraś ze służących, żeby zaniósła ją ochronie, postanowił wstać i w poszukiwaniu posłańca przejść ciemnym korytarzem do jasno oświetlonego foyer oraz posterunku ochrony znajdującego się na drugim końcu holu. Nie chciał zakłócać Tabiniemu wieczoru tym listem, ale mógł poprosić kogoś z młodszego personelu, żeby zawiadomił o nim personel

Tabiniego. Poza tym chciał zobaczyć, czy spod drzwi Jase'a sączy się światło, sprawdzić, czy Jase śpi czy jeszcze nie, i po tym poznać...

Właściwie nie bardzo wiedział co, ale chciał poznać stan umysłu Jase'a, bo jeśli jeszcze nie zasnął, to wskazywałoby, że wciąż rozważa różne sprawy; co mogło oznaczać, że Bren powinien z nim porozmawiać.

Spojrzał na drzwi do pokoju Jase'a, ale nie zobaczył światła.

Spojrzał w kierunku, w którym siedł - między nim i odległym światłem dochodzącym z foyer tkwiły dwa ogromne cienie, jeden z nich o bardzo szerokich ramionach. Zdecydowanie nie była to smukła sylwetka którejś ze służących.

Bren obrócił się na pięcie, pobiegł do swojej oświetlonej sypialni i zatrzasnął drzwi.

Zasuważąc rygiel, nie stał przed nimi. Miał broń. Trzymał ją w szufladzie biurka. Nie powinien jej mieć. Na pewno personel usłyszał hałas. Jeśli jeszcze ktoś żył.

Na zewnątrz usłyszał odgłos kroków, stłumiony przez dywan.

Delikatne stukanie.

- Bren-ji?

122

Głęboki, dźwięczny głos. Znajomy głos.

- Banichi?

- Ateva jest pod wrażeniem twojego działania, Bren-ji. Jeśli

trzymasz w ręku pistolet, zechciej go włożyć z powrotem do szuflady.

Bren nie miał już wątpliwości, że to Banichi. A ta druga osoba to zapewne Jago.

- Dobrze się masz, nadi?

- Moje życie jest nudne i zwyczajne. - Zażartował, a serce zaczęło mu bić normalnym rytmem. Następnie pomyślał, że to prawda. Był głęboko przekonany, że ostatnie wydarzenia na Półwyspie i powrót Banichiego są jakoś powiązane. Oboje wrócili do niego i kiedy Bren odsuwał rygiel, żeby ich wpuścić, zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Tak bardzo chciał rzucić się obojgu na szyję.

To jednak przeraziłoby Banichiego i zdumiało Jago, a najcudowniejszym widokiem dla Brena było to, co zobaczył, kiedy uniósł wzrok - dość wysoko - na dwoje atevich w nabijanych srebrnymi ćwiekami czarnych mundurach osobistej ochrony aijiego.

- Ateva nie chciała zaalarmować domu - odezwała się poważnie Jago.

- Chociaż byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś wszczął alarm - dodał Banichi - jako że byłeś za ścianą, a nie, ateva ma nadzieję, przed drzwiami pokrytymi boazerią, paidhi-ji.

W korytarzu zapłonęło światło. Z tylnych korytarzy zaczęły wychodzić służące w nocnych strojach i szlafrokach, a z

przeciwnego kierunku nadszedł Algini oraz paru młodszych ochroniarzy; ci byli o wiele spokojniejsi i sprawiali wrażenie, że o wszystkim wiedzą. Tano przyszedł z tej samej strony, co reszta służby, owinięty w ręcznik kąpielowy i z pistoletem w ręce: on nie

123

wiedział.

Otworzyły się drzwi do pokoju Jase'a Mężczyzna pojawił się w szlafroku za szeregiem służących, rozczochrany i zdezorientowany.

- Wszystko w porządku - poinformował zebranych Tano. -

Wszystko w porządku. Nic się nie stało, Jasi-ji. Wrócili Banichi i Jago.

- Jedliście kolację, nadiin-ji? - zapytał Bren, zamiast uściskać ich oboje. - Czy może personel powinien coś przygotować?

- Jedliśmy w samolocie, nadi - rzekła Jago.

- Ale jako że jesteśmy po służbie - dodał Banichi - i w miejscu, gdzie dziś będziemy spać, może byśmy usiedli i trochę porozmawiali nad kieliszkiem shibei, gdyby paidhi miał na to ochotę.

124

Rozdział 7

Jase wrócił do łóżka i Bren miał nadzieję, że zasnął. Tano i

Algini powiedzieli, że mają coś do roboty.

Coś do roboty, o tej porze? - zadał sobie w duchu pytanie Bren

i nie potrafił stwierdzić, czy są zajęci jego prośbą o prześledzenie drogi wiadomości dla Jase'a, rozgrzewając linie telefoniczne biegnące do stacji naziemnej w Mogari-nai, czy też jest to jakieś nowe zadanie, które właśnie przekazał im Banichi, ale tak czy owak Tano i Algini nie opuszczali posterunku ochrony.

Tak więc Bren znalazł się w towarzystwie tylko Banichiego i Jago. Jakże się cieszył, że ich widzi. Przy Banichim czuł się bezpiecznie, a Jago... Jago, zachowująca się zawsze tak właściwie i taka oficjalna... to ona lubiła z nim rozmawiać, całkowicie ignorując etykietę, to ona próbowała wszystkiego przynajmniej raz, łącznie z intymnymi chwilami spędzonymi z człowiekiem. Do niczego nie doszło, bo czas nigdy nie był odpowiedni; ale mogłoby dojść, i o tym Bren nie zapominał.

Tego wieczoru było tak, jakby wcale nie wyjeżdżali - a jednak Bren musiał zgodnie z prawdą przyznać, że chociaż tak wiele znaczą w jego życiu, byli z nim tylko przez te kilka tygodni kryzysu poprzedzającego lądowanie Jase'a. Potem znów zniknęli, otrzymawszy, jak mu powiedziano, inne zadanie; fakt ten ogromnie go zasmucił i postawił w bardzo trudnej sytuacji wobec Tano i Algini, którzy byli cudowni, ale nie byli tym dwojgiem

125

atevich najbardziej przez niego...

...kochanych.

Zbyt cenni dla aijiego, powiedział wtedy sobie w duchu: nie

ma prawa zakładać, że może ich sobie zatrzymać. Miał cholerne szczęście, że przydzielono mu Tano i Alginiego, których także...
...bardzo lubił.

Może to tylko odwiedziny, może tymczasowa ochrona z powodu najnowszego kryzysu. Może nie zostaną. Właściwie bał się ich zapytać. Chciał to zrobić i chciał zapytać Tabiniego, czy może ich mieć przy sobie na stałe, ale czuł, że prosiłby o coś mającego wartość prowincji, na co Tabini musiałby dać oficjalną odpowiedź, myśląc, że przez ostatnie miesiące paidhi stał się odrobinę bezczelny.

Siedzieli w salonie, sącząc po kieliszku przed snem - przy ciepłym piecyku i oknie szeroko otwartym na wiosenne podmuchy; ekstrawagancja bogatych i potężnych, marnowanie paliwa, z którym Bren nigdy się nie pogodził moralnie i przeciwko któremu w poprzednich i prostszych czasach wystąpiłby do aijiego.

Było jednak tyle spraw, z którymi nigdy się nie pogodził - moralnie.

- Czy człowiek może zapytać - zaczął rozmowę - gdzie byliście?

- Człowiek może zapytać, ale my nie możemy powiedzieć - odparła Jago. - Żałujemy, nand' paidhi.

Kiedyś o mały włos nie poszedł z Jago do łóżka - właściwie znajdowali się wtedy w łóżku - i przez ostatnie pół roku, kiedy

samotnie zasypiał, fakt ten wiele razy przychodził mu na myśl.

Przynajmniej w jego wyobraźni ona tam była.

Albo obraziłaby się, albo roześmiała. Pomyślał, że roześmiałaby się, i zaryzykował bezpośrednie spojrzenie.

126

Nie otrzymał nic w zamian. Atewska powściągliwość, powiedział sobie w duchu. Dyscyplina Gildii i... ona po prostu jest atevą.

Na początek powinien zapomnieć o tym i, Boże, czy człowiek nie mógłby się wplątać w wielkie kłopoty?

Prawdopodobnie nie jest już nawet zainteresowana.

Prawdopodobnie ma już nowe hobby.

- Ateva słyszał - odezwał się Banichi - że Jase-paidhi otrzymał jakimiś nieodpowiednimi kanałami złe wiadomości.

- To prawda - odparł Bren. Banichi miał bardzo cięty sposób podsumowywania sytuacji. Bren zebrał resztki dowcipu, jakie mu jeszcze zostały o tej porze, przestał myśleć o reakcjach Jago i postarał się być równie zwięzły: - Martwię się o trzy rzeczy; po pierwsze, o jego ludzkie uczucia, po drugie, o jego izolację i po trzecie o to, jakiego działania mogą się po nim spodziewać atewskie umysły. Zapytałem Tano i Alginiego, jaka jest zwykła reakcja atevy, i nie wydała mi się ona bardzo odległa od reakcji ludzkiej. - Przez dwie sekundy wsłuchiwał się w echo własnych słów, krążące w zakamarkach jego umysłu, dodał, zebrał myśli,

zastanowił się, zdecydowanie znajdując się pod wpływem shibei, i powiedział: - Po czwarte, czasami, kiedy różnica między ludźmi ze statku i Mospheirą nie jest tak wyraźna, zaskakuje mnie to. I po pomyślnie piąte, co komplikuje sytuację, Jase stara się powstrzymać swoje reakcje w obecności atevich.

- A jak tam ostatnio jego biegłość? - zapytał Banichi.

- Poprawiła się na tyle, że może porzucić język dziecienny i wpaść w poważne kłopoty. Nauczył się słów związanych z tym apartamentem, programem kosmicznym i techniką. Potrafi powiedzieć „gdzie jest?”, „poproszę jedzenie” i „otwórzcie okno”, a także „tolerancja obróbkowa” i „autoklaw”. Wciąż niewiele ponad to, ale przyswajają sobie pomyślnie niuanse.

- Trudno byłoby połączyć te sprawy w rozmowie - rzekł sucho

127

Banichi. - Nawet z niuansami.

- Owszem. - Rozbawiło to Brena; poczuł, jak ustępuje ucisk wokół jego serca. Tano nie przyłapywał go na codziennym braku logiki w zawodzie paidhiego, ale Banichi dokuczał mu bezlitośnie.

Jago też. Musi być świadom zasad kierujących jego życiem i cały czas mieć się na baczności, bo inaczej będą się z niego nabijać.

Podobało mu się to. Odpalił: - A więc co się stało panu Saigimiemu?

- Ateva słyszał - rzekł Banichi - że ktoś go po prostu i bez wyobraźni zastrzelił.

- Ach. Niewątpliwie był to jednak zawodowiec.

- Niewątpliwie - powiedziała Jago. - Chociaż spóźniony.

A więc Tabini nie zawracał sobie głowy pozorowaniem

wypadku, pomyślał Bren: efekt jest bardziej dramatyczny, a ci,

którzy powinni się obawiać, czują większy strach.

- Czy na południu jest spokojnie?

- Południe. O, o wiele spokojniej. Jednak spokój często

rozdziela fronty burzowe.

Ostrzeżenie. Wyraźne ostrzeżenie od Jago.

- Czy jest coś, co chcielibyście mi powiedzieć, nadiin-ji?

- Bardzo chciałbym cię poinformować - odpowiedział Banichi,

używając „niezgodnej z faktami” formy „chciałbym” - ale ogólnie

i dopóki nie poznamy wyniku wczorajszych wydarzeń, proszę cię,

byś nie ryzykował niepotrzebnie. Sytuacja jest dość chwiejna. Pan

Saigimi z klanu Hagrani zdobył sojuszników, bardziej

bojaźliwych lub rozważnych od siebie, ale gdyby którykolwiek z

tych panów stracił znaczenie w obrębie swojego klanu, a jacyś

bardziej radykalni członkowie tych samych klanów zdobyli

wyższą pozycję, czasy mogłyby się stać ciekawe. Zrozum, że w

większości wypadków następcy którejkolwiek z tych osób nie

przewodzą z siłą woli Saigimiego; ale jednego z nich warto

128

obserwować, córkę Saigimiego, Cosadi - jest trochę głupia i

związała się z Direiso - to damska konspiracja, całkowicie

nieprzenikniona.

Jago zrobiła minę i zgromiła swego starszego partnera

wzrokiem. Znając ich oboje, Bren rozpoznał temat rzucony nad jego głową.

- Kobieta może zyskać większe zaufanie Direiso. To naturalne.

- Nie sędzę, żeby młodsza członkini klanu Hagrani była na intelektualnym poziomie Direiso - mruknął Banichi. - Zostanie zjedzona bez soli.

Czyli szybko, przetłumaczył sobie ten idiom Bren. Jego

ochroniarze zaczęli dyskusję w jego obecności, lecz z całą świadomością robili to specjalnie dla niego.

- Ale uważa się za prawowitą intelektualną spadkobierczynię Direiso - rzekła Jago.

- O, marne szansę.

- Pilna uczennica, zdolna do pochlebstw.

- Sądziłem, że bystre kobiety potrafią przejrzeć taką błahostkę.

To była wyraźna drwina, ale Bren nie zrozumiał z czego. Jago nie dała się jednak zrazić.

- One tak rzadko spotykają się z takim pochlebstwem, nadi.

Banichi uniósł brew.

- Co, z pochwałą? Podziwem? Stosuję je, kiedy się należą.

Banichi najwyraźniej zdobył punkt. A przynajmniej

zremisował. Jago zerknęła na niego z ukosa, ale poza tym jej

twarz pozostała bez wyrazu.

- Jago jest przekonana, że uratowała mi życie - rzekł Banichi. -

I nie chce przyzwoicie o tym zapomnieć.

- To o to chodzi? - zapytał Bren. - Ja przynajmniej jestem

129

wdzięczny, Jago-ji, że uratowałaś mu życie. Byłoby mi bardzo smutno, gdybyś tego nie zrobiła.

- Wspomniałam o tym - odparła Jago z kamienną twarzą. -

Oczywiście, nie zagrażało mu żadne niebezpieczeństwo.

- Najmniejsze - rzekł Banichi z niedbałym machnięciem ręki.

- Etykieta Gildii nie pozwala mi powiedzieć, że jest głupcem, Bren-ji, ale ryzykował życie, usiłując zająć przede mną lepszą pozycję. I wcale nie potrzebowałam pomocy, nandi!

Mądry człowiek siedział cicho. Pochylił głowę i przygryzł wargę, bo wiedział, że to przedstawienie odgrywają dla niego.

Po chwili jak grom z jasnego nieba uderzyła go przerażająca myśl, że słyszy szczegóły z minionego poranka dotyczące śmierci, za którą, cholera, tak, ci dwoje byli bezpośrednio odpowiedzialni.

Więc kto strzelał? Do kogo?

Jago? Żeby uratować Banichiego? Jago kogoś zabiła?

Pana Saigimiego?

Czy jego ochronę? To oznaczałoby brak finezji. Banichi nigdy nie żartowałby z takiego wydarzenia. I czy Tabini chciał, żeby Bren poznał takie sprawy?

Banichi swobodnie wyciągnął nogi i łyknął likieru.

- Po prostu uważaj, Bren-ji.

- Bardzo się cieszę, że oboje jesteście bezpieczni.

- My też - rzekł Banichi i lekko się uśmiechnął. - Zadaliśmy

sobie pytanie: „Czego nam teraz brakuje?”. A Jago odparła:

„Nasze życie jest zbyt spokojne. Poszukajmy nadi Brena”.

Przeszliśmy więc z powrotem przez mur i poleciliśmy do

Shejidan pierwszym samolotem.

Bren mógłby się założyć, że nie z lotniska Marid.

- Człowiek jest bardzo zadowolony - powiedział Bren - że

130

oboje wróciliście. Ma nadzieję, że zostaniecie jakiś czas.

- Ateva też ma nadzieję. - Banichi przysunął nogą podnózek,

oparł na nim stopy, wyciągając je do piecyka, a potem oparł się

wygodnie z kieliszkiem w ręku.

- Oni... nie przybędą tu za wami, prawda?

Całkowicie niewinne spojrzenie złocistych atewskich oczu.

- Kto?

- No... - Człowiek głupio zrobił, że o to zapytał. - Ci od muru.

- A, oni.

- Nie - odparła sztywno Jago. - Nie można zgłosić Zamiaru

pod adresem Gildii, Bren-ji. Pewne przywileje Gildia rezerwuje

dla siebie.

- Nie trzeba jednak mówić - dodał Banichi - że jeśli stanowi

się jeden z tych punktów równowagi, od którego zależy inna

równowaga, to zawsze dobrze jest stosować środki ostrożności.

Banichi miał na myśli jego, Brena. Albo Tabiniego.

- Projekt. - Potrafił myśleć tylko o tych dalekich, rozrzuconych instalacjach. - Czy jego bezpieczeństwo zostało wzięte pod uwagę? Nawet moje oczy widzą możliwe słabe punkty w małych zakładach.

- O, tak - odpowiedział Banichi. - Starannie. Stale. Chociaż nie było to nasze bezpośrednie zadanie.

- Ale projektowi grozi niebezpieczeństwo. - Brenowi robiło się zimno na myśl o jakimś z rozmysłem wprowadzonym defekcie. - Wiele przy nim ryzykujemy, nadiin-ji. Nie wiem... nie wiem, czy potrafię wyjaśnić Gildii, jak bardzo jakiś drobny problem może się okazać katastrofalny. Jestem tłumaczem. Niektóre rzeczy wiem dlatego, że pochodzę z wyspy i znam historię ludzi - ale to jest takie ważne. Jest takie ważne, nadiin-ji, a mnie nie udało się przekonać o tym wystarczającej liczby osób. Cała działalność

131

wszystkich paidhiin przede mną sprowadza się do dwóch spraw: pokoju i tego przedsięwzięcia. Do tego zawsze dążyliśmy we wszystkich naszych poczynaniach, we wszystkich radach, które dawaliśmy atevim - pokój i ten projekt miał dać nam wszystkim możliwości, które utraciliśmy podczas Wojny i przez zaniedbanie stacji orbitalnej. Wystarczy jeden akt sabotażu, jeden dobrze ukryty defekt, a statek, który budujemy, przestanie istnieć i być

może nigdy już nie zostanie zbudowany. Ci ludzie w górze nie potrafią zbudować waszej przyszłości, nadiin-ji. I nie chcą tego zrobić. Atevi mogliby wszystko stracić.

Poza Banichiego nie była już tak swobodna. Jago też.

- Ateva widzi co najmniej niepokój - rzekł Banichi. -

Dlaczego, nand' paidhi? Dlaczego się martwisz? Czy chodzi o jakieś konkretne zagrożenie? Czy może jest ono ogólne?

- Bo jeśli statek kosmiczny zawiedzie, Banichi, nie będę już mógł odzyskać tej szansy. Stawka jest bardzo wysoka. Zagrożona jest wasza kontrola nad waszą własną przyszłością. Dlatego zostałem i nie chciałem wracać na Mospheirę, kiedy mój rząd chciał mnie odwołać. Nie pojedę, nawet ze względu na moją rodzinę. - Zdał sobie sprawę, że odtworzył przynajmniej ducha swego przemówienia do robotników, że w głębi jego umysłu czai się strach, który zagnieździł się tam, jeszcze zanim Bren usłyszał o zabójstwie pana Saigimiego. Może był tam, nim jeszcze Bren zobaczył statek leżący w kawałkach u jego nóg i cały ten pełen poświęcenia wysiłek w zwróconych ku sobie twarzach.

Istniało tyle dobrej woli i takie ogromne pragnienie u tylu osób

- tak jednocześnie podatne na zmienne koleje losu i działania kilku nieżyczliwych.

Baji-naji. Przypadek i Los, splątany wzór na dywanie, demon i siła pokonujące najlepsze liczby i poprawiające najgorsze.

- Masz jakiś szczególny powód do obaw? - zapytała Jago:

Jago, która rzuciłaby się między każdego z jej podopiecznych i grożące mu niebezpieczeństwo, ale która była wyszkolona do

132

robienia o wiele bardziej zabójczych rzeczy, użytecznych dla osób obejmowanych przez jej man'chi.

- Po prostu, nadiin-ji, pojedynczy, nie wykryty akt sabotażu mógłby cofnąć projekt tak daleko, że nigdy nie dogonilibyśmy Mospheiry. A widziałem tyle zakładów, do których osoby z miast wchodziły bez kontroli, gdzie miały dostęp rodziny panów. A nie powinny. Nie chciałbym być niegrzeczny wobec tych uczciwych osób - wszystko toczy się tak dobrze. Chyba dlatego mam te irracjonalne obawy.

- Wcale nie są irracjonalne. - Banichi odetchnął swobodniej. - Zdajemy sobie sprawę z ryzyka, możesz mi wierzyć. To ogromnie złożony projekt o wielu słabych punktach. Nie wdając się jednak w szczegóły, pragnę zapewnić paidhiego, że zachowujemy czujność.

Banichi nie chciał użyć słowa „Gildia”. To był mężczyzna, który kiedyś nie wiedział, że słońce jest gwiazdą, i wcale go to nie obchodziło. Natomiast o tym, co go naprawdę obchodziło, wiedział znacznie więcej i poświęcał temu o wiele więcej przemyśleń, niż byłaby to w stanie zrobić większość osób.

- A pan Geigi - odezwała się Jago z drgnieniem ust - ma wyznawców liczb pod kontrolą. Albo przynajmniej dostarcza im

zajęcia.

- Człowiek ma nadzieję.

Karafka stała na stoliku obok Banichiego. Ateva sięgnął po nią i dolał sobie płynu na wysokość palca; nalał też Jago, która wyciągnęła do niego swój kieliszek.

- Nadi? - zapytał Banichi, proponując shibei Brenowi.

Bren zastanowił się. Wypił już kieliszek z Jasem. Jeśli jednak Banichi ujawnia informacje i takie są zasady, to nie będzie odmawiał; pozwolił Banichiemu dolać odrobinę.

- Czy postąpiłem głupio, korzystając z gościnności pana

133

Geigiego? - zapytał.

- Najwyraźniej nie.

- Nie pytałem, czy miałem szczęście. Zapytałem...

Banichi pokazał w uśmiechu zęby.

- O wiele ostrożniejszy ostatnio jest ten nasz Bren.

- Filozoficzne wyznanie pana Geigiego jest jednym z

najbardziej surowych - rzekła Jago. - Zrozum, większość atevich

wyznaje mniej surowe systemy, głoszące, że nie ma pewności, iż

ktokolwiek znalazł właściwe odpowiedzi. A tutaj Geigi i jego

deterministyczni wyznawcy liczb dopasowują odpowiedzi do

wszechświata takiego, jaki także opisują ludzkie liczby, a

racjonalni absolutyści krążą wokół tego nowego zestawu

koncepcji, usiłując znaleźć problem, którego one nie rozwiązują.

Ta sprawa zakrzywionej przestrzeni zyskała wielką wiarygodność, Bren-ji. Numerolodzy wciąż ogryzają kość pomysłu szybciej-niż-światło, rzuconą im przez Deanę-ji. - Ta „Deana-ji” była oczywiście ironiczna. - Nikt jednak nie śmie przeciwstawić się koncepcji zakrzywionej przestrzeni, zanim nie zostaną rozwiązane pewne klasyczne problemy, co daje pożyteczne zajęcie i wyznawcom liczb, i absolutystom, przynajmniej dopóki nie uzgodnią swoich liczb. Z tego, co słyszę, zakrzywiona przestrzeń będzie stanowiła duże wyzwanie.

- Zostawiam takie głębokie zagadnienia mojej partnerce - stwierdził Banichi i pociągnął łyk shibei. - Dobra wola Geigiego jest pewna. To załatwia liczby północnego krańca Półwyspu, które są liczbami dotyczącymi mnie ze względów praktycznych. Martwi mnie skłonność Geigiego do uczciwości, oraz do zapraszania gości pod skrzydła jego ochrony. Tano mówi, że poprosiłeś go, żeby przedsięwziął środki ostrożności.

- Wydawało mi się to rozsądną radą. Może przesadziłem.

Banichi roześmiał się.

134

- Naturalnie, będzie przekonany, że masz specjalne informacje od swojej ochrony i posłucha cię o wiele chętniej niż jakiegokolwiek rady własnych ochroniarzy. Nie mam wątpliwości, że nie będzie mógł spać. Dobre posunięcie, nand' paidhi!

- A co się stanie na Półwyspie? Kto według ciebie przejmie

Marid?

- O, to trudne pytanie. Bardzo trudne, jako że córka

Saigimiego, Cosadi, jest zagorzałą poplecniczką Direiso i całej tej reszty - oraz idiotką.

- Z drugiej strony - wtrąciła Jago - młodszy brat Saigimiego,

Ajresi, który nie mieszka w jego domu i wprost nie znosi żony

Saigimiego, pochodzącej z klanu Samiusi, o wiele chętniej będzie

się sam bronił, niż wplącze dom w jakieś awantury. Jako

przywódca domu jest zarazem i bardziej, i mniej niebezpieczny.

Pozwolił Saigimiemu ryzykować. Ale żeby z braku agresji

pozwolić się odsunąć od sukcesji przez kapryśną bratanicę, która

mogłaby jeszcze dalej zaprowadzić dom ścieżką Saigimiego -

moim zdaniem chyba na to nie pozwoli.

- Mądry wniosek - rzekł Banichi. - Ten dom będzie miał

wewnętrzne trudności. Żona, Tiburi, też może się schroni u

Direiso; nawiasem mówiąc, Tiburi jest spokrewniona z panem

Geigim. Wpędzenie Geigiego w biedę umożliwiłoby jej przejęcie

tego dziedzictwa.

- To o to chodziło?

- O, tak. Tak więc dzięki jej próbie wydziedziczenia Geigiego,

żona Tiburi z klanu Samiusi nie tylko jest niemile widziana w

klanie Hagrani - jest także niemile widziana przez jej dalekiego

kuzyna Geigiego. Podobnie jej córka, Cosadi, nie będzie już mile

widziana przez brata Saigimiego, Ajresiego, szczególnie, że losy

Geigiego są coraz bardziej związane z losami Tabiniego, a ukierunkowanie man'chi Cosadi staje się coraz bardziej nieprzewidywalne. Może zażądać posiadłości Haganich na co najmniej równych prawach, a niektóre osoby z otoczenia

135

Saigimiego, bardziej lojalne względem żony, mogłyby zapobiec przejściu władzy na linię brata, z obawy, że on wyrzuci je za drzwi. Niektórzy mówią, że Cosadi poleciła zabójcom należącym do klanu Haganich wyeliminować brata Saigimiego i uczynić ją przywódczynią Haganich. Ajresi też na pewno zlecił Gildii zlikwidowanie Cosadi.

W tym momencie człowiek chciał chwycić notatnik i poprosić, żeby wszystko powtórzyli. Było jednak za późno. Szumiało mu w głowie. Przynajmniej znał najważniejsze imiona, o które mógł pytać.

- Poza tym - powiedziała Jago - pewne osoby z Gildii, służące Saigimiu, mogą teraz znaleźć sobie inne man'chi, nie chcąc służyć córce, którą jedni podejrzewają o to, że jest idiotką, a inni, że stała się marionetką Tiburi, a ta nawet nie jest z klanu Hagrani i nie może wrócić do swojego.

- Lato na Półwyspie powinno być interesujące - rzekł Banichi.

- Direiso może przyciągnąć tych członków Gildii - dodała

Jago - oraz stracić kilku własnych, którzy zaczną uważać, że

wprowadzenie się tylu celów pod jeden dach jest kompletnym

szaleństwem.

Bren nadstawił uszu. Chciał zapytać, czy man'chi można wybrać, kierując się logiką? Dotąd sądził, że tak jak miłość, man'chi nie podlega zdroworozsądkowym kalkulacjom szans przeżycia podczas takich przetasowań rodem ze sztuk machimi.

Najwyraźniej wcale tak nie było.

Gdyby jednak przerwał potok informacji, mógłby stracić to, co starali się mu powiedzieć na ten swój oszłamiający sposób.

- Ateva sądzi - ciągnęła Jago - że sami Kadigidi (to był ród Direiso) poświęci trochę czasu na przetasowanie lojalności. Syn i najbardziej prawdopodobny spadkobierca samej Direiso pochodzi z rodu Atigeinich ze strony ojca jego matki...

- Ojciec Direiso nigdy nie był głową domu - wtrącił Banichi -

136

z powodu talerza niepomyślnych jagód.

Jagody. Paidhi, czując skutki alkoholu, prawie stracił wątek.

- Zeszłej jesieni - mówiła dalej nieporuszona Jago - syn

Direiso, Murini, był gościem rodu Atigeinich, w tym samym czasie, kiedy, jak mamy powody przypuszczać, Deana Hanks była gościem w domu Direiso. Zwróć na to uwagę, Bren-ji.

Uderzenie i punkt. A więc zdecydowanie w domu Direiso. To z pewnością zasługiwało na zapamiętanie. Bren nie znał też tego szczegółu dotyczącego syna Direiso - czy chodzi o to, że ukrywał się wśród Atigeinich z Tatiseigim ze strachu przed

nieprzemyślanymi działaniami matki? A może był posłańcem,

biorąc udział razem z Atigeinimi w sprawie Deany Hanks?

To oznaczałoby dążenie do obalenia Tabiniego, podczas gdy

Tabini sypiał z panią Darnin, spadkobierczynią Atigeinich.

Gdyby istniał na to jakiś wyraźny dowód, Bren był pewien, że

Banichi czy Jago by mu o tym powiedzieli.

W tym, co wiedział, pewne było jedynie to, że wielmoże z

Doliny Padi, do których zaliczał się sam Tabini, mają bardzo stare

i bardzo poplątane patronaty. Był to centralny patronat Ragi, z

którego wywodzili się wszyscy aijiin rządzący w Shejidan; a w

gruncie rzeczy gniazdo rywali, czasami prowadzących ze sobą

wojny.

Sam pan Geigi i ta niezmordowana amazonka, babka

Tabiniego, wkroczyli do domu, który, jak się teraz wyraźnie

okazało, był domem Kadigidich, i uprowadzili Deanę Hanks ku

wielkiemu niezadowoleniu Direiso i, z tego, co Bren później

słyszał o awanturze i przewróceniu gabloty z antykami, czyniąc

potężne zniszczenia wśród kruchych przedmiotów w jej salonie.

No i jeszcze wiadomość, że w tej samej chwili syn Direiso

znajdował się w domu Atigeinich, podczas gdy córka Atigeinich

była w łóżku Tabiniego.

137

Mieszanka zdecydowanie wywołująca ból głowy. Wśród

atevich sprawy mogły być też bardzo proste.

Dowiedzieć się, kto najprawdopodobniej zacznie wywoływać kłopoty i kto będzie tą osobą, ku której będą się skłaniać wszyscy inni atewscy gracze; szukać najsilniejszego.

Biorąc pod uwagę znaną opozycję względem Tabiniego, wczoraj Bren mógłby powiedzieć, że najsilniejszymi graczami są Tatischeigi z Atigeinich, Saigimi z Marid Tasigin i Direiso z Kadigidich.

A skoro Saigimi nie żyje, Bren powiedziałby, że sprawa rozegra się między Direiso z Kadigidich i Tatischeigim z Atigeinich i, prawie bez zastanowienia stwierdziłby, że prędzej przeciwko Tabinemu wystąpi Direiso - nie wiedział, dlaczego tak pomyślał, ale czuł, że Tatischeigi przestał grozić Tabinemu w chwili, kiedy z obrazu wypadł Saigimi, odległy od niego geograficznie.

Dlaczego tak pomyślał? Dziedziczne ziemie Tatischeigiego leżały w Dolinie Padi, sąsiadując z posiadłościami drugiej ocalałej członkini tej grupy, Direiso z Kadigidich. Direiso posługiwała się Saigimim jako figurantem dla swoich co bardziej nieprzemyślanych, skrajniejszych posunięć.

Ale to nie ze względu na odpływ odwagi u Tatischeigiego Bren umieścił go za Direiso w swojej zamroczonej przez shibei podświadomości, jeśli Tatischeigi sprzymierzy się z tą damą.

Nie, ponieważ siostrzenica Tatischeigiego, Damiri, sypia z Tabinim i być może wyda na świat spadkobiercę Tabiniego.

Gdyby Tatischeigi mógł odzyskać swoją godność jako głowa klanu i

gdyby dało się załatać jego nadszarpniętą dumę - a także ją podbudować, zamiast umniejszyć przez sojusz z Damiri - to być może stałby się on bardzo ważną postacią Patronatu Zachodniego, choć nie jego aijim, na co i tak nie pozwoliłaby Direiso, kierująca się własnymi ambicjami.

No właśnie.

138

To Direiso będzie w tej chwili widziała w Tatiseigim tyleż groźbę dla jej planów zostania aijim, co pomoc, ponieważ Tatiseigi dostrzeże te same fakty: on sam nigdy nie zostanie aijim, jest w podeszłym wieku, nie zostawił po sobie spadkobiercy.

Dlatego Damiri, córka siostry Tatiseigiego, została uznana za spadkobierczynię; a gdyby Tatiseigi był aijim, nie mógłby myśleć w kategoriach ciągłości genetycznej lub politycznej - to właśnie wydobywała ze swoich zakamarków podświadomość Brena.

Tatiseigi musi zawrzeć rozejm z Damiri, ponieważ ma coraz mniejsze możliwości przywołania jej do porządku przez zastąpienie jej. A Damiri ma coraz większe możliwości wydania na świat następcy aijiego.

W tej chwili solą w oku Tatiseigiego był jego dziedziczny apartament w Bu-javid skażony obecnością niechcianych ludzi; jego siostrzenica przeciwstawiała mu się w oczach opinii publicznej, sypiając z Tabinim - a w zeszłym roku jakiś dureń, chcąc zamanifestować niechęć do ludzi lub postawić Atigeinich w

niezręcznej sytuacji, ostrzelał pokój śniadaniowy, niszcząc fryz z eleganckich porcelanowych lili...

Lilii, które w tej chwili odtwarzali ze złością i niechęcią robotnicy wynajęci przez Atigeinich: pokój śniadaniowy został oddzielony od reszty apartamentu stalową ścianą zamocowaną gwintowanymi sworzniami, barierą, która pozwalała tym robotnikom przychodzić i wychodzić bez stwarzania niebezpieczeństwa dla aijiego.

Lilie zostały rozbite przez kogoś, kto zaatakował paidhiego.

Przez kogoś, kto, tego Bren był stosunkowo pewien, nie miał pojęcia, do czego strzela, kogoś zaślepionego pragnieniem zasypania kulami miejsca, w którym przebywał człowiek i prawdopodobnie chcącego wymusić zerwanie Atigeinich z Tabinim.

Jeśli tej roboty podjął się ktoś z Atigeinich, to niemożliwie ją sfuszerował, ponieważ te kule nie zostały po prostu wystrzelone

139

do jakiegoś zwykłego, lubianego przez Atigeinich apartamentu, ale do apartamentu pełnego bezcennych skarbów sztuki i trafiły w lilie, będące symbolem Atigeinich.

Ten fakt był ogólnie znany. Hańba z niego płynąca też. Żaden Atigeini nie byłby taki głupi. Nie zrobiłby tego Tabini - zdobył już Damiri i nie ma nic do zyskania. Nie, zrobił to jakiś sprzymierzeniec Atigeinich - ktoś, kto albo chciał pchnąć

Tatiseigiego do działania, albo (jak szeptano) ukarać go za brak działania w sprawie ludzkich wpływów.

Rezultat jednak, zamiast rozżłościć Tatiseigiego, postawił go w niezręcznej sytuacji.

Powstał cholernie niebezpieczny układ. Lilie zaatakował albo Saigimi, albo Direiso; to było dwoje najbardziej prawdopodobnych podejrzanych.

A jeśli zrobił to Saigimi, który teraz nie żyje, to Tabini usunął osobę, na której Tatiseigi nie mógł się już zemścić. Teraz, po zabójstwie Saigimiego, Direiso będzie musiała szybko wystąpić przeciwko Tabiniemu - lub zginąć w następnej kolejności.

To stawiało niezwykle skonfundowanego i pozbawionego możliwości zemsty Tatiseigiego oko w oko z Direiso, która sama chciała zostać aijim Shejidan kosztem Damiri; ta z kolei mogła spoić Atigeinich z linią Tabiniego i zjednoczyć dwie linie z Doliny Padi w sposób, który mógłby na zawsze zmienić skomplikowane współzawodnictwo w Dolinie Padi.

Cholera, człowiek mógł się nabawić bólu głowy, ale Bren zaczynał rozumieć posunięcia Tabiniego. Zmniejszyć wszystkie inne możliwości: sprawa Saigimiego przygotowywała grunt pod ostateczny upadek Direiso, a gdyby tylko Tabini mógł przywrócić Tatiseigiemu godność takim wspaniałym gestem, jaki wykonał dla uratowania finansów Geigiego, to Tabini miałby w kieszeni i tego atewę, i bardzo cenny sojusz z Atigeinimi, a man'chi potencjalnej

matki jego dziedzica byłoby bezpieczne i niewzruszone jak skała.

140

- Czy jesteśmy tu bezpieczni? - zapytał swoich ochroniarzy, mając świadomość, o co idzie gra w zajmowanym przez niego apartamencie. - To znaczy, przebywając tu. W obecnych warunkach.

- Ateva po prostu obserwuje. Powiedzmy tylko, że jesteś tak bezpieczny jak sam aiji.

Ironicznie podwójne znaczenie. Gdyby w tym momencie pani Damiri zdradziła Tabiniego - albo gdyby sprawa Tatiseigiego wybuchła przemocą - znaleźliby się w prawdziwych kłopotach.

O ile sprawy nie przejmie babka Tabiniego, Ilisidi. Ilisidi mogła to zrobić - a według niektórych doniesień przynajmniej bardzo tego pragnęła. Boże - to chyba nie ona rozbiła te lilie? Była przecież sojuszniczką Atigeinich. Oraz dużą siłą wśród wschodnich panów wokół Malguri. To dlatego poślubił ją dziad Tabiniego - żeby utrzymać Wschód w Patronacie.

Z drugiej strony - Brenowi zaczynało już brakować stron - jeśli chodzi o babkę - Ilisidi - nie można powiedzieć, żeby była źle nastawiona wobec paidhiego czy ludzi. Gdyby na zimę nie pojechała do Taiben, woląc tamtejsze otwarte przestrzenie, Bren sam spędziłby tej zimy dużą część swych nielicznych wolnych chwil w towarzystwie Ilisidi.

Lubił Ilisidi. Tak jak lubił Geigiego. Ludzki osąd. Nie był on

jednak, do cholery, automatycznie błędny. Nie... Ilisidi nie zniszczyłaby lilii, tak jak Ilisidi nie zniszczyłaby tego, co przedstawia wartość historyczną i na dodatek jest piękne. Bren nigdy by nie uwierzył, że jest zdolna do tak grubiańskiego czynu. Był to ludzki osąd - lecz osąd trafny.

- Nadiin - powiedział, czując ból głowy od tego myślenia w kółko - człowiek musi iść do łóżka, nadiin-ji. Po śniadaniu mam spotkanie z Tabinim. Nie musicie wstawać o tej porze - jestem pewien, że Tano i Algini dadzą sobie radę, a wy możecie się wyspać.

141

- Ten dom podaje śniadania, pozostawiające niezatarte wspomnienia - rzekł Banichi. - Jago może być nieprzytomna i sztywna, kiedy wstanie słońce, ale ja przynajmniej zamierzam się pojawić.

- Ci, którzy nie spędzili nocy na dachu w deszczu, mogą się zwlec na śniadanie - powiedziała Jago. - Mogę przyjść, nadi Bren. Mogę nie przyjść.

- Jak dobrze widzieć was oboje. - Wstał, wziął karafkę i nalał Banichiemu i Jago po kolejnej porcji.

- Zdemoralizujesz nas, nadi - powiedział Banichi.

- Weźcie to, weźcie. Tak osobom, które spędzają noc na dachu, jak i tym, które tego nie robią, należy się nieco wygod, kiedy docierają w bezpieczne miejsce, prawda?

- Ateva chętnie da się zdemoralizować - powiedziała Jago, podnosząc kieliszek. - Przynajmniej dzisiaj, Bren-ji.

Tak więc oboje wyszli z dopełnionymi kieliszkami i, tego Bren był pewien, poszli do dwóch sypialni sąsiadujących z pokojem Jase'a, które czekały na nich od pół roku.

To był długi dzień, pomyślał Bren, zdejmując ubranie i przygotowując się do snu. Piękny dzień, katastrofalny dzień - i jednak dobry dzień, skoro znaleźli się Banichi i Jago.

Niedobry dzień dla pana Saigimiego. Brenowi było przykro za wszystkich, których man'chi było związane z Saigimim. Z zawodową ciekawością oglądał w telewizji sztuki machimi, jak od lat oglądali je paidhiin, usiłując rozszyfrować kod atewskiego zachowania. Afera z Saigimim była klasyczna - nieznanne powiązania, man'chi zmieniające się w sposób nieprzewidziany nawet dla osób najbliższej związanych z nieżyjącym panem.

Istniała nawet szansa, że Cosadi, córka zabitego, nie zawsze wiedziała, z kim jest związane jej man'chi, a wątpliwości co do

142

własnego postępowania, jak zaczynał postrzegać to Bren, wywoływały u tej młodej kobiety prawdziwą emocjonalną burzę i zasadniczą niepewność co do tego, które elementy w jej krwi, by użyć ludzkiego wyrażenia, pociągną ją w jakim kierunku i czy ona sama przeżyje kryzys, podczas którego ta sama niepewność rozstrzygnie się dla dziesięciu osób naraz.

Kontrolę przejął tymczasem nowy pan, prawdopodobnie Ajresi, wypędzając żonę Saigimiego (krewną Geigiego), Tiburi, z klanu Samiusi, oraz Cosadi do domu Direiso, pogrążonego po dach w konspiracji uprawianej przez martwego pana przeciwko aijiemu.

Rzeczywiście, klasyczne machimi. Brena fascynowały kolory, sztandary, ruchy wojsk, struktura starożytnych atewskich fortec.

Zapoznał się zjedną z takich fortec, w Malguri, bardzo dokładnie, aż po klasyczną kanalizację w łazience. Mówił sobie, że jako człowiek nie powinien tam przebywać.

I mimo wszystko kochał to miejsce, a wrażenia wywoływane przez smagane wiatrem wysokości i wiek kamieni przemawiały do czegoś w jego sercu, co odziedziczył po przodkach. Tam zwarł się z czymś, co było dogłębnie atewskie. Nauczył się rzeczy, których on, zawodowo zajmujący się słowami, nie potrafił wyrazić w słowach; widział rzeczy, od których coś ścisnęło go za gardło i szybciej biło serce.

Pokazała mu je Ilisidi.

Udowodniła może w ten sposób, że ludzkie instynkty i atewskie man'chi rzeczywiście miały coś wspólnego, zanim się rozdzieliły i stały tym, czym okazały się po dotarciu na wyższe gałęzie ewolucji.

A może tylko to, że oba ich gatunki pochodzą z planet. Coś w nich obu kocha ziemię, kamienie, dotyk tego, co żyje.

Zdjął koszulę. Wyśliznęła mu się z palców, zanim zdążył się odwrócić i oddać ją służącym.

143

Służącym Atigeinich. Człowiek żywił szczerą nadzieję, że są lojalne względem mieszkającej za ścianą pani Damiri, a nie wuja Tatischeigiego.

Machimi.

Czyje man'chi ma pierwszeństwo? Które man'chi stało się jasne dla służących, kiedy poznały swego ludzkiego gościa - oraz zaczęły opiekować się Jasem, który miał kłopoty z ziemistym i kamiennym aspektem rzeczy i który, uderzony rodzinną tragedią, naprawdę miał usprawiedliwienie dla swego niepokoju trwającego całą zimę.

Bren już dawno wyzbył się w tym pełnym kobiet domu skrępowania dzięki zasadzie stosowanej przez służące, że mężczyzna nie może się sam rozebrać ani prać swoich ubrań.

Przez ostatnie dni personel zastępował Tano; obaj wykorzystywali ten krótki czas spędzany na osobności do wymiany informacji: co robili w ciągu dnia, czego spodziewają się nazajutrz. W takim układzie Bren czuł się o wiele swobodniej i że jest bliżej Tano niż kiedykolwiek przedtem.

Teraz jednak zdecydowanie wrócili do Shejidan i Tano nie był już osiągalny. Być może Bren wypił o jeden kieliszek za dużo i czuł, że nerwy ma rozedrgane od otrzymanych informacji, tak

rozedrgane, iż nie był pewien, czy w ogóle zaśnie.

Łóżko przyzywało jednak obietnicą atłasowej pościeli i miękkich poduszek. W kącie stał telewizor, jego lek na bezsenność podczas podróży - w tej antycznej sypialni ustępstwo na rzecz konieczności śledzenia przez paidhiego wiadomości; czasami też po prostu dostarczał rozrywki albo wypełniał ciszę.

Ale do Brena wrócił jego personel. Miał Banichiego i Jago.

Znowu ich miał.

Oddał ubranie w ręce Sasi: była to starsza służąca, mająca - jak sama go dumnie poinformowała, pokazując fotografie - czwórkę wnuków.

144

Odstępca, człowiek znajdujący się z dala od swej kultury, uznał, że czyni to z Sasi absolutną profesjonalistkę w układaniu ludzi do łóżka i że ma przyzwoity, trzeźwiący wpływ na dwie młodsze pokojówki, które stały obok i podawały oraz przyjmowały ubrania, wymieniając kaftan wypoczynkowy na kaftan do snu, w którym zwykle się nie spało, ale który i tak należało koniecznie przyjąć. Po prostu nosiło się odpowiednie stroje, i to było wyjaśnienie, nawet jeśli rzeczony ubranie natychmiast, po piętnastu krokach, zdejmowało się, by móc się położyć.

Na tym polegała uprzejmość. Tego się spodziewano. Paidhi miał pozycję na dworze i dlatego szafa paidhiego pękała od

odpowiednich ubrań, stanowiących dumę i przedmiot starań jego personelu.

I paidhi nie mógł - o Boże, nie - ubierać się czy rozbierać samemu, nie okazując braku zaufania do jego atigeińskiego personelu.

W ciągu ostatniego roku swego życia paidhi nareszcie zrozumiał, o co chodzi personelowi, i przestał przeszkadzać służącym w sprawianiu mu przyjemności.

- Jak prace remontowe? - zapytał, kiedy Sasi pobieżnie przejechała mu szczotką po włosach, przytłaczając go swoim wzrostem. W powietrzu stale unosił się delikatny zapach farby i świeżego gipsu. Tego wieczoru wydawał się jednak słabszy. - Nadi Sasi? Człowiek słyszał, że malowanie mogło się skończyć.

- Wszystkie prace są prawie zakończone, nand' paidhi.

Słyszałyśmy, że kafelki są na swoich miejscach. Malarze pracują prawie bez przerwy i chyba już kończą.

Młoda służąca, stojąca przy drzwiach, dodała:

- Rzemieślnicy sądzą - może jeszcze jeden dzień, nand' paidhi.

Tak mówi nand' Saidin.

- Myślę, nand' paidhi - rzekła Sasi - że tak powiedzieli pani.

145

Innymi słowy, Darnin. Ekipy szorujące i stukające na końcu korytarza składały się z robotników Atigeinich, a przynajmniej robotników dokładnie przebadanych przez pana Atigeinich.

Biorąc pod uwagę swe niedawne myśli, człowiek się zmartwił.

- Nadi. - Jedna z pokojówek wyjęła z kieszeni kaftana

paidhiego zwój i podała go Sasi, która następnie przekazała go

Brenowi.

Telegram Toby'ego. Cholera. Nie udało mu się odpisać.

Nie mógł jednak nic na to poradzić, tak jak nie mógł nic

poradzić na stan zdrowia matki. Ma opiekę medyczną. On nie

może pomóc. Kiedy rozmawiali przez telefon, denerwowała się i

poruszała denerwujące ją tematy: jak jego praca czy nocne

telefony do niej. Lepiej było, kiedy do niej nie dzwonił.

Położył zwój na nocnym stoliku. Następnie zdjął atłasowy

kaftan, oddał go Sasi i rozciągnął się w pościeli w historycznym

łożu Atigeinich - w którym został zamordowany któryś z nich

przed kilkoma wiekami, pod kołdrą, której ta była kopią.

Wszystkie lilie na końcu korytarza będą dokładnymi kopiami

lilii zniszczonych przez zamachowca.

Atigeini byli uparci co do wystroju wewnątrz swoich domów. Co

do swojej władzy. Autonomii. Gościnności okazywanej swoim

gościom.

Damiri miała możliwości sprawdzenia robotników. Mówił to

sobie od miesięcy. Ta specjalna stalowa zaporą, pomysłowe

urządzenie z rozporkami, które wysuwały się i zatrzaśkiwały we

wszystkich kierunkach, wywołała zamieszanie wokół stolarki; ale

bariera została zainstalowana, co oznaczało, że robotnicy i

rzemieślnicy musieli używać rusztowania spuszczonego z dachu pod okiem strażników Tabiniego. W związku z tym sąsiedzi zabezpieczyli swoje okna podobnymi urządzeniami.

- Mam zostawić otwarte okna, nand' paidhi? Czy otworzyć

146

wywietrzniki?

- Chyba tylko wywietrzniki. Dziękuję, Sasi-ji. - Bren sądził, że nikt nie zapyści się do apartamentów, korzystając z zewnętrznej konstrukcji. Szorowanie, stukanie i zapach farby oraz gipsu towarzyszyły mieszkańcom przez całą zimę; a teraz, skoro nadeszła wiosna i w sąsiednich apartamentach, podobnie jak w tym, można było wykorzystać ich wysokie położenie nad miastem i ogólne bezpieczeństwo, pozwalające otworzyć okna na podmuchy wiatru, prace remontowe zdecydowanie uległy przyśpieszeniu - pojawiła się potrzeba zakończenia uciążliwych robót, zanim, jak powiedział Tabini, ktoś zgłosi waśń z Atigeinimi z powodu przykrych zapachów.

Wydawało się, że niedługo nastąpi rozwiązanie tej sytuacji - koniec stuków i łomotów, na które strażnicy podrywali się i biegli sprawdzić, co się dzieje, z apartamentu przestaną ulatywać obrzydliwe zapachy. Wyrażenie „jeszcze kilka dni” stało się domowym żartem na długo przed „deszczowymi chmurami”, ale brzmiało bardzo zachęcająco.

A więc pozbędą się tej bariery, robotników, zapachów

utwardzaczy i rozpuszczalników, wpadających przez balkonowe okna, a Bren odzyska cudownie piękny pokój, który akurat był jego ulubionym miejscem w apartamencie, czy to do pracy, śniadania, czy po prostu do siedzenia i odpoczynku.

Boże. O Boże. Data.

Czternastego miał udzielić telewizyjnego wywiadu. Jutro. Czy to już jutro? Czternasty?

To będzie czternasty. Od wyjazdu nawet o tym nie myślał. Nie myślał o tym nawet przelotnie, kiedy zastanawiał się nad przedłużeniem wizyty u Geigiego.

Nie miał najmniejszej chęci wiązać w oczach opinii publicznej sprawy programu kosmicznego z zabójstwem pana Saigimiego; nie chciał odpowiadać na pytania dotyczące tej sprawy, które

147

mogły się pojawić - służby informacyjne, ogólnie zachowujące się przyzwoicie, czasami wciąż jeszcze popełniały gafy podczas wywiadów na żywo - na żywo, ponieważ niektórzy atevi uważali, że aby liczby nie były celowo mylące, programy telewizyjne dotyczące polityki muszą być nadawane na żywo.

Bren jednak nie mógł już o tej porze odwołać tej konferencji prasowej, nawet ulegając atakowi zatrucia, ponieważ atevi wyciągnęliby bardzo niepożądane wnioski.

Musi zebrać myśli i stawić jutro czoło telewizji - zrobić to sprawnie i w pełni władz umysłowych. Datę wywiadu ustalił

przed piętnastoma dniami, kiedy sprawa wyglądała bardzo dobrze i zdawała się być pod jego kontrolą. Wpisał ją do kalendarza tuż po objeździe fabryk. Postarał się, żeby nie zahaczyła o daty podróży. W ostatniej chwili dodano mu do objazdu dwa dni i trzy laboratoria i Bren kompletnie zapomniał o tym cholernym wywiadzie jako o czymś ważnym, traktując go jako jedną z tych niezliczonych spraw, wśród których prowadził go jego personel i o której Tano powiedziałby mu w chwili, gdy Bren zaproponowałby przyjęcie propozycji pana Geigiego dotyczącej spędzenia dnia na łodzi. Można by to zrobić: po prostu przeniosłoby się to wydarzenie do prowincji Sarini, ustawilo kamery, światło i cały majdan we frontowym holu dla Geigiego, a Bren wcale by się tym nie zirytował poza tym, że zmieniłoby to jego plany rybackie.

Gdyby jednak miał teraz wybór, nie chciałby tego robić jutro.

Cholera! Nie chciałby. Sądził jednak, że nikt, łącznie z osobami, które przebywały lub nie na dachach pewnych budynków w deszczu, nie brał pod uwagę rozkładu wywiadów paidhiego, dokonując zamachu na pana Patronatu.

148

Rozdział 8

Banichi i Jago przyszli rano do jadalni, pogodni i wyraźnie szykujący się do śniadania obciążającego dwa wózki czekające pod ścianą na zewnątrz.

Jase zamknął się w swoim pokoju. „Jase śpi”, powiedziała madam Saidin. Personel cicho do niego zajrzał, chcąc się upewnić, że Jase wypoczywa i że jest bezpieczny; dopilnują, żeby zjadł, kiedy się obudzi.

- Myślę, że sen jest dla niego ważniejszy - zgodził się Bren, siadając do stołu. - Dziękuję, Saidin-ji.

Na śniadanie przyszli też Tano i Algini. Po drodze do swego krzesła Tano z lekkim ukłonem położył przy talerzu Brena dwa przedmioty: kawałek podwójnie złożonego papieru welinowego - nie zwiniętego, jak robiło się to z oficjalnymi wiadomościami - oraz zwój w złotej (ale bardzo porysowanej) tutce.

Złożona notatka napisana ręką Tano głosiła: „W śledztwie związanym z wiadomością dla Jase-paidhiego w Mogari-nai ustaliłem, że nie otrzymano żadnej wiadomości skierowanej do niego podczas Twojej nieobecności. Sprawdziłem to w danych elektronicznych dostarczonych przez Mogari-nai”.

No właśnie, kiedy zeszłego wieczoru Bren siedział i rozmawiał sobie z Banichim i Jago, inni członkowie jego personelu wypytywali stację naziemną w Mogari-nai za

149

pośrednictwem personelu Bu-javid, który mógł otrzymać prawdziwe i wiarygodne odpowiedzi.

A więc statek Jase'a nie poinformował go o czymś tak osobistym i pilnym. Pytanie, dlaczego nie przekazali wiadomości

Jase'owi i dlaczego poinformowali Yolandę, nie mówiąc jej, że Jase nic nie wie, pozwalając jej w ten sposób ujawnić tę wiadomość. Postawienie w takiej sytuacji dwojga agentów znajdujących się w terenie było głupie, a głupota nie pasowała do innych działań podejmowanych przez statek.

„Także ani Manasi, ani nikt inny z personelu nie otrzymał od nand' Jase'a prośby o skontaktowanie się ze statkiem, chociaż i tak nie zostałyby ona spełniona. Chciał rozmawiać z Tobą osobiście i ta prośba została odrzucona. Nand' Jase zareagował na tę odmowę najwyższymi emocjami i poprosił, żeby nikt się nie kontaktował z Tobą w jego imieniu. Nand' Manasi wyraża troskę z powodu tej sytuacji, ale przekazał taśmę z kontaktem z Mospheirą personelowi aijiego, nie wiedząc, że zawiera ona coś niezwykłego, a na razie personel aijiego nie wydał żadnego oświadczenia na temat treści tej taśmy. W sprawie dostarczenia sprawozdania na czas toczy się śledztwo”.

To znaczy, że personel aijiego, prawdopodobnie zajęty obserwacją Mospheiry w związku z innymi sprawami, otrzymał taśmę z treścią rozmowy telefonicznej, ale nie zinterpretował jej z powodu innych wydarzeń, to znaczy sytuacji na Półwyspie, którą mógł traktować pierwszoplanowe. Pilnujący Jase'a Manasi nie wiedział, co się dzieje. Jase poprosił Manasiego o coś niezgodnego z jego rozkazami, a potem kazał mu się tym nie zajmować.

Jase skłaniał się też do opinii, że zasad się nie kwestionuje ani nie łamie; Bren podejrzewał, że ta jego skłonność wywodzi się z kultury statku, z której pochodził Jase. Była to też jedna z tych drobnych różnic między statkiem i Mospheirą. Bren i Jase mówili prawie tym samym językiem, ale napotykali na olbrzymie

150

problemy biorące się ze złych założeń. Na pewnym poziomie cała ta sprawa miała irracjonalne zabarwienie jednego z takich problemów.

Tym razem jednak nieporozumienie nie było trywialne.

I wciąż nie dawało odpowiedzi na pytanie, dlaczego statek nie poinformował Jase'a za pośrednictwem Mogari-nai. Nie wyjaśniało też, dlaczego personel aijiego, choć zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, nie poinformował Brena. Bren nie był pewien, czy Manasi popełnił błąd; nie był też pewien, czy personel coś przed nim ukrył, lecz obudził się jego instynkt wykrywania kłopotów.

Notatka Tano przechodziła dalej do drugiego zadania, którym Bren obarczył swój personel zeszłego wieczoru: „Przekazałem Twoją notatkę nand' Eidiemu. Aiji prosi, żebyśmy zawiadomili jego personel, gdy tylko skończysz śniadanie. Powiedział, że nie może dokładnie określić, ile czasu będzie miał aiji na spotkanie, a Ty - było to wielkopańskie „Ty”; Tano nigdy nie wiedział, jak sobie poradzić z ich poufałością na papierze - też nie powinieneś

być odrywany od swoich zadań. Może trzeba będzie poczekać i zostanie to zorganizowane.

Czy pamiętasz też, że dzisiaj w południe jesteś umówiony na telewizyjny wywiad na żywo? Zapytałem wczoraj nand' Eidięgo, czy powinien zostać przełożony lub nagrany na taśmę. Nand' Eidi mówi, że aiji uważa, iż jakakolwiek zmiana w Twoim rozkładzie zajęć zostanie uznana przez opinię publiczną nie za usprawiedliwione pragnienie odpoczynku, lecz za reakcję ochrony Bu-javid na ogólny stan zagrożenia, oznakę obaw, której aiji nie pragnie przekazać.

Zatem jest życzeniem aijiego, byś stawił się na wywiad zgodnie z planem. Przekazuję słowa aijiego. Jeśli możemy Ci służyć, zaniemiemy kolejną wiadomość”.

- Dziękuję, nadiin-ji - powiedział Bren, używając liczby mnogiej, bo domyślał się, że zeszłej nocy i Tano, i Algini pełnili

151

obowiązki, nie śpiąc z powodu sprawy Jase'a; wiadomość dla aijiego stanowiła o wiele prostsze zadanie, ale zostało ono wykonane zanim Bren nawet o nim pomyślał, dzięki Bogu, że Tano pilnuje rozkładu jego zajęć.

Wziął drugą tutkę, którą otworzył już prawdopodobnie personel: pieczęć była przełamana. Nie rozpoznawał jej, ale porysowana złota tutka najwyraźniej zawierała wiadomość, którą według jego personelu biurowego i domowego Bren powinien

zobaczyć jako równie ważną, co sprawa Jase'a.

Wiadomość, którą rozwinął, kiedy Saidin serwowała bułeczki, a inna służąca nalewała herbatę, miała nagłówek pana Dur-wajran.

A więc ta nieznana pieczęć należała do niego.

To ta sprawa, pomyślał Bren: pilot, który prawie się zderzył z ich odrzutowcem.

„Nand' paidhi - brzmiała treść napisana niezbyt eleganckim charakterem pisma - ateva jak najszczerzej pragnie Twojej dobrej woli. Nieszczęsne okoliczności - z błędem - naszego spotkania były nie zamierzone z mojej strony z powodu błędu i pragnę osobiście przyjąć za nie pełną odpowiedzialność. Proszę, nie obrażaj się na mój dom. Nie chciałem uderzyć w Twój samolot. Winę ponoszę wyłącznie - z błędem - ja i składam najgłębsze wyrazy żalu z powodu mojej głupoty”.

Podpisał to niejaki Rejiri, używający herbu klanowego, który Bren uznał za pieczęć Dur-wajran.

- To był ten pilot? Ile on ma lat?

- Młody - odrzekł Tano. - Zdziwiłbym się, gdyby miał dwadzieścia. Przyniósł tę wiadomość razem z kwiatami na posterunek ochrony skrzydła mieszkalnego. Zgodnie z ogólną polityką kwiaty zostały odesłane na publiczną wystawę, ale wiadomość przyjęto. - Następnie Tano dodał tonem świadczącym, że uznaje to za zupełnie idiotyczną propozycję: - Chciał wejść na górę.

- O czym mówimy? - zapytał Banichi.

- Wczoraj jakiś pilot podleciał swoim samolotem bardzo

blisko nas - wyjaśnił Bren. - Rozumiem, że nie czeka na dole.

- Nie sądzę - odparł Tano. - Mówią jednak, że się upierał.

- Młody - rzekł Algini. - Ateva sądzi, że jednym z powodów

jego zmartwienia jest zarekwirowanie samolotu, co może

sprowadzić do Shejidan jego rodziców. Może chce poprosić cię

o skasowanie zapisu. Radziłbym, żebyś się z nim nie spotykał ani

nie spełniał tej prośby.

- Ma na swoim koncie - dodał Tano - drobne wypadki lotnicze

wokół wybrzeża w okolicach swego domu. Nie powinien

przylatywać na największe lotnisko na świecie.

- To prawda. - Bren toczył kampanię na rzecz surowszego

przestrzegania przepisów KRP. Podał notatkę Jago jako

najbardziej wyrozumiałej członkini swojej ochrony. - Mam

nadzieję, że nie zostanie potraktowany zbyt surowo. - Podchodząc

zbyt blisko do rezydencji aijiego podczas stanu zagrożenia, można

było narobić sobie wielkich kłopotów. - Proszę, żeby ktoś go

zawiadomił, że nie czuję urazy i że personel Bu-javid ma

pilniejsze zadania.

- Personel usiłował wpoić mu wagę tych spraw - rzekł Tano -

oraz wyjaśnić, że powinien zwracać baczniejszą uwagę na

wydarzenia publiczne. Ateva ma nieprzeparte wrażenie, że temu

młodzieńcowi brak powagi.

- Dlaczego paidhi ma do czynienia z tą osobą, nadi? - zapytał Banichi, a w owym „nadi” zawierała się potencjalna nagana dla młodszego ochroniarza. - I co się wydarzyło?

- Pogwałcenie KRP - powiedział Tano. Notatka przemieściła się od Jago do Banichiego. - Traktujemy je poważnie, nandi, przynajmniej po to, by się upewnić, że nie ma w nim nic więcej, niż się wydaje. Wygląda na to, że to młody pilot z wyspy - syn pana Dur.

153

- A - powiedział Banichi, jakby to wyjaśniało wszelkie szaleństwa na świecie. Banichi sięgnął po następną grzanekę i tak zaopatrzony przeczytał notatkę i spojrzał na pieczęć.

- To drobiazg - odezwał się Algini. - Władze poinformują rodziców. Nie radziłbym, nadi Bren, przyjmować przeprosin chłopca. Przeprosiny dla osoby twojej rangi powinny najpierw nadejść od pana Dur, a potem od chłopca.

- Rozumiem - powiedział Bren. Nand' Saidin podała mu jajko i pasztecik. Zważywszy na konieczność spotkania się z Tabinim, to mógł być jeden z owych dni spędzonych głównie na czekaniu. Wyglądało na to, że przy rozmaitych nagłych zdarzeniach dzień Tabiniego będzie bardzo nieprzewidywalny. - Dziękuję, nadi.

Gdyby paidhi nie miał personelu, który przywołuje go do porządku, do tej pory obraziłby już połowę świata i wszystkie

szlachetne domy zgłosiłyby przeciwko niemu kontrakty.

- To naprawdę jest młody głupiec - rzekł Banichi, odkładając notatkę. - Nie zajmuj się nim, Bren-ji. To zadanie dla innych osób.

Tymczasem my będziemy się starali znaleźć odpowiedzi na inne twoje pytania.

Inne pytania, czyli sytuacja wśród panów po zabójstwie

Saigimiego: atewska polityka.

A tymczasem miał komputer i aktówkę pełne surowej, nie ruszonej pracy, którą musiał wykonać na rzecz programu kosmicznego.

Musi też osobiście zająć się Jasem. Jego ochroniarze powiedzieli, że nie znaleźli w Mogari-nai żadnych przeszkód, które opóźniałyby lub uniemożliwiały przekazywanie informacji, a mieli dostęp do wszystkiego; poza tym dali Brenowi do zrozumienia, że Jase nie upierał się, żeby Manasi przekazał jego prośbę odpowiednimi kanałami.

Zasadniczo jednak Bren musiał się dowiedzieć, co - do jasnej

154

anielki! - dzieje się wewnątrz statku i dlaczego Jase otrzymał tak osobistą wiadomość ze źródła, które najwyraźniej zostało zawiadomione z pominięciem Jase'a.

Tak po prostu, do diabła, być nie może, pomyślał Bren, ani w tej kwestii osobistej, ani żadną miarą w innych kwestiach związanych z tym, po co Yolanda i Jason przylecieli na ziemię.

Tam właśnie należy szukać sedna sprawy, tyle że nie tej dotyczącej ojca Jase'a, bez względu na to, jak jest tragiczna w wymiarze osobistym.

Tymczasem Banichi, Tano i Algini zaczęli omawiać stan ochrony budynku i zastanawiać się, czy na trzecim piętrze trzeba będzie ogłosić alarm (ta decyzja należała do personelu Tabiniego, a nie do nich) w związku z rusztowaniem, które, jak głosiła plotka krążąca wśród personelu, miało być jutro rozebrane.

Jutro, pomyślał Bren, nadstawiając uszu. Cóż za wspaniała wiadomość. Robotnicy skończyli swoje dzieło. Żadnych rusztowań.

- Żadnej zapory w pokoju śniadaniowym? - zapytał. -

Zdemontują te ohydne drzwi?

- Ateva ma nadzieję, paidhi-ji - odparł Tano.

- Ale - powiedziała Jago - dzisiaj przybywa jeden z panów

Marid, żeby przedstawić aijiemu jakieś żądania.

- Albo - dorzucił Banichi - chce uciec przed polityką tego rejonu. Zauważ, że nie złożył podania o audiencję.

- Kto to taki? - zapytał Bren.

- Niejaki Badissuni - odezwał się Algini. - Ateva zastanawia się, nand' paidhi, czy to uczciwa prośba.

- Ateva nie sądzi - powiedziała Jago. - Bardzo jej nie dowierzam. Wolałabym, żeby tych drzwi nic usuwać.

Banichi miał bardzo poważny wyraz twarzy. Bren miał

nadzieję, że on też.

- Prasa twierdzi - rzekł Tano - że pan Badissuni ucieka od polityki swego rejonu. Ja uważam, że prasie tę informację podsunęto.

- Słuszny domysł - powiedział Banichi i zastukał w stół ostrym nożem do jajek, balansującym delikatnie na kciuku. - Idę o zakład, że chce, żeby prasa takie wiadomości rozpowszechniała. Chce jednak, żeby śledziła tę historię, bo gdyby Tabini-aiji wyrzucił go z jego rodowych apartamentów w Bu-javid, Badissuni mógłby uprawiać politykę w domu.

- A Tabini to zrobi? - zapytał Bren. - To znaczy, wyrzuci go?

- Hagrani z Marid mają apartament o piętro niżej, na rogu -

wyjaśnił Algini. - Zupełnie blisko, nand' paidhi. Ateva ma nadzieję, że Badissuni nie zapyta, czy może się tam zatrzymać.

Obawiamy się jednak, że tak będzie. Balkon jest otwarty, żeby wyschła farba i wietrzył się pokój. To nie są dobre warunki bezpieczeństwa. Jeśli płyta zabezpieczająca zostanie zabrana, będziemy mieli takie same warunki jak przedtem, szklane drzwi, balkon, żadnych kłopotów, jeśli wszyscy mieszkańcy tego skrzydła są godni zaufania. Ale nie chodzi tylko o te szklane drzwi. Sąsiedni apartament należy do aijiego. To poważna sytuacja. Saigimi nie używał tego apartamentu. Wynajął go panu Geigiemu, który tu teraz nie mieszka ani nie będzie mieszkał.

- Aiji powinien zakazać mu otwierania tego apartamentu -

powiedziała Jago półgłosem. - Ten ateva jest niebezpieczny.

Powinien zostać odesłany do domu bez audiencji. W budynku będą się odbywały oficjalne uroczystości i na pewno będziemy otwierać okna. To jest zaproszenie, które być może aiji wysyła świadomie. Sprzeciwię się jednak, jeśli to wszystko zbliży się do ciebie, Bren-ji.

Jago w ten sposób dawała do zrozumienia, że apartament Badissuniego znajduje się drażliwie blisko apartamentów Brena i aijiego. A szklane drzwi pokoju śniadaniowego już raz okazały się

156

zbyt kruchą osłoną przed kulami. Dlatego naprawiano fryz z liliami.

- Jestem tu, by odpocząć - skwitował sytuację Banichi, co, jak sądził i z czym się zgadzał Bren, znaczyło, że mogą tę sprawę zostawić komu innemu i cieszyć się własnym bezpieczeństwem.

Toteż Banichi dołożył sobie następną porcję. A wraz z Banichim, Tano i Alginim przy stole, ubranymi w czarne mundury, lecz w samych koszulach, by nie porysować delikatnych krzeseł kaftanami nabijanymi srebrem, paidhi jadł swoje ulubione śniadanie, rozmyślał o własnych nieuniknionych kłopotach i słuchał składającej się z półsłówek rozmowy swego personelu, w trakcie której kolejno zniknęła bardzo duża miska jajek, kilka słoiczków marmolady i bułeczki. Znowu nadstawił uszu, gdy z

rozmowy niezbitcie wynikało, że sprawa Saigimiego kompletnie zaskoczyła Tano i Alginiego oraz że rozkazy, które ją zapoczątkowały, wcale nie były niespodzianką dla Banichiego czy Jago. Bren wiedział, że Banichiemu nie wymknęłoby się aż tyle, gdyby nie wierzył wszystkim obecnym, a więc i madam Saidin. Chyba że coś szykowali.

Ponieważ - Bren uświadomił to sobie w tej chwili - do stołu podawała sama Saidin.

Siedział w pokoju pełnym członków Gildii Zabójców, łącznie z madam Saidin, gawędzących o sprawach zawodowych, w tym o polityce Gildii, w związku z niedawnym zabójstwem, i układzie apartamentów oraz rozkładzie zajęć aijiego, od którego zależało życie i bezpieczeństwo tak Brena, jak i Tabiniego.

Człowiek dowiedział się też, że Tiburi, żona Saigimiego, oraz jej córka, Cosadi, umknęły do posiadłości Direiso, ponieważ władzę w Tasigin Marid przejął brat Saigimiego, Ajresi.

- Nie licz, że to ostatnia potyczka - zauważyła Jago.

- Badissuni - rzekł Banichi - może być posłańcem Ajresiego do Tabiniego.

157

Niemile były to myśli przy śniadaniu - a na dodatek wokół Brena toczyła się niezwykła dyskusja, ale paidhi stwierdził, że niedawne zabójstwo nie wstrząsnęło nim tak, jak powinno.

I właśnie pomyślał, że może byłoby o wiele lepiej, gdyby

jeszcze kilku osobom związanym z Saigimim przytrafiły się jakieś wypadki.

Rzeczywiście zaczynał nabierać gruboskórnego podejścia do tych rzeczy; czy przez tę wewnętrzną zmianę stracił coś czy też zyskał, kiedy wyobraził sobie strach, jaki potrafił wzbudzić

Tabini, gdyby zdecydował się zabić pierwszego posłańca pokoju i przez to zasygnalizować (jak w machimi) swoje życzenie, by klan Saigimiego, Hagrani, usunął swego własnego nowego przywódcę, żeby zachować pokój z aijim? W przeszłości klany najwyraźniej coś takiego robiły.

Tabini nie wysunąłby jednak takiego żądania. Przynajmniej tak się paidhiemu wydawało. Tabini wciąż prosił tych, którzy zgłaszali Zamiar, żeby zamiast tego udawali się do sądów. Gdyby aiji, który z zasady popierał uciekanie się do sądów, wybrał drugie zabójstwo, postąpiłby bardzo niekonwencjonalnie.

Możliwe, że własne umiarkowane stanowisko Tabiniego w tej sprawie wiązało mu ręce i groziło jeszcze większym rozlewem krwi.

A Tabini miał do czynienia z panem ze szczepu Edi. To była następna kwestia: podział etniczny, fakt, że Tabini pochodził z atevich Ragi, a większość mieszkańców Półwyspu, najbardziej uprzemysłowiona część narodu, była Edi.

Istniały więc raczej powody do zachowania umiaru niż do pobudzania etnicznych zawiści; a Tabini wiedział, co robi,

najpierw likwidując Saigimiego, a potem zostawiając przy życiu atewę, którego Jago uważała za niebezpiecznego.

Gdyby Tabini postanowił przyjąć ostrzejszy kurs, Jago wyraźnie chciała otrzymać zlecenie w sprawie Badissuniego.

158

„Nie licz, że to ostatnia potyczka”, powiedziała przed chwilą o przejęciu władzy przez Ajresiego. Czy chciała przez to powiedzieć, że Badissuni zamierza zlikwidować Ajresiego?

Banichi stwierdził, że Badissuni przybył jako posłaniec Ajresiego

- podczas gdy druga spadkobierczyni tytułu przywódcy atevich

Edi w Marid, Cosadi, córka Saigimiego, schroniła się u Direiso.

Ajresi może i nie lubi Tabiniego, ale na pewno zaniepokoi się

ucieczką Cosadi do Direiso. Na pewno będzie pilnował okien i

drzwi w swoim domu, ponieważ Direiso mogłaby się stać dla

Cosadi odskocznią do próby odebrania Ajresiemu Marid i całego

Półwyspu.

Więc rzeczywiście Ajresi mógł przysłać kogoś na rozmowy z

Tabinim. Jago uznała Badissuniego za osobę niewiarygodną i nie

chciała, żeby przebywał w pobliżu aijiego; ale Banichi powiedział,

że po pierwsze, sprawa dziedziczenia nie została jeszcze ustalona

i, po drugie, Badissuni jest posłańcem.

Gdyby Ajresi przejął klan dzięki akcji zbrojnej i zasiadł w

domu Haganich jako ich zwierzchnik, to z całą pewnością nie

miałby żadnego interesu w układaniu się z Direiso, dopóki ta

chroniłaby drugą spadkobierczynią Hagranich przed zabójcami Ajresiego. Ajresi potępił, przynajmniej publicznie, poprzednie awanturnicze układy Saigmiego z Direiso - próbę zamachu na paidhiin, która tak drogo kosztowała jego klan.

A w rezultacie związku Damiri z Tabinim, który przez ten atak wyszedł na jaw, patronat Direiso - Kadigidi, Atigeini, Tasigin Marid oraz panowie Wingin na Półwyspie i Wingin na północy - znalazł się w trudnej sytuacji. Damiri jest spadkobierczynią Atigeinich oraz sąsiadką Direiso i od chwili, w której Damiri obejmie po swoim wuju przywództwo klanu Atigeinich, dni Direiso będą policzone.

Usunięcie przez Tabiniego Saigmiego, którego spadkobierca, jeśli byłby nim Ajresi, odbierze Patronatowi Direiso Marid i Wingin, oznaczało dla Direiso podwójne zagrożenie. Gdyby

159

Ajresi doszedł do porozumienia z Tabinim, to te dwie posiadłości, Marid i Wingin, nie uzyskają niezależności od Tabiniego - do tego nigdy nie dojdzie - ale może byłyby trzymane o wiele lżejszą ręką. Zdobyłyby prawa, a nawet przywileje gospodarcze. Rozmawiając z Tabinim bardzo grzecznie, i to na samym początku swej drogi do władzy, Ajresi mógłby zyskać olbrzymie korzyści.

Ajresi mógłby też grzecznie rozmawiać z Geigim i w ten sposób poprawić stosunki z innym panem Edi zdobywającym coraz większe znaczenie na Półwyspie oraz cieszącym się

wielkimi względami Tabiniego.

Bren miał na to wielką nadzieję. To mogłoby się okazać ogromnie ważne dla programu kosmicznego.

A jeśli chodzi o to, dlaczego do wykonania zadania na Półwyspie mógł zostać wybrany Banichi - Banichi pochodził z prowincji Talidi, sąsiadującej z Marid. Jego klan (Banichi nigdy nie powiedział, jaki) miał przynajmniej dobre rozeznanie w sytuacji.

- Jak myślisz? - zapytał Bren Banichiego. - Czy z południa coś nam teraz grozi?

- Nie z Marid - odparł Banichi. - Ajresi nie jest aż tak szalony.

- Jeśli polega na Badissunim, to jest - rzekła Jago.

- Zmusić go, żeby przyznał się publicznie do służby

Ajresiemu? - odparował Banichi. - Badissuni prędkiej zjadłby potłuczone szkło. Nie ma jednak wyboru i musi reprezentować Ajresiego; zanim przyjdzie jesień, będzie martwy.

- Wiesz o tym? - Bren był tak zaskoczony, że zapomniał o łagodzącym „nadi” i za jednym zamachem odezwał się bardzo poufale oraz zapytał o sprawy Gildii.

Banichi nie okazał choćby najmniejszej urazy.

- Oczywiście, jeśli Ajresi nie wykona ruchu jako pierwszy, to zamiast Badissuniego on może zginąć przed nadejściem jesieni.

160

Więc wszystko, co Badissuni wynegocjuje z Tabinim,

wynegocjuje także dla siebie, jeśli dopadnie Ajresiego, zanim Ajresi dopadnie jego. Nie sądzę jednak, żeby tak się stało. Wiem, kto pracuje dla Ajresiego.

- Będzie nam łatwiej to zrobić - odezwała się ponuro Jago. - I zmusić Ajresiego, żeby przybył osobiście i błagał we własnym imieniu.

- Nie sądzę, żeby błagał - rzekł Banichi. - Natomiast mogła już przyjść wiadomość od Ajresiego, sygnalizująca Tabiniemu, że publiczne porozumienie pociągnęłoby za sobą prywatny sojusz.

- Wiesz o tym? - zapytała Jago, powtarzając pytanie Brena.

- Powiedzmy, że Ajresi i Tatiseigi z Atigeinich wymieniają gorączkowo wiadomości; moim zdaniem ich tematem jest Badissuni. - Banichi dokończył pić herbatę. - Martwy, powiadam, zanim spadnie śnieg, jeśli Tatiseigi nie przyłączy się do Direiso - a Tabini-aiji jest zbyt mądry, by to sprowokować.

W drzwiach stała Saidin, a Banichi spokojnie mówił takie rzeczy. Brenowi mocniej zabiło serce.

Powiedziało mu to jednak, że Saidin należy do Damiri, a Damiri do Tabiniego, podobnie jak Banichi i Jago. Wokół nich unosiła się gęsta atmosfera konspiracji. Toczyła się wojna. Człowiek po prostu nie widział szeregów kawalerii i płonących budynków.

I miał nadzieję, że ich nie zobaczy.

Bren uznał, że najważniejszą rzeczą po śniadaniu jest

załatwienie sprawy z Jase. Personel powiedział, że Jase śpi, i przespanie śniadania Bren zaakceptował.

Natomiast jeśli Jase obudzi się po jego wyjściu i otrzyma kolejne informacje za pośrednictwem personelu, to powstanie inny problem, w gruncie rzeczy bardzo podobny do sytuacji

161

przedstawionej mu przez Yolandę Mercheson; a to mogło tylko powiększyć jego niezadowolenie.

Bren zastukał do drzwi Jase'a. Cisza.

Wszedł do środka i zastał Jase'a w łóżku.

- Jase - powiedział i stał, dopóki ten nie otworzył oczu i go nie rozpoznał.

Wtedy na jego twarzy odmalowało się jednocześnie zaskoczenie i niezadowolenie.

- Linie telefoniczne są czynne - powiedział Bren spokojnie i łagodnie. - Możesz porozumieć się ze statkiem, kiedy tylko zechcesz. Personel ci pomoże, nadi.

- Z nagraniem czy bez? - zapytał Jase.

- Każde nasze słowo jest nagrywane - odparł Bren. - Mówiłem ci już. Nie spodziewaj się niczego innego. Nie ma wyjątków, nadi.

Jase odrzucił kołdrę, wstał z łóżka i sięgnął po szlafrok.

- Muszę porozmawiać na osobności!

- Dla twojej własnej ochrony, nadi. Gdyby ktoś pozbawiony skrupułów oskarżył cię o jakieś wykroczenie - a w tym

społeczeństwie to się może zdarzyć - nagranie będzie dowodem twojej uczciwości.

- Niech diabli wezmą to społeczeństwo! - Te słowa Jase wypowiedział we własnym języku. Wepchnął ręce w rękawy szlafroka i zawiązał pasek.

Już rozmawiali o tych nagraniach. Jase postawił się Brenowi jeszcze raz. W swoim zachowaniu jednak posunął się za daleko.

- W tej kulturze... - tłumaczył mu cierpliwie Bren.

- Daj mi trochę luzu, Bren. Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę po prostu porozmawiać na osobności z moją matką, do cholery!

- Nie mogę ci tego zagwarantować. Gdybyś ruszył głową,

162

zrozumiałbyś, że gdybym ja ci to zagwarantował, nie mógłbyś wierzyć osobom, którym ja nie wierzę, a ich lista jest długa i nikomu z nich nie leży na sercu ani twoje, ani moje dobro, więc gdyby coś wycięli, o niczym byś nie wiedział. Pozwólmy więc, żeby słuchali i nagrywali nas zaufani atevi.

- Na sercu, tak? Uczucie? Czy mówimy tu o sercach?

Nie chciał sprowokować Jase'a. Jase jednak bardzo się starał wywołać jakąś reakcję i z Brenem to było jedno, lecz z personelem Atigeinich, poczynając od Saidin, było to zupełnie co innego i Bren miał nadzieję jak diabli, że podczas jego nieobecności Jase nie przyjmował takiej postawy przy Saidin.

- Ja nie mogę wierzyć tobie - odparł. - To chcesz powiedzieć?

Jase, tak dla twojej informacji: nikt nie miał pojęcia i gdybyś powiedział Manasiemu, co się dzieje, wiadomość mogłaby do mnie dotrzeć.

Zapadła martwa cisza. Żadnej odpowiedzi. Żadnej zmiany wyrazu twarzy.

Bren spróbował jeszcze raz. Szukał jakiejś reakcji, punktu zaczepienia, jakiegokolwiek drogi omijającej tę rezerwę i prowadzącej do prawdy.

- Nie mówię, że natychmiast mógłbym znaleźć bezpieczny telefon. Gdybym jednak wiedział, że powstała tu sytuacja awaryjna, pewnie bym go znalazł.

- No cóż. Zadzwoń do niej. Dzięki, że sprawdziłeś.

- Przykro mi, Jase. Naprawdę mi przykro.

Jase był odwrócony plecami. Jego sypialnia nie miała okien, tylko ozdobny parawan, połączony i przepięknej roboty. Na jego środku artysta namalował jakąś nie znaną Brenowi górę. Jase wpatrywał się w nią, jakby dawała mu możliwość ucieczki.

- Tak, wiem - powiedział.

163

- Mam spotkanie. Z Tabinim. Będę musiał iść, kiedy mnie wezwie. Musimy jednak porozmawiać, Jase. Musimy. - Żałował jak diabli, że wpadł na tę rozmowę do Jase'a jak po ogień.

Zabójcy mówili o „kontrakcie złamanej nogi”, kiedy celem nie było zabicie kogoś, lecz wyłączenie go z działania. I, Boże, takie

rozpaczliwe środki przebiegły mu przez myśl w związku z kryzysem, jaki przechodził Jase, i burzą wstrząsającą sprawami atevich. - Nie chcę, żebyś znów otrzymywał wiadomości z drugiej ręki. Przykro mi. Naprawdę. Proszę cię tylko, żebyś się nie denerwował. Personel nie wszystko rozumie. Stara się i jest ci życzliwy.

- Poradzę sobie. Zadzwoń. Porozmawiamy później.

Zważywszy na sytuację, Bren nie mógł się spodziewać, że Jase będzie wesoły albo spokojny; z całym swoim zawodowym obiektywizmem starał się znieczulić własne nerwy na jego rozedrgane reakcje. Trzeba będzie się zająć Jasem.

Na przykład porozmawiać z nim, kiedy Bren znajdzie czas.

Gdyby mógł zasypać przepaść, która już się między nimi rozwarła. Przedtem nie mógł mówić. Teraz chciał, ale dopóki Jase nie wyjdzie z tego kryzysu, nie śmiał poruszać spraw, które wymagały wyjaśnienia.

Poinformował go jednak. A teraz naprawdę nie ma czasu.

- Do zobaczenia, pewnie w południe - powiedział, wyszedł i zamknął za sobą drzwi, żałując, że nie może niczego zrobić, i starając się trzymać własne nerwy na wodzy.

W obecnej sytuacji, pomyślał, Jase łatwo może wpaść w depresję. Psychika ludzka stanowiła część studiów prowadzących do otrzymania tej pracy; Bren znał wszelkie oznaki oraz sposoby walki z izolacją, złymi wiadomościami i brakiem czytelnej

informacji ze strony gospodarzy czy otoczenia.

Depresja: ogólna chęć snu, ogólna tendencja do wiary raczej w najgorsze niż w lepsze możliwości, ogólna tendencja do wiary

164

raczej w niemożność niż we własne umiejętności.

Może to, że Jase przyjął informację Manasiego o niedostępności linii telefonicznej, nie upierając się, iż zaistniały wyjątkowe okoliczności, nie wzięło się z wykształconej w kulturze statku niechęci do kwestionowania zasad. Może była to rozwijająca się depresja.

Ale, do cholery, on też ma kłopoty i nie ma, do cholery, czasu, żeby się tym teraz martwić.

Co prawda, kiedy zrewidował swoje spostrzeżenia, zauważył, że Jase nie zadał mu zasadniczego i oczywistego pytania: nie zapytał, czy Bren odkrył, dlaczego statek nie zawiadomił najpierw jego o wypadku ojca.

Poza tym Jase nie zapytał go, czy statek mógł dotrzeć bezpośrednio do niego z informacją, którą usłyszał od Yolandy Mercheson za pośrednictwem kanałów mospheirskich - czy też może w krytycznym momencie miała miejsce jakaś komunikacyjna zapaść.

Jase nie zapytał i Bren, oddalając się od jego pokoju, uświadomił sobie, że on sam właściwie też nie wyjawiał informacji otrzymanej od Tano: iż Mogari-nai utrzymuje, że nie było żadnej

wiadomości dla Jase'a.

Może, pomyślał Bren, powinienem wrócić i poruszyć tę sprawę. A może, kiedy Jase odbędzie dłuższą rozmowę z matką i dowie się, co się stało, znajdzie się jakieś racjonalne wyjaśnienie sytuacji. Bren wierzył, że Jase uzyska połączenie. Całkiem możliwe, że to sama matka Jase'a poprosiła, żeby nie przekazywać mu wiadomości, nie chcąc denerwować syna czymś, na co nic nie mógłby poradzić w czasie, kiedy, jak mogła się dowiedzieć, znajdował się sam wśród atevich. Bren miał nadzieję, że tak właśnie było. Może i Jase miał taką nadzieję.

- Nand' paidhi - usłyszał głos służącej, kiedy wracał do jadalni

- aiji pragnie, żebyś teraz do niego przyszedł.

165

- Dziękuję, nadi - odpowiedział Bren i przełączył myślowe

biegi, tym razem na ragi w całej jego złożoności języka

dworskiego: na posiedzenie z Tabinim nie należało się stawiać,

będąc oszołomionym lub zamyślonym, a Bren miał wejść tylko w

sąsiednie drzwi.

Były całe tony materiałów do dostarczenia pod sąsiednie

drzwi, dokumenty, różne rzeczy dla personelu aijiego, ale Bren już

wszystko wysłał. Inaczej było w przeszłości, kiedy też mieszkał w

kompleksie rządowym Bu-javid, ale dużo niżej na wzgórzu, w

niewielkim apartamencie wychodzącym na ogród (znajdował się

też dużo niżej na liście urzędników Bu-javid odpowiedzialnych za

coś ważnego). Kiedy teraz rozmawiał z Tabinim, niczego nie przynosił sam. Gdy przychodził na audiencję, nie czekał już na swoją kolej wśród innych interesantów. Kiedy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy paidhi miał spotkania z aijim, za każdym razem czekał wygodnie w swoim pożyczonym apartamencie, a jeśli miał dobry dzień, to wygodnie rozsiadłszy się w fotelu i z filiżanką herbaty w ręku, podczas gdy członkowie personelu aijiego i paidhiego (kolejny przywilej, którego nie miał przedtem) ustalali termin telefonicznie i znajdowali lub tworzyli lukę w rozkładzie dnia Tabiniego.

Człowiek przypuszczał, że tego dnia aiji wydał rozkaz, żeby sztucznie stworzyć taką lukę. Tabini wciskał go do swojego rozkładu zajęć i mając na uwadze inne wydarzenia, Bren zrozumiałby, gdyby Tabini odłożył ich spotkanie drugi, trzeci lub czwarty raz. Skoro statek w prowincji Sarini nie wybuchł, Tabini musi uznać objazd Brena za niezbyt ważny.

Ale w to, że Tabini chce go widzieć, Bren nie wątpił. W dobre dni przedłużali swoje spotkania na tyle, by móc porozmawiać i oficjalnie, i prywatnie. Bren i Tabini, dwaj mężczyźni, którzy objęli swoje urzędy młodo i którzy mieli podobne zainteresowania, często swobodnie rozmawiali o polityce,

166

kobietach, filozofii i uprawianiu sportu, czego im obu brakowało.

Czasami Tabini chciał po prostu porozmawiać o opiece nad

dzikimi zwierzętami, co nie dotyczyło paidhiego bezpośrednio.

Albo o zaletach wynalazku, który jakiś ateva przesłał wyżej odpowiednimi kanałami - co paidhiego już dotyczyło, natomiast dla aijiego było tylko ciekawostką.

Bren miał uczucie, że czasami spotykali się po prostu dlatego, że Tabini chciał z kimś porozmawiać o sprawach zupełnie nie związanych z jego innymi problemami.

Tego dnia tak nie było. W południe Bren miał udzielić wywiadu.

A tymczasem musiał się przejmować zdenerwowanym i zrozpaczonym współlokatorem, którego rozmowa z matką mogła według wszelkich prognoz Brena przerodzić się w Bóg jeden wie, co.

Natychmiast poszedł do foyer, zatrzymał się przy posterunku ochrony, by powiedzieć Tano, że już powinni iść, i trochę się zdziwił, gdy ujrzał Banichiego i Jago, których obecności już przestał się spodziewać. Kiedyś ich obecności w tym miejscu był prawie pewien.

- Sam odprowadzę paidhiego - oznajmił radośnie Banichi, jak za dawnych czasów, i zostawił Jago, Tamo i Alginiego ich sprawom, które polegały na stanięciu w ciasnej grupie i ściszeniu głosów.

Ciekawe, pomyślał Bren o tym małym skupisku członków

Gildii, nie dziwiąc się temu, że rozmawiają, ale że tak zaskakująco

szybko zamilkli. Jeśli ich zadaniem jest chronić Brena, to wydawało się słuszne, żeby poinformowali go, przed czym.

Nikt jednak nic nie powiedział. Było prawdopodobne, że Banichi i Jago przekazywali sprawy związane z wydarzeniami na Półwyspie, o których sumienie paidhiego naprawdę nie chciało nic wiedzieć.

167

Poza tym, kiedy aiji znajdował w swoim rozkładzie dnia lukę, inni śmiertelnicy nie mitrężyli czasu na pytania.

168

Rozdział 9

Spotkanie najwyraźniej miało się odbyć nie w saloniku, lecz w oficjalnym salonie apartamentu Tabiniego, z którego licznych okien było widać wznoszący się nad dachami miasta zamglony łańcuch Bergid. Wiatr rozwiął chmury i trochę się ociepliło. Przez apartament płynął przyjemny, zmysłowy powiew - nie skażony zapachem farby, jak zauważył Bren.

Kiedy minęli posterunek ochrony w foyer apartamentu aijiego, Banichi usunął się na bok, a paidhi otrzymał za przewodnika nand' Eidiego. Banichi został z ochroniarzami Tabiniego. Bren podejrzewał, że atevi będą się wymieniać drażliwymi informacjami, więc Banichi spędzi kilka cennych chwil, może, jeśli chodzi o prawdziwe wydarzenia w Patronacie Zachodnim, cenniejszych od spotkania, na które szedł Bren.

Podstarzały Eidi (niewątpliwie należący do Gildii, o co do niedawna naiwny paidhi zaczął podejrzewać wszystkich bliskich współpracowników wielmożów) nalał herbaty i podał filiżankę Brenowi. Stali i czekali.

- Aiji przyjdzie za chwilę - rzekł Eidi. - Rozmawia przez telefon, nand' paidhi; to niespodziewana rozmowa. To jeden z tych dni, pomyślał Bren, rozmyślając o sprawie Badissuniego i zastanawiając się, czy całkowicie odwróci ona uwagę Tabiniego od sprawozdania, które przynosił.

169

Stał jednak cierpliwie, uważając na filiżankę i bezcenne dywany pod nogami - kiedyś, ku swemu ogromnemu zmieszaniu, udało mu się rozlać herbatę - i patrząc na widok gór bardzo podobny do tego, jaki miał ze swojego apartamentu.

Hen, daleko, niewidoczny z tej odległości las wspinał się na zbocza gór. Gdzieś istniały leśne rezerwy i myśliwskie wioski, całe życie jakże odmienne od miejskiego.

Bliżej dachy Shejidan pokrywały wzgórza, tworząc znaczące geometrie, sąsiedzkie patronaty określające życie atevich. Można było należeć do kilku z nich naraz; można było należeć do dwóch nienawidzących się patronatów i, jak dowiedział się Bren, mieć man'chi związane z nimi oboma, choć w różnym stopniu. Patrzył na patronaty gospodarcze, mieszkaniowe, polityczne i, jak się domyślał, ale nie mógł tego udowodnić, małżeńskie.

Były też mury oddzielające grupy domów w prywatnej wspólnocie. To były patronaty zawodowe lub rodzinne w ramach innych patronatów. Stosunki między nimi określało nawet ustawienie budynków i wyblakłe w ciągu wieków kolory dachówek.

Kiedy oko wiedziało, czego szukać, znajdowało informację dostępną każdemu obserwatorowi w Shejidan. Atevi nigdy nie ukrywali przed ludźmi tych najbardziej intymnych tajemnic. Człowiek przypuszczał, że ludzie nigdy nie sądzili, iż atevi je ukrywają, jednak przez całe dziesięciolecia patrzyli na ten widok i wcale nie rozumieli, co widzą. Poprzednikom Brena nie udało się dokładnie wyjaśnić niuansów tych zblakłych kolorów, a i on, zupełnie się od nich nie różniąc, snuł domysły i opierał na nich pokój.

To na pewno nie jest mospheirskie miasto. O tym też nie można zapominać.

Stoi się pod tym samym niebem, patrzy na te same gwiazdy, te same chmury i morze... ale nie stoi się na Mospheirze.

170

Nie jest to też statek. Na pewno nie jest to statek. Zrobiło mu się żal Jase'a. Naprawdę. W chwilach, kiedy najbardziej chciał go udusić, a było ich sporo, wciąż wiedział, w jakim napięciu żyje Jase. A ten ostatni cios zadany jego rodzinie, bezpiecznemu domowi, który zawsze miał być nietykalny - był potężny.

Boże, Bren o tym dobrze wiedział.

- Nie, nie i jeszcze raz nie!

To był Tabini na zewnętrznym korytarzu.

- Światło mego życia, nie wprowadzisz, absolutnie nie wprowadzisz do tego apartamentu swego wuja, nic z tego!

- To nasza rodowa rezydencja! - Bren usłyszał głos pani Damiri. - Co ateva może zrobić?

- Wiem, że to wasza rodowa rezydencja! Chodzi o życie Brena, na mniej pomyślnych bogów! Znasz swego wuja! On się zadaje z tą cholerną Hagrani!

Nie brzmiało to dobrze. To wcale nie brzmiało dobrze.

Drzwi otworzyły się. Do środka wszedł Tabini, aiji aishidi'tat Patronatu Zachodniego, najpotężniejsza osoba na planecie - o wiele przerastająca prezydenta Mospheiry, który nie potrafił rządzić własnym personelem i który na dodatek nie mógł rozkazywać Gildii Zabójców.

Za co Bren często dziękował Bogu.

Damiri weszła jako druga, a za nią po kolei czterech strażników. Zbiegła się służba. Bren uklonił się i wycofał do odpowiedniego krzesła pod oknem, jako że Tabini wybrał jedno z dwóch z widokiem na góry.

Tabini i Damiri usiedli wygodnie obok siebie, tworząc wśród zamętu służby w czerwieni i ochrony w czerni obraz pomyślności i domowego spokoju.

- No - powiedział Tabini. - Dobra podróż, nand' paidhi?

171

Otrzymałem twoje wstępne sprawozdanie. Na pomyślnych bogów, ty masz siły.

- Owocna podróż, aiji-ma. Drobne dane zostawiłem nand'

Eidiemu, jeśli się zgodzisz. Chociaż ta pora roku może być bardzo pracowita, chętnie rozwinę szczegóły sprawozdania na piśmie...

Tabini uniósł palce.

- W żadnym wypadku nie wątpię w dokładność twoich ogólnych ocen. Cholerna szkoda, że tak się musiałeś śpieszyć z powrotem. Ufam, że nie pozbawiło cię to czegoś ważnego.

- Nie, aiji-ma. - Nic nie wskazywało na to, że zabłąkany pilot zasłużył na uwagę aijiego, więc Bren nie poruszył tej sprawy. -

Wszystkie ważne kwestie znajdują się w udostępnionych ci aktach. Nie ma nic pilnego. Prosiłbym o twoją cenną uwagę, aiji-ma, by spełnić pewne poczynione przeze mnie obietnice.

Ruch palcami.

- Dane dla specjalistów i przesiewaczy liczb. Wieści o tobie.

Wieści o paidhim ze statku. O co chodzi z tym wypadkiem - ze śmiercią ojca nand' Jase'a?

Atevi mają tyle delikatnych słów na określenie śmierci. Tabini wybrał najmniej delikatne, najmniej pomyślne. No i trzeba zauważyć, że Tabini wie o sprawie. O której godzinie Tabini się dowiedział? Paidhi być może postąpił mądrze, nie pytając.

- Poradziłem, żeby poprosił o informacje matkę - rzekł Bren - i że w takich nagłych wypadkach jak najbardziej powinien korzystać z oficjalnych kanałów. Najwyraźniej wiadomość otrzymał od Mercheson-paidhi zamiast bezpośrednio od matki czy kapitana, co byłoby odpowiedniejsze w jego sytuacji rodzinnej i przy jego pozycji.

- Moi szpiegowie donoszą, że miał miejsce kontakt telefoniczny między Mercheson i Jasem. - Atevi mieli piekielne kłopoty z kombinacją spółgłosek w imieniu „Yolanda” i woleli posługiwać

172

się nazwiskiem Mercheson, nigdy dokładnie nie rozumiejąc zasad używania ludzkich imion i nazwisk. - Przed i po kontakcie między Mercheson i Jase-paidhim stacja naziemna na Mospheirze przekazała na statek porcję wiadomości, podobnie jak statek na Mospheirę.

- Możliwe - powiedział cicho Bren, odnosząc wrażenie, że Tabini nie wyjawiał paidhiemu tej niepokojącej wiadomości, dopóki paidhi nie wrócił do domu i nie zajął się Jasem, bojąc się może, że paidhi mógłby złamać zasady bezpieczeństwa, zmienić swój rozkład zajęć lub samemu skontaktować się ze statkiem. - Może to połączenie Mercheson z władzami na statku miało miejsce, ponieważ zdała sobie sprawę, iż coś się jej wymknęło, aiji-ma, ale może ma ono mniej pomyślną interpretację.

Powiedziałbym, ale nie przysiągł, że się zmartwiła, że powiedziała

Jase'owi o śmierci jego ojca, nie mając pojęcia, że Jase o tym nie wie. Lecz przed kontaktem Jase'a z Mercheson najwyraźniej był przedtem jeden telefon; ale kilka... to byłoby trochę niezwykle.

- W ciągu ostatnich czterech dni w takich przekazach wypłynęło nazwisko Deany Hanks. Deana Hanks radzi. Deana Hanks powiedziała...

Cholera - to było słowo, które wypłynęło w myślach Brena, ale w obecności aijiego się nie przeklinało.

- Człowiekowi wcale się to nie podoba, aiji-ma, ale nie mam żadnych możliwości ukrócenia jej działalności. Z pewnością przejrzę zapis tych kontaktów.

- Dostarczyłem go. Moi informatorzy mówią, że Jase Graham poszedł do swego pokoju w gniewnym nastroju. Ale że według ciebie nie stanowi on żadnego niebezpieczeństwa.

Informatorem był każdy członek personelu apartamentu poprzez panią Damiri, która w tej chwili nic nie mówiła.

- Pragnie wrócić na statek - wyjaśnił Bren - i wie, że sposobem na to - jedynym sposobem - jest wykonanie zadania. Martwię się o

173

niego. Sądzę jednak, że już wykazuje oznaki wychodzenia z bardzo głębokiego wstrząsu. - Trochę naciągał fakty. Człowiek nigdy jednak nie chciał zbyt rozpałać atewskich instynktów obronnych. - Jase nie jest niebezpiecznym człowiekiem, aiji-ma. Może w kategoriach jego wiedzy, ale jeśli chodzi o wyrządzenie

zamierzonej szkody otoczeniu lub jakiejś innej osobie, to nie,

moja ludzka ocena brzmi: nie.

- Ty tu jesteś sędzią, Bren-paidhi. Rób, co uważasz za stosowne pod względem bezpieczeństwa, bylebyś tylko ochronił siebie, personel, apartament. Może słyszałeś... - Tabini zerknął na Damiri. - Będzie inspekcja.

- Lilie - powiedziała cicho Damiri-daja.

- Pan Tatischeigi - rzekł Tabini - obejrzy odnowiony pokój śniadaniowy. Będą też kamery - oficjalne kamery. Jak myślisz, czy potrafisz przez ten czas utrzymać nadi Jase'a we właściwym - kabiu - stanie? Nie da się uniknąć tej wizyty. To bardzo niepomyślne. Gdyby jednak Jase-paidhi miał się pogrążyć w żałobie, mogłoby to posłużyć za wymówkę. Może jakiś ludzki zwyczaj szukania samotności. Czy byłoby odpowiednie, gdyby zachorował?

Boże, ależ Bren chciał odpowiedzieć, że tak. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl o panu Atigeinich wizytującemu apartament przed kamerami telewizji. Formalne przyjęcie. Jase, zdenerwowany jak to on, w nastroju, w jakim na pewno wtedy będzie. Brenowi zrobiło się bardzo niedobrze.

„Kontrakt złamanej nogi”? Czy się ośmieli?

Może mogą podsunąć Jase'owi jakiś środek uspokajający.

Porcję lekko trującej herbaty.

Ale nie, wtedy prasa zrzuci winę na pana Atigeinich.

Nagłówki będą krzyżeć o próbie zabójstwa.

Może to on powinien wypić podwójną porcję takiej herbaty, żeby nie musieć stawiać czoła tej pańskiej inspekcji.

174

Ale to zostawiłoby wszystko w rękach Jase'a, a coś takiego było nie do przyjęcia.

- Zdecyduję - powiedział Bren do Tabiniego - na podstawie tego, co mi powie Jase po rozmowie z matką. Ale szczerze mówiąc, aiji-ma, obawiam się, że nie znam żadnej metody. Chyba że powołamy się na jakiś zwyczaj ze statku. To chyba mogłoby załatwić prawie wszystko. Gdyby zaszła taka konieczność.

- Wolałbym teraz uniknąć tej wizyty - rzekł Tabini. - Jednak próby przełożenia jej mogłyby wywołać jeszcze większy problem.

- Mojemu wujowi się nie odmawia - odezwała się pani Damiri, trzymając ręce złożone na kolanach, bardzo właściwie, bardzo poważnie. - On chce się zobaczyć z tobą, nand' paidhi. Ateva sądzi, że ta sprawa na Półwyspie jeszcze bardziej wpłynęła na jego postanowienie.

Bren spokojnie zaczerpnął tchu, widząc już cały obraz: żona i córka Saigimiego, krewne Geigiego uciekły do sąsiadki Atigeinich, Direiso.

A Tabini udziela gościny panu Badissuniemu, który według Banichiego nie dożyje jesieni.

- Nie chcę powiedzieć - ciągnęła Damiri - że mój wuj będzie

opłakiwał Saigimiego. Ani że będzie mu przykro, jeśli plany Direiso zostaną pokrzyżowane, ale bardzo będzie mu zależało na obecności tutaj, nand' paidhi, na nadaniu wizycie rozgłosu i...

Ateva polega na twoim takcie.

Tabini poruszył się na krześle i oparł łokieć na poręczy, kładąc palec wskazujący na wargach, jakby obawiał się, że Bren może powiedzieć coś bardzo nietaktownego.

Paidhi myślał. Tatischeigi oszukałby panią Direiso dopiero po tym, jak ta zasztyletowałaby Tabiniego.

Na razie jednak zastanawiał się, czy posunięcie Tatischeiego jest publiczną demonstracją obliczoną na rozzłoszczenie Direiso i

175

jednoczesne podbudowanie znaczenia Tatischeiego na dworze aijiego - jako wuja ujawnionej teraz publicznie kochanki aijiego i niechętnego gospodarza dwóch ludzi?

Tu jest pies pogrzebany.

Tymczasem będą jednak cywilizowani. Oto istota rzeczy:

cywilizacja. To są panowie Doliny Padi: ród Tabiniego, Atigeini, Kadigidi Direiso i garść innych.

Tatischeigi z Atigeinich oraz Direiso zachęcali panów z

Półwyspu do pochopnych działań, które Saigimi podjął

najbardziej pochopnie ze wszystkich. Śmierć Saigimiego

stanowiła mocne szarpnięcie łańcuchem przez aijiego i

przypomniała im wszystkim, gdzie spoczywa władza i siła.

Do diabła, jako rozwiązanie było to lepsze od wojny.

Bren chciał powiedzieć: Tatiseigi jest dość odważny, skoro chce wejść do sąsiedniego apartamentu, zważywszy, że stanowi logiczny cel.

Pomyślał też: Boże, jakich członków Gildii staruszek będzie miał za sobą i co będzie, jeśli wyjmą broń i zaczną strzelać do Tabiniego?

Powiedział jednak:

- Czy byłoby rozsądne z naszej strony, gdybyśmy razem z nand' Jasem przenieśli się gdzieś na stałe i pozwolili twojemu wujowi zająć apartament, Damiri-daja? Czy to rozwiązałoby problem? Albo moglibyśmy przeprowadzić się na kilka dni...

- Nie ma mowy! - rzekł Tabini. - Niech sam się zajmie swoim zakwaterowaniem!

- Żadną miarą nie chciałbym...

- Nie, nadi, niech wuj radzi sobie sam - powiedziała Damiri nieco spokojniej. - Damy sobie radę, nadi-ji. Przy dobrej woli aiji-wdowy może zamieszka tuż pod nami: nie jest jej obcy.

176

- Ona jest tutaj? Myślałem, że wyjechała do Malguri.

- O, babka właśnie wraca - wyjaśnił Tabini. - Przyjeżdża jutro.

Jestem pewien, że zatrzymała się w zachodnich prowincjach wyłącznie dla tego przedstawienia - mam na myśli porcelanowe lilie, a nie pana Saigimiego i te inne bzdury. Rozerwie się na

przyjęciu, a potem szybko wyjedzie na wschód, z mecheitami, personelem i całą resztą. Tak mi obiecuje. - Tabini rozsiadł się wygodnie na krześle i skrzyżował ręce na brzuchu, opierając łokcie na poręczach i wyciągając przed siebie nogi. - Jeśli się zastanawiałeś, nand' paidhi, to owszem, jeśli chodzi o pana Saigimiego. To wszystko, co zamierzam powiedzieć w tej sprawie. I o co powinieneś pytać. Babka będzie oczywiście wściekła z powodu wydarzeń na Półwyspie i zacznie dzwonić po wszystkich w całej Dolinie Padi. Ale ty masz taką cudowną zdolność łagodzenia jej gniewu, Bren-ji. Ufam, że to zrobisz.

- Zapewniam cię, aiji-ma, że nie mam żadnego wpływu...

- Och, nie bądź taki skromny. Ona cię uwielbia. Jesteś cywilizowany. To jej słowa. Cywilizowany. I masz, jak powiada, takie śliczne włosy.

Usiłował nie wzdrygnąć się ani nie zaczerwienić. Tabini był rozbawiony, a usta Damiri co chwila wyginały się ku górze, powodując powstawanie dołeczków na jej policzkach.

- Moja ochrona też mi to mówi - odparł sucho Bren i natychmiast się przeraził. Już dwa razy zachował się zuchwale w obecności atewskich wielmoży, ale Tabini, który w gruncie rzeczy go rozdrażnił, wybuchnął śmiechem.

Tak naprawdę paidhi tkwił na zewnątrz systemu panów oraz dziedziczenia i żadną miarą nie mógłby rozdrażnić Tabiniego w jakiejś ważnej kwestii.

- Mój wuj nie będzie mieszkał z tobą, nand' paidhi, bądź tego pewien - powiedziała zupełnie trzeźwo Damiri-daja. - Tylko bardzo uważaj. Proszę cię, uważaj na niego. Pod pewnymi

177

względami ma bardzo delikatną konstytucję i jeszcze delikatniejszą psychikę.

- To jest nierozsądny starzec, pod każdym względem -

mruknął Tabini. - Byłoby niestosowne zgłosić na niego Zamiar, ale - na mniej pomyślnych bogów! - on wystawia mnie na próbę.

A tak przy okazji, jak się ma towarzystwo na Półwyspie w tym sezonie? Słyszałem, że skorzystałeś z gościnności pana Geigiego.

- Był bardzo dobrym gospodarzem i dobrze ci życzy, aiji-ma.

- Powinien. No, no, będę chciał dostać twoje sprawozdanie o nim. Ufam, że je przygotujesz.

- Robi to mój personel, aiji-ma.

- Plaga wuja spada na nas jutro.

Jutro! - pomyślał Bren, ale tego nie powiedział.

- Jeśli nie będzie deszczu - dodał Tabini - co, jak słyszałem, nie pozwoliłoby farbie wyschnąć w wystarczającym stopniu.

Prognoza pogody jest dobra. Jeśli oczarujesz tego niemożliwego atewę, Bren, to przysięgam, że stworzę dla ciebie ministerstwo.

- Wątpię, czy mi się to uda. - Stosunki między Atigeinimi i rodem aijiego były już takie, że aiji nie mógł unikać ani wuja, ani jego pytań, a prawdopodobnie wiele z nich (poza sprawą

zabójstwa na Półwyspie) dotyczyło dwóch ludzi mieszkających w rezydencji Atigeinich.

Poleci personelowi, żeby trzymał Jase'a i Tatischeiego z dala od siebie. Saidin może się to udać. W tej sprawie Saidin może mieć o wiele więcej szczęścia niż aiji Shejidan.

Wydawało się, że nikt nie może powiedzieć „nie” wujowi Tatischeiemu - i, technicznie rzecz biorąc, Bren przypuszczał, że w kwestii zbliżającej się wizyty nikt nie może tego zrobić legalnie. To, co zrozumiał z krzyków na korytarzu, świadczyło, że sytuacja jest całkowicie poza kontrolą Tabiniego, chyba że Tabini zechce podjąć jakieś drastyczne kroki.

178

A staruszek wykorzysta te okoliczności. I Tabiniego. To jedno, jeśli chodzi o stosunki międzyosobowe. Tu jednak wchodziły w grę dwa klany. I Damiri.

Wspaniałe miejsce dla dwóch ludzi. I bezbłędne wyczucie czasu. Jase nie da rady.

- Wciąż można życzyć sobie deszczu - rzekł Tabini. - No tak.

Bren. Co u Geigiego?

Teraz przeszli do sprawy, o której aiji chciał być poinformowany - mówiąc oficjalnie. Chodziło tu o dobrą reputację Geigiego i wszystkich robotników w jego zakładach oraz we wszystkich innych laboratoriach i zakładach wizytowanych przez Brena, którzy polegali na nim, że przedstawi

ich pracę, ich dobrą wolę i wszystko, co starali się mu okazać.

Bren postarał się zebrać rozproszone myśli i dobrze ich zaprezentować.

- A więc kiedy polecą? - zapytał Tabini bez ogródek. Na początku pytanie to brzmiało: Czy polecą?

- Na kilka miesięcy przed terminem, aiji-ma, wciąż tak twierdzą, chyba że znajdziemy jakiś problem, który opóźni nas o te kilka miesięcy przeznaczonych na takie wydarzenia.

- Ale na razie nie ma żadnego takiego problemu. - Tabini oparł brodę na dłoni i wyglądał na zadowolonego. - Zrozum, że mógł powstać w przeszłości. Teraz taka przerwa jest o wiele mniej prawdopodobna.

Bren był tak zajęty myślami o szczegółach technicznych, że nie natychmiast zrozumiał, co Tabini chce powiedzieć.

Potem to do niego dotarło.

- Saigimi nie chciał, żeby ten statek poleciał - wyjaśnił Tabini.

- Traktował to jako sposób na obalenie rządu. Mylił się. Jego zabójcy nie dotarli do Geigiego ani do dyrektora Zakładów Kosmicznych Patinandi. Miałeś więc bardzo spokojną podróż.

179

- Tak, aiji-ma.

- Nie zauważyłeś niczego niepomyślnego.

- Nie, aiji-ma.

- Dobrze - powiedział Tabini. - I tak powinno być.

Rozdział 10

Rozmowa z Tabinim była stosunkowo krótka; w dniu przerywanym telefonami i niepokojącymi wieściami o wizycie Atigeiniego w jego apartamencie Brena wcale to nie zdziwiło. To dawało mu czas na powrót do apartamentu przed wywiadem telewizyjnym albo, z drugiej strony, na kurtuazyjną wizytę w jego biurze mieszczącym się w skrzydle legislacyjnym. Uznał, że gdyby wrócił do apartamentu, mógłby przypadkiem przeszkodzić Jase'owi w rozmowie telefonicznej: Jase musiał dzwonić albo z biblioteki, albo z posterunku ochrony, ale warunki w bibliotece było tak trudno przewidzieć w związku z hałasem powodowanym przez remont (stukanie młotkami zaczynało się o najgorszych porach, po czym personel śpieszył uciszyć winnych), że według Brena Jase raczej siłą nawyku skorzysta z telefonu posterunku ochrony przy głównym holu.

Zatem zamieszanie, jakie powstałoby przy otwieraniu i zamykaniu drzwi wejściowych oraz poruszenie wśród służby nie były wskazane.

Bren wybrał więc biuro na dole, gdzie jego personel kładł tamę powodzi korespondencji. Oddanie mu jednego z trzech biur wewnątrz Bu-javid było rzadkim zaszczytem - „ze względów bezpieczeństwa”, jak słyszał, co znaczyło, że skoro często odwiedza swoje biuro, to ochrona jego oraz Tabiniego nie chce,

żeby, co było alternatywą, paidhi udawał się do innego budynku, leżącego niżej na wzgórzu i noszącego oficjalną nazwę Przybudówki Maganuri. Został on zbudowany w pośpiechu wśród hoteli u podnóża historycznej posiadłości i prawdopodobnie zapoczątkował modę: kompleks rządowy zaczął się rozrastać, a ostatnia fala intruzów, hotele, zaczynały od zeszłego roku wypychać się na tereny mieszkaniowe, do czego komisja planowania nie zamierzała dopuścić.

Tak więc na obrzeżach miasta miał zostać wybudowany nowy odcinek kolei podziemnej prowadzący do dzielnicy hotelowej.

Wrogowie Tabiniego wskazywali na rozrost rządu.

Lecz ci sami wrogowie wspierali tworzenie rozmaitych komisji i agencji nie pozwalających aijiemu podejmować autokratycznych decyzji. A owe komisje i agencje wymagały coraz więcej biur i hoteli. Bren ostrzegał Tabiniego przed większą liczbą komisji. Zeszłego roku Tabini chciał oddać część władzy, twierdząc, że pewne sprawy wymagają większej uwagi, niż może jej poświęcić jego personel.

Teraz jednak Tabini patrzył bardzo podejrzliwym okiem na pewne komercyjne przedsiębiorstwa, które wcisnęły się do kompleksu rządowego ze swoimi planami nie mającymi nic wspólnego z tradycyjną strukturą, planami popieranymi przez niektórych panów. Ten budynek biurowy, Przybudówka

Maganuri, zbudowana dla komisji proponowanych przez legislatorów przeciwnych rozrostowi rządu, zaczynał być nękany awariami kanalizacyjnymi i elektrycznymi. Opozycja twierdziła, że to sabotaż agentów Tabiniego lub starej arystokracji, co stanowiło dość szeroki zakres konspiracji, a liczni przedstawiciele gminu unikali budynku i nie chcieli brać udziału w odbywających się w nim posiedzeniach komisji, z powodu jego podobno złych liczb.

Inni mówili, że został postawiony na polu bitwy (i tak było) oraz że nawiedzają go zmarli. Co dziwne, otaczające go hotele i

182

przedsiębiorstwa nigdy nie miały takich trudności.

Paidhi był więc bardzo zadowolony z zaszczytu posiadania biura i z tego, że nie musi jeździć koleją podziemną do stóp wzgórza czy też na skraj miasta - gdzie, wedle najświeższych pogłosek, kiedy od czasu powstania kontrowersji zakrzywionej przestrzeni pewni numerolodzy zaczęli się bawić rozszerzoną talią kart, budowę zaczęły nękać złe liczby, które mogły nawet wstrzymać prace.

Pewni numerolodzy proponowali zmniejszenie liczby państwowych urzędów i przywrócenie pierwotnego systemu, a mianowicie ponowne oddanie odpowiedzialności za zbieranie informacji w ręce panów i reprezentantów, którzy w dawnych czasach mogli za dostarczenie złych informacji popaść w niełaskę.

Dawniej nazwiska panów będących autorami sprawozdań były na stałe połączone z proponowanymi posunięciami, za których skutki, dobre czy złe, odpowiadali oni osobiście.

Niektórzy powiadali, że fakt, iż Maganuri zmarł, a trzech miejscowi panowie (którzy bardzo chętnie zatrudniali agencje budowlane we własnych patronatach) nie połączyli swych nazwisk z tym budynkiem, powinien stanowić ostrzeżenie.

Niektórzy powiadali, że w burzliwe noce budynek nawiedza sam stary Maganuri, szukając Shimajiego, Sonsiniiego i Buratiego, wspomnianych budowniczych, żeby zmusić ich do nawiedzania budynku zamiast niego.

Tak więc paidhi był zdecydowanie zadowolony, że nie musi urzędować w budynku, o którego zburzeniu mówiło się poważnie jeszcze przed jego pełnym wykorzystaniem. Wystarczyło, żeby udał się tylko na niższe poziomy kompleksu Bu-javid i wszedł na swój teren przez posterunek ochrony, nawet lekko się nie spociwszy.

Kiedy razem z Banichim wszedł do biura, sekretarze zerwali się z krzeseł i ukłonili, a nand' Dasibi, przełożony personelu biurowego, przybiegł ze swego gabinetu, by się ukłonić i

183

osobiście odpowiedzieć na pytania paidhiego o sprawy biurowe.

Słuchając bieżących uwag Dasibiego, który szedł obok z notatnikiem w ręku, paidhi przeszedł jak zwykle między rzędami

biurek, zatrzymując się tu i tam na krótką rozmowę z urzędnikami, którzy odpisywali na przychodzące do niego listy i stanowili pierwszą linię obrony między paidhim i jego co bardziej interesującą korespondencją.

Przejrzał ją rutynowo, a przynajmniej najciekawsze listy.

Nand' Dasibi ustawił przy południowej ścianie tablicę uwielbianą przez personel. Bren odkrył, że zapisywano na niej liczbę gróźb śmierci w porównaniu z propozycjami małżeńskimi i wieszano wybrane listy wariatów, proponujące na przykład ochronę atmosfery ziemi przed zanieczyszczeniami powodowanymi przez przelatujące statki kosmiczne; wisiał tam też ulubiony list Brena napisany przez pewne małżeństwo ze wschodu, a traktujący o wynalezieniu promienia, który zamieniałby eter przestrzeni kosmicznej w atmosferę nadającą się do oddychania, żeby do stacji mogły latać samoloty.

Za pośrednictwem swego personelu paidhi zaproponował, żeby statek kosmiczny miał skrzydła umożliwiające latanie w atmosferze, tak że gdyby dżentelmen i jego żona zechcieli udoskonalić promień zamieniający, statek byłby idealnie zgodny z obecnym projektem.

Na razie nie dochodziły z tamtych rejonów żadne wiadomości o takich działaniach.

Była też tablica na listy od dzieci: personel również je liczył; w większości były słodkie, czasami inteligentne, a czasami

wyrażające strach wywołany zasłyszczanymi rozmowami dorosłych.

Personel przekazywał paidhiemu najlepsze listy od dzieci oraz listy zdające się odzwierciedlać jakiś trend, a czasami kopie co lepszych listów od wariatów i propozycji małżeńskich. Groźbami śmierci zajmowała się jego ochrona.

Głównie jednak urzędnicy ci mieli do czynienia z powodzią

184

ogólnej korespondencji, która zalałaby Brena i zajęłaby mu mnóstwo czasu. Dokonywali także transkrypcji jego taśm i przekładali szorstkie i nieformalne notatki paidhiego na język najbardziej odpowiedni do danej okazji. Już ta drobna usługa oszczędzała mu czasochłonnego wertowania słowników - nie, żeby nie znał słów, ale nigdy nie miał pewności, czy nie ma jakiegoś lepszego, a przy jakimś ważnym sprawozdaniu nigdy nie śmiał przyjąć, że słowo, które przyszło mu na myśl, nie budzi niepomyślnych skojarzeń, których nie chciałby przelać na papier.

Pisemny błąd mógłby trafić do rąk służb informacyjnych zainteresowanych przyłapaniem paidhiego na właśnie takiej niezręczności. Prasa nie śmie zaatakować aijiego; w gruncie rzeczy nie wolno jej tego robić; lecz pan Patronatu jest godnym celem, a w czasie krótszym niż rok Bren stał się właśnie taką osobą - pod pewnymi względami wciąż chronioną, ale w coraz większym stopniu będącą coraz lepszą zwierzyną łowną, gdyby zrobił błąd na piśmie.

Poza tym jego słownik ułożyli ludzie - z odpowiedników ludzkich słów - i czasami człowiek mógł bezwiednie potknąć się na liczbach, ponieważ liczenie nie było naturalną umiejętnością i nawet atevi robili błędy. Ci doświadczeni urzędnicy rządowi, podobnie jak doświadczona ochrona Brena, rzucali swoją wiedzę między paidhiego i fanatycznych wyznawców liczb, przysyłających czasami listy specjalnie napisane tak, by wymusić na nim oświadczenia niepomysłne liczbowo, które następnie mogliby w przewrotnej zarozumiałości właściwej takim specjalistom określić jako znaczące.

Jako drobny urzędnik dworski Bren nie był nigdy narażony na takie pisemne zabójstwa. Jako ważny gracz w sprawach państwowych stanowił, podobnie jak aiji, cel takich manipulatorów i jego kontruderzeniem było stałe polecenie udzielania pochwały każdemu urzędnikowi, który na podstawie charakteru pisma, znaczka pocztowego lub innych wskazówek zidentyfikuje kogoś z wichrzycieli, podając jego nazwisko oraz

185

miejsce zamieszkania, i prześle te dane innym w zespole. Personel dzielił się informacjami z personelem aijiego oraz, tworząc rozległą sieć, z personelami różnych panów: wyznawcy liczb stanowili plagę i utrapienie; urzędnicy gardzili nimi oraz ścigali równie gorliwie, jak Gildia ścigała uzbrojonych szaleńców.

Sprawiało to jednak, że Bren czuł się nieco odsunięty od

pracy, którą kiedyś wykonywał osobiście, i bał się, że może stracić kontakt ze zwykłymi atevimi równie szybko, jak jego rosnąca sława i ważność zdobyła mu możliwość ich poznania. Lubił atevich, których poznawał, starszą parę z Malguri, swoich byłych służących z Bu-javid, studentów astronomii w Saigiadi - a najbardziej członków różnych personeli, z którymi miał do czynienia.

Nie mógł utrzymywać z nimi kontaktów i nie mógł też sobie pozwolić na ludzką słabość, na zarezerwowanie dla nich miejsca w tym wewnętrznym lamusie, gdzie mieszkają zaginieni znajomi. Oni znajdowali się poza jego man'chi. Nie należeli do niego. Nie mógł się spodziewać, że kiedyś tak będzie.

I na tym jednym prostym przykładzie zrozumiał, dlaczego ludzie mogli w tak krótkim czasie stać się tak niebezpieczni dla atewskiego społeczeństwa przez sam fakt swego istnienia i darzenia sympatią osób, które w rzeczywistości nigdy nie powinny wiązać się z nimi w atewskim rozumieniu tego pojęcia.

Ludzie siali spustoszenie, nie mając pojęcia o społecznych zniszczeniach, jakie szerzyli u podstaw społeczeństwa, którego członków można było łatwo wyrwać z wygodnych patronatów w obszarze, gdzie man'chi mogło się stać niezwykle złożone.

Powodowany jakąś mądrością aiji umieścił Brena wysoko w rozrzedzonym powietrzu, gdzie man'chi mogło bezpiecznie płynąć ku niemu - lecz czasami Bren z drżeniem patrzył na dzień,

kiedy atevi, osiągnąwszy wspólny cel, będą pracować ramię w ramię z ludźmi na stacji kosmicznej, dla znalezienia się na której zmieniali tory gospodarki całego narodu.

186

W takich chwilach Bren zadawał sobie pytanie: Na służbę jakiej potencjalnie katastrofalnej i szalonej idei oddał swoje życie?

Celowo nie zastanawiał się zbyt głęboko nad zmianami w swojej sytuacji osobistej, do których doprowadził czy które zaakceptował - a może zastanawiała się nad nimi jakaś część jego mózgu, lecz nie była to część, która pracowała dobrze, jeśli ktoś zapalił światło w tej ciemnej komórce.

Głupi wybór, Bren, mówił sobie czasami w duchu, kiedy docierało do niego, jak wysoko się wspiał i jaki z siebie zrobił cel.

Zabójczo głupi, Brenie Cameronie, mawiał sam do siebie w zimne i samotne noce - albo stojąc tak jak teraz wśród atewskich urzędników, którzy z wielkim oddaniem, jakim z przyczyn emocjonalnych nie mógł się im zrewanżować, stale i na bieżąco chronili go przed zrobieniem z siebie głupca.

Mógł przynajmniej pozwolić sobie na pytanie, co, u diabła, robi, co to wszystko znaczy i dokąd prowadzi tych atevich, podchodzących do niego z oddaniem zwykle okazywanym aijiemu, który jest ich oddania wart.

Jak ja śmiem? - zadawał sobie pytanie; a z jego podejrzeń zrodziła się odpowiedź: Przypadek i George Barrulin - Przypadek

był demonem we wzorze atewskiego wszechświata, a ten drugi, główny doradca prezydenta, był diabłem we wzorze mospheirskiej polityki.

Żaden z nich nie nadawał się do rządzenia tyloma osobami, ile mu podlegało.

Lecz Tabini, Bren mocno w to wierzył, nadawał się: nadawał się dzięki biologicznym procesom, których Bren nie mógł odczuwać oraz dzięki czysto atewskim procesom politycznym.

Ku jego ciągłemu zdumieniu Tabini przyjmował to, co robił paidhi, dokładnie wypytywał go o jego decyzje i rzucił swój autorytet na szalę pojęcia atewskich praw w kosmosie, kiedy ludzkie władze twierdziły, że atevich może zniszczyć pojęcie

187

mikrochipów i energii nuklearnej.

To, co atevi zrobią po znalezieniu się w kosmosie, było zupełnie inną sprawą.

W samotne noce Bren zadawał sobie pytanie, czy ten statek polecą za jego życia. Wyobrażał sobie, jak stoi przy pasie startowym, jednak nigdy nie widział w wyobraźni samego statku.

Bren stał się przesądny na temat tego obrazu, a nawet ponury i zrozpaczony, i nie zamierzał kopać zbyt głęboko, by dowiedzieć się, co dokładnie sądzi jego podświadomość o jego postępowaniu.

Nie miał wyboru; w tej chwili nie miał lepszego pomysłu, a to, co robił, trzeba było zrobić przed następną falą zmartwień.

Schodził tu, kiedy się bał. Tak jak bał się teraz wywiadu.

Stawił temu faktowi czoło. W prowincjach, podczas objazdu, szło mu łatwo. Podróżował samolotem aijiego, pod strażą aijiego i wszyscy cieszyli się na jego widok, bo mógł doprowadzić do rozwoju handlu i napływu funduszy.

Tutaj, w Bu-javid, zbierali się drapieżcy, którzy walczyli o ochłapy w sposób bardzo niemiło przypominający mu sytuację w domu.

Rozmawiał o tym z Tabinim.

A teraz pewien ateva, który opowiadał się za oddaniem władzy prowincjom, nie żył. Nie chodziło o to, że Saigimi był nieprzyjemnym ateva o złych liczbach: Saigimi był panem z Półwyspu, reprezentującym pewną politykę oraz ruch, któremu nie podobał się wpływ paidhiego - któremu nie podobało się zdobycie przez paidhiego tego biura, takiej pozycji, takiej lojalności. Któremu nie podobał się apetyt Tabiniego na technikę i władzę.

Istniała możliwość, że Saigimi miał cień racji. Fatalny sposób wyrażania jej, ale była to racja.

I była to jedna ze spraw, które będą się kłębić pod maską pytań zadawanych Brenowi przez różne służby informacyjne.

188

Konferencja miała dotyczyć programu kosmicznego i Bren rozpaczliwie pragnął o nim mówić. Jednak po sposobie

konstruowania programu, po tym, jak jednemu panu podawano

dobrobyt jak na tacy, a względem innego posługiwano się

zabójstwem, atevi poznali, że dzieje się coś bardzo ważnego.

Odpowiedzi na to, czy jest to dobra czy zła zmiana w

atewskich sprawach, znajdowały się w tych koszykach z listami -

wyrażali w nich swoje zdanie zwykli atevi.

- Jest kilka spraw trudnych do załatwienia, nand' paidhi -

poinformował go nand' Dasibi. - Ateva rozumie, że na niebie

miało miejsce niepomyślne zajście. Ateva chciałby zapytać, czy

gdyby ogół o to pytał, paidhi życzy sobie to zajście potwierdzić?

- Sprawa - odezwał się Banichi, cień Brena podczas

przechadzki między biurkami - wciąż znajduje się w fazie

śledztwa. Nie jest poważna.

- Powiedzmy - dodał Bren - że nic mi się nie stało i że nie

byłem zaniepokojony. Umiejętności pilotów aijiego nie dopuściły

do wyrządzenia szkód. Podkreśla to wagę przestrzegania

przepisów kontroli ruchu powietrznego przez pilotów,

wypełniania planów lotów... i tak dalej. Znasz moje zdanie na ten

temat.

- O, tak, nand' paidhi.

- Wkrótce zostanie też wydane oświadczenie o inspekcji

rezydencji, przeprowadzanej przez pana Tatiseigiego.

Atevi unieśli brwi. Dasibi nie odezwał się słowem.

- Jestem pewien - powiedział spokojnie Bren - że napłyną

pytania, a wydarzenie to nie będzie otwarte dla publiczności. Nie komentuj sytuacji na Półwyspie bez zezwolenia personelu aijiego.

Oficjalna i prawdziwa odpowiedź brzmi, że odbyłem owocną podróż, zaznałem wspaniałej gościnności i w najmniejszym stopniu nie byłem zagrożony przez wydarzenia na południu. Chcę cię jednak ostrzec, żeby w ciągu najbliższych tygodni nie udzielać

189

personelowi zbyt wielu urlopów.

- Mamy szczerą nadzieję, że nie dzieje się nic złego.

- Człowiek też ją żywi, nand' Dasibi. Co smutne, jeden z członków mojego otoczenia otrzymał ze statku złe wiadomości. -

Łatwo się domyślić, o kogo chodziło. - Śmierć w rodzinie.

Wiedział jednak, że jego decyzja udania się na ziemię, by tu służyć, rozłączy go z rodziną i jego rodakami. Ogranicz, proszę, publiczne pytania na ten temat i zapewnij pytających, że Jasepaidhi jest młodym człowiekiem o wielkiej odwadze i stanowczości, który podziela mój zamiar doprowadzenia do zbudowania atewskiego statku.

- Ateva tak zrobi, nand' paidhi. Przekaż mu, proszę, naszą dobrą wolę.

- Z największą przyjemnością, nadi.

- Jest też kolejna wiadomość od pana Caratho. Z mapami.

Jeśli prosperował Geigi, to pan Caratho nie widział żadnego powodu, dla którego w jego regionie nie mógłby zostać

zbudowany jakiś zakład przemysłu kosmicznego. To było sedno sprawy.

Problem leżał w tym, że liczni inni panowie też nie rozumieli, dlaczego oni nie mieliby osiągać takich samych korzyści. Caratho i czterech innych panów zalewało biuro komisji gospodarczej liczbami i propozycjami. Lecz tylko Caratho wymyślił - skoro różne zwykłe kanały zostały dla niego zamknięte - żeby zasypywać personel paidhiego mapami i sprawozdaniami promującymi taki zakład.

O, cholera! Zaczyna się.

- Jeśli paidhi pozwoli mi ułożyć odpowiedź - powiedział

Dasibi - to mogę stworzyć listę czcigodnych stronników programu kosmicznego, którą ateva mógłby wysłać aijiemu dla jego informacji, listę, do której mogliby chcieć dołączyć następni i

190

włączyć ją do swoich zasług, znajdując miejsce dla tych wszystkich sprawozdań i ofert pomocy w programie.

Skontaktowałem się z personelem aijiego, który wyraża zgodę.

Tymczasem zdaniem komisji gospodarczej pan Caratho nie potrzebuje takiego zakładu. Z powodu bezrobocia w rejonie musiał włączyć do swego personelu tysiąc czterysta pięćdziesiąt cztery osoby, co nie jest niezwykle w sytuacji pana o jego bogactwie, a są to osoby zatrudnione niegdyś przy budowie odnogi linii kolejowej. Posłużę się finezją, jeśli zaufasz mojemu

rozeznaniu.

„Finezja” była słowem, którego użyłby Banichi - bachi’ji - na

określenie uderzenia bez wyrządzania szkód ubocznych.

- Pokładam w tobie wielkie zaufanie, Dasibi-ji. Proszę, żebyś zrobił, co w twojej mocy. Nie tak martwię się o pana Caratho, jak o te bezrobotne osoby. Dowiedz się o nich czegoś więcej za pośrednictwem personelu, jeśli możesz.

- Już sobie na to pozwoliłem, nandi. Te osoby nie zostałyby zatrudnione w zakładzie, którego budowy proponuje pan Caratho.

- Ach. Stara się zmniejszyć swoje zobowiązania.

- Ateva sądzi, że zatrudnia je specjalnie, nand’ paidhi, głównie dla pozorów i po to, by wydłużyć te listy. Niepokoję się, nand’ paidhi, że być może zrobił to, nie dbając o dobro osób, które prezentuje jako zależne od siebie.

- Czy uważasz, nandi, że jest to sytuacja wymagająca tego, by przedstawić ją personelowi aijiego?

- Moim zdaniem tak, nand’ paidhi. - Staruszek powiedział to ze spuszczonego wzrokiem i lekkim drżeniem: oskarżał pana przed osobą mającą wystarczającą pozycję, by wyrządzić mu krzywdę.

- Zgodziłbym się z tym - odezwał się cicho Banichi i staruszek się rozchmurzył. - Ja znam reputację tego łajdaka: nie zaskoczysz aijiego, nandi.

191

- Ateva bardzo się cieszy. - Staruszek odetchnął głęboko. - Są

też dwie wiadomości od niejakiego Rejiriego, syna pana Dur, który prosi cię o okazanie dobrej woli. Nie mamy pojęcia, dlaczego przysłał dwie wiadomości - wspomina o jakimś spotkaniu. Nie mamy w twoim rozkładzie żadnego takiego spotkania, nand' paidhi.

- To pilot tej awionetki. Przyjmuje jego wyrazy dobrej woli.

Zapewnij go o tym. Nie mam czasu na spotkanie.

- Jak nie drzwiami frontowymi, to od kuchni - mruknął

Banichi. - On rzeczywiście jest młody, nadi.

- Czy nie powinienem przyjąć jego dobrej woli? - zapytał

Bren.

- Młody - rzekł Banichi. - I w dodatku głupi. Ale tak, przyjmij

ją. Nand' Dasibi radzi ci dobrze we wszystkim.

- A także - powiedział Dasibi, wyraźnie zadowolony -

wiadomość od personelu aiji-wdowy, że odpowiedź nie jest potrzebna, ale że wdowa zakończy sezon zimowy krótką wizytą w stolicy i że chce się z tobą zobaczyć, nand' paidhi, w dogodnym dla ciebie terminie.

- Jestem zachwycony - odparł i rzeczywiście był zachwycony, od chwili kiedy usłyszał o tym od Tabiniego, którego zaprzeczenia na temat wdowy jako siły politycznej były częste i w połowie żartobliwe, a w połowie nie.

Sam Bren z wielkim żalem myślał o powrocie Ilisidi do

Malguri, a szczególnie o braku okazji do zobaczenia się z nią,

może przez bardzo długi czas, kiedy już osiadzie w swojej ukochanej posiadłości i zanurzy się w lokalną politykę. Ostatnie zamieszanie wokół Malguri wiązało się ze zrzucaniem bomb i wystrzeliwaniem pocisków. Z prowincjonalnymi panami wschodniego krańca Patronatu Zachodniego, panami sąsiadującymi z domem matki Ilisidi - panami, których poplątana teza głosiła, iż paidhi, aiji w Shejidan oraz ludzki prezydent

192

tworzą konspirację mającą na celu pozbawienie atevich ich praw. To byli ci sami wichrzyciele, którzy utrzymywali, że Tabini i wszyscy związani z tą sprawą wiedzieli, iż ma się pojawić statek. A niektórzy zatwardziali teoretycy wciąż twierdzili, że nie tylko na Mospheirze został już w tajemnicy wybudowany statek kosmiczny, ale że nieustannie odbywa on loty - co nie było prawdą, ale nic, łącznie z pokazaniem zainteresowanym panom wydruków radarów strzegących całego wybrzeża, nie wykorzeniliby w nich przekonania o wymierzonej w nich konspiracji. Po pierwsze, nie byłiby w stanie odczytać tych danych; po drugie, oznajmiliby, że są fałszowane przez tak zaawansowany układ techniczny, iż budowa statku kosmicznego byłaby już zbędna; i po trzecie, postanowili wierzyć w konspirację i dlatego ta konspiracja istniała, nawet jeśli musieli odwoływać się do tajnych baz na księżycu albo promieni wypalających rozum, zsyłanych nocą ze stacji. Chodziło o to, że chcieli wierzyć w

konspirację, a ich sytuacja polityczna była o wiele lepsza i łatwiejsza do utrzymania, jeśli taka konspiracja istniała.

Fakt, że Ilisidi - którą ci panowie dobrze znali i ogólnie uważali za dość wykształconą, by potrafiła odczytać dane z radarów - była na tyle rozsądna, by zrozumieć sytuację w Shejidan oraz na tyle doświadczona, by dostrzec prawdę w zachowaniu paidhiego, nie przekonał twardogłowych. Ilisidi zrozumiała, o czym sama powiedziała Brenowi, że kierowani przez nią panowie nie pójdą za nią dalej, jeśli nie przekona ich siłą swojej obecności.

Ta stosunkowo prosta polityka obracała się wokół pragnienia zachowania pewnych obszarów świata nietkniętych przez przemysł oraz pewnych aspektów atewskiej kultury nietkniętych przez ludzkie wpływy.

Dziwne, ale w paidhim znalazła sprzymierzeńca dla tych planów.

Tak więc kobieta, babka Tabiniego, która kilka razy miała okazję zostać aijim Shejidan, musiała, jak powiedziała Brenowi

193

przy pożegnaniu zeszłej jesieni, wlać wodę cło oceanu: co oznaczało, że nie będzie zachwycona polityczną działalnością w Malguri. Orzekła jednak, że tę pracę trzeba wykonać, a jej celem jest poprawa postaw i zlikwidowanie regionalnych uprzedzeń, które, niestety, już przyniosły śmierć, a teraz zagrażają środkom utrzymania. Była to praca, którą potrafiła wykonać - właściwie

tylko ona potrafiła ją wykonać - chociaż Bren bardzo żałował, że Ilisidi koncentruje wysiłki na prowincjach, kiedy potrzebna jest jako nieformalna prawa ręka Tabiniego na poziomie państwowym. Nawet jeśli Tabini narzeka na jej wtrącanie się do nie swoich spraw.

- Powiedz jej - zaczął Bren, zupełnie nie zrażony stwierdzeniem, że odpowiedź nie jest potrzebna. Po chwili zmienił zdanie. - Poproszę o pióro i papier, nadi.

W kieszeni miał jedną ze swoich tutek na wiadomości.

Podróżował z nią. Usiadł przy stole i własnoręcznie napisał:

„Jestem zachwycony Twoją propozycją i chętnie zgorszyłbym Twoich sąsiadów, chociaż obawiam się, że uciekli przed zapachem farby i stukaniem. Proszę, żebyś znalazła w swoim wypełnionym rozkładzie spotkań z adoratorami jakąś możliwość przyjęcia mnie albo sama mnie odwiedź o każdej dogodnej dla Ciebie porze”.

To usunie jakąkolwiek wątpliwość co do miłego przyjęcia Ilisidi, gdyby kiedyś zechciała wejść do apartamentu, a jeśli Brena zamierza odwiedzić wuj Tatiseigi, to, do cholery, ona przecież go zna i potrafi lepiej od Brena ocenić, co może uratować sytuację. Mogłaby nawet zainterweniować: jak powiedział Tabini, dobrze sobie radziła z Tatiseigim i jej obecność przy oficjalnej wizycie mogła być cenna. Bren nie mógł wybierać gości na wieczorne przyjęcie Atigeinich, ale niech Tatiseigi spróbuje powstrzymać

Ilisidi przed zrobieniem tego, co jej się podoba - równie dobrze mógłby próbować powstrzymać bieg rzeki.

Miał też przy sobie swoją pieczęć, a biuro dostarczyło wosk.

194

Podał wiadomość Dasibiemu i jak zwykle powiedział parę słów do personelu.

- Nand' paidhi - odezwał się Banichi. - Służby informacyjne.

Do pewnego stopnia Bren wolałby mieć do czynienia z wujem.

Lecz już sama myśl o Ilisidi pobudziła w samoobronie inteligencję Brena, a zważywszy na to, dokąd szedł, wyszło mu to tylko na dobre.

Poszedł więc korytarzem w kierunku wielkich sal dwóch izb legislacyjnych - izby gmin, czyli hasdrawadu, i izby panów, czyli tashridu. Zeszłego roku po raz pierwszy w historii atewskiej telewizji ludzka twarz uświadomiła atevim obecność osoby, której niegdyś bały się ich dzieci, a do której teraz pisały tysiące listów.

W zeszłym roku wywiady z Brenem były odtwarzane z taśmy. W tym roku konferencje prasowe szły na żywo. Pokój naprzeciwko tashridu został urządzony jako centrum konferencyjne - natłok mikrofonów i kamer był jeszcze jednym skutkiem rozgłosu oraz mieszkania w pobliżu pałacu, w którym zapadały decyzje. Po podłodze pokoju widać przewody, więc trzeba było chodzić ostrożnie. Miejsce, które miał zająć Bren, było obstawione

mikrofonami.

Oddał wszystkie drobne przedmioty otrzymane w biurze, komputer (z którym rzadko się rozstawał) oraz notatki, w ręce młodszego ochroniarza, następnie pozwolił Banichiemu poprowadzić się na swoje miejsce.

Usiadł, oślepiiony reflektorami. Czekał na sygnał, splótnął dłonie na stole, na którym stały mikrofony.

- Nand' paidhi - zaczął pierwszy reporter i zanim zadał pytanie, zagłębił się w zawile komplementy i uprzejmości; Bren czasami myślał, że takie okrężne dążenie do celu ma paidhiego uśpić albo zdekoncentrować.

195

Kiedy w końcu z lasu tytułów wychynęło pytanie, brzmiało ono następująco:

- Czy wróciwszy właśnie z objazdu zakładów wspierających program kosmiczny, jesteś pewien, że atewskie i ludzkie konstrukcje mają równą wagę dla statku i są przez niego traktowane tak samo?

- Jestem bardzo pewien - odparł automatycznie Bren. Dało mu to rozbieg do rozwinięcia odpowiedzi: - Ale nie tylko tego, że jesteśmy traktowani na równi z Mospheirą, nadiin: atevi są porządnie zaawansowani w kwestii lotów kosmicznych i w gruncie rzeczy mogą prowadzić w wyścigu ku gwiazdom. Nie jest to pozycja, w której można pozwolić sobie na zmniejszenie

wysiłeków. Nie wiemy, jakie mogą powstać opóźnienia. Otuchą napawa mnie jednak fakt, że zrobiliśmy ogromny postęp. - Bren był bardzo zadowolony z możliwości ogłoszenia na cały kraj, że kolosalne ryzyko finansowe aijiego przynosi efekty: sukces rodzi stabilizację - oraz samozadowolenie; tej skrajności też musi unikać. - Przyszłość programu widzę w bardzo jasnych kolorach.

- Z jakiego powodu, nand' paidhi, gdybyś zechciał wyjaśnić?

- Dzięki atevim, nadi. Widziałem elementy tego, co stanie się pierwszym statkiem kosmicznym wystrzelonym z tej planety. One już powstały. Spotkałem robotników oddanych swojej pracy, których sumienność zapewni gospodarczy dobrobyt całym pokoleniom atevich.

- A co powiesz, nand' paidhi - odezwał się przedstawiciel stacji z południa - na zastrzeżenia dotyczące kosztów?

Program polityczny pana Saigimiego. To nie było niewinne pytanie. Prowokacyjne. Wskazywało na źródło kłopotów. Bren miał nadzieję, że z tego kierunku nie padnie już żadne inne pytanie, a nie mógł zerknąć na przełożonego personelu, który kierował zadającymi pytania, nie zdradzając jednocześnie tego spojrzenia przed kamerami ogólnokrajowej telewizji.

196

- Budowa systemu linii kolejowych, z których korzysta obecnie cały handel, była ogromnie kosztowna - rzekł spokojnie. - Spójrzcie na tę pracę, nadiin, spójrzcie na pracowitość. Gdybyśmy

cofnęli się przed szansą dania mieszkańcom tej planety władzy nad ich własną przyszłością, władzę tę wykorzystaliby ktoś inny.

Zgodnie z Traktatem poszukuję pokoju. A nie widzę żadnego pokoju, jeśli w stosunkach panujących obecnie między atevimi i ludźmi rozwinie się taka nierównowaga. To byłoby bardziej niż kosztowne, nadiin, to byłoby nie do pomyślenia. Program musi dać atevim władzę kierowania ich własnym życiem.

- Czy to leży w granicach man'chi paidhiin?

- Bez wątpienia. To znaczy zgodnie z Traktatem. - Pytanie

padło z tego samego źródła. Ateva nie usiadł. I pośród wszystkich niepokojów dotyczących zmian w życiu atevich Brenowi przypomniały się inne cechy Saigimiego. Jego poplecznicy, którzy budowali tandetne biurowce i którzy osobiście usiłowali zrujnować pana Geigiego, by zagarnąć jego głos w pewnych bardzo ważnych sprawach.

- Czy paidhi miał wrażenie, że na Półwyspie coś zagraża jego bezpieczeństwu?

Wedle podstawowych zasad rządzących wszystkimi konferencjami prasowymi nie było to dozwolone pytanie. Bren wiedział, że Tabini rozpęta z tego powodu piekło; inni reporterzy poczuli się nieswojo, ale Bren uniósł rękę na znak, że odpowie na tę bezpośrednią prowokację.

- Paidhi - rzekł spokojnie i w nieskazitelnym ragi - pokłada ogromne zaufanie w dobrej woli okazywanej mu przez uczciwych

atevich. - Służba informacyjna reprezentowana przez tego

reportera starała się upolitycznić, czy to jeszcze w ramach spadku po Deanie, czy z nowego podpuszczenia wrogów Tabiniego, dając do zrozumienia (ponieważ bezpośrednio zaangażowanie musiałoby pociągnąć za sobą odwetową akcję członków Gildii), że paidhi, albo pan Geigi, miał związek z zabójstwem. Bren nie

197

czuł najmniejszych skrupułów co do zduszenia tej próby w zarodku poprzez rozwlekłą, długą odpowiedź. W ograniczony czasem program na żywo mogą grać dwie osoby.

- Opiszę wam scenę, jak opuszczałem zakład, nadiin, kiedy to powodowani życzliwością robotnicy wylegli na zewnątrz, wylegli z naręczami kwiatów, które ponieśli do samochodów. Kiedy mój samolot przechylił się na skrzydło i skręcił w kierunku Shejidan, zobaczyłem, jak oprócz samochodów mojej miejscowej ochrony przepływają pod nami wiosenne kwiaty Półwyspu. Tyle atewskiej hojności, tyle uwagi poświęcanej temu ważnemu zadaniu spoczywającemu w ich rękach i tak hojny wyraz ich wiary w to zadanie. Ich nadzieja co do przyszłości jest teraz widoczna.

Dotykalna. - Kiedy będą powtarzali fragmenty tej wypowiedzi, na pewno ją potną, i po takim pytaniu Bren pilnował się, żeby wygłaszać wyłącznie pozytywne zdania o pomyślnych liczbach.

Paidhi nie wtrącał się do wewnętrznych spraw atevich. Do tego właśnie usiłowali go zmusić, więc Bren grał niezorientowanego

półgłówka. - Byłem pod wielkim wrażeniem, nadiin. Powiem wam, że byłem pod takim wrażeniem, iż podobnie jak oni wierzę w pomyślność tego przedsięwzięcia, w pomyślność tego narodu i w pomyślność aijiego, który tak przewidująco sięgnął w kosmos, w chwili kiedy zbiegły się te wszystkie szczęśliwe okoliczności.

Wstał inny reporter.

- Czy zezwoliłeś, nand' paidhi, na bezpośrednią wymianę wiadomości między wyspą i paidhim ze statku pod twoją nieobecność?

A cóż to ma znaczyć, u diabła? Drugie zakazane pytanie?

- Nie zakazałem jej, nadi.

- Czy możesz, nand' paidhi, potwierdzić śmierć w rodzinie paidhiego ze statku?

Był jakiś przeciek. Był poważny przeciek. Wyglądało to na robotę Deany. Gdyby tylko mógł dojść, co się stało - przyszły mu

198

na myśl różne możliwości, łącznie z radiem.

Cholera, pomyślał Bren. Chciał o tym poinformować, bo kiedy służba coś wiedziała, mogły się zdarzać informacyjne wypadki, a nie chciał, żeby spekulacje wyprzedziły będące w jego posiadaniu informacje o faktach. Chciał jednak o tym poinformować po rozmowie Jase'a z matką. Śmierć na statku oznaczała niepomyślność.

Bren mógł albo zakończyć wywiad w tej chwili na tych dwóch

niegrzecznych i niedozwolonych pytaniach, z prostego powodu - naruszyły one protokół; mógł dać znak swojej ochronie, żeby odwróciła uwagę zebranych, albo mógł stawić czoło poruszonemu problemowi, a potem polecić ochronie, by dowiedziała się, kto wystawił reporterów.

- Mogę potwierdzić, nadiin - powiedział - że istnieje takie smutne doniesienie; o ile wiem, był to jakiś wypadek. Postaram się zdobyć tę informację dla was. Nie jest to jednak oficjalnie ogłoszone, a ujawnienie tej informacji mogłoby przynieść wielki ból Jase-paidhiemu, który czyni wysiłki i ucziwie pracuje dla pomyślności atevich oraz ludzi. Jestem pewien, że tego byście nie chcieli.

Czasami jego gruboskórna reakcja na wydarzenia przerażała go. Atevi będą chcieli wiedzieć. Wyznawcy liczb będą chcieli wiedzieć. Mnóstwo osób będzie chciało wiedzieć z uzasadnionych i rozsądnych powodów, z powodu zabobonów oraz tylko dlatego, że - co zrozumiałe - ciekawi ich ludzkie zachowanie.

Następne dwa pytania, które padły ze strony dużych agencji informacyjnych, były rutynowe i bez nieszczerých intencji. W jakim stopniu program kosmiczny spełnia oczekiwania inżynierów i czy w tłumaczeniu projektu nie ma widocznych błędów?

- Zestaw ekwiwalentów budujemy w obu językach, które czynią tłumaczenie wykresów o wiele łatwiejszym. Mamy do czynienia z miarami, które mają skalę bezpośrednio

porównywalnych liczb - na to słowo atevi zawsze strzygli uszami

199

- co czyni operację tłumaczenia o wiele szybszą. Jeśli sprawa dotyczy zapisanych liczb, atewscy inżynierowie praktycznie potrafią odczytać ludzkie dokumenty i zamienić te liczby na liczby atewskie, stosując wszystkie zwykłe obliczenia kontrolne, które przeprowadzają te wykwalifikowane osoby.

To nie miało znaczenia dla ludzkiego audytorium, ale dla audytorium atewskiego było prawdziwą bombą o religijnym i filozoficznym znaczeniu. Jeżeli wszechświat jest racjonalny i liczbowy, to liczby stanowią bezpośrednie odbicie jego matematycznej niezawodności; liczby potrafią przewidywać, chronić, kierować i rządzić. Żadne przedsięwzięcie nie powiedzie się bez dobrych liczb; statek, na którym był oparty projekt, latał, a zatem ludzkie liczby są dobrymi liczbami, a co więcej, liczbami pomyślnymi - ponieważ liczby mogą być pomyślne lub niepomyślne, prowadząc do sukcesu lub klęski - a informacja, że atewscy inżynierowie potrafią doskonale rozumieć ludzkie rysunki techniczne, zajmie priorytetowe miejsce w wiadomościach, wraz z zabójstwem na Półwyspie oraz śmiercią na statku, przynajmniej przez krótki czas. Bren zamierzał wspomnieć o tym później, ale mogło to wyprzeć z nagłówek tragedię Jase'a, a Brenowi właśnie o to chodziło.

Odpowiedział na cztery czy pięć pytań balansujących na

krawędzi jego własnych umiejętności matematycznych i pożegnał się z reporterami, mając (jak sądził) nie tak znów nierozsądną nadzieję na chwilę wolnego czasu, kiedy będzie mógł wrócić do swego apartamentu i popracować nad tłumaczeniami, gdyż te muszą być gotowe, zanim - kolejny punkt w jego rozkładzie zajęć - poinformuje doradców aijiego, którzy muszą udać się do różnych ministerstw, w celu przedstawienia argumentów paidhiego, zanim - następny krok - paidhi stawi się przed doradcami legislatury pracującymi między sesjami, aby na posiedzeniach izb - krok numer trzy - panowie i przedstawiciele mieli przed sobą dobrą informację.

Lecz w jego rozkładzie zajęć figurowało coś o wiele

200

ważniejszego.

- Mamy problem - powiedział Bren do Banichiego; szli do windy, a młodszy funkcjonariusze ochrony utrzymywali ciekawskich w pewnej odległości, poza zasięgiem słuchu. - Nie wiem, jak dotarła do nich ta wiadomość o prywatnych sprawach Jase'a, nie wiem, czy gdzieś nie ma przecieku, ale pomyślałem sobie, że albo jest przeciek wśród personelu aijiego - lub naszego - albo że podają to w wiadomościach na Mospheirze i ktoś na kontynencie zna język na tyle, by to wychwycić.

- Wszystkie osoby, które płynnie znają mospheiran, zajmują oficjalne stanowiska - rzekł półgłosem Banichi, informując Brena

o czymś, co kiedyś chciał wiedzieć. - Jest też - dodał Banichi -
nand' Deana. - W miejscu publicznym należało zachowywać się z
godnością i dodawało się tytuły do imion, nawet jeśli chciało się
posiekać tę osobę na przynętę dla ryb. - A mogę ci powiedzieć,
Bren-ji, że mają miejsce nielegalne kontakty radiowe.

Doszli do windy. Bren z niepokojem spojrział na Banichiego.

- Ile jeszcze nie wiem?

- O, bardzo dużo - odparł Banichi. Drzwi otworzyły się. - Nie
znasz imion moich dalekich kuzynów, miejsc...

- Banichi, moja sałatko, mów prawdę.

Banichi wprowadził Brena do kabiny i zawiadomił ochronę
korytarza na górze, że jadą. Uśmiechną) się, nie spojrzawszy na
Brena po tej uwadze na temat sałatki.

- Paidhi wciąż żyje - powiedział - a my utrzymujemy go w tym
stanie. Szczegóły są jednak sprawą jego ochrony.

- Nie wtedy, gdy dotyczą Hanks!

- Jednak ludzie mają waśnie.

- Z tą kobietą? Jak najbardziej, do cholery! - Wyszli z windy
na górny korytarz, ten z porcelanowymi bukietami. - Niestety,

201

Gildia nie ma biur na Mospheirze. Ja muszę to wiedzieć, Banichi-
ji.

- Wtedy wydawało się, że po tej stronie cieśniny biorą w tym
udział tylko atevi - rzekł Banichi - a Tano i Algini nic nie

wiedzieli. Gdybym był tu z Jago, nasza pozycja pozwoliłaby nam uzyskać tę informację dla ciebie. Tak, takie kontakty między Mospheirą i wybrzeżem miały miejsce, w rahi. To był zdecydowanie jej głos.

- Nand' Deana. - Deana, która miała tak szerokie kontakty z zupełnie nieodpowiednimi osobami, dopóki ktoś nie porwał jej z Shejidan, ktoś, czyjej tożsamości zarówno Ilisidi, jak i pan Geigi, do dziś nie chcieli wyjawić, a i Bren nie śmiał zbytnio o to wypytywać własnego personelu. Potknięcia wielkich rodów były drażliwym tematem.

A może, stwierdził w końcu Bren, kiedy chodziło o rywalizującego paidhiego, nie mieli pewności, jak on zareaguje i czy będzie w stanie - by zastosować ten ludzki skrót myślowy - wybaczyć odpowiedzialnym za to atevim.

- Gdzie została umieszczona moja koleżanka, kiedy przebywała poza Bu-javid? - zapytał Banichiego. - Czy możemy teraz zapytać oficjalnie i do protokołu?

- U pani Direiso.

Nie był całkowicie zaskoczony. Oględnie mówiąc.

- I Geigi po prostu tam wszedł?

- Została użyta broń, ale nie na poważnie. Direiso-daja zaangażowała się w swą większą nadzieję, nie używając broni, po prostu pozyskując Hanks-paidhi.

- To ona ją porwała.

- Bez poważnego oporu.

- Człowiek tak sądził. A odzyskanie Deany... był rozlew krwi?

202

- To określało stopień powagi większości awantur. Nie tej, pomyślał. - Czy Direiso stawiała opór?

- Bez rozlewu krwi - odparł Banichi. - Bojąc się o własną skórę, spostrzegła, że nie zostało jej nic oprócz pełnego wdzięku ulegnięcia aiji-wdowie, z nadzieją, że Tabini będzie wkrótce martwy. I ty też. Wtedy paidhim zostałaaby Deana Hanks. A gdyby życzenia Direiso miały mocniejsze nogi, doprowadziłyby ją do zagarnięcia statkowych paidhiin - co z kolei uczyniłoby z niej potężną postać. Stąd jej szybka kapitulacja w interesującym nas dniu.

To dopiero bania z informacjami. Direiso uległa, kiedy Ilisidi, którą może uważała za rywalkę i sojuszniczkę zarazem, weszła z bronią w rękę i zażądała wydania Hanks. Direiso wciąż miała nadzieję na dotarcie do lądującej kapsuły i schwywanie Jase'a oraz Mercheson-paidhi.

Nie wygrała jednak tego wyścigu. Oni go wygrali.

A więc Direiso straciła wsparcie Ilisidi (być może uświadamiając sobie w końcu, że Ilisidi z radością wbiłaby jej nóż w plecy, i to chyba nie w przenośni, by nie zobaczyć jej na stanowisku aijiego). A teraz jest możliwe, że Direiso robi awanse Atigeinim po zeszłorocznym ataku na ich dumę, którego ofiarą

padły lilie, może przez przypadek, a może nie.

- Czy wtedy syn Direiso nie był u Tatischeiego z Atigeinich? -

zapytał Banichiego. Przypomnił sobie, że słyszał o tym.

- Owszem, Bren-ji.

- Przekraczasz moją ludzką wyobraźnię. Dlaczego?

- Gdybym był tego pewien, Bren-ji, Damiri mogłaby w tej godzinie zostać panią Atigeinich.

Poważna wiadomość. Banichi podejrzewał Tatischeiego o sympatyzowanie z konspiracją Direiso, a ją o zgodę na obecność jej syna u Tatischeiego.

203

- Podejrzewasz, że Tatischei współpracował z Direiso, przynajmniej przy ataku na nas, kiedy lądował Jase?

- Podejrzewamy wszystko. - Doszli do drzwi. - Działamy zgodnie z tym, co wiemy.

- A ona wciąż spiskuje przeciwko aijiemu. Stąd ta sprawa na Półwyspie.

- Prawda.

- A wybór terminu?

- Ateva może się tylko domyślać, Bren-ji. Bren rozmawiał z osobą zarówno najlepiej, jak i najgorzej poinformowaną w tej sprawie, osobą, która najprawdopodobniej przeprowadziła uderzenie na sprzymierzeńca Direiso, Saigimiego.

A on wtedy był gościem pana Geigiego, który wydawał się

sprzymierzeńcem Direiso, a potem Tabiniego.

Człowiek potrzebował wykresu. Naprawdę go potrzebował.

Atevi prawdopodobnie myśleli to samo o ludziach.

Były rzeczy, do których nigdy się nawzajem nie przyznawali.

Radia należące do atewskiego rządu i odbierające przekazy.

Zagłuszanie. Po obu stronach cieśniny. Linie telefoniczne, które

zawodziły za każdym razem, kiedy tylko pojawiała się jakaś

zabłąkana chmurka. Banichi raz powiedział: na wyspę może się

dostać staruszek w łodzi wiosłowej. Na kontynent też.

Gdyby Hanks nadawała do Direiso, to te wiadomości

przechwyciliby atevi, którzy pracowali dla Tabiniego - a Deana i

osoby stojące za nią były na tyle sprytne, by umieścić w nich to,

co chcieli: truciznę, bez względu na to, czy padłoby na Tabiniego

czy Direiso.

- Cholera - powiedział Bren, wyobrażając sobie stacje

nasłuchowe wzdłuż całego wybrzeża, dzięki którym atevi mogli

przechwycić każdą audycję o bliskim zasięgu, jaką chciała nadać

204

konserwatywna frakcja na Mospheirze. Jeśli Deana i jej

poplecznicy chcieli rozlewu krwi, to takie pełne nienawiści

programy mogły pobudzić do czynu nie tylko Direiso.

Fakt, że tacy konserwatywni ludzie nienawidzą atevich, wcale

Direiso nie obchodził. Deany nie obchodził fakt, że nienawidzi ją

Direiso. Zarówno konserwatywni atevi, którzy pragnęli śmierci

Tabiniego i ograniczenia ludzkiej techniki, jak i konserwatywni ludzie, których rozmaite plany dążyły po prostu do tego, żeby ludzie pozostali na wyższym poziomie technicznym od atevich, mieli jeden cel: ograniczyć dostęp Tabiniego do techniki. Tabini u władzy i Bren Cameron na urzędzie oznaczali gwałtowny przepływ techniki do atewskich rąk. Należy się więc pozbyć jednego z nich lub obu.

Drzwi otworzyły się. Służące powitały wchodzących. Młodszy ochroniarze, którzy wjechali tą samą windą, kiedy ta wróciła na dół, dogonili ich, zanim drzwi zostały zamknięte i ponownie włączyły się czujniki. Bren nie bardzo zdawał sobie sprawę ze swego otoczenia.

To, że Banichi powiedział mu to, co powiedział, co najmniej wskazywało, że Brenowi mówi się prawdę o wysokim poziomie utajnienia. Atevi już nie utrzymywali paidhiego, który pracował w ich interesie, w większej ignorancji niż innych ludzi, działających przeciwko tym interesom.

To było użyteczne. Jeden krok głębiej w sytuację, w której już się znajdował.

Nie powstrzymało to jednak Deany Hanks, której zamiarów na pewno nie do końca się domyślał - a nie mógł działać na podstawie swoich podejrzeń, dopóki nie usłyszy dokładnie, co mówi i co ma nadzieję sprowokować.

A na razie Bren nie otrzymał od atevich żadnej oferty

dostarczenia mu tej informacji.

Jeszcze raz: cholera!

205

Rozdział 11

Ta sprawa, o której rozmawialiśmy - powiedział Bren do Banichiego, kiedy weszli do apartamentu. Zbiegły się służące i Bren zaczął rozpinąć guziki kaftana. - Czy możesz przygotować mi obszerniejsze sprawozdanie na ten temat, Banichi-ji? I sprawozdanie dla aijiego mówiące o przyczynie mojego pytania, dotyczące wywiadu? Chce dostać zapis jej słów.

- Tak - rzekł Banichi w charakterystycznym dla ragi oschłym stylu. Było to jednak entuzjastyczne „tak”, po którym Banichi natychmiast poszedł do posterunku ochrony, gdzie, jak powiedział sobie w duchu Bren, zapewne wywiąże się pełna napięcia i bardzo poważna dyskusja, która może nawet sięgnąć sąsiedniego apartamentu i skończyć się poważnym dialogiem pewnego reportera z ochroną aijiego. Reporterzy na Mospheirze z dużą dozą swobody zadawali pytania agencjom rządowym i rutynowo otrzymywali w odpowiedzi kłamstwa. Lecz na atewskim kontynencie rząd właśnie rozważał pojęcie natychmiastowej Informacji - tak samo, jak rozważał niegdyś stworzenie systemu autostrad, który odrzucił jako zabójczy dla społeczeństwa. Podobne beztroskie założenia, że to, co funkcjonuje dla ludzi, jest dobre i słuszne dla atevich, były przyczyną Wojny i śmierci

dziesiątków tysięcy osób.

Dlatego Brenowi nie podobało się to, co zaszło podczas wywiadu. Dostrzegł działania, które nie prowadziły w kierunkach

206

dobrych dla atevich - działania grup, które chciały śmierci

Tabiniego i zastąpienia go kimś innym.

Lecz postępowanie osoby takiej jak Deana Hanks, osoby wyszkolonej do kontaktów z atevimi, mówiącej przez radio rzeczy mające zdestabilizować atewski rząd - było sprzeczne z wszelkimi prawami, ze wszystkimi zasadami biura. Jeśli chodzi o

departament stanu, Bren stał na grząskim gruncie z powodu podjętych przez siebie decyzji, ale, do cholery, przecież stara się zachować stabilność reżimu Tabiniego. Jego działanie zostało usankcjonowane przez ludzi, którzy go tu wysłali; którzy wysłali go tu z powrotem w tak rozpaczliwej sytuacji, że Shawn ukrył nowe kody komputerowe pod piankowym opatrunkiem jego złamanej ręki i nawet mu o tym nie powiedział.

Bren chciał dostać mospheirską gazetę. Cholera.

Chciał wiedzieć, co się dzieje na wyspie, chciał znać szczegóły, na których temat rząd po prostu nie mógł kłamać.

Jednak w związku z atmosferą strachu o własne życie, najwyraźniej gnębiącego niektórych ludzi na Mospheirze, łącznie z jego matką, bratem i byłą narzeczoną, Bren wcale nie był pewien, czy dowie się prawdy, nawet gdyby zdobył taką gazetę

lub nieograniczony dostęp do danych. To tyle, jeśli chodzi o podobno wolną prasę na Mospheirze.

Sytuacja przerażała go, dogłębnie przerażała - bał się o swoją rodzinę, o atevich, o wszystkich mieszkańców planety.

A sam przekonywał Tabini-aijiego, żeby nie zatrzymywał

Deany Hanks na kontynencie: żeby wysłał ją do domu, całą i zdrową, wściekłą i niebezpieczną. Jeśli sprawy pogorszyły się do tego stopnia, to błąd popełnił Bren. Mógł zbierać

usprawiedliwienia, kiedy błędna była atewska polityka. W tym wypadku żadną miarą nie mógł winić atewskiego rządu.

Uśmiechnął się do służących, które zabrały jego kaftan, i trzeźwo przyjął ich uprzejme pytania: nie kłamał swojemu

207

personelowi, który musiał radzić sobie z drażliwymi sytuacjami oraz dawać odpór natrętnym i nieupoważnionym osobom o nie zawsze szczyrych zamiarach.

- Powstała pewna trudność w trakcie wywiadu, nadi -

odpowiedział na pytanie, jak mu poszło. - Temat, który nie

powinien zostać poruszony: nand' Jase. Wiemy, że tutejszy

personel nie wyjawiał tej informacji, ale jakoś wydostała się ona na zewnątrz.

- Ateva poinformuje nand' Saidin, paidhi-ji. Atevie przykro to słyszeć.

- Dziękuję, Sasi-ji. Jak on się czuje?

- Rozmawia teraz ze swoją matką, nand' paidhi.

- Dziękuję, Sasi-ji. - Natychmiast zboczył do posterunku

ochrony, przeszedł przez zwykle otwarte drzwi i wszedł prosto do pomieszczenia nasłuchu, które znajdowało się tuż za nimi.

Był tam Tano ze słuchawką w uchu, podobnie jak Banichi,

Jago i młodszy technik. Wszyscy pilnie słuchali.

Tano nie powiedział ani słowa, tylko oddał Brenowi swoją słuchawkę, którą ten natychmiast wetknął sobie do ucha.

- Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić - usłyszał głos Jase'a, mówiącego językiem statku; w miejsce odpowiedzi nastąpiła długa przerwa.

- Wiem - odezwał się w końcu smutny kobiecy głos. - Nie mam sposobu, żeby ci pomóc. Nie mogę nic zrobić. Ty też nie.

Oprócz jak najszybszego powrotu.

- Mówią, że budowa postępuje. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Możesz jeszcze zadzwonić?

- Nie wiem. Spróbuję. Naprawdę spróbuję.

- Kocham cię.

208

Długa przerwa, podczas której to ludzkie wyrażenie, tak słabe, a zarazem tak mocne, zawisło w powietrzu.

- Ja też cię kocham, mamó. Nic mi nie jest. Nie martw się o mnie.

Kolejna przerwa.

- Chyba powinnam kończyć.

- Tak. Dobrze usłyszeć twój głos.

- I twój, Jase. Dbaj o siebie. Proszę cię, dbaj o siebie.

- Dobrze, mammo.

Zapadła cisza. Bren spojrział na obecnych - wysokich, czarnych - na zbiór obcych twarzy; jedna z nich należała do kobiety, z którą o mały włos się nie przespał - a wszyscy z wyczekiwaniem patrzyli na niego.

Niektórzy zrozumieli wystarczająco dużo z tego, co zostało powiedziane, a niektórzy ufali mu w wystarczającym stopniu, by wyrażać coś mimiką twarzy.

Tak było w przypadku Banichiego. I Jago.

- W tej rozmowie nie ma nic niezwykłego - powiedział Bren. -

Syn rozmawiający ze swoją matką, z... - Nie było słowa na miłość.

Po prostu nie istniało takie pojęcie. Nie było żadnej możliwości w twarzach, które patrzyły na niego z taką dobrą wolą i przyzwoleniem - oraz troską. - Z użyciem wyrażeń odpowiednich w takim związku. Jase martwi się o swoją matkę. Boi się, że ona martwi się o jego zdrowie psychiczne. Zapytała, czy może jeszcze zadzwonić. Odpowiedział, że nie jest pewien, ale że spróbuje.

Będzie miał dostęp, prawda, nadiin-ji?

- Nie ma żadnych przeciwwskazań - odparł Banichi.

- Śmierć jego ojca określono mianem wypadku - odezwała się

Jago. - Nie rozumiemy dokładnej przyczyny.

To, że najbardziej wyczuleni na sprawy bezpieczeństwa atevi,

209

jakich znał, wyjawili mu, ile zrozumieli, było aktem dobrej woli samym w sobie. Twarze wróciły do normalnej perspektywy. Serce

biło mu mocno z czystego przerażenia i Bren pomyślał, że to dlatego, iż przez chwilę znalazł się gdzieś indziej, znalazł się na ludzkim terenie i zobaczył dwie osoby, które bardzo kocha...

...nie zniekształcone, ale jako atevich, jakimi są, niezdolnych do odplącenia mu tym samym uczuciem. Zobaczył ich jako niezdolnych do powiedzenia tego, co powiedziała matka Jase'a: „kocham cię”.

Zobaczył ich jako niezdolnych do zrozumienia tego, co powiedział Jase do kobiety znajdującej się na orbicie nad nimi: „kocham cię, mamó”.

Atewskie dzieci trzymały się rodziców. Nie robiły tego jednak z miłości.

Iść do przywódcy, kiedy zaczynają latać kule - zawsze iść do przywódcy.

Czy człowiek mógłby poczuć to emocjonalne spełnienie, którego doświadczali atevi, kiedy reagowali na ten impuls i sami go wywoływali? Pewnie tak samo, jak atevi mogliby odczuć to, co miał na myśli Jase, kiedy matka i syn mówili, gdy dzieliła ich tak wielka odległość: „kocham cię”.

Wiedzieli jednak, że w takiej odległości od przywódcy

Patronatu ich najgłębsze instynkty nie znalazłyby zaspokojenia. I

po tej stronie przepaści jedna twarz była głęboko zaniepokojona.

Jago odezwała się cicho:

- Jakby była na księżycu, prawda?

Było to określenie na coś nieosiągalnego.

- Nawet na księżycu - powiedział zawsze praktyczny Banichi -

będzie kolej i telewizja, jeśli ten statek polecą.

- To prawda - rzekł Bren, wciąż czując zimno tego pustego

210

miejsca w sobie. - I Jase to rozumie. Lepiej z nim porozmawiam.

Wydawało się wtedy, że odetchnęli z ulgą, czy to na myśl o

tym, że Bren poradzi sobie z problemem, ale po prostu dlatego, że

znikała obcość, której nie potrafili pojąć bez analogii.

Zostawił ich własnej dyskusji - pewnie o dziwaczności ludzi.

Przeszedł przez foyer i korytarzem prowadzącym do serca

apartamentu dotarł do biblioteki, gdzie znajdował się telefon i

gdzie musiał być Jase.

Lecz były tam też służące - wszystkie służące; nie rozmawiały

jednak w grupkach, jak wydawało mu się na pierwszy rzut oka,

lecz przesuwały się powoli, jakby w kolejce, a każda trzymała

jakiś kwiat, nie wiadomo skąd wzięty; może z któregoś z

bukietów pojawiających się co kilka dni. Kłaniały mu się, kiedy je

mijał lekko oszołomiony, przechodząc obok jadalni, sypialni i

łazienek, idąc wzdłuż ponurej stalowej bariery budowlanej i dochodząc do prywatnego gabinetu, gdzie znajdował się osobisty telefon pani Damiri.

Jase stał przed drzwiami z kilkoma kwiatami w rękach.

Służące podchodziły po kolei i uroczyście podawały mu swój kwiat, po czym pochylały w ukłonie głowę i odchodziły w milczeniu.

Jase sprawiał wrażenie, że nie bardzo wie, co robić. Stał tak i przyjmował kwiaty, jeden po drugim; Bren zatrzymał się, po prostu stanął i patrzył wyczekująco; po chwili dołączyła do niego madam Saidin.

Jase stał z coraz większym naręczem przeróżnych kwiatów i, sądząc po jego minie, coraz większym ciężarem na duszy, aż wreszcie ostatnia służąca wręczyła mu kwiat, skłoniła się i poszła do swoich zajęć.

- Jeśli można, nand' Saidin - odezwał się Jase z drobiazgową uprzejmością i wyciągnął ku niej naręcze kwiatów. - Co należy zrobić?

211

- Możesz je dać mnie, jeśli sobie życzysz - rzekła Saidin i ostrożnie przejęła kwiaty, wszystkie czterdzieści dziewięć, jak domyślił się Bren. Pachniało nimi w całym korytarzu. - Czy mam je osobiście wrzucić do stawu w ogrodzie, nand' paidhi? - Mówiła do Jase'a. - To byłoby odpowiednie postępowanie.

- Proszę - odparł Jase, sprawiając wrażenie, że znajduje się u kresu wytrzymałości. Ukłonił się jednak w odpowiedni sposób. -

Nandi. Dziękuję.

- Wszystkie jesteśmy zasmucone - powiedziała Saidin i zabrała kwiaty.

Bren chciał porozmawiać z Jasem, więc czekał.

Lecz gdy tylko Saidin odeszła, Jase gwałtownie przepchnął się obok niego i ruszył ku frontowej części apartamentu, kierując się, jak zgadywał Bren, do swojego pokoju.

Otworzenie ciężkich, dobrze umocowanych drzwi i trzaśnięcie nimi potwierdziło jego domysł.

No cóż, pomyślał, Jase zrobił wszystko w wyjątkowo przykładowy sposób, łącznie z popchnięciem go i trzaśnięciem drzwiami. Osobiście, Bren by mu to wybaczył, chociaż zamknięcie tych drzwi zagrało paidhiemu na nerwach.

Mógł zignorować ten gest, wybaczyć go i dać spokój. Nie o to mu chodziło, kiedy wciąż przeżywał konferencję prasową: adrenalina zaczęła płynąć i Bren w żadnym wypadku nie mógł jej wykorzystać tutaj.

Ale jutro wieczorem przybywa z wizytą wuj Tatiseigi, więc

Jase musi skończyć ze swoimi fochami i zacząć się kontrolować.

Bren będzie musiał coś zrobić.

Jase nie zamknął drzwi na klucz. Dobrze - Jase się nie izoluje.

Albo źle - Jase jest w takim stanie, że nie myśli o takich sprawach.

Bren nacisnął klamkę i wszedł do sypialni Grahama.

212

Jase leżał na zaścielonym łóżku z rękoma pod głową i wpatrywał się w sufit. Zdjął buty, mając na uwadze niezłomne atewskie poczucie przyzwoitości w tym względzie. Jase zachowuje się coraz lepiej - i myśli.

Łagodne rozpoczęcie rozmowy wydawało się dobrym pomysłem.

- Bardzo dobrze sobie poradziłeś, Jase.

Jase odpowiedział przez zaciśnięte zęby, w mospheiranie:

- Podśluchiwałeś?

- Przyszedłem późno. Usłyszałem koniec rozmowy. Bardzo mi przykro, Jase.

- Dzięki.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, chyba że umiesz latać.

- Wiem. Słyszałem tę część. Przykro mi. To wszystko, co mogę powiedzieć. Jak się czuje twoja matka?

- Dobrze. - Chwiejny, rozzłoszczony głos. - Wolałbym, żebyś reszty dowiedział się z taśmy. Nie mam teraz ochoty na pytania.

- Jase. - Bren chciał usiąść po drugiej stronie łóżka. Jase na niego nie patrzył. A Bren wiedział, jak ten człowiek potrafi zakiepieć złością. Nie zaryzykował siadania. Zaryzykował natomiast wejście w jego pole widzenia. - Jase, mówi to ktoś, kto

przynajmniej wie, przez co przechodzisz. Nie odrzucaj mnie.

Powiedz mi, co się stało, żebyśmy o baj o tym wiedzieli. Powiedz mi, jak się czujesz. Powiedz mi, czy statkowi lub stacji zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

- To chcesz wiedzieć? Wszystko w porządku.

- Jase. Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Nic na to nie poradzę. Powiedz mi jednak, co się stało i co się wskutek tego dzieje.

213

- To nie twój cholerny interes!

- To jest mój interes! Ja kieruję tym przedsięwzięciem.

- Kto tak powiedział? Mój kapitan? Wątpię.

- Jasne, świetnie, kierujesz sam sobą i nie potrafisz porozumieć się w miejscowym języku ani pojechać koleją podziemną na drugi koniec miasta. Nie, Jase. Dobrze ci tam poszło. Poszło ci nadzwyczaj dobrze. I wiem, że to twoja osobista sprawa, ale paidhiin nie mają spraw osobistych, jeśli dotyczą one bezpieczeństwa pozostałych osób.

- A co, gdybym chciał pojechać koleją podziemną na drugi koniec miasta?

- A co to ma do rzeczy?

- Jestem tu więźniem. Jestem więźniem pod strażą. Czy tak jest?

- Jesteś w tej kulturze kruchą jednostką. Nie masz kwalifikacji,

by samemu gdzieś wychodzić: atewski sześciolatek mógłby dotrzeć samodzielnie tam, gdzie chce, ale ja nie postawiłbym nawet na to, że dotrzesz do stacji, nie mówiąc o innych miejscach. No więc dokąd chcesz iść albo co chcesz robić? Mogę ci jakoś pomóc?

- Chciałbym zobaczyć ocean.

Czasami rozmowy z Jasem zmieniały kierunek pod kątem prostym. Ta zawróciła o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Ocean.

- Chciałbym zobaczyć ocean. Morze. Czy jak to tam się nazywa. Chciałbym stanąć na brzegu i popatrzeć na fale. Czy to jest bezpieczne? Czy to głupia prośba?

- To nie jest głupia prośba. - Wcale nie był lepiej poinformowany i wcale nie rozumiał Jase'a lepiej. To pytanie trzeba było zadać, choćby tylko po to, by się dowiedzieć, że na

214

niebie nie dzieje się nic groźniejszego. - Jase, co się stało twojemu ojcu? Personel mówi, że zginął w jakimś wypadku.

Nastało długie milczenie. Przez ten czas Jase nie zmienił pozycji.

- Stare uszczelki na stacji. Niebezpieczne miejsce. To wszystko. Próżnia. Mój ojciec... - kilka następnych chwil ciszy, oczy wbite w sufit - został wyssany w przestrzeń. To wszystko. Pracował, puściła uszczelka.

- To stało się szybko.

- Owszem.

- Jak to znosi twoja matka?

- O, zupełnie dobrze. To znaczy martwi się - czego się spodziewasz? A ja nic nie mogę zrobić.

- Doskonale to rozumiem.

Jase wciąż leżał z rękoma pod głową, wpatrzony w sufit.

- Twoja matka przerwała pracę, nadi, czy dalej pracuje?

- Pracuje.

- Miałeś kłopoty z połączeniem tym razem? Mam nadzieję, że nie.

- Nie miałem żadnych kłopotów. - Jase wyjął ręce spod głowy i powoli wstał. Włosy, które, jak twierdził, doprowadzały go do rozpacz, opadały mu wokół twarzy. Potrząsnął głową i odgarnął je palcami. Spadały mu na uszy, nie osiągnąwszy jeszcze przyzwoitej atewskiej długości. - Głupi wypadek, to wszystko.

Czegoś takiego nie można powstrzymać. Nie można planować.

- Tak - rzekł Bren. - To prawda.

- Czy możesz załatwić mi... odwiedziny nad morzem, nadi?

Bren nie chciał mu tego wypominać, ale zaraz po

wylądowaniu Jase miał kłopoty z chodzeniem. Miał kłopoty z

215

orientacją, a szczególnie z widzeniem obwodowym. Nie chciał iść

do atewskiego lekarza. Powiedział, że świat nie ma krawędzi.

A później opisał świat składający się jedynie z korytarzy i małych pomieszczeń.

- Znam jedno miejsce - powiedział Bren, myśląc jednocześnie, że pan Geigi będzie zaskoczony, iż ma dwóch gości.

Nie sądził jednak, żeby Jase był gotów na odbycie rejsu łódką.

Jeszcze niezupełnie.

- Kiedy? Niedługo?

- Niedługo. - Świat jednak nie dawał o sobie zapomnieć. Z

całą swoją złożonością. - Tak. Ale jest coś, co musimy zrobić najpierw. Coś, co musisz zrobić dla mnie. Proszę cię.

- Co?

- Przyjeżdża gość. Bardzo ważny gość - obejrzyć apartament.

- Po co? - zapytał Jase.

- Na jeden wieczór. Obejrzy sobie pokoje i pojedzie. Jest bardzo wymagający. Bardzo „kabiu”. Pan, który jest właścicielem tego apartamentu, rozumiesz? To bardzo ważne, żebyśmy wywarli na nim wrażenie jako właściwe osoby.

- I chcesz, żebym nie popełnił żadnego błędu.

- W prostych słowach.- tak.

- Dostanę mój ocean?

- Jeśli to zrobisz, to jestem dość pewien co do oceanu.

- Zrobię to. Dla oceanu.

Może, pomyślał Bren, po prostu powiedział sobie tam w

górze, że jest coś, co chce zobaczyć. Jase nie dawał mu żadnych

wskazówek.

Ale Jase zachowywał się rozsądnie, co prawda pewnym

216

kosztem - Bren to widział. Graham był bardzo blady. Kiedy podszedł do biurka i starał się zrobić porządek z włosami, trzęsły mu się ręce.

- Mam poprosić o herbatę - zapytał Bren - żebyśmy mogli usiąść i porozmawiać, a ja wyjaśniłbym ci kwestię gościa i całą sytuację?

- Tak. - Jase wrócił do ragi. Doprowadził włosy do porządku, najlepiej jak potrafił, zaplatając je od samej góry i chwytając zwykłą spinką. - Jak najbardziej, nadi.

Nieskazitelne maniery. Prawie nieskazitelny akcent. Jase najwyraźniej ćwiczył.

Bren wyszedł do holu, znalazł kręcących się w pobliżu madam Saidin i Tano.

- Poproszę herbatę, nadiin-ji - powiedział z nadzieją, że zaraz zostanie przyniesiona.

Rozmowa potoczyła się zdumiewająco łatwo - przynajmniej Jase słuchał trzeźwo, niczemu się nie sprzeciwiał, pytał o to, czego nie rozumiał, i niczego nie nazywał nierozsądnym.

W pewnym stopniu smutno było patrzeć, jak Jase usiłuje wszystko zrozumieć, wiedząc, jaki dźwiga ciężar i znając jego skłonność do szukania jasnych rozkazów. Bren pomyślał, że pod

pewnym względem dostarcza ram oczekiwaniom Jase'a: jak się ubierać, co mówić.

Teraz jednak trzeba było dać sobie radę z atewskim panem - i panią, która była tego pana główną rywalką; publicznie i oficjalnie wystąpić przed aijim Shejidan, którego Jase poznał w o wiele mniej oficjalnych okolicznościach, wśród pierwszych osób na świecie, z jakimi się zetknął, kiedy na horyzoncie szalał pożar, do jego kapsuły wlewała się woda, a cały świat wrzał.

Jase jednak ożywił się, kiedy Bren skierował rozmowę na

217

balkon pana Geigiego - wydawał się nieco zaskoczony opisem walki z rybą, którą potem się jadło; rybą na tyle dużą, że ścigała po pokładzie załogę łódki pana Geigiego.

Jase powiedział wtedy, że chce popatrzeć na mapę w biurze, wrócili więc do tego pokoju, leżącego na tyłach apartamentu tuż obok stalowej bariery ochronnej, żeby zobaczyć, gdzie się znajdują i gdzie jest morze, Mospheira i Teren Południowy Taiben - kapsuła Jase'a wylądowała na Terenie Południowym, w jednym z rozległych rezerwatów myśliwskich i Jase potrafił znaleźć to miejsce na ściennej mapie. To potrafił znaleźć.

A potem poprosił o książki o morzu. Bren poprowadził go do biblioteki pani Damiri.

- Jak on się czuje? - zapytał Banichi, kiedy Bren wyszedł z

biblioteki, w czasie gdy Jase wyciągał z półek książki i przeglądał

hasła. - Czego on szuka?

Bren zaczerpnął głęboko tchu, rozumiejąc do pewnego stopnia tę zmianę kierunku emocji, lecz nie bardzo potrafiąc przełożyć ją na ragi, szczególnie Banichiemu, który lubił „strzelać do zamków z powietrza”, jak mówili atevi.

- To ludzka reakcja - powiedział cicho Bren. - Przeżył poważny cios. Jego emocje są niepewne. Możliwe, że szuka czegoś, co odciągnęłoby jego myśli ku sprawom nie mającym ładunku emocjonalnego, może ku czemuś, co pochwalał zmarły, możliwe też, że to tylko osobista ambicja.

- Zobaczyc ocean.

- Z kosmosu jedynymi łatwo dostrzegalnymi cechami byłyby granice między oceanem a lądem i czapy polarne. Sądzę, że mógł się nad nimi zastanawiać.

- I chmury - dodał Banichi. Fotografia kosmiczna trafiła do rąk atevich jeszcze przed Wojną Lądowania. Przed przekazaniem pierwszych materiałów raketowych archiwa ujawniły wszelkie rodzaje fotografii kosmicznej, przygotowując, jak mówili

218

paidhiin, grunt pod podróże kosmiczne, a nie koncepcję rakiet wojennych, kierując psychologię gatunku ku niebu, a nie ku zbrojeniu. Zapisy mówiły, że ludziom nie bardzo się to udało i atevi szybko przystosowali tę technikę do samoobrony.

- Dużo chmur - zgodził się Bren.

- A więc chce odwiedzić pana Geigiego?

- Coś w tym rodzaju - odparł Bren. - Myślę, że może być gotowy do takiego przedsięwzięcia.

- Robiło mu się niedobrze od patrzenia na niebo, Bren-ji. Czy to się nie powtórzy, gdy znów się znajdzie na otwartej przestrzeni?

- Chyba zależy mu na udowodnieniu samemu sobie, że nie będzie chorował.

- Aha - powiedział Banichi.

- Nie jestem pewien, czy ja sam to rozumiem, Banichi. Proszę, byś sobie nie wyobrażał, że doskonale wiem, co się dzieje w jego umyśle. Może to jednak oznaczać dla niego nowy początek, nowe postanowienie wypełnienia zadania. Może już nadszedł czas, żeby spróbował czegoś trudnego. Jeśli ma być paidhim i tłumaczyć słowa atevich ludziom na statku, to uważam, że powinien zrozumieć sposób, w jaki atevi patrzą na świat. Jeśli zezwoli na to ochrona. Ja mu to obiecałem, Banichi. Założyłem, że ochrona może na to zezwolić.

- Z pewnością warte zastanowienia. Są jednak bezpieczne miejsca na obszarze, który możemy gwarantować. Myślę, że ateva mógłby znaleźć takie miejsce. Ale Geigi - tu nie jestem taki pewien.

- Czy zechciałbyś się dowiedzieć, nadi-ji, co mogłoby być bezpieczne?

- Ateva tak zrobi. Tymczasem, ta inna sprawa...

219

Deana. Był tak roztrzęsiony, że zapomniał, o co poprosił Banichiego.

- Przygotowujemy transkrypcję słów tej kobiety, paidhi-ji.

Tano pragnie, byś zrozumiał, że nie miał pojęcia, co się dzieje.

Podobnie Jago i ja, Bren-ji. Z uwagi na naszą rangę powinniśmy

zostać poinformowani od razu po naszym powrocie, to była

krytyczna sprawa. Pewne czynniki stojące między nami i aijim nie

chciały rozpraszać twojego personelu. Nie znaczy to, że można

pominąć kwestię nie zawiadomienia ciebie. Oraz nie

zawiadomienia Tano.

- Darzę wielkim zaufaniem mój personel, Banichi. Ja w was nie wątpię.

Banichi jakby się nad czymś zastanawiał, po czym powiedział:

- Aiji odkrył wśród pewnych członków Gildii niejaką niechęć

do przekazywania wiadomości na wyższe poziomy, nadi-ji; w obu

wypadkach dotyczyła osób prowadzących nasłuch przekazów,

które mają własną Gildię; w obu wypadkach chodziło o

przekazanie informacji z tej właśnie Gildii do Straży. Aiji

wyjaśnia obu tym służbom, że moje nieobecności, ilekroć będą

konieczne, nie powinny blokować przepływu informacji. Paidhi

może sobie wyobrazić, że uzmysławia to ze szczególną siłą Gildii

Posłańców, która zawiniła w Mogari-nai.

- Przyjmuję to jako bardzo stanowcze posunięcie, nadi -

powiedział zupełnie szczerze Bren. Nie chciałby znaleźć się w skórze oficera Gildii albo Strażnika, który dwa razy przeciwstawił się aijiemu, czy to z powodu poglądów politycznych, sprzecznych z poglądami Tabiniego, czy po prostu przez urażoną dumę z powodu naruszenia protokołu - uparł się przestrzegać przepisów i procedur przekazywania próśb, które musiały ustąpić przed potrzebami ludzkiego biura umieszczonego przez aijiego na liście osób tradycyjnie otrzymujących informacje od Gildii.

Właśnie usłyszał zdecydowanie więcej o konfliktach między Gildią i Strażą, niż wiedzieli o nich jego poprzednicy.

220

Bren mógłby się założyć, że po pierwsze Banichi powiedział mu to za pełną wiedzą Tabiniego, a po drugie że było to bardzo konieczne ostrzeżenie dla niego - gdzie w przeszłości zaistniały przerwy w przepływie informacji i gdzie mogły pojawić się w razie podobnego kryzysu w przyszłości; miało to mniej więcej oznaczać coś w rodzaju: „nie wierz, że usłyszałeś wszystko, co mówił statek. Nie wierz, że wszystkie przekazy trafiają do ciebie - istnieje poważna, nieprzewidywalna przeszkoda”.

Sprawy nie mogły wyglądać poważniej. Jedna z Gildii nie raz, lecz już dwa razy źle przysłużyła się aijiemu. Jeśli według zasad Tabiniego nie było to przestępstwo karane śmiercią, to Bren obawiał się, że znajduje się ono na tej granicy - to po pierwsze; nie

chciał być świadkiem współzawodnictwa o władzę wewnątrz administracji czy wykorzystania przez Tabiniego Zabójców przeciwko Posłańcom.

Lecz, co było równie poważne, ten szczególny strumień informacji płynący od statku poprzez Mogari-nai do Shejidan zawierał zwykle wykresy, dane i podręczniki. Były też i inne rodzaje informacji: wiadomość Jase'a. Bóg jeden wie, co jeszcze.

Bren wiedział, że jest ktoś, bynajmniej nie żaden zwykły ateva, przynajmniej jedna osoba, i to prawdopodobnie w Mogari-nai, która siedzi i czyta wszystko, co przychodzi z góry. Niczym uderzenie pioruna olśniło go, że jest zupełnie sensowne, iż był to ktoś z Gildii Posłańców, a nie Gildii Zabójców, która regularnie strzeże aijiego. Bren nie miał pojęcia, przed kim odpowiada Gildia Posłańców.

Lecz dostarczywszy mu tę informację, Banichi poszedł do swoich obowiązków.

A kiedy Bren wrócił do biblioteki, żeby sprawdzić, co robi Jase, ten był zatopiony w książkach, więc Bren uznał, że Jase osiągnął pewną stabilność.

221

Rozdział 12

Po próbie ułagodzenia Jase'a paidhi musiał jednak zacząć codzienną pracę, a zbliżało się popołudnie. Musiał zająć się sprawozdaniami dla własnego biura, które przywiózł z objazdu

zakładów produkcyjnych, a które nie zostały przekazane

personelowi Tabiniego.

Musiał napisać listy, spełniając obietnice dane w większej liczbie miast i okręgów miejskich, niż mógł je przywołać z pamięci.

Miał komputer pełen plików z nie załatwionymi sprawami, z których pewną część może i mógł powierzyć komuś innemu, ale najpierw musiał je przejrzeć, żeby jako osoba o odpowiednim poziomie dostępu do tajemnic móc stwierdzić, co da się przenieść na inne biurka.

I miał stertę luźnych notatek, które usiłował zapisywać w notesie, ale które skończyły na kawałkach papieru pożyczanych z różnych źródeł; będzie musiał przekazać tę nieporządną kolekcję urzędnikom w biurze, żeby coś z nią zrobili, oczywiście po jej przejrzaniu i upewnieniu się, że do notesu nie trafiło nic, co nie nadaje się dla tego poziomu dostępu do tajemnic. Bren sądził, że wyjął już wszystko, ale nie miał pewności co do tego szczególnego notesu, który nosił przy sobie w rozmaitych laboratoriach.

Dobrze. Sprawa Jase'a, dzięki Bogu, przycichła. Nie została załatwiona, ale przycichła. Bren zrobił, co mógł; po ludzku

222

żałował, że nie mógł zrobić więcej. Przede wszystkim żałował, że nie udało mu się osobiście zbliżyć do Jase'a. Był pewien, że Jase

chciał, by jego własne uwagi i sprawozdania dla przełożonych były jasne i obiektywne i Jase zawsze trzymał Brena na dystans - nie znajdował się więc z nim w na tyle bliskich stosunkach, by zaoferować mu... cokolwiek oferują sobie ludzie w takiej sytuacji.

Było mu smutno, że Jase'owi jest smutno; martwił się tym; przyprawiało go to o niemiłe myśli na temat moralności i jego własnej rozbitej rodziny; z uwagi na humory Jase'a Bren niepokoił się też, czy da on sobie radę i z izolacją, i z poczuciem straty.

Krótko mówiąc, ładne powitanie. Dom w nieładzie. Jeśli zacznie się tym martwić - oraz potknięciami ochrony, lukami informacyjnymi... Przecież nie będzie to trwało wiecznie.

Banichiego i Jago wtedy tu nie było. Chociaż Tano i Algini są dobrzy, to nie są aż tak dobrzy, więc pojawiły się problemy. Nie powiedziano im rzeczy, o których powinni wiedzieć.

Banichi i Jago badali sprawę. Będzie lepiej.

Tymczasem nie mógł zrobić już nic więcej, niż zrobił, nie mógł się dowiedzieć o sytuacji Jase'a więcej, niż już wie, ani czuć więcej, niż czuje, a jeśli Jase postanowił poradzić sobie sam, to Bren może się tylko wycofać i mieć pewność, że Jase naprawdę dobrze się czuje, to wszystko.

Rozwiązywanie innych problemów, które mogły mieć wpływ na położenie Jase'a, należało do Banichiego. Pliki...

...należą do niego.

Usiadł więc w salonie, poprosił służące, by poleciły jednemu z młodszych ochroniarzy przynieść mu komputer i notatki, po czym rozłożył swoje ruchome biuro, by po raz pierwszy od przelotu samolotem oddać się nieprzerwanej pracy.

Prosta, działająca jak masaż mózgu rutyna tłumaczenia stanowiła swoistą przyjemność. Były dni, kiedy Bren po prostu

223

lubił wciskać klawisze komputera, dopóki przynosiło to znane, przewidywalne rezultaty.

Przyszła służąca, żeby zapytać, co chciałby na kolację.

Poprosił, żeby skonsultowała się z Jasem i spełniała jego życzenia, gdyby miał ochotę na coś oficjalnego, natomiast on osobiście wolałby coś bardzo lekkiego: wziął udział w wielu bankietach i wrócił do siedzącego trybu życia, a wtedy wolał lżejszą dietę. Był stosunkowo pewien, że Jase nie jest w nastroju do spożycia ciężkiego posiłku.

Ku jego zdumieniu do drzwi podszedł Jase i powiedział, że personel pyta o kolację oraz o to, co chciałby zjeść Bren. Paidhi nie spodziewał się, że Jase wychynie ze swego pokoju; Jase jednak sam do niego przyszedł i zważywszy na okoliczności, wydawał się dość dobrze panować nad sobą.

- Zjem z tobą, jeśli chcesz - zaproponował Bren.

- Świetnie - odparł Jase. - Czy mam to załatwić ze służbą?

- Tak, bardzo cię proszę, nadi-ji. - Na kolanach miał komputer

i starannie ułożone notatki. Zastanowił się nad zapytaniem: „Jak się czujesz?”, ale poprzestał na „Dziękuję”.

- Dobrze - powiedział Jase i oddalił się w głąb apartamentu, gdzie zwykle można było znaleźć personel.

Zjedli więc kolację tylko we dwóch, ponieważ ochrona była zajęta gdzie indziej. Jase, choć poważny, był w lepszym nastroju; opowiadał o tym, co się działo podczas nieobecności Brena, nawet w pewnym momencie roześmiał się: kiedy zacięła się winda robotników od lili, ochrona wszczęła alarm i żeby z powrotem przetransportować ich na dach, trzeba było wezwać służbę ratownictwa pożarowego Bu-javid.

- Nie mogliśmy opuścić bariery zabezpieczającej - dodała madam Saidin, osobiście podając główne danie - bo nie chciała na

224

to pozwolić ochrona z Gildii. Robotnicy mieli ze sobą na rusztowaniu dwa fragmenty porcelany, więc nie mogli ryzykować. Artystka zeszła do ogrodu i zaczęła do nich wołać, że nie powinni wkładać lilii do wiadra, co sugerowali strażacy...

- Boże.

- Wzgórze jest tu pochylone - odważył się wtrącić Jase. Chciał powiedzieć, że jest strome, ale prawie udało mu się oddać to znaczenie. - Drabina nie sięgała.

- Skończyło się na tym, że spuścili strażaków na linach, by przejęli lilie - wyjaśniła madam Saidin - i umieścili je w

bezpiecznym miejscu. Tymczasem jednak zaryglowano drzwi do budynku i artystka - starsza kobieta - została na wzgórzu w ogrodzie, więc potem trzeba było ratować i ją, co spowodowało konieczność wystawienia kolejnych zezwoleń na wpuszczenie kogoś z zewnątrz drzwiami na dole.

- Ochrona Bu-javid - powiedział Jase - nie była zadowolona.

Bren mógł się z tego śmiać - był pewien, że opowieść ta nie rozbawiłaby pana Tatischeigiego, którego poczucie humoru prawdopodobnie było bardzo ograniczone; ale jeśli mógł się śmiać ktoś taki jak związana z Atigeinimi madam Saidin, to mogli się śmiać i oni, a Bren wyobrażał sobie nawet Darnin - na sąsiednim balkonie, jeśli ochrona przepuściła ją przez drzwi.

Jase wyglądał jednak na znużonego i pod koniec posiłku oznajmił, że woli spędzić wieczór na nauce i wcześniej położyć się spać.

- Wszystko w porządku? - zapytał Bren w mospheiranie.

- Tak - odparł Jase. - Ale zeszłej nocy mało spałem.

- I wcześniej pewnie też.

- I wcześniej też - zgodził się Jase. - Dzisiaj jednak będę spał dobrze.

225

- Doskonale. Gdybyś czegoś potrzebował, od razu mnie budź.

- Nic mi nie będzie. Dobranoc.

Zdarzało się, że rozmawiali wieczorami, ale najczęściej były

to lekcje. Niekiedy oglądali telewizję - wiadomości albo jakiś dramat machimi, co stanowiło świetną lekcję języka. Bren spodziewał się, że będzie musiał dostarczyć Jase'owi jakiegoś zajęcia i poprosił przed kolacją o program telewizyjny, w którym rzeczywiście znalazł sztukę wartą obejrzenia.

Obaj jednak mieli sporo pracy, a bez pracy pojawiały się troski: Bren rozumiał to bardzo dobrze. Jeśli Jase wolał posiedzieć w bibliotece, poszperać w encyklopediach i trochę potłumaczyć, to paidhi potrafił to zrozumieć.

Sam natomiast wrócił do salonu, postanowiwszy zająć się w końcu korespondencją; umysł miał ociężały po spożyciu kolacji obfitszej niż zamierzał, i jego mózg nie pracował na tyle efektywnie, by Bren mógł zająć się jakimiś nowymi sprawami.

Na początku listy znajdowała się prośba pilotów, którzy starali się o utworzenie własnej Gildii. Gildie mieli Zabójcy, Posłańcy, Lekarze i Matematycy. Innych zawodów nie było, jako że Astronomowie zostali zdyskredytowani przed niemal dwustu laty. Teraz piloci, którzy usłyszeli o takiej Gildii wśród ludzi, zwracali się do legislatury o nadanie im tego statusu, motywując prośbę tym, że atevi nie mogą współpracować z ludźmi, stojąc na niższej pozycji - napotykali jednak opór istniejących Gildii oraz tradycjonalistów w legislaturze, nie uznających ich za profesjonalistów. Ton odpowiedzi rozżłościł pilotów, którzy nigdy dotąd nie cieszyli się statusem członków Gildii.

Z drugiej strony legislatura domagała się uzasadnienia nietykalności i autonomii, jakimi cieszyła się Gildia, skoro piloci nie robili niczego, co wymagałoby tajności, a co stanowiło istotę Gildii.

Był jeden problem. Wedle informacji Banichiego, istniały

226

tarcia na styku z innymi Gildiami i powstawało pytanie, jaką pozycję miałyby taka Gildia w stosunku do, na przykład, Posłańców - którzy głośno utrzymywali, że piloci mogliby wstąpić do ich Gildii, ponieważ podróżują i wożą wiadomości.

„Akurat” - brzmiała zwięzła wersja opinii pilotów, która doszła do uszu Brena.

A na dodatek, o czym wiedział on, a inni mogli nie wiedzieć, ostatniej zimy poważnie mówiło się o tym, że Astronomowie usiłują odzyskać swoją pozycję jako Gildia, ale jak powiedział Tabini, ich status opierał się początkowo na ich zdolnościach wieszczych i powrót do tej teraz przestarzałej funkcji wywołałby burzę kontrowersji wśród kilku atejskich filozofii, co na jednym poziomie było absurdalne, lecz dla wierzących stanowiło poważne zagadnienie, a dla polityków oznaczało prawdziwe kłopoty.

Piloci chcieli, by Bren zarekomendował ich na piśmie aijiemu i legislaturze; był też dodatkowy list od przełożonego Patronatu Pilotów ze stwierdzeniem, że piloci przyjęli komputery, polegając na zapewnieniu paidhiego, iż okażą się one konieczne (to

rzeczywiście była bardzo trudna sprawa); teraz przełożony ma nadzieję, że ponieważ wsparł paidhiego w tamtej sprawie, to paidhi udzieli pilotom wsparcia w kwestii Gildii.

W gruncie rzeczy Bren traktował ją bardzo poważnie - ze względu, które nie bardzo chciał wyjaśniać zainteresowanym pilotom.

Na razie.

Z pewnością zyskają nieco na znaczeniu, kiedy zaczną latać statek orbitalny i jego rejsy staną się częstsze; ale, co ważniejsze - zaczął myśleć Bren - tak teraz lekceważonymi przez pilotów programami komputerowymi będą w końcu zawiadywać atewskie programy komputerowe, wykorzystujące atewskie rozumienie matematyki.

I w tej perspektywie Bren widział, w którym miejscu całość

227

zniknie za horyzontem, za który nie sięgał jego wzrok, wpadając w matematyczne pojęcia, których nic rozumie wielu atevich, i w skomplikowane tajemnice, które mogłyby całkowicie pogmatwać zestaw filozofii zbudowanych na systemach matematycznych. A odpowiedzialne postępowanie z tym wszystkim może być dla atevich o wiele ważniejsze od wszystkich innych spraw.

„Aiji-ma - napisał poważnie - w ciągu kilku lat ci piloci będą ściśle współpracować z Gildią Matematyków i Astronomami, niezależnie od statusu, jakim będą się cieszyli ci ostatni. Po

namyśle doszedłem do wniosku, że zaistnieją powody dla ułatwienia wymiany informacji na poziomie Gildii. Wiem, że ja, jako człowiek, jedynie niedostatecznie rozumiem korzyści i niedogodności płynące ze zmiany statusu z Patronatu zawodowego na Gildię, lecz mogą zaistnieć szczególne okoliczności, dzięki którym osoby te znajdą się w posiadaniu ważnych informacji, o których dalszych losach może moim zdaniem zdecydować jedynie Twoja większa mądrość i atewskie wyczucie.

Chciałbym jednak dodać, że termin »Gildia« używany przez atevich nie stosuje się do modelu ludzkiego; należy to rozważyć, jako że stało się to jedną ze spraw najbardziej dzielących ludzi w trakcie kłótni, która skończyła się ich lądowaniem na tej planecie. Kiedy statek zaginął w przestrzeni kosmicznej daleko od jakiegokolwiek planety, był na nim człowiek nazwiskiem Taylor. Załoga Taylora poświęciła życie, by zapewnić statkowi paliwo i doprowadzić go do bezpiecznej przystani. Jak mnie uczono, synowie i córki tych bohaterów zdobyli ogromne przywileje, które bezlitośnie wykorzystywali wraz ze specjalną wiedzą, i usiłowali zmusić innych ludzi do służby statkowi, co stało się przyczyną rozłamu”.

Przestał pisać - przerażony sensem tego, do czego się przyznawał atevie, który działał na rzecz swojej rasy ponad wszelkim teoretycznym zainteresowaniem, jakim darzył ludzi;

atevie, którego uczuć w tej sprawie w ogóle nie był w stanie ocenić, podobnie jak nie mógł się spodziewać, że Tabini albo nawet on sam dokładnie oceni uczucia człowieka nieżyjącego od ponad dwustu lat.

Bren był przerażony, jak dalece zapomniał o najbardziej podstawowych zasadach w kontaktach z atevimi. Wymazał z pamięci komputera to, co dopiero napisał, zniszczył wszystkie możliwe kopie, a potem poczuł taką niepewność co do swego losu oraz losu komputera, że nabrał wątpliwości, czy ludzie powiedzieli mu całą prawdę o funkcji wymazywania plików.

W pokoju było cicho. Za oknami panowała ciemność. Służba zachowywała się cicho, starając się nie przeszkadzać w pracy osobom, z którymi z zasady nie mogła o niej rozmawiać. Ciężar wiedzy i niemożności rozmowy o niej.

Nigdy żadnej możliwości rozmowy. Ani odprężenia. Czy też porzucenia tego sposobu myślenia, który wciąż analizował, szukał źródeł, szukał rezultatów.

Szukał ukrytych motywów.

A Bren był bliski popełnienia głupich, bardzo głupich błędów.

Potrzeba mu ludzkiego głosu, ot co. Bardzo potrzebował dotyku czegoś znajomego. Potrzebował widoku czegoś znajomego - po to tylko, żeby się przekonać, że to, co pamięta, wciąż istnieje.

Zamknął komputer, wstał, wrócił do biura, a wszystko to robił

bardzo cicho. Jase wciąż był w bibliotece, ale nie podniósł

wzroku, kiedy Bren zamknął drzwi biura.

Jednak nie - do cholery! - Jase nie da mu wsparcia. Nie

człowiek, który urodził się o całe lata świetlne od tej planety. Nie

człowiek znajdujący się pod presją, pod jaką znajdował się Jase.

Bren nie musiał zwać na nikogo swoich trosk.

Potrzebował tylko... potrzebował tylko dźwięku głosów, to

wszystko. Potrzebował czasem usłyszeć brzmienie znanego

229

akcentu, głosy ludzi, wśród których dorastał, a nawet - potrafił być

w tym względzie brutalnie szczery - potrzebował tak się wściec na

swoją rodzinę, żeby chcieć rzucić słuchawką, jeśli to wystarczyło,

by uzbroić go na kolejne trzy miesiące pełnienia obowiązków.

Kochał ich. W tym wypadku technicznie wolno mu było

wypowiedzieć to fatalne słowo „kocham”, chociaż potrafili go

rozzłościć i doprowadzić do rozpacz.

Może, pomyślał, to właśnie ta część jego duszy potrzebuje

przewietrzenia? Może to przez to, że usłyszał, jak Jase rozmawia z

matką? Może to było przykre napomnienie, żeby pogodził się z

własną rodziną, a nie kontynuował toczącą się wojnę?

Może to zdecydowana świadomość, że jego matka ma

podstawy do narzekań na syna. Przyszło mu na myśl ze

szczególną siłą, że winił ją za jej frustrację, kiedy była to ta sama

frustracja i złość, jakie prawdopodobnie czuła z jego powodu cała

wyspa i okazywała ją jego matce, nie pozwalając starszej kobiecie spać. On nie mógł wyjaśnić jej swojej sytuacji, cholera, w złe dni nie mógł wyjaśnić swojej sytuacji samemu sobie, a teraz jego matka ma problemy ze zdrowiem, na które stresy związane z jego pracą wcale nie pomagały.

Nie mówiąc już o sytuacji, w jakiej postawił swojego brata i jego rodzinę.

Może przynajmniej zadzwonić. Może przynajmniej zrobić ten gest i znów postarać się wyjaśnić, że naprawdę nie może wrócić i przekazać stanowiska Deanie Hanks, co było alternatywą.

Jase nie podniósł wzroku. W korytarzu było ciemno; możliwe, że Jase w ogóle go nie zauważył. Być może pomyślał, że sprawdza go ochrona albo któraś ze służących - albo Bren - i specjalnie nic nie dał po sobie poznać.

Bren poszedł więc do małego osobistego biura, podniósł słuchawkę i za pośrednictwem telefonisty Bu-javid połączył się z mospheirską siecią telefoniczną. Odpowiedziała specjalna telefonistka po drugiej stronie. Bren sprawdził godzinę i poprosił o

230

połączenie z domem brata. Odezwał się automat:

- Ten numer jest już nieważny. Proszę skontaktować się z telefonistką.

- Przykro mi - powiedziała zimno mospheirską telefonistka, włączając się na linię. - Jest nagranie.

„Wiem, że jest cholerne nagranie!” - chciał wrzasnąć Bren.

Zamiast tego powiedział spokojnie:

- Proszę zadzwonić do szpitala miejskiego w Bretano. Leży tam moja matka.

Nie było nawet uprzejmego „Dobrze, panie Cameron”.

Telefonistka wykręciła numer, połączyła się z recepcją, z pielęgniarką, z dyrektorem.

- Nie mamy żadnej pacjentki o nazwisku Cameron.

Telefonistka powtórzyła:

- Nie ma tam żadnej pani Cameron.

Bren nie chciał dzwonić do Biura Spraw Zagranicznych. Miał krótką listę dozwolonych osób, do których mógł dzwonić jako paidhi, nie przechodząc przez Biuro czy któryś z wyższych szczebli. Doszedł już do ostatnich nazwisk. Telefon w domu jego matki nie działał wieczorem: firma telefoniczna blokowała połączenia z powodu pogroźek. Może jest tam Toby. Matka też mogła być w domu. Pewnie wróciła ze szpitala, a Toby mógł sprowadzić całą rodzinę, bo nie śmiał zostawić dzieci czy żony samych w ich domu. Niech diabli tych pełzających tchórzy, przez których było to konieczne!

- W porządku. Proszę mnie połączyć z Barbarą Letterman - poprosił telefonistkę. - Żoną Paula Saarinsona.

- Moje zezwolenie nie obejmuje telefonu żadnego Paula Saarinsona.

- Ma pani - Bren zrobił świadomy wysiłek, by powstrzymać

231

się od epitetów - zezwolenie na Letterman. To ta sama Barb Letterman. Ma zezwolenie departamentu stanu na rozmowy ze mną. Nie zrezygnowała z niego. Po prostu wyszła za mąż.

- Muszę się trzymać listy, sir. Będzie się pan musiał skontaktować z departamentem stanu. Mogę pana połączyć.

Telefonistka wiedziała, że pod tym numerem nie znajdzie o tej porze nikogo zdolnego do wydania jakiegokolwiek zezwolenia.

Bren mógł spróbować zadzwonić do domu Shawna Tyersa. Nie chciał go jednak narażać, a wiedział z całą pewnością, że jego telefony są śledzone w kilku miejscach: w tym apartamencie, przez ochronę Tabiniego, przez mospheirską Narodową Służbę Bezpieczeństwa i Bóg jeden wiedział, że źródłem przecieków mogła być nawet ta telefonistka. Przyjaciele George'a zdobywali coraz większy dostęp poprzez podejmowanie pracy w różnych biurach - po prostu utrudniało to Brenowi łączność z osobami, z którymi niegdyś miał kontakt.

Ale strata cierpliwości nie prowadziła do niczego, absolutnie do niczego. Nie wyczerpał mu się spis nazwisk, jeśli telefonistka używała tej starej listy. Była jedna kobieta, z którą spotykał się w przeszłości i która weszła na listę, zanim jeszcze Bren i Barb zaczęli mówić o wspólnej przyszłości. Sandra Johnson była dawną dziewczyną, na litość boską, a nie kontaktem dla mającego

kłopoty terenowego urzędnika Biura Spraw Zagranicznych. Chciał jednak z nią porozmawiać - by udowodnić, że może się jednak z kimś połączyć.

- Sandra Johnson.

- Tak jest, sir.

Zamknął oczy i odciął się od atewskiego świata. Wyobraził sobie ładną kobietę w atłasowym żakiecie koloru kości słoniowej, blask świec, restaurację „Rokoko” i spokojną pogawędkę w jej mieszkaniu. Ładne gniazdko. Wszędzie pełno roślin. Nadawała im imiona. Clarence i Louise. Clarence był dwulistnikiem, jednym z tych przesznurowanych okazów, których kolonistom nie wolno

232

było ze sobą zabierać, ale niektórzy z nich to zrobili; dwulistniki były pospolite, ale nie stanowiły zagrożenia ekologicznego.

Louise była pnączem djossi i Bren zwrócił uwagę, że Sandra powinna posadzić ją na balkonie. Pnącza lubiły więcej światła.

Paidhi doskonale to wiedział. Rosły w całym Shejidan.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Proszę Cię, Boże, niech ktoś odbierze.

- Słucham?

- Sandra? Tu Bren. Nie odkładaj słuchawki.

- Bren Cameron? - Nic dziwnego, że sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Jesteś na wyspie?

- Nie. Dzwonię z Shejidan. Przepraszam. Sandro... - Zajmował

się komponowaniem zdań zawodowo, a nie mógł zapanować nad własnym językiem ani myślami, ani nawet wymyślić towarzyskich, właściwych słów, których potrzebował w mospheiranie. Przychodziły mu do głowy jedynie terminy techniczne i dyplomatyczne zwroty. - Skończyły mi się kontakty, Sandro. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę cię, nie odkładaj słuchawki. Wysłuchaj mnie.

- Czy coś się stało?

Boże. Czy coś się stało? Nagle zachciało mu się histerycznie roześmiać, ale oparł się temu impulsowi.

- Nic mi nie jest. Ale... - Co on powiedział? Nęka ją moją rodzinę i grożą jej śmiercią? Właśnie umieścił Sandrę Johnson na tej liście, przez sam fakt zadzwonienia do niej. - Co u ciebie, Sandro?

- W porządku. Ale...

- Ale?

- Jestem... po prostu zaskoczona, to wszystko.

- Sandro, moja matka jest albo w szpitalu, albo w domu. Nie

233

mogę zmusić szpitala, żeby się przyznał, że jest u nich. To prawdopodobnie środek bezpieczeństwa, ale pielęgniarka jest głupia. Wiem... - Boże, nie ma wstydu. Ani skrupułów. - Wiem, że nie mam prawa tak dzwonić i zwałać na ciebie tego problemu, ale nie mogę się dodzwonić i martwić się o nią. Czy mogłabyś

trochę poszperać?

- Bren...

- Mów.

- Wiem, że tam jest. Wiem, że pilnuje jej policja. Podawali w wiadomościach. Mnóstwo ludzi jest na ciebie wściekłych, Bren.

- Wyobrażam sobie. Ale skąd się wzięła w wiadomościach informacja o mojej matce i strażnikach z policji?

- Budynek mieszkalny został oblany farbą, Bren. W zeszłym tygodniu ktoś podziurawił kulami te duże szyby z przodu budynku departamentu stanu. Przez ciebie.

Poczuł w żołądku bryłę ołowiu.

- Nie otrzymuję wszystkich wiadomości.

- Po prostu... dużo się zmieniło, Bren. Dużo się zmieniło.

Był pewien, że telefonistka wciąż słucha. Rozmowa była nagrywana.

- Nie powinienem zawracać ci głowy.

- Trochę się boję. Co ty tam robisz? Co zrobiłeś?

- Wykonuję swoją pracę - odparł; włączyły się wszystkie jego zabezpieczenia.

- Podobno wszystko przekazujesz atevim.

- Kto tak mówi? Kto tak mówi, Sandro?!

- W wiadomościach. Ludzie dzwonią do stacji telewizyjnej.

Oni tak mówią.

- Czy prezydent coś powiedział?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- No to nie wszystko się zmieniło - rzekł z goryczą. Był może osiem dni poza obiegiem informacji. Ale z tego, co powiedział Banichi o nie docieraniu informacji na poziom Tano, a Banichiego nie było pół roku, Bóg jeden wie, co nie dotarło do Brena.

A teraz zdrowy rozsądek i może instynkt obudzony wśród wyczulonych na sprawy bezpieczeństwa atevich mówiły mu, że dzwoniąc do Sandry, popełnił poważny błąd i nie dowiedział się niczego, na co mógłby cokolwiek poradzić.

- A skoro zadzwoniłem do ciebie, możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jak wygląda ochrona twojego budynku?

- Nie wiem, czy mamy jakąś ochronę - powiedziała, powstrzymując śmiech, a jednocześnie w jej głosie można było wyczuć przerażenie. Na Mospheirze nie brano pod uwagę przestępstw. Nie było ich wiele. Nie było gróźb. A przynajmniej do chwili, kiedy paidhi stał się wrogiem publicznym. - Co mam zrobić?

- Weź długopis. Podam ci instrukcje. Sandro.

- Jakie? Co się dzieje?

- Grozi się mojej rodzinie, grozi się mojemu bratu, jego żonie i dzieciom, a Barb wyszła za mąż, żeby uzyskać adres, do którego nie ma dostępu. Nie powinienem do ciebie dzwonić.

- Mówisz poważnie. Ty wcale nie zgotujesz.

- Sandro, nigdy nie byłem poważniejszy. Masz długopis?

- Tak.

- Chcę, żebyś poszła do Shawna Tyersa. Wiesz, kto to jest. Ma mieszkanie przy Asbury Street 36.

- Sekretarz spraw zagranicznych.

235

- Tak. - Coś trzasnęło na linii. Serce uderzyło mu mocniej.

Wiedział, że za chwilę straci połączenie, i że nie jest to przypadek.

Okno, którym dysponował, zamykało się; telefonistka znalazła

kogoś wystarczająco ważnego, by mógł przerwać tę rozmowę,

ponieważ zaczęli rozmawiać o rzeczach, które według ważnej

osoby nie powinny przedostać się na drugą stronę cieśniny, a Bren

właśnie naraził Sandrę na prawdziwe niebezpieczeństwo. - Zostaw

Clarence'a i Louise, idź do jakiegoś sąsiada i poproś, żeby

zaprowadził cię prosto do Shawna. Jeśli trzeba, czekaj całą noc w

holu na dole. Nie daj się aresztować. - Sandra była kobietą nie

mającą żadnego doświadczenia w podstępach. A jeśli ich

podśluchiwano, to ludzie, którzy chcieli wyrządzić jej krzywdę,

właśnie słuchali instrukcji Brena dla niej. - Natychmiast. Mówię

poważnie. W tej chwili grozi ci niebezpieczeństwo. Oni

podsluchują rozmowę, Sandro. Jeśli zadzwonisz po taksówkę, to

mogą ją przysłać ci ludzie. Proś o pomoc znajomych lub

nieznajomych, ale nikogo z rządu i nie bierz żadnych taksówek.

Idź do Shawna. Już! Pośpiesz się! Nie wychodź sama na ulicę - i

nie ufaj policji!

- O, mój Boże, Bren. Co się dzieje? W co ty się wplątałeś?

Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

- Nie chodzi o mnie... - zaczął.

Połączenie zostało przerwane.

Stał oparty o biurko. Dłoń zdrętwiała mu od ściskania słuchawki, którą odłożył, wiedząc, że dysponuje wszelką pomocą ochrony, jakiej mógłby chcieć po tej stronie cieśniny, a nie może się dodzwonić do matki znajdującej się po jej drugiej stronie.

Deana Hanks nadawała wiadomości zachęcające do buntu na kontynencie. To, że nikt jej nie powstrzymywał, oznaczało, że nikt o tym nie wie albo że nikt nie może zdobyć rozkazu zabraniającego jej działalności.

To, że nikt w atewskim rządzie, łącznie z Tabinim, nie powiedział mu o Deanie, oznaczało, że mimo zapewnień

236

Banichiego albo nikt Banichiemu o niej nie powiedział, albo że Banichi coś ukrywa - Banichi w normalnych okolicznościach nie okłamałby Brena, ale mogły zaistnieć okoliczności, w których na pewno by to zrobił. Z całą pewnością.

Bren wspomniał o tych cholernych kwiatkach, by dać Sandrze do zrozumienia, że mówi z własnej woli, ale teraz nie wiedział, czy nie potraktowała tego jako żart.

Stawka była coraz wyższa.

Coraz wyższa.

Może tak bardzo stracił wszelki kontakt z Mospheirą, że stał się paranoicznym głupcem. To jednak, co wyczuwał poprzez zasłonę zabezpieczeń rozciągniętą przez ochronę między Mospheirą i Patronatem Zachodnim, przerażało go, naprawdę go przerażało.

Wyprostował się i napotkał wzrokiem poważną twarz służącej, która, prawdopodobnie przechodząc korytarzem, zobaczyła go w biurze, spostrzegła jego postawę i zatrzymała się. A może przysłała ją jego własna ochrona? Bóg jeden wie.

- Czy czegoś sobie życzysz, nand' paidhi?

Życzył sobie bardzo wiele. Ponieważ nie mógł nic zrobić, powiedział:

- Chciałbym kieliszek shibei, nadi. Czy mogłabyś mi go przynieść?

- Tak, nand' paidhi.

Pełna władza. Ponad pięćdziesiąt osób kompletnie i pełnoetatowo oddanych jego zachciankom i potrzebom.

A on nie mógł ochronić Sandry Johnson i dwóch głupich kwiatków, które naraził na poważne niebezpieczeństwo.

Boże! Zadzwoił powodowany słabością, a nie rozsądkiem.

Dlaczego, do diabła, czuł się zmuszony naciskać i starać się

237

zdożyć informacje, o których doskonale wiedział, że są ukrywane

przed nim przez cały toczony przez korniki mospheirski aparat rządowy?

Co według niego miało się ujawnić, kiedy wsadził kij w mrowisko, żeby się przekonać, że, owszem, ten aparat jest złośliwy, rozrośnięty i trzyma w garści wszystko, co kocha Bren.

Kieliszek z alkoholem pojawił się w rękach wysokiej, łagodnej, nie ludzkiej kobiety, która z gracją podała go Brenowi na srebrnej tacy, po czym wyszła z delikatnym szelestem miękkich kapci i atlasowego kaftana, zostawiając za sobą smugę zapachu kwiatów djossi.

Bren skończył drinka i odstawił kieliszek. Przez salon przepływał wiosenny wiaterek, chłodny, wiosenny i świeży wonią budzącego się życia.

Zanim Bren przybył do tego wypożyczonego, zdominowanego przez kontrowersje pałacu, miał przyjemne, spokojne jednopokojowe mieszkanie niżej na wzgórzu.

Miał szklane drzwi wychodzące na ładny ogródek, który dzielił z kucharzem i kilkoma urzędnikami - z zaufanym personelem Bu-javid, osobami o nieskazitelnej reputacji. Nigdy żadnych hałasów czy zamieszania. Dwóch służących, małe biuro bez żadnego sekretarza.

Pewnej deszczowej nocy ktoś jednak włamał się do jego mieszkania; czy był to ktoś z personelu Tabiniego, chcący wystawić Brena, czy był to prawdziwy zamach na jego życie -

tego Bren nie wiedział ani się nie spodziewał, że osoby, które mogły być za to odpowiedzialne, kiedykolwiek mu powiedzą. Ze swojej strony nigdy by nie zapytał, bo wydawało mu się trochę krępujące mówić o takich sprawach z osobami, które, gdyby były ludźmi, byłyby jego przyjaciółmi.

Z osobami, których zwrócenie się przeciwko niemu

238

oznaczałoby, że został mu już tylko jeden obowiązek.

Zdawał sobie sprawę z czyjejś obecności w ciemnym

korytarzu. Pomyślał, że to służąca, która zauważyła pusty

kieliszek. Były aż tak dobre; czasami wydawało się, że mają radar

nastawiony na ostatni łyk, żeby natychmiast porwać kieliszek, być

może w szczerzej chęci przywrócenia pokojowi perfekcji liczb, a

może dlatego, że nocny personel musiał się rozliczyć z

historycznego kryształu. Bren nie miał pojęcia i nigdy o to nie

pytał.

Odwrócił głowę i zobaczył Jago.

- Dobrze się czujesz, Bren-ji?

- Tak. - Być może skłamał. Nawet nie był pewien.

Może Jago też nie była pewna. Weszła do pokoju i stanęła

tam, gdzie mógł ją widzieć nie odwracając głowy.

- Są jakieś kłopoty? - zapytał.

- Tylko jakiś głupi chłopak, który usiłował pojechać

podziemną koleją na wzgórze. Oczywiście, nie można pojechać na

wzgórze kolejną bez odpowiednich zezwoleń. On jednak miał dokumenty tożsamości. Kiedy sprzeczał się ze strażnikami, wywołał alarm.

- Chłopiec z Dur?

- Jest bardzo wytrwały.

- Nie stała mu się krzywda, prawda?

- Nie, nie, Bren-ji. Jest jednak strasznie natarczywy. Dzisiaj trzy listy...

- Trzy?

- Pomyślna trójka. - Jago uniosła trzy palce. - Dwójka byłaby niepomyślna, był więc zmuszony wysłać trzeci.

Musiał się uśmiechnąć. I roześmiać.

239

- Ateva słuchała - powiedziała powoli Jago - twojej rozmowy telefonicznej, Bren-ji.

Było to przyznanie się do wielu rzeczy. A ona przyszła z tym do niego jako z ukrytym pytaniem.

Istniało słowo „osi” nie mające wyraźnej etymologii, żadnego związku z żadnym innym słowem. Wypowiedzenie go jednak oznaczało, że chce się dostać pełną filiżankę albo całkowicie wyczerpującą informację. Bren wypowiedział je teraz i Jago odrzekła cicho:

- Ta kobieta. Ateva jej sobie nie przypomina.

- Sandra Johnson? Kobieta, z którą się spotykałem na gruncie

towarzyskim, zanim pojawiliście się wy. - Nie istniało żadne atewskie słowo na „chodzenie ze sobą”. A jeśli nawet istniało, to był to zestaw słów na oznaczenie sytuacji towarzyskich z udziałem partnerów łóżkowych: jeśli chodzi o tego rodzaju słownictwo, to Bren znajdował się na zdecydowanie grząskim gruncie.

A do tego z Jago. Interesowali się sobą nawzajem. Byli na jednym poziomie ciekawi. Na innym zdawali sobie sprawę, że będąc tym, kim są, znajdując się na swoich stanowiskach i w istniejącej sytuacji, nie mogą ze sobą igrac.

Powietrze zaczęło nagle jakby iskrzyć. Bren nie wiedział, czy Jago to wyczuła. Już prawie rok zachowywał celibat w domu pełnym kobiet, z których wszystkie, łącznie z tymi, które miały wnuki, zachowywały się tak, jakby był dla nich atrakcyjny. Tego wieczoru opadło go zbyt wiele wspomnień. Kobietę, z którą sypiał, naraził na niebezpieczeństwo, usiłując odnowić związek, do którego nie miał prawa wracać. Może nawet zabił Sandrę Johnson. Nie myślał, że sprawy na Mospheirze zaszły tak daleko; była to wyspa, gdzie w bardzo wielu społecznościach ludzie nie zamykali drzwi na klucz - ale bał się o Sandrę i czuł się winny z powodu tego telefonu, co na pewno nie pozwoli mu szybko zasnąć.

240

Chciał...

Chciał, żeby ktoś wypełnił ciszę.

Ktoś taki jak Barb. Sandra nie była dla niego kimś takim.

Wesoły wieczór. Radosny śmiech. Żadnych rozmów o pracy.

Lecz Barb powiedział więcej, niż powinien. A kiedy stało się

jasne, że prędko nie wróci, i kiedy swoim działaniem zraził do

siebie dużą część populacji na Mospheirze Barb wyszła za

rządowego eksperta komputerowego, którego poziom zezwoleń i

nieodzowność dla departamentu stanu mogły jej zapewnić

bezpieczeństwo, jakiego nie mógł jej zapewnić Bren.

Jago podeszła bliżej do jego fotela. Stała tam - ciepło, woń i

nieprzenikniona czerń bliskości atevy.

- Powinnam była zastrzelić Hanks-paidhi - rzekła Jago,

oceniając fakt tak, jak go widziała.

- Możliwe, że to był dobry pomysł - powiedział, a dłoń Jago

spoczęła na poręczy antycznego fotela.

- Nadi-ji.

Serce zabiło mu w panice. W czystej panice. Pomyślał o

poruszeniu ręką w geście zaprzeczenia. Ale nie chciał też

seksualnej odmowy, nie na zawsze.

- Jeśli ktoś wiąże się z posiadającymi władzę - rzekła Jago

swym głębokim, równym głosem, którego cichy tembr mogli

osiągać tylko atevi - to ponosi koszt.

- Ale nikt nigdy nie oczekiwał, że taka będzie praca paidhiego,

Jago-ji. Ja się tego nie spodziewałem. Wiem, że według ciebie

Barb mnie zawiodła. Ale nie ma żadnej Gildii, do której mogłaby się zwrócić. Moja rodzina nie ma żadnego klanu, żadnej władzy.

Związała się z mężczyzną, którego powiązania rządowe są pewniejsze od moich.

- A czy Barb-daja pomoże ci?

241

- Gdybym mógł się z nią skontaktować...

- Co by zrobiła?

- Sprawdziłaby, co z moją matką.

- I uratowałaby ją?

- Barb nie może tego zrobić, Jago-ji. Nie ma dokąd pójść. Nie ma do kogo się zwrócić. Nie ma żadnej Gildii. Nie ma Gildii dla Sandry Johnson. Nie ma żadnej pomocy.

- Słyszałam o policji.

- Nie zawsze można tam wszystkim ufać. A jeśli nie jest się wewnątrz systemu, to nie wiadomo, komu.

Jago zabrała rękę i przysunęła sobie fotel.

- Czy ta Sandra Johnson wie o takich rzeczach?

- Shawn może jej pomóc. Sekretarz spraw zagranicznych.

Mógłby dać jej jakąś ochronę. Nie wiem.

- A jego przełożony? Prezydent?

Nagle patrzył w twarz nie atevy, której ufał, lecz w twarz

Zabójczynie, strażniczki, związanej man'chi z aijim Shejidan, pytającej o rzeczy, których właściwie nigdy nie wyjawiał, o

wewnętrzny proces podejmowania decyzji. Bóg wiedział i Tabini też, że prezydent nie jest bystry; ale Bren nie nazwałby go bezradnym figurantem.

Poza tym sytuacja na wyspie nigdy nie była tak napięta, chyba że Bren był strasznym głupcem i z przerażenia zaczął snuć paranoiczne fantazje. Strzelanina - w okna budynku departamentu stanu.

- Jago-ji. Nie ma pewności. Nie wiem, kto dzierży władzę.

Hanks używa na wyspie nadajnika radiowego. Powiedz mi, że nie można jej złapać i powstrzymać. Oni wiedzą, kto to robi. Na Mospheirze jest tylko jedna osoba potrafiąca płynnie mówić w ragi! Oni nie są aż tak głupi, Jago-ji! Są głupi, ale nie aż tak.

242

- Jeśli ją zobaczę, zastrzelę, Bren-paidhi. To jest osoba szkodząca interesom aijiego i tobie.

Co on wtedy powiedział? Zgodził się?

- Darzę cię wielkim szacunkiem - takie znalazł wyrażenie w ragi. Cóż innego mógł powiedzieć? Coś unikającego moralnego związku z ateva, którą jest Jago, a także szczerzej prawdy i zdrowego rozsądku, jakie oferowała? - Miałaś rację, Jago-ji.

Miałaś rację.

- Tak - odparła cicho. - Chyba tak. - Wstała, zasłaniając światło, i podeszła do drzwi. - Banichi mówi, żebyś się położył i zasnął.

- Naprawdę? - Był zaskoczony. Po chwili przyszło

rozbawienie z powodu źródła rady. Obu źródeł.

- Dobranoc, nand' paidhi.

- Jago-ji. - Niemal poprosił ją, by została. Pal sześć

upomnienie Banichiego. Ona jednak nie sprzeciwi się temu

rozkazowi, a on nie powinien narażać jej moralności na taki

konflikt.

- Mam też rację - dodała - co do Barb-daja. Ona nie kieruje

swego man'chi ku tobie. Poszukała sobie innego miejsca. Czy

mam schować komputer?

Oddał go atevie i wyszedł z nią z pokoju. Jago poszła jednak

w lewo, do posterunku ochrony, a on skręcił w prawo, do swojej

sypialni, gdzie zeszły się służące i pomogły mu się rozebrać.

Jago zwykle trafiała do celu. Nawet z tym man'chi, które to

pojęcie nie miało zastosowania wobec ludzi.

To była jednak prawda. Bardzo się nawzajem skrzywdzili z

Barb, tak samo, jak tego wieczoru skrzywdził Sandrę.

Barb nie mówiła mu o wielu sprawach. Barb dźwigała cały

243

ciężar, aż wreszcie nie mogła już go unieść. Kochał ją za to.

W końcu jednak postąpiła tak, by uratować siebie. Jago też to

dostrzegła. Barb postąpiła praktycznie. Może była to nawet jej

zasadnicza cecha.

Ale - do cholery! - mogła się tylko do Paula wprowadzić. Nie

musiała tego legalizować. To ostatecznie skreślało związek z mężczyzną, z którym była nielegalnie od lat.

Mówiło to... dużo z tego, co właśnie zauważyła pewna ateva.

Barb nie optowała w jego kierunku.

Usiadł na nieskazitelnie pościelonym łóżku, zgasił światło i przykrył się kołdrą.

Był bardziej zmęczony, niż sądził.

Martwił się o Sandrę. Martwił się o matkę i brata, ale martwił się już od tak dawna, że nerwy miał znieczulone na troski.

Sytuacja po prostu ma miejsce. Ktoś wylał farbę na budynek, w którym mieszka matka, i właściciel na pewno był wściekły; było to tak głośne wydarzenie, że pojawiło się w wiadomościach, i jakimś trafem atevi z Gildii Posłańców, którzy śledzili takie rzeczy, nie powiedzieli o tym Tano, który oczywiście nie poinformował Brena.

Banichi jednak dał do zrozumienia, że pewnych rzeczy nie mówili też Tabiniemu i że, by użyć atewskiego wyrażenia, zostaną zebrane głowy.

Bren nie mógł nic poradzić. Teraz już to wiedział. Zapadł w stan półzamroczenia, w którym przez okna mogła wpaść setka Zabójców, a on skierowałby ich sennym gestem do pomieszczeń dla personelu.

Wynoszono telewizor. Jedna służąca wycierała kurz ze stolika, na którym spoczywał przez ponad pół roku w tych historycznych pomieszczeniach, druga stała obok z wazonem ze złoconej porcelany, który miał go zastąpić, a trzecia wyniosła obciążające urządzenie do kuchni, gdzie miało być schowane w głębi kredensu z utensyliami, którego pan Atigeinich z pewnością nie zechce oglądać. Lepsze to, niż poddawać telewizor kontrolnemu demontażowi, kiedy będzie wracał.

Bren nie liczyłby na szafkę, w której były warzywa, a szczególnie na szufladę z sezonowym mięsem. Kucharka przecież gdzieś trzyma nielegalny sos pomidorowy. Dzięki cudowi perswazji przemyciła go przez mospheirskie cło (niech porozmawia z Georgem Barrulinem w biurze prezydenta, pomyślał ponuro Bren: kucharce mogłoby się powieść lepiej niż jemu) i teraz trzeba było gdzieś ukryć obciążające puszki sosu z warzywa przywiezionego przez ludzi. Po prostu lepiej było nie poddawać wszystkiego oględzinom ochrony, jeśli tylko można to było gdzieś schować. Wszystko, co wychodziło z apartamentu, było źródłem ryzyka i kłopotów przy powrocie.

- Boję się, że wuj otworzy bieliźniarkę - zwierzył się Bren Jase'owi, obserwując przenosiny telewizora - i zostanie zmiażdżony przez wypadającą kontrabandę.

- Sprawdzają nawet pod łóżkiem - powiedział Jase. - On też to

zrobi?

- Chyba nie posunie się tak daleko. - Wyjaśnił Jase'owi wagę i morderczą kruchość stosunków panujących między Tatischeim i Tabinim oraz fakt, że na pewnym poziomie jest to zabawne, podczas gdy na innym jest to sprawa ponuro i rozpaczliwie poważna nie tylko dla terażniejszości, ale i dla całej przyszłości atevich, ludzi i kadencji Tabiniego. - Gotów?

- Hamatha ta resa Tatischei-dathasa.

- Bezbłędnie.

Tak było. Jase pracował nad tym językowym łamańcem:

Pomyślne pozdrowienia dla waszej wielmożności. Imię

„Tatischei” wcale nie ułatwiało sprawy.

- To gdzie jest sos pomidorowy? - zapytał Jase.

- W łóżku kucharki.

Przez cały dzień Jase miał napięte nerwy, miotając się między paniką i nerwowym rozbawieniem. Roześmiał się, sprawiając wrażenie wyczerpanego i zrozpaczonego,

- Nie dam rady. Nie potrafię, Bren.

- Pójdzie ci świetnie.

Wuj Tatischei życzył sobie zobaczyć obu ludzkich lokatorów; wiadomość ta przysłała tego popołudnia od Damiri-daja i Bren specjalnie nie powiedział Jase'owi o tym drobnym fakcie, żeby go nie zdenerwować. Staruszek albo był ciekawy, albo zamierzał zrobić co najmniej drobną scenę z powodu ludzkiej obecności, a

być może nawet spróbować wywołać incydent, który pozwoliłby mu zdobyć punkty kosztem Damiri - albo Tabiniego.

- Cokolwiek do ciebie powie, słuchaj uważnie i trzymaj się dzieciennego języka. Wtedy cię nie zaatakuję.

- Jak to, zaatakuję?

- Po prostu zachowaj spokój. Ateva nie dyskutuje o liczbach z

246

dziećmi czy kimkolwiek mówiącym jak dziecko. Nawet jeśli znasz wersję dorosłą, trzymaj się athmai'in. Zaufaj mi i nie zachowuj się lekkomyślnie.

- Nie wiem, jak ty to robisz.

- Praktyka, praktyka i jeszcze raz praktyka. - Przy drzwiach

frontowych wzmógł się ruch. Bren poszedł popatrzeć z holu - Jase nie odstępował go na krok - i napotkał fale atevich z kamerami, przewodami, reflektorami i całym sprzętem telewizyjnym.

Telewizor został wyniesiony jako urządzenie niewłaściwe, nie „kabiu” w tradycyjnym domu, do którego właśnie wchodziła ekipa telewizyjna Archiwum Bu-javid, by zarejestrować przyjęcie i - rzecz bez precedensu - przekazać na żywo obraz odnowionego fryzu z liliami, symbolu Atigeinich, który wuj chciał pokazać - a co! - w ogólnokrajowej telewizji.

Tabini odkrył wielką przydatność telewizji: świat w pudełku, jak ją nazywał. Pudełko, które każe atevim myśleć, że świat i ekran to jedno i to samo. Tabini posługiwał się nim bezwstydnie,

kiedy chciał stworzyć w umysłach widzów jakąś rzeczywistość, a teraz polubił telewizję i Tatiseigi, w lot rozumiejąc korzyści płynące z tego aspektu techniki.

A zatem w korytarzu obok historycznej jadalni przygotowywano miejsce do przeprowadzenia wywiadów, tak że na jeden wieczór dom Atigeinich, goszczący aijiego oraz damę z rodu Atigeinich blisko z nim związaną i być może mającą urodzić mu spadkobiercę, zostanie skojarzony z tymi osobistościami w umysłach całego aishidi'tat, całego Patronatu Zachodniego, czyli większości świata.

A interes publiczny? Rzadka okazja do zobaczenia na żywo mieszkalnych pięter Bu-javid, wnętrza historycznej rezydencji z wszelkimi liczbami i równowagą umeblowania, otaczającymi bogatych i sławnych?

Pokaz skarbów narodowych? Muzea po obu stronach cieśniny mogły marzyć o skarbach wypełniających ten apartament, ale na

247

to piętro nigdy nie docierały wycieczki odwiedzające sale legislatury na dole. Fotografowanie historycznych skarbów, na jakie zezwalała ochrona, ograniczało się do drobnych szczegółów pewnych przedmiotów lub całych przedmiotów umieszczonych na specjalnym tle, aby do publicznej wiadomości nie przedostały się żadne dane o rozplanowaniu w gruncie rzeczy dość prostych i surowych korytarzy na zewnątrz oraz tych legendarnych, o wiele

bardziej ozdobnych pokoi. Był to ich pierwszy występ w telewizji.

Oraz przyjęcie na żywo w pomieszczeniach Bu-javid, gdzie nigdy jeszcze nie było kamer, z listą gości, na której figurował Tabini i jego ulubiona pani, która współzawodniczyła z wujem o zwierzchnictwo w klanie Atigeinich?

Sztuki machimi nie dorastały temu przedstawieniu do pięt.

Nagle żołądek Brena ścisnęła panika.

- Nadi - rzekł Banichi, nadchodząc szybko z tej samej strony, co ekipa telewizyjna. - Wszystko zgodnie z planem. Wkrótce przybędzie grupa aijiego. Wejdą według starszeństwa i zamieszkania. Właśnie ustalili, że zrobią to jednocześnie: pan Tatischeigi tymi drzwiami, a aiji i Damiri-daja tymi obok.

Umysł nawet nie był w stanie pojąć, jakie zawiłości protokołu i argumentacji prostowało to ustalenie.

- Zapomnę - mruknął Jase. - Zapomnę, jak ma na imię.

Zapomnę wszystkich form.

- Nic podobnego - rzekł Bren. - Spiszysz się wspaniale.

Gdybym musiał cię opuścić, zostań ze swoją ochroną: będzie z tobą Dureni i on będzie mówił za ciebie.

Banichi rozmawiał w głębi korytarza z Saidin, która nie spuszczała surowego spojrzenia z ekipy telewizyjnej i połączanej stolarki. Młodszy ochroniarze stali w pogotowiu z ponurymi twarzami. Młody i bardzo poważny Dureni oraz jego partner, Ninicho, wyszli z posterunku ochrony i stanęli obok paidhiin, jako

że Banichi i Jago mieli ręce pełne roboty i w każdej chwili mogli

248

zostać odwołani w jakiejś ważnej sprawie.

Jase powtarzał sobie:

- Hamatha ta resa Tatiseigi-dathasa. Hamatha ta resa Tatiseigi-dathasa. Hamatha ta resa Tatiseigi-dathasa.

Madam Saidin rozmawiała rozwścieczona z kucharką. Jedna ze służących pobiegła - pobiegła! - do tylnego korytarza. Bren chyba nigdy nie widział, żeby ktoś w tym domu biegał.

Stalowa bariera zabezpieczająca zniknęła. Zabrano ją, kiedy Bren się ubierał, i dlatego wciąż jeszcze nie widział pokoju śniadaniowego, chociaż słyszał pełne ulgi uwagi, że stolarka i gips są nienaruszone. Z kuchni wyjeżdżały wózki, słyszał ich klekot.

Nie było oficjalnej kolacji, za co Bren był nieskończenie wdzięczny, tylko przyjęcie, podczas którego goście, zbyt liczni, by mogli usiąść, mieli krążyć między oficjalną jadalnią i pokojem śniadaniowym.

Orzeczono, że nikt nie stanowi zagrożenia bezpieczeństwa oprócz pana będącego właścicielem apartamentu.

Klekot przybliżył się. Wózek chyba natknął się na pokojówkę: zapadła chwilowa cisza, po czym znów odezwał się klekot.

Zapewne zeszli sobie z drogi.

Najwyraźniej coś nie było zgodne z planem.

Minęła ich Jago, która wyszła z pokoju śniadaniowego,

zatrzymując się po drodze na słówko z Banichim. Wspaniale wyglądała w czarnym brokatowym kaftanie wykończonym srebrem. Bren nigdy nie widział jej w oficjalnym stroju. Była piękna, absolutnie piękna.

- Idą - powiedziała do nich i zatrzymała się, by przekazać coś służącej. - Do foyer, nadiin-ji, bardzo proszę!

- Spokojnie - rzekł Bren i poszedł z Jasem do foyer, które pachniało bukietami wiosennych kwiatów i lśniło kryształami, złotem oraz srebrem. Lustra zwielokrotniały bukiety i odbijały

249

postacie dwóch bladych, oficjalnie ubranych ludzi. Wyprzedziły ich Saidin i Jago, tworząc krótką powitalną kolejkę.

Drzwi otworzyły się. Stali za nimi Tabini i Damiri, Tabini w błyszczącym czerwonym wieczorowym kaftanie, Damiri w atigeińskich seledynach i różach; eskortowali starszego dżentelmena z wiecznie zmarszczonymi brwiami, ubranego w ciemnozielony kaftan z seledynowym kołnierzem. Atigeińska zieleń, jak u Damiri.

Saidin ukloniła się przybyłym panom, uczyniła to również Jago i dwóch ludzi. Tabini miał na twarzy swój sztywny uśmiech, Darnin przykleiła do warg swój, a Tatiseigi - Bren nie miał żadnych wątpliwości co do tożsamości dżentelmena - szedł z rękoma splecionymi na plecach i patrzył na nich z nie skrywaną wojowniczością. W foyer stanęła czarno-czerwono-ciemnozielona

ściana atewskiej ochrony, zmieniając jego wystrój z jasnych, kwiatowych pastelów na ograniczającą, wysadzaną ćwiekami ciemność.

- Panie Tatischeigi - odezwał się Bren zgodnie ze swoim zamierzeniem - dziękujemy ci za twoją - chciał powiedzieć „łaskawą”, ale z całą powagą opuścił to słowo - obecność przy tej okazji.

Tatischeigi skwitował to lodowatym:

- Nand' paidhi - i zwrócił spojrzenie na Jase'a, który powiedział z nieskazitelnie poprawnym ukłonem:

- Pomyślne pozdrowienia dla waszej wielmożności.

Tatischeigi stał i patrzył. Jase wytrzymał jego wzrok i lekko skłonił głowę po raz drugi; dzięki Bogu wykonał ten gest uprzejmości właściwie, choć na granicy bezczelności.

Cholera, on go prowokuje, pomyślał Bren. Przerzucił w ten sposób ciężar uprzejmości na Tatischeigiego.

- Nadi - rzekł ateva. Nie tytuł „nand' paidhi”, nie pełne

250

szacunku „nand' Jase”, ale bardziej poufałe i w tym wypadku nieco lekceważące „nadi”, jako przyjęcie powitania i zamknięcie sprawy.

Po czym spojrział na Tabiniego i Damiri.

- Obejrzę pokój.

Gdy Tabini unosił brew, nie wróżyło to nic dobrego.

- Tędy - rzekł, niedbale wskazując dłonią korytarz, jakby pan Atigeinich nie potrafił poruszać się pod własnym dachem.

- Tati-ji - powiedziała Damiri, chwyciła staruszka pod rękę i pociągnęła go za sobą korytarzem.

Tabini rzucił na nich spojrzenie, zaczerpnął głęboko tchu i nim zdążyły nastąpić jakieś uprzejmości, poszedł za nimi, jakby się szykował do walki.

Bren stwierdził, że wstrzymał oddech i jest tak wściekły, jak wtedy, gdy miał do czynienia z mospheirską siecią telefoniczną.

Odezwał się jednak do Jase'a z pełną uprzejmości obojętnością:

- Ryzykowałeś, Jase.

- A co miałem robić? - W jego głosie brzmiała nuta paniki. -

Patrzył na mnie!

- Nie cofaj się. Nie odpowiadaj spojrzeniem. Postąpiłeś właściwie. Tylko nie ryzykuj tego ponownie z jego wielmożnością. Czekał na pomoc.

- Kogo?

- Nie kogo, tylko od kogo.

- Od kogo, do cholery? Bren sam potrafił unosić brew. Uraczył tym gestem Jase'a, który zamknął się, przygasł i ściszył głos.

W tej chwili przez drzwi weszła aiji-wdowa.

A Bren nie mógł, po prostu nie mógł się oprzeć babce

Tabiniego. Ilisidi, malutka i pomarszczona, mając obok siebie

swojego szczupłego, siwiejącego szefa ochrony, Cenediego, rozejrzała się, oparła łaskę o wypolerowaną kamienną posadzkę i nie zobaczywszy nikogo oprócz Brena, Jase'a, Jago i Saidin, warknęła:

- No cóż, jeśli mój wnuk nie chce zaczekać, żeby mnie powitać, to przynajmniej paidhiin potrafią się zachować. Dobry wieczór.

- Nand' wdowo. - Saidin ukloniła się, jak również Jago i Bren, który uniósł wzrok, nie musząc ukrywać radości na widok staruszki.

- Nand' wdowo - rzekł Jase. - Jestem zaszczycony.

- Poprawił się - powiedziała Ilisidi, wskazując na niego. - Urosły mu włosy. Można go zrozumieć.

- Tak, nand' wdowo.

- Więc gdzie jest mój cholerny wnuk? Tu, żeby mnie przywitać? Nie ma go? Pozwala swojej babce błąkać się na oślep? Gdzie jest ta słynna porcelana?

- Z największą przyjemnością pokazemy ci odrestaurowany pokój, nand' wdowo.

- Wychowanie. Wychowanie. Powinniście nauczyć mojego wnuka. I jego sąsiadkę. Jeśli chodzi o okazywaną nam tu grzeczność, to mogliśmy zostać w Taiben.

Cenedi nie uśmiechnął się ani razu. Będąc jednak weteranem wielu takich manewrów, spojrział porozumiewawczo na Jago i

został z resztą porzuconych ochroniarzy, którzy poszli

porozmawiać na posterunku ochrony. Saidin i Jago zostały, by

powitać resztę gości.

Ilisidi koniecznie chciała obejrzeć wnętrze apartamentu. Bren

podał jej ramię, a Jase szedł z drugiej strony. - Nie byłam tu całe

252

wieki - rzekła Ilisidi. - Na pomyślnych bogów, ten staruszek od

dwudziestu lat nie przesunął ani jednego mebla, prawda?

- Jestem tu gościem od bardzo niedawna, aiji-ji.

- Tatiseigi nie ma za grosz wyobraźni. Za grosz. Myślałam, że

Darnin pozbędzie się przynajmniej tego wazonu. - Machnięciem

laski o mały włos nie strąciła rzezonego bibelotu. Służąca

wzdrygnęła się. - Staruszka go nie znosiła. Nie znosiła go nawet

matka Tatiseigiego. Ale nie, strzelali do lilii, a nie do tego

cholernego wazonu. Następnym razem, kiedy ktoś będzie

próbował cię zastrzelić, Bren-ji, obiecaj, że będziesz miał w

pokoju ten wazon.

- Człowiek będzie pamiętał, aiji-ma.

Dotarli do tylnych korytarzy i jeszcze do niedawna odciętego

wejścia do jasno oświetlonego pokoju śniadaniowego, gdzie

wielmożni goście i uzbrojona ochrona, a szczególnie Banichi i

Algini, w oficjalnych kaftanach do kolan, stali przed stołami

uginającymi się od fantastycznego jedzenia, będącego efektem

najwyższego, opłaconego bezsennością wysiłku kucharki, którą o

kulinarnych gustach wuja powiadomiono poprzedniego dnia.

Bren był prawie pewien, że będzie miała miejsce wycieczka do kuchni.

- Tu jesteście! - zawołała Ilisidi w pomyślnym trybie trójkowym. Skierowała się ku Tabiniemu, Damiri i Tatiseigiemu; nadszedł czas, by paidhiin rozsądnie wycofali się z zasięgu negocjacji powinowatych.

- Czy będą kłopoty? - zapytał Jase, kiedy zmierzali w kierunku foyer.

- Tylko wtedy, jeśli wejdą w drogę Sidi-ji - odparł Bren. Po raz pierwszy od dwóch dni był w dobrym humorze. - Jednak nie nazywaj jej tak! Ja tego nie robię. A już na pewno nie tutaj.

Jase już ją poznał, a także szorstkie obejście aiji-wdowy;

253

ostatnim razem jednak nie był w stanie zrozumieć słowa poza „Pomyślne pozdrowienia” i „Mam na imię Jason. Nie strzelajcie”.

Wrócili do foyer, gdzie mieli kilka chwil dla siebie wraz z Cenedim, Jago, Saidin i kwiatami, zanim przy drzwiach pojawiła się - przedwcześnie - następna grupa, pan Berigai i jego świta; Bren był pewien, że towarzystwo w pokoju śniadaniowym jest jeszcze w stadium wstępnych negocjacji i nie wyruszyło na ogólną inspekcję, której spodziewał się personel.

Bren jednak wiedział, że Berigai, w którego prowincji mieszkał i nauczał emerytowany astronom Grigiji, jest do niego

dobrze usposobiony, a w konsekwencji do Jase'a i wszystkich, którym paidhi chciał go przedstawić - sprawa Grigijiego przyniosła obserwatorium dobre imię, a regionowi dobrobyt. Był to bardzo pomyślny początek przyjęcia, które miało zacząć się w oficjalnej jadalni od kilku przysmaków i kieliszka alkoholu.

Oczywiście po załatwieniu spraw rodzinnych.

Pojawili się następni goście. Jase'owi błyszczały oczy, choć pił tylko gorącą herbatę - obaj na niej poprzestali, podobnie jak niektórzy goście. Kucharka zapewniła ich, że w menu nie ma nic szkodliwego dla ludzi - oprócz dań z czerwonym lub fioletowym warzywem. Jedna para szlachetnie urodzonych gości, wyraźnie z obozu Tatischeigiego, spędziła dużo czasu w kącie, patrząc na nich i rozmawiając o czymś za dekoracją z kwiatów.

Wtem pojawił się jeszcze ktoś, wywołując niejaki poruszenie wśród dyskretnie obecnych ochroniarzy. Cenedi zaczął cichą konferencję z Tano tuż przed jadalnią. Wszedł kolejny pan, bez eskorty.

Do Brena przysunął się Algini.

- Nand' paidhi, Banichi pragnie cię zawiadomić, że dzisiejszego wieczoru w towarzystwie znajduje się pan Badissuni.

Badissuni, pomyślał Bren, patrząc na szczupłego wielmożę o ponurej twarzy, którą ten rozciągnął w nieszczerym uśmiechu,

254

kiedy służąca podała mu drinka, a potem podszedł do panów i pań

otaczających stół. Rozmowy lekko przycichły, po czym zostały dzielnie podjęte na nowo.

Algini gdzieś odszedł, niewątpliwie w jakiejś sprawie znanej wyłącznie ochronie. „Sprawa” z Marid właśnie weszła, dostała drinka i uśmiechając się, obeszła stół, czasami posyłając ludziom nieruchome, ostrożne spojrzenie, jak to mieli w zwyczaju atevi po raz pierwszy widzący ich na własne oczy.

- Co to za kłopot-w-domu? - zapytał cicho Jase i tym razem rzeczownik był całkowicie odpowiedni.

- Badissuni, z Półwyspu. Posłaniec do Tabiniego. W żadnym razie się z nim nie zadawaj.

Bren był przekonany, że jednym z elementów elektronicznego zabezpieczenia drzwi był jakiś wykrywacz metalu. Umysł miał zajęty roztrząsaniem kwestii Badissuniego jako gościa, podczas gdy krewni atevy, któremu służył Baddissuni (i którego chciał zabić; „może zginąć przed nadejściem jesieni”, powiedział Banichi), gościli w domu pani Direiso, zeszłorocznej sojuszniczki Tatischeigiego, kiedy ten spiskował przeciwko Tabinemu - który właśnie odbywał wycieczkę po kuchni z Tatischeigim i Damiri, szukając kontrabandy w koszach z warzywami.

Badissuni uśmiechał się do wszystkich z wyjątkiem Brena i Jase'a: kiedy jego wzrok padał na któregoś z nich, uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale robił się sztuczny i nieprzyjemny; Bren unikał odwzajemniania mu spojrzeń. Jase przeciwnie, więc Bren

wszedł między Jase'a i kłopoty.

- Nie patrz na niego, nadi, bo wpakujesz się w tarapaty.

- Nie podoba mu się, że tu jesteśmy.

- Masz rację - odparł Bren. - Nie podoba mu się, że w ogóle jesteśmy.

Przy drzwiach pojawiła się Jago, wyraźnie kontrolując

255

sytuację. Wrócił Cenedi, by mieć na oku wdowę i niewątpliwie przekazać jakąś wiadomość, ale Jago wysłedziła ich i podeszła do Brena.

- To jest Badissuni, Bren-ji. Nie zbliżaj się do niego.

- Jest uzbrojony, nadi?

- Ateva zapewnia cię, nadi, że nikt nie może przenieść broni przez te drzwi oprócz obecnej tu i upoważnionej ochrony aijiego, aiji-wdowy i pana Tatiseigiego.

Co oznaczało jego własnych ochroniarzy zaliczających się do ochrony aijiego oraz Saidin należąca przynajmniej technicznie do ochrony Tatiseigiego.

- Niebezpieczeństwo? - zapytał Jase.

- Bądź ostrożny, nadi - rzekła Jago. - Tylko bądź ostrożny. To gość.

- Kto go zaprosił, nadi? - spytał Bren.

- Aiji - odparła Jago. Jago, która chciała otrzymać kontrakt na życie tego paniątka i która kiedyś zajmowała dogodną pozycję na

dachu w posiadłości Haganich. Bren był pewien, że Jago ma broń, a pod jej kaftanem na pewno kryje się zbroja. - Nie stawajcie blisko niego, nadiin-ji.

- Nadiin. - Pojawiła się madam Saidin, oznajmiając wyraźnie:

- Gospodarz proponuje przeniesienie przyjęcia do pokoju śniadaniowego.

Zostali z Jago, czekając, aż wyjdą panowie i panie, a wśród nich Badissuni. Na stole pełnym półmisek zostały właściwie już tylko okruszki oraz puste kieliszki, które służące pośpiesznie ustawiały na tacach.

- Co się dzieje? - zapytał Jase.

- Zachowaj spokój - rzekł Bren. Poszli za innymi w kierunku odrestaurowanych pokoi, które szybko zapełniły się gośćmi

256

podziwiającymi lilie, chwalejącymi wykonanie i plotkującymi na temat zeszłorocznego wydarzenia, z powodu którego trzeba było przeprowadzić remont. Rozległy się oklaski i rozbłysły reflektory; kamery filmowały pokój i obecnych w nim gości, przy oświetleniu, dającym efekt światła słonecznego padającego na lilie i oślepionych gości. Ochroniarze byli spięci i sam Naidiri, szef ochrony Tabiniego, stanął przed kamerami i zdecydowanie usunął je z pokoju.

Reflektory zgasły. Rozległa się muzyka, prosty duet fletowy w wykonaniu dwóch służących, które radziły sobie zupełnie dobrze.

Nad muzykę wybijał się gwar coraz żywszych rozmów.

Dwaj ludzie znaleźli schronienie pod odrestaurowanym

fryzem i po prostu przysłuchiwali się, jak Tatiseigi i dwaj inni

prowincjonalni panowie omawiają menu. Tatiseigi wyglądał na co

najmniej leciutko zadowolonego - z wyjątkiem chwil, w których

posyłał spojrzenia Badissuniemu.

- W porządku? - zapytał Bren.

- Chyba tak - odpowiedział Jase. Sprawiał wrażenie

zmęczonego, a nadążanie z szybkim tłumaczeniem rzeczywiście

było męczące. Jase znajdował się przecież na skraju wyczerpania

nerwowego.

- Powiedz mi więc - rzekła Ilisidi, podchodząc, jako jedna z

nielicznych obecnych atevich niewiele wyższa od człowieka - jak

ci się podoba życie na ziemi? Inne niż na statku, nand' paidhi?

Jase posłał Brenowi rozpaczliwe spojrzenie.

- Odpowiedz - podpowiedział Bren. - Powiedziałem mu, nand'

wdowo, żeby uważał na język.

- Inne - odparł Jase. - Dziękuję, nand' wdowo.

- Ogromny postęp - rzekła Ilisidi, wspierając się na lasce i

powodując swoją obecnością utworzenie się niewielkiej pustej

przestrzeni wokół nich. - Kiedy widziałam cię ostatnim razem,

257

wsiadałeś z tymi dwiema ludzkimi kobietami do samolotu

leżącego do Shejidan, a one miały potem lecieć na wyspę. Jak im

się wiecie, nand' paidhi?

- Mam wiadomości od mojej towarzyski ze statku, nand'

wdowo. Dziękuję, ma się dobrze.

- A nand' Hanks?

Nand' Hanks, akurat. Ilisidi nigdy nie używała

grzecznościowych tytułów względem Deany Hanks. Serce zabiło

Brenowi szybciej, a zmęczenie hałasem rozplynęło się w morzu

adrenaliny.

- Nie mam wiadomości od nand' Hanks, nand' wdowo.

- A twoja towarzyska?

- Aiji-ma. - Bren zaczerpnął głęboko tchu. - Jak ci się

podobają lilie?

Ilisidi uśmiechnęła się.

- Zastanawiałam się, jak cię zagarnąć tylko dla siebie, Bren-ji.

- Chwyła go za ramię i odciągnęła na bok; Bren musiał pójść za

nią, powierzając Jase'a pilnującym ich ochroniarzom.

- Sąsiedzi będą plotkować, aiji-ma.

- Wywołajmy skandal. - Oparła się na jego ramieniu i

skierowała ich kroki ku oknom. - Ach, miejskie powietrze.

Powinieneś wrócić do Malguri.

- Bardzo bym tego chciał, aiji-ma.

- Jeśli pozwoli na to rozkład zajęć, to chyba zaproszę na któryś

z letnich weekendów tego emerytowanego astronoma. To

powinno być interesujące, nie sądzisz?

- Ostatnio strzelano tam do obcych, aiji-ma.

- Oni potrzebują nowych pomysłów. Z radością gościłabym i ciebie na tym zebraniu, nadi. Zastanów się nad tym, proszę.

258

Malguri w lecie. Pływanie łodzią po jeziorze. Powinieneś - dodała wdowa ze złośliwym uśmiechem - wziąć ze sobą tego miłego młodzieńca. Ma możliwości.

- Czy mam pomagać rywalowi w zdobyciu twego zainteresowania, aiji-ma? Jestem zdruzgotany.

- O, ale ateva słyszała, że ty sam faworyzujesz pewną członkinię twojego personelu, nand' paidhi. Czy nie powinnam się obrazić?

Był przerażony. Ma na myśli Barb czy - niech Bóg ma go w opiece - Jago?

Niebezpieczny teren. Nigdy nie wiedział, kiedy romantyczne fantazje Ilisidi są żartem, a kiedy w niebezpiecznym stopniu mówi o nich poważnie.

- Aiji-ma. Nikt nie może się z tobą równać. Tak mi brakuje naszych wspólnych śniadań.

Ilisidi roześmiała się i ścisnęła go za ramię.

- Pochlebca. Porwę cię samego do Malguri w błyskawicznym ataku i po prostu nie zwrócę cię mojemu obojętnemu wnukowi. -

Obok nich wydeły się zasłony i twarz Ilisidi spoważniała. - A więc Mospheira chciałaby cię odizolować. Strzeż się tej kobiety.

- Hanks?

- Hanks! - Równie dobrze mogło to być jakieś przekleństwo. -

Ostrzegam cię, strzeż się jej.

- Cały czas to robię. Czy mogę ośmielić się zadać ci pytanie, aiji-ma? Czy powinienem się także strzec pana Atigeinich?

- Arogancki Bren-ji.

- Zdaję sobie sprawę, aiji-ma. Ale nigdy mnie nie okłamałaś.

- Zасыpywałam cię kłamstwami, nadi! Kiedy w naszych stosunkach nie było kłamstw?

259

- Kiedy zwracałem się do ciebie po radę, aiji-ma. Kiedy zdawałem się na prawdę spoczywającą wewnątrz twoich labiryntów, aiji-ma, nigdy nie pozwoliłaś mi się zgubić.

- Och, ty złodzieju kobiecego rozsądku! Pochlebca, mówię!

- Ja mówię: mądra kobieta, i całkowicie zdaję się na twoją tolerancję. Czy powinienem się strzec pana Atigeinich?

- Strzeż się Direiso. Podobnie jak on powinien się jej strzec. I ten przerażony głupiec Badissuni.

- Całkowicie to rozumiem.

- Mądry człowiek. Żeby to jeszcze rozumiał Tatiseigi.

Prawie dorzucił do tej mieszanki podobne i równie pilne pytanie o obecne stosunki pana Geigiego z Direiso i z Tatiseigim, ale od razu ugryzł się w język. Geigi wyruszył u boku Ilisidi na ratunek, po tym jak Ilisidi po wielekroć i bardzo wyraźnie nazwała

Geigiego głupcem. Bren uznał, że w zagadkowej odpowiedzi, iż Tatischeigi musi się strzec Direiso, Ilisidi przekazała mu niezagadkową prawdę w trzech kwestiach: że coś się dzieje, że man'chi Tatischeigiego wciąż jest niepewne i że Direiso stanowi poważny problem.

Jeśli jednak chodzi o sprawę stosunku Geigiego do Ilisidi, to być może najlepiej byłoby zostawić go pod powierzchnią tej politycznej wody, gdzie mógłby pływać i prowadzić swoje działania w ukryciu.

Być może to informacjami na temat Direiso chciała się podzielić z Brenem Ilisidi. A dokładnie mówiąc, dała do zrozumienia, że chce mówić o Hanks, jednak Bren przygotował proste pytanie: Ale co z Direiso i Tatischeigim? - obchodzące fakt związku żony nieżyjącego Saigimiego z Geigim oraz z Direiso. W tej chwili Badissuni i Tatischeigi byli pogrążeni w rozmowie, której temat wydawał się ponury i pilny.

- Nand' paidhi - rzekła służąca, podchodząc do Brena i

260

podając mu notatkę.

„Dzwoni jakiś mężczyzna” - przeczytał Bren. Przyszło mu do głowy tylko to, że coś się stało z jego matką; być może nawet lekko pobladł. Przez chwilę mógł wyglądać na tak otumanionego, jak się czuł, wytracony z całkowicie innego wszechświata.

261

Rozdział 14

Kłopoty? - spytała Ilisidi. - Wybacz mi. Telefon z Mospheiry.

Może zaczekać. - Patrzył, jak Badissuni rozmawia krótko z

Tatiseigim, po czym obaj atevi rozchodzą się; Tatiseigiego

natychmiast otoczył wianuszek ciekawskich i mniej

powściągliwych atevich, podczas gdy inni patrzyli z pełną

namysłu ciekawością na Badissuniego, którego - Boże! - wciągnął

do krótkiej rozmowy Tabini.

Ale jego matka - cholera! - musi się dowiedzieć.

- Idź, idź, idź - rzekła Ilisidi - zajmij się swoim telefonem.

Wróć do mnie. Pozbieram plotki. Jesteś wyraźnie rozkojarzony. -

Mina Ilisidi nie zdradzała żadnej troski, lecz jej rozkazujący ton,

ostrzy i nie znoszący sprzeciwu, dał mu do zrozumienia, że stracił

kontrolę nad wyrazem twarzy i ujawnił coś, czego raczej nie

powinien odkrywać.

Chciał jednak odebrać ten telefon. Ilisidi dała mu zezwolenie.

Poza tym mogła dowiedzieć się więcej od niego - lub gdyby miała

go przy sobie.

Rozejrzał się za Jasem, który stał spokojnie w kącie,

rozmawiał ze swoją ochroną i nie miał żadnych kłopotów.

Obserwowała go Jago, którą minął po drodze do drzwi.

- Dzwoni ktoś z wyspy - powiedział Bren. - Idę do biura.

Zaraz wracam.

- Tak - odparła Jago i odprowadziła go do drzwi; Bren był tak zdenerwowany, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż może to być pułapka mająca na celu doprowadzenie go do zguby. Jago trzymała się blisko niego; stanęła w holu, odprowadzając Brena wzrokiem do prywatnego gabinetu, przed którego drzwiami stała służąca.

Wszedł do środka i podniósł słuchawkę.

- Słucham - powiedział. - Mówi Bren Cameron.

- Bren, tu Toby. - Takiego tonu u swojego brata prawie nie znał. - Pomyślałem, że powinienem zadzwonić.

- Słusznie. Co u ciebie? Jak się czuje mama?

Chwila o wiele za dużo mówiącej ciszy.

- Atak serca. Niewielki. A co u ciebie?

Nie potwierdziły się najgorsze obawy Brena, pod którym teraz ugięły się kolana. Usiadł.

- W porządku. Powiedz jej to. Posłuchaj. Masz zadzwonić do Barb i powiedzieć jej, żeby zadzwoniła do mnie.

- Nie. Nie! To ty wracaj do domu, Bren. Jeśli chcesz, żeby twoje cholerne sprawy zostały załatwione, to załatwiaj je sam, wracaj i zajmij się tym, czym musisz się zająć! Jill nie może odebrać telefonu, żeby nie nękali jej jacyś szaleńcy! Musieliśmy wyjechać z domu i przyjechać tutaj, a i tak nie mogę puścić rodziny samej do parku! Wiesz, dlaczego mama znalazła się w szpitalu? Przez ciebie. Ludzie oblewają farbą dom, w którym

mieszka, właściciel chce, żeby się wyprowadziła...

Bren starał się przebić myślami przez to, czego nie chciał słyszeć, do spraw, o których usłyszeć musiał - jednocześnie pamiętając, że różne osoby po obu stronach wody wszystko nagrywają.

- Toby. Zadzwoń do mojego biura. Poproś Shawna...

263

- Już to robiłem! Nie mogę się dodzwonić! Żaden z numerów, które mi dałeś, nie odpowiada, a z tego, co czytam w gazetach, nawet nie wiem, czy Shawn jest w tym tygodniu w biurze!

- A co piszą w gazetach, Toby? Przecież nie mają dokładnych...

- Nie, nie i nie! Nie będę odwalał za ciebie roboty! Jestem twoim bratem, a nie urzędnikiem w departamencie stanu! I chcę, żebyś wrócił, Bren. Chcę, żebyś wrócił ze względu na mamę! Na tydzień, na jeden głupi tydzień, nic więcej!

- Nie mogę.

- Akurat! Powiedz aijiemu, że twoja matka może umrzeć, do cholery, i że prosi, żebyś przyjechał!

- Toby...

- Aha... do diabła, zapomniałem. Nie potrafisz wyjaśnić, co to są uczucia, prawda? Oni nie mają odpowiedniego okablowania. A ty? Czy liczy się tylko biuro, a rodzina wcale?

- Toby.

- Nie potrzebuje twoich usprawiedliwień, Bren. Kryłem cię i nie mówiłem prawdy, bo byś się zdenerwował. Dobra, teraz mówię ci prawdę: mama może umrzeć, nie mogę zabrać rodziny do domu i śmiertelnie się boję, że pod moją nieobecność ktoś mi go podpali!

- Trzymaj się, Toby. Jeszcze trochę.

- Nie mogę! I nie mam zamiaru, do cholery! Jestem zmęczony wyjaśnianiem, co takiego, u diabła, robisz! Nie potrafimy już tego wyjaśnić samym sobie - jak, do cholery, mamy przekonać sąsiadów?!

- Dobrze wiesz, Toby, jaka jest stawka. Nie wciskaj mi kitu.

Wiesz, co się dzieje w rządzie i w co oni grają.

- O czym ty mówisz? O czym ty mówisz, Bren? Że teraz to my

264

jesteśmy wrogiem?

- Mówię, żebyś zadzwonił do Shawna!

- A ja mówię, że numer Shawna już nie odpowiada, a policja nie reaguje na nasze zgłoszenia, spróbuj to zrozumieć! Nie jesteś, do cholery, popularny, a wszystko skrupia się na mojej rodzinie i naszej matce!

- Mylisz się. Mylisz się, Toby! To nie cała wyspa, to garść nędznych tchórzy, którzy w jasny dzień...

- To są nasi sąsiedzi, Bren. Nie rozmawiają ze mną moi sąsiedzi, ludzie, których znam od dziesięciu lat!

- To spraw sobie nowych znajomych, Toby!

- To się nie uda w przypadku marny, to się nie uda w budynku, w którym mieszkała przez te wszystkie lata, a teraz już jej tam nie chcą. Jak ona musi to odbierać? Co powiesz na to?

- Polubiłeś paskudnych ludzi.

- O czym ty mówisz? O czym ty mówisz? Bren? Nie rozumiem cię.

Bren przyzwyczał się do ciszy swoich uczuć. Był tłumaczem, tłumaczem technicznym, z konieczności dyplomata, a z kooptacji panem atewskiego Patronatu. Przemówił przez niego ból i gniew na najbardziej dziecinnym poziomie, może dlatego, że takiego właśnie umysłowego wieku sięgnęła ta sprzeczka, tak jak ostatnim razem, kiedy on i Toby nie odgradzali się od tego, co czuli. Toby wyprowadził się na wybrzeże. Bren sądził, tak wtedy, jak i teraz, że po to, by fizycznie odsunąć się od ich matki. On sam poszedł na Uniwersytet, a jego zdolności skierowały go ku temu, czym miała być ta praca - a nie ku tej sytuacji.

- Powiedz mamie, że ją kocham - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Ten cichy trzask słuchawki przerwał bardzo ważne połączenie

265

i Bren wiedział, że nie ma możliwości przywrócenia go.

Wyszkolenie nie pozwoliło jego twarzy na żadną mimikę.

Wyszkolenie nie pozwoliło mu na żadne otwarte działanie. Po

prostu siedział tak przez chwilę; gabinet atewskiej damy powoli materializował się na powrót wokół niego, odgłosy przyjęcia niosły się nad ciszą wywołaną przez ten trzask, a Bren miał świadomość, że musi wstać, porozmawiać z bardzo niebezpiecznymi osobami i upewnić się, że z Jasem wszystko w porządku.

Musiał też jakoś skończyć rozmowę z Ilisidi, zebrać myśli na tyle, by przywołać towarzyszący jej nastrój i wykonać swoje zadanie.

Jeśli w jakiejś bardzo ważnej sprawie nie można niczego zrobić, to się ją odkłada na później. Wkłada się ją do myślowego pudełka, zamyka pokrywkę i nie myśli o niej, kiedy ma się zadanie do wykonania.

Ale kiedy już się z tym upora... Jasna cholera! Bren był wściekły na Toby'ego, który mógł mu powiedzieć na temat rządu to, co wiedział - a wiedział bardzo ważne rzeczy - jednak nie chciał tego zrobić, nie zważając, że od tego mógł zależeć pokój albo wojna. Został zachwiany spokój Toby'ego, życie Toby'ego przewróciło się do góry nogami, Toby obarczył go osobistymi kłopotami z gatunku tych, które rodzina kiedyś od Brena odsuwała, a Toby mógł okazać się na tyle mężczyzną, by zatrzymać je w tym tygodniu dla siebie i poradzić sobie z nimi - do cholery! - ponieważ tu, gdzie Bren teraz jest, nie może i nie będzie mógł nic na nie poradzić.

Ale to było kilka tygodni z rzędu. Toby zaczynał mieć dosyć

borykania się z kłopotami w pojedynkę.

W drzwiach pojawiła się Jago. W ręku trzymała komunikator.

Bren pomyślał, że go używała, może nawet śledziła rozmowę za pośrednictwem przekaźnika z posterunku ochrony w foyer.

Inwigilacja w tym apartamencie zawsze była dokładna, a ostatnio

266

otwarta - po prostu jedno z tych zadań, które wykonywał jego personel, by być na bieżąco bez konieczności wyjaśnień.

Czasami okazywało się to wygodne.

- Aiji zdaje sobie sprawę, nadi-ji.

Nie „Bren-ji”, nie forma poufała, lecz oficjalna połączona ze zwrotem osobistym. Jago przyjęła oficjalny ton. Był jej wdzięczny za tę profesjonalną powściągliwość. Wykazała się o wiele większym taktem niż jego braciszek.

- Moje man'chi - rzekł, trafiając w sedno tego, co, jak był pewien, niepokoiłoby atevich - jest wciąż związane z urzędem i aijim, nadi. Możesz mu to powiedzieć.

- Chciałby z tobą porozmawiać, ale nie może bez uprzedzenia wyjść z pokoju śniadaniowego ani rozmawiać z tobą tutaj. Za pośrednictwem twojej ochrony mówi, że chociaż proponował ci to już wcześniej, teraz nalega na przyjęcie jego oferty: w każdej dogodnej dla ciebie chwili możesz sprowadzić na kontynent członków swojej rodziny, a on wydzieli dla nich ziemię, nadi-ji,

odpowiednią dla rodu mężczyzny o twojej pozycji. Jeśli poprosisz, zażąda od mospheirskiego rządu natychmiastowego zapewnienia im transportu przez cieśninę z całym ich dobytkiem. Jest świadom żądań twoich domowników oraz twojego trudnego położenia, nadi-ji, i chętnie podejmie jak najpoważniejsze działania, by zapewnić im bezpieczeństwo.

- Powiedz mu... - Ostatnim razem, kiedy Tabini żądał czegoś od mospheirskiego rządu, zagroził zastrzeleniem Deany Hanks, jeśli ten nie zwróci Brena w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Oferta Tabiniego nie była pozbawiona międzynarodowych następstw ani stojącej za nią siły, chociaż Bren nie wiedział, zastrzeleniem jakiego ludzkiego urzędnika mógłby zagrozić Tabini tym razem. - Powiedz mu, że jestem wdzięczny. Powiedz mu... uważam jego względy za najważniejsze, ważniejsze nawet...

267

- Nieomal powiedział: „Niż dobra opinia mojej rodziny”; wiedział, że okoliczności i obowiązki uczyniły to prawdą. Teraz gniew i poczucie krzywdy prawie to potwierdziły. - Nawet niż moje życie, nadi. Powiedz mu to. Wrócę do gości, kiedy się uspokoję, co powinno nastąpić za chwilę.

- Powiem mu to, nadi.

Jago zniknęła za drzwiami, darując mu prywatność, lecz Bren był pewien, że wyszła tylko na korytarz, by przekazać wiadomość dalej. Aby osiągnąć ten wewnętrzny spokój, spróbował poszerzyć

perspektywę, przypomnieć sobie, jak wielka jest stawka dla trzech narodów, licząc statek reprezentowany przez Jase'a, i jak nadzwyczajny zaszczyt wyświadczył mu Tabini.

Musiał napomnieć się, że aiji zrobił to z państwowych pobudek. Z tych samych cholernych państwowych pobudek, dzięki którym on sam znalazł się w tej sytuacji.

Przerwał rozmowę z bratem.

I nie chce wrócić do domu.

Fakt. Fakt. Fakt. Nic nie mogło go zmienić, nic nie mogło zburzyć barier między narodami szybciej niż to, co robił. A więc dwa głębokie oddechy i z powrotem do pracy.

Bren wstał i wyszedł do holu, gdzie, jak się spodziewał, czekała Jago i gdzie w pewnej odległości przeprowadzano w blasku reflektorów wywiady telewizyjne. Bren wrócił z Jago do zatłoczonego pokoju śniadaniowego, w którym zaczynał o sobie dawać znać alkohol, a także alkaloidy oraz słodycze, a zwykłe odgłosy rozmów brzmiały jak jeżdżące pod budynkiem pociągi. Jase wciąż stał bezpiecznie w miejscu, w którym zostawił go Bren; nie chcąc w tej chwili z nim rozmawiać ani odpowiadać na ludzkie pytania, Bren skierował się ku Tabiniemu, który stał razem z Damiri i Banichim. Zwykła ochrona Tabiniego kręciła się w tej chwili o wiele bliżej Tatischeigiego, rozmawiającego z Ilisidi.

- Aiji-ma - odezwał się cicho Bren z lekkim ukłonem. -

Usłyszałem o twojej hojnej propozycji. Przedstawię ją przy najbliższej okazji, ale... - Myśli mu się rozjaśniły. - Nie wiem, jak ich przekonać, aiji-ma. Chciałbym to zrobić.

- Wydaje mi się - rzekła Darnin - że to pułapka, nand' paidhi.

Oni chcą, żebyś się zaniepokoił i wrócił. Ten atak na budynek twojej matki ma związek z naciskiem na Patronat i oburzającym zachowaniem twojego rządu. Podejrzewam nawet spowodowanie śmierci ojca Jase'a, ale nie wiem, w jaki schemat ją wpisać.

Bren był coraz bardziej zszokowany i sam chciał doszukiwać się schematów tam, gdzie prawdopodobnie żadne nie istniały.

Miał do czynienia z atevimi. A dla atewskiego umysłu istniały schematy, które dostrzegał i on, straszne i groźne schematy; jednak Bren tak bardzo zagłębił się już w język, że obawiał się własnych podejrzeń.

- Ja też nie wiem o żadnych schematach, daja-ma, ale z pewnością głęboko się nad tym zastanowię.

Podszedł do nich ktoś, kto chciał porozmawiać z aijim - pan z północno-zachodniego wybrzeża, który wyraźnie czekał na swoją kolej, a Bren uznał, że powiedział już wszystko, co mógł powiedzieć. W tej chwili zastąpienie go kimś innym przyniosło mu ulgę, że nie będzie musiał myśleć z atewską złożonością.

Odsunął się na bok z należnymi i automatycznie wypowiedzianymi uprzejmościami...

I wpadł na pana Badissuniego.

- Nandi - powiedział.

- Nand' paidhi. - Szczupły, niezadowolony atewski wielmoża

spojrzał na niego surowo z góry. - Ateva pragnie powiedzieć, że
twoja ochrona jest wielce dokładna.

Cóż miał odpowiedzieć człowiek? Brenowi waliło serce.

- Należą przecież do Gildii, nandi.

- Teraz jest was dwóch - rzekł wielmoża. - Czy Hanks mówi w

269

waszym imieniu?

- W żadnym wypadku, nand' Badissuni. Nie pochwalani jej
awantur, a ona pragnie mojej śmierci.

- Ateva słyszał - powiedział Badissuni. - Czy to „szybciej-niż-
światło” jest kłamstwem?

- Nie, nandi.

- Czy ten statek poleci?

- Nie mam żadnych wątpliwości, nandi. Nie ma tu żadnego
oszustwa.

- Ateva był ciekawy - skwitował Badissuni i odszedł bez
słowa. Bardziej niż cholernie ciekawy. Atevi gapili się na niego.

Bren miał wrażenie, że został wykorzystany jako polityczny
rekwizyt. Porozmawiać z paidhim. Być widzianym w rozmowie z
paidhim. Tak jak widziano go w rozmowie z Tatiseigim i każdym,
z kim się dało. Bren nie widział Jago. Nie sądził, żeby pochwalą
takie go wykorzystanie; być może nie pochwaliby tego też

Tabini, który przecież Badissuniego zaprosił.

Bren wycofał się do kąta przy drzwiach, tuż obok

porcelanowego stojaka na kieliszki, gdzie stał Jase z drinkiem w

ręce, pogrążony w rozmowie ze swoim ochroniarzem, Durenim.

- O co chodziło? - zapytał Jase. - Czy coś się stało?

Dostrzeżona kątem oka plamka ciemnej i jasnej zieleni

powiedziała Brenowi, że obok niego znalazł się ktoś z rodu;

odwrócił się i zobaczył samego pana Tatiseigiego pod nieubłaganą

eskortą Ilisidi, zapewne podążającego w kierunku kamer, by

udzielić wywiadu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jase i Bren pomyślał z ulgą,

że właściwie tak.

Wtedy coś trzasnęło.

Ochrona natychmiast zareagowała. Wszyscy się poruszyli.

270

Tatiseigi z Ilisidi znajdowali się w drzwiach i Bren nie pomyślał -

po prostu pchnął Jase'a na podłogę, w chwili gdy ten rzucał się w

kierunku pana Tatiseigiego.

Pan Tatiseigi runął na podłogę razem z innymi, którzy padali z

własnej woli - Bren leżał na wpół osłonięty przez Dureniego;

wszyscy przypadli do ziemi, a pozornie nie uzbrojona ochrona

otaczająca aijiego przyczaiła się, tworząc linię obrony, z

pistoletami gotowymi do strzału.

- Wybuchła żarówka! - krzyknął ktoś z miejsca, w którym

przeprowadzano wywiady, gdzie rzeczywiście zapadł głęboki i zaskakujący mrok. Pokój z liliami wypełnił się śmiechem; Dureni mruknął coś z niesmakiem i przeprosił z nadzieją, że nie wyrządził paidhiemu krzywdy.

- W żadnym razie - powiedział Bren, przyjmując jego pomocną dłoń.

Tymczasem Jase znalazł się w bardzo bliskim kontakcie z bardzo obrażonym panem Tatiseigim; w drzwiach rozblęły światła, a telewizyjne kamery przekazujące obraz na żywo, uchwyciły całe zamieszanie, usiłującego wstać Tatiseigiego oraz Jase'a, który podniósł się trochę zręcznie.

- Nandi - rzekł słabym głosem Jase, wycofując się i starając usunąć w cień. Kamera śledziła go jednak nieubłaganie, a obok ramienia paidhiego ze statku pojawił się reporter z mikrofonem w ręku.

- Nand' paidhi - zaczął reporter - ekscytująca chwila, prawda?

- Moim zdaniem niebezpieczna - odpowiedział zupełnie poprawnie Jase. W tej chwili dotarł do niego Bren, chwycił go za rękę i wyciągnął z blasku reflektora. Pan Tatiseigi też uciekł z zasięgu kamer.

- On pragnie cię przeprosić, nand' Tatiseigi, oraz wyraża głęboką troskę. - Bren nie wspomniał, że upadek miał miejsce częściowo dlatego, że Tatiseigi nie wykazał żadnych oporów w

tratowaniu innych po drodze do drzwi; Jase w rzeczywistości usiłował powalić dorosłego atevę na podłogę po to, by go chronić.

- Z pewnością sprawa mogła być o wiele poważniejsza -

odezwał się Tabini. Kątem oka Bren zauważył, że Tabini radośnie wkroczył między tych, którzy padli na podłogę, łącznie z rozbawioną Ilisidi, której pomagał wstać Cenedi. - Babka-ji?

- Niewątpliwie ekscytujące przyjęcie - rzekła Ilisidi, a znajdujące się w drzwiach kamery wciąż pracowały. - Co na deser, nandi?

Rozległ się ogólny śmiech. Tabini, równie bystry jak jego babka, zawołał za pośrednictwem lśniącego oka kamery na cały kontynent:

- Nand' Tatiseigi! Świetnie; świetnie i szybko! To nasza pierwsza linia obrony i muszę powiedzieć, że pan Atigeinich okazał wspaniałą powściągliwość, bo inaczej żaden kamerzysta by nie ustał na nogach. Mój ojciec nazywał cię najlepszym strzelcem w dolinie, prawda, nandi? - Tabini machnął ręką w kierunku kamerzystów stojących w drzwiach. - Wynoście się, nadiin!

Razem z tymi waszymi wybuchającymi żarówkami! Zabierzcie ich, no już! Widzieliście lilie! Zaglądaliście nam przez ramię wystarczająco długo! Pozwólcie nam cieszyć się tym wieczorem!

Tak brzmiały słowa aijiego. Jego ochrona zadziałała bardziej bezpośrednio i naraz zgasły wszystkie światła, tak potrzebne kamerom; ktoś dopadł bezpiecznika. Pociemniało i kamerzyści się

wycofali.

Bren zdał sobie sprawę, że z całej siły zaciska dłoń na rękę

Jase'a; puścił ją natychmiast.

- Wszystko w porządku - powiedział w mospheiranie.

Jase odparł jednak w ragi:

- Myślałem, że śpiewają.

Natychmiast zapadła pełna skrępowania cisza, po czym

272

stojący obok atevi roześmieli się.

- Strzelają - powiedział Jase i poczerwieniał. Wybiegł z

pomieszczenia, ale ledwie zniknął z pola widzenia, ochrona

zawróciła go, rozgniewanego i zmieszanego.

Rozzochrany i zaniepokojony pan Badissuni siedział w fotelu

obok rośliny doniczkowej i wyglądał na oszołomionego, być może

jakimś przecuciem lub wspomnieniem strzelaniny.

- Wszystko w porządku, Jase - powiedział Bren. - Dobrze się spisałeś.

- W kierunku Atigeiniego - zauważył ktoś stojący w pobliżu. -

Widziałeś? W kierunku Atigeiniego, kto by pomyślał?

Pan Tatiseigi rozmawiał i żartował - co prawda dość

niepewnie - z Ilisidi i Damiri. Tabini bardzo poważnie rozmawiał

z ministrem obrony, a madam Saidin, podobnie jak inni, podeszła

do pana Atigeinich, by wyrazić nadzieję, że nic mu się nie stało.

Służba informacyjna też była zmieszana i przestraszona.

- Jago-ji - powiedział Bren - człowiek chciałby, żeby służby

informacyjne odmalowały ten incydent w dobrym świetle.

Powiedz to nand' Saidin.

- Ateva rozumie - rzekła Jago i podeszła do madam Saidin,

która po cichej rozmowie skinęła głową, spojrzała w kierunku

ludzkich gości swojej pani, po czym wyszła. Bren ufał, że

dplomacja Atigeinich sprosta zadaniu uspokojenia reporterów.

Poszła tam też Jago, a potem Cenedi i Naidiri z osobistej straży

Tabiniego.

Jase zachowywał się bardzo spokojnie. Jago wróciła z

wiadomością, że ekipa odetchnęła z ulgą.

- Przekazujemy ją pod opiekę młodszym ochroniarzom i

proponujemy oficjalną jadalnię. Nand' Saidin zamówiła tace z

jedzeniem i napojami i poprosiła, żeby nie przekraczali granicy

wyznaczonej przez ochronę. Nand' Naidiri zapewnił ich o dobrej

273

woli aijiego i podsunął pomysł przeprowadzenia wywiadu z

Atigeinim.

Fala adrenaliny zaczęła opadać. Telewizja miała być obecna

jeszcze tylko przez pół godziny. Oczywiście, pan Atigeinich nie

pojawił się w telewizji w historycznym apartamencie w

planowanym wywiadzie na temat lilii, ale mogło być gorzej, i

nikogo nie można było przecież winić za wadliwą żarówkę i

reakcje tłumu członków Gildii, mających błyskawiczny refleks.

Do paidhiin zaczęli podchodzić pomniejsi panowie i dygnitarze, a jeden z nich, Parigi z jakiegoś zachodniego okręgu, zadał delikatne, prawie niezadawalne pytanie:

- Ateva zauważył, nand' paidhi, że paidhiin zadziałali w obronie domu.

Bren zadziałał, bo myślał, że Jase nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa; a Jase rzucił się na Atigeiniego prawdopodobnie dlatego, że wbito mu do głowy, jak ważny jest Tatiseigi. Może to rzeczywiście zwróciło uwagę atevich, że Jase natychmiast pomyślał o chronieniu pana Atigeinich. Wcale natomiast nie mówiło, co o tym sądzą atevi.

- On nie mówi płynnie, nand' Parigi, ale myślę, że wszystkich to zaskoczyło. A Jase-paidhi wiedział, że może to być zamach na pana Tatiseigiego; pamiętaj, że jesteśmy ludźmi i nie wyciągamy żadnych wniosków na temat man'chi. Często zaskakujemy samych siebie w sprawach man'chi, czyż nie o tym mówią machimi?

- Na pewno zaskoczyło to mnie - powiedział ze śmiechem pan Parigi. - A moja córka, która od roku mnie meczy, żebyśmy wzięli udział w jakimś przyjęciu na dworze, była przekonana, że sami znaleźliśmy się w machimi - być może było tu nieco więcej zamieszania, w porównaniu z tym, do czego jesteśmy przyzwyczajeni u nas na wsi.

Bren mógłby się niemal odprężyć wśród takich atevich. Tyle

dobrej woli.

- Czy to twoja córka? - Paidhi spojrział na stojącego obok swego rozmówcy podlotka: chudą, kościstą i niezdarną, za to bardzo, bardzo podekscytowaną dziewczynkę. - Jestem wielce zaszczycony. Nand' Jase, to... najstarsza? Czy to najstarsza? Córka pana Parigiego. Caneso, czy dobrze zapamiętałem? Z...

- Laigin, panie paidhi. - Młoda dama była zachwycona, że zwraca się do niej ktoś, kto technicznie rzecz biorąc, jest panem, ale pozbawionym ziemi; Bren postanowił nie zauważyć tej gafy: pocieszające, że ateva mogła aż tak się pomylić.

- Czy to twój pierwszy pobyt w Shejidan? - zapytał ją Jase.

Atmosfera przyjęcia była już o niebo lepsza, alkohol znikał szybciej, a kiedy upadł i pękł na kafelkach jakiś (na szczęście nie historyczny) kieliszek, rozległ się śmiech. Nastolatka również się roześmiała.

- Jak na przyjęcie na tym piętrze - rzekła, przechodząc obok nich, Ilisidi - jest ono hałaśliwe i rozhukane. Co prawda, nigdy nie dorówna tańcom dożynkowym w Malguri. Jason-paidhi, Tatischeigi przeżyje twoje niesienie mu pomocy.

- Czy pan jest zły? - Jase'owi udało się samodzielnie zapytać, po czym przypomniało mu się, żeby dodać: - Nandi?

- Mówię, że przyjdzie do siebie. - Nigdy nie należało naciskać Ilisidi przy pierwszym kontakcie, nawet jeśli z trudem władało się

językiem, i odpowiedź wdowy była sucha i mniej radosna. -

Chodź, Bren-paidhi, będziesz musiał odpokutować za swojego natarczywego towarzysza. - Mówiąc to, chwyciła Brena za rękę i siłą pociągnęła za sobą.

- Powinienem mieć Jase'a w zasięgu wzroku, nand' wdowo.

- Och, nie zgubi się. - Ku przerażeniu Brena Ilisidi podprowadziła go do samego Tatischeiego. - Spraw przyjemność jego wielmożności, który chce ci zadać kilka bezpośrednich pytań.

275

- Nie zrobię niczego takiego - mruknął Tatischei i być może była to pora, by się wycofać, albo był to po temu najgorszy moment. Ilisidi nie robiła takich żartów. I - niech ją cholera! - oddaliła się, uciekając przed konfrontacją.

- Nandi - rzekł Bren, skłonił się i poszukał komplementów w najgłębszych zakamarkach pamięci. - Twoja szybkość oraz wyrozumiałość dla młodej i nie zorientowanej osoby była oczywista dla wszystkich.

- Oczywiście była jego głupota, nand' paidhi!

- Znając twoje wielkie znaczenie dla aijiego, rzucił się między ciebie i spodziewane zagrożenie. Niestety... brak mu zręczności i siły członka Gildii.

- Znaczenie dla aijiego, tak, nadi? Moja siostrzenica w łóżku z tym parweniuszem z Taiben! A wdowa nie jest lepsza - wiąże się z ludźmi i Astronomami.

- Obawiam się więc, że w twoich oczach muszę być jeszcze mniej wart, ponieważ wymienione przez ciebie osoby darze szacunkiem i muszę ich bronić.

- Ludzie! Wytwórcy maszyn! Niszczycie dobre powietrze!

Kalacie ziemię! Nie jest od was wolny nawet eter kosmosu!

- Moja praca nie kala ziemi, nandi. - Pan Atigeinich podniósł głos w rozmowie z Brenem. Bren odpłacił mu tym samym, co mogło okazać się błędem, ale wdowa najwyraźniej radziła sobie z tym mężczyzną, a Ilisidi nikomu nie ustępowała. - Mam nadzieję, że z tej pracy zrodzi się dobro dla atevich i ludzi, panie Tatiseigi. Podobnie Jase, który naprawdę nie nosi kuloodpornej kamizelki. Życzę miłego wieczoru, nandi.

Tatiseigi posunął się do tego, że chwycił Brena za rękaw. Było to niesłychane i stawiało Brena w niekorzystnej sytuacji, jeśli chodzi o wzrost i siłę. W atewskich oczach odbijało się światło, jeśli padało pod odpowiednim kątem, i oczy Tatiseigiego zalśniły złotem.

276

- Kalacie ziemię, powiadam.

- Nie, panie Atigeinich. I mimo twoich ataków wciąż okazuję ci dobrą wolę.

- Dlaczego? Jesteś głupcem?

- Nie, nandi. Robię to ze względu na aiji-wdowę, która u aijiego i innych broniła twoich interesów oraz doradziła mi robić

to samo.

- Ach, aiji-wdowa, tak? Czy jej gust aż tak się pogorszył?

Jeszcze żaden ateva nie obraził Brena w ten sposób, a przynajmniej nie w takich okolicznościach i nie na osobistym poziomie.

- Jestem zdruzgotany - rzekł Bren z największym chłodem, na jaki było go stać. - Mówiła o tobie dobrze.

- Bezczelność.

- Nadi. - Bren nigdy nie wyobrażał sobie, żeby mógł zwrócić się do pana Patronatu w podobnym stylu równych sobie wrogów.

Zrobił to jednak. Poza tym Tatischeigi cały czas trzymał go za rękaw. - Rozczarujesz swoją siostrzenicę.

- W jaki sposób?

- Bo ona też o tobie dobrze mówiła. Zapewniam cię, że paidhi ze statku myślał tylko o tym, by cię uratować. To, że kamery to zarejestrowały, było albo godne ubolewania, albo stanowiło dobrą okazję. Jako przedstawiciel rządów radzę ci, nandi, byś zebrał swoją ochronę, poszedł do reporterów i udzielił wywiadu w jadalni. Takie sprawozdanie będzie nadawane równie często, jak to poprzednie, zmieści się w tych samych ramach i często będzie powtarzane jako jeszcze jeden obraz z wnętrza tej historycznej rezydencji. Ponadto zalecam ci dobrze mówić o Jase-paidhim, aby wymazać u milionów widzów pamięć o wspólnym poniżeniu.

Zamiast tego odegraj rolę pana chronionego przez jednego z

paidhiin z narażeniem jego życia!

277

Zapadło milczenie. Grała muzyka. Wokół nich toczyły się rozmowy.

- Bezczelny, powiadam.

- Ze względu na wdowę udzielam ci rady nie pytany.

- Ze względu na nią wezmę tę radę pod uwagę, lecz nie jej

źródło. - Tatischeigi puścił Brena i wbił w niego wzrok. Bren

odpowiedział mu spojrzeniem, ale musiał w tym celu zadrzeć głowę.

Wtedy ku swemu ogromnemu zmieszaniu zdał sobie sprawę,

że od pewnego czasu stoi za nim Tabini.

- Ja też radzę ci to zrobić, panie Tatischeigi - rzeki aiji. - Twoja

siostrzenica stanie obok ciebie. Podobnie paidhi ze statku.

Wsparcie jej wuja. Grom z jasnego nieba. Może konieczny z

racji wyczynu Jase'a. Tak czy owak, rozwiązanie.

Bren poszukał wzrokiem Jase'a, który razem ze swoją ochroną

zajmował ten sam kąt obok drzwi co przedtem, ale był otoczony

grupką gości. Paidhi przeprosił, podszedł do Jase'a i wyjaśnił

sytuację.

Jase nie powiedział wiele, tylko mruknął w mospheiranie:

- Myślałem, że grozi mu niebezpieczeństwo. Czego oni ode mnie chcą?

- Dobrego wyglądu - odparł Bren. - Pan jest przychylny.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Jase z nutką paniki w głosie.

- Owszem, zrobisz to. Zrobisz to, Jase. Musisz.

- Nie - powiedział cicho Jase i w tej chwili uwagę Brena zwróciła na siebie Jago.

- Nand' paidhi - rzekła. Bren podszedł do najbardziej okazałego fragmentu dekoracji z porcelanowych lili, miejsca,

278

które w dużym stopniu zostało nietknięte i gdzie duża roślina doniczkowa stanowiła ochronę przed tłumem, tworząc spokojne miejsce do szeptów. - Nand' paidhi, nie chce cię niepokoić, ale ten chłopiec z Dur już drugi raz pojawił się na kolei.

- O, cholera! - zaklął w mospheiranie, ponieważ w tym języku rozmawiał z Jasem i przez chwilę miał w głowie pustkę.

- Chłopiec - ciągnęła Jago - wplątał się w wielkie kłopoty ze strażą Bu-javid. Został ostrzeżony. Obejrzał wiadomości, najwyraźniej w hotelu na wzgórzu. Zameldował się w trzech.

- Co?! W trzech hotelach?!

- Jego zachowanie, nand' paidhi, jest ogromnie podejrzane.

Chłopiec zameldował się w trzech hotelach, żeby zmylić ochronę.

- Taki młody chłopak...

- Nie znam go. Nie należy do Gildii. Jego posunięcia mogą mieć bardzo poważne następstwa.

- Jak bardzo poważne?

- Była strzelanina, nand' paidhi. Zatrzymał się jednak na rozkaz, za co ateva jest mu bardzo wdzięczna. Rozumiem, że trafił go odłamek ściany i że poląła się krew. Została uszkodzona ceramika na stacji oraz podziemny wagon, za co chłopiec zostanie obciążony odpowiedzialnością. Nie byłam na dole. Wiedząc jednak, że jesteś zamieszany w sprawę, poprosiłam, żeby jeszcze go nie oskarżano. Co każesz nam zrobić?

- Czy jestem w stanie wydać osąd? Czy to ja spowodowałem lekkomyślne zachowanie tego chłopca, Jago-ji?

- Nand' paidhi, moim zdaniem winna jest, jak lubi mawiać Banichi, telewizja Chłopiec wstydzi się wracać do domu bez awionetki i twojej rezygnacji z waśni. W jego wieku jest to wielka tragedia. Dla jego ojca ten ostatni incydent będzie hańbą i rzeczywiście zaszkodzi mu w interesach. Chłopiec zaczął zdawać sobie z tego sprawę i, jako że jest młody, wpadł w prawdziwą

279

desperację.

- Jeśli napiszę do niego kartę ze wstążką, to pojedzie do domu?

- Wahałabym się nagradzać taką głupotą, ale jeśli napiszesz kartę, nand' paidhi, wyślę ją przez jednego z młodszych ochroniarzy. Nie chcę, żeby wiązano śmierć tego chłopca z twoim imieniem, nadi-ji, a niektórzy ze strażników wyobrażają sobie, że jest on członkiem Gildii. Trzy hotele, paidhi-ji.

- Ale ty wiesz na pewno, że on do Gildii nie należy.

- Nie ma najmniejszej możliwości.

- Podpiszę kartę. - W gabinecie pani był bardziej tradycyjny

stoczek. W biurze ochrony mieli szybkie urządzenie nie

wymagające płomienia. Bren ruszył ku drzwiom.

Nie zauważył Jase'a.

- Czy Jase poszedł na wywiad? - zapytał Jago, która

rozmawiała przez komunikator.

- Do biura pani. Próbował skorzystać z telefonu, nadi.

Bren stanął jak wryty; któraś z atewskich pań uznała za

stosowne lekko się o niego otrzeć i powiedzieć:

- Nand' paidhi, cóż za interesujące przyjęcie, prawda? Paidhiin

byli bardzo odważni.

Przez chwilę nie potrafił zebrać myśli, będąc tu, gdzie był,

idąc tam, dokąd szedł, w pokoju pełnym osób, którym sięgał do

ramion, tarasujących drzwi. Zapragnął powietrza i jakiegoś

normalnego miejsca, gdzie mógłby pomyśleć, a wiedział, że za

nim idzie Jago. Znalazł lukę i wyszedł za drzwi.

- Bądź ostrożny, nadi-ji - rzekła Jago, doganiając go w

spokojniejszym, chłodniejszym powietrzu holu; w rękę trzymała

kieszonkowy komunikator.

- Z kim on rozmawia, Jago-ji?

280

- Ze stacją w Mogari-nai. Ze statkiem. Ale nie otrzymał

połączenia. Wstrzymało je nasze biuro.

Był mniej zaniepokojony. Mógł wykorzystać stoczek w małym gabinecie. Była tam zapalniczka. Mógł porozmawiać z Jase na osobności.

- Odłożył słuchawkę - powiedziała Jago, zanim doszli do drzwi.

A kiedy do nich dotarli i weszli do środka, białe zasłony wyduły się na wietrze, zasłaniając draperie i haftowane parawany skrywające balkon i ciemność.

W pokoju nie było Jase'a.

Jago poruszyła się. Bren powstrzymał ją szybkim ruchem ręki, domyśliwszy się w następnej sekundzie, że Jase ma atak złego humoru i że atewska interwencja mogłaby wymusić posłuszeństwo, lecz nie informacje.

- Ściągnę go tutaj - powiedział do Jago i ostrożnie podszedł do balkonu, tak jak zrobiłaby to Jago.

Z tego miejsca widział Jase'a: stał w ciemności z rękoma na poręczy i wpatrywał się w niebo. Bren wiedział, że nie jest to sytuacja, w którą powinna wkraczać Jago.

- Nadi-ji, znajdź, proszę, potrzebną mi kartę - powiedział do niej w nadziei, że Jase nie uzna ich wejścia za czyn skierowany przeciwko niemu. Bren wyszedł w ciemność, wiedząc, że Jago nie podoba się, iż jest tak blisko okna, a nawet Jase'a.

Jase rzucił tylko na niego okiem, po czym znów zapatrzył się

na miasto.

Jase, który nie radził sobie dobrze na otwartej przestrzeni za dnia. O ile wiedział Bren, Jase stał na dworze pierwszy raz od swego przybycia.

Z balkonu, na którym odbywało się przyjęcie, wylewało się w

281

noc światło i muzyka.

- Nie ma gwiazd - powiedział Jase po chwili.

- Światła miasta. W Shejidan jest coraz gorzej.

- Jak to?

- Mgiełka dymu. Światła palące się w nocy. Neony. Światło rozprasza się w atmosferze i zaciemnia gwiazdy.

- Na statku też ich nie widać.

- Chyba nie. - Bren nigdy się nad tym nie zastanawiał. Był lekko rozczarowany.

- Ja po prostu... wiem, że tam w górze jest mój statek. I nie mogę go zobaczyć.

- Ja go widziałem. Ale to było na wsi. Tam nie ma żadnych świateł.

- Czy z oceanu widać gwiazdy?

- Chyba tak.

- Chcę tam pojechać.

- Wejź do środka. Jesteś w niebezpieczeństwie. Wiesz, że jesteś w niebezpieczeństwie. Wejź, do cholery.

Zapadło długie milczenie. Bren spodziewał się, że Jase powie, iż nic go to nie obchodzi, albo jakiegoś podobnego emocjonalnego wybuchu. Jase puścił jednak poręcz i wszedł razem z nim do gabinetu, gdzie Jago zapaliła już stoczek i przygotowała kartę.

- Muszę napisać kartę - powiedział Bren i usiadł przy biurku.

Z przyjemnością robił coś nie związanego z najgorszym problemem, a mianowicie stanem umysłu Jase'a. Był zadowolony, że może dać i Jase'owi, i sobie samemu, szansę na uspokojenie się przed rozmową. Napisał do chłopca z Dur:

„Przyjmij, proszę, moje zapewnienia o dobrej woli w stosunku do Ciebie i Twojego rodu oraz o nadziei, że paidhiin będą się

282

cieszyć Twoją dobrą wolą. Przekażę Twoje pragnienie utrzymania dobrych stosunków samemu aijiemu, z zaleceniem, by je rozważył. Napisane ręką Brena Camerona, paidhi-aijiego, przypieczętowane pieczęcią jego urzędu”.

Zazwyczaj karta była opatrzona tylko podpisem, pieczęcią, wstążką. Ta, z osobistą wiadomością, miała być notatką ratującą honor chłopca, którą mógł pokazać ojcu zamiast skonfiskowanej awionetki. Bren wspomniał, że może się za nim wstawić i że Tabini, który dysponuje władzą zwolnienia samolotu, może na prośbę ojca rozważyć wybaczenie. Bren nie wiedział, co jeszcze może zrobić. Złożył kartę, zapieczętował ją i podał Jago, żeby przekazała ją dalej.

- Dobrze - rzekł do Jase'a. - Wywiad.

- Czy mogę z tobą porozmawiać, nadi?

- Jago-ji, czy mogłabyś na chwilę zająć pozycję na korytarzu?

- Tak - odparła Jago i wyszła.

W pokoju zostali tylko oni dwaj; Bren siedział, a Jase stał.

Przy rogu biurka znajdował się fotel i Jase usiadł w nim, blady i spięty.

- Bren - zaczął w mospheiranie. Bren nic nie powiedział, czując, że zaraz padnie jakieś wyznanie. Czekał, podobnie jak Jase, który w końcu zaczął ciężko oddychać i bezradnie machać ręką, oddając Brenowi głos.

Nie odezwał się. Siedział. Czekał, aż Jase przebrnie przez tę milczącą, bezradną fazę.

W końcu Jase zaczął ukradkiem ocierać oczy i trząść się jak liść.

- Zwymiotujesz? - zapytał Bren z celową szorstkością.

- Tak - odparował Jase i przez kilka następnych chwil ciężkich oddechów nie powiedział słowa.

283

- Wpadniesz w panikę? - spytał Bren, przygotowany na niespodziewany cios i świadom otaczających ich kruchych antyków. Zgasił knot stoczka gołymi palcami, nie zważając na płomień i gorący воск.

Jase nie odpowiedział. Bren wstał, postawił stoczek na swoim

miejscu w sekretarzyku i odszedł w drugi koniec gabinetu, żeby

Jase poczuł się swobodniej..

- Dość długo trwało, zanim zostałem wybrany - odezwał się w końcu. - Ostrzegałem cię. Zostałem wybrany spośród bardzo wielu ludzi, ponieważ potrafię to znieść. Nie możesz znaleźć słowa, co?

Całkiem cię zatkało? Nie rozumiesz połowy z tego, co mówię?

Milczenie, rozpaczliwe, bezradne milczenie.

Jase doszedł do punktu zerowego. Żadnego kontaktu.

Całkowita dezorganizacja umysłowa, po raz pierwszy, ale nie ostatni.

- Chcę - powiedział Bren do Jase'a w ragi - żebyś poszedł na ten wywiad, mówił „tak, panie Tatiseigi”, „nie, panie Tatiseigi”, „dziękuję, panie Tatiseigi”. To bardzo proste. Rozumiesz?

Lekkie skinienie głową. Wracały najwcześniejsze słowa: tak, nie, dziękuję.

- Chcę, żebyś poszedł do tamtego pokoju. Chcę, żebyś był uprzejmy. Rozumiesz?

Skinienie. Drugie, pewniejsze skinienie. Strach. Czysty strach.

- Tak - powiedział bardzo starannie Jase. - Ale...

- Ale...

Przez następną chwilę Jase nie mógł mówić, po prostu zamarł w milczeniu.

A to nie przyniesie nic dobrego ani programowi, ani aijiemu, ani wywiadowi. Jase osiągnął ten punkt, tę całkowitą niemożność

komunikacji, która przydarzała się studentom języka atevich,

284

kiedy nic nie miało sensu, a umysł - Bren nie miał innego wyjaśnienia - przechodził potężną reorganizację danych i układał nowe przewody w myślowych zakamarkach.

Sięgnął po łąpówkę. Najlepszą, jaką miał.

- Chcę, żebyś to zrobił, a przysięgam, że zawiozę cię nad ocean. Zaufaj mi. Prosiłem cię o to już wcześniej. Proszę cię teraz.

Nie otrzymał odpowiedzi. Było to jednak coś więcej niż łąpówka. Prawie konieczność. Bren wiedział, w jakim stanie znajduje się Jase, i wiedział, że będzie się pocił, dopóki Jase nie skończy wywiadu.

- Tak - powiedział Jase drżącym głosem.

- Dobrze. - Bren nie zaczął szybko mówić. Nie uraczył Jase'a jakimiś wielkimi słowami. Po prostu gestem poprosił go, żeby wstał i odprowadził do drzwi.

- Czy wszystko gotowe? - zapytał Jago.

- Tak - odparła i ruszyła z nimi. - Gdy tylko usuną pana Badissuniego. Zachorował.

Bren był zaskoczony. Przestraszony.

- Jest chory? - zapytał.

- Zupełnie uczciwie, nadi. - Jago potrafiła wypowiadać słowa tonem świadczącym, że mówi prawdę. - To chyba napięcie.

Zabierają go na noc do szpitala.

Zdumiewające, jakie osoby wiązała ze sobą polityka.

Sprawiała, że rozsądna osoba starała się nie wypowiadać na niczyj temat ostrych sformułowań, jako że słowa o ostrych krawędziach są tak trudne do przełknięcia.

Tatiseigi stał w blasku reflektorów, donosząc o zupełnie idiotycznym i całkowicie prawdziwym fakcie alarmu dla ochrony na dole, który jednak był uzasadniony, jakoś jednak zupełnie nie

285

wspominając, że winowajcą był młody chłopak.

Następnie Tatiseigi przeszedł do oświadczenia, że ochrona jest dość nerwowa i że uporała się ze wszystkimi zagrożeniami.

Tabini, który zupełnie bezwstydnie wykorzystywał nowomodne fale eteru do uzasadniania swoich poglądów, mógłby robić notatki z tego występu. Tatiseigi, który z tego, co słyszał paidhi, publicznie potępiał szkodliwe skutki narodowej obsesji na temat telewizji i aktorów machimi, który przemawiał przeciwko rozszerzaniu telewizji na nowe licencje, z całą pewnością znał jej wartość.

- Chcę wam powiedzieć - zaczął, tradycyjnie otwierając temat, po czym zagłębił się w sprawę odbudowy, programu i historii Atigeinich. Była to okazja bez precedensu dla reprezentanta któregoś z rodów. Tatiseigi mówił o historycznych małżeństwach, o związkach Atigeinich z założycielami stolicy w Shejidan - a potem, mając obok siebie Damiri i Jase'a, o Atigeinich

„wkraczających w przyszłość wielkiej obietnicy i śmiałych perspektyw”.

Mój Boże, pomyślał Bren, słuchając tego i patrząc na przedstawiany światu obraz. To prawie deklaracja wsparcia programu kosmicznego.

Było to prawie zdeklarowanie się za Tabinim i przeciwko Direiso, Kadigidim i wszystkim ich spiskom.

Z całą pewnością historia, chociaż była długa i leniwa, zatrzymała się w ostrym i niebezpiecznym punkcie dzięki trzem starannie dobranym słowom: „przyszłość”, „śmiały” i „perspektywy”, co oznaczało, że konserwatywni dotąd Atigeini zaczęli się zmieniać; a dzięki postaci Damiri „perspektywy” miały w niektórych umysłach oznaczać spadkobierców, małżeństwo i ostateczne połączenie dwóch rodzin z Doliny Padi, dzierżących ogromną władzę; połączenie, które nagle mogło umocnić obraz polityczny.

286

Zagrażałoby to niektórym interesom, a szczególnie interesom Direiso.

Nie mówiąc już o Ilisidi z jej powiązaniem z odległym i często zbuntowanym Wschodem.

Stary tyran miał to zaplanowane, kiedy ruszył do tego pokoju, ale wybuchła żarówka. Był przygotowany na gorzką konieczność zawarcia pokoju z Tabinim, pocieszony okazją zyskania

publicznej chwały, a potem skompromitowany przez człowieka.

Dzięki Bogu, że dostał szansę na ten teatralny występ. Bren mógł sobie tylko wyobrazić, jak bardzo ateva nie chciał mieć obok siebie na scenie swojej siostrzenicy i wspomnianego człowieka.

Bren mógłby się założyć, że Tatischeigi ułożył sobie to potężne przemówienie, zanim jeszcze stanął przed kamerami, i że alternatywą było nie wygłoszenie go i dalsze balansowanie na krawędzi pokoju i wojny z Tabinim oraz powolny taniec z jego wrogami. Zaproponował zmianę niepomysłnego miejsca w małej jadalni i bez względu na to, jak bardzo nonszalancki mógł się stać ateva, wciąż istniała ta kulturalna i publiczna niechęć do przyjęcia miejsca czy oprawy dla jakiegoś wydarzenia, jeśli to miejsce zostało skażone przez pech.

Stąd ten wywiad w oficjalnej jadalni, leżącej w granicach apartamentu, co jednocześnie dowodziło, że ludzie nie sprowadzają niepomysłności - z człowiekiem, symbolem zmiany, stojącym przy konserwatywnym wielmoży. A mając tuż obok siebie Damiri, łączniczkę z Tabinim, która może chciała go zastąpić, starszy wysunął się na czoło rebelii we własnym rodzie i zrobił to w pięknym stylu - na oczach całego narodu.

Bren nie wiedział, czy w czymkolwiek pomógł, czy to Tabini przyszedł na ratunek nierozważnemu człowiekowi, czy może zaproponował dokładnie to samo; ale Tabini jest pewnie

zadowolony, że sam nie musiał wdawać się w słowną bójkę ze staruszkiem.

287

A staruszek mógł zapragnąć widoku głowy paidhiego na blankach zamku przodków. Do takiego rozwiązania mógłby go skłonić fakt istnienia dwóch - niepomyślna dwójka - paidhiin. Bren uśmiechał się. Uśmiechał się, kiedy ratował Jase'a, który praktycznie zaniemówił po wywiadzie, ale w jego trakcie odzywał się jak należy. Przed oddaniem Jase'a w ręce jego ochrony, napił go solidną porcją alkoholu, przez co zyskał chwilę ciszy i okazję dotarcia do Ilisidi.

- Aiji-ma - rzekł z głębokim ukłonem skierowanym do niej i szefa jej ochrony, Cenediego - aiji-ma, mam pilną prośbę, bardzo niespotykaną prośbę, o spełnienie której muszę prosić przede wszystkim ciebie, a także twojego wnuka. Jeśli jesteś mi winna jakąś przysługę, przynajmniej mnie wysłuchaj. Wiem, że żądam zbyt wiele. Nie mam jednak do kogo się zwrócić - tak jak twój wnuk, nie mając do kogo się zwrócić, przyszedł do ciebie w bardzo podobnych okolicznościach.

Wyraz oczu Ilisidi świadczył o wieku i doświadczeniu w kwestii intryg. Jej usta drgnęły w grymasie rozbawienia.

- Właśnie zamordowałaś pana Atigeinich w jego własnej jadalni i chcesz poprosić o azyl?

- Prawie - odparł Bren. - Jesteś bardzo blisko, aiji-ma.

Rozdział 15

Nand' paidhi - rzekł telefonista z Bu-javid. - Nie mogę uzyskać połączenia. Ateva obawia się... istnieje jakiś inny powód niż tylko awaria sprzętu.

- Dziękuję, nadi. Człowiek też tak sądzi. - Odłożył słuchawkę na widelki i usłyszał w głębi domu odgłos kroków na kamiennej posadzce foyer. Dom przygotowywał się do ich wyjazdu, nieświadom próby zatelefonowania, której Bren nie potrafił się oprzeć i o której doskonale wiedział, że się nie powiedzie, podobnie jak wszystkie poprzednie.

Baji-naji, przypadek i los, diabły we wzorze: istniały gdzieś symbolicznie w każdym atewskim budynku i w każdym planie działania. W ramach sztywnego systemu liczbowego czaiły się przypadkowe liczby twórczości, intuicji czy zniszczenia, i kiedy system dawał im możliwość działania, budynek się walił, sytuacja zyskiwała dodatkowe aspekty albo świat wskakiwał na nowe tory.

Bren nie mógł połączyć się z wyspą, nie mówiąc już o dodzwonieniu się do Toby'ego czy do domu matki.

I nie była to awaria sprzętu. To była polityka nie pozwalająca mu na ten telefon, a on podczas ostatniej rozmowy z Tobym, jak głupiec odłożył słuchawkę. Toby mógł do niego zadzwonić, ale Bren nie mógł się przedostać przez blokadę w przeciwnym kierunku.

A może Toby też nie może się z nim połączyć.

Od czasu rozmowy z wdową Bren uciekał się do tabletek nasennych, leków z wyspy pilnie strzeżonych od chwili powrotu ze szpitala. Po jego krótkiej rozmowie z Ilisidi nastąpiły liczne telefony i przesunięcia posiedzeń komisji, co zajęło cały dzień.

Ale, co stanowiło dobrą część całej operacji, Jase poweselał - jakby obietnica, której Bren mógł dotrzymać, wydobyła go z depresji i rozpacz. Jase ma jechać nad ocean. Zobaczyć morze.

Zeszłego wieczoru rozmawiali o łowieniu ryb, nie z portu Geigiego, lecz z lepiej strzeżonego, rządowego miejsca w rezerwacie leżącym po drugiej stronie tej samej zatoki.

- Może uda nam się zapolować na żółtgonki - powiedział wtedy Bren do Jase'a, chociaż wcale nie był pewien, czy ławice tych ryb pojawiały się w zatoce. Wśród miriadów innych spraw, którymi się interesował, nie było morskich ryb. Toby na pewno by wiedział.

Bren jednak nie mógł zadać pytania - od wielu lat - na które

Toby odpowiedziałby z radością.

Tak więc, zebrawszy odpowiedni bagaż, zgromadzili się w foyer o świcie drugiego dnia przed obiecaną wycieczką - Banichi i Jago, Tano i Algini.

Oraz Bren i Jase.

- Bagaże odjechały, Bren-ji - rzekła Jago. - Transport czeka.

To znaczy wagon kolei podziemnej. Ochrona Brena była w dobrym nastroju: poprawiło to humor Brenowi i zepchnęło świat we właściwą perspektywę. W domu była trudna sytuacja; ale, do cholery, Toby potrafi sobie z nią poradzić - Toby jest w mieście, w mieszkaniu matki. Toby da sobie z nią radę i nie musi dzwonić do Brena, żeby wylewać na niego złość, kiedy, do cholery, po raz pierwszy to on przyjechał, by zająć się jednym z problemów matki - czy to był rozwód z ich ojcem, proces o sprzedaż ich górskiego domku, pogrzeb męża ciotki Glorii czy... Bóg jeden wie, co. Tym

290

razem dyżur ma Toby i Toby może zająć się matką; oboje mogą wreszcie odbyć rozmowę, która powinna mieć miejsce, kiedy Toby się żenił, żeby oderwać się od rodziny, uciec na północne wybrzeże, wychowywać dzieci i szybko robić pieniądze. To Toby'ego matka stawiała Brenowi za wzór syna: dobrze ożenionego, ustatkowanego, kogoś, do kogo można jeździć w odwiedziny.

Matka stawiała Toby'ego i jego sytuację rodzinną Brenowi za wzór do naśladowania, ale ile razy zdarzał się jakiś kryzys, od razu dzwoniła na uniwersytet, żeby ściągnąć Brena z drugiego końca miasta. Było to zrozumiałe, ponieważ mieszkał w tym samym mieście; ale nawet kiedy Bren wyjechał w teren i oddzieliła ich cieśnina, nie dzwoniła na północne wybrzeże do Toby'ego, żeby niepokoił rodzinę, przyjechał do domu i wynajął

dla niej prawnika. Nie, Toby miał rodzinę, więc dzwoniła na kontynent, żeby „Bren-kochanie” rzucił kryzys rządowy, przyjechał do domu i wszystko naprawił. Czasami mógł to robić, a czasami nie. Przez wiele lat, za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do domu na urlop, matka przygotowywała specjalnie dla niego jakiś kryzys, który ogarniał go w sekundę po wyjściu z samolotu, tak że Bren zaczął myśleć o małżeństwie z Barb jako o ochronie. Doszło do tego, że za każdym razem, kiedy Bren wiedział, iż jego matka czegoś potrzebuje, miał mocno napięte nerwy, ponieważ potrzeba stała się istotą ich stosunków, a Bren sam już do tego doszedł.

Stała się ona też istotą jego związku z Barb, poczynając od jego rosnącej potrzeby, by Barb wychodziła na lotnisko i chroniła Brena przed jego niemożnością odmówienia matce. Kiedyś poślubiłby ją po to, żeby mieć żonę, która stałaby nad potrzebami jego matki. Do tego też doszedł.

Ponura myśl. Trzeźwiąca. Barb potrafiła zdenerwować Brena, ale było faktem, że jego dobry humor, kiedy tylko umówił się z Barb na lotnisku - alternatywą było przybycie jego matki z listą

291

zadań i planów co do jego czasu - podpowiadał mu, że może załamanie się związku z Barb w kryzysowej chwili nie było spowodowane jej ucieczką do miękkiego życia Paula Saarinsona.

Barb, jako osoba zdrowa, być może uświadomiła sobie, że nie

potrafi być podporą mężczyzny, który co kilka miesięcy wysiada z samolotu z potrzebą bycia pocieszanym i uszczęśliwianym, a nie zalewanym falą kłopotów w trakcie urlopu.

Prawdą było to, że życie domowe i miłosne paidhiego nigdy nie układało się pomyślnie, ot co. Zależność typu „potrzebuję cię” nie mogła stanowić podstawy związku dwóch dorosłych osób, czy to matki i syna, czy to męża i żony.

Ani nawet braci.

Nadszedł czas, żeby ich matka nauczyła się polegać na Tobym, ponieważ Toby był tym z jej synów, który będzie w jej zasięgu; nadszedł też czas, by Toby nauczył się określać ten związek w sposób dogodny dla siebie. Tak wyglądała prawda. I wszyscy będą się musieli do niej przyzwyczaić. Matka nie będzie już mogła ściągać do domu swojego „Bren-kochanie”.

Może obowiązek względem rodziny nakazywał mu zrezygnować z życia zawodowego, wrócić do domu, zamieszkać w nim i robić te wszystkie rodzinne, lojalne rzeczy, łącznie z przecierpieniem związku małżeńskiego, który by się nie udał, oraz związku z matką, który nie ulegnie poprawie; ale może gdyby to zrobił, to poprawi mu się charakter.

Nie to jednak było jego zadaniem. Nie to, co miał robić dla innych, równie ważnych jednostek z pobudek o wiele ważniejszych dla świata niż jego problemy osobiste. I Bren pomyślał, że chociaż mogłoby to przysporzyć rodzinie sporo

kłopotów, to powinien uświadomić Toby'emu tę kwestię oraz fakt, że ma prawo tupnąć nogą i określić swoje stosunki z mamą w inny sposób - na początku - zanim zostanie zjedzony żywcem.

- Bren-ji? - zapytała Jago, kiedy wsiadł do windy.

292

- Jestem zmęczony - odparł. - Zmęczony, Jago-ji. - Udało mu się przywołać na usta uśmiech. - Czas na tydzień urlopu.

Banichi wcisnął guzik. Winda zwiozła ich na dół, do przepastnych kafelków i betonu wydzielonej podziemnej stacji kolei pod Bu-javid.

Niewielką odległość dzielącą windę od wagonu przeszli piechotą; była to dla Jase'a większa przestrzeń, niż miał okazję przemierzyć od chwili, kiedy przybył tą samą drogą do Bu-javid.

- W porządku? - zapytał Bren Jase'a, kiedy dostrzegł to niewielkie wahanie, ten głęboki oddech.

- Świetnie - odparł Jase. Szedł spokojnie obok Brena - mając Banichiego i Jago na przedzie, a Tano i Alginiego z tyłu - wzdłuż lokomotywy do dwóch wagonów czekających pod czujnym okiem obowiązkowej Straży Wewnętrznej i pary Zabójców z personelu aijiego - wzrok Brena wyłuskał ich spośród innych.

- Nadi? - Banichi zajął stanowisko w wagonie tuż przy wejściu i wszyscy wsiedli do środka: Tano i Algini udali się do wagonu bagażowego z młodszymi ochroniarzami, a Banichi i Jago zostali z ludźmi.

- Najwygodniejsze jest tylne siedzenie - powiedział Bren do Jase'a i przypomniał sobie, że powiedział to samo w dniu, kiedy eskortował Jase'a na wzgórze, w tym samym wagonie, do miejsca odosobnienia, w którym teraz mieszkał. Zajęli miejsca. Jago stała przy drzwiach i rozmawiała z kimś przez komunikator, prawdopodobnie oznajmiając obsłudze stacji Bu-javid ich odjazd. Drzwi zamknęły się i wagon ruszył.

Jase siedział w nerwowym oczekiwaniu, a prywatny wagon z zasłoniętymi oknami jechał pod ziemią z hurgotem w dół wzgórza i przez miasto, które Jase widział tylko z okien Bu-javid i raz podczas lotu.

- Zdenerwowany, nadi?

293

- Nie, nadi. - Jase powiedział to bardzo szybko. Siedział z rękoma na kolanach i wbity w fotel, by zneutralizować choćby najmniejszy ruch wagonu.

Bren mógł się jedynie domyślać, że zmysły Jase'a atakowało mnóstwo obcych mu doznań wywoływanych drganiami wagonu, zapachami, hałasem.

Najwyraźniej niektóre z nich były niepokojące z punktu widzenia astronauty, podobnie jak duże otwarte przestrzenie: może dezorientowały go echa. A może po prostu wielkość. Bren nie miał pojęcia, ale chcąc uspokoić Jase'a, przybrał swobodną pozycję z wyciągniętymi nogami skrzyżowanymi w kostkach i

ograniczył rozmowę do minimum; oczy Jase'a biegały

gorączkowo na każdy odmienny klekot kół na zwrotnicach, przy

najmniejszej zmianie dźwięku, kiedy wyjechali z tunelu na

otwartą przestrzeń.

- Jesteśmy na zewnątrz - wyjaśnił Bren. - Byliśmy w tunelu.

Jase nie wyglądał na uspokojonego. Prawdopodobnie wiedział,

że reaguje przesadnie, a nawet podejrzewał, że z tym swoim

zdenerwowaniem głupio wygląda, ale stosowali się do jeszcze

jednej zasady, którą Jase zaakceptował tak samo jak wszystkie

inne warunki: bez względu na okoliczności Jase ma podczas tej

wycieczki odzywać się wyłącznie w ragi. Bren wbił mu do głowy,

że gdyby wagon się wykoleił, Jase ma krzyżeć w ragi. Być może

nie uda mu się tego przestrzegać cały czas, ale jeśli to było

ideałem, to Bren pomyślał, że może zachęci Jase'a do całkowitego

myślenia w tym języku, tak jak już raz się zdarzyło, kiedy Bren

wizytował zakłady przemysłowe. Gdyby to nie ziściło wszystkich

nadziei Brena, to przynajmniej ponownie zmusiłoby Jase'a do

przyjęcia tego samego nastawienia umysłowego, tak że mógłby

się z nim spierać.

Tymczasem pociąg jechał z hurgotem na lotnisko.

Szczęśliwa rodzina w drodze na plażę, pomyślał Bren,

przyglądając się swojemu otępialemu, dobrze ubranemu

294

współlokatorowi oraz świetnie się bawiącym, zadowolonym,

potężnie uzbrojonym ochroniarzom w czarnych skórach

nabijanych srebrnymi ćwiekami.

- Należały nam się wakacje - zauważył radośnie Banichi. Ani on, ani nikt z jego towarzyszy z Gildii, nie byli jednak na tyle przejęci wakacjami, by skorzystać z barku ze śniadaniowymi sokami owocowymi w osobistym, czerwonym od aksamitu wagonie aijiego; co prawda Banichi usiadł, swobodnie się wyciągnął na całą długość i westchnął. Niewątpliwie było to lepsze niż jakiś dach na Półwyspie. - Będziemy oczywiście mieli deszcz, ale jest wiosna - na cóż można liczyć?

- I tak powinno być ładnie - odezwała się Jago ze swego stanowiska przy drzwiach, jedną ręką trzymając się pętli zwisającej z sufitu. - Morze, piasek...

- Zimne mgły.

- Nadiin - powiedział Bren i wzniósł się na poziom entuzjazmu zajmowany przez jego ochronę - jesteśmy bezpieczni, wyjechaliśmy; dziś wieczorem pan Tatiseigi odwiedzi swój własny apartament, nas tam nie będzie i mam wrażenie, że nielegalny telewizor został zniesiony na dół.

- Pilnuje go straż, nand' paidhi - rzekł Banichi - oczywiście ze swoją zwykłą gorliwością.

Pojawiły się uśmiechy. Jase prawdopodobnie nie zrozumiał dowcipu. Ochrona była jednak w świetnych humorach, wagon pędził z łoskotem, po czym zachwiał się na zakręcie,

zwiastującym, że zbliżają się do stacji na lotnisku. Młodszy ochroniarze pilnujący bagażu przeniosą wszystkie pakunki do furgonetek.

Podziemny pociąg zatrzymał się, ochrona wstała, by zająć rutynowe pozycje, drzwi się otworzyły i ochrona wyszła pierwsza.

Bren pociągnął Jase'a ze sobą i zostawił wszelkie szczegóły swojemu personelowi, w głębokim przekonaniu, że furgonetki

295

czekają, a na tej wyjątkowo dobrze strzeżonej odnodze publicznej kolei podziemnej ochrona Bu-javid ma wszystko pod kontrolą od początku do końca.

- Ostrożnie - powiedział, bojąc się, że Jase będzie miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, lecz ten pewnym krokiem wysiadł z wagonu na peron.

Jase nie miał tu żadnych kłopotów, podobnie jak przy wsiadaniu do czekającej furgonetki. Rzucił się jednak na siedzenie jakby z ulgą, że może usiąść; twarz miał lekko pobladłą i szybko mrugał oczyma, jak to miał w zwyczaju, kiedy zmagał się z problemami z perspektywą. Bren usiadł obok, mając za sobą Banichiego i Jago; inni pod nadzorem Tano ładowali bagaż do drugiej furgonetki.

Furgonetka zawiozła ich do czekającego samolotu i zahamowała tuż przy drabince. Druga furgonetka natychmiast stanęła obok nich. Bagaż nie składał się wyłącznie z ubrań, ale

także z broni i elektroniki towarzyszącej państwu wszędzie tam, gdzie udawał się wraz ze swoją ochroną.

Był to odrzutowiec Tabiniego. Banichi wysiadł pierwszy, za nim Jago i Bren; Jase musiał wyjść z zamkniętej przestrzeni furgonetki w hałas silników odrzutowych i przejść po płaskiej powierzchni pod otwartym niebem, z kilkoma chmurami o szarych podstawach, do drabinki i wspiąć się po niej do samolotu. Jase wyszedł na stopień, nie spojrzał w górę (bo, jak mówił, przyprawiało go to o szczególny niepokój) i podszedł do drabinki, odtrącając wysuniętą dłoń Jago.

- Zaczekajcie - powiedział Bren do Banichiego i Jago, ponieważ kiedy ta para wchodziła na metalową drabinę ze swoją zwykłą energią, stopnie trzęsły się i Bren nie sądził, żeby to pomogło Jase'owi, który, wspinając się do samolotu, zacisnął zbiegłe palce na poręczy i wbił oczy w stopnie, nie patrząc na boki.

Jase wszedł do środka, gdzie przywitał go drugi pilot.

296

Następnie w samolocie pojawił się Bren, a za nim Jago i Banichi:

Tano i Algini zostali na dole, by przypilnować ładowania bagaży.

Komputer, jako jedyna część bagażu, znalazł się wraz z nimi

w kabinie; wniosła go Jago, po czym umieściła w magazynku,

podczas gdy załadunek bagażu poszedł tak sprawnie, że pokrywa

luku trzasnęła w chwili, kiedy Jase siadał w jednym z foteli

ustawionych wokół stolika, a Bren witał się z pilotami.

- Ateva ma nadzieję na spokojniejszy lot, nand' paidhi - rzekł pilot.

W ciągu ostatniej doby, kiedy wszyscy zajmowali się logistyką i przygotowaniami, a wuj Tatiseigi korzystał z gościnności Ilisidi, Bren właściwie już zapomniał o chłopcu z Dur.

Wyjechali bez najmniejszych przeszkód. Chłopiec z Dur otrzymał swoją kartę ze wstążką, która mogła ochronić go przed rodzicielskim gniewem, apartament był wciąż nienaruszony po oficjalnym przyjęciu, a telewizor wyjechał ze spizami, stanowiąc rozrywkę dla Straży Wewnętrznej na czas pobytu wuja Tatiseiego, który powinien trwać mniej więcej tyle samo czasu, co ich wyprawa na zachodnie wybrzeże w pobliże Saduri.

- Przewiduję spokojny lot i spokojne dziesięć dni, nadi - powiedział Bren do pilotów - i mam nadzieję, że będziecie mieli dość czasu na łowienie ryb. Wyraziłem pragnienie, żeby personel umieścił was w miejscu, które pozwoli wam na to w każdej wolnej chwili.

- Nand' paidhi, tak się stało i dziękujemy tobie oraz nand' Jase'owi - odpowiedział pilot i skinął głową w kierunku fotela, w którym siedział Jase.

- Nadi - zakończył rozmowę Bren i wrócił do Jase'a. Sprawy ruszyły z miejsca i naprawdę czuł się lepiej. Krew krążyła mu

szybciej w żyłach, miał lekki ból głowy: być może przestała

działać tabletką nasenną.

297

- Wspaniała pogoda do latania. Gładki lot, nadi. Świeci słońce.

Spokojne powietrze.

- Tak - odpowiedział Jase. Było to jakieś słowo. Jakaś reakcja.

- Za blisko planety - mruknął i uśmiechnął się; Bren odpowiedział

usłużnie śmiechem, rozumiejąc, że to nieśmiały żart i że Jase'owi

udało się w końcu sklecić kilka słów w coś, co przypominało

zdanie w ragi. Po dwudziestu kilku godzinach nawrotów

językowego bezwładu i frustracji oraz utracie całej wiary w swoje

zdolności posługiwania się językiem Ragich, Jase wykazywał

oznaki wychodzenia z kryzysu - była to druga faza umysłowego

przełomu, ze skłonnością do kwestionowania doboru słów i

zawalania gramatyki - co w połączeniu ze strachem przed

obrażeniem ateńskiego personelu nie wpływało korzystnie na

jego pewność siebie. Była to jednak podręcznikowa reakcja

psychologiczna. Jase był ogromnie zmieszany, upokorzony i

przerażony bardzo rzeczywistymi konsekwencjami

dyplomatycznymi w chwili, kiedy pojawił się w ogólnokrajowej

telewizji, przeżywając jednocześnie najgorsze chwile osobistego

kryzysu. Nie było to złudzenie bezradności, które przeżywali

studenci języka, lecz prawdziwa bezradność i prawdziwe

niebezpieczeństwo; dzięki Bogu, pomyślał Bren, że była z nimi

wdowa, rozumiejąca ochrona i Damiri. I dzięki Bogu Tatiseigi nie był głupcem.

Tymczasem Jase, otoczony personelem, który wybaczał mu jego błędy, znów próbował, znów rozumiał i odzyskiwał nieco chwiejnej wiary w siebie.

- Zapnijcie pasy, nadiin - powiedział przez interkom drugi pilot. Silniki zaryczały głośniej.

Kiedy samolot zaczął kołować na pas startowy, a wokół nich ochroniarze zajmowali fotele i zapinali pasy, Jase zacisnął dłonie na poręczach fotela tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

Bren nie mógł go potępiać za taką reakcję. W trakcie lotu do Shejidan wyjaśnił Jase'owi i Yolandzie zasady fizyki, dzięki

298

którym samoloty unosiły się w powietrzu, ale wtedy i później działało się tyle nowego, że Bren nie był pewien, ile Jase zapamiętał. Przeżył twarde lądowanie w rezerwacie w Taiben, noc w rezydencji umożliwiającej im złapanie oddechu, a potem jazdę pociągiem zakończoną pośpieszną przesiadką do samolotu aijiego, który zabrał ich wszystkich na międzynarodowe lotnisko w Shejidan.

Po wylądowaniu w stolicy nie było chwili wahania: strażnicy aijiego zapakowali Yolandę i Deanę Hanks do pilotowanego przez atevich rejsowego samolotu lecącego na Mospheirę, a Brena i Jase'a do furgonetki, która zawiozła ich do stacji kolei

podziemnej; kiedy znaleźli się w Bu-javid, przejęła ich niezwykle czujna ochrona aijiego, a wszystko po to, by w świecie targanym wówczas zmianami i niepokojami dwóm paidhiin nic się nie stało. Nie dało to Jase'owi zbyt wiele czasu, by dowiedzieć się czegoś o świecie. Był zdezorientowany i przejęty faktem, że nie będzie mógł się swobodnie kontaktować z Yolandą. Być może nie wiedzieli, iż tak będzie.

Być może Deana Hanks, siedząca obok nich w samolocie i opowiadająca, że Jase będzie w Shejidan oszukiwanym więźniem, zasiała w nim zbyt wiele ziaren podejrzliwości. Bren powiedział Jase'owi, że Deana kłamie. Jase mógł mu jednak tamtego dnia nie uwierzyć.

A kiedy Bren szczegółowo wyjaśnił Jase'owi, co i dlaczego zrobiła Deana, ten powiedział:

- Nikomu z nas też nie będzie łatwo, prawda?

Pół roku temu.

Prawie pół roku temu. Yolandą odjechała furgonetką z Deana do stojącego nieopodal samolotu; Jase pojechał drugą furgonetką z Brenem, Banichim i Jago na stację - i to był koniec, ostatni ich kontakt oprócz rozmów telefonicznych.

Przez pierwsze dni Jase był przerażony - personelem, ochroną,

299

urządzeniami strzegącymi drzwi. Prostym faktem, że uważano za konieczne zamykanie drzwi apartamentu na klucz.

Prostszym faktem grzmotu rozlegającego się nad dachami.

Bren to pamiętał.

Samolot ruszył wzdłuż pasa startowego, uniósł się i w chwilę później Jase starał się poprawić kąt nachylenia maszyny skręcającej na zachód, przechylając się w drugą stronę.

Bren zachowywał kamienną twarz i nie powiedział słowa o tym, co zapewne było instynktowną reakcją. Można by pomyśleć, że człowiek pochodzący z nieważkiej przestrzeni opanował takie skłonności. Jase powiedział jednak, że statek wytwarzał grawitację w taki sam sposób, jak stacja, więc Bren uznał, że Jase nie jest przyzwyczajony do jej braku.

Samolot wciągnął klapy. Jase wciąż miał zbieleiałe dłonie i wciąż wzdrygał się na każdy odgłos wydawany przez urządzenia hydrauliczne, na przykład przy wciąganiu podwozia. I to był mężczyzna, który wszedł do kapsuły i pozwolił załodze wypchnąć się w próżnię, zgodził się wpaść w atmosferę planety i opuścić się na jej powierzchnię na spadochronach.

Z drugiej strony... Jase bardzo mało mówił o tej podróży na dół. Budził się czasami z koszmarów, zaskakując personel, a kiedyś wspomniał, że to opadanie na spadochronach bardzo go niepokoiło. Na samym początku Jase powiedział Brenowi o swojej nadziei, że kiedy będą już mieli statek, podróż powrotna w przestrzeń kosmiczną będzie o wiele bardziej podobna do tego pierwszego lotu samolotem do Shejidan.

- Wiesz co - odezwał się Bren, kiedy po dziesięciu minutach lotu i osiągnięciu odpowiedniego pułapu Jase wciąż nie rozluźniał chwytu na poręczy fotela - samoloty nie spadają tak często na ziemię. Zwykle utrzymują się w powietrzu. Siła nośna. Pamiętasz? Jase zrobił kilka głębokich oddechów.

- Nic mi nie jest - powiedział. Jak ktoś, kto właśnie przeżył

300

piekło. - Nic mi nie jest.

Jase patrzył wprost przed siebie. Z okna roztaczał się piękny widok na chmury, ale Jase nie patrzył na nie, najwyraźniej nie wierząc, że bez jego zachęty samolot zachowa równy lot. Jase nie patrzył też na Brena i nie wydawał się skłonny do myślenia o czymkolwiek poza samolotem.

No cóż, jest praca, którą można się zająć, póki Jase pomaga pilotowi.

Bren mógł rozpakować komputer. Albo mógł siedzieć i martwić się sytuacją na Mospheirze związaną z departamentem stanu i jego oknami.

Albo sytuacją w stolicy, gdzie fale uderzeniowe, rozchodzące się od problemów na Półwyspie, oraz wyraźna zmiana frontu przez Tatischeigiego wciąż powodowały zamęt na dworze, a panowie choćby najmniej związani z Direiso zastanawiali się nad swoją pozycją - niepokojąca myśl, o tej wojnie obejmującej cały kontynent, której ofiary jak dotąd sprowadzały się do jednego

mężczyzny, żarówki, kawałka szkła i Badissuniego z Haganich leżącego w szpitalu z dolegliwościami żołądka - tak że człowiek zastanawiał się, czy znalazł się on tam z powodu stresu, czy też może w pobliżu jego kieliszka przechodziła Jago?

Załoga statku i siedzący obok Brena człowiek zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tych zmagania, poza tym, co przeżył Jase w kontakcie z Tatiseigim.

No cóż, na wyspie zdadzą sobie z nich sprawę. Przy tym nielegalnym poruszaniu się w eterze można się założyć, że zda sobie z nich sprawę Deana Hanks.

Gdyby tylko potrafiła przetłumaczyć „zabójstwo”, nie myląc go z „ciężarnym kalendarzem”.

Tymczasem Banichi i Jago bardzo starali się poinformować Brena, co się dzieje po prawdopodobnych wstrząsach na wysokim szczeblu w Gildii Posłańców. Informacja dostarczona wraz z

301

kolacją zeszłego wieczoru mówiła o wiadomości radiowej przechwyconej na północnym wybrzeżu, w okolicach Wingin, dokąd się nie udawali, którą to wiadomość - co w mniej ponurych okolicznościach byłoby śmieszne - rzekomo przekazali atevi atevim, kiedy ewidentnie tylko jedna strona była atewska, sądząc choćby z tembru głosu, a nie mówiąc o błędach w słownictwie i składni.

Strona płynnie władająca językiem bardzo obszernie opisała

sprawę zabójstwa pana Saigimiego. Twierdziła, że pan Tatiseigi udzielił telewizji wywiadu pod groźbą użycia siły i że jedynie strach, iż Atigeini zostaną przejęci przez aijiego, osłabił poprzednie - jak brzmiało sformułowanie - „mocne poparcie dla tradycyjnych wartości” Tatiseiego.

Bren wiedział, dlaczego Tabini bez sprzeciwu pozwalał na ten ruch w eterze, pozornie odbywający się między małymi samolotami latającymi w pobliżu granicy Patronatu z Mospheirą i wieżą kontroli na atewskim kontynencie: to, co robił teraz ktoś na kontynencie, było świadomą prowokacją i bezczelnością. To, że coś takiego trwało, nie miało nic wspólnego z prawami gwarantującymi swobodę wypowiedzi na Mospheirze. Zgodnie z Traktatem żaden mieszkaniec Mospheiry nie miał prawa używać radia do nawiązywania łączności z kontynentem. Pozwalając na krążenie tych wiadomości radiowych, Tabini, po ludzku mówiąc, zwyczajnie dawał sprawcom wystarczająco dużo liny, by mogli się na niej powiesić i wciągnąć za sobą innych, zanim Tabini spadnie na pewno na Direiso, być może na autorów tych wiadomości oraz dyplomatycznie na Hanks.

Lecz teren, na którym się to działo, leżał (Bren to sprawdził) daleko na północ od miejsca, do którego się wybierali.

I chociaż Bren zostanie wpłątany w kryzys, który te wiadomości na pewno wywołają, gdy Tabini spadnie na winowajców, teraz to nie był jego problem. Jego obecnym

zadaniem było dopilnowanie, by Jase miał okazję do odprężenia

302

się i zawarcia wewnętrznego pokoju z ziemią i atevimi. Bren był głęboko przekonany, że choćby niewielki kontakt z problemami bardziej podstawowymi i naturalniejszymi niż życie w znajdującym się pod olbrzymią presją środowisku Bu-javid ogromnie pomoże Jase'owi. A i on sam...

Potrzebował odpoczynku. W końcu to przyznał. Osiągnął stan, w którym po prostu nie miał już żadnych rezerw. Nerwów, rozsądku, elastyczności umysłowej.

Ostatni prawdziwy urlop miał... o, zbyt dawno temu.

Stał wtedy na nartostradzie na górze Allen Thomas w samym sercu wyspy, czując, jak słońce pali mu nos. Cały był pokryty śniegiem z zasy, w którą wpadł głową. (Teraz był trochę ostrożniejszy i nie pędził już na złamanie karku).

Ale widoki były wspaniałe, kiedy wieczorami słońce zmieniało śnieg w złoto, a zielone drzewa iglaste stawały się czarne.

Kiedy rano spośród błękitnych cieni wstawały mgły, a nad zamarznąłą powierzchnią szemrał wiatr - wtedy Bren czuł, że żyje.

Jase byłby przerażony.

No nic, powiedział sobie w duchu Bren, skrzyżował nogi i poprosił jednego z młodszych ochroniarzy o sok owocowy.

- Chcesz się napić, Jasi-ji?

- Tak, nadi, poproszę - odparł Jase.

Zdecydowanie lepiej.

Pojawił się sok owocowy.

- Ładne chmury - zauważył Bren, a Jase spojrział przez okno i zgodził się z jego zdaniem. Był stosunkowo spokojny.

Wakacje przydadzą się wszystkim, pomyślał Bren.

303

Ponieważ... łyknął soku i zapatrzył się w pusty fotel naprzeciwko niego, który zwykle zajmowała Jago... sam zdecydowanie sięgał punktu załamania i wietrzył spisek pod każdym płatkim porcelanowych lilii.

Spisek łączący rozmaite porozrzucane fragmenty ostatnich kilku dni, od powodów, z których musiał zginąć Saigimi, po cel przyświecający Hanks, od Direiso po parę operatorów radiowych z okolic Wingin, a nawet po farbę, jaką oblano budynek, w którym mieszkała jego matka.

Żałował, że przerwał rozmowę z Tobym. Operacja ich matki miała się odbyć jeszcze w tym tygodniu. A on nie będzie wiedział, czy się udała. Po prostu nie będzie wiedział. Już się z tym pogodził.

Krewnym trudno było znieść pracę, której się podjął Bren i do której zgłosił się Jase, nigdy przedtem nie oddalając się od rodziny i od tego co znajome.

Bren sączył sok. Jase w końcu przypomniał sobie, żeby wypić swój.

Samolot skręcił na zachód. Jase wcisnął się w fotel i wyjrzał przez okno, jakby spodziewał się coś zobaczyć.

- Wszystko w porządku.

Jase zaczerpnął głęboko tchu.

- Czy zobaczymy wodę przy lądowaniu, nadi?

- Właśnie do niego podchodzimy. Powinieneś ją zobaczyć.

Powinieneś mieć dobry widok.

Bren nie wiedział, dlaczego Jase'owi tak zależało na zobaczeniu oceanu. Cieszył się, że obrał sobie za cel coś tak łatwego, coś, co Bren mógł mu ofiarować.

Wstał i poszedł porozmawiać z Banichim.

304

Na prośbę paidhiego i za zgodą wieży kontrolnej samolot wykonał bardzo nietypowe podejście, lecąc wolno i nisko nad krawędzią wody, a potem przeleciał nad morzem i leżącą w zatoce dużą wyspą wczasową Onondisi, co dało paidhiemu ze statku piękny widok. Bren wstał, żeby też popatrzeć; pomny wyspiarskich pilotów chwycił się poręczy i stał tak, patrząc ponad ramieniem Jase'a na przyjemną dla oka kamienistą wyspę, z urwiskami na północy i piaszczystą plażą na południu, gdzie skupiły się kurorty.

- Stopniała woda - powiedział Jase tonem pełnym podziwu. -

Tyle stopniałej wody.

Od czasu do czasu Jase potrafił całkowicie zaskoczyć Brena.

- Owszem, jest stopniała.

- Ciepła?

- Ma temperaturę zbliżoną do zimnej wody z kranu. - Sięgnął ręką, by pokazać Jase'owi hotele skupione wśród drzew na wyżej położonych miejscach. - Kurorty. Hotele. Mieszka się tam i chodzi na plaże.

- Jeżdżą tam zwykli atevi? - zapytał Jase.

- I panowie, nadi. Każdy, kto chce. Panom zwykle towarzyszy ochrona, więc zazwyczaj co ważniejsi z nich zatrzymują się na południowym wybrzeżu zatoki. Jest tam dużo prywatnych plaż, ale nie tak pięknych jak te.

- A inni nie muszą się martwić?

- Nie. Chyba że bardzo, ale to bardzo kogoś rozgniewali. A nawet wtedy wiedzą, czy mają się martwić.

- Czy boją się przy tych wszystkich zabójstwach?

- Gildia nie tknie zwykłego atevy bez Zgłoszenia Zamiaru.

Nawet wtedy Gildia musi być przekonana o istnieniu mocnych i rzeczywistych zarzutów - powiedział Bren, patrząc na maleńkie

305

postacie na plażach, brodzące w falach przyboju - więc jeśli nie zrobiło się czegoś naprawdę oburzającego, co spowodowałoby przyjęcie Zgłoszenia, jest się tam na dole bezpiecznym.

- Ale panowie nie?

- Panowie mają członków Gildii w swoich domach - odezwała się Jago, podchodząc. - A Gildia niekoniecznie musi zaakceptować posunięcie większego pana przeciw mniejszemu, jeśli później może on wykazać swoją rację.

- A mniejszego przeciwko większemu? - zapytał Jase.

- To musi zostać zaakceptowane. Podobnie w przypadku zwykłych atevich. Często pośredniczymy między zwykłymi atevimi - dodała Jago po chwili. - Wielokrotnie właśnie między takimi atevimi nie doprowadzają do rozlewu krwi. My widzimy wiele, wiele sytuacji, które gmin uważa za nadzwyczajne.

Potrafimy patrzeć na sprawy z pewnej perspektywy.

Człowiek przypuszczał (wspomniał o tym Tano, a Bren widział to w codziennych wiadomościach), że waśń między członkami gminu zwykle toczyła się bardzo powoli, jeśli Gildia podejrzewała, że dojdzie do mediacji. Paidhi był przekonany, że czasami Gildia nie robiła nic przez kilka miesięcy czekając na telefon od zaniepokojonego „celu” z ofertą kontraktu na stronę przeciwną.

Jago jednak nie wyszła z tą informacją. Samolot leciał dalej nad wodą; tym razem przez okna widzieli Mospheirę mającą za wzgórzami w błękitnej mgiele na horyzoncie.

- To wyspa, nadi. Nasza wyspa. Mospheira.

Skrzydło uniosło się, zasłaniając ją, ponieważ musieli skrócić

wzdłuż niewidocznej granicy.

- Nie widziałem jej - powiedział Jase.

- Tam jest mgiełka. To właśnie była Mospheira.

306

- I tak jej nie widziałem. - W głosie Jase'a brzmiało
rozczarowanie.

- Pokażę ci ją, kiedy znajdziemy się na ziemi. Na pewno
będziemy mogli ją zobaczyć. Te wzgórza to wyżyna Mogari-nai.

Za nimi zostały skaliste nadbrzeżne urwiska, tak uwielbiane
przez fotografów, oraz urwiska Elijiri, które leżały bliżej
posiadłości Geigiego znajdującej się nieco dalej w głębi lądu.

Człowiek rozumiał, że Mogari-nai leży na ziemi aijiego, z dala od
terenów widokowych, w strefie, z której niegdyś wystrzelowano
kule armatnie mające spadać na wrogie drewniane statki
zbliżające się do portu w okręgu Saduri.

Teraz Mogari-nai przeżywało okresowe ataki elektronicznego
zagłuszania z Mospheiry; tamten przeciwny brzeg był obstawiony
stacjami radarowymi.

A kiedy zapytało się o to zagłuszanie w liście protestacyjnym
do mospheirskiego rządu, problem oczywiście rozszerzał się na
linie telefoniczne.

- Czy jeszcze jeden przelot, nadiin? - odezwał się przez
interkom drugi pilot. - Mamy dla siebie całe niebo.

- Nie, podziękuj mu, nadi - powiedział Bren i Tano, który stał

przy interkomie, przekazał podziękowania do kabiny pilotów.

- A zatem wylądujemy, nadiin. Usiądźcie, proszę, wygodnie i bezpiecznie.

Bren usiadł i zapiął pas. Jase poszedł w jego ślady i wziął głęboki oddech.

- Rutyna - rzekł Bren i już drugi raz zajął Jase' a rozmową podczas lądowania, wyjaśniając, dlaczego samoloty unoszą się w powietrzu i w jaki sposób siadają na ziemi.

Jase wydawał się o wiele bardziej odprężony, przy podejściu do lądowania zaczerpnął głęboko tchu tylko trzy razy i uśmiechnął się, kiedy samolot dotknął ziemi dokładnie wtedy, kiedy

307

przewidział to Bren.

- To o wiele lepsze od spadochronów, nadi - powiedział Jase.

Startowali z przestraszonym, zamkniętym w sobie pasażerem, a wylądowali z pasażerem uśmiechniętym i żartującym - pasażerem, który potrafił wyrzeć przez okno nawet podczas ostrego zakrętu, tylko czasami chwytając się fotela.

To był dobry pomysł, pomyślał Bren; ta wycieczka to był bardzo dobry pomysł.

Samolot podkołował do terminalu, dość sporego ze względu na potrzeby obronne i sezonowy ruch turystyczny. Furgonetki już czekały.

- Jesteśmy na miejscu, nadiin-ji! - powiedział radośnie Bren i

wstał z fotela jako jeden z pierwszych.

Wakacje. Co prawda niezupełnie polowanie na żółtognonki, ale Banichi miał rację: posiadłość Geigiego, leżąca na południowym wybrzeżu Zatoki Onondisi, znajdowała się na Półwyspie i udanie się tam w tym momencie mogłoby stanowić niepożądany sygnał i kolidować z polityką aijiego w tym regionie.

Taiben, letni azyl aijiego, druga możliwość - leżało w Dolinie Padi, co w tej chwili też czyniło je politycznie drażliwym i niebezpiecznym, jako że znajdowało się właściwie na podwórku pani Direiso.

Było Malguri, do którego Bren chciał pojechać najbardziej, ale trzeba tam było lecieć trzy godziny i leżało ono wśród prowincji kipiących od intryg.

A więc wybór padł na ziemię aijiego, to znaczy publiczną strefę obronną w pobliżu Mogari-nai i Historycznej Siedziby w okolicach Saduri. Nie mogli skorzystać z publicznych kurortów. Z obserwacji Brena wynikało, że zalety bycia atewskim panem głównie ograniczały się do mnóstwa rodowych drobiazgów, których nie było się właścicielem; natomiast wady polegały na tym, że im bardziej było się aktywnym politycznie i im bardziej

308

stanowczo wykonywało się swoją pracę dla reprezentowanego przez siebie narodu, tym prawdziwsze stawało się twierdzenie, że nie można było latać rejsowymi samolotami, wyjeżdżać do

pięknych publicznych kurortów jak Onondisi czy chodzić do turystycznych restauracji, które Bren bardzo chciałby odwiedzić - gdyby nie był paidhi-ajjim, i w dodatku człowiekiem.

No, ale wysoka pozycja niosła ze sobą i przywileje. Kolacja z Ilisidi mogła zrekompensować zakaz wstępu do restauracji.

Nie musieli pilnować bagażu. To była kolejna zaleta bycia wielmożą. Zostawiali to ochronie i gdy tylko drabinka znalazła się na swoim miejscu, a Banichi stanął na ziemi i nawiązał bezpośredni kontakt z personelem Ilisidi, który kierował ochroną naziemną, mogli sobie iść.

- Nic mi nie jest! - oznajmił Jase, kiedy wyszli i owiał ich rześki, pachnący morzem wiatr. Bren zszedł pierwszy, żeby spotkać się z Banichim i złapać Jase'a, gdyby ten się potknął. Poczul jednak drgania drabinki i obejrzał się, żeby zobaczyć, co się dzieje: Jase trzymał się poręczy swoim zwykłym kurczowym chwytem i z entuzjazmem oraz śmiałością schodził za nim, nie czekając, aż drabinka przestanie się chwiać.

Nie chcąc przeciągać struny czekaniem na dworze, Bren podszedł do najbliższej z trzech furgonetek. Kierowca, który nie został wynajęty z firmy transportowej, lecz był jednym z „młodych mężczyzn” Ilisidi, jak ich nazywała, otworzył drzwiczki. Bren wpuścił Jase'a do środka, sam wsiadł przed Banichim, a jako ostatnia znalazła się w samochodzie Jago, która zatrzasnęła drzwiczki.

Furgonetka natychmiast ruszyła i z piskiem opon zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni w kierunku bramy.

Zupełnie jak wtedy, kiedy Bren jechał odwiedzić wdowę.

Zaczął protestować przeciwko lekkomyślności kierowcy, ale znajdowali się teraz na terytorium Ilisidi i tego należało się spodziewać. Kierowca ich nie zabije; Bren teraz to wiedział,

309

mając za sobą znacznie gorsze przejścia; Jase wyglądał za to na zaskoczonego i zaniepokojonego, ale patrzył na Brena z ufnością.

Uśmiechnął się więc, a Jase spróbował pójść w jego ślady.

Drogi przecinające kontynent miały tylko lokalne certyfikaty techniczne. Istniała linia kolejowa do miejscowości Saduri, Bren to sprawdził, ale nie dochodziła ona do starej fortecy, jako że kolej w ogóle nie dochodziła do dwóch posiadłości aijiego: jedną z nich było Malguri, a drugą Saduri. Kolej nie docierała też do dużego talerza anteny w Mogari-nai ani do Historycznej Siedziby w Saduri.

Bren wiedział więc, że pojedą samochodem, i mógł się spodziewać, że kierowca będzie prowadził tak, jak właśnie prowadził.

Furgonetka zjechała z drogi dojazdowej i ruszyła żwirówką prowadzącą wokół trawiastego wzgórza, a potem wokół następnego, z ogromną szybkością, jadąc właściwie cały czas pod górę.

Słyszając trzask żwiru przyskającego spod kół i wyczuwając lekkie zarzucanie furgonetki na zakrętach, Jase wyglądał na mniej pewnego siebie. Złapał się uchwytów i framugi okna.

- Czy to jest niebezpieczne? - zapytał. - Czy ktoś nas goni?

- O... - zaczął bagatelizujące Bren, ale zdecydował się powiedzieć Jase'owi prawdę. - Ten kierowca dobrze się bawi.

Odpręż się.

Banichi uśmiechnął się szeroko.

- Tej wiosny nie rozbił jeszcze żadnej furgonetki.

Jase wiedział, kiedy z niego żartują. Uśmiechnął się blado na tę próbę zburzenia jego spokoju i nie puszczał uchwytów, których trzymał się zbieleńszymi palcami.

- Myślałem, że ktoś pochodzący z tak wysoka będzie przyzwyczajony do ruchu - powiedział Bren, przekrzykując hałas.

310

- Jestem przyzwyczajony! - odpalił Jase, po czym uwolnił jedną dłoń, żeby wykonać nią zygzakowaty, chaotyczny gest. -

Ale nie do takiego ruchu.

To miało sens. Ciało Jase'a nie wiedziało, czego się spodziewać, a jego żołądek bezskutecznie usiłował się na to przygotować.

Bren podejrzewał, że z tego samego powodu niepokoiła go kolej podziemna. I samolot. Obserwował mimikę Jase'a, skurcze mięśni jego twarzy; zakręt drogi sprawił, że padło na nią światło, a

w chwilę potem znaleźli się w młodym zagajniku i pogrążyła się w cieniu, wywołującym na niej serię przesadnych drgnień i mrugnięć.

A więc jakby to było, zapytał się w duchu Bren, przez całe życie mieszkać w jakimś budynku, gdzie wszystko znajdowałoby się pod kontrolą: światło, przepływ powietrza, temperatura, wilgotność, każda napotkana osoba; gdzie cały dzień byłby dokładnie zaplanowany, horyzonty zakrzywione, a ruch całkowicie niezauważalny? Musi dowiedzieć się o Grahamie tyle samo, co Graham o świecie; Jase był książką, którą Bren musi przeczytać, by zdobyć wiedzę na temat statku - a potrzebował jej; mówił mu to jego instynkt zawodowy, i to do tego stopnia, że Bren nakazał sobie porzucić ciekawość i zająć się tym drugim zadaniem, by uspokoić Jase'a.

Jednak Jase zareagował niepewnością na zmianę w apartamencie; Bren dodał to irytujące upieranie się przy wstawaniu i jedzeniu śniadania każdego ranka dokładnie o tej samej porze i uznał, że zmiana jako wydarzenie nie jest dla Jase'a czymś codziennym. Miał do czynienia z Jasem i Yolandą, kiedy zetknęli się z tym światem, wciąż będąc w stanie szoku po wylądowaniu; odbyli wtedy krótką podróż pod otwartym niebem do domku w Taiben, która zakończyła się dotarciem do bezpiecznego i zamkniętego Bu-javid - przynajmniej dla Jase'a.

A teraz ta nerwowość wróciła: skrajna reakcja na wszelkie

bodźce, nawet kiedy Jase starał się na ten temat żartować.

Nieprzewidywalność światła i dźwięku stała się przygniatającą serią wydarzeń dla zmysłów całkowicie nieprzyzwyczajonych do interpretacji towarzyszących im niuansów.

Bren uważał, że dość dobrze potrafi oceniać, co się dzieje z atewa; domyślał się, że tak jak raz zaskoczone dziecko później przesadnie reaguje na podobne bodźce, podobnie Jase'owi musi się wydawać, że w jego doznaniach nie ma żadnego porządku ani rozpoznawalnej logiki. Spojrzenie Jase'a i dłonie zaciśnięte na krawędzi fotela mówiły, że jest to człowiek czekający na rozpadnięcie się otaczającego go świata.

Jednak drzemiąca w nim logika mówiła, że tak się nie stanie, więc Jase trzymał się fotela, szeroko otwierał oczy i usiłował swoim dorosłym i rozumnym umysłem dostrzec w tym wszystkim jakiś sens.

Umysł dziecka, jeszcze nie rozumny, mógłby mieć przewagę w programowaniu. A co miał robić dorosły człowiek, któremu nigdy nie świecono w twarz, pod którego nogami podłoga nigdy nie podskakiwała, który nigdy nie obijał się o ściany? Jase pochodził ze spokojnego, uporządkowanego świata, pozbawionego dużych przestrzeni. Jeśli mieszkał w czymś, co było odpowiednikiem kilku pokoików, to, Boże, nowa dla niego musiała być nawet faktura przedmiotów.

Co takiego powiedział Jase? Że oszałamiały go smaki i zapachy?

Możliwe, że nigdy przedtem nie widział jaskrawych kolorów czy różnych wzorów. Statek, z którego pochodził Jase, zaczął się Brenowi wydawać przerażająco monotonnym miejscem.

Plaża, fale, skały i wzgórza, gdyby tylko Jase z nimi się zetknął, powinny być bardzo dobrym lekiem na jego dolegliwość.

A gdyby potrafił znieść otoczenie, zobaczyć naturalne procesy leżące u podłoża przypadkowych burz i innych zjawisk pogodowych nawiedzających Shejidan, miałby o wiele mniej

312

powodów do strachu. Jase bał się grzmotów i choć teraz wiedział już lepiej niż niejeden ateva, co je wywołuje, wciąż podskakiwał na ich odgłos i był zmieszany, kiedy śmiały się z niego służące.

One sądziły, że to go upodabnia do nich. A on myślał, że robi z siebie głupca.

Niech Jase pozna historyczne pochodzenie atevich, niech doświadczy tego samego, co otworzyło atewski świat przed wyobraźnią Brena. Taki miał plan.

Dla Brena, chociaż wtedy tak o tym nie myślał, była to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mu się w kategoriach zrozumienia świata, w którym żył, plastycznego, pełnego zapachów i barw świata, który potrafił wypełnić jego zmysły i przemówić do niego na tak podstawowym poziomie, że coś w jego ludzkim sercu

zareagowało na tę atewską siedzibę i nauczyło go, co ma wspólnego z tym gatunkiem.

Z drugiej strony, sądząc po tym, jak Jase wzdryga się na widok gry światła i cienia, coś takiego może mu się nie przytrafić.

W najlepszym wypadku mogłoby to być zbyt wiele jak na jeden dzień. Astronauta był odważny, ale stawał się coraz bardziej dezorientowany samymi odgłosami i poziomem postrzeganego przez siebie zagrożenia; był bystry, ale zagubił się w przepływie danych, które zaczęły kasować połączenia w jego mózgu i przedstawiać priorytety.

Teraz już nie tylko język przygniatał Jase'a liczbą możliwości wyboru. To nie było to językowe przesunięcie, które przygniatało każdego studenta zbliżającego się do biegłości w posługiwaniu się nim - to był cały fizyczny, naturalny świat, który zwalił się na Jase'a, pozbawiając go nie tylko możliwości wyrażenia samego siebie - to ta część językowa - ale także interpretacji doznań. Jase z całych sił trzymał się tej części swoich spostrzeżeń.

Ta dezorientacja w połączeniu z tym, do czego mogła według Brena sprowokować Jase'a Ilisidi, sprawiała, że ograniczenie liczby delikatnych przedmiotów w zasięgu Jase'a wydawało się

313

dobrym pomysłem.

Bren zaczął mieć złe przeczucia. Jase nie urodził się na planecie. Może dla niego nie istnieje żaden wspólny grunt z

atevimi, na którego odnalezienie Bren miał nadzieję. Po raz pierwszy zaczął się bać, że przywożąc tu Jase'a, zrobił błąd.

To mnóstwo nowych wrażeń.

Lecz były to wrażenia fraktalne i uspokajające, jeśli tylko umysł Jase'a będzie potrafił dostrzec, że się one powtarzają, zapętłają i niczym mu nie grożą.

Ilisidi jednak nikogo nie traktuje ulgowo.

Jedno było też pewne: żeby spotkać Ilisidi, trzeba było wejść na atewski teren dalej, niż ona wyprawiała się na obszary ludzkie, by spotkać człowieka.

- Ładny widok - powiedział rozpaczliwie Bren, kiedy minęli zakręt i z okna rzeczywiście roztoczył się wspaniały widok na rozległą równinę. - Tam leży Taiben, ale to dość daleko.

Jase spojrział w tamtym kierunku. Nie sprawiał wrażenia, że potrafi skupić wzrok choćby na dwie sekundy, że wie, co jest ładne albo na co ma patrzeć.

Bren pomyślał, czyby nie poprosić kierowcy, żeby się zatrzymał; Jase mógłby wysiąść, spokojnie popatrzeć i złapać oddech; przypomniał sobie jednak, że nie znajdują się na zabezpieczonym terenie i że właśnie zmierzają tam, gdzie prawdopodobnie będą mogli postać i popatrzeć sobie na taki widok, a Jase znajdzie chwilę, by się uspokoić.

To było ryzyko. Ich całe życie było oparte na ryzyku. Należało jednak ograniczać zagrożenia do minimum. To co innego niż

pomost w Dalaigi.

Tu nie patrzy na nich tłum.

314

Droga wciąż prowadziła w górę wśród wzgórz zieleniejących trawą przetykaną żółtymi, fioletowymi i białymi kwiatkami. W zasięgu wzroku nie było żadnych budowli, aż w pewnej chwili wyjechali ze stromego zakrętu wśród wzgórz, minęli bramę w niskim kamiennym murze i za następnym zakrętem mignął im kamienny budynek.

Widok ten ustalił się za przednią szybą po drugim zakręcie:

kopiec miejscowych kamieni z kilkoma rzędami wysokich, grubych murów, z których jeden był lekko zrujnowany, a za nimi zwieńczone blankami dwu-, a miejscami trzy - i czteropiętrowe umocnienia z kolorową flagą wywieszoną na lekko przekrzywionym drzewcu znad frontowego sklepionego portalu.

Czerwień i czerń, kolory aijiego.

Furgonetka zatrzymała się przed wejściem, pod dachem o wywiniętych do góry krawędziach, a z otwartych drzwi wysypali się atevi aiji-wdowy. Jeden z nich otworzył drzwiczki furgonetki.

Pierwsza wyszła Jago. Za nią wysiadł Bren.

Jase nie wstawał z fotela. Blokowanie Banichiemu drogi do wyjścia nie było dobrym pomysłem. U Jase'a jednak to zachowanie nie było wywołane paniką. Jase był nachmurzony.

- Gdzie jest plaża? - zapytał.

- Nie martw się, jest - odparł Bren. - Wysiadaj, Jase.

Jase nie ruszył się z miejsca. Nawet nie rozpiął pasa. Siedział z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Po chwili machnął dłonią, wykonując szybki, podyktowany gniewem gest.

- Trawa. Skały. Wysokie skały. Obiecałeś mi plażę, nadi.

Nie dowierza mi, pomyślał Bren. Od przeciążenia do ostatecznego uświadomienia sobie, że znajdują się na wzgórzu.

- Jasi-ji - powiedział cierpliwie Bren - nie pozwalasz wysiąść Banichiemu. - Banichi mógł przestać być uprzejmy. - U stóp

315

wzgórza leży plaża, gdzie woda jest raczej stale, o czym może powiedzieć ci fizyka, i obiecuję ci wiele sposobności ujrzenia oceanu. Po prostu na dole nie buduje się takich dużych domów. Za dużo osób. Poza tym on jest stary. I należy do aijiego. Wszystko jest w najlepszym porządku, Jasi-ji. Proszę cię, wysiądź, zanim przestawi cię Banichi.

Wtedy Jase ostrożnie wysiadł z furgonetki i stanął w cieniu budynku; trzymał się samochodu i unikał pomocy służących.

Tkwił tam przez chwilę, a potem zobaczył drzwi i ruszył w ich kierunku.

Bren szedł obok niego, patrząc na otwarte, okute żelazem wrota, na majaczące przed nimi, a potem wokół nich, wnętrze.

Wiedział, że Malguri jest najstarszą wciąż funkcjonującą fortecą. Ta budowla wyglądała na zanedbaną i opuszczoną, jakby

niezupełnie była utrzymywana na tym samym poziomie co

Malguri. Jak Mogari-nai, podobno pochodziła z Wieku Odkryć i była młodsza od Malguri: wspierała fort w Mogari-nai, kiedy atevi zaczęli handel wzdłuż Południowego Obrzeża, wypłynęli na morze w drewnianych statkach, Wschód zetknął się z Zachodem, a rywalizujące ze sobą patronaty strzelały do siebie z armat.

Jednak dzięki temu, co teraz zobaczył, ujrzał w nowym świetle wszystko, co powiedziała mu Ilisidi, proponując to miejsce: że Saduri nie znajduje się na trasie zwykłych wycieczek i turyści mają tu wstęp wzbroniony - powiedziała, że to zaleta, biorąc pod uwagę warunki bezpieczeństwa, której nie miało Malguri.

Ta forteca mogła nie dorównywać wiekiem Malguri, ale Bren nie postawiłby na jej kanalizację. Flaga na dachu też coś mówiła o funkcjonowaniu fortecy. Nie ma stałego uchwytu na drzewce.

Żadnej stałej podpory na coś takiego - wyobraził sobie, jak jeden z „młodych mężczyzn” wdowy wspina się, żeby zawiesić flagę, powodowany lekkomyślnym entuzjazmem i lojalnością względem Ilisidi.

Oraz dla samej przyjemności.

316

Hol w Malguri ożywiały interesujące flagi. Ten tutaj...

...ozdabiała jedna z belek sufitowych, która runęła na posadzkę w drugim jego końcu. Stało tam rusztowanie; jedynym światłem było to wpadające przez drzwi i wszystko wydawało się pokryte

brązowym kurzem.

Nawet Banichi i Jago zatrzymali się lekko zaniepokojeni.

No właśnie, gdzie ta plaża? - zapytał się w myślach Bren. W co ja nas wplątałem?

- Nadi Bren. - Z bocznego korytarza wyszedł jeden ze służących wdowy i powiedział ze zwykłym spokojem służących wdowy: - Nadiin. Ateva zaprowadzi was do waszych pokoi.

317

Rozdział 16

Długi boczny korytarz, wszędzie kurz - ale w kurzu na kamiennej posadzce były wyraźne świeże ślady stóp. Jak okruszki chleba na pustkowiu, pomyślał Bren, wchodząc z Jasem za ateva Ilisidi po krótkich schodach; idący za nimi Banichi na pewno musiał schylić głowę.

Jago została na dole, i to według Brena miało coś wspólnego z Tano, Alginim oraz bagażem znajdującym się w drugiej furgonetce.

Kamienne schody były stare i wydeptane przez atewskie stopy. Może nawet starsze od tradycji używania dział. Bren nie bardzo wiedział, jak trwałe są kamienne stopnie. Podłoga na piętrze była z kamienia, co - tego nauczył się w Malguri - oznaczało sklepienie beczkowe na parterze, jako że w owych czasach nie znano jeszcze stali zbrojeniowej.

W korytarzu na piętrze Bren nie dostrzegł okien ani żadnego

światła - oprócz tego, które dochodziło od lampy umieszczonej z boku schodów i które przenikało z otwartych drzwi na dole. U szczytu schodów było ciemniej, a w głębi korytarza panował mrok. Służący - jeśli nim był, bo wyglądał na bardzo sprawnego - otworzył drzwi i wpuścił ich do klitki, w której cienki strumyk dziennego światła wpadającego z pozbawionej szkła szczeliny okiennej pozwalał dostrzec zarysy łóżka i stołu. Od szczeliny ciągnęło chłodne wiosenne powietrze. Przepływało leniwie obok

318

nich, niewątpliwie szukając drzwi na dole.

Służący zapalił zapałkę; złocisty blask padł na atewską twarz, ręce i na świecę stojącą na surowym (lecz niedawno wytartym z kurzu) stole. Obok świecy stał wazonik z trzema kolczastymi kwiatkami, zapewne zebranych na wzgórzu. Knot zajął się i płomień oświetlił ścianę z surowego kamienia, niewielki pokoik skąpany w cieniach i nagie belki pomagające ścianom utrzymać niewątpliwie sfatygowany dach.

- Jest więcej świec - rzekł służący i wskazał wiklinowy koszyczek stojący na drugim końcu stołu. - I zapałki, nadiin.

Wdowa prosi, by nie zaproszyć ognia. - Mężczyzna podał

Brenowi pęk zapałek starannie związanych wstążką. - Ateva

żałuje, że w wewnętrznych korytarzach trwa remont i nie są one zbyt przyjemne. Zwykle tam są umieszczani goście, ale jest dużo koców. Wygodka znajduje się przy końcu korytarza i działa.

Pójdźcie, proszę, za mną.

Paidhi wyczuł w milczeniu Jase'a krańcowe niezadowolenie i postanowił nie rozjątrzać go pytaniem.

- A więc na korytarz - powiedział jak najradośniej. W drzwiach czekał Banichi i człowiek zastanawiał się, czy może chociaż on został ostrzeżony.

Możliwe, że Banichi pomyślał, iż Bren zachowuje się jak głupiec. Jednak łagodny wyraz twarzy atevy niczego nie zdradzał.

Tu mogło być wygodniej niż na dachu na o wiele cieplejszym Półwyspie. Mogło. Odrobinę.

A Bren wybrał to miejsce na wakacje.

Służący wziął z koszyka kilka świec i zapalił jedną z nich od świecy na stole, a następnie wyniósł ją na zewnątrz i zapalił kolejną, którą umieścił w ściennym lichtarzu. Bren i Jase obserwowali tę czynność z bardzo mieszanymi uczuciami.

- Nand' Banichi, twój pokój razem z nand' Jago - rzekł służący. Zapalił świecę i umieścił ją przy odpowiednich drzwiach,

319

rozjaśniając ciemność tego tunelu; poszli dalej. Następny był pokój Tano i Alginiego.

Chociaż po drugiej stronie korytarza znajdowały się drzwi, to o ile paidhi potrafił ocenić geometrię widzianego z zewnątrz budynku, nie było tam okien: pokoje, których im nie przydzielono, musiały przypominać kamienne trumny bez źródła światła, poza

świecami, a wentylacja była pewnie możliwa dzięki niedoskonałościom zaprawy czy Bóg jeden wie czemu. Bren przypuszczał, że skoro wyzwał Ilisidi, by postawiła wyzwanie Jase'owi, to mają szczęście, iż nie zostali umieszczeni po tamtej stronie korytarza.

A eufemistycznie nazwana wygodka? Służący otworzył drzwi pokoiku oświetlonego zimnym wiosennym światłem płynącym z dziury w kamiennej posadzce. Stos ręczników, czerpak i wiadro. Służący wyjaśnił Jase'owi, jak korzystać z wygodki. Bren rozumiał to doskonale. Nie był pewien, czy Jase zrozumiał, że to jest toaleta.

Ta w Malguri miała ogrzewanie. Tutaj nie. Tu były prądy wstępujące.

Malguri miało okna ze szkła, kominki w pałacowych apartamentach, ale bardzo starą kanalizację. Bren zaczął coraz lepiej rozumieć różnicę między Historyczną Siedzibą i Najstarszą Nieprzerwanie Zamieszkałą Siedzibą.

Jase nie odezwał się słowem. Był prawdopodobnie w szoku i szedł pokornie ze wszystkimi; służący prowadził ich z powrotem korytarzem oświetlonym świecami do ich pokoju - ich jednoosobowego pokoju.

Pokoju, w którym, o ile Bren pamiętał, było jedno pojedyncze i niezbyt szerokie łóżko.

Nie było grzecznie ze strony gościa narzekać na

zakwaterowanie. Tego się po prostu nie robiło. Człowiek zakładał, że gospodyni dokładnie wie, gdzie są umieszczani jej goście, więc

320

uśmiechał się i nic nie mówił.

Bren powiedział ufnie do Ilisidi podczas prywatnego spotkania w jej luksusowym gabinecie apartamentu, który utrzymywała w Bu-javid:

- Aiji-ma, Jase nie rozumie tego, co atewskie. Mnie uczyłaś ty.

A ja nie śmiem wyjechać ze stolicy aż do Malguri. Czy mógłbym cię poprosić, aiji-ma, żebyś w tym sezonie przedłużyła nieco swój pobyt w Taiben? Może mogłabyś pojechać nad morze i pokazać Jase-paidhiemu ziemię taką, jaką niegdyś była? Obiecałem mu, że zobaczy morze. Podjąłem się dotrzymania obietnicy, a twoja pomoc byłaby najlepsza z możliwych, aiji-ma.

Zapadło tak charakterystyczne milczenie.

- Co się stało z „Sidi-ji”? - zapytała wtedy Ilisidi z drgnieniem pomarszczonych warg i unosząc jedną brew, co znaczyło:

Dlaczego Bren nie posłużył się tym poufałym imieniem, na które poważał się już kilka razy w jej obecności?

- Uważam - odparł, wiedząc, że uprawia szermierkę z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem w bardzo niespokojnym okresie na dworze aijiego - uważam, że tak bezczelnie prosząc o twój czas, powinienem zwracać się do ciebie z szacunkiem, nand' wdowo.

Wtedy Ilisidi odpowiedziała po udawanym namyśle, z jednym szczupłym palcem pod wciąż mocno zarysowanym, choć pomarszczonym podbródkiem:

- Myślę... myślę, że jeśli potrzebne ci jest morze, nadi, to chyba powinniśmy nad nie pojechać. Może do Saduri?

Nie sądził, że jest to miejsce otwarte dla publiczności.

Podzielił się z Ilisidi tą głupią uwagą.

- Nie jesteśmy publicznością - odparła wdowa swym arystokratycznym tonem, który mógł poruszać góry.

A więc przyjechali. Kilku służących oraz Tano, Jago i Algini

321

pojawił się u szczytu schodów przy końcu korytarza z dość skromnym ładunkiem bagażu.

- Reszta bagaży zostanie umieszczona na dole - oznajmiła radośnie Jago.

Bren nie czuł radości. Tano wyglądał na oszołomionego, a

Bren nie śmiał spojrzeć na Jase'a, tylko nacisnął żelazną klamkę w ich drzwiach, żeby można było wnieść bagaże.

- Czy jest do tych drzwi klucz, nadi? - zapytał służącego.

- Nie, nand' paidhi. Ten pokój nie ma zamka. Ateva jednak zapewnia cię, że cała posiadłość jest bardzo pilnie strzeżona, więc można mieć całkowitą pewność.

Bren spodziewał się, że Banichi albo Jago powie coś

uszczypliwego na temat tej sytuacji. Zważywszy jednak na ich

milczenie, zastanawiał się, czy ich pokoje mają zamki.

Jeden ze służących wniósł do pokoju bagaże Jase'a i Brena.

Jago podała mu komputer, dla którego na pewno nie znajdzie się w tym budynku żadne gniazdko, ale którego Bren nigdy nie spuszczał z oka, szczególnie w miejscach zajmowanych przez wuja Tatischeigiego. Służący wyszedł. Bren i Jase weszli do środka, zamknęli drzwi i stanęli w powodzi białego światła padającego z okna i w złocistym blasku świecy, która z trzepotem płomienia uratowała się przed zgaśnięciem w przeciągu od zamykanych drzwi.

- Nadi - zaczął Jase z, jak pomyślał Bren, podziwu godnym opanowaniem - co oni robią? Dlaczego się tu znaleźliśmy?

- No cóż - powiedział Bren i spróbował przypomnieć sobie słowa znane Jase'owi.

- Ja... - znów zaczął Jase, tym razem we własnym języku.

Najwyraźniej walczył o odzyskanie tchu, prawdopodobnie znów wpadał w tę międzyjęzykową przepaść.

Bren powiedział ostro:

322

- Przepraszam?!

- Gdzie jest ocean, nadi?

- Najwyraźniej nie tutaj. Pozwól mi wyjaśnić.

- W moim języku! Proszę cię!

Mówił w ragi. Oznaczało to, że Jase przynajmniej kontroluje

swoje odruchy.

- A więc szybkie pięć minut w mospheiranie. Pamiętasz, co mówiłem o tym, jak bardzo niebezpieczny jest Tatiseigi? Aji-wdowa stanowi ośrodek dla każdego antytabinistycznego dysydenta w kraju. Ona ma autorytet, jakiego nie ma Tatiseigi.

Gdyby nie legislatura, która po śmierci jej męża głosowała przeciwko niej, mogłaby zostać aijim. Mogłaby zostać aijim, gdyby po śmierci jej syna legislatura nie zagłosowała na jej wnuka. Mogłaby objąć to stanowisko jutro, a kraj nie rozpadłby się na drobne kawałki, i jest jedyną osobą, która potrafiłaby uniknąć niewiarygodnej rzezi, ale jest także... - Człowiek nigdy nie był pewien, czy w pokoju nie ma pluskiew. I zawsze przemawiał do innych. - Jest także uczciwa i honorowa. We wszystkich swoich działaniach ma na uwadze dobro Patronatu.

Znacznie łatwiej byłoby jej wywołać przeciwko wnukowi wojnę domową. Nie zrobiła tego jednak, a ja żyję i mogę o tym zaświadczyć. Więc wysuwaj jak najmniej zastrzeżeń. I, na litość boską, nie rób tego w jej obecności. Poprosiłem ją, żeby ci pokazała, jak żyli atevi przed pojawieniem się ludzi!

- A więc to jest to. Ta rozpadająca się ruina.

- Posłuchaj mnie, Jase.

Jase mocno pchnął Brena, który chwycił go za kaftan, by zapobiec uderzeniu.

- Ależ ja cię słuchałem! - powiedział Jase, usiłując się

uwolnić, i znów pchnął Brena.

- Zachowujesz się głupio, absolutnie głupio! Stój spokojnie!

323

Jase szarpnął go za rękę i Bren puścił kaftan. Stali, patrząc na siebie; Jase dyszał, a Bren z trudem powstrzymywał się, by go nie uderzyć - miał ochotę przyłożyć komukolwiek.

- W porządku - powiedział Jase. - W porządku, zgodzę się na to. Będę grał według twoich zasad, będę grał w twoją grę, uśmiechajmy się.

- Pozwól sobie coś wyjaśnić, zanim znów zmienimy język.

Jeśli obrazisz tę kobietę, możesz wywołać wojnę. Jeśli obrazisz tę kobietę, możesz zginąć. Ja nie przesadzam. Mamy tu do czynienia z różnicami kulturowymi. Mamy do czynienia z osobami, które niczego nie zawdzięczają jakimukolwiek kodeksowi etyki tkwiącemu w naszej wspólnej przeszłości. Więc cokolwiek się zdarzy, niech pan panuje nad sobą, panie Graham. Niech pan panuje nad sobą. Bo inaczej zaproponuję naszemu personelowi, żeby napoił cię taką herbatą, od której przez trzy dni będzie ci nicowało wnętrzości, i wysłał z powrotem do apartamentu, zanim powiesz coś, co spowoduje śmierć kilku milionów istnień! Czy to jest jasne?!

- Sam nie masz odwagi?

- A ty rozumu, Graham? Jeśli cię uderzę, a mam na to wielką ochotę - Boże! naprawdę wielką - zobaczą sińce, a tego wolałbym

uniknąć ze względu na twoją reputację i przyszłość...

Jase zamachnął się. Bren nawet się nie zastanawiał - mocno uderzył Jase'a. Jase chwycił go za kaftan, Bren zablokował ramieniem atak, uderzył Grahama w żołądek i musiał sparować kolejny cios.

Razem padli na stół, szepieni ze sobą. Świeca się przewróciła, stracili równowagę i runęli na podłogę. Brenowi jakoś udało się klęknąć; był oślepiiony i wściekły, a do tego bił go idiota, którego Bren chciał zabić. Zanim udało mu się złapać Jase'a, ten chwycił jego i klęczeli tak na podłodze jak dwaj kompletni głupcy, a każdy trzymał w śmiertelnym uścisku kaftan, rękaw, rękę, ramię, czy cokolwiek należące do tego drugiego.

324

- Wstawaj - powiedział Bren. - Przewróciliśmy tę cholerną świecę. Chcesz spalić dom?

- Niech cię diabli!

Potrząsnął Jasem. Mężczyzna zaparł się. Trwali tak przez kilka ciężkich oddechów.

- Mają tu wejść i tak nas zastać? - zapytał Jase'a. - Wstawaj!

- Puszczaj.

- Nie ma mowy.

- Rozejm. Puszczaj.

Nie puścił. Zaczął się podnosić i Jase poszedł w jego ślady.

Wstali, wspierając się o siebie, wciąż trzymając się nawzajem, a

potem powoli, z nieufnością się rozdzielili.

Głupiec, powiedział sobie w duchu Bren. Nie był zaskoczony.

Nie był też zadowolony, ale zaufał zdrowemu rozsądkowi Jase'a

na tyle, żeby pozbierać świece - tę zgaszoną w lichtarzyku i

pozostałe, które wysypały się z przewróconego koszyka.

Wyjął zapałkę, zapalił świecę. Bili się tak, że jedynym śladem

awantury były zakurzone ubrania. Świeca oraz blade światło

padające od okna ukazało mu Jase'a z rozwianymi włosami,

pomiętym kołnierzem i ponurą miną. Bren domyślił się, że w tej

chwili mogłoby to być jego lustrzane odbicie.

- Musimy wieczorem iść na kolację.

- W tej ruinie?

- To jest Pomnik Historyczny, Jasi-ji, i jeśli wdowa oznajmi,

że to pałac na księżycu, proponuję, żebyś się uklonił, zgodził, że

jest piękny, i oznajmił, że jesteś zachwycony przyjazdem.

Zapadło długie milczenie.

- Tak jest, sir - powiedział uważnie Jase.

- Nie jestem żaden „sir”.

325

- A ja myślałem, że do tego wróciłeś. W tej sprawie albo jesteś

„sir”, albo nie, zdecyduj się!

- Przestań. To nie twój statek. Masz wykonać pewne zadanie,

a wcale tego nie robisz, prawie doprowadziłeś do podziału w

rzędzie, a ja przywiozłem cię tu, żeby załatać dziury - olbrzymie

dziury w twojej wiedzy o tym narodzie, jego obyczajach, języku, oraz w twojej wrażliwości na ogromny, nie opisany na żadnej mapie świat doświadczeń, na które jest pan ślepy, panie Graham. Proponuję, żebyś podziękował, doprowadził się do porządku i nie oczekiwał, że atevi wykonają zadanie, do którego się zgłosiłeś na ochotnika. Oni nie mają obowiązku rozumieć cię, są na swojej własnej planecie, cieszą się życiem bez twojej w nie ingerencji i proponuję, że jeśli będziesz się zwracał do atewskich oficjeli, którzy winni poświęcać cenny czas swojemu ludowi, rób to grzecznie, doceniaj ich wysiłek włożony w próbę zrozumienia cię, jeśli na taki wysiłek się zdecydują. Albo cię stąd wyproszę.

- Dziękuję - odparł zimno Jase.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

- Nie przeciągaj struny. Lepiej tego nie rób. Potrzebujesz mojej dobrej woli.

- Tak? Mógłby ci się przydarzyć jakiś wypadek. Przysłałiby mi kogoś innego.

Zapadła krótka, pełna zaskoczenia cisza.

- Ty jesteś atewskim oficjelem. Czy tak o sobie myślisz?

- Nie kwestionuj mojej pozycji. Jeśli chodzi o stosunki z atewi-
mi, to jestem dla ciebie „sir” i masz robić, co ci się mówi. Te
twoje zasady. Teraz przyszła pora, żebyś jak nigdy w życiu
stosował się do nich, a ty chcesz robić wszystko po swojemu! Czy
muszę ci narysować diagram? Skąd nabrałeś przekonania, że

wiesz, co się tu, do diabła, dzieje? A może przeoczyłem jakieś

objawienie od Boga?

326

Tym razem zapadło długie, bardzo długie milczenie. Jase nie patrzył mu w oczy. Wpatrywał się w podłogę albo kurz na swoim ubraniu, który strzepnął, światło padające z okna, wszystko, byle nie w Brena.

- Chyba powinniśmy wrócić do Shejidan - powiedział Jase, patrząc w okno. - Nic z tego nie będzie.

- W tej chwili powrót nie byłby najzręczniejszy. Prosiłeś o to i dostałeś, co chciałeś, więc bądź wdzięczny.

- Akurat! Okłamałeś mnie.

- Co do czego?

Cisza. Przedłużająca się cisza, podczas gdy Jase patrzył tępo przed siebie i walczył o spokój.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi.

- Nadi? - zapytał Bren, żałując, że nie stało się to wcześniej, zapobiegając incydentowi. Nie powinien był uderzyć Jase'a. To w niczym nie pomogło. Ten człowiek stracił ojca. I bez tego był rozdrażniony. Wybrał tę szczególną porę do ataku na język, prawdopodobnie z powodu śmierci ojca; teraz nie wiedział, gdzie się znajduje: chwilowo nie był w stanie wyrażać się racjonalnie.

Drzwi się otworzyły.

- Jest jakaś trudność, nadi? - zapytał Banichi. Banichi, który

został umieszczony w sąsiednim pokoju; jeśli istniał ktoś poza szefem ochrony Ilisidi, Cenedim, kto mógł usłyszeć całe zajście, to Bren mógłby się założyć, że Banichi ma w swoim bagażu odpowiedni sprzęt i na pewno by go użył.

- Nie - odpowiedział. - Dziękuję, Banichi-ji. Czy wszyscy dostali pokoje? Jakie mamy plany?

- Lekka kolacja o zachodzie słońca. Wczesny wyjazd o wschodzie.

- Będziemy gotowi. Dziękuję, Banichi-ji.

327

- Nadi. - Drzwi się zamknęły.

- Słyszał nas - stwierdził cicho Bren.

- Sądziłem, że to ty im rozkazujesz - powiedział Jase zgryźliwym tonem.

- Nie. Nie przyjmują rozkazów ode mnie. To jedna z wielu rzeczy, których nie wiesz, prawda?

Kolejna chwila ciszy.

- Musisz to wiedzieć, Jase. Lepiej się naucz. Próbuję ci pomóc, do cholery.

- Przepraszam - powiedział Jase. - Ja tylko...

Jase nie skończył. Bren też nie. Czekał.

- Przepraszam - powtórzył Jase w rągi. - Nadi, byłem przewrócony.

- Zdenerwowany - powiedział odruchowo Bren i przygryzł

wargę. - Przewrócony też, nie bez powodu. Jasi-ji. Ja o tym wiem.

Czy możemy odzyskać zdrowy rozsądek?

- Nadi - odparł Jase - chciałbym zobaczyć ocean. Czy będzie to możliwe?

- Nadi, masz duży tupet, żeby tak ciągle mnie pytać. Gdybym był ateva, obraziłbym się. Naucz się tego.

Chwila wahania. Głęboki wdech.

- Nadi, przyjmuję twoją informację, ale ty nie jesteś ateva, a ja bardzo chciałbym wiedzieć i nie być zaskakiwanym.

- Spróbuję się dowiedzieć - rzekł Bren. - Są rzeczy, których nie rozumiem. - Niechętnie to mówił, ale w podświadomości bardzo cicho dzwięczały mu dzwonki alarmowe. - Zachowaj trochę ostrożności. To znacznie przekracza moje oczekiwania co do warunków. Być może jesteśmy w niebezpieczeństwie, nadi.

Człowiek zastanawia się, czy tak naprawdę zostawiliśmy za sobą

328

wydarzenia rozgrywające się w mieście.

- Czy to część lekcji?

Warstwy nawarstwione na warstwach, pomyślał Bren.

- Nie - odparł.

- Czy mnie teraz okłamujesz?

- Nie. Ale gdybym kłamał, oczywiście powiedziałbym, że nie kłamię. Ale nie kłamię. Oddałem nas w ręce babki Tabiniego i nie wiem, jaka jest prawda. Aiji sądził, że będziemy tu bezpieczni. Ja

jestem jednak nieco zaniepokojony warunkami. Nie potrafię powiedzieć, skąd się bierze ten niepokój. Po prostu spodziewałem się nieco więcej wygód, trochę więcej dowodów na to, że ktoś miał pojęcie o tutejszych warunkach, zanim aiji-wdowa sprowadziła tu gości. - Nie był pewien, czy Jase nadaża. Teraz jednak, kiedy nie skupiał się już na możliwości wybuchu Jase'a, w zakamarkach mózgu coś mu tykało. To uczucie niepokoju świadczyło, że wdowa martwi się o bezpieczeństwo, i to nie bez przyczyny, podobnie jak oni. I podobnie jak personel Mogari-nai, leżącego w pewnej odległości na równinie, które jak można było podejrzewać, było bardzo newralgicznym miejscem; a tu nie zauważali poziomu bezpieczeństwa, jakiego spodziewał się Bren.

- Możesz zapytać Banichiego?

- W ramach jego man'chi, tak.

- „Tak” z zastrzeżeniem.

- Zawsze. Zawsze z zastrzeżeniem. - Taką właśnie prawdę podawał Jase'owi, a ta odpowiedź uderzała głęboko w to, co było ludzkie i atewskie. Bren rozumiał priorytety Banichiego i nie obrażał się na nie. Nie był w nastroju do wyjaśnień. Nie był teraz w nastroju, by wątpić we własną ochronę.

Tylko w ochronę wdowy.

Niewesoła myśl.

329

- Możesz ich zapytać o plany? - nie ustępował Jase.

- Właśnie nam powiedziano, jaki mamy plan.

- Plan na jutro.

Odwrócił się i utkwiał w Grahamie ponure spojrzenie.

- Powiem ci podstawową prawdę o atevich, nadi. Gdyby nie istniała prawdziwa potrzeba dowiedzenia się tego, to owszem, mógłbyś pójść, ty albo ja, i zapytać kogokolwiek z naszego otoczenia. Ponieważ jednak istnieje tu kwestia dobrej woli i ponieważ chcesz poznać te plany, nie byłoby rozsądnie pytać.

Nigdy nie każ swoim gospodarzom kłamać, Jasi-ji. Kiedy raz się to zacznie, nie będziesz wiedział, w co wierzyć.

- Oni nie kłamią? - Jase najwyraźniej nie był przekonany.

- Chyba jeszcze nie. To nieprawdopodobne. Nie widziałem jednak Cenediego. Nie widziałem wdowy. Widziałem tylko jednego służącego i naszą własną ochronę.

- I co ci to mówi?

- Nadi, odpowiadając na twoje zbyt obcesowe pytanie, mówi mi to, że albo atevi są zajęci, ponieważ przyjechaliśmy tu dość niespodziewanie, i najwyraźniej musieli sprowadzić na to wzgórze nawet żywność, żeby mieć wszystko pod ręką, albo coś się dzieje i atevi są zbyt uprzejmi, by dać nam sposobność zapytania.

- To znaczy...?

- Znów jesteś zbyt obcesowy, nadi. - Bren był zdecydowany naciskać w beznamiętnie formalny, a nawet uprzejmy atewski sposób, by przekonać się, czy Jase potrafi utrzymać nerwy na

wodzy. - W odpowiedzi jednak na twoje pytanie oraz w nadziei, że następne będzie bardziej powściągliwe, powiem, że mogą nas raczej unikać, by nie znaleźć się w sytuacji, w której będą musieli nas okłamywać albo być dla nas uprzejmi. - Zmienił język. - Nowe słowo dla ciebie: „naigoch’imi”. Oznacza udawaną dobrą wolę.

330

- „Naigoch’imi”. Czy to z tym mamy do czynienia?
- My? Teraz jest „my”? Przed chwilą chciałeś mnie zabić.
- Chciałem prawdy, do cholery! I wciąż nie wiem, czy obejmuje ona i ciebie.
- Czy w taki sposób zdobywa się prawdę na statku? Pięściami?

Milczenie. Kilka płytkich oddechów.

- Nie będę przeproszał, Bren.
- Świetnie. - Zmiana na język statku. - Przyjaźń by nie zaszkodziła. Od początku przyjaźń by nie zaszkodziła.

Teraz to Jase chciał rozmawiać. Bren miał dosyć rozmowy z bratem. I nie był w sentymentalnym nastroju - do cholery! - wyłączył tę funkcję w stosunkach z Jasem na samym początku.

- Szczerze mówiąc - powiedział z chłodem, który jego samego zdumiał - chyba nigdy nie zaproponowałeś mi czegoś takiego. Na pewno nie po naszej pierwszej rozmowie przez radio, zanim jeszcze tu przybyłeś. Byłeś bystry, zainteresowany, sympatyczny.

Jednak od czasu lądowania...

- Próbowałem!

- A ja mam zadanie do wykonania, co oznacza wbijanie ci do głowy słów, czy nam się to podoba, czy nie - nie, nie zawsze jestem miły. Nie mogę! To ty byłeś nauczycielem - ja nim nie jestem. Robię więc, co mogę, nawet w przerwach, kiedy miałeś luksus złości się na mnie!

- Przecież się uczę.

- Starasz się. To dobrze. Wpadasz też jednak w złość. Ja natomiast nie miałem tego luksusu, bez względu na to, co mówiłeś czy robiłeś. Ale się z tym pogodziłem. Przyjmowałem wszystko, co chciałeś mi przekazać, bo potrafię się tu poruszać, biegle znam język i jestem przyzwyczajony do bycia dyplomatą w drażliwych sytuacjach. Ale przyjaźń? O, nie. Przyjaciel wyszedłby mi

331

naprzeciw. Przyjaciel wykazałby trochę zrozumienia, że uczę cię w czasie, kiedy - pomińmy już wolny czas - kiedy zwykle śpiam, nadi. Przyjaźń nie była jednym z wymagań, nie prosiłem o nią i z całą pewnością jej nie otrzymałem!

- Nie dajesz mi szansy.

- To był twój wybór. Od chwili lądowania. Nie byłeś zadowolony ze mnie ani z nikogo innego. Nie tałeś tego. Nigdy mi nie ufałeś. Dlaczego teraz o tym rozmawiamy? Czego ty ode mnie chcesz?

- Spodziewałem się... - Jase przerwał, szukając słów albo tylko

zaczerpując niepewnie tchu. - Od chwili lądowania wcale nie było tak, jak obiecywałeś!

(Hanks wrzeszcząca: „Nie ufajcie im!”). Cała równina w ogniu. Atevi uzbrojeni po zęby i wyraźne oznaki konfliktu zbrojnego).

- Przyznaje, że miałeś pewne powody tak sądzić.

- Tutaj też nie jest tak, jak mówiłeś! - Jase machnął ręką, ogarniając tym gestem siebie, kamienie, sytuację. - Za każdym razem, kiedy ci wierzę! Za każdym razem, kiedy ci wierzę, Bren, coś wypala mi prosto w twarz! To ty utrzymujesz pokój między swoimi rodakami i atevimi - ale twoi rodacy nie rozmawiają z tobą, może zauważyłeś?

- Kiedyś zaufałem ci na tyle, żeby zejść na tę planetę - powiedział powściągliwie Bren - i jeszcze jeden raz, żeby przyjechać tutaj. Oprócz tego nigdy nie prosiłem cię...

- O, za każdym razem, kiedy biorę oddech, słyszę: „uwierz mi”, „zaufaj mi”, „wiem, co robię”! Zaufałem ci z tym cholernym przyjęciem. Zaufałem z tym wywiadem. Gdzie, do diabła, jest ocean?!

- Będziesz musiał zaufać mi jeszcze raz.

- Zaufałem ci na tyle, żeby przylecieć tu do was na dół! Wiesz, ile mieliśmy spadochronów, Bren? Zauważyłeś, ile? Pierwszy

332

zawiódł, Bren!

Jase'owi zabrakło tchu. Wydawało się, że czeka na jakąś

odpowieź. Bren zobaczył utkwiony w sobie wzrok Jase'a -

wzrok, który nie mógł skupić się na niczym w chaosie drogi do fortecy.

- Wiem - odparł. - Widziałem to. Cieszę się, że wam się udało.

Osobiście się cieszę, że wam się udało. Jeśli trzeba o tym mówić.

- Osobiście się cieszysz.

- Nie chciałbym, żebyście zginęli.

- Jak miło z twojej strony.

- Co mam zrobić? Powiedz. Co cię zadowoli?

- Wyraz twarzy. Przywołaj na twarz jakiś wyraz. Chociaż raz powiedz mi prawdę.

Ta uwaga o braku wyrazu twarzy ubodła Brena: to pewnie prawda. Wyjaśniała też jednak źródło zastrzeżeń.

- Staram się - powiedział z wymuszoną cierpliwością -

nauczyć cię języka oraz radzenia sobie ze światem. A ty nie

zwracasz uwagi na moje lekcje. Twoje upieranie się przy

pytaniach, które wyraźnie ignoruję, jest w atewskich oczach

niegrzeczne, a właśnie z powodu takich nieporozumień z atevimi

rozpoczęliśmy wojnę, w której zginęło bardzo wiele osób. Czy to

rozumiesz?

- A więc wylecz mnie z nieporozumień. Dlaczego, do diabła,

znaleźliśmy się na tym wzgórzu, w tym miejscu?

- Dla rozrywki. Będziemy ją mieli. Odpręż się.

- I do czego doszliśmy? Do „zaufaj mi”? „Zaufaj mi” jeszcze

raz?

- Tak!

- Boże. - Jase przeciągnął dłonią po włosach i podszedł do

333

okna. Kiedy tak stał, wyglądając na zewnątrz, ostre światło dnia zalewało jego postać bielą. Nagle wyprostował się, jakby zobaczył diabła. - Tam są mecheiti!

Wierzchowce atevich. Jase doświadczył jazdy na nich podczas pierwszej godziny bytności na planecie.

- Co robią, nadi? - zapytał Bren.

- Jedzą trawę. W obrębie murów.

- To dobrze. Należą do wdowy.

- Po co jej one?

- Może po to, by pojechać nad morze.

- Ja nie jadę!

- Chyba zrobisz, co ci każe - powiedział spokojnie Bren. - Bez względu na to, co to będzie. Ona stoi w hierarchii o wiele wyżej ode mnie. A to jest, w każdym istotnym sensie, jej ziemia.

- Bren... - Jase odwrócił się, zmieniając w cień na tle białego światła wpadającego przez okno. Zapadła krótka cisza. - W porządku. W porządku. Cokolwiek powiesz.

- Mamy tu się dobrze bawić. Uczyni ten wysiłek. I otrząśnij się.

Jeśli musisz, zażalenia kieruj do mnie, na osobności. Nie obraż wdowy. To nie jest lekcja. To nie jest niedomówienie. To w

żadnym wypadku nie jest gra.

Milczenie cienia zasłaniającego światło przedłużało się.

- Wcale tego tak nie traktuję, nadi - odezwał się w końcu

zimno Jase.

Zachodziło słońce. Na szczycie wzgórza czuło się wieczorny

chłód. Kominek jednak działał, długi stół był nakryty białym

obrusem, a na ławach leżały złożone koce, by nie pozadzierać

ubrań o drzazgi. W blasku świec i ognia stały kryształ, leżało

srebro, wisiała flaga aijiego - czerwien i czern - oraz flaga Malguri

- czerwien i zielen; na gości czekała porządna, a nawet wspaniała

334

kolacja. Ilisidi siedziała u szczytu stołu; Banichi, Jago i Cenedi

także usiedli do stołu, co stanowiło przywilej ich rangi; Tano i

Algini też siedzieli, ale, jak powiedział Banichi, nawet tutaj byli

na służbie; Bren i Jase zajęli miejsca z obu stron stołu.

Nikt nie siedział naprzeciwko Ilisidi, ale oprócz samego

aijiego nikt w Patronacie nie dorównywał jej rangą.

Podano pasztet, a potem danie jarskie - zniknęły olbrzymie jego

porcje, w czym pomagał Bren, a i Jase najwyraźniej odkrył coś

smacznego; było zupełnie niepojęte, gdzie Ilisidi mieściła to, co

zjadła; zupełnie nie było tego widać po jej szczupłej i jak na atewę

drobnej sylwetce.

Bren uznał, że wszystko zmienia się u niej w czystą energię.

Przez pewien czas nie rozmawiano, tylko zajmowano się

jedzeniem, a potem pojawiło się główne danie odpowiednie do

pory roku, czyli ryba i wspaniałe, cierpki sos jagodowy.

- I jak? - odezwała się Ilisidi - Pogodziliście się?

Tej kobiecie nic nie umykało.

- Jason-paidhi?

- Nand' wdowo, mam mówić jedynie w języku dzieci. Z góry przepraszam za moją nieudolność.

- Och, zaryzykuję. Niełatwo mnie zaszokować.

Boże, pomyślał Bren.

- Nand' wdowo - powiedział - Jason-paidhiemu ogromnie brak słownictwa.

- Jak usłyszał cały naród. - Ilisidi zastukała w swoją szklanę, którą służący natychmiast napełnił. - Woda. Czysta woda źródłana. Całkowicie bezpieczna. Wiesz co, Jase-paidhi, mogłabym się założyć, że nie opanujesz tak szybko języka.

Yolanda-paidhi na wyspie oczywiście nie musi się go uczyć.

- Nie, nand' wdowo.

335

- I przekazuje cenne tajemnice szybciej?

Pułapka, pomyślał Bren i już otworzył usta, ale nie odważył się nic powiedzieć.

- Za twoim pozwoleniem, chyba nie, nand' wdowo. I wyspa, i Bren-paidhi otrzymują takie same wykresy techniczne.

- Ateva słyszała też smutną wiadomość. Ateva ubolewa nad

twoją stratą, Jason-paidhi.

Jase skłonił głowę.

- Dziękuję ci za dobrą wolę, nand' wdowo.

- A jak się ma nand' Yolanda? Czy dobrze się czuje? Nie

otrzymuję absolutnie żadnych wiadomości od mojego niegodnego

wnuka.

- Sądzę, że ma się dobrze, nand' wdowo.

- Sądziysz, że ma się dobrze.

Jase spojrział na Brena z niepokojem, prawdopodobnie niezbyt

pewien, czy wszystko zrozumiał albo czy użył właściwego słowa.

Użył właściwego słowa.

- On nie rozumie, nand' wdowo - rzekł Bren. Nie dodał,

myśląc o tych nielegalnych transmisjach radiowych: „Ja też nie”.

- No cóż. Jak ci smakuje ryba, Jason-paidhi?

- Ryba jest bardzo smaczna, nand' wdowo.

- Świetnie. Jaki on niewinny. Jak to jest na statku, Jase-paidhi?

Powiedz mi. Zaspokój ciekawość starej kobiety.

- To... bardzo przypomina przebywanie w domu.

- A zatem jest nudne. Zawsze mówię, że wolę otwarte

przestrzenie. Podoba ci się tutaj?

- Mam nadzieję wrócić na statek. Kiedy polecą rakieta, nand'

wdowo.

336

- A kiedy to będzie?

- Powiedziałbym, że prędzej niż później, aiji-ma - wtrącił się

Bren, bardzo chcąc odwieść Ilisidi od tych podchodów i

provokowania reakcji jedną cholerną szpilą po drugiej.

Zdecydowanie była złośliwa i delektowała się każdą sekundą.

- Kolejna cholerna rycząca maszyna, która będzie

zanieczyszczać pola - powiedziała Ilisidi i odgryzła kęs ryby. -

Można by zbudować statek, żeby zanurzyć się w morzu i oglądać

tamtejsze cuda. Czy pomyślałeś kiedyś o tym, nand' paidhi?

- To dałoby się zrobić - odparł Bren, łamiąc wszelkie zasady.

- Mógłbyś mnie przekonać, żebym wsiadła na taki statek. Co

do statku kosmicznego jestem mniej pewna. Co o tym myślisz,

nand' Jase?

- O czym, nand' wdowo? Nie jestem pewien, czy dobrze

rozumiem.

- Czy sądzisz, że jestem za stara, by polecieć tym waszym

statkiem?

- Nie, nand' wdowo. Jeździsz na mecheitach. Jestem pewien,

że mogłabyś polecieć.

- Mądry chłopak. Pochlebstwo to istota polityki. Ateva

zastanawiała się, czy ludzie ze statku są tak mądrzy jak

Mospheiranie. Prawdopodobnie tak.

- Mogą się nauczyć - powiedział Bren, zanim Jase zdążył

znaleźć odpowiednie słowa. - Czy sama nie powiedziałaś, że on

jest bystry, aiji-ma?

- O, nie tak bystry, jak ty, nand' paidhi.

- Człowiek się stara, aiji-ma. - Był to pojedynek od początku do końca. - Co więc dla nas przygotowałaś?

- Orzeźwiająca przejażdżkę, małą wycieczkę. Jeszcze ryby, nand' paidhi? Jutro zapewnię ci prostsze dania.

337

Bren przypomniał sobie orzeźwiające przejażdżki Ilisidi; miał nadzieję, że Jase nie skręci karku. Dołożył sobie ryby, traktując słowa wdowy jako ostrzeżenie.

Jase na szczęście nic nie powiedział, ale sprawiał wrażenie, że stracił apetyt.

- No, no - zaczęła Ilisidi.

Nagle Banichi, Cenedi i Jago jednocześnie poderwali się z ław, a Tano i Algini stanęli z bronią w ręku. Podobnie jak dwóch spośród służących. Coś piszczało.

- Alarm graniczny - rzekł Cenedi z lekkim ukłonem w kierunku Ilisidi i zaczął wydawać rozkazy osobom nieobecny w pokoju.

- Bzdura - rzekła Ilisidi i powoli wstała z fotela. - Co za utrapienie!

Gdzieś w oddali huknął strzał.

A Cenedi powiedział, po konsultacji przez kieszonkowy komunikator:

- Jedna osoba. Mają go.

- Mężczyzna, powiadasz?

O Boże, pomyślał Bren z zamierającym sercem.

- Nie zabili go, prawda? - spytał i wstrzymał oddech, dopóki

Banichi nie zapytał i nie otrzymał odpowiedzi.

- Nie. Rzucił się na ziemię i poddał. Zupełnie rozsądnie, nadi.

Bren usiadł i napił się.

Jak przypominał sobie z mapy, wyspa Dur leżała u północnego

brzegu urwistego cypla - człowiek mógłby pomyśleć, że to

wystarczająca bariera dla rozsądnych osób.

A mając do czynienia ze skandalicznym uporem w kulturze, w

której młodzieniec wiedział, że ryzykuje życie, Bren doznał

338

niemiłego uczucia, że upór ten, zestawiony z drobnym incydentem

lotniczym, nie ma już sensu.

339

Rozdział 17

Banichi powiedział przy deserze, że młodzieniec jest

przesłuchiwany i że wkrótce będą mieli sprawozdanie. Jase

wyglądał na bardzo zmartwionego i skoncentrował się na ciastku z

kremem i lukrem o miętopodobnym smaku.

Ciastka zniknęły z atewskich talerzy po dwie, trzy sztuki; Bren

szturchnął swoje, od czasu do czasu zerkając na Jago, która ani razu

nie odwzajemniła mu spojrzenia. Ilisidi nie powiedziała nic

więcej; Cenedi nie chciał nic mówić. Banichi poprzestał na tej

jednej informacji.

- Chłopak jest głupcem - rzekła zniechęcona Ilisidi i dodała: -

Wiesz, pan Geigi zaprosił nas na ryby. Zaproponował, że wypłynie nam na spotkanie i weźmie nas na pokład z południowego brzegu przy lotnisku. Możliwe jednak, że przez ten incydent będziemy musieli skierować się na północ.

Na te słowa Jase podniósł wzrok, a Bren poczuł ciężar w żołądku. Nic w tej chwili nie było przypadkowe, ani uwaga Ilisidi, ani wtargnięcie chłopca na teren rządowego rezerwatu, ani wzmianka o panu Geigim, a Bren doskonale pamiętał o transmisjach radiowych mających miejsce na północy, to znaczy w rejonie leżącym na północ od wyspy Dur.

Znajdował się on w zasięgu Mogari-nai i stacji naziemnej, a także miasta Saduri. Oraz fortecy, w której spędzali wakacje z

340

raczej niewidoczną ochroną, rusztowaniami i nadmiarem kurzu w ciemnych kątach.

Deana Hanks i jej cholerne radiowe gadki.

A jej związki z Direiso i ambicjami atevy, by wystąpić przeciwko Tabiniemu?

Z Direiso i jej parawanem, Saigimim, który dzięki Tabiniemu już nie żył?

Z Direiso, która chciała zostać aijim w Shejidan i która sąsiadowała z Taiben?

Taiben było nie tylko ulubionym azylem Tabiniego i jego posiadłością rodową, ale i zimową siedzibą jego wiekowej i urodzonej na wschodzie babki, która sama o mały włos dwa razy nie została aijim. Legislatura jednak orzekła, że objęcie przez nią władzy oznaczałoby krwawy odwet za dawne krzywdy.

Ilisidi, ich gospodyni, która właśnie pochłaniała trzecie ciastko z kremem.

Sytuacja była tak najeżona problemami, że najlepiej było się do niej zabierać ze szczypcami w ręku.

- No dobrze - odezwał się Jase, wkraczając na teren, po którym i aniołowie, i głupcy bali się stąpać. - Nand' wdowo, ale pojedziemy na ryby?

Pojedziemy na ryby, pomyślał z niedowierzaniem Bren.

Pojedziemy na ryby? Ochrona przesłuchuje jakiegoś młodzieńca za wtargnięcie na strzeżony teren, tylko trochę mniej zapalny od tego, który otaczał samego Tabiniego; Ilisidi mówi o przyłączeniu się do nich pana Geigiego, Deana Hanks rozmawia przez radio z dwoma atevimi, którzy prawdopodobnie są agentami Direiso, a Jase pyta, czy pojedą na ryby?

Jego współlokator nie był jednak ani jasnowidzem, ani nie orientował się w sytuacji, a ostatnie usłyszane przez niego zdanie dotyczyło pana Geigiego i łodzi.

341

Ilisidi nawet nie mrugnęła okiem, patrząc w kierunku Jase'a, i

rzekła:

- Może.

O Boże, pomyślał Bren, czując, że rozmowa idzie na dno.

Usiłował skontaktować się wzrokiem z Jago czy Banichim, ale napotkał tylko spojrzenie Cenediego, równie nieprzeniknione, jak wzrok Ilsidi. Bren spojrzał w drugą stronę, na Alginiego, Tano i grupkę „młodych mężczyzn wdowy” jak ich nazywała - wszyscy należeli do Gildii, wszyscy byli niebezpieczni i niewątpliwie lepiej poinformowani od niego.

- Chciałbym popłynąć do zatoki Onondisi, nand' wdowo -

powiedział Jase. - Dużo słyszałem o tej wyspie. Widziałem ją z powietrza.

Ilsidi poruszyła brwią, co - gdyby członkowie Gildii mieli takie polecenie - mogło skazać człowieka na śmierć, i uśmiechnęła się do Jase'a.

- Powiadam, że być może wybierzemy się na północ, nadi.

Bren upuścił swój nóż na kamienną posadzkę, co wywołało ruch wśród służących, żeby go podnieść.

- Zachowałem się głupio - rzekł Bren, nisko pochylając głowę, i bez słowa pozwolił na wymianę noża na czysty. - Może to ten napój, nand' wdowo? Proponuję, żeby mój towarzysz udał się do łóżka.

- Jutro wyjeżdżamy wcześniej - powiedziała Ilsidi. - Ach, ta młodzież. Cenedi-ji, czy my kiedykolwiek męczyliśmy się tak

szybko?

- Chyba nie, aiji-ma - odparł cicho Cenedi.

- To współczesne zdawanie się na maszyny. - Ilisidi machnęła ręką. - Idź, idź! Nikt nie powinien wstawać od stołu przed skończeniem posiłku, ale połóż się spać o właściwej porze, bo zapewniam cię, że inaczej jutro za to zapłacisz!

342

Jase przynajmniej zrozumiał, że został odprawiony, i wyplątał się spomiędzy stołu i ławy, zwolnionej przez Tano i Alginiego.

Bren też wstał, uwolniony przez dwóch ochroniarzy Ilisidi.

Siedzący na dwóch pozostałych ławach także się podnieśli, nie oddając szacunku odchodzącym paidhiin.

- Idźcie, idźcie - skwitowała Ilisidi ich ukłony i znów machnęła ręką. - Rano bądźcie przy frontowych schodach.

- Nand' wdowo - rzekł Jase z kolejnym ukłonem i na tym poprzestał. Bren przemierzył z nim salę, wszedł po schodach, a potem do ich pokoju, w oświetlony świecą mrok i chłód nie ogrzanego wnętrza.

Jase odwrócił się. Bren zamknął drzwi.

Jase powiedział po ludzku:

- Mam ci zaufać, tak?

- Co się z tobą dzieje? Próbowaleś wszystko zawalić czy był to po prostu twój szczęśliwy wieczór?

Jase przynajmniej się zamknął, czy to w przyływie złego

humoru, czy uświadomiwszy sobie, że sytuacja może być bardziej skomplikowana, niż sądził.

- Wyrządź mi wielką przysługę, jeśli łaska, nadi. Połóż się.

- Wracasz?

- Zapewniam cię. Zajmij sobie tę stronę łóżka, która ci pasuje, nadi, a ja z przyjemnością zajmę drugą.

- Dokąd idziesz?

- Spróbować załatać dziury w dobrym wrażeniu wdowy o tobie i dowiedzieć się, co tu robi ten chłopak z Dur, ryzykując własne życie.

Być może Brena zwiódł blask świecy, ale Jase trochę się zastanowił nad tym ostatnim i chyba podjął roztropną decyzję, żeby nie zadawać pytania, które miał na końcu języka.

343

- A powiedzą ci to? - zapytał.

- Powiedzieliby tobie, gdybyś nie postawił wieczoru na głowie. Nie zadaje się pytań wdowie i nie kwestionuje jej ustaleń!

Co się z tobą, u diabła, dzieje, Jase? To ja, twój towarzysz! Osoba, która tak samo jak ty chce zobaczyć start tego statku! O co my się kłócimy?

Bren spodziewał się wybuchu przynajmniej takich samych rozmiarów jak u niego.

- Nadi - zaczął Jase w ragi - co mam zrobić, żebyś stanął po mojej stronie, nadi?

- Przecież ja jestem po twojej stronie! - ściszył głos Bren, przysunął się do Jase'a i chwycił go za kłapy, by przybliżyć wargi do jego ucha. - Pluskwa - szepnął, a Jase zeszywniał w jego uścisku i zamilkł.

- Zostań tu - powiedział głośno Bren i puścił Jase'a.

Opuścił pokój.

Zszedł na dół, do prowizorycznej sali bankietowej, gdzie niewiele się zmieniło, poza tym że większość ochroniarzy stała, a służący sprząтали; Ilisidi siedziała z laską w rękach, a jej fotel był ustawiony pod kątem czterdziestu pięciu stopni do stołu.

- Dobrze - powiedziała Ilisidi. Bren spełnił jej oczekiwania.

- Tano-ji - rzekł, nie zwalniając kroku, chociaż wydawanie poleceń Tano lub komukolwiek innemu w sali Ilisidi było aktem zuchwałości - miej, proszę, oko na Jase'a.

- Tak - odparł Tano, a Bren podszedł do Ilisidi.

- Wdowo-ji, przede wszystkim wybaczyć mojemu towarzyszowi jego brak zrozumienia - poprosił.

Skinęła głową w przyjaznym milczeniu.

- A także mój. Czy mogę jednak zapytać cię o coś w zaufaniu, nand' wdowo?

344

- Co chciałbyś wiedzieć, nand' paidhi?

- Dlaczego chłopiec się tu pojawił, aiji-ma?

Ilisidi wsparła okucie laski o nieregularne kamienie posadzki,

a następnie się pochyliła.

- Dobrze pytanie. Cenedi-ji, dlaczego chłopiec się tu pojawił?

- Jest młody, zapalczywy, brakuje mu jakiegokolwiek finezji, i uważa, że sam jeden posiada ważną informację o zagrożeniu dla światowego pokoju.

Wtedy Bren domyślił się, czego mogła dotyczyć ta informacja: mieszkańca wyspy, przebywającego w pobliżu tych nielegalnych transmisji.

- A zatem ma dobre intencje.

- Ateva tak sądzi.

- Nadiin - odezwał się cicho Algini, który zazwyczaj zauważał drobne szczegóły - chłopiec wiele razy usiłował dotrzeć do paidhiego - albo aijiego. Nie sprawia wrażenia, że jest zbyt drobiazgowy.

- No, no - powiedziała Ilisidi. - Przyjrzyjmy się mu. Nand' paidhi, chcesz usłyszeć, o co tu chodzi, czy nie?

- Z chęcią posłucham, aiji-ma - mruknął Bren.

Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach. Miał w polu widzenia Jago, ale nie Banichiego czy Tano. Pomyślał, że gdyby między nim i Ilisidi narastał jakiś problem, to po tych słowach Ilisidi Jago dałaby mu sygnał, informujący, że należy się wycofać.

W pewnym momencie musiał jednak zdać się na nich oraz ich man'chi względem Tabiniego. Właściwie nigdy się nie zastanawiał, jakby to było znaleźć się w środku zamętu

spowodowanego przesunięciami atejskich lojalności, będąc w gruncie rzeczy ślepy na to, co mogłoby się dziać wewnątrz atewich, a jednocześnie emocjonalnie i po ludzku wiedząc, że

345

sercem jest z Banichim i Jago, że obowiązek stawia go u boku

Tabiniego i że przyjaźń - tak, przyjaźń! - sprawia, że Tabini i Ilisidi słuchają go i nie rozbijają świata na kawałki.

Jakiegokolwiek inne wyjście byłoby bardzo głupie i Bren z pewnością by nie uwierzył, że Ilisidi jest gotowa do takich posunięć albo że Tabini tak bardzo się pomylił co do swojej babki, wysyłając ich tutaj.

Cenedi połączył się z kimś przez komunikator i po krótkiej chwili frontowymi drzwiami weszli ochroniarze w czarnych mundurach; wśród nich był Banichi oraz kilku innych ochroniarzy Tabiniego, a z nimi czarno odziana postać. To ten dureń, pomyślał Bren. Rozczochrany, z rękoma skutymi kajdankami i wyglądający jak przestraszone dziecko.

- Nand' paidhi! - zawołał chłopiec.

- Młody głupcze - powiedziała Ilisidi, zwracając na siebie jego uwagę; w tej chwili rzeczony „młody głupiec” chyba uświadomił sobie (wdzierając się tu, musiał przecież wiedzieć o obecności paidhiego), że znalazł się w o wiele większych tarapatach, niż mu się zdawało. Chłopiec zamilkł i uklonił się z taką dozą szacunku, na jaką pozwalały mu kajdanki i trzymający go dwaj najroślejsi

młodzi mężczyźni Ilisidi.

- Paidhi-aiji chce ci zadać pytanie - rzekła Ilisidi. - Zechcesz mu łaskawie odpowiedzieć?

- Tak, aiji-ma, wedle twojego życzenia.

- Nand' paidhi?

- Nand' Rejiri z Dur-wajran?

- Tak, nand' paidhi.

- Dlaczego... - usiłowałeś staranować mój samolot? Z

pewnością nie było takiego zamiaru. Po prostu pilot nie znał tego lotniska -...przyleciałeś do Shejidan?

346

- Żeby powiedzieć aijiemu o zdradzie.

- To dlaczego uganiałeś się za mną?

- Bo mogłeś, panie, powiedzieć aijiemu, że nie jestem głupcem!

Rozmowa zatoczyła pełne koło.

- Zaiste, nigdy nie dałem aijiemu do zrozumienia, że nim jesteś. - Teraz jednak sprawa była jasna: upokorzony chłopiec, którego awionetkę skonfiskowano po niedoszłym zderzeniu z samolotem aijiego, nie mógł mieć nawet nadziei na wysłuchanie go bez poruszenia kwestii awionetki, KRP i jego ojca, pana Patronatu.

Chłopak był bardzo zdenerwowany - Bren nigdy nie widział tak wstrząśniętego i niespokojnego atevy.

- A więc aiji-wdowa słucha każdego twojego słowa -

powiedział. - Co masz do powiedzenia w związku z tą zdradą?

Paidhi pokładał nadzieję w Bogu, że w ten spisek w żaden sposób nie jest wplątana Ilisidi. Chłopiec nie mógł tego wiedzieć, podobnie jak on, chyba że informacja przypadkowo dotyczyła towarzyszy lub działalności Ilisidi, w co Bren szczerze wątpił.

- Radia - rzekł chłopak. - I ludzie, nand' wdowo. Ja nie zmyślam.

- Mów dalej o tych radiach i ludziach - powiedziała Ilisidi, siedząc niczym aiji w sali sądowej, z laską zakończoną srebrną główką w pomarszczonych rękach i całkowicie nieprzeniknionym, ostrym spojrzeniem żółtych oczu. - Co chcesz powiedzieć, nadi?

- Że... - Otrzymawszy zezwolenie, młodzieniec stracił wszelką kontrolę nad oddechem. - Że nad oceanem wciąż lata jakiś samolot, aiji-ma, i słyszać, jak pilot rozmawia z kimś, kto mówi w ragi, ale akcent brzmi jak ludzki.

- Czy to kobieta, nadi? - zapytał Bren.

347

- Przez radio... nie wiem. To możliwe, nand' paidhi. Ateva...

ateva zawahałby się powiedzieć...

Trzask! Laska uderzyła w kamienną posadzkę.

- A ty gdzie byłeś, kiedy usłyszałeś te rzeczy?

- W samolocie ojca, aiji-ma.

- Więc natychmiast poleciałeś do Shejidan i przestraszyłeś

pilota aijiego.

- Aiji-ma... - Młodzieniec był sparaliżowany ze strachu.

- Nie mogłeś po prostu zadzwonić?

- Bałem się... Bałem się, że musiałbym uzyskać połączenie przez...

- Mogłeś powiedzieć ojcu, młody atevo.

Przez twarz młodzieńca przebiegł skurcz przerażenia.

- Ja ukradłem ten samolot, aiji-ma.

- Starasz się nie przynosić ojcu rozgłosu, co, nadi? Ukradłeś go? Akurat!

- Aiji-ma, ja ukradłem jego samolot.

Sam paidhi nie chciałby znaleźć się pod tym spojrzeniem, w takiej sytuacji; raz to już przeżył.

- Co więc jeszcze wiesz? - zapytała Ilisidi. - Nie od tamtego samolotu. Z własnego rozsądku i plotek starszych od ciebie.

- Że man'chi mojego domu jest związane z potomkami

Barjidy, nand' wdowo.

Piękny unik - z Barjidimi, to znaczy rodem Tabiniego w

czasach Wojny. Ilisidi nie była z nimi spokrewniona - weszła do

niego poprzez małżeństwo, a takie man'chi datowało się sprzed

panowania obecnego aijiego Ragich, lecz go obejmowało. Bren

znalazł się w dramacie machimi, a ten cholerny dzieciak tańczył

348

kontredansa, jakiego regularnie wykonywał jego ojciec, albo który

widział w telewizji: klasyczny kuzyn, który, jak się okazuje, ma przy sobie nóż.

Nie była to jednak telewizja, a uśmiech, jakim obdarzyła go Ilisidi, był bardzo, ale to bardzo niebezpieczny, podczas gdy - człowiek zdał sobie sprawę z tego faktu powoli, jako że nie rozumiał atewskich emocji - on sam znajdował się dokładnie w tej samej sytuacji, wyznaczony i chroniony przez potomka Barjidy, Tabini-aijiego.

To on wysłał tu paidhiego. To on wysłał tu - Boże! -

Banichiego i Jago.

Ten sam zespół, któremu aiji zlecił zabójstwo Saigimiego, znajduje się tutaj, wewnątrz zabezpieczeń Ilisidi. Bren widział już tę grę wcześniej - ten ekstremalny gest, umieszczenie wewnątrz zabezpieczeń Ilisidi razem z bardzo delikatnym paidhim kogoś tak śmiertelnie groźnego jak Banichi i Jago, wyzwanie wdowy, by wykonała jawne posunięcie przeciwko aijiemu.

Lub sprzymierzyła się z nim.

Brenowi trudno było zachować spokój. Stał jednak z obojętną miną, uświadomiwszy sobie bardzo dokładnie, z czym igra, przywożąc Jase'a do Ilisidi.

Wszedł w sam środek jakiejś operacji, w ciernisty zagajnik, w którym atevi wyczuwali drogę, a on musiał znaleźć ją jedynie za pomocą logiki.

Czy teraz sytuacja wydawała się Banichiemu i Jago dobra?

Czy wydawała się dobra Ilisidi i Cenediemu? A może atevi po jednej czy po drugiej stronie dochodzili do jakiejś decyzji, która spadnie niczym grom z jasnego nieba?

Czyż on sam tego nie powiedział? Statek przyśle kogoś innego. Wyspa też.

Nie. Nie! Gdyby Tabini zastrzelił Deane i zażądał kogoś

349

innego, nie mógłby liczyć na nikogo, kto opowiedziałby się po jego stronie bardziej stanowczo niż Bren. Mogło to powiedzieć coś o zdrowiu psychicznym Tabiniego - ale był to atewski punkt widzenia u gatunku mającego niejaki wycucie man'chi i jego kierunku: pan nie atakował swoich - owszem, prosił ich, by umierali, owszem, wysyłał ich na śmierć, ale tylko wtedy, jeśli on i jego poplecznicy mogli coś zyskać.

Albo Tabini był bardzo pewien Ilisidi - teraz - albo był gotów ponieść bardzo dużą stratę dla swojej władzy, poświęcić bardzo ważną figurę, nie osiągając zysku współmiernego ze stratą.

- Ach, tak - rzekła Ilisidi tonem powstrzymanego gniewu. -

Jeśli twoje man'chi jest związane z Barjidimi, jeśli szukałeś paidhi-aijiego, to może przekażesz mu swoją informację.

Chłopiec zerknął na Brena nieprzytomnym wzrokiem.

- Chciałbym, żebyś to, co masz do powiedzenia, przedstawił aiji-wdowie - powiedział Bren - jako pani, której ufam.

Chłopiec wyraźnie się odprężył. Wciąż był jednak przerażony.

I z pewnością analizował wszystkie nakładające się na siebie

myśli. Jeszcze raz się uklonił.

- Słyszałem, jak atevi spiskują przeciwko aijiemu, nand’

wdowo. Nie kłamie, nand’ wdowo.

- Młody i głupi - rzekła Ilisidi. - Co zauważyłeś?

- Tę ludzką osobę. Pilotów. Radia, które poruszają się w

terenie i działają w pociągach.

W pociągach, pomyślał z zaskoczeniem Bren. Oczywiście, że

to jest sposób na dotarcie z audycją do jakiejś odległej wioski:

podczas gdy przejeżdża przez nią pociąg, radio nadaje na

publicznym paśmie, a potem szybko się wyłącza.

Tabini musiał jednak wiedzieć, że coś takiego ma miejsce.

Ilisidi też.

350

- Kto mógłby robić coś takiego? - zapytała wdowa.

- Osoby, które mówią, że aiji oddaje nas ludziom.

- Ach, tak. I pewnego dnia jakiś wewnętrzny układ

komputerowy sprawi, że staną wszystkie nasze maszyny, statek

zaleje nas promieniami śmierci, a ludzie wyleją się z wyspy, by

nas zniszczyć. Słyszałeś o tym, nand’ paidhi?

- Nie, aiji-ma.

- Co bardziej rozsądni mówią, że zawieść ma tylko statek, w

wyniku czego upadnie rząd, i że sprawi to błąd techniczny

wprowadzony do samych projektów.

Bren słyszał, jak poważnie o tym rozprawiano w salach narad legislatury.

- Istnieją liczne powody, dla których tak się nie stanie, nand' wdowo.

- Ateva pokłada zaufanie w twojej pewności, nand' paidhi.

Masz taki dar przekonywania. A co ty na to, młodzieńcze?

- O czym...

Laska uderzyła w kamienie.

- Oprzytomnij, chłopcze! O czym rozmawiamy?

- O aijim, który oddaje nas ludziom, nand' wdowo.

Ilisidi wychyliła się z rękoma wspartymi na lasce.

- Wierzysz w to?

- Nie, nand' wdowo.

- Czy wierzy w to twój ojciec, pan Dur-wajran?

- Nie, nand' wdowo. Jesteśmy...

- ...związani man'chi z Barjidimi.

- I wszystkimi, którzy wspierają aijiego, nand' wdowo.

351

- Czy pochodzenie ojca tego niewdzięcznika umieszcza mnie w zasięgu man'chi Barjidich?

- Jeśli tego zechcesz, nand' wdowo.

Najwyraźniej chłopak tracił panowanie nad sobą, ale zachował przytomność umysłu. Co prawda umysłowego pojedynku z wdową nie mógł wygrać żaden chłopak.

- Powiedzmy, że mego niewdzięcznego wnuka i mnie łączą te same interesy - rzekła Ilisidi, odchylając się i starannie unikając kwestii, czy ma jakiegoś zwierzchnika - co było informacją prywatną i wyjawianą osobom uprzywilejowanym - lecz - to Bren usłyszał po raz pierwszy - przyznając się do patronackiego związku z Tabinim. Po całych latach życia wśród atevich człowiek mógł zacząć mieć nadzieję, że ich rozumie. - I powiedzmy, że twój ojciec, związany poprzez man'chi z Barjidimi, wysłał swojego syna do Shejidan...

- Mój ojciec wcale mnie nie...

Trzask! Laska uderzyła o kamienie.

- Akurat, chłopcze! Twój ojciec wysłał cię, kiedy zabójstwo Saigimiego obudziło śpiących stąd aż do Malguri! Natychmiast poleciałeś do Shejidan, przypadkiem znalazłeś się na torze lotu odrzutowca aijiego i dostałeś się w ręce wzmocnionej ochrony, tak że żadną miarą nie mogłeś dostarczyć swojej wiadomości, którą wielokrotnie starałeś się obarczyć paidhiego! Mam rację?!

Skarcony chłopiec przez chwilę się nie odzywał.

- Tak, nand' wdowo - powiedział w końcu.

- Dlaczego teraz? Dlaczego nie wcześniej?

- Bo nie przypuszczaliśmy, że aiji może nie wiedzieć. Bo jeśli to było coś ważnego, to aiji powinien wiedzieć, nand' wdowo.

- Przybyłeś szybko i ukradkiem podniebną drogą.

- Tak, nand' wdowo. - Chłopak pochylił głowę. - Złamałem

prawo. Wiedziałem, że je łamię.

- I przybywając tutaj, złamałeś je ponownie!

- Nie, nand' wdowo. Przyjechałem pociągiem.

Rzadko można było zdziwić wdowę, szczególnie kiedy była w takim nastroju. Jej brwi uniosły się, a następnie opadły, układając się w surową linię.

- Mówię o przekroczeniu barier, młodzieńcze! Skąd wiedziałeś, że tu nas zastaniesz?!

- Wiadomo o tym w całej... - Chłopak zaczerpnął tchu. - W całej prowincji, chyba w całym kraju, nand' wdowo.

- Pójdiesz, młodzieńcze, z moją ochroną, zostaniesz w swoim pokoju i w zastępstwie twojego ojca, którego man'chi jest związane z moim niewdzięcznym wnukiem, będziesz przyjmował rozkazy ode mnie, słyszysz? Albo własnoręcznie cię zastrzelę.

- Tak, nand' wdowo.

- Zabierzcie go stąd! - rzekła Ilisidi. Młodzieńca obstąpiło kilku ochroniarzy. - I dopilnujcie, żeby dostał kolację.

Chłopiec się nie sprzeciwił. Ilisidi wstała, wspierając się na lasce. Zmarszczyła brwi.

- Pociągiem, rzeczywiście. Wyjechał ze stolicy, zanim wystartowaliśmy. Przesiadał się. Nand' paidhi.

- Aiji-ma.

- Radia. Radia, rozumiesz?

- Słyszałem tę plotkę.

Ilisidi machnęła ręką.

- Do łóżka, do łóżka. Nie przejmuj się jutrzejszym dniem.

Pojedziemy na przejażdżkę. Może popatrzymy na ocean i zaspokoimy pragnienie tego niepoohamowanego młodego człowieka, którego mi przywiozłeś. Zaczyna, być interesujący.

353

Bren zawahał się, ale postanowił nie pytać Ilisidi.

- Aiji-ma - powiedział, odwrócił się i poszedł w kierunku schodów, myśląc, że musi zdobyć kilka minut sam na sam ze swoją ochroną.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki. Nie chciał odwrócić się i dowiedzieć, kto to taki, zanim nie dotrze na bardziej odosobnione piętro.

Wtedy się odwrócił.

- Jago-ji.'

- Nand' paidhi.

- Nand' paidhi - powtórzył z niezupełnie udawaną rozpaczą. -

Porozmawiaj ze mną, Jago-ji.

- Mój pokój - odparła Jago.

Teraz zdecydowanie nie chciał wdawać się w międzypersonalne manewry. Miał jednak współlokatora. Ona też, ale Banichi został na dole. Jase leżał w łóżku, a poza tym nie był osobą, której Bren pozwoliłby podsłuchać swoją szczerą rozmowę

z ochroną aijiego o jego babce - a poza tym w jego pokoju był prawdopodobnie założony podsłuch.

Ruszył w kierunku pokoju Jago. Ateva poszła za nim, otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

Stał, gdy ona zapalała zapałkę, a od niej świecę. Pokój nie różnił się od tego, który zajmowali z Jasem, poza tym, że w kącie leżała sterta bagażu - większość rzeczy była czarna.

Zamknął drzwi. Jago spojrzała na niego, a jej oczy niepokojąco zalśniły odbitym złotem.

- Czy jesteśmy bezpieczni u wdowy? - szepnął.

- Ateva tak sądzi, nand' paidhi.

Nand' paidhi. Był w niejasny sposób rozczarowany. Nie

354

wiedział, dlaczego, i powiedział sobie w duchu, że jest głupcem, ale był świadom, że to osoba, której pół roku temu bezgranicznie wierzył, a teraz czuł się... sam nie wiedział, jak. Odstawiony. Coś w tym rodzaju.

- Aiji zdaje sobie sprawę z sytuacji - rzekła Jago, a potem dodała z kamienną twarzą: - Powinniśmy szeptać?

Najpierw chciał się roześmiać, ale po chwili przypomniał sobie o Grahamie za ścianą.

- Nasz słuch nie jest tak ostry - powiedział półgłosem. - Co się dzieje, Jago-ji? Powiedz tyle, ile możesz. Zdam się na ciebie, bo wierzę, że zadbasz o resztę.

- Krótko mówiąc, nadi, wszyscy wiedzą, że paidhiin spędzają w tej prowincji wakacje. Wczoraj wieczorem podała to telewizja, więc pojawienie się chłopca nie jest zaskoczeniem.

- Tabini używa nas jako przynętę.

- Ateva wahałaby się określić to tak nieelegancko.

- Ale to prawda. Prawda?

- Tak.

- To znaczy, że zbiegną się tu osoby o złych zamiarach.

Mogari-nai i stacja naziemna są po drugiej stronie wzgórza, nadi!

Ściągniemy na nich jakieś nieszczęście!

Chwila milczenia.

- Tabini-aiji wziął to sąsiedztwo pod uwagę.

A zatem nie jest to jedna z tych rzeczy, o których paidhi

powinien wiedzieć. Strzelanina na trawniku.

Albo na takim trawniku, jaki miała ta zrujnowana siedziba.

- Nie pesz się, nand' paidhi. Jest w tym cel.

- Jaki cel? - Starał się opanować emocje, które tylko wywoływały u atevich odruch obronny i w niczym nie pomagały.

355

- Pytam cię, nadi, osobę, którą darzę wielkim szacunkiem, czy nasze interesy są chronione?

- Przez nas, nadi.

- Zawsze temu ufam, nadi, ale... - Nie wiedział, co ma powiedzieć, żeby Jago zrozumiała. Po tym wszystkim, co razem

przeszli, znów znaleźli się w tym punkcie, a zrobiło się późno i Bren nie myślał już tak szybko jak przed godziną, a poza tym był poruszony emocjonalnie i starał się myśleć w zbyt wielu kierunkach naraz.

- Co chcesz powiedzieć, nadi? - zapytała Jago.

Podniósł na nią wzrok w ciemności i nikłym świetle, które wydobywało iskry metalu na jej kurtce, lśnienie jej czarnej skóry, złocisty blask nieruchomego spojrzenia. Zaraz opuścił wzrok, bo po prostu nie istniało żadne racjonalne podejście i tłumaczowi zabrakło słów. Chciał zapytać, co zamierza Tabini, ale tego nie zrobił. Stwierdził, że znalazł się w emocjonalnym niebezpieczeństwie - ot, co - i miał wszelkie powody, by martwić się o siebie.

- Lepiej już pójde - powiedział, sięgnął za siebie w poszukiwaniu klamki i wychodząc z pokoju, wpadł na framugę.

- Nadi? - usłyszał za sobą cichy głos. Jago była zdezorientowana, co samo w sobie było znakiem, że Bren zachowuje się w niebezpieczny sposób.

Wrócił do swojego pokoju. Świeca wypaliła się do połowy.

Jase leżał w łóżku - bryła przykryta kocami - i nie zareagował na jego wejście.

Bren rozebrał się do bielizny w przeszywającym chłodzie panującym w pokoju z oknem bez szyb, mając niejaką świadomość, że jest wystawiony na strzały snajperów; powiedział

sobie jednak, że przecież istnieje jakieś elektroniczne

zabezpieczenie, które ostrzegło ich o zbliżaniu się chłopca i że prawdopodobnie jeden z atevich Ilisidi pilnuje tych wszystkich

356

okien, z pewnością za małych dla dorosłego atevy, więc do diabła z tym wszystkim, powiedział sobie w myślach Bren. Musi zaufać ochronie. Nie ma wyboru.

Wytyczył w wyobraźni linię między miejscem, w którym stał, a krawędzią łóżka, i zgasił świecę. Udało mu się przejść prawie całą drogę bez przeszkód, uderzył nogą w słupek baldachimu z drugiej strony łóżka i usłyszał głęboki oddech Jase'a.

- To ty?

- O ile wiem, tak - mruknął Bren. Zamienił zimne powietrze pokoju na zimne łóżko i podciągnął kołdrę pod brodę. Leżący obok Jase stanowił wyspę ciepła. Bren starał się opanować dreszcze.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Umysł nie był przygotowany do pracy. Ostatnio był zajęty czymś innym. Bren starał się wrócić do miejsca w strumieniu informacji, w którym zostawił Jase'a.

- Dzieciak nie stanowi zagrożenia - powiedział. I przypomniał sobie, że Jase'a nie interesuje nic poza tym, że nie byli na plaży i że Jase chce iść na ryby.

Niech Bóg ma ich w opiece.

- Chyba jutro rano wybierzemy się na przejażdżkę. Bądź

cierpliwy. Może pojedziemy na plażę.

- Można się tam stąd dostać?

- O ile wiem, tak. Albo możemy pojechać do Mogari-nai. Leży w pobliżu. Jest tam stara siedziba.

- Dlaczego odwiedzamy te wszystkie stare miejsca?

To pytanie zdumiało Brena. Włączyło się jednak jego

wyczucie zawodowe i poinformowało, że być może zadziałała tu kultura statku.

A jeśli światem Jase'a był statek, to gdzie miał się on nauczyć

357

wartości tego co historyczne?

I jak Jase miał poznać wartość rzadkich gatunków? Albo

pojęcie ratowania środowiska, jeśli Jase widział tylko stalowy statek i komputerowo ustawione światła?

Od czego zacząć?

- Zrozum - powiedział cicho Bren w ciemność nad głową - że zachowanie wszelkiego życia na tej planecie ma wielką wartość; zwierzęta, rośliny, wszystkie one są cenne. Podobnie świadectwo tego, co leży w przeszłości. Przyjmij, że jest cenne, nie tylko dla wdowy, ale i dla mnie. Potrafisz to sobie wyobrazić? To nie są tylko stare miejsca.

- Miałem... - zaczął Jase. - Miałem bardzo dziwne wrażenie, kiedy obsługiwałem kapsułę. Kiedy chodziłem korytarzami stacji.

To było... bardzo samotne miejsce. Bardzo stare.

- Atevi odczuwają to samo w stosunku do takich miejsc jak to.

Tylko dodaj do rachunku tysiąc lat. Na Mospheirze, kiedy się wchodzi do starego ośrodka dowodzenia bazy naziemnej i widzi się te wszystkie zegary zatrzymane na minucie, w której zabrakło prądu - w czasie Wojny - Mospheiranie czują coś podobnego. Nie nazywaj więc tego „starymi miejscami”. Są czymś więcej. A ty doskonale to rozumiesz. To widać.

Zapadło długie milczenie. Żywa obecność w ciemności.

- Spodziewaliśmy się... bardzo wiele po przybyciu tutaj - odezwał się w końcu Jase w ludzkim języku. - Nie wiedzieliśmy, co zastaniemy. Wyobrażaliśmy sobie, że będą zmiany. Kiedy jednak stacja nie odpowiedziała na nasze wezwanie, przestraszyliśmy się, że wszyscy zginęli.

Bren spróbował to sobie wyobrazić.

- To musiała być przerażająca chwila.

- Przerazająca przez cały czas zbliżania się do stacji. Nie odpowiadały żadne układy. Odkryliśmy, że zostały wyłączone i

358

zakonserwowane. Ale my o tym nie wiedzieliśmy. Naprawdę się ucieszyliśmy, kiedy wyszło na jaw, że na dole są jacyś żywi ludzie.

- A kiedy zorientowaliście się, że atevi zrobili taki postęp? -

To zdumiewające, że nie odbyli dotąd tej rozmowy, ale taka była

prawda. - Co czuliście?

- Nadzieję - odparł Jase. - Prawdziwą nadzieję. Cieszyliśmy się z tego, Bren, przysięgam.

- Chyba mogę w to uwierzyć. - Naprawdę wierzył. - Niestety, na Mospheirze nie jest w stu procentach tak samo.

- Surowce są po tej stronie cieśniny - powiedział Jase.

- Po obu stronach są siły, które chcą czegoś jeszcze poza atevimi w kosmosie. - Zaryzykował. - A czego chce statek?

Chwila milczenia. A jednak!

- Statek chce, żeby tam w górze znalazł się ktoś, kto potrafi naprawić to, co się zepsuło.

- Czy nie dlatego rozeszły się na początku drogi kolonistów i załogi? Bo koloniści nie chcieli stanowić taniej siły roboczej?

- To nie tak - odparł Jase. - Nie będzie tak.

- Masz cholerną rację - rzekł Bren - nie będzie tak.

Był jednak pewien, że mają na myśli zupełnie inne rzeczy.

Zapanowało milczenie. Może Jase pomyślał, że temat staje się zbyt niebezpieczny. Może, i to była własna myśl Brena, nie mogą sobie nic powiedzieć, dopóki nie polecą ten statek i dopóki nie będą mieli więcej możliwości.

Pomyślał, że jego matka mogła już przejść operację. Nie wiedział. Pomyślał, że znajduje się, do cholery, w sąsiedztwie największej stacji nasłuchu na świecie i nie może dostać się do jakiegoś telefonu? Łączność, jaką dysponowała jego ochrona, była

błyskawiczna i dawała dostęp do wszystkich miejsc oprócz

359

Mospheiry. Powinien był poprosić o telefon.

Jeśli chciał spróbować uzyskać jakąś informację, miał za sobą poparcie ateckiego rządu, ale miało być ono wykorzystywane w ateckich sprawach państwowych, a nie, do cholery, w sprawach wiadomości od jego rodziny.

Zapatrzył się w ciemność nad sobą i zadał sobie w duchu

pytanie: Jakie wrażenie wywarł na Jago, uciekając tak z jej pokoju?

Przynajmniej byłoby mu cieplej i mógłby zapomnieć o swoich innych problemach.

Ale Banichi wróciłby na noc.

Bren nie wiedział, co by zrobił czy powiedział.

Prawdopodobnie rozbawiłby i Jago, i Banichiego. Nie był pewien, czy potrafiłby się śmiać z takiego żartu. Nie dzisiaj, nie teraz, nie w tej sytuacji.

Obok siebie usłyszał ciche chrapanie. Przynajmniej Jase był na tyle zmęczony, żeby zasnąć. Bren pomyślał, czyby nie szturchnąć go łokciem w żebra, żeby sam mógł odpocząć; uznał jednak, że i tak jeszcze przez jakiś czas nie zmruży oka.

Jednak odpocząć, po prostu leżeć na plecach na nieruchomej powierzchni, przykryty grubo kocami w łóżku, które stawało się coraz cieplejsze w powietrzu o temperaturze zbliżającej się do

zera...

Usłyszał silnik.

Odległy, ale wyraźny odgłos silnika, który zdecydowanie był tu nie na miejscu.

Nie ma powodu do niepokoju. Teren jest strzeżony.

Jego ochrona nie pozwoli, by coś ją zaskoczyło. Podobnie ochrona Ilisidi.

Ale co, u diabła? - zastanawiał się Bren.

360

Dźwięk coraz bardziej się zbliżał, aż wreszcie paidhi zobaczył na ścianie ledwie dostrzegalny refleks światła, który zaraz zniknął.

Więcej silników niż świateł.

Na strzeżonym terenie poruszały się jakieś pojazdy.

Chrapanie ustało.

- Co to jest? - zapytał Jase. W ragi.

- Nie wiem. - Bren odrzucił koce, wstał, bosy i w bieliźnie, i macając przed sobą rękoma, obszedł łóżko. Podszedł do okna, od którego wiało zimnem, a tymczasem Jase też wstał i wyrztał przez okno.

- Może to ochrona? - zapytał.

- Nie wiem. Jago nic mi nie mówiła.

- Sądysz, że wszystko jest w porządku?

Wszystko się działo po stronie budynku, której nie widzieli.

Od tyłu, pomyślał Bren. Pojazdy nadjechały z tamtej strony.

Był czas, kiedy pobiegłby o kilkoro drzwi dalej do Jago i

poprosił o wyjaśnienie. Tym jednak razem to on był autorem konspiracji, a wciąż nie znał jej zasięgu.

Miał niemiłe wrażenie, że gdyby zapytał Jago, ona też by nie wiedziała. A jeśli coś było nie tak, to usłyszy o tym i od Jago, i od Banichiego.

Cholera, przecież nie pozostał przy życiu tak długo, polegając tylko na przypuszczeniach.

- Zostań tu - powiedział do Jase'a, odrętwiały z zimna; dla przyzwoitości chwycił koc i wyszedł na korytarz.

Gdyby nie świece, byłoby tam kompletnie ciemno.

I gdyby nie jeden z młodych mężczyzn Ilisidi, który stał w cieniu i w którego oczach odbijało się światło.

361

- Co się dzieje? - zapytał go Bren.

- Zaopatrzenie i tym podobne - odparł mężczyzna. - Śpij spokojnie, nand' paidhi.

- Banichi! - zawołał Bren, zaniepokojony, że już samo otwarcie drzwi jego pokoju nie wyrwało ochrony z najgłębszego snu. - Jago?

- Ateva sądzi, że pomagają na dole, nand' paidhi.

- Chcę z nimi porozmawiać - rzekł Bren. - Masz łączność?

- Tak, nand' paidhi. - Mężczyzna wyjął z kieszeni

komunikator i nacisnął klawisz. - Nandi. Paidhi chciałby

rozmawiać ze swoją ochroną.

Bren nie słyszał odpowiedzi, ponieważ ateva trzymał komunikator przy uchu. Podał go jednak Brenowi.

- Banichi-ji? - zapytał.

- Bren-ji? - To był Banichi; Bren nie miał wątpliwości. - Jest jakiś problem?

- Czy jest powód, żebyśmy się ubrali i zeszli na dół?

- Nie, nadi. Idź spać. Wszystko w porządku. Wcześniej wstajemy.

- Rozumiem. Dobranoc. Uważaj na siebie, nadi-ji.

Oddał komunikator właścicielowi, z jednej strony czując się głupio, mając stopy i jedno ramię zmarznięte na kość; uklonił się grzecznie, jako że okazał atevie nieufność, i wrócił do pokoju.

Jase zapalił świece. Widział, jak robią to służące. Z jego strony było to pomysłowe posunięcie. Jase stał, trzymając ją w ręku, też w bieliźnie, chroniąc światło przed przeciągiem wywołanym przez otwarte drzwi.

- Co się dzieje? - wyszeptał.

- Wszystko w porządku. - Bren nie mówił szeptem. Zrzucił

362

koc na łóżko i podwinął jego koniec, po czym się położył.

- Kiedy szukałem zapalek, skaleczyłem się w nogę - powiedział Jase.

Rzeczywiście. Bren widział kolano z otartą skórą. Jase upadł

w ciemności i teraz był wściekły.

- Przykro mi. Chcesz bandaż? Ateva stojący na zewnątrz na pewno może go przynieść.

- Nie - odparł Jase. Przyniósł świecę do łóżka, a potem po coś wrócił, pewnie po zapałki. Myślenie o obu tych rzeczach nie było naturalne. Nie w świecie Jase'a.

Jase zdmuchnął świecę i, jak domyślał się Bren, postawił ją wraz z zapałkami na podłodze obok łóżka. Położył się, na pewno na wpół zamarznięty, tego Bren był pewien. W milczeniu Jase'a czuł wyrzut. Oszukiwał Jase'a zbyt często, zbyt długo, i teraz Jase uznał za oczywiste, że to jest ostateczna odpowiedź: dusza Jase'a po prostu nie słuchała rozkazów.

- Trochę się martwię - powiedział do niego Bren.

Żadnej odpowiedzi. Jase rzeczywiście był wściekły; trząsał się obok Brena, co mogło być spowodowane zimną pościelą - a może sytuacją.

- Chyba nie chcą, żebyśmy wiedzieli o wszystkim, co się dzieje - powiedział Bren. - Jase, mówię ci prawdę, możliwe, że wszystko jest w porządku. W świecie jednak dużo się dzieje i może sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana, niż się wydawała.

- Chcesz, żebym zapytał.

Bren nawet nie wiedział, co próbuje powiedzieć.

- Chcę tylko, żebyś wiedział... poprosiłem wdowę, żeby

pokazała ci dawny styl życia. Chciałem ci pomóc. Chciałem, żebyś miał tę samą przewagę co ja - dowiadując się wielu rzeczy o

363

atevich.

- Żeby nie robił z siebie durnia?

Teraz zamilkł Bren. Jase potrafił, tak jak podejrzewał Bren, postawić na głowie najbardziej delikatnie zaoferowane uczucia.

- Dzięki - powiedział Jase po chwili. - Dzięki, że pomyślałeś.

Bren wciąż był wściekły. I wciąż nie sądził, żeby Jase choć trochę go rozumiał. Nie chciał też zwiększać u siebie poziomu adrenaliny, kiedy usiłował zasnąć.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy - rzekł w końcu do

Jase'a. - Starłem się być twoim nauczycielem.

Na chwilę zapadło milczenie. Z obu stron.

- Starłem się uczyć - odezwał się wreszcie Jase.

- Wiem. Wspaniale się spisałeś.

- Mam całe lata na dojście do lepszych wyników. Muszę to zrobić. Statek musi polecieć.

- Tak - powiedział Bren. Był rozczarowany, że nie potrafi doprowadzić do tego, żeby Jase polubił życie tutaj, gdzie jest.

Powinien jednak popierać wszystko, co motywuje Jase'a do nauki i co sprawia, że chce wrócić.

A Jase chciał wrócić do matki. Bren to rozumiał. Obowiązki.

Podziały. Rozpacz.

Nie wiedział, jak się czuje jego matka i czy może ktoś telefonował. Ale przecież, gdyby coś poszło nie tak, Toby na pewno by zadzwonił.

- To co się tam dzieje? - zapytał Jase.

Głęboki oddech.

- Chyba przyjechało kilka furgonetek. - Więcej silników niż świateł. Nie wspomniał o tym. Jedna jechała na światłach.

Pozostałe bez. Elektroniczna bariera je przepuściła.

364

- A co powiedział strażnik?

- Zaopatrzenie. Może śniadanie. - Nie mógł nie myśleć o geografii tego miejsca - Mogari-nai, do którego można było dotrzeć powietrzem i drogą ze współczesnego miasta Saduri; samo miasto i lotnisko na stromym zboczu, na którym zawisła ta starożytna forteca i które z jednej strony miało Geigiego, a z drugiej wyspę Dur.

Jej młody dziedzic został zapewne zamknięty na noc. Nie było kluczy do sypialni, ale Bren mógłby się założyć, że znaleziono klucz do pomieszczenia, w którym przetrzymywano chłopca.

To, co się działo na zewnątrz, mogło być związane z zawiadomieniem pana Dur-wajran, że mają tu pewnego młodego idiotę, którego można odebrać za odpowiednią informację o tej drugiej stronie.

Polityka. Tabini. Wdowa. I te cholerne przekazy radiowe.

Rozdział 18

Razem wyszli przez frontowe drzwi i zeszli po schodach; świt barwił niebo, wydobywał z mroku idących na przedzie Ilisidi i Cenediego, a za nimi pozostałych - oprócz służących - ubranych w swobodne stroje do polowania, to znaczy grube kaftany z diagonalu, z tylnym guzikiem rozpiętym do jazdy wierzchem, oraz spodnie i wysokie buty, które mogły znieść znacznie większe obciążenia niż podczas przechadzki korytarzem. Jak już na początku odkrył Bren, Jase mógł nosić jego ubrania, a ponieważ przed tą wyprawą było za mało czasu na krawca, Bren spakował dość rzeczy dla dwóch osób.

Teraz, każdy z palcatem pod pachą, schodzili po schodach z grupą ochroniarzy. Jago szła z Banichim, tuż przed nimi, niosąc komputer. Bren nie zostawił go nawet teraz.

Żałował, że nie miał rano okazji do dłuższej rozmowy z którymkolwiek z nich - żałował tego ranka, że uciekł zeszłego wieczoru, chociaż wciąż nie był pewien, czy to nie była najmądrzejsza rzecz, jaką mógł zrobić - a teraz nie był pewien, czy Jago nie miała zamiaru zająć go, żeby nie zorientował się, co miało miejsce zeszłej nocy.

Nie zjedli oficjalnego śniadania i nikt ani słowem nie wspomniał, co to były za odgłosy. Dużo pojazdów w ruchu, ale tego ranka ani śladu po nich. A co do śniadania - służący wyszli

tu, na wolne powietrze, i roznosili filiżanki oraz kanapki.

366

Bren przyjął jedną z nich, a kiedy Jase stwierdził, że chyba nie chce jeść, Bren trącił go w ramię.

- Owszem, chcesz.

- To ryba!

- Jedz - powiedział Bren. Jase wziął kanapkę i filiżankę. Zjedli więc śniadanie na stojąco. Herbata parowała w porannym powietrzu, spowijając delikatną mgiełką tłumek zgromadzony u podstawy schodów.

Tymczasem Bren starał się ściągnąć wzrok Jago, ale ona na niego nie patrzyła. Na jednym poziomie, prawdopodobnie nierozsądnym, bał się, że zeszłej nocy obraził ją, umykając tak szybko, albo że wyszedł na durnia czy może po prostu rozbawił ją lub rozczarował.

Na innym jednak poziomie zdrowy rozsądek mówił mu, że to, do czego zeszłej nocy mogłoby dojść między nim i Jago, tak naprawdę nie pozwoliłoby na rozwiązanie tych głębszych spraw dotyczących ich obojga, i że Bren postąpił bardzo rozsądnie, wychodząc, zanim przybrało to inny obrót - praktycznie pod dachem wdowy. W najgorszym wypadku Bren mógłby się wplątać w przygodę, co do której nie miał ani emocjonalnego, ani osobistego przekonania - a Jago prawdopodobnie zaprosiła go z tego prostego powodu, że nie chcieli, żeby się czegoś dowiedział.

Jak na ironię, to go właśnie przekonało, że w wydarzenia jest zaangażowana jego własna ochrona. Swoim ochroniarzom powierzyłby bez wahania życie.

Może tego nie wiedzieli.

Może nie rozumieli, jak Bren lubi Jago - to straszne słowo - i, do czego zaczął się przyznawać, jak ona staje się dla niego atrakcyjna; zaczął się zastanawiać nad pewnymi rzeczami, które można rozwiązać tylko na drodze prób.

Ale zeszła noc nie była odpowiednią porą.

367

Oddał filiżankę jednemu ze służących, którzy zaczęli je zbierać. Trzymał się blisko Jase'a.

Fakt: przetrzymują młodego atevę, mają niepewną sytuację z Ilisidi, a zeszłej nocy ktoś kręcił się po wzgórzu w jakichś pojazdach, po których nie zostało ani śladu, ani potwierdzenia ich obecności.

Zatem ich życie może znajdować się w jakimś niebezpieczeństwie, co w ciągu ostatniego roku nie było czymś niezwykłym, choć sytuacji na pewno nie pomogłaby dodatkowa komplikacja w postaci zajęcia się przez Brena Jago.

Po drodze na dwór udało mu się złapać na górnym korytarzu

Banichiego i zadać mu jedno szybkie pytanie:

- Czy jest jakiś powód tego pośpiechu? Co się, u diabła, działo w nocy?

- O niczym nie wiem, nic nie mogę powiedzieć, ale jedziemy z wdową, nadi: co ośmielilibyśmy się powiedzieć? - odparł Banichi.

Ochroniarz bardzo się śpieszył. Jago już wyprzedziła ich obu i Banichi dogonił ją dopiero w holu na dole, a potem wszyscy znaleźli się na zewnątrz.

Bren rozejrzał się teraz, licząc obecnych. Tano i Algini jeszcze się nie pokazali w tłumie atevich Ilisidi. Zeszłego wieczoru Bren naliczył ich w sumie około dwudziestu - niewątpliwie to pomyślna liczba, ale rzadko widywało się wszystkich atevich Ilisidi naraz: otaczał ją taki sam kokon łączności i straży co Tabiniego, i ani Ilisidi, ani jej strażnicy przed nikim nie demonstrowali chętnie całej swojej siły.

Bren zauważył, że wyszedł z nimi chłopiec z Dur, już nie w kajdankach, lecz w towarzystwie dwóch bardzo czujnych strażników.

Prawdopodobnie ta wycieczka, ta proponowana przejażdżka w celu obejrzenia okolicy i zażycia powietrza, wymagała wzięcia z

368

nimi młodego Rejniego. Było to bardzo dziwne.

Coś jednak spowodowało, że Tano i Algini nie spotkali ich przed schodami, że nie wyszli jeszcze na dwór, co też było dziwne.

Prawdopodobnie Banichi dał im jakieś zadanie. Przekazanie wiadomości na lotnisko albo - niemądra myśl - do Mogari-nai, w

którym nie tylko znajdowała się naziemna stacja, od dziesięcioleci śledząca stację kosmiczną, ale które stanowiło potężne ogniwo w sieci elektronicznej łączności.

Znajdowała się w nim naziemna stacja oraz zestaw anten wycelowanych w kierunku Mospheiry, podobnie jak Mospheira miała wycelowany podobny zestaw w kierunku kontynentu.

Jak poinformowała Brena jego ochrona, był to ośrodek nerwowy prowadzony przez Gildię Posłańców, która nie odznaczała się szczególną chęcią współpracy ani z nim, ani z Tabinim.

W ataku przygnębienia śmiercią ojca, przyjęciem i własną sytuacją, Jase powiedział, że chce pojechać nad ocean. Sam Bren dość niemądrze pomyślał, że można by pojechać do posiadłości Geigiego na ryby i złapać tego osławionego żółtogonka. I może trochę pojeździć wierzchem. Mecheiti nie wróciły do Malguri na lato.

Udał się więc do wdowy, by sprawdzić, czy nie zechciałyby go poprzeć, wymyśliwszy, że mogłaby nauczyć Jase'a tego samego, czego nauczył się od niej on sam. Ilisidi powiedziała, że oczywiście rozsądniej byłoby wybrać się do rządowego rezerwatu po drugiej stronie zatoki niż prosić o gościnę w domu Geigiego - posunięcie politycznie o wiele zdrowsze. Geigi mógłby ich odwiedzić łodzią, to łatwa wyprawa, lotnisko leży tuż nad morzem i dysponuje furgonetkami.

Akurat! - pomyślał Bren. Kiedy Ilisidi powiedziała, że rządowa siedziba praktycznie ma widok na lotnisko, nie brał pod

369

uwagę odległości w pionie.

Zupełnie nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak blisko jest z posiadłości do Mogari-nai, którego położenie na wysokim nadmorskim urwisku dobrze znał.

Nie zdawał też sobie sprawy z zaangażowania Dur ani z małej odległości wyspy od nielegalnych przekazów radiowych mających miejsce na północy - powiedzenie, że Dur znajduje się blisko tego obszaru, było jak powiedzenie, że blisko niego jest Mospheira.

Kiedy jest się na wybrzeżu, widzi się wyspy, a jeśli chce się wywołać kłopoty, nic nie leży daleko.

Bren nie spodziewał się zeszłego wieczoru chłopca z Dur.

Nie spodziewała się go też Ilisidi - a jeśli tak nie było, to przynajmniej dobrze udawała.

Ruch nocą: spodziewała się go własna ochrona Brena czy też otwarcie się nim nie zaniepokoiła, więc albo była to normalna rzecz i rzeczywiście przywieziono zaopatrzenie na jutrzejszy bankiet-niespodziankę, albo chodziło o coś, co leżało w ramach jej man'chi - a to sprowadzało się do bardzo nielicznych spraw.

Znając jednak ogólną skłonność Ilisidi do intrygowania, to albo zabierano ich z fortecy na cały dzień, żeby kuchenne aromaty nie zdradziły niespodzianki, albo coś się, do cholery, dzieje. Bren

spojrzał poprzez tłumek na rozległe, pofalowane łąki i zwirowatą ziemię z kępami roślin, które tutaj, na oceanicznych urwiskach, mogły tworzyć w gruncie rzeczy dość nietrwały układ ekologiczny.

Na pierwszy rzut oka jeden z narodowych rezerwatów myśliwskich. Atevi nie jadali mięsa produkowanego na handel. Istniały olbrzymie przestrzenie, na których nikt nie budował, których nie przecinały żadne linie kolejowe i gdzie nikt nie zakłócał spokoju ziemi.

Alarmy na obrzeżach terenu. Elektroniczne ogrodzenia. Ta posiadłość.

370

Czy w ogóle zawiadomiono rodziców chłopca? Bren zadał sobie w duchu to pytanie, wracając spojrzeniem do stojącego bliżej tłumu. Czy ktokolwiek, kto mógłby się martwić, wie, że chłopiec jest z nimi?

Bren w to wątpił, podobnie jak zaczął się niepokoić, że dzieje się coś, co odciągnęło Tano i Alginiego. Stojąc na schodach, oprócz własnej małej grupki naliczył czternastu młodych mężczyzn Ilisidi.

Przywiózł w swoim bagażu pistolet, którego był bardzo nielegalnym właścicielem - zgodnie z Traktatem prawo zabraniało paidhiemu nosić broń - a który był prezentem od Tabiniego i Banichiego. Nie ośmielił się zostawić go w apartamencie podczas

wizyty wuja Tatischeigiego; gdyby staruszek znalazł go w szufladzie biurka, rozsądziłoby go ze złości, psując harmonię bogato zdobionego wnętrza. Bren upchnął więc pistolet do bagażu, wiedząc, że jego bagaż nigdy nie podlega kontroli. Nie sądził, że będzie go potrzebował w trakcie tej wyprawy, a teraz żałował, że nie ma odwagi, by wrócić po niego do pokoju; co prawda nie wiedział, na co miałby mu się przydać, ale oprócz niego, Jase'a, chłopca z Dur i samej wdowy, wszyscy byli uzbrojeni.

Uderzały w nich podmuchy wiatru, wiejącego od morza nad lądem nie przeciętym nawet płotem. Jase najwyraźniej marzył; skulił ramiona, ręce włożył do kieszeni. Wiatr targał mu włosy. Podniósł wzrok i spojrzał ponuro wprost w jego podmuchy, z radością, z jaką mógłby patrzeć w twarz wroga.

Usłyszeli parskanie i kwik.

Mecheiti.

Zza budynku wyszły olbrzymie, czarne stworzenia o wysokich kłębach i potężnych barkach.

Mecheiti, wierzchowce, na których atevi przemierzali kontynent, na których toczyli wojny i odbywali wyprawy badawcze. Mecheiti były zasadniczo roślinożerne. Jase cofnął się

371

jednak na schody, a Bren przez mgnienie oka pomyślał o własnym bezpieczeństwie, lecz duma nie pozwoliła mu ruszyć się z miejsca. To było stado, w którym bezpiecznie poruszali się tylko

znani zwierzętom jeźdźcy. Atevi Ilisidi zaczęli rozdzielać

wierzchowce, a trzech jeźdźcy, którzy przyprowadzili stado pod schody, dołączyli do grupy.

- Dostaniesz chyba tego samego mecheitę, co ostatnim razem - powiedział Bren do Jase'a, który do ponurego nastroju dodał jeszcze zaniepokojenie całą sprawą. - Uważaj na nos. Pamiętasz? -

Kły w dolnej szczęce, osiągające długość ludzkiej dłoni, mogłyby zabić w dość krwawy sposób albo przewrócić niemądrego nowicjusza na plecy, gdyby był na tyle głupi, żeby nacisnąć nos zwierzęcia, które zdobywało pożywienie, ryjąc w ziemi.

Bren i tak uważał, że tylko dzięki szczęściu przeżył bez uszczerbku na zdrowiu swój pierwszy błąd w stosunkach z tymi zwierzętami, i przed półtora rokiem ostrzegł Jase'a: te służące do rycia kły miały tępe ochraniacze, po to by uchronić potencjalnych jeźdźców przed wypruciem wnętrzości w wyniku normalnego zachowania stadnego mecheiti.

A kiedy walczyły, jak kiedyś ta grupa, to na kły nakładano inne, mosiężne, ostre jak nóż ochraniacze.

- Nand' paidhi. - Jeden z młodych mężczyzn Ilisidi podszedł do schodów, by zająć się Jasem. - Chodź, proszę, ze mną. Trzymaj się blisko mnie.

- Pamiętaj, żeby cofnąć stopę - zawołał za nim Bren. Niektóre mecheiti zapamiętały, że stopy znajdują się w zasięgu zębów.

Ostatnim razem wierzchowcowi Jase'a prawie się udało; a Bren

nigdy by nie postawił na to, że jego wierzchowiec, Nokhada (hojny prezent wdowy) zrezygnowałby z takiej paskudnej sztuczki.

Był jednak podekscytowany. Liczył na przejażdżkę podczas tego wypadu i postrzegał ją jako dużo większą przyjemność niż łowienie ryb. Był gotów się nią cieszyć, jeśli tylko uda mu się

372

zapobiec śmiertelnemu zranieniu Jase'a. Bardzo chciał znaleźć Nokhadę i odnowić z nią znajomość; wydało mu się, że ją dostrzegł, wszedł więc między mecheiti i gwizdnął.

- Nokhada! - zawołał tak, jak jeźdźcy wołają swoje wierzchowce. - Hada, hada, hada!

Głowa odwróciła się, oko zauważyło, za nim z gburowatą nieuchronnością lawiny podążyła szyja, odwróciło się całe ciało i zwierzę ruszyło z miejsca - zatrzymane na chwilę przez inną ruchomą górę.

I wtedy z gniewnym kwikiem, który atakował bębenki niczym grzmot, Nokhada przypomniała sobie Brena i przepchnęła się przez pobratymców z taką energią, że jeden z atevich Ilisidi musiał cofnąć swojego mecheitę, by uniknąć starcia.

Przezorność mogła nakazać wycofanie się na schody. Bren nie ruszył się z miejsca i Nokhada szturchnęła go w pierś, obwąchała, po czym otarła się bezrogą głową o jego ramię; człowiek, który już raz przy takiej okazji został powalony na plecy i niemal stracił

przytomność, odsunął się na bok i mocno szarpnął pojedynczą wodzą, by usunąć ten olbrzymi, zbrojny w kły i oddany łeb sprzed swojej twarzy.

Łeb powędrował w górę i na pewno odrzuciłby paidhiego na długość jego ciała, jeśli nie wysłał do szpitala, ale całe stado przesunęło się i Bren znalazł się w niebezpieczeństwie zgniecenia między Nokhadą i wierzchowcem Cenediego. Błyskawicznie uniósł palcat, wtykając go między łopatkę Nokhady i zbliżające się cielsko. Opleciony skórą stalowy pręt wytrzymał nacisk i skierował mecheiti w przeciwne strony: tej pożytecznej sztuczki Bren nauczył się podczas ostatniej przejażdżki. Szarpnął długą, luźną wodzę, której jeden koniec był przytwierdzony do uźdźienicy Nokhady, a drugi przywiązany do kółka przy siodle, żeby w hałaśliwym rozgardiaszu, jaki powstał przy wsiadaniu, zmusić Nokhadę do przykłąku umożliwiającego wskoczenie na siodło.

373

Albo wypracowywali obustronne porozumienie, albo Bren po prostu nabrał wprawy. Nokhada wysunęła przednią nogę, a drugą stroną tego „nabrania wprawy” stanowiła szybkość, z jaką Bren rozwiązał luźny węzeł przy kółku, chwycił się siodła i przygotował na gwałtowne wyprostowanie się Nokhady, które z potężną siłą wynosiło jeźdźca w górę.

Zatrzymanie rzeczony siły pozwalało znajdującemu się w

zenicie jeźdźcowi opaść na siodło, jeśli ustawił się nad nim, a nie obok.

Bren tak zrobił. Jase... wsiadał tak jak Bren, gdy czynił to po raz pierwszy: podsadzano go na stojące zwierzę. Banichi siedział już w siodle, podobnie Jago. Chłopiec znalazł się na grzbiecie wierzchowca jako ostatni z gości. Zrobił to w czystym stylu Jase'a i w panice chwycił wodzę.

W tym momencie Nokhada wykonała nie zapowiedziany piruet i wykorzystując chwilową nieuwagę Brena, wyszarpnęła wodzę, po czym ruszyła na czoło kolumny, Ilisidi stała na schodach. Teraz zeszła do swojego mecheity, Babsidiego, który był jedynym panem otaczającej go przestrzeni: mecheit'aiji, przywódca stada. Babsidi podszedł do schodów i na delikatne klepięcie palcatem wyciągnął nogę. Ilisidi wsunęła laskę do uchwytu przy siodle i wsiadła na mecheitę, dostosowując się do ruchu wstającego zwierzęcia. Uczyniła to z majestatem, jakiego nie osiągnął żaden z oglądanych przez Brena aktorów machimi. To była prawdziwa amazonka i jej wierzchowiec, mimo wszystkich lat jego panowania nad stadem oraz jej kierowania swoimi zwolennikami. To działo się naprawdę i człowiekowi zaparło dech, kiedy Ilisidi zawróciła Babsidiego, wszystkie inne mecheiti ruszyły za nim, ustawiając się w odpowiednim porządku, a góry mięśni poruszyły się jak jedno stworzenie.

Bren mocno uchwycił wodzę i nie pozwolił Nokhadzie pójść

do przodu, skręcając jej głowę na tyle, na ile pozwalała jej długa szyja. Obrócił zwierzę i pozwolił mu się wyprostować. Zobaczył

374

Jase'a, którego mechesa, Jarani, był jednym z mecheiti najniższych w hierarchii, zwierzęciem spokojniejszym, nie zamierzającym wystawić go do współzawodnictwa o prowadzenie ani go zrzucić; Bren sądził, że chłopiec z Dur dostał wierzchowca o podobnym usposobieniu. Natomiast mecheita Cenediego, który zajmował drugą pozycję w stadzie, oraz Nokhada, która uważała, że ta pozycja należy się jej, stanowili główne źródło kłopotów.

Cenedi, przyzwyczajony do przebywania w pobliżu Ilisidi, trzymał się wdowy. Natomiast Nokhada mająca na sobie jeźdźca usiłowała zająć pozycję obok Babsa, choćby miało to owego jeźdźca kosztować życie. Bren mocno trzymał wodzę.

Jase walczył o utrzymanie równowagi. Przed pół rokiem nie szło mu to najlepiej, ale mimo spędzenia tego czasu na planecie nie zrobił żadnych postępów. Trzymał się siodła obiema rękami; Bren skierował Nokhadę w jego kierunku. Potrafił to zrobić i, przyznał sam przed sobą, popisywał się swoimi umiejętnościami, z których był niesamowicie dumny.

Jase nie był zadowolony.

- Jeśli zginę na tej przejażdżce - powiedział - to mam nadzieję, że dasz sobie radę z podręcznikami.

- Nie zginiesz. Noga! Uważaj na nią.

Jase zabrał stopę z zasięgu pyska Jaraniego, który, rozdrażniony tym manewrem, przysunął się do Nokhady i wyszczerzył na nią zęby.

Nokhada zamachnęła się kłami na łopatkę Jaraniego; ten odpłacił jej tym samym, lecz z dużo mniejszym entuzjazmem, i przez chwilę trwało zamieszanie; Jarani jednak ustąpił i pochylił głowę. Mecheiti robiły to wtedy, kiedy któryś z pobratymców wykazywał się większą siłą.

- Cholera! - zaklął wstrząśnięty Jase, niepotrzebnie usiłując powstrzymać ruch olbrzymiej głowy swojego wierzchowca.

Tymczasem podjechali do nich Banichi i Jago: ich ochrona w

375

grupie młodych mężczyzn Ilisidi.

- Gdzie jest Tano i Algini? - zapytał w końcu Bren, wykorzystując chwilę odosobnienia w otaczającym ich zamęcie i kwiku.

- Na służbie - Banichi nie powiedział nic więcej. A to oznaczało: Nie zadawaj więcej pytań.

Prawdopodobnie zostali na miejscu, żeby pilnować sprzętu albo terenu, albo może poszli spać, przygotowując się do całodobowego cyklu dyżurów na zmianę z Banichim i Jago.

Czasami tak się zdarzało. Bren mógł to uznać za ostrzeżenie.

Przed ich powrotem mogło tu wybuchnąć piekło - a ich wyjazd mógł być pretekstem do wywiezienia paidhiin w bezpieczne

miejsce. Być może dowiedzieli się od chłopca czegoś, czego

Banichi nie mógł wyjawić.

Ilisidi poprowadziła grupę - nie stępem, ale przynajmniej nie

szaleńczym galopem - do bramki w niskim płocie, przez którą

poprzednio wjechały furgonetki. Przy tym umiarkowanym tempie

Nokhada nie miała żadnych trudności z przebicciem się do przodu;

nie było też mowy, żeby Jase i chłopiec z Dur zostali w tyle.

Posadzenie więźnia lub gościa na grzbiecie; mecheity stanowiło

najlepszą w świecie gwarancję, że dana osoba pozostanie w

zasięgu wzroku i znajdzie się w miejscu, w którym ulokuje się

jego mecheita, kierowany swoim statusem w stadzie. Nie można

też było oddzielić od stada luzaków - ruszyłyby za nim, nie

zważając na żadne przeszkody, niszcząc ogrodzenia i

przedzierając się przez bramy, a także kalecząc się, chcąc

postawić na swoim.

Man'chi. W swojej najprymitywniejszej postaci.

W Malguri Bren po raz pierwszy zobaczył prymitywny model

takiego zachowania i jako człowiek po raz pierwszy intuicyjnie

pojął - czując pod sobą Nokhadę starającą się dotrzymać kroku

przywódcy z narażeniem życia i zdrowia - tę pierwotną potrzebę,

376

która budziła u niego tyle naturalnego strachu przed upadkiem i

wystarczającą osobistą reakcją na unoszącą go dokądś w

zawrotnym tempie górę zdesperowanych mięśni i kości, że z

łatwością wyczuwał jej napięcie emocjonalne. Kiedy przypominał sobie ten pierwszy pościg, serce zaczynało mu mocniej bić. Był cholernie zadowolony, że udało mu się dogonić Ilisidi, nie skręciwszy karku; cieszył się z tego podczas całej tamtej długiej przejażdżki, a także nauczył się instynktownie uważać niszę, którą chciała zająć Nokhada, za najbezpieczniejsze miejsce dla siebie, nie zdając sobie nawet sprawy z mechaniki tego, co się działo wewnątrz mecheity i niego: mecheita szła do swego przywódcy, a naczelny w tym samym miejscu znajdował bezpieczną gałąź dla siebie.

Dzisiaj mieli ze sobą kilka mecheiti bez jeźdźców, ale niosły one jakieś wyposażenie owinięte w płótno.

Co to takiego? - zadawał sobie w duchu pytanie Bren.

Nie miał jednak żadnej odpowiedzi, a nie sądził, żeby paidhi dowiedział się czegoś od własnej ochrony bez wprowadzania go do gry, czego ochrona zdecydowanie nie chciała zrobić.

Obawiał się więc, że trzymają go w nieświadomości, dla ochrony jego samego i Jase'a. Utrzymywali stateczne tempo, będąc na tyle dobrymi jeźdźcami, że poganiali Jaraniego i zajeżdżali drogę Nokhadzie, podczas gdy Bren potrafił już nie dopuścić, by Nokhada ugryzła Jaraniego, co, sądząc po napięciu i ruchach mięśni, jakie wyczuwał, było jej celem. Pojedyncza wodza zawsze wydawała mu się niewystarczającym hamulcem dla tak potężnego zwierzęcia, ale z jakichś powodów klepnięcia

palcatem powstrzymywały ją od agresji, być może dlatego, że wcześniej już była nim potraktowana przez atewę, a może dlatego, że w naturalny sposób zwracała uwagę na jeźdźca.

Brenowi coraz lepiej udawało się też robić to dokładnie w chwili, kiedy jego działanie to wywierało najlepszy skutek, co, jak odkrył, miało miejsce, zanim Nokhada podjęła otwartą akcję. To

377

zaś wymagało od jeźdźca, by odczytywał jej zamiary z drobnych drgnień mięśni oraz pozycji uszu i klepał ją na tyle mocno, by zwróciło to jej uwagę.

Natomiast Jase, który jechał na mecheicie raz w życiu, z miejsca lądowania do Taiben, kurczowo trzymał się siodła obiema rękami i na szczęście niewiele zajmował się wodzą. Podskakiwał jak worek z brudną bielizną i prawdopodobnie denerwował Jaraniego jak diabli.

Był to jednak człowiek, u którego fotel przy oknie w samolocie stanowił wyzwanie dla poczucia równowagi.

- Rozluźnij kręgosłup - poradził mu Bren. - Nie spadniesz.

Rozluźnij się.

Jase spróbował. Było to dla niego trudne, ale spróbował.

Przy tym tempie stado nie dążyło do ustawienia się według hierarchii: pojedyncze mecheiti nieoczekiwanie pochylały głowy, skubiąc rośliny. Jase'a to przerażało.

- Rozluźnij się.

Dłonie miał zbielałe, a kiedy Jarani kłapnął zębami na mecheitę doganiającego ich z tyłu, Jase zacisnął usta w cienką, prostą linię. Zwierzę uszczypnęło Jaraniego, który, zaskoczony, wpadł na Nokhadę.

Zbliżył się do nich chłopiec z Dur - a może zrobił to jego mecheita; był to wyraźnie jeszcze jeden niewprawny jeździec. Wyglądało na to, że wie, co robić, ale sprzeczki nie wygrywał; jego mecheita wpadł na wierzchowca Banichiego, który z kolei odplacił mu ciosem łba aż poszło echo.

- Przepraszam, nandi, przepraszam.

- Wodza! - rozkazał Banichi i chłopiec spróbował coś zrobić ku niezadowoleniu wszystkich dookoła, jako że dał zły sygnał i dobrze ujeżdżony zwierzę skoczył w bok.

378

Bren pomyślał - może ze zbyt wielką dumą - że radzi sobie lepiej; poklepał jednak twardą łopatkę Nokhady i cicho poinstruował Jase'a, co ma robić z wodzą i stopami.

Oraz kręgosłupem.

- Siedź swobodnie. Swobodniej niż teraz. Do cholery, Jase, spróbuj spaść!

Jase spojrział na niego, jakby źle go zrozumiał.

- Spró-buj-spaść - powtórzył Bren sylaba po sylabie. - Nie uda ci się. Jesteś zrównoważony. Odpręż się, do cholery. Wejdz w rytm. Poddaj się ruchowi. Jazda!

Jase zaczerpnął tchu i rozluźnił kurczowy chwyt palców na łąku siodła. Pochylił się lekko w jedną stronę, potem w drugą.

Znów zaczerpnął tchu.

Banichi - niech go cholera! - przerzucił jedną nogę przez przedni łąk, popatrzył na występ Jase'a i uśmiechnął się.

- Już lepiej - rzekł. W całym wszechświecie nie było rzeczy, której Banichi, potężny i mocny jak mur, nie potrafiłby zrobić, i to z wdziękiem. Banichi roześmiał się i machnął palcatem w kierunku chłopca z Dur. - Słuchaj paidhiego, nadi. Siedź jak żywa istota, a nie bezwładny jak worek.

Wtem - z jakiejś nieznaney przyczyny - tempo marszu wzrosło.

I wzrastało, aż mecheiti zaczęły poruszać się razem, prawie zgodnie, krok w krok. Bren obejrzał się na znikającą starą fortecę.

Z miejsca, w którym się znaleźli, Bren zobaczył zaplecze budynku i może sześć, siedem zaparkowanych tam furgonetek.

Cholera, pomyślał. Przeniósł spojrzenie na jadącą tuż za nim Jago i zrozumiał, że ona wie i że nikt nic nie powie. Jechali teraz pod górę, po pofałdowanej, miękkiej darni, na której rosło trochę krzaków i ani jedno drzewo. Znaleźli się w terenie przypominającym grzbiet wzgórza w Malguri. Ciągli; jechali pod

379

górę.

Bren pomyślał o nadmorskich urwiskach i tkwiącej na ich szczycie stacji Mogari-nai.

Pomyślał o leżącej za horyzontem granicy, tej niewidocznej kresce oddzielającej morze od powietrza, gdzie zaczynała się Mospheira. Jechali w jej kierunku. Chyba jej nie zobaczą, ale na pewno się do niej zbliżą.

Na skalistych terenach otaczających Malguri Bren nigdy nie doświadczył szybkości i miękkości kroku, z jaką poruszały się mecheiti, nawet stępem na tej otwartej, trawiastej przestrzeni. To było cudowne - marszowe tempo, które nawet Jase'owi pozwalało odnaleźć poczucie rytmu. Chłopiec z Dur odprężył się i siedział swobodnie w siodle.

A Nokhada powoli, nieubłaganie i przewidywalnie wydłużała krok i coraz bardziej zbliżała się do Ilisidi i Cenediego. Banichi i Jago przesuwali się na czoło stada razem z Brenem.

Nie padło ani jedno słowo. Ilisidi, wyczynowa amazonka, trzymała się w siodle z pełną wdzięku swobodą, która zawstydziała ich wszystkich, a długi krok Babsidiego stanowił wyzwanie dla podążających za nią, przypominając, że Babsidi jest wspaniałym wierzchowcem - od szlachetnej głowy po potężny zad. Nikt nie wyprzedzał Babsidiego. Radość Nokhady tłumiła jedynie obecność mecheity Cenediego, jej głównego rywala, noszącego zawsze jeźdźca, którego to przywileju Bren nie był w stanie rozszyfrować. Kiedy Nokhada szła jako luzak, trzymała się z tyłu i nie sprawiała żadnych kłopotów; natomiast pod Brenem aspirowała - tylko tyle - do pierwszej linii i wzbudzała u swego

jeźdźca poczucie winy, że tak rzadko tam się znajduje.

Bren nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co nią powodowało, czy ucieszyła się na jego widok, kiedy poznała go po dłuższej nieobecności, i czy jej dzikie serce mecheity po prostu dostrzegło pretekst do wywołania awantury. Poklepał ją po łopacie. Zastrzygła uszami, ale Bren nadal jej nie rozumiał.

380

Powiedział sobie w duchu, że powinien częściej wybierać się na przejażdżki.

Jeszcze jedno marzenie.

Można było uspokoić myśli, obserwując ten ruch, słysząc wszędzie wokół siebie odgłosy mecheity idących tym swobodnym krokiem, obserwując horyzont i patrząc, jak cienie, które kładły się przed nimi, bardzo powoli skracają się, aż słońce zaczęło palić im głowy.

Wtedy Ilisidi zwolniła krok i zatrzymała grupę. Po raz pierwszy od ponad godziny Jase dogonił Brena i zrobił to sam, a nawet, z pomocą palcata, stóp i wodzy zmusił Jaraniego do przepchnięcia się przez tłum.

- Świetnie - pochwalił go Bren. Mecheity dyszały. - Jak ci idzie?

- Żyję - odparł Jase. Wyglądał na obolałego.

Jago i Banichi podjechali bliżej. Tymczasem dwaj mężczyźni zsunęli się na ziemię i starali się zmusić jedno ze zwierząt do

klęknięcia, żeby dostać się do pakunku najęto grzbiecie.

- Będziemy teraz wracać? - zapytał Jase.

- Jeszcze nie - odparł Banichi; mężczyźni pośpiesznie rozpakowujący pakunek wyjęli z niego torbę kanapek, które rozdali obecnym, zaczynając od wdowy.

Jedli kanapki, siedząc w siodłach, a mecheiti skubały skąpe roślinki, niosąc swoich jeźdźców tam, gdzie nakazywał im głód.

Albo lojalność. Nikt nie zsiadł z wierzchowca. Manierki stanowiły zwykły element ich wyposażenia, mogli więc pić. Potem tylko atevi, którzy byli zmuszeni zsiąść, poprawili płótno na otwartym przez siebie pakunku, dosiedli swoich wierzchowców i Ilisidi dała sygnał do wymarszu.

Nie z powrotem do fortecy, ale prosto przed siebie, tak jak przed popasem.

381

Z posiadłości wyjechali o świcie, teraz mijało południe i stało się jasne, że nie wrócą przed zapadnięciem zmroku.

Teraz jednak, skoro Jase przestał zasypywać Brena pytaniami, paidhiemu zaczęły przychodzić do głowy własne, i to wcale nie dotyczące celu wycieczki - nie miał właściwie żadnych wątpliwości, że okaże się nim w końcu Mogari-nai.

Dlaczego mieliby tam jechać? Zważywszy na konwój furgonetek, który przyjechał za nimi, oraz nieobecność Tano i Alginiego, Brenowi nasunęła się odpowiedź: Tabini-aiji nie jest

zadowolony z pracy stacji w Mogari-nai, albo Gildii Posłańców.

Czy aiji ośmieli się rzucić wyzwanie Gildii, a jeśli tak, to co się stanie? Astronomowie przestali tworzyć najwyżej postawioną Gildię, kiedy źle zinterpretowali istnienie Obcej Gwiazdy, gdy na niebie po raz pierwszy pojawił się statek i zbudował stację. W czasach, kiedy Astronomowie przepowiadali przyszłość, okazało się, że zupełnie nie znają istoty swojego wszechświata, więc wypadli z łask.

Być może Posłańcy nie znają istoty ich wszechświata i aiji postanowił dopilnować, żeby jego wiadomości płynęły tak jak trzeba. Ale rzucać wyzwanie Posłańcom, kiedy sytuacja polityczna jest tak trudna i najeżona kłopotami, kiedy Direiso podlega do obalenia Tabiniego, a Hanks i jej radio nadają do atewskich awionetek...?

Kiedy jednak Bren się nad tym zastanowił, dostrzegł problem. Radio. Kolejny problem związany z łącznością, za który można by winić Posłańców. Ruch radiowy podlegał Posłańcom, a z racji swojego położenia na wybrzeżu Mogari mogło słyszeć te transmisje.

Jeśli powstaną kłopoty z jedną Gildią, to które z pozostałych opowiedzą się po stronie aijiego najbardziej stanowczo? Które Gildie zawsze były jego największymi sprzymierzeńcami?

Matematycy oraz Zabójcy.

Direiso czerpała zyski z tego nielegalnego radia. Jeśli

Posłańcy udadzą, że nie widzą tego problemu, ona opowie się po ich stronie.

Rząd mógł się tu natknąć na kłopoty. A Banichi i Jago nie mówią ani słowa.

Może to rozkazy Ilisidi? Bren zaznał nagle niemiłego uczucia, że Ilisidi uznała ich wakacje za doskonały pretekst do znalezienia się w tym miejscu i że paidhiin mogą być podczas jej wizyty w Mogari-nai zbyt liczni.

Jase na pewno był zbyt liczny.

Ale, do cholery, są też rzeczy, których Bren powinien się dowiedzieć. I dowie się, jeśli tylko uzyska odpowiedzi na kilka pytań.

383

Rozdział 19

Potem przez dłuższy czas jechali dość szybko. Nokhadzie nie podobało się wdychanie kurzu, więc walczyła o przedarcie się do przodu, z czym z kolei walczył Bren, nie chcąc zostawiać Jase'a samego, nawet jeśli olbrzymie mecheiti potrzebowały takich odstępów między sobą, że utrudniały one rozmowę.

Oznaczało to, że goście Ilisidi jechali w czasami rozciągniętej grupce, ale nie oddalali się od siebie, o ile Bren nie popuszczał wodzy Nokhadzie, która w końcu chyba poddała się myśli, że z powodu niedostatku ambicji czy tymczasowej choroby umysłowej

jej jeźdźca nie będzie sprintu do przodu i nie zajmie tej samej pozycji, jaką miał mecheita Cenediego - no, może jeszcze przez jakiś czas.

Tymczasem Ilisidi nie zwracała na nich uwagi - rozmawiała z uzbrojonymi młodymi mężczyznami, którzy spełniali jej rozkazy, a co pewien czas któryś z nich cofał się do tylnej straży. Bren zerkał na horyzont, zadając sobie pytanie, co się dzieje. Nie posługiwano się kieszonkowymi komunikatorami, nic nie wskazywało na jakieś kłopoty. Coś się jednak zmieniło.

Ta kobieta miała w sobie coś złośliwego, gniewnego, i to nie tylko według ludzkiej oceny, ale według kryteriów obu gatunków. Zeszłego wieczoru Ilisidi była przy kolacji dobroduszną - aksamit okrywający stal. Ilisidi była łaskawą damą, kulawą staruszką - oraz arystokratką, panią siedziby obstawionej rusztowaniami.

384

Przygotowała ten zastawiony kryształami stół po prostu dlatego, że to było trudne, oraz dlatego, że jej personel spełniał każdy jej kaprys.

Tego ranka przestała utrudniać życie swojemu personelowi, zaczęła je utrudniać im - siedząc na Babsidim, którego cztery silne nogi niosły ją z większą szybkością, zręcznością i siłą niż nogi jakiegokolwiek mężczyzny. Bren zaczął myśleć, że w ten sposób mówiła światu: Ci, którzy podążają za mną, muszą mieć trudności. To był warunek jej życia. Nie była aijim. Ci jednak, którzy jej

służyli, traktowali jej życzenia tak, jakby nim była.

A do moźnych w otoczeniu Tabiniego mówiła: Jeśli wy, którzy odrzuciliście mnie jako aijiego, chcecie nagle mojej pomocy, to niech was cholera, straciecie trochę krwi.

Zatem ochrona aijiego (wraz z paidhiin, którym oszczędzono normalnych uwarunkowań man'chi i naleźnej im uprzejmości, lecz nie cierpienia) też nie otrzymywała od niej pełnych informacji: miała po prostu ślepo jej słuhać i podążać za nią, ilekroć los i przypadek - te diabły we wzorach Tabiniego - umieszczają jego agentów pod jej rozkazami.

Był to jeden sposób podsumowania sytuacji, zgodnie z tym, co widział Bren w Malguri, a potem w Dolinie Padi.

A może to wcale nie była zemsta na Tabinim.

Może w stylu tej staromodnej, pewnej siebie atewskiej samowładczyni - pod niektórymi względami tak staromodnej, jak leżąca daleko na wschodzie forteca w Malguri - było zmuszać ich do podążania za nią tylko na jej własnych warunkach.

Jakby, będąc ateva do szpiku kości, udowadniała kierunek nie tylko man'chi mecheiti, których im użyczyła, ale i atevich, którym przewodziła.

Bren doszedł w myślach do tego cennego punktu, powoli rozciągając mięśnie używane tylko podczas jazdy na nartach oraz wierzchem i siniacząc sobie miejsca siniaczone tylko podczas

jazdy wierzchem. Sam się o to prosił. Zrobił to ze słusznych powodów, ale zapomniał, jak bolesna może być podróż z Ilisidi.

Cierpiał też chłopiec z Dur, który siedział w siodle z rozpaczliwą sztywnością i, jako wyższy, przechylał się bardziej, z większymi wahaniami środka ciężkości.

Chłopiec z Dur spadł z mecheity, ale na szczęście zdążył się złapać uprzęży.

Wdowa jechała dalej, Bren zatrzymał się, mecheita chłopca próbował iść dalej, Banichi i jeden z mężczyzn Ilisidi też się zatrzymali, a Jago pojechała z Jasem, któremu zupełnie nie udało się zatrzymać Jaraniego: jeśli stado szło dalej, Jase jechał dalej.

- Bren! - zawołał zaniepokojony Jase, jakby go gdzieś porywano.

Chłopiec z Dur tymczasem udawał, że osoba wagi atevy i bez rozbiegu (albo z pozycji do góry nogami, zjedną stopą wciąż w zgięciu szyi mecheity, i trzymająca się rzemieni przy siodle) nie potrafi wskoczyć ani wdrapać się na siodło. Dla miłośnika telewizyjnych machimi z pewnością była to krępująca sytuacja.

- Ja bym zsiadł - rzekł sucho Banichi. Wraz z Brenem i Hadunim, ateva Ilisidi, obserwowali młodzieńca z grzbietów swoich wierzchowców. - Zmusiłbym go do ukłęknięcia i wsiadł z ziemi.

Człowiek podejrzewał, że jeśli ktokolwiek potrafił robić te telewizyjne sztuczki, to mógł nim być Banichi, ale chłopiec z Dur

zrezygnował z oparcia dla stopy na szyi mecheity i zeskoczył na ziemię, co mecheita uznał za koniec pracy i postanowił odejść.

Chłopiec najwyraźniej palił się ze wstydu; uderzył mecheitę palcatem, wciąż trzymając wodzę, i zwierzę szarpnęło się, wyrywając ją z dłoni atevy i rozciągając go na ziemi.

Haduni pojechał za mecheita, który postanowił dołączyć do stada.

386

Chłopiec trzymał się za otartą dłoń i bez końca się kłaniał.

- Przepraszam, nandi. Bardzo przepraszam.

- Niepotrzebnie go uderzyłeś - rzekł Banichi. - To sygnał do biegu.

- Tak, nadi. - Chłopiec, pański syn, ukłonił się, wyraźnie cierpiąc ból.

Tymczasem Haduni złapał mecheitę i prowadził go do nich.

Banichi postukał palcem w ramię przy swoim siodle.

- Złap się tego i mocno trzymaj.

To też Bren widział w machimi. Na krótką odległość, jaką mieli do przebycia, chłopiec zawisł na rzemieniu przy siodle, a Banichi przerzucił nogi na drugą stronę, by utrzymać równowagę.

Kiedy spotkali się z ateva Ilisidi i odzyskanym mecheita, obaj mężczyźni udzielili chłopcu bardzo szybkiej lekcji, jak zwrócić uwagę mecheity pociągnięciem wodzy, gdzie dotknąć palcatem, żeby zwierzę uklęknęło, jak szybko wkładać nogę w strzemię, jak

wykorzystać ruch wierzchowca do opadnięcia na siodło i jak napinać wodzę. Same znane rzeczy. Była to dobra lekcja i chłopiec z Dur zdawał się przyjmować ją z wielką wdzięcznością.

- O wiele lepiej, nandi - rzekł ateva Ilisidi.

- Masz szansę - orzekł Banichi, po czym ruszyli szybkim krokiem ku pozostałym, którzy znaleźli się już za horyzontem terenu nie sprawiającym wrażenia aż tak pofałdowanego. Był jednak urozmaicony, więc wdowa, Jago, Jase i reszta byli tak niewidoczni, jakby zapadli się w rzadką roślinność porastającą zwirowatą glebę.

Nie był to jedyny raz, kiedy musieli się zatrzymać przez chłopca z Dur, którego zmieszanie doszło do zenitu, gdy w pewnej chwili mecheita zaczął bawić się z nim w berka, pasąc się na

387

świeżej wiosennej trawie i za każdym razem umykając chłopcu o długość ciała w chwili, gdy ten już-już miał go schwytać.

Rozległ się śmiech.

- Ktoś powinien mu pomóc, nadi - powiedział Jase, jakby sugerując, że powinien to zrobić Bren; ten potrząsnął jednak głową.

- Śmieją się. Nie robiliby tego, gdyby źle mu życzyli. Jeśliby roześmiał się chłopiec, byłoby to prostactwo i bezczelność.

- Dlaczego?

- Ponieważ, nadi, sygnalizowałoby to jego panowanie nad

sytuacją. - Mecheita znów odszedł od chłopca na długość ciała, lecz tym razem młodzieniec rzucił się do niego biegiem.

Mecheita, niemal schwytyany, odskoczył, a chłopiec padł jak długi na ziemię, trzymając się za nogę. Teraz też zabrzmiał śmiech, ale cichszy; jeden z atevich zsiadł ze swojego mecheity, żeby zająć się chłopcem, a inny dogonił niespokojne zwierzę.

- Ładna próba, chłopcze - powiedziała wdowa. - Złe wyczucie czasu.

Chłopiec, najwyraźniej cierpiący ból, skłonił się.

- Dziękuję, nand' wdowo.

Pokuśtykał do przyprowadzonego przez atevę mecheity.

Umiejętnie zmusił go do przykłęknięcia i utrzymania tej pozycji -

lekcja po ostatnim upadku - a następnie z godnością go dosiadł.

- Dobrze - rzuciła Ilisidi, a Bren stwierdził, że jeśli w młodym atewskim sercu nie rodzi się oddanie - o tym decydowało man'chi - to przynajmniej kiełkuje wiedza, że można u Ilisidi zasłużyć na szacunek.

To równie dobre jak wstążka. Oznaka honoru.

- Nandi - powiedział chłopiec i ukłonił się z nowoczesnym konserwatyzmem, nie posuwając się do ekstrawaganckiego

388

wymachiwania rękoma widzianego u jeźdźców w telewizji. Udało mu się nie wyglądać głupio.

Jase milczał. Jeśli mają szczęście, pomyślał Bren, jest to

dowód głębokiego zastanowienia.

Środek popołudnia. Była jedna przerwa na, jak to określali atevi, konieczność, podczas której wszyscy zsiadli (Banichi zauważył, że w mniej cywilizowanych czasach w ogóle się nie zsiadało) i oddalili się, każdy z łopatką wyjętą z pakunków: mężczyźni na jedną stronę niewielkiego wzniesienia, kobiety na drugą.

- Nadi - powiedział Jase słabym, płaczącym głosem - nie mogę tego zrobić.

- W takim razie za jakiś czas będziesz tego strasznie żałował - odparł bez cienia litości Bren i po powtórnych rozważeniach sytuacji Jase odszedł na stronę i zrobił, co miał do zrobienia.

Wrócił dość zadowolony. Zawstydzony, lecz zadowolony.

Dołączyli do wdowy i Jago. Mecheiti czekały spokojnie, szczęśliwe, że nie goni ich żaden chłopiec.

Chłopiec z Dur i Jase dosiedli swoich wierzchowców jako ostatni, ale udało im się to zrobić samodzielnie.

Zdecydowanie lepiej, powiedział sobie w duchu Bren, bezpieczny na wyniosłym grzbiecie Nokhady, gdzie czuł się władcą wszystkiego, co miał w zasięgu wzroku; Babsidi ruszył, a to oznaczało, że Nokhada zaraz spróbuje go dogonić.

Przez chwilę Bren pozwolił jej wygrywać. Jase'owi szło z tyłu dość dobrze; nie opóźniał innych.

Jeszcze ani razu nie ruszyli pełnym galopem: mieli ze sobą

juczne mecheiti i Bren zaczął sobie uświadamiać, że to było głównym powodem utrzymywania wolnego tempa. Jednak i tak poruszali się dość szybko.

389

Jechali na zachód. Osiągnęli punkt, w którym słońce świeciło im w oczy, a mecheiti wciąż szły równym krokiem.

Bren zamknął oczy, żeby zaoszczędzić sobie bólu, kiedy zachwianie rytmu kroków Nokhady ostrzegło go o jakichś zmianach na przedzie. Błyskawicznie otworzył oczy i stwierdził, że wjechali na niskie wzniesienie.

Horyzont się przybliżył. Teren tu opadał i tonął w złocistej mgiele.

Przed nimi rozpościerało się morze, leżące prawie tak samo daleko, jak wtedy, kiedy oglądali je z samolotu. Skaliste wzgórza po drugiej stronie zatoki były spowite mgłą. Ze złocistej płachty wody wznosiła się szarobłękitna wyspa.

Mecheiti z Babsidim na czele zatrzymały się na krawędzi lądu.

- To Dur! - oznajmił chłopiec i po chwili nieśmiało dodał grzecznościowy zwrot: - nand' wdowo.

- Nie da się ukryć - rzekła Ilisidi i dała znak Babsidemu, by przyklęknął. Zsiadła szybciej od Cenediego, wyciągnęła laskę z pętli przy siodle i oparłszy dłoń o Babsidiego, machnęła palcatem wokół siebie. - Rozbijcie obóz.

- W jakim kierunku patrzymy? - zapytał cicho Jase.

- Na zachód. To jest słońce. Pamiętasz?

Jase ustawił się bardziej do słońca, znajdującego się nieco z lewej strony, blisko skalistego pagórka pokrytego gdzieniegdzie żwirem, który zaznaczał się ciemną plamą na tle słońca i swą wypukłością osłabiał siłę wiatru.

- Tam jest zachód.

- Północ. - Bren pokazał kierunek. - Stoimy twarzą na północny zachód z odchyleniem na zachód.

- Północny zachód - powiedział Jase.

- Północny zachód z odchyleniem na zachód.

390

Nie było to pojęcie zrozumiałe dla Jase'a. Jase jednak je powtórzył.

- Północny zachód z odchyleniem na zachód. Dur na północ i zachód. Mospheira na zachód. Shejidan letni.

- Na południe. Właściwie na południowy wschód.

- Południe. - Jase poprawił wymowę. - Wschód. Czy mecheiti mogą zejść nad morze?

- Owszem, drogą albo jakimś szlakiem. Szlak. Wąska droga. -

Bren nie zauważył niczego takiego na krawędzi urwiska, które wydawało mu się opadać pionowo w dół. - Ale jak na dzisiaj dosyć się już napodróżowaliśmy. Kolacja. Mam nadzieję. -

Właśnie padł rozkaz rozbicia obozu i Bren ciężko westchnął, czując zdecydowany ból, który nazajutrz będzie palił piekielnym

ogniem.

- Powiedziała, żeby zabić? - Jase też to usłyszał.

- Rozbić, nadi. Rozbić obóz na noc. - Rozmowa z atevimi była ciągłą walką o użycie pomyślnych liczb. Rozmowa z Jasem była nieustannym przepytywaniem pamięci, które ze znanych Jase'owi słów przekażą daną myśl.

- Rano zjedziemy nad morze.

- Nadi, pamiętaj o dobrym wychowaniu. Nie podnoś tej sprawy przy kolacji. Wdowa daje. Nie pozwoli, żeby czegoś od niej żądać, bo odmówi. Twarz.

Jase był zaniepokojony. Poprawił jednak zachowanie, strząsnął z twarzy ślad myśli i lekko się skłonił.

- Nadi. Będę pamiętał. Północ. Północny zachód. Południe. Południowy wschód. Czy istnieje północny wschód, nadi?

- Tam. - Bren pokazał ręką. - Taiben leży na północnym wschodzie. Na południowym zachodzie znajduje się Zatoka Onondisi. Ta woda to Zatoka Nain.

391

- Wiem. Była na mapie.

Zatoka Nain była na mapie. Słońce nie. A Shejidan „jest letni”.

Człowiek ma nadzieję, pomyślał Bren, że ta cała przygoda znajdzie wyraz jedynie w uderzającym słownictwie Jase'a. Miał nadzieję, że nadchodząca noc będzie spokojna, że furgonetki

należą do dostawców żywności, że Tano i Algini zostali po to, by dopracować szczegóły powitalnego bankietu - to wszystko było możliwe - i że nic z tych rzeczy nie układa się w obraz, w jaki mogą się ułożyć.

- Poza tym - powiedział, starając się, ze względu na człowieka, który po raz pierwszy znalazł się wśród niebezpieczeństw otwartej przestrzeni, myśleć o wszystkim - bardzo uważaj na krawędź urwiska, nadi. Warunki pogodowe ją osłabiają, rozumiesz? Ziemia mogłaby się osunąć i jeśli krawędź jest słaba, długo byś spadał.

- To jak dostaniemy się na dół?

- Ostrożnie - odparł Bren. - I drogą, jeśli taka istnieje. Po to są drogi.

Atevi zaczęli zdejmować pakunki z grzbietów mecheiti. Na ziemi znalazły się płócienne toboły.

Błyskawicznie wyrosły z nich namioty - nowoczesne, na sprężynujących ramach, rozkładające się z oślepiającą szybkością.

Jak na zwolenniczkę tego, co tradycyjne, Ilsidi zdecydowanie nie gardziła najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie sprzętu campingowego. Bren znał te olbrzymie atewskie namioty.

„Gwiazda Północy”, ten sam typ mospheirskich namiotów, który od pokoleń służył mospheirskim turystom, stanowił, przerobiony na atewską skalę, mocny punkt eksportu na kontynent. Okazał się tak popularny wśród atevich, że zapewnił Mospheirze dostawy aluminium. Umysł paidhiego był pełen takich pożytecznych,

eklektycznych danych.

392

Jednak Bren z pewnością się nie spodziewał, że takiego nowoczesnego namiotu z aluminium i nylonu będzie używała wdowa. I to w kolorach ochronnych, a nie rodowych. Pałkowate namioty z podłogą wyrastały błyskawicznie, a lekkie zębate szpilki wbijały się w miękką ziemię, jak noże w dobrze wypieczony chleb.

- Co będziemy robić? - zapytał Jase. Zdaniem Brena było to nieco idiotyczne pytanie, więc odpowiedział mu z lekkim zniecierpliwieniem:

- Chyba zjemy kolację, nadi-ji.

W pakunkach znalazły się nie tylko namioty, ale i nowoczesne pojemniki termiczne, tak że nie musieli rozpalać ognia. Pasące się mecheiti dołączyły do mecheit'aijiego, a atevi Ilisidi je rozsiodłali.

Jason usiadł na kępie trawy i przyglądał się łodydze szczecioziela, jakby miała jakieś znaczenie - oczywiście dla niego była to ciekawostka. Chłopiec z Dur, Rejiri, chyba uznał Jase'a za osobę wielce interesującą i stwarzającą minimalne zagrożenie, więc nie mając nic innego do roboty, usiadł naprzeciwko niego, mówiąc coś z szybkością karabinu maszynowego; Jase'a wyraźnie to ciekawiło, lecz i powodowało jego w zmieszanie. Nie było wiadomo, co odpowiedział, ale wyglądał na zawstydzonego, a chłopiec się roześmiał.

Mimo to powiedział sobie Bren, Jase potrafi się zachować.

Chłopiec, który o mały włos nie staranował go awionetką, z pewnością nawet nie myślał o tym, by się obrazić na paidhiin.

Bren mógł w końcu odetchnąć i pozwolić komuś innemu martwić się o Jase'a. Słońce schowało się za malowniczą skalną iglicę i utonęło w ławicy ołowianych chmur.

Paidhi spacerował po obozie, spokojny i choć raz nie na służbie, rozciągając mięśnie - nie pomagało to na sińce, ale chyba zapobiegało zeszywnieniu. Banichi i Jago rozmawiali z Cenedim; Ilisidi mówiła coś do trzech ze swoich młodych mężczyzn, którzy

393

właśnie mieli rozładować pojemniki termiczne. Jako prowizoryczny obóz było to o wiele wygodniejsze miejsce niż to wykorzystane owej nocy, którą spędzili na umykaniu przed bombami wśród wzgórz Maidingi.

A na horyzoncie za nimi wciąż nie rysowało się nic groźnego.

Może człowiek mógł mieć nadzieję.

Znajdowali się co prawda w sąsiedztwie stacji Mogari-nai, która sprawiała Tabiniemu kłopoty. A jeśli znaleźli się tu po to, by wstrząsnąć podstawami Mogari-nai i Gildii Posłańców, to Gildia ta nie miała wojowniczych członków. Jej wrogość wyrażała się głównie w nie doręczaniu paidhiemu jego poczty.

Była też kwestia wieży w Wingin oraz pilotów i przepisów łącznościowych. Jeśli mieli złożyć oficjalną wizytę w Mogari-nai,

a Bren wcale tego nie wykluczał, to ta sprawa, podobnie jak skutki nielegalnych łączności, na pewno znalazła się w jej programie.

A gdyby udało mu się to wszystko wyjaśnić, to może uda mu się zadzwonić, tym razem mając za sobą autorytet aijiego i aiji-wdowy.

Bren przemyślał, co się dzieje z jego rodziną. Miał w zasadzie pewność, że nie było żadnych telefonów, a przynajmniej, że nic nie przedostało się poza Mogari-nai, przez które były kierowane wszystkie rozmowy z Mospheiry. Zgodnie z pechem prześladowającym Brena w tej kwestii, istniała duża szansa, że wszystkie telefony Toby'ego, z przyczyn politycznych ugrzęzły gdzieś po drodze. Jeśli Ilisidi planowała jakieś porządki w Mogari-nai, to nie mogła rozpoczynać listy żądań aijiego Shejidan od pytania paidhi-aijiego. To po prostu nie wyglądałoby dobrze, ale Brenowi mogłoby się udać zadzwonić po załatwieniu innych spraw.

Spacerował więc i rozciągał mięśnie nóg. Zbliżył się do morza bardziej, niż pozwoliłby na to Jase'owi, a nie powinien. Jase poszedł za nim; chłopiec z Dur biegł obok, pokazywał mu widoki i objaśniał, w którym mniej więcej miejscu jest Wingin - w tej

394

mgiełce po drugiej stronie zatoki, a dalej Dur, w zapadającym zmierzchu właśnie widać światła, a to jest port rybacki. Dom jego ojca w Dur-wajran znajduje się na wyżynie pośrodku wyspy. W

czasach pierwszych żaglowców był fortecą, ale mieszkańcy leżącego na kontynencie Saduri, mający tę swoją zatokę wcinającą się głęboko w ląd, usiłowali przejąć handel, nawet gdyby musieli pogłębić zatokę, bo nowoczesne statki mają większe zanurzenie.

To wszystko wyrzucił z siebie prawie bez jednego oddechu.

Jase wyglądał na zrozpaczonego.

- Kolacja, nadiin-ji - oznajmiła Jago, która tymczasem do nich podeszła.

Namioty zostały ustawione w półkolu, tyłem do wiatru.

Wszyscy usiedli do kolacji - w izolowanych pojemnikach znajdowało się dobre, gorące jedzenie - spożywanej w zapadających ciemnościach.

Wiatr przybierał na sile; Bren oceniał, że nim wstanie świt, dwaj ludzie będą bardzo zadowoleni ze swoich kurtek i ocieplanych namiotów. Syntetyczne płótno marszczyło się i łopotało na wietrze, a po morelowym niebie przepływały im nad głowami poszarpane, szare chmury.

Mecheiti pasły się, wyraźnie zadowolone. Jago schowała komputer - oprócz stwarzania Brenowi komfortu psychicznego nie na wiele się tu zdawał - w jego namiocie. Podawali sobie kanapki i z izolowanych filiżanek pili gorącą herbatę.

Kiedy wdowa chciała mieć nowoczesność, zdecydowanie ją miała.

- A więc, Jason-paidhi - odezwała się Ilisidi. - Jak się czujesz?

- Dobrze, nand' wdowo, dziękuję. - Jase zachowywał się najlepiej, jak potrafił, i uklonił się z dworskim wdziękiem.

- A ty, synu Dur-wajran?

- Czuję się dobrze, nand' wdowo. Bardzo dobrze.

395

- A ty, nand' paidhi?

- Ciekawi mnie, nand' wdowo, cel naszego pobytu w tym miejscu.

- Aha. - Wokół zapadała ciemność. - Ciekawi cię. Tak też sądziłam. Co, twoim zdaniem, tu robimy poza pasieniem mecheiti i zażywaniem morskiego powietrza?

- Denerwujemy Mogari-nai.

Ryzykował. Tego Bren był stosunkowo pewien.

Rozbawił wdowę. Ilisidi wsparła się na swojej lasce.

- Jest nazywana stacją naziemną. Ta szpetna wielka misa.

Obraza, powiadam.

- Szkoda, że psuje swoją obecnością tak piękny krajobraz. Ale jak inaczej mogłaby także pilnować Mospheiry?

Siedzieli sobie ze skrzyżowanymi nogami. Na wciąż zimnej i wilgotnej wiosennej ziemi. Jedli kanapki z rybą.

- Tak sądzisz? - zapytała Ilisidi. Bren miał wrażenie, że to nie było banalne zwykłe wyzwanie, lecz pytanie bardzo na czasie. - Powiem wam, nadiin, że zanim w Shejidan zasiadł aiji, zanim na niebie podejrzewano obecność ludzi, zanim niemądrzy atevi

budowali głupie dymiące maszyny, żeby pędziły po szynach przez kraj i płoszyły mieszkające tam stworzenia, i zanim powstała ta ohydna stacja naziemna, czy spadł między nas jakiś żagiel-kwiat, żeby nas zirytować, w tym miejscu toczyła się wojna. Tu, gdzie siedzimy, była śmierć i rozlew krwi. - Ilisidi wyciągnęła dłoń z filiżanką po dolewkę i jeden z młodych mężczyzn pochylił się nisko, żeby ją napełnić. - Prawdopodobnie w ziemi, tu, pod tym szczytem, leżą kości. A wiesz, dlaczego, dziedzicu Dur?

- Wyspę Dur - odpowiedział młody głos - opanowali wyznawcy herezji Ganów, którzy wysyłali statki wzdłuż wybrzeża, by zbierały złoto i zboże, i zabijali wszystkich, którzy się im sprzeciwia. Władali całym wybrzeżem i wypuszczali się na

396

Mospheirę. Jednak aijiin z kilku okręgów zaczęli popierać aijiego Wingin, najechali wyspę i założyli... założyli nasz ród.

- Rzeczywiście, to było Wingin. - Wdowa, zadumana, uniosła palec wskazujący. - Źródło tej zdradzieckiej wieży, wylęgarnia konspiracji.

- Teraz jednak - powiedział młodzieniec - popieramy Barjidich, nand' wdowo.

- Od Wojny Lądowania. Dopiero teraz. Dwieście lat tego „teraz”.

- Od Wojny, nand' wdowo. - Chłopiec umilkł, stał się bardzo ostrożny, wyczuwając, że się go podchodzi. Bren był tego pewien

i zapytał się w myślach: Do czego zmierza Ilisidi.

- Żagle-kwiaty wylądowały na Mospheirze - przypomniała wszystkim. - Wędrujące maszyny rozdarły ziemię oraz kamienie Ganów i przez pewien czas było dla Barjida-aijiego wygodne, że ostatnia warownia Ganów uległa tak nie przewidzianemu zagrożeniu. Kamienie babek zostały powalone nie rękami z ciała i kości, lecz przez te dymiące maszyny. Maszyny obaliły herezję.

- Tak - powiedział chłopiec. - A wszyscy atevi wyjechali z Mospheiry i osiedlili się na tym wybrzeżu.

- Głupia polityka - orzekła Ilisidi. - Panowie Ganów usiłowali pertraktować z osobami, które ich zdaniem zstąpiły z księżyca. To ich zabiło. Prawda, nand' paidhi?

Bren nie chciał brać udziału w żadnym konflikcie, czy to rodowym, czy jakimkolwiek innym. Atevi z wybrzeża mieli uzasadnione powody nie lubić ludzi: wielu z nich wyprowadziło się z Mospheiry, by uniknąć kontaktu z ludźmi i ich stylem życia. Większa grupa atevich wyprowadziła się, kiedy Wojna Lądowania spustoszyła wyspę; ostatni wyjechali, kiedy Traktat Mospheirski nadał ludziom ziemię - całą rozległą i niegdyś kwitnącą wyspę.

- Wyrządziliśmy sobie nawzajem wielkie krzywdy, nand'

397

wdowo.

Uderzył w nich podmuch wiatru.

- Dobra noc na spanie w namiotach - rzekła Ilisidi. - Zrywa się

silny wiatr. Ale co byś powiedział naszemu gościowi z Dur o

ludziach? Czy powinien się ich bać?

Znaczące pytanie. Bardzo znaczące.

- Tak, nand' wdowo. Ateva powinien przynajmniej zachować
rozwagę.

- Czy wszyscy ludzie na wyspie są rozsądni?

- Niektórzy tak, nand' wdowo. Niektórzy są bardzo
pozytywnie nastawieni do sprawy pokoju. Odkryłem jednak, że
niektórzy nie.

Była to niepomyślność niezrównoważonej dwójki, coś
dodatniego i coś ujemnego. Tak nie mogło zostać. W pewnym
sensie było to pytanie. Prowokując jednak ten podwójny układ,
wdowa go poparła. To była właśnie różnica między kompetencją i
biegłością: to była linia, którą Bren zaczął przekraczać w swoich
improwizowanych negocjacjach, linia, za którą ludzie, na tyle
odważni, by ją przekroczyć, często popełniali błędy. Poczł rodzaj
uniesienia, świadom, co robi, tak jak Wilson-paidhi nigdy tego nie
zrozumiał, i świadom, że wdowa odbiera reakcje, po których może
poznać, że została zrozumiana.

Skrzywiwszy usta, jakby poczuła w nich coś kwaśnego,

wdowa dodała:

- Kadigidi to głupcy.

- Zgadzam się.

- Wciąż się gryzę, że nie zastrzeliłam tej kobiety.

Jedną z możliwości była Direiso. Bren jednak wiedział, że „ta kobieta” ma dla Ilisidi tylko jedno znaczenie.

- Hanks-paidhi, aiji-ma?

398

- Hanks. - Zdecydowanie kwaśny uśmiech. - Melon zamiast głowy, mój sprzymierzeńcze, czy już ci to mówiłam?

Jase pewnie się zastanawiał nad słownictwem.

- Pan Geigi? - zapytał Bren.

- Ateva miał doskonałą okazję do zastrzelenia Hanks-paidhi - wtrącił Cenedi. - A Geigi ją ochronił.

- Melon, nie głowa - rzekła Ilisidi.

- Co się wiec stało, aiji-ma? - Sprawa ta budziła ogromną ciekawość Brena. - Człowiek słyszał, że rozbiły się drobne przedmioty.

- Nic gustownego - odparła Ilisidi. - O, Geigiemu było bardzo łatwo uzyskać wstęp do posiadłości Direiso. Direiso zaproponowała mu pieniądze na opłacenie pewnej - tu Ilisidi potrząsnęła palcami - nieudanej inwestycji w ropę naftową.

Saigimi był na tyle niecierpliwy, by upomnieć się o zwrot. Być może słyszałeś, że żona Saigimiego jest kuzynką Geigiego. To ona miała weksel na dom w Dalaigi. Nie miała pojęcia, że Geigi ośmielił się z tą sprawą przyjść do mnie. - Teraz kąciki warg Ilisidi unosiły się w uśmiechu. - Głupi błąd. A Direiso oczywiście związała się z tą wstrętną ludzką kobietą, która ich wszystkich

skompromitowała. Jak mówią moje źródła, Saigimi wywiózł ją ze stolicy i przywiózł do posiadłości Direiso, ale wbrew swojej woli.

Ateva musiała zdawać sobie sprawę z obecności syna pana

Dur, który siedział nieruchomo jak głaz. Jak również z obecności

personelu Tabiniego, jako że sam Tabini nie potrafił odkryć

rzeczy, o których mówiła Ilisidi.

Wdowa wyciągnęła dłoń z filiżanką, co spowodowało jej

natychmiastowe napełnienie herbatą.

- A wywiózłszy ją ze stolicy, zanim zdążyła powiedzieć

jeszcze więcej takich głupstw i obiecać promienie śmierci

spadające ze stacji, chciał zabrać ją do swojego domu w Marid, z

399

którego mogłaby mówić tylko za jego zezwoleniem. Przy okazji

chciał zatuszować swoją kompromitację w związku z pojęciem

szybciej-niż-światło. Kiedy udało ci się wytłumaczyć ten

paradoks, stało się jasne, że runie kilka rodów, ale nie Geigiego.

Tymczasem Direiso zyskała Hanks jako swego gościa. Wezwała

kuzynkę Geigiego, żonę Saigimiego, do swojego domu na

Wzgórzach Padi, i sprawy zaczęły się toczyć bardzo szybko.

Murini, spadkobierca Direiso, przeszedł do Atigeinich - kiedy

przyszło do tak oburzającej prowokacji skierowanej przeciw

aijiemu, odwaga zaczęła go opuszczać; ale Tatiseigi zamknął go w

magazyńku i w ogóle nie chciał mieć z nim do czynienia. Tatiseigi

zadzwoił do mnie z wiadomością, że ma w piwnicy szkodnika,

co oczywiście znaczyło, że trzyma tam więźnia i że mnie o tym zawiadamia. Wtedy ten dureń Saigimi rozstrzelał lilie.

Bren poczuł, że serce bije mu coraz szybciej.

- Żeby pozbyć się mnie? - zapytał. Trafił w ciszę, którą wdowa przeznaczyła na łyknięcie herbaty.

- Działanie to skompromitowałyby Atigeinich, których Saigimi uznał za niebezpiecznych, a gdyby przy okazji wyeliminowało ciebie, postrzeganego jako osobę, której man'chi jest związane z moim wnukiem, to wzrosłaby wartość tej ludzkiej kobiety. Planowali atak na nand' Jase'a w miejscu lądowania i w ten sposób mieliby wszystkich paidhiin, co złożyłoby się na dość imponującą sytuację. Wtedy skontaktowałam się z nimi jako rywalka Direiso - takie było jej prywatne zdanie - żeby spróbować objąć przywództwo jej ruchu; jako posłanica wysłałam Geigiego, osobiście spłaciwszy jego długi w niecałą godzinę przedtem.

Pieniądze nie dotarły jednak do Saigimiego, który oczywiście przebywał poza swoim regionem, zajmując się liliami. Nie muszę więc chyba mówić, że nie wiedział, iż Geigi jest wolny i ma dług u mnie. Nie wysłał więc ostrzeżenia, kiedy pojawił się Geigi, by sprawdzić, czy mam wolną drogę. Ten głupiec pomyślał, że Geigi przyjechał w odwiedziny do swojej kuzynki, która była, powiedzmy, na przechowaniu u Direiso. Zrobiła się z tego niezła

400

konferencyjka. Nie polegając w pełni na niewprawnym osądzie

Geigiego, pojawiłam się przy drzwiach i poprosiłam o wpuszczenie do środka, zanim jeszcze Geigi zdążył zdać mi sprawę. Głupia kobieta odwróciła uwagę od tylnego wejścia. Zawsze mówiłam, że Direiso nie ma żadnych kwalifikacji do objęcia jakiegoś wysokiego urzędu. A twierdziła, że to ona może zostać wybrana, nie ja. No cóż, prawdopodobnie mogła zostać wybrana, jako że pochodzi z Doliny Pa-di. Gdyby nie wyszła na głupią.

Teraz Bren wiedział, dlaczego Ilisidi mówiła tak otwarcie w obecności chłopca z Dur, który prawdopodobnie był przerażony wysłuchaniem tyłu szczegółów spisku wymierzonego w aijiego. Powiadano, że narodowa legislatura dwa razy głosowała przeciwko temu, by Ilisidi została aijim w Shejidan, ponieważ uważano, że potrafi krwawo się zemścić na swoich wrogach w legislaturze; teraz Bren wiedział, że Ilisidi już dwa razy była zamieszana w spisek mogący doprowadzić do upadku Tabiniego, tyle że tym razem kompletnie ośmieszyła Direiso. Jeśli wdowa kiedykolwiek przyznała się innym do tego, co wyjawiała teraz, to ochrona Brena nic mu nie powiedziała, a Tabini udawał, że nic nie wie.

A mógł nie wiedzieć. Ilisidi z radością postawiłaby Tabiniego w sytuacji, w której musiałby polegać na niej, tylko dlatego, że manipulowanie aijim Shejidan stanowiło dobre ćwiczenie i sprawiało wdowie przyjemność. Niech Brena diabli, jeśli nie.

Tabini nazywał ją plagą swego życia i, o ile Bren był zorientowany, nigdy nie wykonał żadnego posunięcia przeciwko własnej babce.

- Wdowo-ji - powiedział cicho - jesteś doprawdy zdumiewająca.

- Ale powinnam była zastrzelić te kobietę.

- Teraz tak się wydaje - rzekł Cenedi - ale wtedy... ktoś mógł wiedzieć, co przyjdzie z nieba?

401

Asekurowała się na wypadek, gdyby statek nie dotrzymał słowa. Cenedi nie wyjawiał tego bez cichego zezwolenia wdowy, ale w tym towarzystwie pełne znaczenie jego słów zrozumiałoby o wiele mniej osób.

- Ateva musi w końcu zebrać te wszystkie elementy razem - powiedziała Ilisidi. - Ateva rozumie, że ta odrażająca kobieta nadal ma, mając zapewnioną pomoc prezydenta Mospheiry. Ma kontakty. Wie, gdzie wysłać swoje wiadomości, żeby padły na podatny grunt. Najwyraźniej zbierała takie informacje zupełnie swobodnie, kiedy zadawała się z Saigimim - którego zgon okazał się, śmiem twierdzić, bardzo na czasie.

A co to znaczy? - zdziwił się Bren z pewnym niepokojem, ale świadomie nie zmarszczył czoła.

Napłynęły chmury. Usłyszeli daleki grzmot. Niebo zamigotało, przypominając o metalowych ramach namiotów i ich

położeniu na szczycie przylądka - wyżej znajdował się już tylko pagórek za namiotami.

- To było dobrze zrobione - stwierdziła Ilisidi i zaśmiała się cicho. - Podobnie jak niestrawność Badissuniego.

- Nand' wdowo - odezwała się Jago, jakby usłyszała komplement.

Bren przynajmniej to podejrzewał. Nadążał za rozwojem wypadków. Badissuni mógł się przyłączyć do awantur Direiso na północy. Badissuni leżał w szpitalu - ale żył - a Ajresi wciąż musiał się o niego martwić, więc i tak był wyłączony z gry.

- Pora spać - powiedziała Ilisidi. Kobieta, która chodziła o lasce i od lat skarżyła się, że jest śmiertelnie chora, posłużyła się nią teraz, by wstać z większym wdziękiem niż o wiele młodszy człowiek, któremu mięśnie zeszywniały od siedzenia na ziemi. -

Wstajemy wcześniej - oznajmiła wdowa, spojrzała w górę i uśmiechnęła się na widok błyskawicy. - Śliczna pogoda. Nowy rok. Wiosna na wybrzeżu.

402

403

Rozdział 20

O czym ona mówiła? - zapytał szeptem Jase po drodze do namiotu i chwycił Brena za ramię. - O co chodziło? - Trochę informacji - odparł Bren. Tuż nad nimi zadudnił grzmot i paidhi poczuł, że Jase się wzdrygnął. Zobaczył rozmawiających

Banichiego i Jago i domyślił się, że podobnie jak on, usłyszeli przed chwilą szczegóły, których dotąd nie znali. - Banichi i Jago zabili pana Saigimiego na rozkaz Tabiniego. Wdowa jednak powiedziała, że kiedy w zeszłym roku Direiso porwała Deanę Hanks, ona ją Direiso odebrała. Wylądowałeś właśnie w środku tamtego sporu.

- Stronictwa. - Jase znał to słowo.

- Stronictwa. Mówi, że żona Saigimiego usiłowała zdobyć ziemię i tytuł pana Geigiego, ale ona temu zapobiegła. Wiec Geigi pomógł jej odebrać Deanę pani Direiso. Tabini wypuścił Deanę.

Teraz Deana stoi za wrogimi Tabinemu przekazami radiowymi

do zwolenników Direiso. I nie zdziwiłbym się, gdybyśmy w

trakcie naszej wycieczki podjechali do Mogari-nai i wyrazili

wspólne niezadowolenie aijiego i wdowy, że gubią tam naszą

pocztę i nie reagują ostro, by zapobiec tym przekazom. To

ogromna instalacja elektroniczna. Jeśli zezwala, żeby jakieś małe

ręczne radio komunikowało się z kontynentem - w tym momencie

trzasnął piorun i Jase podskoczył; błyskawica ukazała jego

przerażoną twarz - to niezbyt dobrze wykonuje swoją pracę.

- Będą strzelać?

404

- Mogari-nai? Nie. To nie ich praca. Mogari-nai jest w rękach

Gildii Posłańców. Gildia Zabójców stoi za Tabinim. Otwarty

konflikt nie posłuży Gildii Posłańców, to pewne. Lepiej wejdź do

środka. - Bren zobaczył, że Banichi skończył krótką rozmowę i odszedł w ciemność, prawdopodobnie jedynie posłuszny głosowi natury; Bren nie miał jednak pewności. - Zaraz wracam. Nie przejmuj się grzmotami. Groźne są błyskawice. Uderzają w najwyższy obiekt w okolicy. Nie wychylaj się ponad dach namiotu, to nic ci się nie stanie.

To nie była prawda. Mecheiti znajdowały się w dużo większym niebezpieczeństwie.

- Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z naszą ochroną, nadi. Wejść do środka. Nie martw się. - Wiatr uderzał podmuchami, marszcząc i targając płótno. Kiedy Bren podchodził do ostatniego namiotu, spadła na niego duża, zimna kropla.

Jago widziała, że nadchodzi. Zaczekała na niego, nie zważając na pierwsze krople siekącego deszczu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Bren, bojąc się, mimo zapewnień, jakimi raczył Jase'a, że być może dzieje się coś, o czym nie wie.

- Tak - odparła Jago i chwyciła go za ramię, wciągając do środka. - Schowaj się przed deszczem, Bren-ji.

To był ich namiot, jej i Banichiego. Tak mały, że atevim trudno się w nim było wyprostować. Brenowi zrobiło się trochę cieplej. Stał na nadmuchiwanej podłodze. Było czarno jak w nocy.

Nic nie widział. Zapewne w przeciwieństwie do niej.

- Spisałeś się bardzo dobrze - rzekła Jago ściszym głosem. -

Spisałeś się naprawdę dobrze, Bren-ji.

- Człowiek miał nadzieję - odparł.

- Chciała powiedzieć te rzeczy w obecności chłopca, a ty

405

dostarczyłeś jej potrzebnej publiczności. Zapytałeś o porwanie

Deany. Przyszło ci do głowy zapytać o twoje własne?

Owszem, ta myśl przebiegła mu przez zakamarki umysłu,

kiedy Ilsidi przyznawała się do rzeczy, nad których

rozpracowaniem ochrona Tabiniego tak bardzo się biedziła.

- Balem się, że może to nas rozproszyć. Rozumiem, że to jest

druga sprawa.

Błyskawica oświetliła Jago, odrysowując jej cień na tle szarej

tkaniny namiotu. Dłoni Brena dotknęło coś twardego,

niebezpiecznego i metalowego. Zacisnął palce na kolbie pistoletu.

- To twój, Bren-ji. Wyjęłam go z twojego bagażu. Trzymaj go

pod kaftanem.

Serce zabiło mu szybciej.

- Jesteśmy aż w takim niebezpieczeństwie?

- Pamiętasz, skąd go masz?

- Dał mi go Tabini.

- Nie. Dał ci go Banichi.

To była prawda. Bren nie potrafił odróżnić tych pistoletów.

Podczas wakacji w Taiben strzelali z Tabinim do melonów i

złamali prawo Traktatu - zanim jeszcze Bren poznał Ilisidi.

Tabini dał mu broń, której, zgodnie z prawem Traktatu, Bren nie powinien mieć; kiedy wrócił do Shejidan, był pełen niepokoju.

Nie wiedział, co ma z nią zrobić w swoim małym mieszkaniu wychodzącym na ogród, obsługiwanym przez dwóch służących, których man'chi - teraz rozumiał takie rzeczy o wiele lepiej - właściwie nie było z nim związane. Schował broń pod materacem.

Strzelił z niej do napastnika, który pojawił się w osłoniętych firanką drzwiach prowadzących do ogrodu, w świetle błyskawic, w noc taką jak ta.

Owej nocy jego ochronę zastąpili Banichi i Jago. Banichi

406

wymienił pistolet. „Żeby ewentualne śledztwo nie powiązało go z Tabinim?”. Tak powiedział Banichi.

Banichi i Jago przejęli mieszkanie Brena, założyli przewód przy drzwiach, wymienili jego służących oraz sprowadzili Tano i Alginiego, którym wtedy nie ufał.

Od tamtej pory Bren znajdował się pod opieką Jago i Banichiego.

Natychmiast potem Tabini wysłał go wraz z Banichim i Jago do Malguri, siedziby Ilisidi.

Brenowi groziła śmierć. Był wtedy o tym przekonany. Był o tym przekonany teraz, siedząc w namiocie, z pistoletem

Banichiego schowanym pod kurtką.

Wrócił więc do najprostszego, najbardziej przyziemnego pytania, jakie niegdyś im zadawał. On, paidhi, specjalista.

- Co powinienem wiedzieć, Jago-ji?

- Że w sprawie Deany Hanks Ilisidi postąpiła bardzo dobrze i honorowo. Lecz tej nocy, kiedy do twojej sypialni wtargnął włamywacz, członek jej stronnictwa przekroczył rozkazy i usiłował cię usunąć. Nie odkryliśmy jego imienia, tylko man'chi. Oraz że ty osobiście zraniłeś tę lekkomyślną osobę; to była dla wdowy wielka kompromitacja. Do tego czasu nie przyjmowała od Tabiniego propozycji negocjacji; zmieniło się to, kiedy wbrew jej oczekiwaniom Tabini odmówił ujawnienia inspiratora ataku i jeszcze raz poprosił ją, żeby cię przyjęła u siebie. Zanim jednak wysłał cię do Malguri, zgłosił Zamiar przeciwko nie ujawnionym osobom, co stanowiło gest w kierunku Gildii i spowodowało jej oficjalnie zauważenie sprawy oraz uregulowanie pozycji paidhiego w ramach jej przepisów. To z kolei zdelegalizowało jakiegokolwiek kolejne posunięcie przeciwko paidhiin.

Przypadkowo utrudniło to Tabiniemu postępowanie z Deaną Hanks, kiedy przybyła do stolicy podczas twojego pobytu w Malguri. Tymczasem Ilisidi starała się podjąć decyzję, czy

407

powinna uwierzyć zapewnieniom Tabiniemu, że ani on, ani ludzie nie zdradzili Patronatu, czy też ma się zgodzić na poprowadzenie próby usunięcia Tabiniemu z urzędu. Niektórzy spiskowcy ze

wschodu uwierzyli jej ocenie, że jesteś uczciwy, a inni nabrali tego przekonania po tym, jak cię przesłuchiwali.

- A więc to o to chodziło?

- Ta sprawa w piwnicach? Tak. Nie mogliśmy temu zapobiec.

Bunt się rozprzestrzenił. Pewien pan wykonał ruch, za pomocą którego usiłował obalić wdowę, więc Ilisidi poszczuła na niego siły Tabiniego. Jednak tutaj, na zachodzie, sytuacja była dokładnie taka, jak przeczuwałeś: atevi bali się ludzi, lecz kiedy udało się te obawy rozproszyć, Tabini zyskał większą popularność wśród gminu. Tak samo uzyskała ją perspektywa jeszcze bliższej współpracy między ludźmi i Shejidan - powodzi techniki spadającej z nieba i większej władzy centralnej dla Shejidan. Direiso oraz inni, którzy chcą zasiąść na miejscu Tabiniego, a także panowie z Półwyspu, którzy nie chcą scentralizowanego rządu, zrozumieli, że jeśli nie wykonają szybkiego ruchu, to później już się nie ośmielą tego zrobić. Skontaktowali się więc z Ilisidi, sądząc, że uda im się ją zmusić do tego, by cię im oddała. A Ilisidi uratowała paidhiin i nie pozwoliła, by wpadli w ręce Direiso. To było jasne. Ilisidi nie chce, żeby Direiso została aijim. Gdzie jednak stoi sama Ilisidi? Odpowiedź, nadi-ji, można było poznać dziś wieczorem. Podejrzewam, że Saigimi z Półwyspu usiłował namówić Ilisidi do obalenia Direiso - która pochodzi z Doliny Padi, podczas gdy korzenie Ilisidi sięgają dalekiego wschodu.

- Czy możemy na niej polegać? Boli mnie już samo to, że muszę zadać to pytanie, Jago-ji. Ale czy możemy sobie na to pozwolić? A może jest jakieś trzecie wyjście?

W ciemności zapadła cisza. Błyskawica ukazała Brenowi Jago z łokciem opartym na kolanie, a podbródkiem na zaciśniętej pięści; w tym ułamku sekundy atewa zmieniła pozę.

408

- Aiji wypróbował ją, posyłając cię do Malguri. Teraz ona wypróbowuje Tabiniego, żądając oddania w jej ręce obu paidhiin.

Taką mamy teraz sytuację, Bren-ji. I nie znamy odpowiedzi.

- To ja poprosiłem, żeby nas tu przywiozła.

- Cenedi mówi co innego.

Właściwie Bren przypomniał sobie, że to nie było dokładnie tak.

- Poprosiłem ją, żeby pojechała z nami do domu Geigiego.

- A ona zaproponowała wtedy Saduri.

- Owszem.

- A Geigi zaprosił cię do siebie.

- Tak.

- Man'chi Geigiego jest związane z nią, Bren-ji. Manewry

Tabiniego pomogły mu spłacić dług, który u niej zaciągnął.

Jednak Ilisidi już go uratowała pod względem finansowym. A ty,

ulubieniec wdowy, którego man'chi, jak sam powiedziałaś, jest

związane z Tabinim, uratowałaś jego reputację. Geigi znajduje się

w interesującej potrójnej sytuacji.

Jednym z największych błędów ludzi w czasach sprzed Wojny było zawiązywanie tego, co uważali za przyjaźń, w poprzek linii wyznaczających związki patronackie: rozdarli atewskie społeczeństwo na strzępy, zabijali jednostki i niszczyli im życie, w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, co robią.

- Cholera - powiedział Bren, mając bardzo złe przeczucie;

Jago musnęła w ciemnościach jego dłoni.

- To niekoniecznie musi być złe, Bren-ji.

- Postąpiłem cholernie głupio.

- Ale niekoniecznie źle. Kiedy ty sam zaproponowałeś jej, żeby pojechała do Dalaigi, co w świetle działań Tabiniego

409

przeciwko Saigimiemu byłoby nierozsądne, Ilisidi mogła zaproponować Taiben. Tabini się tego spodziewał. Ona jednak chciała, żebyś pojechał do Saduri, a teraz wiemy, dlaczego: Deana Hanks przybywa na kontynent i aiji-wdowa już o tym wie.

- Na kontynent!

- Nie wiemy, jak. Łodzią albo awionetką. Może wylądować gdziekolwiek na wybrzeżu.

- Dlaczego, nadi-ji?

- Ateva chciałaby zadać paidhiemu to samo pytanie. Tę informację otrzymaliśmy jednak dopiero zeszłej nocy, Bren-ji.

Tabini nic nie wiedział, a Ilisidi wciąż może wiedzieć więcej od

nas.

- Żeby sprzymierzyć się z Direiso. Drugi ośrodek - by rzucić wyzwanie rządowi Tabiniego. To jest plan Deany. Boże! Ale gdzie w tym wszystkim stoi Ilisidi?

- Z aijim. Mamy nadzieję.

Bren niedawno sobie uświadomił, że w grze pojawili się nowi uczestnicy. Niebezpieczni uczestnicy. Przypomniawszy sobie konflikt z pilotami chcącymi utworzyć własną Gildię. Opozycję Posłańców.

- A Gildia Posłańców? W ogóle Gildie?

- Gildie zasadniczo opowiadają się za aijim. Wyraziliśmy ten fakt w Marid, wykonując nasze zlecenie. Tymczasem Hanks przybywa na kontynent z nie znanych nam powodów; wiemy natomiast, że Direiso jeszcze jej nie wyjaśniła, że ma o wiele mniejsze poparcie niż poprzednio. Teraz Hanks stanowi atut, który Direiso musi mieć, by pokazać swoim wahającym się poplecznikom, że może prowadzić rozmowy z Mospheirą; uważamy, że to właśnie zamierza zrobić. Mospheirą wydaje się słaba, pozbawiona surowców - jej statek nie polecą przed naszym. Jeśli dzięki rozmowom z Mospheirą Direiso będzie mogła

410

wzmocnić swoją pozycję, na pewno to zrobi. To, że nie lubi ludzi, nada w jej oczach całej sprawie pikanterii.

- To, że stronnictwo Hanks nie lubi atevich, też jej nie

powstrzyma. Przybywa tu, żeby dogadać się co do surowców, których Mospheira nie może dostać bez tych linii kolejowych i portów na północy. Tam, gdzie Direiso jest teraz silna.

- To dobrze pasowałoby do naszych podejrzeń.

- Dur nie wspierałaby czegoś takiego, prawda?

- Chłopiec? Całkowicie niewinny. I świadom o wiele większej liczby rzeczy, niż powinny usłyszeć młode uszy. Podejrzewam, że jego ojciec chciał utrzymać wyspę z dala od kłopotów. Dur nie jest lekkomyślna. To wyspa, która niegdyś utrzymywała się z przemytu, a teraz pragnie turystyki. Jest o wiele za mała, żeby liczyć się w większości spraw. Ale chłopiec - to chłopiec. Ukradł samolot i z mapą nieaktualną od sześciu lat wyleciał nocą z Dur; trzymając się torów kolejowych, doleciał do Shejidan, a konkretnie nad stację kolejową. W poprzek trasy twojego samolotu, który schodził do lądowania.

Nagle uderzył deszcz, mocno bębniąc w płótno.

W wejściu, na krawędzi ulewy, pojawił się cień. Brenowi podskoczyło serce.

- Nadiin. - W mrok namiotu wcisnął się ociekający wodą

Banichi. - Czy wszystko wyświeciłaś, Jago-ji? Wyjaśniłaś wszechświat?

- Prawie - odparła Jago. - I dałam mu pistolet. Użyjesz go, Bren-ji, według swojego uznania.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał.

- Można go powiązać tylko ze mną - powiedział Banichi. -

Jednak w porównaniu z wagą tej sytuacji takie szczegóły mają niewielkie znaczenie.

411

- Jak ona mnie nakłoniła do poproszenia jej, żebyśmy tu przyjechali? - Ta myśl wciąż nie dawała Brenowi spokoju. - Czy tak łatwo mnie przejrzeć?

- To nieistotne, że ją poprosiłeś. Ateva sądzi, że w razie czego aiji sam spakowałby cię i wysłał - rzekła Jago. - Ona wcale nie potrzebowała twojej prośby. Wróciła do Shejidan właśnie po ciebie. Przyjęcie było pretekstem. Sondowała Tabiniego, sondowała twoją pozycję - i obserwowwała Jase'a.

Bren zasnął niemiłego uczucia.

- Tatiseigi. Gdzie w tym wszystkim jest Tatiseigi?

- A - odezwał się Banichi. - Wuj Tatiseigi. Robi się zakłady. Stawki są bardzo wysokie.

Myśląc, w co się wtrącał z tą wariacką sprawą przepalanej żarówki, Bren poczuł przeszywające go na wskroś zimno.

- Wciąż nie wiecie, jakie jest jego stanowisko.

- Bren-ji - powiedziała cicho Jago - Saigimi też nie wiedział, jakie jest jego stanowisko. Nawet my popełniamy błędy w man'chi. To nie zawsze jest logiczne.

- I nie może znaleźć telewizora - dodał ponuro Banichi. -

Ateva ma nadzieje.

Bren roześmiał się. Musiał to zrobić.

- Ja będę spał z Jasem - rzekł Banichi. - Tylko... bądźcie roztropni, nadiin. Nie hałasujcie.

- Banichi... - zaczął Bren. Było jednak za późno. Banichi zniknął w deszczu, kierując się do jego namiotu, do jego współlokatora, nie zostawiając mu żadnego schronienia na noc.

Znajdował się w ciemności. W całkowitej ciszy. Może Jago miała jeszcze jakieś inne informacje.

- O co więc trzeba jeszcze zapytać?

412

- Powiedziałałam wszystko, co mogłam, Bren-ji.

Zapadła cisza.

- Powinniśmy odpocząć - rzekła Jago.

- Jago... - zaczął Bren i musiał odchrząknąć.

- Nie trzeba, nadi-ji. Banichi ma paskudne poczucie humoru.

- Jago... - Sięgnął do jej ręki w ciemności, zamiast niej znalazł chyba kolano i przypomniał sobie, jak zeszłego wieczoru w zdaje się ukartowanej sytuacji prawdopodobnie odrzucił i zawstydził Jago. Nawet nie wiedział - to była ta wieczna trudność - jakie sygnały wysyła teraz, a myślał o niej, myślał o niej w chwilach zapomnienia w taki sposób, który czynił z tego dotyku w ciemności najbardziej pożądaną i najbardziej naganną rzecz, jaką mógł zrobić.

Jej ręka odnalazła dłoń Brena z o wiele większą dokładnością i

spoczęła na niej, ciepła i silna; jej delikatny ruch zajął wszystkie obwody, które Bren usiłował wykorzystać do sformułowania rozsądnego protestu.

- Jago... - zaczął znów, a jej dłoń przesunęła się na jego kolano. - Naprawdę nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Ruch ustał.

Bren był zrozpaczony. I rozczarowany. Potrafił jednak znaleźć jej dłoń i ująć ją.

- Jago - powiedział po raz trzeci. - Jago-ji. Martwię się... - Jej palce owinęły się wokół kciuka paidhiego, wysadzając jego logikę z szyn. - Dobre maniery - udało mu się powiedzieć. - Banichi.

Wdowa. Pragnę cię, ale...

- Ona jest na zewnątrz twojego man'chi. Niedaleko, ale na zewnątrz. A gdyby miało się zdarzyć coś niepomyślnego, to będzie bezpieczniej, jeśli ty będziesz tutaj, a Banichi z Jasem.

- A co mogłoby się zdarzyć?

413

- Wszystko. Wszystko może się zdarzyć. Cokolwiek sprawi ci przyjemność. Chętnie sprawiłabym przyjemność nam obojgu.

Czuł ciepło jej ciała. W świetle błyskawicy zobaczył cień

Jago, blisko siebie.

- Czy zatem powinniśmy... - zaczął w przebłysku samozachowawczej myśli.

- Powinniśmy uważać na broń - powiedziała. - Bren był

pewien, że żartobliwie, a jej dłonie spoczęły mu na piersi.

Poczuł falę gorąca; przesunął się i chwycił Jago za rękę, by obronić się przed jej badawczymi palcami, poszukującymi pistoletu.

- Czy to dobry pomysł? - zapytał, szybko tracąc rozsądek. -

Jago-ji, jeśli to zrobisz, to oboje możemy zgorszyć towarzystwo.

- Nie to towarzystwo - odparła. W jakiś sposób znaleźli się poza swoimi wzajemnymi liniami obrony i Bren nie myślał już z całkowitą jasnością, a badał terytorium, którego nie widział, ani nigdy przedtem, ani teraz, po raz pierwszy w życiu sam i nie sam.

Ona robiła to samo, znajdowała wrażliwe miejsca i wyjawiała mu swoje, które mógłby pominąć. Pozbyli się ubrań na nieco sprężystym i cienkim materacu. - Musimy wyglądać przyzwoicie - ostrzega rozsądnie Jago.

Wraz ze starannym ułożeniem ubrań na boku, zniknęła ostrożność. Bren przesunął w ciemności dłonią po gładkich płaszczyznach aż do krągłości, które zaczęły coś dla niego znaczyć, podobnie jak jej ręce wędrowały po jego ciele, szukając reakcji i je znajdując.

Boże! Znajdowała je. Wyrzucił ręce w górę w odpowiedzi na wołanie zdrowego rozsądku: niebezpieczeństwo! krzywda! ból! - lecz w tej chwili usta Jago odnalazły jego wargi i kobieta złożyła na nich badawczy oraz niewiarygodnie zmysłowy pocałunek.

Nie wiedział, że atevi potrafią robić coś takiego. Smakowała

obco; to było dziwne; ale sprawy doszły już do punktu bez-myśli i bez-sensu. Oboje błądzili w ciemnościach, nie mając pojęcia, co boli, a co nie, a wysiłki skonsumowania tego, co zaczęło się dziać, stały się gwałtowną i deprymującą komedią omyłek, która początkowo złościła go i zawstydziała, a w końcu rozśmieszyła Jago.

Jej dobry humor zmniejszył desperację Brena.

- Musimy poćwiczyć to za dnia - mruknął. - To jest wyczerpujące.

Dostał za to szturchańca w zębra, co, jak odkryła Jago, wywoływało reakcję obronną. Bren skulił się - a na dudniący odgłos grzmotu przywarł do Jago. Pomyślał, że oboje zwariowali, w namiocie, w połowie drogi do pokrytego koronką błyskawic nieba, pod metalowym szkieletem i w zasięgu słuchu atevich Ilisidi. I wtedy - wtedy, może to dzięki prostemu przyznaniu się, że jest głupcem, a może Jago zmieniła pozycję - nagła i w żaden sposób nie skoordynowana reakcja pchnęła go ku wyzwoleniu.

Jago zadrżała i nie zaprotestowała; Bren zamknął oczy, a ciemność nabrała intensywniejszych barw, czerwieni i czerni.

Przez kilka chwil po prostu unosił się w przestrzeni, na wpół świadomy oplatającego go ciepłego ciała, delektując się dziwnym smakiem Jago i czując, no cóż, że właściwie stanął na wysokości zadania. Odniósł wrażenie, że Jago się to podobało, i poraziła go

myśl, że ateva wszystko opowie Banichiemu, robiąc z ich nocy zabawną historyjkę.

Ale ona nią właśnie była, do cholery. Jago miała powody do śmiechu. Dzięki Bogu, że potrafi się śmiać. Ujmowało to powagi temu, w co się wplątał; leżąc z Jago w przezroczystym od błyskawic namiocie, Bren usiłował umieścić to wszystko w jakiejś perspektywie. Była ciekawa, a on odpowiedział na jej pytanie. Zdziwiła go jak diabli tym pocałunkiem - robiło mu się ciepło na samą myśl o nim - i Bren zastanawiał się, czy Jago przeprowadziła jakieś własne badania, czy atevi po prostu tak robią.

415

Nie poprzestała na tym. Duże kłopoty, pomyślał Bren, kiedy Jago zaczęła nawijać sobie jego włosy na palce i przytuliła się do niego z westchnieniem zadowolenia. W tej chwili jego ludzkie uczucia ześliznęły się w przepaść niebezpieczniejszą niż ta na zewnątrz. Jago nie robiła mu wymówek, za nic nie winiła - może ma jakiś plan - ale była to kobieta, której ufał bezgranicznie i utraty dobrej woli której nie zaryzykowałby za nic w świecie. Najwyraźniej, sądząc po owych palcach skręcających jego włosy w pierścionki, wciąż cieszył się jej uznaniem. Zaryzykował wszystko i nic nie stracił; może będą następne noce - a teraz właśnie doszedł do wniosku, że jego sprawy osobiste osiągnęły stan bezpiecznego otępienia. O, Boże, to jest niebezpieczne.

- Było przyjemnie? - zapytała Jago.

Zaczerpnął tchu.

- Mnie się podobało.

- Nie postąpiliśmy zbyt odpowiedzialnie. Ale Banichi wiedział, że tak będzie.

- Naprawdę? - zapytał Bren, ale on też był tego pewien.

- Oczywiście. Teraz się jednak ubierzmy, tak na wszelki wypadek. Początkowo nie było niebezpieczeństwa. Jednak nad ranem powinniśmy być nieco czujni, na wypadek, gdybyśmy musieli wyruszyć.

- Direiso?

- Możliwe.

- Co się dzieje? Dokąd jedziemy i co planujemy?

- Cenedi i wdowa wiedzą na pewno. Najprawdopodobniej do Mogari-nai. Direiso-daja to się nie spodoba. - Jago wstała i pociągnęła go za rękę.

Nie spodoba się? - Bren zadał sobie to pytanie w myślach.

Zgodził się wstać. Jago wyskoczyła jednak z namiotu, całkiem

416

naga, w siekący deszcz, i pociągnęła Brena za sobą. To był zimny deszcz. Stali, ociekając wodą. Wciąż błyskało, wiatr był silny, a Jago, ze swoją czarną skórą błyszczącą w świetle błyskawic, zalewana deszczem i z mokrym warkoczem zachowywała się tak, jakby byli w bezpiecznej, ciepłej łazience w domu.

Bren poszedł za jej przykładem, nie chcąc myśleć, że jest

delikatniejszy od niej. Tarł i mył swoje ciało, ale bardzo się ucieszył, kiedy Jago wskoczyła do namiotu. Rzuciła mu jego ocieplany śpiwór; wytarli się, ubrali i położyli na rozpiętym śpiworze, przykrywając się drugim; drżeli, przytuleni do siebie.

- To lepsze niż dach na Półwyspie - powiedziała i objęła

Brena. - Prześpij się.

Starał się, ale nie sądził, żeby mu się to udało po lodowatym prysznicu; drzenie jednak ustało, dotyk ciepłego ciała Jago był bardzo przyjemny, jej ramiona bezpieczne jak nic na świecie i Bren zaczął odpływać w sen.

To nie miłość, powiedział sobie w duchu. A potem pomyślał, doznając jednego z tych objawień, jakie przytrafiały się jego zawodowemu umysłowi, że może dlatego mają takiego pecha w miłości i man'chi, iż to słowo w mospheiranie łączyło ze sobą tyle rzeczy, że po prostu stawało się niebezpieczne.

Byli kochankami. Jednak ragi mówił, że są partnerami płciowymi.

Byli kochankami. Jednak ragi mówił, że są towarzyszami.

Byli kochankami. Jednak ragi mówił, że znajdują się w obrębie man'chi tego samego pana.

Spali ze sobą. Ragi jednak mówił, że są noce jednej świecy oraz noce dwóch świec, i że są związki, które wcale świec nie liczą.

Spali ze sobą. Jednak przysłowie w ragi mówiło: „Jedna

świeca nie obiecuje śniadania”.

417

On i Jago będą mieli szczęście, jeśli jutrzejszego śniadania nie zakłócają jakieś kłopoty, Bren i tak wiedział, że bez względu na to, co się stanie, Jago i Banichi będą go chronić. Zatem jeśli ich języki niezupełnie odzwierciedlają to samo, jeśli ich ciała są niezupełnie dopasowane, a miejsca w ich psychice - oznaczone napisem: „Ta osoba spełnia wystarczająco dużo wymagań, by dać mi szczęście” - różnią się trochę kształtem, to środek tego wzoru może pasować, a nie przylegają tylko krawędzie.

Ale czyjego związek z Barb nie miał niedopasowanych krawędzi? Czy nie ma ich każdy bliski związek?

Jednak próby rozgryzienia tego problemu znajdowały się zupełnie poza możliwościami Brena. Wiedział jedno: z Jago na pewno nie będzie liczył świec. Przyjmie wszystko, co uda im się ułożyć, o ile tylko będą przy tym trwać oboje.

Teraz był szczęśliwy. Nie przysięgłby, że blask słoneczny niczego nie zmieni. Jako że jego osobiste sprawy, wyglądające na to, że potoczą się dobrze, zwykle toczyły się źle, nie pozwolił sobie na nadzieję, że wytrzymają światło dnia.

Wierzył jednak, że Jago ochroni samą siebie.

Ta myśl pozwoliła mu się w końcu odprężyć. Słuchał oddechu Jago. Z głupiej ciekawości zaczął dopasowywać swój oddech do jej rytmu, chcąc się przekonać, czy to możliwe. Udało mu się to

wymusić - ale nie było naturalne. Wyglądało na to, że Jago śpi, więc próba mogła nie być miarodajna.

Bren wciąż usiłował wyrównać swój oddech z oddechem Jago, ale bez większych sukcesów.

418

Rozdział 21

Dobra noc? - zapytał ich Banichi. Był zimny, deszczowy poranek. Atevi Ilisidi poszli osiodłać mecheiti.

- Zupełnie dobra - oznajmiła Jago, przechylając głowę. - Dla ciekawych, tak, Banichi-ji. I co, pewnie będziesz błagał o lubieżne szczegóły?

Kiedy Banichi zerknął na Brena pytająco, ten starał się zachować obojętną twarz. Chyba mu się nie udało.

- Wykluczony - rzekł Banichi. - Porzucony.

- Uciekłeś, przygotowawszy grunt - odcięła się Jago.

- To ona powiedziała, że w nocy powinniśmy trzymać straż oddzielnie - powiedział Banichi. - Nie słyszałem jednak wołania o ratunek.

- Zachowuj się przyzwoicie! - Jago zaczęła się wreszcie bronić. - Mój partner nie ma wstydu, paidhi-ji.

Banichi odszedł, zadowolony, a służący pośpiesznie zwinęli namioty. Ilisidi i Cenedi poszli po mecheiti; żaden z wierzchowców nie podszedłby do swego jeźdźca, dopóki nie zrobi tego Babsidi. Chłopiec z Dur znalazł Jase'a i razem z nim obrał

kurs na Brena i Jago.

Jase utykał: jako że był początkującym jeźdźcem, nie trzeba było się domyślać, dlaczego. Wyglądał na zmartwionego. Pewnie

419

zapyta, dlaczego zostali rozdzieleni na noc.

A Bren nie wiedział, jak ma to wyjaśnić. Prawda będzie miała następstwa. To na pewno.

- Mam obowiązki - oznajmiła Jago i opuściła Brena.

- Bren? - zagadnął Jase.

- Dzień dobry, Jasi-ji. Przepraszam za tę zmianę ustaleń.

- Deszcz. Wiem. - Jase pominął tę sprawę. - Dokąd jedziemy?

Nand' Rejiri mówi, że na zachód. Na zachód, mam rację, nadi?

Mogari-nai? Nie na ryby. Nie w dół nad morze?

Chłopiec z Dur wyglądał tak, jakby go olśniło, że może powiedział coś niewłaściwego. Bren usiłował przypomnieć sobie, które z nowych informacji przekazał Jase'owi.

- Obiecałeś mi ocean, nadi - przypomniał mu Jase. - Mieliśmy popłynąć na ryby. Mówiłeś o kłopotach politycznych w Mogari-nai. Nand' Rejiri mówi, że jego ojciec powinien przywieźć tam broń i że ja powinienem poprosić ciebie, żebyś zapytał wdowę, czy on może pojechać do ojca po broń.

- Zapytaj wdowę, nadi - powiedział Bren do chłopca.

- Ateva pytał, nand' paidhi. Ona nie chce mi jednak zaufać.

- Możliwe, że ma inne powody, nadi, takie jak trzymane w

tajemnicy zamiary i proponuję, byś pamiętał, że jest stara dlatego, że niektórzy jej wrogowie nie żyją.

Rejiri spoważniał.

- Nandi - powiedział.

Tymczasem urażony współlokator, mający o wiele więcej problemów na głowie, oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie.

- Jedziemy do Mogari-nai, Jase, i mam coraz większą pewność, że ma miejsce jakaś trudność - powiedział Bren.

- Nie jesteśmy na wakacjach.

420

- Chyba nie, Jase.

- Gdzie byłeś w nocy?

Chłopiec zamienił się w słuch.

- Rozmawiałem - odparł Bren.

- Ale nie ze mną - rzekł Jase i odszedł.

- Jase! - zawołał Bren, jednak Graham się nie zatrzymał; szedł wzdłuż byłej linii namiotów, która teraz zamieniła się w ciąg pakunków.

Nie mógł pobiec za Jasem na oczach całego obozu. Nie mógł zacząć kłótni. Jase zdecydowanie nie był dyplomatą. Bren nie wiedział, jak daleko zajdzie sprawa ani czym się skończy, gdyby Jase wybuchnął, i to w obecności nieodpowiednich osób.

Tymczasem Ilisidi dosiadła Babsidiego i wraz z Cenedim prowadziła stado do miejsca, w którym leżały bagaże.

- Chyba powiedziałem za dużo, nand' paidhi - odezwał się z zakłopotaniem Rejiri.

Bren nigdy nie miał do czynienia z atewskim nastolatkiem. A już na pewno nie z młodzieńcem stojącym na krawędzi niezależności.

Nie chciał upokorzyć chłopca, który prawdopodobnie wysłuchał już od Banichiego swoich błędów.

- Czy nand' Banichi dał ci jakąś radę? - zapytał Bren.

- Tak, nand' paidhi.

- Czy to była dobra rada?

Zapadła chwila milczenia.

- Tak, nand' paidhi.

- To mądry ateva. Ja sam często słucham jego rad. Robi to nawet aiji. Obserwowałbym go i robił to, co on.

421

Nie myślał o chłopcu. Myślał o Grahamie i o tym, jak naprawić własne błędy, a może skierowanie niewinnego atevy do niego było drobną zemstą za żarty Banichiego. Chłopiec powiedział jednak z entuzjazmem:

- Dziękuję, nand' paidhi - i ruszył w kierunku Banichiego.

Bren zastanawiał się, co właśnie zrobił; potem uderzyła go myśl, że Ilisidi i wszyscy jej atevi pochodzą ze wschodu, a on i Jase są tu tylko urzędnikami, których man'chi w rzeczywistości jest wyraźnie związane z Tabinim. Właśnie upewnił

zdezorientowanego młodzieńca, że naprawdę może polegać na Banichim, i właściwie mu to zalecił.

Przynajmniej to była prawda i Bren nie zwiódł chłopca ani nie pogorszył sytuacji.

Gdyby tylko mógł mieć takie szczęście ze swoim własnym gatunkiem.

Jase nie spojrzał na zbliżającego się Brena. Atevi Ilisidi siodłali mecheiti i w obozie panował chaos.

- No, no, no - powiedziała radośnie Ilisidi, podjeżdżając na Babsidim, który prawie zasłonił sobą niebo pokryte szarymi wstęgami chmur - dzień dobry, nand' paidhi.

Czy jest rozeźlona? - Bren zadał sobie to pytanie w myślach.

Czy wie? Ilisidi wiedziała o każdym kichnięciu w swoim otoczeniu. No i ta gra w zaloty, którą prowadzili z wdową. Czy kryła prawdziwą zaborczość? Prawdziwe skłonności starej kobiety?

Katastrofę?

- Prowokujesz tyle pytań - rzekła wdowa i dała Babsidiemu znak, żeby minął Brena. Nokhada była osiodłana. Podobnie mecheita Jase'a; nie było miejsca ani czasu na rozmowę; mecheiti czekały najeźdźców, a atevi siodłający wierzchowce chcieli, żeby ludzie czym prędzej na usiedli i przesiali im zawadzać.

422

Bren zmusił Nokhadę do przykłąku i usiadł na jej grzbiecie,

czując ten jedyny w swoim rodzaju ból towarzyszący im podczas drugiego dnia jazdy. Był pewien, że Jase wcale nie czuje się lepiej. Jedynymi osobami uodpornionymi na te dolegliwości byli zapewne tylko atevi Ilisidi i ona sama.

Bren trzymał Nokhadę na krótkiej wodzy i wiedział, że nie będzie miał okazji do porozmawiania z Jasem na tyle długo i poważnie, żeby go uspokoić.

Jase wiedział, że został okłamany. Może nie celowo, ale Bren zasłużył sobie na jego gniew za zostawienie go zeszłej nocy na lodzie. Banichi był zapewne sympatycznym i cichym współlokatorem - bardzo cichym współlokatorem, co oznaczało, że Jase nie wydobył z niego żadnych informacji. A Bren dał mu do zrozumienia, że wróci. Kłamstwo numer jeden

Nie powiedział Jase'owi, gdzie był. Kłamstwo numer dwa, przynajmniej przez zaniedbanie, a Bren nawet nie pomyślał o stanie jego umysłu w kategoriach innych niż burza i błyskawice, których, jak wiedział, Jase się bał. Banichi nie zawsze potrafił uspokoić człowieka. Banichi z tymi swoimi żartami.

Prawdopodobnie uraczył Jase'a statystyką osób trafionych piorunem podczas wycieczek campingów.

Musi zebrać myśli. Nie może traktować Jase'a w ten sposób.

Tym razem Bren naprawdę postąpił źle, ponieważ rozproszyły go sprawy osobiste, a to po prostu była zbyt poważna sprawa, żeby powiedzieć „zapomniałem”.

Ostatni ateva wsiadł na swojego mecheitę. Za urwiskiem morze było zasnuite szarą mgiełką. W dali majaczyła wyspa Dur. Ilisidi poprowadziła grupę szybkim tempem, mając wyspę po prawej stronie. Jechali na zachód.

I z pewnością nie wybierali się na ryby.

423

Wysoko nad nimi pędziły chmury, biorące się z jakiegoś niewyczerpanego źródła za horyzontem, fala za falą pędzone silnym wiatrem; w połowie poranka słońce zaczęło jednak wygrywać bitwę i na aksamitnych pofałdowanych połaciach ziemi zaczęła się gra światła i cienia.

Pięknie. Musiała to zauważyć, każda nawet najbardziej zdenerwowana osoba.

Bren podzielił się swoim spostrzeżeniem z Jasem, starając się wywołać miłszy nastrój przed zbliżającym się popasem, kiedy miał nadzieję na rozmowę.

- Tak - powiedział Jase, ale nie dodał nic więcej, a kiedy wszyscy rzeczywiście się zatrzymali i stanęli na ziemi, skwitował brenowe „przykro mi” słowami: - Gdzie leży prawda, nadi? Jak mam ją poznać?

- Byłem z Jago - odparł Bren najciszej, jak się dało. -

Przepraszam! Nie myślałem! Byłem głupi! Czy wysłuchasz mnie?

- Mów. - Nie byli aż tak daleko od Banichiego. Oznaczało to, że nie są daleko od chłopca z Dur, który postąpił dokładnie tak,

jak poradził mu Bren. A ton Jase'a nie zachęcał do zwierzeń.

- Chodzą słuchy, że na kontynent przybywa Deana Hanks.

Podejrzewam, że Mospheira zamierza zawrzeć niezależną umowę

z Direiso z Kadigidich o oderwanie od Patronatu Zachodniego

północnych prowincji, ale nie jestem pewien, czy potrafię

całkowicie otworzyć atevim oczy na to, co robi Hanks: jest to dla

nich zbyt obce. Cały wschód jest niepewny, trzyma się głównie

dzięki wpływowi Ilisidi. Nadążasz?

- Czy to właśnie omawialiście w łóżku?

- Tak, do cholery, między innymi. Posłuchaj mnie. Mamy

problem o wiele większy niż mój błąd. Przyznaję, że to był błąd.

Dobra, byłem cholernym głupcem, ale starałem się wy badać

sytuację...

424

- Między innymi.

- Tak, między innymi. - Bren był coraz bardziej wściekły. Tak

wściekły, że czuł drżenie mięśni i brakło mu tchu, co nie

pomagało w porozumiewaniu się. Przeszedł na mospheiran: - Czy

możesz, na litość boską, przestać wyliczać, kto nie ma racji, a kto

ją ma, i posłuchać, co mówię?

- Słyszę, co mówisz. Jeśli nie kłamiesz, to co my w tym

wszystkim robimy? Po co nas tu przywieźli, jeśli sprawa jest nie

zakończona? Możesz mi odpowiedzieć?

- Staram się!

- A czego potrzebujesz? Więcej badań?

- Rusz głową, do cholery! To poważna sprawa.

- Nie uważam jej za inną. Gdzie jest Tano i Algini? Dlaczego jesteśmy z tymi ochroniarzami? Odpowiedz mi, Bren!

Wdowa już dosiadała Babsidiego. Musieli pójść w jej ślady, bo inaczej mecheiti poszłyby za nim bez nich.

- Zapewniam się, że nic im nie jest - odparł Bren. - Pracują w fortecy, zabezpieczając teren.

- Łatwa odpowiedź.

- To są ich partnerzy! - Ateva przydzielony Jase'owi już czekał. Byli prawie ostatni. - Zastanów się nad man'chi. Zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałem. Banichi i Jago nie pozwolą, żeby coś im się stało.

- To znaczy, nie wiesz, dlaczego nie pojechali z nami.

Pytanie rodziło pytanie.

- Nie mogę się z tobą sprzeczać. Naprawdę musimy jechać. -

Podszedł do Nokhady, tak rozzłoszczony, że prawie nie poczuł wysiłku, jaki musiały wykonać obolałe mięśnie, by wyrzucić go na siodło. Obrócił Nokhadę i sprawdził, czy Jase'owi udało się skorzystać z pomocy atevy, który następnie pomógł znaleźć się w

425

siodle chłopcu z Dur.

Jase nie rozumiał Brena. Zważywszy na jego doświadczenie zawodowe, powinien osiągnąć porozumienie z Jase'em przy o wiele

mniejszym wysiłku niż z atevimi; wcale tak się jednak nie stało.

Nie stało się tak w ciągu całego roku.

„Dlaczego jesteśmy z tymi ochroniarzami?”. Głupie pytanie, skutek zignorowania wszystkiego, co wcześniej mówił Bren.

Lecz Tano i Algini byli na miejscu, kiedy Jase przebywał w apartamencie, a Banichiego i Jago nie było przez dłuższy czas.

Tano i Algini byli znanymi Jase'owi, godnymi zaufania osobami, do których w razie czego by się zwrócił; zatem Jase był do nich tak przywiązany jak Bren do Banichiego i Jago.

Ujrzawszy teraz upór Jase'a w innym świetle, Bren jechał obok niego i miał nadzieję, że Jase zechce porozmawiać; Graham jednak milczał i zdawał się go ignorować. Jase momentami jechał z zamkniętymi oczyma, może nie chcąc widzieć nierówności terenu, a może go mdliło od kołysania; skarżył się na to już w dniu, w którym wylądował.

- Ładne chmury - zauważył Bren.

Żadnej odpowiedzi.

- Ten cały teren jest nachylony. Nie ma tu zbyt wielu dróg. Z fortecy widać zbocza wznoszące się z równin. Gdyby jej tam nie było, ktoś mógłby przejechać nie zauważony. Są tam, żeby nas ostrzec. Po to zostali. - Kiedy Bren trochę ochłonął, przyszło mu do głowy, że człowiek, któremu sprawia kłopoty płaski teren, może nie mieć intuicyjnego wyczucia taktyki. - Jak foyer w domu. Jeśli się stanie w drzwiach, to nikt nie wejdzie do środka. Tak,

jakby siedzieli na posterunku w foyer. Jak długo tam są, tak długo nikt nie może pojawić się na tym terenie. Tano i Algini mogliby to robić nawet wtedy, gdybyśmy rzeczywiście przyjechali tu na wakacje. Aijiin nigdy nie zakładają, że nikt na nich nie czyha. Nigdy.

426

Jase nie odpowiedział, ale przynajmniej na niego spojrział.

- Czterysta, pięćset lat temu, zanim na tę planetę przybyli ludzie, atevi jeździli na mecheitach na wojnę. - Wskazał ręką na pofałdowany teren rozciągający się przed nimi. - Mogło tu być pięciuset jeźdźców, w takiej odległości, jaka dzieli apartament od ogrodu, a ty byś ich nie widział. Dlatego przed wdową ciągle jada inni atevi. Zwykle mecheiti nie lubią wyprzedzać przywódcy. Robią to jednak w czasie krótkich wypadów, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna.

Jase słuchał. Bren zauważył jego pełne niepokoju spojrzenia rzucone na horyzont; Jase poprawił się w siodle. W tym momencie nieuwagi Jase nagle zgrał swoje ruchy z krokiem mecheity i najwyraźniej to odczuł.

- Tak właśnie powinieneś siedzieć - powiedział Bren.

Jase spojrział na niego, stracił równowagę, odzyskał ją i stracił ponownie.

Bren pomyślał, że to, iż Jase jakoś sobie radzi na dworze, wcale nie oznacza, że cokolwiek wie o mecheiti, o pojęciu ziemi,

taktyce, utrzymywaniu się w siodle czy obronie, gdyby ktoś rzeczywiście ich zaatakował, a mecheiti zareagowały tak, jak mają to w zwyczaju. Nauczył Jase'a polityki, języka i mieszkania w apartamencie. Tylko tyle.

- Gdyby mecheiti musiały ruszyć galopem - powiedział Bren. -

Wiesz, tak na wszelki wypadek. - Zmienił język i zaczął mówić z szybkością karabinu maszynowego. - Atewscy jeźdźcy utrzymują się w siodle dzięki równowadze. Ty się po prostu skul, pochyl nisko i trzymaj siodła. Nie spadniesz. Pochyl się najbardziej, jak możesz. Jeśli będą mogły przez coś przeskoczyć, zrobią to; w przeciwnym wypadku potrafią bardzo szybko skręcić i jeśli nie będziesz nisko pochylony, to spadniesz. Znajdź jego środek ciężkości i dostosuj się. Dobrze? Przy skoku odrzuci głowę do tyłu i jeśli będziesz zbyt przesunięty do przodu, to od jej uderzenia możesz stracić przytomność. Kiedy będzie skakał, ustaw swój

427

środek ciężkości pośrodku, pochyl się do przodu; głowa w dół, kiedy będzie się wznosił; w trakcie lądowania odchyl się do tyłu, a potem znów do przodu. Jesteśmy mali. Nic, co robimy, nie ma na nie takiego wpływu jak ciężar atevy. Nie ciągnij za wodzę i nie staraj się prowadzić. Przez to może odwrócić głowę, nie zobaczyć ziemi i zabić was obu. Jeśli nic nie będziesz robił z wodzą, pójdzie za mecheitą Ilisidi, choćby się waliło i paliło.

- Czy będziemy uciekać? - zapytał Jase. - Przed czym?

- Mówię to na wszelki wypadek.

Jase spojrzał na niego tak, jak tylko on potrafił.

- Istnieje taka możliwość, nadi - powiedział Bren i zaraz tego pożałował. Żałował, że nie powiedział: „Do diabła z tobą” i że

znowu złagodził swoje słowa. - W tej sytuacji nie znajdziesz

całkowitych prawd. One nie istnieją. Przykro mi. Kiedy

przekazywałem sprawy innym, wiedziałem, że będzie nam tu

ciężko. Wiedziałem zeszłej nocy, że sytuacja się komplikuje.

Myslałem, że może będziemy mieli okazję zjechać nad wodę. Że

może nawet nie zostaniemy wplątani w tę sprawę.

- Wiedziałem, że nie jedziemy na ryby - powiedział Jase w

mospheiranie - kiedy tylko wyjechaliśmy z fortecy.

- Bo wiedziałeś, że cię okłamię? Tego nigdy nie wiesz.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Mimo wszystko jechaliśmy na ryby? - zapytał w końcu Jase.

- Wszędzie wokół uzbrojeni atevi. Atevi rozmawiający przez radio. Hanks. Jechaliśmy na ryby.

- Kiedyś pojedziemy. - Brzmiało to kulawo, nawet w uszach

Brena, stanowiąc kolejne ogniwo długiego łańcucha złamanych

obietnic, nie dotrzymanyh spotkań, nie dokończonych planów -

nie zawodowych, lecz osobistych. Nie mógł wyjaśnić

wszystkiego, co się dzieje. Jase nie rozumiał motywacji. Bóg

jeden wiedział, jakie Graham wyciągnie wnioski.

Milczenie trwało jakiś czas. Przez chwilę Bren krążył myślami

gdzieś indziej. Siedział przy stole naprzeciwko Barb. Barb

mówiła: „Kiedy? Kiedy tak naprawdę, Bren?”.

- Ty rzeczywiście wmawiasz sobie, że jedziemy na ryby,
prawda? - odezwał się Jase.

- Jase, jeśli nie będę tego planował, to za cholerę tam nie
trafimy. Jeśli planuje się dziesięć wycieczek - dodał, zaczynając
odczuwać przygnębienie - to przynajmniej jedna dochodzi do
skutku.

- Czy wszyscy mospheiranie są tacy, jak ty?

Bren wolałby myśleć, że nie. Przeciwnie, wolał myśleć, że nie
ma wad, które denerwują go u jego rodaków. Była to jednak
wyspa pełna ludzi żyjących według bezpiecznych zasad,
jeżdżących na weekendy w góry, chodzących na targ co tydzień
jak w zegarku, siedzących na beczce prochu, wybierających sobie
prezydentów, którzy prowadzili takie samo życie i zostawiali
podejmowanie decyzji raczej swoim najlepszym poplecnikom niż
ludziom mającym wiedzę czy wyczucie.

Złudzenia odgrywały dużą rolę w mospheirskich postawach.

Złudzenia, że mają statek kosmiczny albo że mogą go
wybudować bez żadnych potrzebnych do tego urządzeń.

Złudzenia, że dadzą sobie radę z przeróżnymi deficytami,
kiedy nadejdzie taka konieczność i trzeba będzie spłacić długi.

Złudzenia osobiste, na które Bren był najwyraźniej podatny.

- Styl życia - powiedział, czując w piersiach gorzki ucisk samopoznania. - Ale ja wciąż planuję wypad na ryby, Jase.

- Tylko nie teraz.

- Nawet teraz, do cholery! Alarmy dla ochrony nękają nas prawie bez przerwy. Ja z nimi żyje! A między nimi odprężam się, jeśli udaje mi się wyrwać kilka godzin. Dziewięć razy na dziesięć

429

nic się nie dzieje albo dzieje się gdzie indziej i życie toczy się dalej. Jeśli zaplanuje się wyjazd na ryby, może się udać. Możemy wypożyczyć sprzęt. I wynająć łódź.

- To nerwowe życie.

- Owszem, jeśli zaparkuje się nam nad głowami cholernie duży statek i zaproponuje słońce, księżyc i gwiazdy temu, kto dotrze tam pierwszy! Cały świat trochę się tym niepokoi, Jase!

- Czy przed naszym przybyciem życie było spokojniejsze?

- Przed waszym przybyciem życie toczyło się absolutnie normalnie. To wy postawiliście cały świat na głowie. Nie rozumiesz tego? Życie absolutnie normalnych osób zostało całkowicie zniszczone. Absolutnie zwykłe osoby robią rzeczy, których nie robiły nigdy przedtem.

- Dobre czy złe?

- Może i takie, i takie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Bren patrzył na jadącą przed nim Jago.

Kochał Jago. Kochał Barnickiego.

- Dużo dobrych i dużo złych rzeczy - powiedział.

A po dłuższej chwili zapytał:

- Dlaczego statek wrócił?

- A nie mieliśmy wrócić?

Przez chwilę Bren zastanawiał się nad tym, myślał i dumał, i wreszcie powiedział sobie w duchu, że oczywiście statek robił to, co miał robić: podróżował między gwiazdami. Tutaj są inni ludzie; dlaczego statek nie miałby tu przybyć?

Mimo to Bren zawsze brał pod uwagę inny punkt widzenia - punkt widzenia wszystkich innych: Barb, swojej matki, Jase'a. W czasach, kiedy Jase nie potrafił powiedzieć wiele w ragi, i potem,

430

kiedy rósł nacisk, by sfinalizować tłumaczenia techniczne, Bren sam formułował w myślach na pół wypracowane odpowiedzi Jase'a. Rozmawiali z dużą biegłością o uszczelkach i osłonach termicznych. Kiedy jednak na kilka dni przed wyjazdem na inspekcję Bren zapytał Jase'a, gdzie byli, Graham narysował mu wykres, którego Bren zupełnie nie potrafił zrozumieć.

A kiedy nie rozumiał odpowiedzi Jase'a albo nie zadowalało go to, co usłyszał, mówił sobie, że, cóż, nie jest Astronomem i nie zna się na międzygwiazdnej nawigacji; a może kosmos nie jest tak romantyczny, jak sądził, a może... może... może...

No tak, ale... ale... ale...

Czy odgrywały tu rolę jakieś złudzenia? A może czyniło to ludzkie pragnienie dopełnienia udziału Jase'a i usprawiedliwienia zachowania, które nie spełniało jego oczekiwań.

Statek spełniał swoje obietnice. Pojazd kosmiczny stawał się rzeczywistością.

Nie mogąc jednak znaleźć tego przyjaznego, sympatycznego młodego człowieka, z którym rozmawiał przez radio przed wylądowaniem, Bren uparł się, by powołać tę stronę Jase'a do życia. W apartamencie.

Mówił za niego w swoich myślach, ot co. Wymyślał wszystkie nie dające się udzielić odpowiedzi, które mógłby dać Jase, gdyby tylko miał odpowiednie słownictwo, gdyby mieli czas usiąść i poważnie porozmawiać. Oczywiście, Jase był w stresie - to normalne podczas nauki języka. A może... może Jase robił to samo, może wypełniał luki między wierszami, by dopasować wizerunek Brena do swojego pierwszego wrażenia, a kiedy te oczekiwania nie zbiegły się z rzeczywistością, poczuł się zdradzony.

- Jase - zaczął Bren.

- Co?

431

- Gdzie był statek?

- Mówiłem ci. Przy gwiazdzie. Liczba na mapie.

- Pamiętasz uczucie, jakie cię ogarnęło, kiedy się okazało, że

nie jedziemy na ryby?

- Tak?

- Czuję to samo, gdy tak mówisz.

Milczenie. Nie było to milczenie pełne zadowolenia. Potem

Bren żałował, że to powiedział.

Chciał, żeby zdarzył się cud, żeby Jase przestał się chmurzyć i

był osobą, za którą Bren go uważał, osobą, która mu będzie

pomagała, a nie sprawiała kłopoty, osobą, która świadomie stanie

przy nim, kiedy będzie źle.

Robiła to Barb, dopóki nie uznała, że ma dosyć. Uciekła w

małżeństwo z Paulem Saarinsonern. Może Jase nie chce uczynić z

dbania o zdrowie umysłowe paidhiego celu swojej kariery;

zważywszy, że muszą dzielić apartament.

Brenowi przyszła do głowy myśl, że może, poznając go, Jase

też nie odnalazł człowieka, z jakim według siebie miał przedtem

do czynienia. Ten kryzys zaufania mógł być zakorzeniony głębiej

w jego własnych wadach niż jakakolwiek sprzeczka o

prawdomówność. Bren tak dobrze radził sobie z atevimi. Jego

życie osobiste...

Trzeba zapytać Barb: Jak sobie radził? Zapytać Barb: Jak

łatwo było z nim przebywać?

Pamiętał Wilson-paidhiego. Pamiętał, jak mówił sam sobie, że

nigdy nie doprowadzi się do takiego stanu. Studenci na

uniwersytecie zakładali się, że Wilson nie potrafi się uśmiechać.

Że Wilson nie potrafi reagować. Ponurak. Obojętny jak diabli.

A jednocześnie ci, którzy wybrali Służbę Terenową, uczyli się ukrywania uczuć. Uczyli się ich nie okazywać. Studiowali, jak być

432

nieodgadnionym.

Barb również z trudem przychodziło tolerowanie takiej postawy Brena i skarżyła się na to. Barb mówiła: „Nie jesteś na kontynencie, Bren. To ja”. Pamiętał jej twarz po drugiej stronie stolika oświetlonego blaskiem świec.

Z niemiłym uczuciem zdał sobie sprawę, że może... może miało to coś wspólnego z odwróceniem się od niego i gniewem ludzi, z którymi miał do czynienia. Ale przecież powiedział Jase'owi. Usiłował nauczyć go takiego samego zachowania. Jase powinien rozumieć, dlaczego Bren ma wciąż obojętną twarz.

Czyż nie powinien zdawać sobie z tego sprawy?

Trzeba to przesunąć do kategorii wypraw na ryby.

Chodziło o to, że nakazał Jase'owi nie uzewnętrzniać emocji przy atevich, a kiedy pojawili się Banichi i Jago, Bren się śmiał, był ożywiony i robił wszystko, czego zabraniał Jase'owi.

Może na początku powinni myśleć trochę mniej o języku, a więcej o tym, jak dojść do porozumienia. Może najpierw powinni się dowiedzieć, czego oczekują od siebie nawzajem, zamiast godzić się na to, co otrzymali.

- Musimy porozmawiać, Jase - powiedział Bren w

mospheiranie. - Musimy porozmawiać bardzo poważnie.

- Mieliśmy to zrobić tutaj.

- Przepraszam. Nie miałem pojęcia, w co cię wplątuję.

Wiedziałem, że to niepewna pora. Choć pora jest zawsze niepewna, szczególnie, kiedy rośnie napięcie i człowiek chce się gdzieś wydostać. Wiedziałem, że nasze obecne towarzystwo jest najbardziej niepewną rzeczą na tej planecie, ale osoby, które mogą cokolwiek zrobić, zawsze są takie. Tak już jest, Jase.

- Wierzę ci - rzekł Jase dziwnie łamiącym się głosem; musiał powiedzieć to głośno, by zostać usłyszonym wśród skrzypienia uprząży i odgłosu kroków mecheiti. - Naprawdę ci wierzę, Bren.

433

Staram się jak diabli.

- Wyciągnę cię z tego w jednym kawałku - obiecał Bren. -

Przysięgam.

- Nie o to się martwię.

- A o co? - zapytał, myśląc, że w końcu ma nitkę, po której może dotrzeć do korytarzy przemyśleń Jase'a.

Graham jednak nie odpowiedział.

A w następnej chwili Bren zobaczył, że Cenedi ściąga wodzę, mimo że Babs szedł dalej. Coś się działo. Bren pomyślał, że Cenedi zrobił to, by porozmawiać z Banichim.

Celem jednak był on sam. Cenedi zaczekał na niego i Jase'a.

- Bren-paidhi - zaczął, a Bren tymczasem powstrzymał

Nokhadę przed uszczyptnięciem rywała. - Wdowa pyta, dlaczego jej unikasz. Kazała mi powiedzieć dokładnie to, oraz że Nokhada wciąż zna drogę, nadi, nawet jeśli ty ją zapomniałeś.

434

Rozdział 22

Nokhada rzeczywiście знаła drogę i przy odrobinie nieuwagi ze strony Brena sądziła, że przemieszcza się do przodu bardzo chytrze. Gdyby Bren dotknął jej palcatem, znalazłby się na czele kosztem wszystkich mecheiti, które miał przed sobą.

A tak Nokhada torowała sobie drogę lekkimi uderzeniami głowy i delikatnymi pchnięciami kłów w co bardziej uparte boki. Skóra mecheiti była na szczęście gruba; wierzchowce wściekle machały ogonami i podrzucały łbami, ale nie polała się ani kropla krwi, jedynie tu i ówdzie zmierzwiła się dobrze wyczesana sierść.

Cenedi został w tyle. Nokhada osiągnęła pozycję obok

Babsidiego, a tego przecież pragnęła, więc zrobiła się zupełnie potulna.

- O, świetnie - rzekła Ilisidi, siedząc w siodle ze swobodą i wdziękiem. Raczyła zerknąć na Brena. - Ateva może sobie tylko wyobrazić.

Człowiek nie śmiał się odezwać.

- Och, daj spokój, nand' paidhi. Czy jesteśmy podobni do ludzi? A może ludzie są podobni do nas? Czy to jest - jak mam to ująć delikatnie - technicznie możliwe?

- Jestem pewien, że nie jesteśmy pierwszą parą, która... - W

ragi prowadziło to do trudnej konstrukcji gramatycznej. Bren był

435

pewien, że się zaczerwienił. - Spróbowała.

- Czy to było przyjemne? - zapytała - niech ją cholera! - z

zachwytem.

- Tak, nand' wdowo. - Nie chciał się wycofać i na jej

spojrzenie z ukosa odpowiedział miłym uśmiechem.

Jej zęby, które błysnęły w uśmiechu, mogłyby oślepić słońce.

Po chwili zniknęły pod zaciśniętymi wargami.

- Skoro świat zna już zainteresowania paidhiego, będzie

mnóstwo plotek. Sąsiadka, która uwielbia podglądać mój balkon,

będzie teraz całkowicie przekonana o skandalicznym charakterze

naszych śniadank. Musimy to powtórzyć.

- Będę zachwycony, aiji-ma. - Nie musiał udawać ulgi, że

wdowa przyjęła to tak dobrze. - Godziny, które mi poświęcasz, są

dla mnie skarbem.

- Mam przecież tyle wolnych godzin! Marnieję z

bezczywności. Moje godziny to taki mały prezent.

- Twoje godziny i twój rozsądek to mój ratunek, aiji-ma, i

straszliwie ich nadużywam, ale nigdy, przenigdy nie chciałbym ci

się narzucać.

- Marnieję, powiadam. A teraz zrzucasz mi z nieba młodych

ludzi i oczekujesz, że ich ucywilizuję. Czyżbym wykryła konflikt,

nand' paidhi? Czy widzę niezgodę?

- On się nie spodziewa ryb na tej wysokości.

Ilisidi roześmiała się i nie mogła przestać.

- Ach, paidhi-ji, my właśnie mamy nadzieję na rybę. Na

wielką, okrągłopyską rybę z Kadigidich, która chce nas zniszczyć.

Chciałam mieć cię przy sobie, Bren-ji. Podobają mi się liczby, z

którymi pracowaliśmy dotąd; i nigdy nie przeciągam struny z

Atigeinimi.

Bren był wstrząśnięty. Dogłębnie wstrząśnięty. Banichi i Jago

436

jechali z jego prawej strony i Bren zastanawiał się, czy wzięli pod

uwagę, jak wielką pokusę stanowią paidhiin znajdujący się na

terenie Atigeinich, kiedy kości się toczą, a demony przypadku i

losu otrzymały szansę, by zmienić porządek świata.

Baji-naji. Koronkowa robota wszechświata, pozwalająca na

ruch w ramach wzoru.

Tabini sypiał z kobietą z rodu Atigeinich: Tatiseigi postarał się

dostać do apartamentu, żeby ich przyłapać, na dobre czy na złe

albo po prostu po to, by podjąć decyzje, a wtedy wkroczyła Ilisidi.

Ilisidi była w posiadaniu największej pokusy, która mogłaby

skłonić Atigeinich do sięgnięcia po władzę na własną rękę, i

wyrwała tę pokusę z zasięgu Tatiseigiego w chwili, gdy mogłaby

się ona okazać decydująca dla jego wyboru kierunku

postępowania podczas tych kilku niebezpiecznych dni.

Uwierzyć, że Tabini tego nie widział? Możliwe. W bardzo niewielkim stopniu możliwe.

Ale gdyby Tabini się pomylił, gdyby obudził się ugodzony nożem małżonki z rodu Atigeinich, to i Atigeini, i Kadigidi musieli się liczyć z tym, że pozbycie się Tabiniego nie oznacza śmierci Ilisidi.

A wielmoże z Doliny Padi już dwa razy przeszkodzili Ilisidi w zostaniu aijim.

Czy Tatiseigi ośmieli się teraz wystąpić przeciwko Tabinemu albo Ilisidi, która umieściła paidhiin w centrum działań, w wyniku niepowodzenia których wszyscy mogliby się znaleźć w rękach Kadigidich?

Rządy Tabiniego to dwugłowy zwierz. Bren widział to teraz bardzo dokładnie.

Tabini nazywał Ilisidi plagą swego życia.

I Tabini uciekł się do niej w pozornie lekkomyślnym posunięciu, kiedy wiedział, że musi brać pod uwagę wojnę z

437

Mospheirą.

Od tamtej pory nie była w domu.

- Jakies wiadomości? - zapytała Cenediego.

- Wciąż spokój, aiji-ma.

- Nie wiadomo, jak długo.

Wdowa zarządziła postój; Brenowi udało się wrócić na

Nokhadzie na swoje poprzednie miejsce, mijając zatrzymujących się jeźdźców. Zaczął rozumieć sposób myślenia Nokhady i był pewien, że ona doskonale zrozumiała jego decyzję. Wyraziła swoje niezadowolenie stuleniem uszu i twardym krokiem, którego wibracje odczuwał aż w kościach; teraz już rozumiał, że musi na to odpowiedzieć klepinięciem, bo inaczej pomyślałaby, że jej jeździec nie zwraca na nią uwagi.

Ale nie szturchnięciem piętą, bo przebiłby się przez stado jak wystrzelony z katapulty: posłużył się palcatem, jednocześnie nie popuszczając wodzy. Nokhada natychmiast prychnęła i ruszyła równym krokiem, przepychając się obok mecheiti ustalających swoje prawa do niewielkich placków zielonej trawy, co było drażliwą kwestią statusu w stadzie; Nokhada bez większych przeszkód przemknęła obok mecheiti o niższych pozycjach, kierując się do miejsca, gdzie Jase i chłopiec już zsiadli ze swoich wierzchowców.

Bren zatrzymał Nokhadę na krawędzi stada i zsunął się na ziemię, nie wypuszczając wodzy z ręki i trzymając palcat w zasięgu wzroku mecheity, by powstrzymać jej skłonność do ukradkowego przemieszczania się w okolice Babsidiego.

Nokhada opuściła głowę i zaczęła skubać kępki trawy.

Jase nie zapytał, czego chciała wdowa. Chłopiec też tego nie zrobił. Chłopiec nie był jednak partnerem Brena.

Przysłała mu do głowy zdumiewająca myśl, że może Jase

czeka, aż jego sprzymierzeniec odezwie się pierwszy.

Ale, do cholery, chłopiec pętał się pod nogami, zamieniony w

słuch. Bren nie mógł go wysłać do Banichiego. Rozmawiał z

Cenedim o sprawach, których chłopiec wcale nie musiał słuchać.

Bren spojrzał na niego i napotkał poważny wzrok.

Zobaczył też jego opiekuna.

- Nadi - powiedział Bren - Haduni, poinstruuuj, proszę,

młodego dżentelmena: być może będziemy musieli obrać szybsze

tempo.

- Nand' paidhi. - Haduni skinął głową, jakby doskonale

rozumiał i czekał na takie polecenie, po czym odprowadził

młodzieńca na bok.

Bren westchnął ciężko i ostro szarpnął dwoma palcami wodzę

trzymaną w lewej dłoni, by ukrócić zamiar Nokhady zyskania

kilku metrów.

- Jest bardzo niespokojny - powiedział do Jase'a. - Uważa, że

stawką jest reputacja jego rodu.

- Czego chcieli od ciebie na przedzie? - Jase posłusznie zadał

pytanie, robiąc następny oczywisty krok.

- Upewni się, czy wiem, że wszystko jest w porządku -

odpowiedział Bren i zmusił się do odprężenia, rozluźnienia mięśni

twarzy, przybrania jakiejś miny.

A właściwie co, do diabła, ma robić? Uśmiechał się jak idiota?

Spojrzał na trawę pod nogami, a potem podniósł wzrok i lekko się uśmiechnął, mając nadzieję, że nie wygląda głupio. Doskonale wiedział, że nie skończył sprawy z Ilisidi. Pozwolił tylko Jase'owi uruchomić swoje mechanizmy obronne, ot, co, a był to skutek braku zaufania i ostrożności.

- Powiedziała, że Tatischeigi być może wykonał jakieś posunięcie przeciwko nam. Mam nadzieję, że tego nie zrobił, ale

439

ona powiedziała, że jego prawość będzie o wiele pewniejsza, jeśli nie będziemy w jego zasięgu. Nie myślałem o tym. Sądziłem jednak, że sprawy w Shejidan potoczą się o wiele sprawniej, jeśli nie staniemy im na drodze. To samo posunięcie, dwa powody.

Jase przynajmniej słuchał, nie okazując przy tym gniewu.

- Jedziemy do Mogari-nai, nadi? - Jase wrócił do ragi.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. Gildia Posłańców

napina wodzę... - Nokhada, źródło tej przenośni, spróbowała zmienić kierunek manewru, czym zarobiła na kolejne szarpnięcie wodzy, którą Bren trzymał w dłoniach splecionych za plecami. -

Natomiast Ilisidi zamierza wyraźnie pokazać, że władza jest w Shejidan, a nie w lokalnych stolicach. Kwestia ilości władzy dzierżonej przez Shejidan i ilości władzy, jaką mają regiony, jest bardzo stara. Już o nią walczono. Przekazując technikę w ręce Tabiniego, twój statek znów tę kwestię ożywił. Stąd się bierze napięcie między niektórymi panami i stolicą.

Nastąpiła dobrze znana Brenowi krótka, pełna napięcia cisza; Jase patrzył wprost na niego, jakby most nad przepaścią mogły przerzucić same myśli.

- Dziękuję - powiedział po chwili z wielkim opanowaniem. -

Bardzo dziękuję, nadi.

- Za co? - tak miało brzmieć, i brzmiało, pytanie Brena. Zadał je, z góry się złoścąc.

- Po raz pierwszy poczułem, że usłyszałem prawdę - odrzekł Jase.

- Ja nie... - „kłamałem”, prawie powiedział Bren. Ale oczywiście kłamał. I dalej zamierzał kłamać. - Nie wiedziałem, co mogłem mówić. - Przeszedł na mospheiran, by mieć całkowitą pewność, że Jase go zrozumie. - Jase, gdybym powiedział twojemu statkowi tyle, by sobie na nim wyobrazili, iż mogą się domyślić reszty i pójść na całość, to wiem że byliby zdolni zniszczyć to miejsce. Teraz ty widzisz, jakie istnieją napięcia w

440

atewskim społeczeństwie, a ja nie wiem, co sobą reprezentują ludzie będący u władzy na statku. Natomiast ludzie w moim rządzie, którzy odcięli mospheirskiemu Biuru Spraw Zagranicznych łączność z mieszkańcami Mospheiry, spisali większość mieszkańców tej planety na straty, jako istoty nie mające dla nich żadnej wartości. Nie podoba im się, że wciąż działam w imieniu Biura Spraw Zagranicznych, jakie by ono nie

było, ale jestem tu i tu zostanę. To ci mówiłem. A jeśli chodzi o to, co możesz zobaczyć na własne oczy, rozejrzyj się. Zobacz, jak to wszystko się toczy. Patrz na ziemię. Na atevich. Zobacz wszystko, co chciałeś tu zobaczyć. To wszystko, co mogę ci zaoferować.

Mówiąc to, Bren asekurował się na obie strony, mówiąc sobie: Zbudujmy ten statek, niech poleci, niech atevi znajdą się tam w górze, zanim polityka wyłączy ich z podejmowania ważnych decyzji.

Jeśli może dostać pomoc - to ją przyjmie.

Ale narazić ten cel na niebezpieczeństwo? Nie.

Jase nie odpowiedział. Bren przyjął to z ulgą. Nie mógł dyskutować z Jasem na temat zaufania. Ono nie istniało. Mogło kiedyś w końcu zaistnieć, ale nie było go tu i teraz. Nie dyskutował o nim też z Ilisidi, ale ufał jej, o ile potrafił zrozumieć, co ona robi.

Banichi i Jago - to była jego jedyna znana stała, choć nie był nią Tabini; wierzył jednak, że ci dwoje, pogrążeni teraz w rozmowie z Cenedim, nagięliby nieco rozkazy Tabiniego, by uratować mu życie. Bren był pewien, że zrobili to przynajmniej raz. Uwierzyć, że Tabini ceni jego samego oraz jego cele? Na razie jest niezastąpiony.

Do Brenna podszedł jeden z atevich Ilisidi, Haduni, prowadząc chłopca. Bren spojrzał w ich stronę i zobaczył, że atevi zdejmują

bagaż z grzbietów mecheiti.

441

Rozbijamy tu obóz? - zdziwił się. To nie zgadzało się z jego znajomością sytuacji.

Nie, pomyślał, widząc, że atevi poprawiają uprzęż, zaraz wyruszymy.

Poprawianie uprzęży było jedną z tych czynności, których on nie podejmował się wykonywać. Istniały rzemienie, o których wiedział, do czego służą: po kilkugodzinnym marszu mecheiti traciły nieco w obwodzie ciała, szczególnie, kiedy był on tak forsowny; a siodło, które przesuwano się na grzbiecie wierzchowca bardziej niż siodło Nokhady tuż przed obecnym popasem, stanowiło problem, z jakim Bren nie chciałby mieć do czynienia. Doświadczeni opiekunowie chodzili między wierzchowcami, zajmując się każdym mecheitą, którym z takich czy innych powodów nie mógł się zająć jego jeździec; w chwili kiedy młody ateva dociągał uprzęż Nokhady, skończyła się dyskusja wyższych oficerów ochrony. Banichi odłączył się od grupy i bardzo stanowczym krokiem prowadził swojego wierzchowca wzdłuż obrzeża stada, a Jago i Cenedi podeszli do Ilisidi.

- Banichi-ji?

- Wszystko jest w porządku - odrzekł radośnie ateva. - Nasi wrogowie to głupcy.

- A co robią?

- O, tutaj nic. Na wybrzeżu. Władze schwytały jednego z atevich Direiso na linii z Wingin do Aisinandi.

To znaczy w pociągu.

- Nielegalne radio? Co nadawali?

Banichi posłał mu ostrożne, taksujące spojrzenie.

- Że Tabini-aiji fortyfikuje równinę Saduri i przygotowuje się do bombardowania miast na Mospheirze. Że przejmuje Mogari-nai, by uzyskać całkowitą kontrolę nad instalacjami radarowymi

442

podczas wspomnianej operacji, ponieważ wie, że po zbombardowaniu wyspy natychmiast nastąpi odwet i że skrupi się on na północnych prowincjach.

- To kompletne wariactwo!

- Jesteśmy przekonani, że tak, ale pokazuje ono, co jest celem Direiso. Chce zająć Mogari-nai i tamtejszy pas startowy, a potem powiedzieć, że nic się nie stało, bo zapobiegła spiskowi.

- Zakłady w Dalaigi. - Bren nagle przestraszył się o Patinandi.

- A jeśli to ma na celu odwrócenie uwagi, Banichi-ji? Czy mamy tam ochronę?

- O, chronimy wszystkie takie miejsca - rzekł Banichi. Jeden z atevich poprawiał uprzęż i Bren szarpnął z roztargnieniem za wodzę, bo Nokhada przesunęła zad i odmówiła współpracy. -

Mamy bardzo silną ochronę w tych zakładach, szczególnie tam,

gdzie niezwykle sumiennie wskazałeś problemy związane z bezpieczeństwem, Bren-ji, a pod tym względem twoje oko staje się bardzo bystre.

- Człowiek słucha tego z wdzięcznością, nadi-ji.

- Kiedy przeczytaliśmy w raporcie, że spadną bomby, o wiele bardziej zaniepokoił się, że głównym celem jest tutejszy rezerwat - ponieważ podtrzymywanie tego kłamstwa oznacza przejęcie kontroli nad tym obszarem w ciągu określonej liczby godzin albo zaatakowanie w tym samym czasie urzędzeń rządowych, tak że mogą powiedzieć, iż przenieśliśmy sprzęt. A Direiso ma zwolenników wśród oficerów Gildii Posłańców, choć niekoniecznie wśród zwykłych jej członków. To, że uciszyliśmy to radio i byliśmy gotowi z komunikatem ujawniającym jej plany, przynajmniej trochę przytłumiło ogień. Nasz komunikat przechodzi przez Mogari-nai, a lokalne stacje nadają oficjalną informację. Może mieć jednak pewne znaczenie, że Mogari-nai przekazało komunikat aijiego do stacji radiowych jako ostatni duży ośrodek łączności.

443

To było złowieszcze. Bardzo złowieszcze. Bren spojrzał na niebo.

- Jeśli oni mają bomby...

- Nie, Bren-ji. Zapewniam cię, że nie dosięgnie nas żaden samolot. Nasze czekają w pogotowiu, by podjąć działania

przeciwko wszelkim samolotom, które może wysłać przeciwko nam Direiso. Nauczyliśmy się w Malguri i podjęliśmy środki ostrożności. Nie mówiąc już o placówce Tano, która jest bardzo cicha, ale bardzo zdolna do obrony. Forteca jest rzeczywiście stara. Ale tak wyłącznie do twojej wiadomości - chociaż Direiso może o tym wiedzieć - nawet kurz w Saduri jest nowoczesny. Sypie się go specjalnie. Dla przypadkowych turystów. To coś więcej niż rezerwat myśliwski. Jeśli udało nam się to utrzymać w tajemnicy przed Mospheirą, to zaskoczonych będzie mnóstwo osób.

Bren był w lekkim szoku; nie, jego rząd nie mówił mu wszystkiego: szczególnie departament obrony - z tymi swoimi drażliwymi tajemnicami. Bren przebiegł myślą zniszczone korytarze, przypomniał sobie rząd drzwi naprzeciwko ich sypialni, które się nie otwierały i za którymi pokoje nie miały okien. Domyślał się, że w tym rozległym rządowym rezerwacie istnieją płoty będące czymś znacznie więcej niż niskimi kamiennymi murkami. Nie miał pojęcia, jakie tu mogły być inne bariery elektroniczne ani co mogły zawierać te furgonetki zaparkowane za starą fortecą, ale Tano i Algini byli specjalistami od inwigilacji, czego domyślił się jakiś czas temu. Podczas gdy Banichi i Jago z pewnością byli tym, co Gildia tak delikatnie nazywała - nadając temu słowu całkowicie odmienne znaczenie - technikami.

- Nie używamy już komunikatorów kieszonkowych - rzekł

Banichi. - Chociaż zapewniam cię, że odbieranie wiadomości nie stanowi żadnego problemu. Słuchamy rozmów między ruchomym posterunkiem znajdującym się w pobliżu Wingin oraz

444

posterunkiem ustawionym na wschód od fortecy i wiemy wszystko, czego potrzebujemy. Tym razem, Bren-ji, do naszej obrony nie przeniknęła opozycja, tak jak to było w Malguri.

Musimy się tylko martwić o jedną drogę prowadzącą na urwisko z rejonu osiedla Saduri. Wozi się nią zaopatrzenie dla Mogari-nai, a turystom służy przy zwiedzaniu fortu z działami. Siły aijiego nie pozwolą tej drogi zamknąć. Tymczasem... - Głos Banichiego

przeszedł od błyskawicznego wyliczania atutów do pewnej nonszalancji. - Tymczasem wdowa wykorzysta swój przywilej członkini rodu aijiego i zwiedzi ośrodek łączności. Musimy jednak być ostrożni. Wyrzucenie Gildii Posłańców z Mogari-nai pogwałciłoby przywileje Gildii. Choćby miało to nam uratować życie, nasza Gildia nie poprze takiej operacji. Polityka, rozumiesz? A dla utrzymania równowagi sił mądrze jest zachowywać takie przywileje.

- Człowiek tyle rozumie. - Rozpad którejś z Gildii byłby bardzo niebezpieczny dla pokoju. Podobnie jak utrata wiarygodności przez Astronomów po Lądowaniu była katastrofalna dla atewskiej stabilności, ponieważ panowie mają

spadkobierców, a Gildie nie. - Banichi-ji, mam nadzieję, że aiji wie, iż możemy otrzymywać dane bez pośrednictwa stacji naziemnej. Na pewno o tym wie.

- Tak. Ale przywileje Gildii wymagają, by przechodziły one przez Gildię Posłańców bez względu na to, gdzie je otrzymujemy. Posłańcy ugną się, nand' paidhi. Ich bunt będzie trwał dokładnie tak długo, jak ich Gildia będzie widziała, że inne grupy bezkarnie przeciwstawiają się aijiemu, albo dopóki nie spadnie na niego pięść. Aiji nie może już ignorować wyzwania, które stawia jego władzy Hanks.

- Będziemy więc tam walczyć? Wdowa naprawdę jest po naszej stronie?

- Walczyć, nand' paidhi? Ilisidi jest na wakacjach w Saduri.

Telewizja mówi to zupełnie otwarcie. Telewizja mówi, że podczas

445

wakacji wdowa zwiedzi Mogari-nai. - Rozbrzmiało polecenie

wsiadania. - Śmierć Saigimiego była dla Direiso poważnym ciosem. Drugim było pojawienie się Tatiseigiego w telewizji.

Trzecim atak zgagi u Badissuniego, co pozbawiło Ajresiego opozycji w Tasigin Marid, a Badissuniego, jeśli okaże się mądry, zmusi do ścisłej współpracy z aijim. Czwartym ciosem będzie wpuszczenie Ilisidi do Mogari-nai przez Gildię Posłańców.

Direiso może uderzyć w każdym kierunku, ale załatwianie spraw aijiin należy do nich samych; Gildie nie mają potem kłopotów z

ustalaniem swojej polityki. Wierz mi, że Posłańcy nie różnią się od naszej Gildii.

Banichi zmusił swojego mecheitę do wyciągnięcia nogi i usiadł w siodle z szybkością konieczną do wykonania tego manewru. Inni też dosiadali swoich wierzchowców. Bren wymógł na Nokhadzie przyklęk i kiedy wznosił się w górę, odwracał i lądował w siodle, zobaczył, że Jase próbuje zrobić to samo. Próbuje. Nie udało mu się i zawisł, trzymając się kółka przy siodle, z jedną nogą w strzemieniu, a drugą luźno zwisającą; mecheita wstał i usiłował zatoczyć pełne koło w odpowiedzi na bezmyślne napięcie wodzy przez Jase'a. Była to niebezpieczna pozycja - człowiek mógł spaść na ziemię, mając wciąż uwięzioną nogę; Haduni jednak błyskawicznie przybył z pomocą i podsadził Jase'a na siodło. Graham miał rozczochrane włosy i poluzowany warkocz, ale był bezpieczny. Wciąż ciągnął za wodzę; mecheita opierał się i z uniesionym łbem zatoczył jeszcze jedno koło, aż Jase najwyraźniej zdał sobie sprawę, że to jego wina, i rozluźnił dłoń.

- Zajęło mi to trochę czasu - odezwał się Bren.

Jase wciąż wyglądał na przerażonego. Nic dziwnego. Chyba kręciło mu się w głowie. Bren był pewien, że dla człowieka, któremu przeszkadzało niezachmurzone niebo i który zażywał pastylki przeciwko chorobie lokomocyjnej, obracanie się mecheity, gdy ów człowiek nie złapał jeszcze równowagi, nie było

niczym przyjemnym.

- Dobrze ci idzie - powiedział Bren.

Bez żadnego ostrzeżenia, lecz posłuszna fali ruchu przebiegającej przez stado, Nokhada obróciła się i dołączyła do innych w biegu za Ilisidi, która właśnie żwawo ruszyła. Bren spojrział do tyłu, bojąc się o Jase'a, ale Graham trzymał się w siodle. Stado ustawiało się w szyku, Jago cofnęła się do Brena, Nokhada napierała, by przedostać się do przodu, a Banichi jechał przed Brenem.

Żwawy krok zamienił się na długi czas w bieg. Ilisidi, niech ją diabli, cieszyła się pędem, pobłażając swojej przewrotnej żyłce, pragnieniu postawienia wyzwania ludzkiemu instynktowi samozachowawczemu, nie zwracając uwagi, że Jase z trudem utrzymuje się w siodle i ze strachu traci zmysły.

Walcząc z ambicjami Nokhady, Bren został jeszcze bardziej w tyle i dał się wyprzedzić chłopcu z Dur, który jechał z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na rzemieniach siodła i z błyszczącymi oczyma. Bren zrównał się z Jasem, który zamykał kawalkadę.

Graham pochylił się i przylgnął do siodła; jego cały świat niewątpliwie trząsał się w rytm potężnych susów stworzenia, które niosło go na swoim grzbiecie.

- Co my robimy?! - wrzasnął Jase. - Dlaczego tak pędzimy, nadi?!

- Wszystko w porządku! - odwrzasnął Bren. I dodał w rągi to samo, co mówił o lekcjach języka, kiedy Jase wpadał w gniew: -

Uznaj to za ćwiczenie!

Jase, ze zbielełą twarzą, zastygł w grymasie przerażenia, wybuchnął nagle histerycznym śmiechem, aż Bren zaczął się zastanawiać, czy Jase nie postradał zmysłów. To było jednak zabawne. Tak zabawne, że sam zaczął się śmiać; a Jase nie spadł.

Po chwili Babsidiemu zabrakło entuzjazmu do biegu, grupa zwolniła do tego kołyszącego kroku, który mecheiti mogły

447

utrzymywać całymi godzinami, a Jase, przeszedłszy już najgorsze, nabrał na tyle odwagi, że wyprostował się i spróbował poprawić w siodle.

- Dobrze! - powiedział Bren, a przejeżdżający obok Banichi dodał:

- Dobra robota, Jase-paidhi!

Jase popatrzył za Banichim z dziwnym wyrazem twarzy, po czym najwyraźniej uznał, że właśnie usłyszał jednak pochwałę.

Wyprostował ramiona.

Mecheiti niczego nie zauważyły. Chłopiec z Dur zwolnił, żeby zrównać się z ludźmi, Hadunim i Jago. Wtedy jednak Nokhada postanowiła, że pójdzie do przodu; podrzucała lekko głową i poruszała się tak, jakby mogła skoczyć w bok równie łatwo, jak do przodu, co oznaczało, że jeśli znajdzie pretekst, żeby ponieść,

zrobi to.

Bren nieoczekiwanie pozwolił jej na to, dotykając piętami
żeber zwierzęcia i wyzwalając w ten sposób energię, która
wyniosła ich oboje na zewnątrz stada i do pierwszego rzędu.

Nokhada podszczypywaniem utorowała sobie drogę do Ilisidi i
Cenediego, gdzie według niej było jej miejsce.

- A - rzekła Ilisidi. - Nand' paidhi. Przeżył?

- Bardzo pożytecznie - odparł Bren i poznał wtedy, że wdowa
dotrzymała jednej obietnicy, którą złożyła, przyjeżdżając tutaj:
dostarczyła nowemu paidhiemu takich samych przeżyć, co
Brenowi.

A Jase się śmiał. Jase siedział na grzbiecie potężnego mecheity
i nie spadł, usłyszał z ust człowieka, któremu nie ufał, że poszło
mu całkiem dobrze, i wciąż trzymał się w siodle, wyprostowany i
panujący nad sobą pod szerokim, otwartym i bezchmurnym
niebem.

Dzięki temu niemałemu osiągnięciu Jase był lepiej

448

przygotowany na wypadek, gdyby musieli gdzieś jechać; to
rzeczywiście było ćwiczenie, a takie ćwiczenie oznaczało dla
niego życie lub śmierć - pod wieloma względami.

Słońce opadało ku zachodowi, aż wreszcie zaświeciło im
prosto w oczy i sprawiło, że ziemia stała się czarna - i wciąż nie
działo się nic niepomyślnego. Słońce opuściło się poza linię

stromego horyzontu, ku któremu się wspinali; światło było złociste i rozlało się po całej ziemi, złocąc krawędzie rzadko rosnącej, krótkiej trawy.

Nagle, kiedy osiągnęli szczyt wzniesienia, daleko nad ciemnym horyzontem ukazała się biała, wykonana maszynowo krawędź.

Mogari-nai: biały talerz stacji naziemnej, wycelowany w niebo. Za talerzem, w tym dziwnym świetle zapadającego zmierzchu błękitna iskra światel ostrzegawczych. Wieże mikrofalowe wycelowane na zachód, oddzielna placówka.

Podjechali bliżej; niebo nad pociemniałą ziemią było całe w kolorze złota, a słońce zniknęło im z pola widzenia. W grupie słyhać było odgłosy, które towarzyszyły im cały dzień: kroków mecheiti, idących nieubłaganym, pożerającym przestrzeń tempem; skrzypienie uprzęży; rzucone od czasu do czasu uwagi jeźdźców.

Gdzieś za horyzontem wciąż świeciło słońce; ponownie odkryli jego krawędź, kiedy między cieniami opadających w dół urwisk lekko załśnił przydymionym złotem ocean - już nie Zatoka Nain, lecz cieśnina Mospheiry.

Wtedy ostatni płonący skrawek słońca zniknął za górami w sercu Mospheiry, niewidocznymi z tej odległości.

- Ładny widok - odezwała się Ilisidi.

Gdyby nie ruszyli marszowym tempem w odpowiednim czasie, przybyliby tu dobrze po zmroku. Bren pomyślał, że Ilisidi

chciała znaleźć się w pobliżu stacji naziemnej i jej krnąbrnej

449

Gildii jeszcze za dnia.

Spokojne odwiedziny. Banichi powiedział, że taki przynajmniej ma zamiar.

450

Rozdział 23

Za talerzem stacji naziemnej stała czteroosobowa awionetka, wskazując na lokalizację pasa startowego, a leżący za nią niski, nowoczesny budynek był jednopoziomowym centrum operacyjnym.

Minęli olbrzymi talerz i po paru chwilach jeźdźców otuliła ciemność nocy; wszyscy trzymali się blisko wdowy. Bren spojrział na znajdujący się przed nimi dach; zaniepokoił go ten długi, płaski budynek oraz możliwość oddania strzału z dogodnej wysokości.

Bał się o bezpieczeństwo i miał nadzieję, że Banichiemu, a w szczególności Jago, nie przypadnie zadanie sprawdzenia okolicy.

Wydawało mu się to wszystko bardzo ryzykowne; bardziej ryzykowne, niż zazwyczaj godziła się na to jego ochrona.

Zatrzymali się. Całe szczęście, pomyślał Bren.

Ledwo jednak mecheiti opuściły łby, by uszczknąć nieco trawy, gdy otworzyły się drzwi budynku, na co wszystkie zwierzęta z powrotem uniosły głowy; mecheit'aiji, Babsidi, wydał niski pomruk i parsknął. Chwytał nozdrzami wiatr i stał niczym

posąg, gotów w każdej chwili runąć do przodu.

- Babs - przestrzegła go Ilisidi. Od drzwi oderwała się jakaś atewska postać i ruszyła do nich swobodnym krokiem; nie było w niej nic wrogiego poza czarnym strojem i faktem, że mężczyzna - to był mężczyzna - niósł w ręku strzelbę.

451

W chwili, kiedy Bren był gotów się zaniepokoić, ateva dał znak uniesioną ręką i jeden z atevich Ilisidi ruszył mu na spotkanie.

Nawet nie w ramach man'chi Tabiniego, pomyślał Bren, chociaż Banichi powiedział, że Tabini działa; wyglądało, że jest to operacja wyłącznie Ilisidi. Pocieszające było przynajmniej to, że mają kogoś na miejscu; może, jak powiedział Banichi, przygotowywał bezpieczną drogę dla Ilisidi, podobnie jak ochrona Tabiniego przygotowała drogę dla Brena podczas jego inspekcji.

Między dwoma atevimi wywiązała się krótka dyskusja, po czym na kolejny sygnał ręką do drzwi zbliżyło się jeszcze kilku ochroniarzy Ilisidi.

Przez prawą przednią nogę Nokhady przebiegło drzenie i znalazło swój kres na łopacie, tuż pod kolanem Brena. Poza tym mecheiti stały nieruchomo. Zwierzęta, które podczas innych postojów były zainteresowane wyłącznie trawą, teraz z rozdętymi nozdrzami i strzygąc uszami, wpatrywały się w budynek. Nie miały na kłach ostrych, bojowych nakładek, które stanowiły

groźniejszą broń od tej, w którą wyposażyla je przyroda; lecz wyglądały tak, jakby mogły błyskawicznie zareagować na każdy sygnał.

Cenedi i Ilisidi ruszyli jednak bardzo powoli, a reszta mecheiti poszła za nimi, przecinając wąski pas startowy, by stanąć na trawie przed frontem budynku.

Mężczyźni ześliznęli się na ziemię. Ilisidi dała znak Babsidiemu, żeby przyklęknął, i schodząc na ziemię, wyjęła z pętli przy siodle swoją laskę. W tej samej chwili z siodła zeskoczył Cenedi.

Bren klepnął Nokhadę po łopatkę i szturchnął ją stopą, a kiedy się skłoniła, zeskoczył na ziemię, nie wypuszczając wodzy z ręki, dopóki się nie upewnił, że dobrze zrobił. Wszyscy jednak zsiadali i kiedy Banichi odszedł, żeby porozmawiać z Cenedim, pojawiła się Jago i przywołała do siebie Jase'a oraz chłopca.

452

- Ateva nie spodziewa się trudności - powiedziała - ale trzymajcie się mnie.

Puścili mecheiti, przywiązując wodze do kółek przy siodłach.

Bren dotkliwie odczuwał obecność pistoletu w wewnętrznej kieszeni kurtki, będącego czymś więcej niż twardym i ciężkim przedmiotem objającym mu bok, kiedy Nokhada ruszała marszowym krokiem. W przeciwieństwie do Jase'a i chłopca był uzbrojony i przynajmniej potrafił się bronić. Nie postawiłby na

Ilisidi, która weszła do budynku otoczona strzelbami i rewolwerami.

Weszli też i ludzie: do foyer z podwójnymi drzwiami, a z niego do centrali łączności, gdzie na jednej ścianie były dwa rzędy włączonych ekranów telewizyjnych, a podłogę zajmowało sześć rzędów konsoli. Mimo obecności uzbrojonych strażników przy niektórych pulpitych pracowali atevi.

Podszedł do nich jakiś urzędnik, uklonił się i wygłosił kilka gładkich słówek, a następnie zaproponował napoje i kolację, przysięgając, że pilnuje ich straż złożona z ochroniarzy Gildii.

- Najpierw chcę tu wszystko obejrzeć - powiedziała Ilisidi i wspierając się na lasce, obeszła z Cenedim u boku długie rzędy lad i konsoli, otoczona garstką swoich młodych mężczyzn; pozostali zajmowali stanowiska w całym pomieszczeniu.

Technicy nie mogli zupełnie ignorować tego, co się dzieje, ani faktu, że widoczna była broń, tak więc ruchom wdowy i strażników towarzyszyły nerwowe spojrzenia.

W tak wielkiej ciszy, że nie trzeba było wyęzwać słuchu, wdowa została poinformowana, iż to jest centrala, w korytarzu są biura i miejsca wypoczynku, a te drzwi prowadzą do przyległych baraków dla personelu. Jeden z atevich Ilisidi powiedział, że już tam byli i wystawili strażę w barakach i oddzielnych budynkach gospodarczych.

- Zapewniam cię, aiji-ma - powiedział dyrektor - że wszystko

jest w porządku.

453

- A wiadomości dla paidhiego?

- Nand' wdowo? - Dyrektor wyglądał na zaniepokojonego;

wdowa uderzyła laską w konsolę. Na ten odgłos podskoczyło ze dwudziestu pracowników. Jedna ateva chciała rzucić się pod ladę, ale zmieniła zamiar i zaczęła szukać na podłodze pióra; szybko podniosła się i z zakłopotaną miną położyła je przed sobą.

Posłańcy byli przestraszeni: oficerowie ich Gildii zadawali się ze stroną przeciwną, a aiji-wdowy, szarej eminencji w chwiejnej atewskiej polityce, towarzyszyła strzegąca jej Gildia Zabójców.

Oficjalnie Ilisidi była na wycieczce, między innymi do starej fortecy, o czym musiano wiedzieć w tym centrum łączności, a pewne osoby z personelu na pewno znały naturę tego fortu.

Musieli sądzić, że w tej chwili - kiedy inne sprawy gwałtownie okazywały się niepewne dzięki elektronicznym przekazom krążącym po całym kontynencie - wdowa prawdopodobnie stoi po stronie aijiego.

- Gdzie jest poczta paidhiego - zapytała Ilisidi pośród ciszy, w

której poruszała się tylko ona - i dlaczego wiadomości przechodzące przez ten ośrodek ciągle giną? Czy to wina

konkretnych osób? A może jest uszkodzony sprzęt. Czy winy

należy szukać w tym miejscu? Czy może mi ktoś wyjaśnić,

dlaczego wiadomości zalegają w stacji i nie wychodzą z niej na

czas? Czy zawiniła jakaś samoistna awaria sprzętu?

- Nie, aiji-ma - powiedział cicho dyrektor, ale głos miał spokojny. - Nie ma żadnej awarii sprzętu. Przejąłem kierowanie tą placówką pod nieobecność wyższego dyrektora.

- A jesteś...?

- Brosimi z prowincji Masiri, aiji-ma. Wyznaczony przez moją Gildię na zastępcę dyrektora Mogari-nai.

Nie można było nie zauważyć tytułu „aiji-ma”, oznaki przynajmniej formalnej lojalności; Ilisidi, maleńka wśród swoich strażników, zdominowała swoją obecnością całe pomieszczenie.

454

Wdowa ruszyła dalej, popatrzyła na jedną i drugą konsolę, a cały czas byli przy niej Cenedi i Banichi; towarzyszył jej też ateva imieniem Panida, którego talenty i funkcja w otoczeniu Ilisidi zawsze wydawały się Brenowi podobne do tego, co robił Tano. W apartamencie Ilisidi w Bu-javid Panida zwykle przebywał w pobliżu posterunku inwigilacji, stanowiącego część składową ochrony każdego pana. Teraz zatrzymywał się tu i tam, przy pustych, nieczynnych konsolach. Raz pstryknął przełącznikiem. Bren nie zauważył, czy był włączony czy wyłączony.

- Nand' dyrektorze - powiedziała Ilisidi. - Widzę tu bardzo mało personelu. Na tej zmianie zwykle pracuje więcej osób?

- Tak, aiji-ma, ale teraz są w miejscowości Saduri.

- A czy to wzmoże wydajność tego personelu?

- Zapewniam wdowę, że tak się stanie. - Dyrektor dał

ukradkiem znak swoim pracownikom, którzy niepewnie wstali z foteli i skłonili się z szacunkiem, prawie jak jeden mąż.

- Nadiin. - Ilisidi skinęła głową i przedstawiła ludzi: - Bren-paidhi. Jase-paidhi. Oraz ich oddany towarzysz, dziedzic pana Dur.

- Nand' dyrektorze - odezwał się Bren do zwróconych w jego kierunku twarzy. - Nadiin.

Nastąpiła druga seria ukłonów i kiwnięć głowami. Młoda kobieta pośpiesznie, lecz z szacunkiem zebrała ciężką stertę papierów i oznajmiła:

- Nand' wdowo, oto wiadomości, które przeszły przez tę stację w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Z wielkim szacunkiem, aiji-ma.

- A wiadomości dla paidhiin?

Do jednego z biurek podszedł mężczyzna w średnim wieku i ostrożnie, z niepokojem patrząc na ochroniarzy, zebrał mniejszą porcję wydruków.

455

- Oto zapis fonetyczny i transkrypcja, aiji-ma, ale wszyscy tłumacze wyjechali.

- Ateva zapewnia cię, nadi, że paidhiin nie potrzebują tłumaczy. - Ilisidi niedbałym machnięciem dłoni skierowała mężczyznę do ludzi, a ten z ukłonem podał zapis Brenowi.

Bren pomyślał, że wdowa chce, by on go przeczytał.

- Dziękuję, nadi - powiedział do niespokojnego technika, wziął od niego cienki plik i położył obok siebie. Była to końcówka potrzebnego mu zapisu, a Bren był przyzwyczajony do transkrypcji fonetycznej. Usiadł i przerzucił kartki do ostatnich przekazów.

Były to przekazy Deany, już z tego ranka; włączono je do ograniczonej transkrypcji, chociaż były w ragi. Już na pierwszy rzut oka wydawały się bardziej gramatyczne i staranniejsze niż ustne wypowiedzi Deany w tym języku - no, ale na Mospheirze miała pod ręką swoje słowniki.

Deana mogła jednak chwilę poczekać. Przez chwilę Bren szukał spraw niekoniecznie rządowych, lecz swoich spraw osobistych, które, gdyby je znalazł podczas wykonywania obowiązków służbowych...

Zdał sobie sprawę, że Jase pochyla się nad ladą i czyta mu przez ramię.

Zdał sobie sprawę, że przewraca strony drżącą ręką; gdy zaczerpnął głęboko tchu, odkrył, że strach, który tłumił od czasu, kiedy nie mógł uzyskać połączenia telefonicznego, wciąż w nim żyje.

Kolejne śmiecie Deany. Tworzyły większość sterty i doprowadzały go do wściekłości. Chciał dotrzeć do wiadomości przeznaczonych dla siebie. Chciał znaleźć odpowiedzi Toby'ego, wiedzieć, co się stało, jak się wiedzie jego rodzinie.

Znalazł je.

456

„Bren, matka jest po operacji. Powiedzieli, że było gorzej, niż myśleli. Nic jej nie będzie. Próbowałem dzwonić. Była awaria łączności. Mam nadzieje...”.

Wiersz zamazał się i Bren zamrugał, żeby obraz się wyostrzył.

„...nadzieję, że to otrzymasz. Wierzę, że u Ciebie wszystko w porządku. Było mi przykro, że przerwano nam rozmowę. Dobrze wiedziałem, że nie powinienem mówić tego, co powiedziałem, ale wyszły te wszystkie bzdety. Chciałem powiedzieć, że cię kocham, bracie. A naplotłem tyle bzdur”.

Ręka trzęsła się Brenowi tak, że nie potrafił tego opanować.

Nic nie widział. Przez chwilę nie mógł myśleć o niczym innym, oprócz tego, że będąc na służbie u wdowy, nie może okazywać zdenerwowania w pokoju pełnym atevich. Gra szła o zbyt wysoką stawkę. Miał zbyt wiele do zrobienia. Z trudem wstał z fotela i pomyślał, że jeśli będzie się poruszał powoli i nie okaże niepokoju, to dotarcie do łazienki umożliwi mu wzięcie się w garść i nikt niczego nie zauważy. Od jego opanowania zależało życie wielu osób. Nie mógł stać się źródłem plotek i przynieść wdowie hańby.

- Jago-ji - powiedział. Oczy miał pełne łez i starał się nie mrugać. - Trochę tu ciepło. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest łazienka?

- Nandi. - Jago przesunęła się obok Jase'a i, dzięki Bogu,

stała między Brenem i pozostałymi osobami. - Tędy.

- Bren? - zapytał Jase.

- Zostań tu! - nakazał mu Bren, przekonując się przy okazji, że może mówić, a jeśli uda mu się na osobności przemyć oczy i nie zrobić z siebie durnia, to nic mu nie będzie i wróci, zanim ktokolwiek zacznie kwestionować jego reakcje.

Jago tymczasem wyprowadziła go na boczny korytarz i podprowadziła do drzwi łazienki, a potem weszła z nim do środka.

Cały czas było tak cicho, że można by usłyszeć jak szpilka pada

457

na podłogę.

- Bren-ji?

- Wszystko w porządku. - Bren odkręcił zimną wodę w umywalce i spryskał sobie twarz. Jago podała mu ręcznik. W atewskich łazienkach nie było luster. Bren miał nadzieję, że nie zmoczył sobie włosów. Widział już dobrze, ale żołądek wciąż miał ściśnięty. - Przepraszam, Jago-ji. Nic mi nie jest. Jak wyglądam?

- Źle - odparła Jago. - Co przeczytałeś, Bren-ji?

Spróbował sformułować odpowiedź. „Dobre wiadomości” wydawało się nieco przesadne. Naprawdę nie szło mu dobrze. Zaskrzybiały drzwi. Jago przytrzymała je ręką, ochraniając Brena. Rozległ się głos Jase'a:

- Bren?

- Za chwilę, Jase. - Przyływ adrenaliny, irytacji, gniewu;

Bren sam nie wiedział, czego. Ale Jase nie dawał za wygraną.

- Muszę z nim porozmawiać, nand' Jago. Proszę cię.

- Wpuść go, nadi-ji - powiedział Bren, wnosząc z tonu Jase'a, że mógł on znaleźć w zapisach coś pilnego. Jago otworzyła drzwi i Jase wśliznął się do środka; Bren wiedział, że w pomieszczeniu centrali łączności dochodzą do wniosku, że coś jest bardzo źle.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Jase. - Przeczytałem wiadomość. Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam.

Bren nie rozumiał. Nie chciał, do cholery, omawiać swojego życia osobistego. Ciężyły na nim zupełnie inne sprawy.

Lecz częścią tych zupełnie innych spraw była współpraca Jase'a.

- Jago - powiedział.

458

- Nie zostawię cię, Bren-ji.

I nie powinna. Odeszła jednak na bok i cofnęła się o krok pod ścianę.

To dało Jase'owi całą swobodę, na jaką mógł liczyć w tak ciasnej przestrzeni; pochylił głowę i zaczerpnął tchu jak człowiek, który ma przed sobą jakieś nieprzyjemne zadanie.

- Bren - powiedział cicho i mówił dalej we własnym języku -

Yolanda próbuje uciec. Przybywa tutaj. Będzie próbować.

Wysłuchanie tego trwało kilka uderzeń serca. Przez następne kilka uderzeń Bren starał się zrozumieć to, co usłyszał. Yolanda Mercheson, towarzyska Jase'a ze statku, chce opuścić Mospheirę?

- Dlaczego? - potrafił powiedzieć tylko tyle; nie „Kiedy?”, nie „Jak?”. Te pytania czekały w kolejce, ale w tym momencie drzwi otworzył Cenedi.

- Nadiin. Czy jest jakiś problem?

- Nic nam nie jest - powiedział Bren. Nerwy miał wciąż mocno napięte i zdał sobie sprawę, że każe czekać wdowie. -

Chwileczkę, Cenedi-ji. Proszę, poproś wdowę, żeby dała mi jeszcze chwilkę. - Nie robiło się takich rzeczy; Bren właśnie ją zrobił. - Jase. Dlaczego? Co się dzieje?

- Nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że przybywa.

Uznała, że nie jest w stanie pracować z wyspą.

Spisuje Mospheirę na straty? Statek rezygnuje z ludzi.

- Nie rozumiem - powiedział. - A będziemy musieli wyjaśnić to wdowie. Kiedy to ma nastąpić? - Nagła namiętność Jase'a do morza zaczęła nękać zakamarki umysłu człowieka nauczonego przez wiele lat podejrzewać każdą anomalię. - Kiedy się skontaktowaliście? Kiedy?

- Przez telefon - powiedział Jase słabym głosem; pobladł i

459

spocił się. - Umówiliśmy się przed lądowaniem, że jeśli jedno z

nas uzna miejsce, w którym się znajdziemy, za nie do przyjęcia, jeśli będą nam stawiane żądania nie do przyjęcia, to w jakiś sposób przebedziemy cieśninę. Zadzwoiła do mnie i w ten sposób się dowiedziałem. Wiedziałem, że muszę przyjechać co najmniej na wybrzeże. A potem, gdyby jej się udało, to będąc z tobą, na pewno bym się o tym dowiedział i mógłbym ją sprowadzić do stolicy. Nie wiedziałem, że tutejsza sytuacja jest tak poważna. Nie wiedziałem...

- Jase, ta opowieść ma tyle dziur...

- Nie kłamię.

- Chciałeś wymknąć się na wybrzeże i odebrać ją. Czym?

Łodzią? Samolotem? A może przyjdzie piechotą? - Bren był zbyt wstrząśnięty, by zachowywać się rozsądnie. Znajdował się na granicy wybuchu. - Jak się dowiedziałeś? I nie mów, że przeprowadziłeś rozmowę telefoniczną, o której nie wiem. Wiem o wszystkim, co przychodziło do apartamentu, chyba że przyszło na dwóch nogach.

- Nie. Ustaliliśmy to zawczasu, Bren. Nie wiedzieliśmy, w co się pakujemy, ale wiedzieliśmy, że mogą być problemy ze strony atevich; wiedzieliśmy, że mogą być też problemy ze strony wyspy, ale naprawdę myśleliśmy, że jeśli sprawy się posypią, to posypią się tutaj, a nie tam. Powiedzieliśmy więc... gdybyśmy musieli zasygnalizować kłopoty... jedno z nas powiedziałoby... powiedziałoby, że stało się coś w rodzinie. Domyśliliśmy się, że

jest to coś, co mogą zrozumieć nawet atevi, i zezwolą nam na kontakt. Ten, kto miałby uciekać, miał powiedzieć temu drugiemu, że ktoś w jego rodzinie jest chory. Albo umarł, jeśli byłaby to sprawa życia lub śmierci. Ona powiedziała, że mój ojciec nie żyje, Bren. Jest w prawdziwych tarapatach.

Bren może i pozwolił, by na twarzy odmalowało mu się jakieś uczucie. Nie miał całkowitej pewności. Był zły. Zawstydzony i zły, i doskonale wiedział, że Jago rozumiała większość z tego, co

460

zostało powiedziane. Zaangażował cały rząd w kłamstwo Jase'a.

Interweniował u Gildii w i tak drażliwej sytuacji.

- Nie znałem atevich - powiedział Jase. - Nie rozumiałem, jak tu wszystko funkcjonuje. Nie wiedziałem, że sam masz prawdziwe problemy, a potem je poznałem, ale nie wiedziałem, jak mam to wszystko doprowadzić do końca i ściągnąć ją na kontynent, skoro miałeś o wiele większe kłopoty niż ja i nie sprowadzałeś własnej rodziny. Wiedziałem, że nie będzie tak, jak sobie zaplanowaliśmy, było mi cholernie przykro z powodu twojej sytuacji i nie wiedziałem, co robić, poza dostaniem się tu w jakiś sposób, znalezieniem się na brzegu i zachowaniem świadomości, że jeśli się jej uda, to będę na miejscu...

- Wiesz co - powiedział Bren o wiele bardziej opanowanym głosem, niż sądził, że to możliwe - mógłbym przyjąć to wszystko po kolei. Mógłbym zrozumieć, że mnie okłamałeś. Mógłbym

zaakceptować twoje postępowanie. Ale to ty mnie atakowałeś za kłamstwo, Jase. Uniosłeś się świętym oburzeniem, że cię okłamywałem, i chciałeś, żebym to ja cię przeproszał, kiedy cholernie dobrze wiedziałeś, iż jest na odwrót, i tego, Jase, nie potrafię zrozumieć.

- Nie wiedziałem, że mogę ci wierzyć!

- A teraz możesz.

- Teraz wierzę - odparł Jase.

- Czy plan nie był taki, że mamy po nią posłać? A może miało to być coś innego, Jase? Czy mamy do czynienia z jeszcze jedną historyjką?

- Nie chciałem dzwonić z wiadomością, żeby przyjeżdżała do czegoś gorszego niż to, z czym miała do czynienia. Nie śmiałem jej tu zaprosić. Byłem z obcymi ochroniarzami. Nie mogłem do ciebie dotrzeć przez cztery dni, Bren. Nie mogłem poprosić personelu. Powiedziałaś, żebym na nich uważał. A wtedy było już za późno. Telefon do matki - statek nie miał wiadomości od

461

Yolandy. Ani słowa od czterech dni. Nie wiedziałem, co robić.

- Wiec chciałeś przyjechać tutaj. Okazuje się, że nie tego się spodziewałeś. I teraz mi wierzysz.

- Wszystko, co mi powiedziałaś... - zaczął Jase, ale teraz to jemu drżał głos. - Na razie wszystko brzmi rozsądnie. Wierzę, że wyniesienie się Yolandy z wyspy ma związek z tym, co robi

Deana Hanks, ma związek ze wszystkim, co mi powiedziałeś.

Przez całą drogę starałem się znaleźć jakiś sposób, żeby ci powiedzieć, co się dzieje, ale za każdym razem, kiedy próbowałem z tobą porozmawiać, natykałem się na coś innego, co nie było tym, czym być powinno, sądząc z twoich słów. Sądziłem, że może Yolanda opuszcza wyspę razem z Hanks. Teraz jednak tak nie myślę. Po tym wszystkim, co słyszałem, już tak nie myślę. Nie myślę tak przez tych atevich na zewnątrz. Nie myślę tak przez tę sprawę w apartamencie. Przez wdowę. Ale ja po prostu nie wiedziałem, co robić, Bren. Starałem się dotrzeć do prawdy - a ty mnie na początku okłamywałeś. Pracujesz dla mospheirskiego rządu i dla aijiego. Nie wiedziałem, gdzie stoisz, a wszystko się rozpadało.

To miało sens. Wyprawa na ryby. Ta cholerna wyprawa na ryby. Wszystkie kłamstwa, którymi się nawzajem raczyli, wszystkie różnice w pojmowaniu, które wytworzyły się u dwóch grup ludzi w ciągu dwustu lat separacji.

A jeśli Yolanda Mercheson wynosi się z wyspy, to pojawią się tam bardzo rozzłoszczeni i zdesperowani ludzie, którzy tylko wywołają większe napięcie i pogorszą sytuację wszystkich, choćby najluźniej z nią związanych.

Na kontynencie działały siły reprezentujące różne atewskie postawy. Wszystko, co szło naprzód, wciąż było w ruchu, tyle że teraz włączyły się do niego ludzkie kłopoty.

- Lepiej obaj bądźmy szczerzy z wdową - rzekł Bren. - Na

całym wybrzeżu trwają różne działania. Jeśli twoja partnerka
wyjawiła swoje zamiary, może to być wroga reakcja, jaką chce

462

wywołać Hanks. Jeśli poróżniły się, może to być główną
przyczyną działań Hanks - chce tu wywołać wojnę, żeby statek nie
porozumiał się z nami. Albo przyczyna może być tak prosta i
głupia, jak chyba jest: Hanks nie ma pojęcia, z czym zadziera.

Całe lata studiów i tydzień wśród atevich, a ona wciąż nie

rozumie. Jago-ji, nadi. - Zmienił język i podszedł do drzwi. -

Czym może tu przybyć Yolanda, Jasi-ji? Łodzią? Samolotem?

- Nie potrafi latać. To pewne. Może mogłaby ukraść łódź. Ale
burza...

- Wcale nie jest pewne, czy da sobie radę z łodzią. Trzymaj się

mnie. - Poszedł do centrum łączności, minął zaniepokojonych
techników, chłopca i ochronę wdowy, chcąc porozmawiać z nią
osobiście. - Nand' wdowo - powiedział - mój partner mówi, że
druga paidhi ze statku zrezygnowała z posady.

- Zrezygnowała.

- Opuszcza wyspę i chce znaleźć schronienie na kontynencie.

Najprawdopodobniej przyplynie łodzią. Nie wiemy, kiedy. Nie
wiemy, gdzie.

- I to jest w tych wiadomościach, które przeczytałeś?

- Nie, nand' wdowo - odezwał się Jase. - Dowiedziałem się o

tym przez telefon wiele dni temu. Nand' Bren nic o tym nie wiedział. Chciałem w końcu... - Głos Jase'a drżał, ale po chwili przestał. - Chciałem powiedzieć o tym wcześniej. Przepraszam, nand' wdowo.

- To był szyfr w rozmowie - wtrącił Bren - aiji-ma. Ochrona żadną miarą nie mogłaby go wykryć. Ja go nie wykryłem.
- No tak - rzekła Ilisidi i podczas gdy mogła wybuchnąć zupełnie uzasadnionym gniewem, wybuch nie nastąpił, chociaż wszyscy w napięciu się go spodziewali. - No tak. - Ilisidi wstała, opierając się na lasce. - A tej nocy ludzkich tajemnic, tej nocy o poważnych konsekwencjach dla wszystkich, kiedy głupcy usiłują obalić cały zastany porządek, co się stanie na wyspie, nand'

463

paidhi? Co się stało? Katastrofy? A może są lepsze wiadomości.

Bren stwierdził, że znów drżą mu ręce. Nie chciał się zagłębiać w swoje sprawy rodzinne, a był pewien, że ktoś z personelu Ilisidi już przeczytał tę wiadomość, przez którą Jase popędził za nim i która wszystko zatrzymała, dopóki Bren nie pozbierał się w łazience.

- Jestem pewien, że będą się starali ją zatrzymać, nand' wdowo.

Została mu jeszcze ostatnia deska ratunku, coś, co dał mu Shawn, i o ile Bren potrafił to ocenić, właśnie nadeszła pora, by z tego skorzystać.

Było to połączenie z międzynarodowym systemem telefonicznym, którego Bren za wszelką cenę dotąd unikał: podczas jego ostatniej wizyty na Mospheirze ludzie z Agencji Bezpieczeństwa dostali w swoje ręce jego komputer i kiedy Bren w drodze na lotnisko wstąpił do biura, żeby uaktualnić swoje dane, coś się stało: do pamięci jego komputera spłynęła ogromna ilość informacji, dane i programy, które, kiedy zdał sobie z tego sprawę, przerzucił do pamięci zapasowej. A skoro sekretarz spraw zagranicznych posunął się aż do tego, by wsunąć swoje kody pod piankę opatrunku Brena, żeby w ten sposób dotarły razem z nim na kontynent, to Bren uznał, że Shawn przeznaczył je do wykorzystania w poważnej sprawie, a nie w przypadku, gdyby Bren stęsknił się za ludzkim głosem.

Bren domyślał się też, że zanim znalazł notkę Shawna - o wiele później, niż było to przewidziane - sytuacja ogromnie się zmieniła i ludzie w departamentach stanu i obrony, którzy zajmują się takimi sprawami, prawdopodobnie zaminowali tę ścieżkę i gdyby Bren usiłował skorzystać z kodów Shawna, to jego komputer stałby się gorzej niż bezużyteczny.

Nie miał żadnego sprzętu ani wiedzy, by wykryć takie

464

niszczyielskie działania. Nie odważyłby się potem połączyć swego komputera z żadnym innym systemem komputerowym, ze strachu przed tym, co mógłby do tego systemu wprowadzić. Miał

tylko nadzieję, że połączenie, które usiłował uzyskać, nie zniszczy danych i notatek, które miał zapisane w pamięci komputera.

Przewidując jednak nadejście takiego dnia, Bren skopiował wszystko, co mógł. A nie mógł uniknąć bezpośredniego kontaktu.

Stanowiła go seria sprzężonych zwrotnie działań - jeśli uzyska połączenie.

Posłużył się klawiaturą. Wpisał to, co miał do wpisania. Obok niego siedział człowiek, który był technikiem komputerowym w systemie o wiele bardziej zaawansowanym od systemu Brena i który, jak ujął to Jase, wiedział o „tych wczesnych maszynach” mniej niż o atevich. Była tam też Jago, Banichi i Cenedi. Po ostatnim uderzeniu w klawisz zapaliły się lampki kontrolne komputera, a potem zaczęły migać. Bren siedział i czekał na dźwięk głosu, w którego pojawienie się jednak nie wierzył.

Przełączniki trzaskały. Przynajmniej brzmiało to tak, jakby trzaskały przełączniki. Na linii departamentu stanu, jeśli przez nią dostał połączenie, był robot, a nie telefonistka. Jeśli liczby okazywały się właściwe, połączenie przejmował inny robot.

Ale jeśli obawy Brena były słuszne, to drugi robot, ten, który niegdyś łączył go z Biurem Spraw Zagranicznych, będzie wyłączony.

Następny przełącznik. Bren spodziewał się głosu. Trudno mu było w to uwierzyć.

A potem kolejny trzask zniweczył jego nadzieje. Trzask.

Przerwa. Trzask. Trzask. Trzask.

- Pewnie kierują połączenie na drugą stronę wyspy -

powiedział do Jase'a i jeszcze w momencie, w którym mówił,

nabrał podejrzeń, że właśnie tak się dzieje: to były kolejne

połączenia długodystansowe, jako że jego kody wciąż przebijały

465

się przez mury i kierowały się - proszę Cię, Boże - do

departamentu stanu i Biura Spraw Zagranicznych. A tam, jeśli

Bren miał wielkie, naprawdę wielkie szczęście, to o tej późnej,

wieczornej godzinie system może działać bez telefonistki, co

mogło się zdarzyć, jeśli kody były naprawdę bardzo czyste, i

połączyć go z Shawnem, gdziekolwiek by on był.

Odezwał się dzwonek.

- Połączenie z... - Cholerne nagranie. Bren wstukał szyfr.

Rozmowa przełączyła się na inny numer.

- Biuro Spraw Zagranicznych.

Młody głos. Damski. Bardzo młody. Brenowi zamarło serce.

- Shawn Tyers - powiedział. - Sprawdzenie kodu. Pilna sprawa

- Sir?

- Sekretarz spraw zagranicznych. - Boże, Boże, zatrudniają

durniów. - Proszę mnie przełączyć do sekretarza spraw

zagranicznych. Trzeba wstukać 78. Musi to pani zrobić ze swojej

konsoli.

- Czy to pan Cameron? - W głosie zabrzmiał niepokój.

Podniecenie. Bren nie chciał się przyznawać, ale nie miał innego wyboru.

- Tak. W sprawie dyplomatycznej. Życia i śmierci. Proszę mnie połączyć.

- Pojechał do domu. To znaczy... pojechał do domu na wybrzeżu, panie Cameron. Zamknęli biuro.

- Zamknęli biuro.

- No... - Telefonistka ściszyła głos, który chyba drżał. -

Zamknął je departament stanu, panie Cameron. Zwolnili wszystkich w całym Biurze Spraw Zagranicznych, ale ja pracowałam dla obu biur. Jestem nocną telefonistką.

- Polly? - Bren pamiętał młodą kobietę o ciemnej cerze, z

466

przedziałkiem pośrodku głowy.

- Tak, panie Cameron. Mnie też zwolnią. Nagrywają wszystkie rozmowy. Nie mogę zadzwonić na zewnątrz. Czy chce mi pan coś powiedzieć, żebym to komuś przekazała?

- Dobranoc, Polly.

- Tak, sir. - Przekaz był bardzo słaby. Brzmiał zupełnie jak głos dziecka. - Miłego wieczoru, sir.

Chciał zakląć. I trzasnąć słuchawką. Nie zrobił tego jednak.

Zaczerpnął głęboko tchu i uspokoił nerwy.

- Nand' wdowo, departament stanu zwolnił wszystkich pracowników Biura Spraw Zagranicznych. Do domu pojechał

nawet sekretarz. To mi powiedziała młoda kobieta, a ja jej wierzę.

Yolanda-paidhi mogła gdzieś wyjechać. Obawiam się jednak, że tego nie zrobiła.

Jase oparł się o konsolę, zwiesił głowę i wyglądał na kompletnie przybitego.

- No tak - rzekła wdowa.

- Wiem, dokąd mogłaby pojechać - odezwał się młody głos.

Wszyscy spojrzeli na chłopca z Dur.

467

Rozdział 24

Były mapy. Ochroniarze Ilisidi mieli bardzo szczegółowe mapy, które przynieśli do niewielkiej sali konferencyjnej o szklanych ścianach, przylegającej do centrali łączności. Widoczni przez szyby technicy z Gildii Posłańców obsługiwali rutynowe przekazy i będąc w większości mieszkańcami Saduri, odciętymi przez obecny kryzys od domów, z wdzięcznością przyjmowali kolację z oficjalnego bufetu. Stojąc wokół stołu w salce konferencyjnej - krzesła zostały odstawione pod szklaną ścianę - wszyscy, którzy musieli sformułować plan działania, stanowili stłoczoną, lecz uważną publiczność Rejiriego z Dur-wajran, który wodził ręką po gęsto naniesionych liczbach i liniach topograficznych wybrzeża Mospheiry, a także obszaru, który nie był opisany na większości atewskich map.

- Nielegalne łodzie przybywają z przewężenia. O, tutaj -

powiedział Rejiri, trzymając palce na najwęższej części cieśniny, tej najbliższej Aidin. - W przewężeniu jest bardzo niebezpieczny prąd, więc chociaż wygląda to na naprawdę dobre miejsce do przepłynięcia cieśniny, wcale nim nie jest. Frachtowce wiedzą, ale one płyną z Jackson, napotykają na prąd i z całych sił z nim walczą. No i mają duże silniki. Małe łódki nie mogą nabierać tyle paliwa do baków, nand' wdowo, a jeśli będą zbyt polegać na silnikach, to szybko zużyją paliwo, a szczególnie, jeżeli nie mają

468

na pokładzie dużo dodatkowych kanistrów, to wpadną w duże kłopoty. Jeśli wypłyną z Jackson, popłyną z prądem, a wiatr z przylądka Aidin nie będzie wiał im w twarz, to mogą przepłynąć w poprzek i prąd po prostu poniesie małe łódki do Dur. Problem jednak w tym, że jeśli ktoś zna tylko żeglowanie po bezpiecznych wodach, to nie wie, że znalazł się w prądzie, i myśli, że płynie na drugą stronę, a wcale tak nie jest. Można wtedy spłynąć bardzo daleko na południe. Trzeba mieć dużo baniek z paliwem, bardzo dużo baniek. Nieraz jednak kończy się paliwo albo czasami wypływa się z Bretano. Niektórzy tak robią, a wtedy wszyscy przyplływają dokładnie tu. - Chłopiec pokazał punkt na zewnętrznym brzegu, w miejscu gdzie skręcał w kierunku Zatoki Saduri, i ponownie zaczerpnął tchu. - Na tę plażę. Jeśli wrzuci się do morza butelkę w Jackson albo w Bretano, to musi tu przyplłynąć. Po burzy można znaleźć mnóstwo rzeczy. Najczęściej

tylko śmiecie. Ale jeśli jakaś łódka próbowała coś przemyścić albo jeśli nie dotarła do Dur, to rozbije się tu na skałach albo przybije do brzegu gdzieś tutaj. A pogoda jest zła. To może im pomóc, ale morze będzie okropne.

- Co on mówi? - zapytał Jase. Chłopiec mówił szybko, z akcentem i używał słów nie znanych Jase'owi. Bren przedstawił mu skróconą wersję w mospheiranie.

- Mówi, że prąd w cieśninie jest bardzo silny. Jeśli łódki płynące z Mospheiry nie dotrą do Dur, to znosi je na plażę w okolicach Saduri.

- Prąd wodny.

- Tak. - Nawet Bren nie wiedział, jak powstaje prąd. Nie była to odpowiednia pora, żeby się tego dowiadywać. Wdowa patrzyła ponuro na mapę, na którą - tego Bren był pewien - już nakładała inne rozwiązania, znając plany, które w świetle rewelacji Jase'a mogłyby ulec zmianie. Chłopiec mówił dalej.

- Nand' wdowo. Mógłbym wziąć tutejszy samolot. Mógłbym polecieć na Dur i powiedzieć ojcu, że potrzebujesz pomocy.

469

Ilisidi zmarszczyła brwi.

- Nie masz klucza.

- Ateva nie potrzebuje klucza, nandi.

- Ateva zapomniała. Kradzież samolotów to twoje zajęcie. Jak się go włącza?

- Ateva przyciska guzik, nand' wdowo.

- Katastrofa dla bezpieczeństwa. Zostań tu. Zamierzam obciążyć twojego ojca kosztami utrzymania ciebie według stawek godzinowych.

- Ale ja mógłbym pomóc!

- Na pomyślnych bogów, chłopcze, to jest centrum łączności dla połowy kontynentu! Sądzisz, że nie możemy zadzwonić do twojego ojca?

- Ale telefony można podsłuchiwać. Prawda, nand' wdowo?

Na chwilę zapadła cisza. Odezwał się Cenedi:

- To mogłaby być pożyteczna dywersja. A obecność chłopca w radiu mogłaby pomóc w przemyczeniu czterech osób.

- Cholernie głupiego chłopca, którego bezpieczeństwo spoczywa w moich rękach.

- Nand' wdowo, mógłbym wystartować prosto z urwiska i od razu byłbym na podejściu do lądowania. Ja mógłbym przewieźć pasażerów do Dur! Poprosimy ojca, by zawiesił rejsy promu, żeby nikt nie mógł przybyć tu z Wingin! Jeśli wyślesz swoich atevich, to mi uwierzy!

- Wari-ji.

Ateva o tym imieniu oparł rękę na stole.

- Ateva uważa to za możliwe, aiji-ma. Chłopiec ma rację.

- Wydaj mu polecenia. Jeśli potrafi uruchomić to urządzenie,

jeśli jest paliwo - pozwól mu lecieć. Idźcie. Nie zwracaliśmy się do Dur, żeby ich nie angażować, ale Dur zwróciła się do nas.

Pozwólmy im działać, jeśli tego chcą.

- Tak - odparł mężczyzna. Pełną formą jego imienia było

„Nawari”. - Chłopcze.

Chłopiec podbiegł do niego, skręcił do drzwi, przypomniał sobie o ukłonie i wyszedł, przyzwany gestem. W pomieszczeniu trwała cisza, dopóki za wychodzącymi nie zamknęły się drzwi. Na końcu jednej z konsoli w widocznym przez szybę centrum łączności rozłożono jedzenie; mijając ją, chłopiec schował do kieszeni kanapkę - pewnie na wypadek głodu w drodze do Dur. Była to bezpieczna żywność: Bren rozumiał, że przywieźli ją ich atevi, kiedy przyjechali, żeby przygotować Mogari-nai do wizyty wdowy. Nawet jeśli wszyscy oprócz paidhiin byli na tyle przewidujący, by zostawiwszy bagaże, włożyć do kieszeni żelazne racje żywnościowe.

- Tak się składa, że w samolocie jest paliwo - rzekła Ilisidi. -

Przyleciał nim tu nasz personel. - Na dachu i w okolicach wież przekaźnikowych atevi wciąż trzymali straż, atevi, którzy jakoś musieli dotrzeć do Mogari-nai, ale było ich za dużo na jedną awionetkę. - Ateva chciałaby tu zostawić tego młodego głupca, ale mogłaby się założyć, że znajdzie się on w samym środku wydarzeń. - Palce wdowy spoczęły na mapie, na wskazanej wcześniej plaży i na wyspie Dur. - Dur-wajran i jego pozycja

stanowiły źródło troski. Polegam na ocenie chłopca man'chi jego ojca i przyjąłem ją z ulgą. W gruncie rzeczy mamy na Dur pewną liczbę osób. Przybyły tam przed dwoma dniami promem z Saduri, ale przebywają tam jako turyści, chyba że otrzymają rozkazy albo dostrzegą jakieś kłopoty. Nawari dostarczy im rozkazy dotyczące cichych i konkretnych działań i przy aktywnej współpracy pana Dur możemy zamknąć połączenie wodne Wingin z Saduri. Tutaj chłopiec może się przydać. Podobnie jak przydatne są jego rady. Tę plażę zna na pewno każdy chłopak w okolicy. A jeśli tak jest,

471

to znają ją i Kadigidi. Mogli doradzić niewprawnym ludzkim żeglarzom, żeby wypłynęli z Zatoki Jackson z taką ilością paliwa, by wystarczyło im do ustawiania dziobu łodzi przodem do fali. Ponieważ ta plaża jest rządowym rezerwatem, przemytnicy często odwiedzają Dur. Tak mówi Cenedi.

- Na pewno każdy chłopak z okolicy był na tej plaży - odezwał się Cenedi. - Nadiin, nie liczyliśmy na utrzymanie Dur, ponieważ jej plaże są zbyt szerokie i jest to zalesiona, zaludniona wyspa pełna przemytniczych kryjówek, na których ujawnieniu jej mieszkańcom wcale nie zależy. Uważamy, że przybicie do przylądka Aidin byłoby dla buntowników o wiele bezpieczniejsze. Nie mamy w Aidin wystarczających sił, by zapobiec lądowaniu na wiejskim lotnisku czy ruchom na stacjach kolejowych lub na innych trasach, dzięki którym Hanks-paidhi mogłaby trafić w

przyjazne ręce. Jeśli przyleci samolotem, mogłaby wylądować na miejskim lotnisku w Wingin i odjechać pociągiem, a nasi atevi by jej nie powstrzymali. Jeśli jednak przyplynie łodzią - a mamy nadzieję, że nasza wzmożona aktywność powietrzna nad Wingin zniechęciła ją do lotu i zmusiła właśnie do tego - to wiemy, że będzie to mała łódka, której się nie uda dotrzeć do Wingin.

Ostatnio powstała dyplomatyczna przeszkoda dla wydawania zezwoleń dla frachtowców, czy to naszych czy ich, na wypływanie z mospheirskich portów: aiji wycofał wczoraj wszelkie certyfikaty. Spiskowcy zostali ostrzeżeni, a są ostrożni. Ostatni znajdujący się w drodze frachtowiec dziś rano zawrócił na Mospheirę. Jeśli któryś wyjdzie z portu, możemy go wykryć.

Natomiast mała łódka ma dużą szansę na przedostanie się przez sieć nie zauważona i oni to wiedzą.

Bren pomyślał, że ten zakaz żeglugi dla frachtowców to poważna sprawa. Nadzwyczaj poważna, pokrywająca się z rozwojem ataku na Mospheirę przepowiedzianym przez buntownicze radio. Atevi zapewne będą wysyłać nad cieśninę samoloty zwiadowcze i latać nad portami, wywołując jeszcze większy niepokój. Aiji ma łodzie patrolowe, a niektóre z nich

472

dysponują działami o zasięgu i sile rażenia wystarczającej do zatopienia statku.

Mospheira też ma takie łodzie. Jeśli ten kryzys będzie się

nadmiernie przedłużał, to istniało niebezpieczeństwo konfrontacji.

- Co mówi prezydent?

- Wpłynął protest Biura Handlu przeciwko działaniu aijiego - rzeki Banichi. - Jeśli wiedzą oficjalnie o prowokacjach Hanks-paidhi, to nic o tym nie mówią. Nie ma żadnych sygnałów, że chcą coś w tej sprawie zrobić.

- Człowiek podejrzewa, że wiedzą - odezwał się Bren ze świadomością, że za chwilę popełni zradę; aż go skręciło w żołądku, ale od wieloletnich bojów z administracją miał też poskręcane jak postronki nerwy. - Nie są jednak bardzo odważni, wdowo-ji. Będą starali się zadowolić swoich sponsorów do czasu pojawienia się pierwszych konsekwencji, które będą mogli wykryć wyborcy. Wtedy skupią uwagę na nie dopuszczeniu do tego oraz ujawnieniu sponsorów. Wycofają się. Najważniejszą sprawą będzie utrzymanie łodzi patrolowych z dala od siebie. Tu właśnie osoby na niższych poziomach mogłyby pogłębić kryzys.

- Jeśli połączą się z Direiso - powiedziała Ilisidi - to poprowadzi ich ona o wiele bardziej nierozważnym kursem.

Albo oszaleje ze złości, usiłując dojść do ładu z mospheirskim rządem, pomyślał Bren. Chyba że Direiso planuje najechać Mospheirę, gdy zostanie aijim.

A to nie był żart. Direiso rzeczywiście mogła o tym myśleć.

Wyspa była źle przygotowana do stawiania oporu, dokładnie tak samo, jak była źle przygotowana i nieudolnie dowodzona podczas

Wojny Ładowania. Potencjalnie była to taka sama sytuacja:

rozrastający się kryzys oraz większość ludzkiej populacji sennie lekceważąca niebezpieczeństwo przejęcia władzy przez zbuntowaną atevę.

W taki sam sposób jeden dekret podpisany przez Tabiniego

473

zmiotł wszelkie debaty, badania i popierane przez rozmaite stronnictwa opóźnienia - związane z przeniesieniem Zakładów Kosmicznych Patinandi oraz ze zmianą programu kosmicznego - by rozwijające się obecnie wokół nich wydarzenia mogły doprowadzić do zastąpienia Tabiniego, który tolerował ludzi, przez Direiso, która zetrze ich z powierzchni ziemi.

Złe wiadomości mnożyły się i Mospheira winiła za to Biuro Spraw Zagranicznych, które przekazywało informacje nie pasujące do oczekiwań rządu; wreszcie Mospheira przestała słuchać będącego w terenie paidhiego i zamiast zniechęcić agitatorów, którzy uważali, że zdobywają punkty polityczne, wycofała ochronę policyjną z mieszkania matki Brena. A może, co byłoby gorsze, politycy, którzy przeniknęli do policji, uniemożliwili mospheirskiemu rządowi jakiegokolwiek ewentualne działanie skierowane przeciwko politycznym zbirom i szaleńcom. Bren to przewidział. Patrzył, jak sytuacja rozwija się z prędkością pociągu pędzącego po szynach.

Tym razem w Shejidan jest silna, scentralizowana władza.

Tym razem atevi Edi i Maschi z Półwyspu nie atakują Doliny Padi. Tym razem mają nad głowami statek, zdecydowanego uczestnika gry, który jednak nie może ich osiągnąć ani wysłać swoich ludzi. Tym razem atevi są bardzo dobrze poinformowani o zwyczajach i wewnętrznych podziałach wśród ludzi, i tym razem są paidhiin.

A wszystko to może - albo i nie - przechylić szalę.

Usłyszeli, jak na zewnątrz samolot zapuszcza silniki.

Chłopiec wyruszył w drogę. Mógł doprowadzić do przejęcia wyspy Dur przez ich siły. Jeśli pan Dur opowie się po ich stronie, to mogli być stosunkowo pewni, że zdobędą tę jedną plażę.

Jeden z atevich przebywających poza szklanymi ścianami wszedł do środka i podał Cenediemu kartkę. W trakcie jej czytania zmienił się wyraz twarzy Cenediego.

474

- Nand' wdowo - powiedział - z magazynu w mieście wyjeżdżają ciężarówki. Drogą wzdłuż portu na zachód. Mamy je zatrzymać czy pozwolić, żeby wyjechały poza port?

Ilisidi zmarszczyła brwi i spojrzała na mapy.

- Utrzymujcie spokój - rzekła. - Przez jakąś godzinę.

A więc atewskie siły są w ruchu. Bren nie wiedział, gdzie są ani jak dużo ich jest, ale konsole łączności obsługiwali i pilnowali ich lojalni członkowie Gildii, więc spróbował usiedzieć w jednym z miękkich foteli w saloniku, odchylić głowę na oparcie i

odpocząć, kiedy w rzeczywistości chciał nerwowo krążyć po pomieszczeniu.

Podszedł do niego Jase z filiżanką herbaty w ręku. Wyglądał na zmęczonego, ponurego i uznał za niewygodny nawet wyściełany fotel - a w każdym razie skrzywił się, siadając. Bren zrobiłby to samo, gdyby zostały mu jeszcze jakieś siły. Spojrzał na przybysza, mruknął, że nie ma nic przeciwko jego obecności i zamknął oczy, myśląc, że w Shejidan byłaby to pora udania się na spoczynek.

Atevi wykorzystywali tę chwilę spokoju na odpoczynek. Nie wszyscy: Banichi i Jago konferowali cicho z Cenedim, a wdowa zajęła gabinet dyrektora, wzięwszy ze sobą mapę.

Bren wolałby zostać i przysłuchiwać się naradzie; była to jednak sprawa Gildii, i to nie Posłańców, lecz Zabójców. A kiedy Banichi mówił tym bardzo uprzejmym tonem: „Potrzebujesz odpoczynku, nand’ paidhi”, to Bren sądził, że nawet aijiin rozumieli aluzję i odchodzili, by leczyć ból głowy.

I pilnować swoich innych spraw.

Bren powiedział sobie w duchu, że Mospheira nie bardzo się przejmie, jeśli wypuści z rąk oboje swoich paidhiin, jego i Deanę, mówiących w ragi; na Uniwersytecie są inni studenci. Czyjś syn

475

czy córka może zastąpić każdego z nich. Oczywiście.

Jase zmienił pozycję. Bren usłyszał skrzypnięcie fotela. Jase

martwił się o Yolandę. I słusznie.

Podobnie pozwolenie Deanie Hanks na przepłynięcie cieśniny oznaczało ryzyko dla jej życia. Jeśli Mospheira ją straci, nie będzie miała żadnego tłumacza, który był w terenie, a gąszcz zabezpieczeń bardzo utrudni dostęp do dokumentów wszystkim spoza departamentu stanu: wydany przez aijiego rozkaz blokady, którego Bren nie tłumaczył, musiał nadejść albo w ragi, co zmusiło ich do gorączkowych poszukiwań tłumacza o wysokich kwalifikacjach, albo w mospheiranie w atewskiej ortografii, który podobno nie istniał. Bren zastanawiał się, jak było naprawdę.

Jednak wyraźnie było widać, że o ile rząd sądził, że statek będzie z nim pertraktował, to było mu zupełnie obojętne, czy toczy rozmowy z atevimi.

Natomiast wpadłby w panikę na myśl o tym, że Yolanda Mercheson opuszcza Mospheirę albo że statek odcina ich od spływającego do atevich strumienia techniki. W biurze prezydenta istniał pewien poziom samoobrony, który nie znosił awanturnictwa i nie pozwoliłby Deanie Hanks zabrać ze sobą Yolandy. Bren doszedł do tego wniosku drogą rozumowania. Istnieli także ludzie kierujący Deaną: Deaną, która wcale nie miała inteligencji ani władzy, choć sądziła, że je ma. Nie stanowiła przypadkowego ani głupiego zagrożenia, dopóki nie znajdowała się w terenie i nie miała do czynienia z atevimi. Ci, którzy ją kontrolowali, nie wiedzieli, jak złą jest tłumaczką, co

było ich dużym błędem. Gdyby istnieli atewscy specjaliści zdolni do zrozumienia, jak jest kiepska, nie byłoby żadnego międzykulturowego problemu. Podobała im się, ponieważ to, co według jej słów miało się udać, było przykrojone dokładnie do ich planów, a to było ich ślepą plamką oraz jej uzasadnieniem ubiegania się o tę posiadłość.

Musieli jednak odwozić ją od co dziwnych pomysłów, bo

476

inaczej Bóg jeden wiedział, co by się stało.

Ktoś mógłby zatrzymać Hanks na wyspie. Na przykład George Barrulin, gdyby Brenowi udało się z nim porozumieć.

Lecz paidhi-aijiemu skończyły się znaczące numery telefonów

i Bren po prostu nie mógł się skontaktować z Georgem. „Zwolnili wszystkich w całym Biurze Spraw Zagranicznych”. Boże!

- Bren - usłyszał głos Jase'a.

Uchylił powieki. Zobaczył Jase'a siedzącego naprzeciwko niego z łokciami na kolanach, filiżanką w dłoniach i przygnębioną miną.

- Bren - powtórzył Jase i przeszedł na ludzki język. -

Chciałbym, żebyś coś zrozumiał.

Musiał słuchać. Głos Jase'a brzmiał tak dziwnie. Wyprostował się, oparł stopę na kolanie i starał się sprawiać wrażenie, że mózgu pracuje.

- Ta sprawa z moim ojcem - powiedział Jase. - Ja nie mam

ojca. Chodzi o to... chodzi o to, że on nie żyje.

- Przykro mi to słyszeć. - Uprzejmość była automatyczna. W

przeciwieństwie do zrozumienia, o co chodzi Jase'owi.

- Nie - powiedział Jase. - On umarł przed setkami lat.

Wtedy pojawił się błysk zrozumienia.

- Dzieci Taylora. To masz na myśli?

Statek miał swoich bohaterów - tych, którym wszyscy

zawdzięczali życie: pierwotna załoga i piloci budowlani, ci, co

wydobywali surowce i zaopatrzyli statek w paliwo w piekle

promieniowania, które najpierw musieli przeżyć, zostawili swoje

osobiste dziedzictwo w zamrażarkach. Wiedzieli tylko tyle, że

wysyłają je w niepewną przyszłość swego statku.

A kiedy współczesna załoga pozwalała się takim osobom

rodzić z tego zamrożonego dziedzictwa, wcale nie były one

477

najniższymi członkami Gildii Pilotów.

Kiedy - a to się zdarzało rzadko - pozwalano im się rodzić.

Bren siedział w zwyczajnym fotelu w zwyczajnym saloniku

dość niezwykłej placówki, ale o ile rozumiał historię,

człowiek, z którym miał do czynienia, nie był zwyczajny.

Człowiek, którego niemal nazywał przyjacielem - przyniósł ze

sobą do tego kącika odrobinę zimna kosmosu.

Ten, kogo statek przysłał im w osobie Jase'a, nie był

najniższym, najbardziej zbędnym członkiem załogi. Był to

członek elity, osoba, która nie da się uwieść przez żadną planetarną - czy osobistą - lojalność.

Ludzie Lądowania, mospheiranie, nie bardzo przepadali za tą grupą. Przywileje tej elity były jedną ze spraw, które doprowadziły do Lądowania. A teraz statek wysyła taką osobę na planetę?

- Muszę powiedzieć - rzekł łagodnie Bren - że jestem zaskoczony. Rozumiem, że masz matkę.

- I bardzo ją kocham. Chcę do niej wrócić.

- Człowiek rozumie, jak bardzo chcesz wrócić. Człowiek bardzo dobrze to rozumie.

Jase spojrzał na niego zaciekawiony, jednak o nic nie zapytał.

Ale może, pomyślał Bren, Jase nie wie o rozłamie między załogą statku i kolonistami. Może była to jedna z tych informacji, które znikły z czasem - jak informacje o pogodzie, prądach i zachodzie słońca.

- Chce powiedzieć - kontynuował Jase - że mówię ci prawdę.

Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Mówię ci całą prawdę.

Chcę jednak twojej pomocy.

- W czym?

Lekki ruch oczu Jase'a, ruch ręki, chyba w kierunku centrum

478

łącności.

- W rozmowie ze statkiem. Żeby ich ostrzec, powiedzieć co się

dzieje, i, że gdyby coś się stało, to mają wysłać na dół kogoś innego.

- To właśnie byś powiedział? Myślałem, że byłoby to raczej „Wynoście się stąd. Tu na dole są sami wariaci”.

Jase potrząsnął głową.

- Nie taki jest mój wniosek. Nie wiem, co leży po drugiej stronie wody. Yolanda mówiła początkowo, że wszystko jest w porządku. Miała o wiele mniej problemów niż ja. Ale coś zaczęło się psuć. Słyszałem inne umówione słowa, które oznaczały tylko zmartwienie. Kiedy podała mi to ostatnie słowo, przeraziłem się. Ciebie nie było. I wtedy wszystko zaczęło się sypać. Nie sądzę, że to był przypadek, że zadzwoniła do mnie mniej więcej wtedy, kiedy twój rząd zaczął robić zamieszanie tu, na kontynencie.

Twój rząd. Mospheira. To zdanie było cholernie skomplikowane, Bren musiał dokonać jego rozbioru, żeby dojść, który rząd Jase miał na myśli.

- Opowiedzenie ci tej bajeczki o rodzinnym kryzysie miało cię nakłonić do sprowadzenia Yolandy, żeby mnie pocieszyła. Nie udało się. Po prostu się nie udało. Statek wie, że po drugiej stronie cieśniny coś jest nie tak. Jeżeli jednak szybko nie zadzwonisz, pomyśli, że coś jest nie tak i po tej stronie.

- A co statek mógłby zrobić?

- Spróbowałby coś na to poradzić, najprawdopodobniej spróbowałby skontaktować się z atevimi, sądząc, że niektórzy z

nich rozumieją mospheiran i że ja mogłem popełnić jakiś błąd.

Bren zastanowił się nad tą możliwością.

- Spróbujmy szczeroci. Czy statek jest uzbrojony?

- Ma broń. Nie ma statku atmosferycznego.

479

- Przymus absolutnie nie figuruje w jego planach? Może jakiś drobny akt piractwa?

- Nie. Jeśli włączą się na tym etapie, to możliwe, że będą ukrywać informacje przed którąś ze stron i postarają się nawiązać współpracę. Zaleciłem, żeby współpracowali z atevimi i wstrzymali wszelką pomoc dla Mospheiry.

- Wiesz co - powiedział Bren na wydechu, przez co jego głos okazał się wyższy, a ton bardziej niedbały, niż zamierzał. - Wiesz co - rzekł już bardziej trzeźwo - to chyba rozsądne stanowisko, ale nie miałem wielkiego szczęścia w nakłanianiu do niego ludzkich rządów, a mieszkamy na tej planecie już kilka stuleci.

- Chcesz usłyszeć prawdę?

- To chyba byłby naprawdę dobry pomysł, Jase.

- Jeśli Yolanda... - Jase zasepił się, głos mu się lekko załamał.

- Jeśli się jej nie uda, będzie to miało znaczenie dla mnie. Ale nie dla ostatecznego wyniku tej całej sprawy. Jesteśmy dla niego o tyle ważni, o ile możemy wykonać nasze zadanie. Mówią, że dużo nam dają. O wiele nas jednak proszą.

- Nie jesteś technikiem komputerowym, który studiował języki

i uczył dzieci.

- Znam się na komputerach. W bibliotece mieliśmy dwa techniczne teksty, jeden po francusku, drugi po niemiecku. Nie powiedziały mi zbyt wiele o planetach, ale nauczyłem się, jak funkcjonują języki. To jest prawda, Bren.

- Kochasz Yolandę?

- Chyba tak. Tak. Kocham ją.

- Pomijając jednak wszystko: Co zrobiłby wasz statek, gdybyś-my was stracili?

- Teraz by udawali, że wszystko jest w porządku i dopilnowali, żebyście zbudowali ten wasz statek kosmiczny.

480

- A potem?

- Gdyby atevi dotarli na górę, moi kapitanowie negocjowaliby. Zrobiliby to, czego by zechcieli atevi. Prawdopodobnie nadal dawaliby im technikę. Tyle, ile chcieliby wziąć.

Bren miał bardzo niemile uczucie, że nie rozumie wszystkiego i że Jase chce skupić na sobie całą jego uwagę.

- Dlaczego? - zapytał.

- Chcą, żeby atevi znaleźli się w kosmosie.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Jase mówił bardzo cicho. - Ponieważ nie jesteśmy sami. Nie jesteśmy sami w kosmosie. A tamci nie są nastawieni przyjaźnie. Nie mamy pewności, ale mogliby przybyć

tutaj.

Bren siedział nieruchomo. Nie chciał w to uwierzyć.

- Powiedziałeś - przypomniał sobie - że jest tam inna stacja, po drugiej stronie... tam gdzie byliście.

- Była. Już jej nie ma. Nie wiemy, kim są ci obcy. Nie wiemy, czego chcą. Próbowaliśmy nawiązać z nimi kontakt. Mijaliśmy się kilka razy, w wielomiesięcznych odstępach. Smuga na jednej taśmie. Kilka transmisji. Próbowaliśmy przeczesywać czujnikami obszar, z którego według nas przybyli. Wycofaliśmy się. A kiedy wróciliśmy, stacja była... zniszczona. Wszyscy zginęli. Nie spadła na planetę, ale na pewno do tego dojdzie. Głosowaliśmy.

Postanowiliśmy... postanowiliśmy się stamtąd wynieść.

- I przylecieć tutaj.

- To było jedyne miejsce.

- O, mogliście się zgubić w kosmosie. Mogliście wyruszyć w przeciwnym kierunku!

- To nie jest tak daleko, Bren. Jakieś osiemnaście, dwadzieścia lat świetlnych. Leżycie w ich sąsiedztwie. My im nic nie

481

zrobiliśmy. Niczym ich nie sprowokowaliśmy.

- My też nie sprowokowaliśmy atevich do ataku na kolonię, ale sprawiliśmy, że był nieunikniony!

- Wiemy. Wy poradziście sobie z tą sytuacją. Może macie umiejętności, jakich my nie posiadamy. Potrzebujemy was.

- Boże, rozejrzyj się dookoła! W tej chwili mój rząd nie radzi sobie najlepiej!

- Powinien posłuchać ciebie.

- Ale pomijając ten cud, chcecie atevich w kosmosie. Chcecie nas czy atevich?

- To gwiazda atevich. To ich świat. W kosmosie jest coś, co zabija istoty, o których nic nie wie, które nic mu nie zrobiły. Atevi muszą się o tym dowiedzieć. Moglibyśmy odlecieć w kosmos z nadzieją, że nigdy nas nie znajdą. Moglibyśmy spróbować jeszcze raz...

- Nie, nie moglibyście. To wy myśleliście, że zastaniecie tu kwitnącą kolonię. Że zdobędziecie tu paliwo dla statku.

Myśleliście, że poderwiecie kolonię do obrony i że dostaniecie wszystko, tak jak byliście do tego przyzwyczajeni; że my będziemy wydobywać dla was surowce i ginąć za was, żebyście mogli utrzymać statek.

Zapadła chwila milczenia. Jase jednak się nie wycofał.

- Owszem, myśleliśmy, że dostaniemy od was pomoc.

Myśleliśmy też, że mamy wobec siebie wzajemny dług - ostrzeżenie i szansę na wydostanie się stąd, gdybyście chcieli zaryzykować.

- To niezdarna próba retuszu tego, co właśnie powiedziałem.

- W porządku. Taka jest sytuacja. I co teraz zrobisz?

Bren głęboko westchnął i opadł na poduszki fotela, by

można było porozmawiać ze statkiem.

A potem na Jase'a.

- Dajecie nam cholernie duży wybór.

- Ja daję wybór tobie, Bren. Ludzie na tamtej stacji go nie mieli.

- Co, u diabła, sprowokowało atak?

- Nie wiemy. Może oni po prostu tacy są. Zawsze istnieje taka możliwość, prawda?

- Ja jej nie akceptuję!

- Na to właśnie liczę.

Do Brena zaczynało docierać, co powiedział Jase. Było to nieprzyjemne uczucie.

- Nie obarczaj tym mnie! Dobry Boże, nie.

- Pozwól mi porozmawiać ze statkiem. Mamy uzbrojonych atevich, prawdopodobnie uzbrojonych ludzi, samoloty, łodzie, mecheiti i nie wiadomo co jeszcze. Być może nie wyjdzie z tego nikt z nas. Yolanda już im powiedziała, żeby w niczym nie polegali na Mospheirze. Jeśli nie chcesz zostawić kwestii atevich ślepeму losowi, baji-naji, to pozwól mi z nimi porozmawiać, Bren. Przekażę im uzgodnione słowa, żeby wiedzieli, że nie działam pod przymusem, i powiem, żeby najpierw ufali tobie, aijiemu, aiji-wdowie i wszystkim, których oni polecą. A jeśli

sprawa dosięgnie Direiso i pozostałych, to może przyprawia obcych, jeśli tu się pojawiają, o niestrawność. Nie wiem. Ale jeśli tu zginiemy, to wszystko będzie podlegało przypadkowi. Równie dobrze statek mógłby uwierzyć tej Direiso.

- Nie jesteś taki nieudolny, Jase.

- Staram się uczyć od ciebie. Pozwolisz mi to zrobić?

483

Rozdział 25

Banichi - powiedział Bren, stanąwszy w drzwiach niewielkiego pokoju, w którym Zabójcy odbywali prywatną naradę. Odciągnąwszy Banichiego z zasięgu słuchu strażnika postawionego tam przez Gildię, starał się powiedzieć coś mężczyźnie - który w zeszłym roku nie wiedział, że jego słońce jest gwiazdą - iż w sąsiedztwie grasują kosmici.

- Są inne słońca - wyjaśniał Banichiemu - a jedno z nich jest bardzo złym sąsiadem. Jase jest oficerem w Gildii Pilotów i zdecydował, że woli nas od Deany.

- Człowiek o dobrym guście - rzekł spokojnie Banichi. - A co z tymi złymi sąsiadami?

- Latają w kosmosie - odpowiedział Bren:

- Myślę, że powinien tego wysłuchać Cenedi.

Banichi wywołał z pokoju Cenediego i Jago. Po kolejnych trzech zdaniach Cenedi oznajmił:

- Musi tego wysłuchać 'Sidi-ji.

Jago poszła obudzić wdowę i po bardzo krótkiej chwili Ilisidi

wyszła z gabinetu, który wybrała sobie na schronienie,

nieskazitelna, wyprostowana i ze zmarszczonym czołem.

- Więcej przybyszów - rzekła. - I o nagannych manierach, tak?

A Jase-paidhi chce, żebyśmy się sprzymierzyli z jego ludźmi,

484

którzy ich sprowokowali?

- Myślę, że możemy uniknąć sojuszu - powiedział Bren,

czując łaskotanie w żołądku. - Albo obrócić go na naszą korzyść.

Uważam jednak, że rozmowa ze statkiem otworzy możliwości,

które mogłyby zostać zaprzepaszczone, gdyby któryś z nas nie

miał dzisiejszej nocy szczęścia.

- Ryzyko wydaje się być po stronie paidhiego ze statku, aiji-

ma - rzekł Cenedi - ponieważ gdybyśmy zechcieli, moglibyśmy go

potem wykluczyć z rozważań.

- On dobrze zdaje sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa -

powiedział Bren - i wyraził życzenie, by aiji-wdowa wzięła

Mercheson-paidhi pod swoją osobistą opiekę, tak jak on jest pod

osobistą opieką aijiego.

Banichi spojrzał na niego znacząco. Podobnie Jago, ponieważ

Bren oddawał prawa, o które mógł współzawodniczyć Tabini. Ale

właśnie słowo „współzawodniczyć” było tu istotne. Jeśli Ilisidi

była przywódczynią w terenie - a była nią - to nie istniało żadne

wyjscie bez konieczności przeprowadzenia intensywne

negocjacji; a poza tym wkroczenie Ilisidi dawało pewne korzyści.

Uczynienie z niej opiekunki jednego z paidhiin stwarzało nową pozycję władzy na wypadek, gdyby z jakichś przyczyn im się nie udało i Ilisidi musiała współzawodniczyć z Direiso.

A wszystkim osobom biorącym w tym udział, łącznie z

Yolandą Mercheson, dawało to „paghida sara” - wzajemny nacisk.

Oznaczało to silne pozycje.

Oznaczało miejsce, man'chi, zbawienie - jeśli tylko uda im się powstrzymać ten ześlizg ku szaleństwu.

Przyszła wiadomość. Biały papier przebył drogę od telefonisty do jednego z młodszych ochroniarzy Ilisidi, a potem do Cenediego i wdowy.

485

Oraz do Banichiego.

Banichi wziął ze stołu kanapkę. Schował ją do kieszeni i zrobił to samo z następną.

To, pomyślał Bren, jest działanie osoby nie spodziewającej się normalnego śniadania.

- Właśnie otrzymaliśmy sygnał z Dur - powiedział Banichi - że chłopiec bezpiecznie wylądował. Ateva uznał, że chcielibyście o tym wiedzieć. Czy będzie bezpieczny, kiedy dostanie się w ręce swoich rodziców, to już inna sprawa, ale przynajmniej mamy potwierdzenie, że wyszedł im na spotkanie personel jego ojca.

Tano i Algini donoszą jednak o jakichś ruchach.

To było niepokojące.

- Forteca słyszy z pewnej odległości - powiedziała Jago.

- Nie na tyle dużej, żebyśmy mieli jeszcze jedną godzinę - rzeki Cenedi. - 'Sidi-ji.

Ilisidi machnęła ręką.

- Zróbcie, co trzeba, żeby uruchomić łączność naziemną. Ile czasu zajmie ta rozmowa ze statkiem?

Dyrektor odpowiedział, że bardzo mało, i wydał odpowiednie polecenia.

Potem trzeba było tylko posadzić Jase'a przy konsoli w centrum łączności. Jase okazywał wyraźne zdenerwowanie.

Bren był pewien, że dla pracowników to też było niepokojące: człowiek nie tylko zajął jedno z ich miejsc, ale podawał statkowi własne protokoły i kody słowne w języku, dla tłumaczenia którego z tych czy innych powodów nie mieli w tej chwili odpowiedniego personelu.

Statek odpowiedział. Obcy głos odezwał się z głośników, żeby mogli go słyszeć wszyscy obecni w pomieszczeniu.

Wtedy Jase musiał poinformować swego kapitana, że sytuacja

486

jest i lepsza, i gorsza, niż statek mógł się spodziewać, i to ze świadomością, że rozmowa będzie śledzona przez bardzo podobny ośrodek na Mospheirze.

- Przepraszam, że odzywam się o tej godzinie - powiedział

Jase już trochę spokojniejszym głosem. - Przemyślałem to jednak i naprawdę muszę tu mieć Yolandę.

- Tak - przyszła odpowiedź. - Jak się czujesz?

- O wiele lepiej, sir. Otrzymałem od atevich wyrazy współczucia i przedstawiłem atewskiemu rządowi pewne sugestie, które zostały przyjęte. Potrzebna jest mi jednak Yolanda. Wszyscy mają dobre intencje, ale sytuacja jest trudna. Chcę ją mieć przy sobie. Postaram się wynegocjować to samodzielnie, ale może mógłby pan wyjaśnić wyspie, że ja jej tu naprawdę potrzebuję. Pilna perswazja. Coś w tym stylu. Proszę powiedzieć Sandrze, żeby się o mnie nie martwiła.

Całość była naszpikowana umówionymi słowami. Gdyby Bren miał jakąkolwiek nadzieję, że współpraca z Mospheirą jest jeszcze możliwa, to spodziewałby się gniewnego telefonu. Oni jednak wiedzieli. Bren wiedział. Jase nawet nie starał się ukrywać tych słów w zwykłej rozmowie. Po prostu wypowiadał je i wszyscy mogli mieć tylko nadzieje, że to były właściwe słowa.

- Chcesz rozmawiać z matką? - zapytał kapitan po wysłuchaniu tego wszystkiego bez słowa komentarza.

- W żadnym wypadku nie ma takiej potrzeby, sir.

- I tak tu jestem - dał się słyszeć kobiecy głos. - Tęsknie za tobą.

- Dobrze cię słyszeć, mamó. - Tym razem w jego głosie było słychać lekkie drzenie. - U mnie wszystko w porządku. Naprawdę.

A u ciebie?

- Martwię się o ciebie. Zresztą, kiedy tak nie było? Jak ci się wiedzie?

487

- O wiele lepiej. Nie mogę długo rozmawiać. Skontaktuję się, kiedy wrócę do miasta. Jestem na czymś, co tu nazywają wakacjami. Byłabyś zdumiona. Układ pogodowy złał mnie deszczem i wszystko mnie boli od jazdy wierzchem. Tu na dole jest pięknie. Muszę już kończyć. Kocham cię. Dbaj o siebie, mamó. Skontaktuję się z tobą, ja albo Bren.

- Dbaj o siebie. Jase? Jase.

- Tak? Jestem.

- Czy pilnujesz rozkładu godzin, Jase?

Jase pochylił głowę i przeciągnął dłonią po ustach, jakby to było nieoczekiwane i krępujące pytanie.

- Czuję się świetnie, mamó. Dbaj o siebie. Dobrze? Odezwę się za jakieś trzy, cztery dni. Powiedz kapitanowi, że raport jest ostateczny i żeby mu dał zielone światło. I proszę, spróbujcie znaleźć Yolandę. Cokolwiek usłyszycie od tej strony, bądźcie pewni, że osoby, z którymi mam do czynienia, mówią wam prawdę. Dobranoc.

- Dobranoc, Jase - usłyszał Bren, osoba, która spośród przysłuchujących się tej rozmowie najlepiej władała językiem i na której najbardziej polegali.

A on nie potrafił nic powiedzieć. Nie było sposobu na

złamanie słownego szyfru poza biegłą znajomością języka i

dokładną znajomością sytuacji.

- A więc? - zapytała Ilisidi.

- Nie znajduję powodów do niepokoju, aiji-ma. Z pewnością

było tu pełno umówionych słów, czego się spodziewałem.

Musiały być, żeby potwierdzić zapewnienia. Sprawiał wrażenie,

że chce, by kapitan wymógł na Mospheirze zwrot jego partnerki.

Poprosił go też, by słuchał jego towarzyszy z dołu jako osób

godnych zaufania.

- Bardzo dobrze - rzekła Ilisidi, opierając się na lasce. - Bardzo

488

mądre posunięcie.

Czekali, podczas gdy technicy sprawdzali ustawienia, pstrykali

przełącznikami i sprawdzali procedury.

Jase wyjął złożoną, mocno już sfatygowaną kartkę papieru, i

rozłożył ją na konsoli przed sobą. Napisana była ręką Jase'a, ale

pracowało nad nią dwóch paidhiin, by wyeliminować wszystkie

niepomyślne uwagi; przeczytali ją Banichi i Cenedi, podsuwając

jedną dobrą sugestię; Ilisidi zdecydowała, że nie będzie jej czytać.

Dyrektor dał Jase'owi znak. Ponieważ człowiekowi drżały

ręce, położył kartkę na konsoli, wygładził ją i zaczął:

- Nadiin aishi'ditat, tu Jase-paidhi z bieżącymi informacjami o

sytuacji... - Ryzykowne słowo. Jase wymówił je tylko z lekkim

zajęciem. - Rozmawiałem ze statkiem i dowiedziałem się, że Mercheson-paidhi na Mospheirze doszła do wniosku, iż niestabilność tamtejszego rządu oraz chaotyczne zarządzanie uniemożliwiają jej dalszy pobyt. Poinformowała statek, że opuszcza Mospheirę i przenosi się na kontynent. Rząd mospheirski usiłuje jej w tym przeszkodzić oraz stara się wzniecić polityczną rywalizację wśród atevich aishi'ditat, by w ten sposób ukryć własne zaniedbania. Zgodnie jednak z radą Mercheson-paidhi oraz moją statek zgodził się wycofać Mercheson-paidhi z Mospheiry i wzywa tamtejszy rząd, by pozwolił jej dołączyć do mnie tu, na kontynencie. Statek pozostaje w patronacie z Tabini-aijim i będzie kontaktował się wyłącznie z Shejidan. Przesyła wyrazy dobrej woli aishi'ditat, aijiemu i aiji-wdowie, która oznajmiła, że przejmie Mercheson-paidhi pod swoją opiekę, by zachować pomyślność oraz mądrość rozwiązania ustanawiającego trzech paidhiin: mnie, Bren-paidhiego i Mercheson-paidhi, jako przedstawicieli. Dziękuję za waszą uprzejmą uwagę. Powtórzę teraz tę informację w mospheiranie dla wiadomości mospheirskich słuchaczy po drugiej stronie cieśniny.

Technicy wyciszyli transmisję. Zebrani w pomieszczeniu tłumili chrząknięcia. Jedne przełączniki zostały wyłączone, inne

489

włączone i wieża z nadajnikami skierowanymi na Mospheirę wyrzuciła z siebie wiadomość z siłą zarezerwowaną dla

ogłoszenia wybuchu wojny.

- Obywatele Mospheiry, tu Jase-paidhi z bieżącymi informacjami o sytuacji...

Przez cały czas nadawania tej wiadomości atevi stali nieruchomo. W pewnej chwili technicy podskoczyli i poprawili jakieś ustawienia. Jase mówił szybko i nim mospheirscy technicy zareagowali na te elektroniczną prowokację, upłynęło parę chwil.

Ta wersja była też wysyłana na statek. A jeśli będą mieli poparcie statku i wiadomość z powrotem spłynie z nieba na ziemię, to na pewno znajdą się odbiorniki na nią nastawione; nawet jeżeli rząd będzie zagłuszał wszystkie audycje, to na wyspie pełnej ludzi mających różne poglądy i lubiących dyskutować na pewno znajdzie się ktoś, kto wiadomość nagra i rozpowszechni ją za pośrednictwem faksów i kopiarek.

Tym razem George Barrulin nie będzie mógł osłonić prezydenta przed następstwami i kryzysem.

Możliwe, że jutro rano prezydent będzie musiał zrezygnować ze swojej partii golfa.

Jase skończył. Technik wyłączył mikrofon, następnie konsolę i coś powiedział. Wtedy wszyscy odważyli się odezwać i odetchnąć. Rozległy się wstrzymywane dotąd pokasływania.

- Zrobił to dokładnie - poinformował Ilisidi Bren. - A uniwersytet będzie wiedział, że Jase-paidhi swoimi słowami przekreślił liczby Hanks.

- Liczby Hanks i Direiso. - Ilisidi była bardzo zadowolona.

Tymczasem Jase wstał i odszedł od konsoli. Idąc między długimi rzędami pulpity, wyglądał bardzo poważnie i blado.

Wyglądał na bardzo samotnego.

490

Atevi mogli nie zrozumieć, dlaczego dwaj ludzie obejmują się w zatłoczonym pomieszczeniu. Rozumieli natomiast wyciągnięcie ręki.

Jase chwycił ją jak tonący i mocno ścisnął.

- Jestem trochę roztrzęsiony - powiedział Jase. - Przepraszam.

Udało mi się?

- Tak.

Głos Jase'a przeszedł w szept:

- Umówione hasło dla statku: prosić Konstancję. Czy są jakieś wiadomości, Bren? - dodał ze smutkiem i rozpaczą.

Jakby teraz, skoro Jase zrobił, co mógł, po ich stronie, i uczynił nagle z Mercheson-paidhi bardzo cennego pionka w bardzo niebezpiecznej grze, tamta strona mogła udzielić jakichkolwiek informacji. Bren niechętnie potrząsnął głową.

- Żałuję, ale nie.

- Może nam się nie udać wydostać jej stamtąd - powiedział cicho Jase.

- Jeśli przybije do brzegu gdziekolwiek od Dur na południe, atevi aijiego na pewno ją znajdą.

Albo, o czym się nie mówiło, mogliby ją schwytać atevi

Direiso, gdyby mieli choć cień podejrzenia, że Yolanda spróbuje przepłynąć cieśninę. Jeśli przetrzymują ją ludzie Hanks, której to możliwości Bren nie odrzucał, to po odbyciu narady i osiągnięciu decyzji na pewno dadzą im znać, może nawet twierdząc, że ją mają.

- Ile czasu trzeba na przepłynięcie? - zapytał Jase.

- To zależy od pogody. Frachtowce potrzebują około dwóch dni.

- Jeżeli znalazła się na wodzie podczas sztormu...

491

- Ustawia się dziób pod fale i trzyma się silnik na wystarczających obrotach, żeby mieć sterowność. Przybywając na planetę, Yolanda tego nie wiedziała, ale mogła się dowiedzieć jako jednej z pierwszych rzeczy. Ci, którzy przepływają cieśninę, mają wiatr stale w plecy. To pozwala oszczędzać paliwo. Dużo paliwa. Sztorm nadszedł z zachodu - on jej pomoże, a nie będzie powodem wyczerpania paliwa.

- Poprosiłem kapitana o wywarcie nacisku, żeby ją tu sprowadzić. Nie dowiedziałem się od niego, czy coś mu powiedziała o swojej sytuacji, ale przede wszystkim kapitan ani razu nie dał mi do zrozumienia, że wie, gdzie ona jest albo czy jest bezpieczna. Co się dzieje? O co chodzi?

W pomieszczeniu nagle zawrzało: ochrona rzuciła się do

schodów, które, jak wszyscy się przekonali, prowadziły na dach.

Cenedi nie wyglądał na całkiem niezadowolonego.

Podeszła do nich Jago, a zaraz za nią Banichi.

- Pan Tatiseigi - oznajmiła - przesunął siły na przylądek

Saduri, nadiin. To o tych ruchach donosił Tano. Tano i Algini

zgodzili się ich przepuścić. Wdowa jednak mówi, że byłoby

rozsądnie wycofać się drogą do miejscowości Saduri i wziąć ze

sobą do miasta personel.

- Albo zaakceptował małżeństwo, albo znalazł telewizor -

powiedział Banichi.

Równina Saduri tworzyła niewielki przylądek w kształcie

trójkąta, w którego jeden bok głęboko wcinało się morze; po

jednej stronie owego wcięcia mieścił się stary fort z działami i

Mogari-nai, a druga stanowiła płaski teren, na którym przebiegała

kolej. Z jednej strony tak powstałej piramidy znajdowała się

Zatoka Onondisi ze swoimi kurortami. O wiele większa Zatoka

Nain, ograniczona przez wyspę Dur, leżała na północy.

492

Poniżej stacji Mogari-nai leżało miasto Saduri, do którego

prowadziła kręta, jednopasmowa droga, teraz, w ciemności i z

tego miejsca, niewidoczna, ale Bren był przekonany, że opisano

mu ją bardzo dobrze. Stał przed wejściem do stacji, mając przed

sobą mecheiti parszające z niezadowolenia z powodu nocnej

zbiórki.

- Cieszę się, że jest noc - powiedział Jase. Przed wyjściem zażył dwie tabletki przeciwko chorobie lokomocyjnej; teraz z trudem zapinał kurtkę na liczne guziki.

- Jestem pewien, że dostajesz za to premię - rzekł Bren. Jase, który nie zarabiał więcej od niego, roześmiał się nerwowo.

Jase nie był ani trochę tak zdenerwowany jak Gildia Posłańców. Miejscowy zastępca dyrektora, nand' Brosimi, oraz dwaj młodszy pracownicy podeszli do wdowy i wyrazili chęć zostania, by pilnować urządzeń. Brosimi, któremu wcale się nie uśmiechała perspektywa stawienia oporu politycznym zakusom uzbrojonego pana czy choćby wykorzystywaniu sprzętu niezgodnie z jego przeznaczeniem, posłuchał Ilisidi i wysłał niższy personel na dół oraz obiecał wykonywać wszystkie rozkazy pana Tatiseigiego.

- O ile nie spowodują zniszczenia sprzętu - dodała Ilisidi. Jej atevi przywoływali mecheiti, a pracownicy, którzy mieli iść do miasta, odłączali swoje konsole.

Po przestawieniu tych przełączników ulegała zawieszeniu wszelka drugorzędna łączność. Zostanie ograniczona łączność telefoniczna w regionie. Prowincjonalna straż pożarna i pogotowie będą wzywane przez Sieć Awaryjną, choć człowiek miał nadzieję, że nie okaże się to konieczne.

Działy się też i inne rzeczy. Wśród ostatnich wiadomości przyjętych od służb informacyjnych znalazła się ta o zatrzymaniu

pociągu w pobliżu Aisinandi, co skutecznie zablokowało linię z północy. Przez zdumiewający zbieg okoliczności awaria zwrotnicy spowodowała wykolejenie wagonu w Aidin. Coś się

493

zaczęło dziać - wydarzenia te nie figurowały na listach Cenediego ani Banichiego.

Wzdłuż całej północnej krawędzi Półwyspu biegła szeroka i płaska plaża, po której mogły się poruszać pojazdy mechaniczne; nie mogły one jednak dotrzeć do plaży na przylądku Saduri, o której opowiadał chłopiec, ponieważ w miejscu, gdzie kraniec przylądka stykał się z falami cieśniny, były poszarpane skały.

Wiadomość, że osiadł tam jakiś statek, byłaby bardzo zła.

Dla nich byłaby to jednak dobra wiadomość, bo gdyby niewielkiemu oddziałowi, który, jak wiedzieli, dotarł bezpiecznie na Dur, udało się unieruchomić jeden z dwóch promów oraz nie dopuścić do przybijania łodzi do piaszczystego północnego wybrzeża Dur, to Deana musiałaby popłynąć na południe, prosto w ręce aijiego.

Wcześniej w Saduri zauważono ruchy pojazdów, ale Ilisidi im nie przeszkadzała, bojąc się, jak uznał Bren, że w granicach miasta wywiąże się walka, zagrażająca życiu niewinnych mieszkańców.

To miało sens taktyczny. Bren jednak nawet wtedy nie sądził, że zna wszystkie działania. Przewagę, jaką podczas Wojny

zdobyli ludzie dzięki swojej zaawansowanej technice, niweczyły ich założenia na temat tego, co i kiedy mogą zrobić atevi. Mimo studiowania atewskich kampanii Bren wcale nie wiedział, dlaczego na przykład zostawili część urządzeń stacji na chodzie, zamiast wszystko wyłączyć, nie zwracając uwagi na irytację Tatischeigiego. Być może chodziło o sprawy techniczne, o potrzebę zatrzymania części personelu na miejscu, by podtrzymać pewne funkcje i nie dopuścić, żeby jeden z najmniej uzdolnionych technicznie panów Patronatu zaczął włączać i wyłączać urządzenia, których działania nie rozumiał.

Powodem mogła też być ewentualna obraza tego potężnego i wpływowego pana, gdyby jego gest pomocy nie został przyjęty w duchu, w którym, jeśli mieli szczęście, został szczerze

494

zaoferowany.

Człowiek zastanawiał się, gdzie w tej chwili przebywa spadkobierca Direiso - czy znów znajduje się pod dachem Tatischeigiego - i czy z atevimi, którzy prawie na pewno na nich idą, znajduje się córka Saigimiego, roszcząca sobie prawo do jego tytułu.

Człowiek zastanawiał się, gdzie może być w tej chwili Ajresi, brat Saigimiego i najzagorzalszy rywal jego córki, oraz czy niestrawność Badissuniego wpłynęła na jego opinię.

Gdyby Ajresi chciał pozostać neutralny, to prawdopodobnie

mógłby to zrobić - przy tolerancji Tabiniego. Gdyby jednak Tabini został pokonany, a zwyciężyła Direiso, to pierwszym długiem, jaki musiałyby spłacić, byłoby oddanie Tasigin Marid żonie i córce Saigimiego; to zaś oznaczało wydziedziczenie Ajresiego, który jest zbyt młody na pokojowe wycofanie się i którego spór z pochodzącą z prowincji Sarini żoną Saigimiego jest zbyt zaogniony, by Ajresi przeżył rządy jej córki w Madrid.

A należy do tego kłębowiska stosunków dodać pana Geigiego, który żywi niechęć względem żony Saigimiego za jej usiłowania pozbawienia go nadmorskiej posiadłości w Dalaigi.

Jedna rzecz była zupełnie odmienna niż za ostatnim razem, na początku Wojny Lądowania, kiedy północne prowincje powstały przeciwko Mospheirze. W tamtych dawnych czasach południe - panowie z Półwyspu - połączyło swoje siły z północą oraz wydziedziczonymi mospheiranami i dopiero wtedy zaatakowało wyspę.

Tym razem większość byłych mieszkańców Mospheiry prowadziła kurorty w Onondisi, łowiła ryby u wybrzeża Dur lub była rozproszona po całym przylądku Aidin. Była to mniejszość Ganów, której pod rządami pana Wingin nie wiodło się tak dobrze, jak ich pobratymcom osiadłym w pobliżu starej fortecy w Nain na terenach otrzymanych od Barjidich, co umożliwiło zawarcie Traktatu. Przodek Tabiniego dobrze się przysłużył

Ganom.

Bren zaczął teraz rozumieć, że nagłe usunięcie Saigimiego przez Tabiniego sprawiło, iż południe było mniej, a nie bardziej skłonne przyłączyć się do Direiso.

Nadbrzeżna mniejszość etniczna w okolicy Nain nie lubiła północnych prowincji i na pewno nie sprzymierzyłaby się z Direiso, która nie mogła wystąpić z długotrwałego patronatu z Wingin.

A Dur? Dur, słynąca głównie z połączenia promowego i przemytu? Ustami swego nastoletniego dziedzica Dur przysięgła lojalność rodowi Tabiniego.

Ilisidi, widoczna w świetle padającym od drzwi wejściowych, dosiadła Babsa; pozostali wyszukiwali swoje wierzchowce.

Wszędzie dookoła mecheiti wydawały odgłosy niezadowolenia.

Banichi i Jago pojawili się w pobliżu Brena - cienie na tle pojedynczej wiązki światła padającej od drzwi. Członkowie personelu stacji, którzy mieli iść z nimi piechotą, zbili się w nerwową grupkę przy drzwiach.

Bren miał w kieszeni kaftana pistolet. Paidhiin mieli być nie uzbrojeni i niewinni. To ostatnie słowo nie pasowało do żadnego z nich.

Ale bronić trzeciego paidhiego? Bren nie wiedział, jak mają znaleźć kobietę z kosmosu, która prawdopodobnie wyruszyła z Jackson, nie mając żadnych umiejętności żeglarskich, bez mapy i

znajomości morza, groźnego nawet dla przemytników.

Bren znał niebezpieczeństwa oraz liczbę osób, które utonęły w cieśninie. Ilekroć jakiś przedsiębiorczy i głupi człowiek czy ateva sądził, że może obejść ograniczenia importowe, lecz nie udało mu się przebyć cieśniny, fakt ten - jeśli nie ponure szczegóły - trafiał na biurko paidhiego w postaci skargi tej czy innej instytucji.

Czasami szkwał zaskakiwał rybaków i, bardzo rzadko, turystów; jeżeli mieli naprawdę dużo szczęścia, to paidhiemu udawało się

496

doprowadzić do uporządkowania międzynarodowych papierów, odeskortowania rozbitków na środek cieśniny i ustawienia ich statków dziobami w kierunku odpowiedniego portu.

Zdarzały się smutne pytania, na które paidhi musiał odpowiadać: „Nie, nikt nie został podjęty, żadna łódź nie dotarła do brzegu”.

Nie chciał myśleć o tym, że Yolanda może próbować przepłynąć cieśninę samotnie w jakiejś małej portowej motorówce, którą znalazła z kluczykiem w stacyjce.

Natomiast Deana Hanks z łatwością mogła uzyskać fachową pomoc: albo jakiś dwudziestometrowy jacht z załogą, wynajęty od znajomych jej bogatego ojca, albo - co było bardziej użyteczne i z o wiele większym prawdopodobieństwem mogło się zakończyć w porcie, do którego zmierzała - usługi jakiegoś mospheirskiego przemytnika, dostarczającego z kontynentu antyki i biżuterię -

przedmioty, których nie dawało się zidentyfikować jako przemyt -

na salony ludzi gardzących - poza tym - atewską kulturą.

Boże, ależ chciał dorwać tę Hanks!

Najlepiej, zanim jeszcze trafi do obozu Direiso.

Ilisidi ruszyła bez ostrzeżenia, pociągając za sobą pozostałych.

Jeden z jej atevich poradził łącznościowcom, żeby trzymali się środka drogi, by jakiś mecheita nie zepchnął ich z urwiska.

- Lepiej uderzyć w skały po wewnętrznej stronie zakrętu niż w

te na dole przepaści - oznajmił garstce w większości młodych i już

przestraszonych sytuacją atevich; posłuchali go jednak, idąc

zwartą grupą i starając się trzymać z dala od mecheiti.

- Personel będzie musiał za nami nadążać z całych sił - rzekł

Banichi. - Mam wrażenie, że znacznie ich wyprzedzimy, ale to im

może wyjść na dobre.

- Co nas czeka tam na dole? - zapytał Bren, kiedy znaleźli się

w rozświetlonej gwiazdami ciemności drogi.

497

- Atevi Tabiniego, nadi, oraz atevi Ilisidi, którzy przyjechali

pociągiem z Shejidan, jeśli, baji-naji, jeszcze przez kilka godzin

będzie nam sprzyjał los i jeśli przy spotkaniu nie wystrzelali się

nawzajem.

Minęli rozwidlenie drogi - odnoga prowadziła do fortu z

działami i była trasą używaną przez turystów. Wtedy przepchnął

się do nich jeszcze jeden mecheita: siedział na nim Jase, a Haduni

prowadził zwierzę na wodzy.

- Nadiin - powiedział ateva - wdowa pożyczyła Jase-
paidhiemu mecheitę Nawariego.

Nawari odleciał awionetką. Nawari był jednym z atevich,
którzy zwykle jechali blisko Ilisidi.

- Jasi-ji - odezwała się Jago z ciemności po lewej stronie

Brena - on chce powiedzieć, że kiedy ruszymy galopem, masz
wziąć od niego wodzę, pochylić się i trzymać siodła. Teraz trzyma
wodzę, bo jeśli ci ją odda, to bardzo szybko znajdziesz się obok
wdowy.

- Tak. - Jase przyjął rozkaz, przyjmując atewską zwięzłość, a
następnie zapewnił Brena: - Na pewno będę się trzymał, nadi.

Czoło grupy dotarło do ostrego zakrętu drogi oświetlonej
blaskiem gwiazd, prowadzącego w dół w ciemność. Na razie
utrzymywali umiarkowane tempo, ale pierwsza serpentyna
pojawiła się o wiele wcześniej, niż spodziewał się jej Bren;
mecheiti szły szybko, ale nie na tyle, żeby personel stacji nie mógł
za nimi nadążyć, szczególnie że droga prowadziła w dół.

Po następnej serpentynie w polu ich widzenia pojawiły się
światła miasta, ale nie było ich tyle, ile można by zobaczyć,
powiedzmy z samolotu nad jakimś mospheirskim miastem.

Tej nocy światel mogło być jednak mniej niż zwykle,
ponieważ mieszkańcy miasta zapewne zdawali sobie sprawę z
sytuacji i prawdopodobnie słuchali radia i oglądali telewizję w

nadziei na jakieś wiadomości czy oświadczenia dotyczące

498

bezpieczeństwa publicznego.

Po następnym zakręcie droga stała się stroma. Bardzo stroma dla autobusów turystycznych, które tworzyły letni ruch na tej drodze; lecz jedno wybrukowane pasmo było wystarczające dla mecheiti. Przy czwartej serpentynie pierwszy rząd ruszył szybciej, co oznaczało, że grupa pieszych wkrótce zostanie z tyłu. Nokhada była w o wiele lepszym nastroju; postawiła uszy i zaczęła przemieszczać się ku prowadzącym stado.

Jeździec jej nie zatrzymywał. To bardzo ucieszyło Nokhadę, a mecheita Jase'a trzymał się blisko niej.

Następny zakręt.

- Nadiin - odezwała się Jago, podjeżdżając do Brena, a Banichi zbliżył się do Jase'a z przeciwnej strony. - Jeśli dostaniemy się w ogień, nie spadnijcie. Nasza ochrona pilnuje drogi do miasta, i to nie Gildia będzie się nam przeciwstawiać, ale mimo wszystko starajcie się nie być łatwym celem. Istnieje szansa pojawienia się zwolenników Kadigidich.

Nigdy nie było trudno dostrzec przywódców w staromodnym kawaleryjskim ataku atevich. Stanowiło to część ich etyki. I może, pomyślał Bren, to ryzyko ograniczało wojny do minimum u gatunku, którego przywódcy szli pierwsi, a nie ostatni. Wdowa pozwoliła Babsidiemu nabrać szybkości i pistolet zaczął mocno

obijać się Brenowi o żebra. Nokhada biegła w pierwszym rzędzie z Babsidim. Podobnie mecheiti Cenediego i Jase'a, Banichiego i Jago. Kiedy dotarli do najniższego odcinka drogi, pędzili jak burza; ochroniarze manewrowali tak, by znaleźć się między swoimi podopiecznymi i ewentualnymi snajperami.

Człowiek mógł nie mieć odpowiedniego okablowania, by zrozumieć, jakie namiętności mogło wzbudzić w sercach powodowanych instynktem atevich takie podążanie za przywódczynią, jaką była Ilisidi. Bren widział ten manewr w sztukach machimi, przypominał sobie ten szaleńczy bieg jeźdźców, który uznawał za ukłon w stronę dramatycznej

499

konwencji, ale który często poprzedzał uporządkowanie man'chi, uświadomienie atewskiej lojalności.

Kiedy jednak wpadli na ulice miasta Saduri, Bren poczuł wzbierające w nim prawdziwe emocje. Czy machanie flagą, dźwięk trąbki nie miały niegdyś dla ludzi znaczenia? Musieli iść za nimi. Nieważne, czy Ilisidi albo prowadzeni przez nią atevi rozumieli, co ona u nich wywołuje - człowiek to poczuł.

Oddany skądś strzał odłupał z budynku przed nimi białe kawałki tynku, które spadły na czarny, oświetlony blaskiem gwiazd bruk; jeźdźcy otaczający Brena odpowiedzieli ogniem.

Gdzieś dalej z przodu też gruchnęła salwa; wszyscy wymierzili w to samo miejsce. Bren miał świadomość, że każdy jeździec w ich

grupie stanowi odrębny cel. Wiedział, że ma nie podnosić głowy i że użycie pistoletu jest głupim ryzykiem - a w tym przyprawiającym o mocne bicie serca zamęcie od takiej głupoty powstrzymywało go jedynie ostrzeżenie Jago.

Robić to, co każe Jago. Słuchać ochrony. Przejść przez to żywym, i tym, którzy zagrozili jemu samemu i jego bliskim, dać nauczkę w jego stylu, nie z bronią w ręku, ale docierając do tego, co chcą zdobyć, przed nimi i nie pozwalając im zrealizować ich planów.

Gdzieś za jego plecami wystrzeliła w niebo rakietą, zalewając wszystko jaskrawym światłem. Bren miał nadzieję, że pracownicy Gildii Posłańców, zaskoczeni strzelaniną, mieli na tyle rozsądku, żeby się schować. Wjechali nie między jakichś przypadkowych głupców, lecz w zasadzkę. Atevi Tabiniego nie opanowali tego terenu. Mijali boczne uliczki, które na pewno prowadziły do portu i z których każda mogła się zmienić w strzelnicę.

Wtem mrugnęło przed nimi pojedyncze światełko, a z prawej strony dwa razy błysnęło czerwienią drugie.

To na pewno sygnały od ich sprzymierzeńców. Ilisidi ostro skręciła za róg w upiorną, opuszczoną uliczkę i runęła na złamanie karku przez środek niezupełnie uśpionego miasta w kierunku

500

portu.

- Aiji-ma! - zawołał ktoś z okna nad ulicą; zawtórowali mu

inni, ale na ulicy panował mrok.

- Jedź! - krzyknęły do nich na skrzyżowaniu jakieś cienie.

- 'Sidi-ji! Jedź! Jedź!!!

Ciemność ulic ustąpiła otwartemu nocnemu niebu, wzgórzom i lśnieniu wody; skierowali się w tamtą stronę. W oknie nad ulicą, przy końcu kwartału, błysnęło światło i kiedy dotarli na otwarte nabrzeże, pojawiły się inne atewskie cienie wśród takich samych białych i czerwonych błysków światła, układających się we wzór, który na pewno stanowił dla Ilisidi i członków Gildii bardzo ważne informacje.

Ilisidi zatrzymała się na nabrzeżu obok poczekalni. Na tabliczce umieszczonej nad wodą oraz na barierce widniał napis „Prom” oraz rozkład rejsów, ale nie czekał na nich żaden prom.

Jednak widzieli zbliżającą się łódź. Nie prom, jeśli mógł to ocenić człowiek, który promy widział tylko w telewizji. Była to spora łódź.

- Czy to ktoś, kogo potrzebujemy? - zapytał słabym głosem

Jase, który też ją dostrzegł. Mecheiti dyszały i parskwały, skrzypiała uprząż. Można już było dostrzec fale rozchodzące się za łodzią, widoczną na tle niskich wzgórz majaczących daleko po drugiej stronie wody.

- Spóźnił się - szepnęła Ilisidi. - Po tych wszystkich latach, po wszystkich cholernych spotkaniach, Geigi wciąż się spóźnia, niech go cholera! - Dała Babsidiemu sygnał do wyciągnięcia nogi

i zsiadła; na jej dłoni lśniła ciemna smużka i Cenedi natychmiast chciał ją obejrzeć, ale wdowa mu nie pozwoliła: - To jakiś cholerny kawałek tynku. Trzy razy przekładał godzinę przybycia.

„Jeszcze pół godziny”, mówił, a i tak się spóźnia!

Bren ześliznął się na ziemię, Haduni też zsiadł; tymczasem

Ilisidi weszła między mecheiti, wypatrując rannych.

501

Jeden mecheita miał dużą ranę w boku. Zostało postrzelonych dwóch jeźdźców: pierwszy lekko, a drugi poważnie krwawił i miał złamaną rękę, i to wcale nie poprawiło nastroju Ilisidi.

- Chcę tę kobietę - rzekła. - Niech ją cholera! Co za idiotka!

Czy ktoś może go odwieźć do szpitala?

- Pomoc już jest w drodze - powiedziała Jago. Wyglądało na to, że oboje z Banichim zaryzykowali użycie kieszonkowych komunikatorów.

I rzeczywiście, po ulicy poruszały się jakieś ciemne postacie, które krzyczały coś do siebie i po drodze wywabiały z budynków nieśmiałyh atevich. Przyłączało się do nich coraz więcej zwolenników, mieszkańców miasta, a może członków Gildii.

Ateva będący ofiarą strzelaniny zarzekał się, że sam może pójść do szpitala, który znajdował się przy tej samej ulicy. Było nawet widać jego oświetlony szyld. Atevi przedstawiający się jako mieszkańcy okolicy, gorąco wyrażali szacunek i poparcie dla aiji-wdowy oraz głośno oferowali się nieść rannego atevę, a także

zaprowadzić do lekarza mecheitę.

Haduni wydał im odpowiednie polecenia. Cenedi i Banichi rozmawiali z obsługą promu; atevi pojawili się, nie wiedząc, czy się na coś przydadzą, ale bardzo chcieli pomóc kobiecie, którą lekkomyślnie nazywali 'Sidi-ji.

Tymczasem Jase zsiadł z wierzchowca i stanął na ziemi. Udało mu się przy tym nawet zachować równowagę. Ilisidi mruczała coś o nowoczesnej erze i nowoczesnych przywódcach, którzy siedzą bezpiecznie w swoich posiadłościach i biurach, wpatrując się w ekrany komputerów. Łódź pana Geigiego dobiła do stanowiska promu z potężnym, powolnym dudnieniem silników, burząc wokół wodę.

Bren pomyślał, że jak na łódź rybacką jest cholernie imponująca.

Najpierw na brzegu znaleźli się ochroniarze. Za nimi

502

zdumiewająco zręcznie wyskoczył pan Geigi, nie czekając, aż rampa obsługiwana przez personel promu obniży się do poziomu jego ruchomego trapu.

- Spóźniłeś się! - zawołała Ilisidi.

- Wiatr przybrał na sile, nandi-ji! Silny zachodni wiatr za falochronem, i to się naprawdę czuje! Czy mogłem przewidzieć, że się do ciebie przyłączę? Aiji się spóźnił, więc ja też się spóźniłem, cały kraj jest spóźniony, więc Kadigidi też się spóźnią!

- Miałeś przyjechać pociągiem i wynająć łodzie tutaj!

- Tak, tylko że w wiosce Kinsara wykoleili wagon z

wiosennymi jarzynami na stoku po tej stronie, więc musieliśmy całą drogę odbyć na łodziach, a ja przy płynąłem, żeby łodziom z Saduri dać rozkaz wypłynięcia, jeśli tylko uda mi się namówić do pomocy kilku zacnych rybaków. Dobry wieczór, paidhi-ji. Dobry wieczór twojemu towarzyszowi. Zapraszam na pokład! Jeżeli wyjechaliście w pośpiechu, to zjemy zimną kolację. Do falochronu mamy dobre pół godziny pod wiatr. Siri poprosi o spłacenie długów wzdłuż całego nabrzeża. Dostaniemy tyle łodzi, ile sobie zażyczycie.

Bren rozpoznał Gesirimu w garstce atevich, którzy zeszli na brzeg, a teraz wołali, żeby wypływać na morze i zablokować nadbrzeżną drogę.

- Mamy trzy łodzie trzymające się z dala od brzegu, ale morze jest ciemne i szerokie - rzekł Geigi - więc nie mogę powiedzieć, że nie prześlizgnie się obok nas żadna łódź Kadigidich. Gdyby udało nam się przejąć tych łajdaków na wodzie, byłoby mniej ofiar.

- Niektórzy Kadigidi są już w mieście - powiedział Banichi. - Jeśli mieliśmy pecha, to właśnie przegoniliśmy ich na dalsze stanowiska, żeby ostrzegli swoich sprzymierzeńców.

- Nie szkodzi - stwierdził Cenedi. - Siedzenie tu nic nam nie da. Gdzie między tym miejscem i Aidin mogłaby przybić łódź z

Mospheiry przy zachodnim wietrze, panie Geigi?

- Czy te wszystkie tajemnicze działania wywołała tylko

Hanks-paidhi?

- Rzeczywiście, tylko Hanks - prychnęła z niesmakiem Ilisidi i

ruszyła z Geigim do chwiejnego trapu. Od zatoki wiał zimny

wiatr; obijacze trzeszczały pod naporem burt.

- Płyniemy szukać Hanks - powiedział słabym głosem Jase,

idąc u boku Brena. To było pytanie. Rozpacz. - A co z ewentualną

inną łodzią? Czy możesz go zapytać...

- Zażyj swoje tabletki - odpowiedział Bren. - Na twoim

miejscu wziąłbym podwójną dawkę.

- Uważasz, że nie przeżyła sztormu, prawda?

- Nie wiem. - Bren postanowił nie okłamywać Jase'a, ale Jase

potrafił bez ogródek zadawać pytania, na które istniały tylko złe

odpowiedzi. - Może nie wypłynęła, bojąc się sztormu. Wszędzie w

cieśninie były łodzie i latały nad nią samoloty. Jeśli Yolanda

spróbowała wypłynąć, może ktoś ją podjął. Nie spisuję jej na

starty.

- Ja też nie - powiedział stanowczym tonem Jase. I dodał,

trzymając się kurczowo relingu trapu: - Nie mam tabletek.

- Przecież nie mogłeś zużyć wszystkich!

- Nie zużyłem. Buteleczka wypadła mi z kieszeni.

Rozdział 26

Geigi donosił o opóźnieniach mających miejsce od chwili wykolejenia wagonu jarzyn, które nastąpiło, kiedy czekał na pociąg na stacji w doku promu w Elijiri, by pojechać koleją przez wzgórza na umówione spotkanie w Saduri. Kiedy zorientował się, że to połączenie zostało przerwane, skontaktował się ze swoją osobistą łodzią, wracającą już do Dalaigi, i kazał jej wrócić po siebie. Troje sąsiadów (dwaj starsi dżentelmeni i dama w średnim wieku, która zbiła majątek na biżuterii), którzy utknęli na stacji razem z nim, zadzwoniło po swoje łodzie, żeby przy płynęły po nich do Elijiri z bakami zatankowanymi do pełna. Po przepłynięciu zatoki ich flotylla czterech łodzi znów zatankowała w porcie kurortu na Onondisi, tak że mogli długo przebywać na morzu.

Teraz zakurzone i spocone towarzystwo siedziało na fotelach i kanapach obłożonych poduszkami, obserwując przez okna na rufie oddalające się światła miasta Saduri. Dziwny sposób wybierania się do walki, pomyślał Bren, kiedy sam Geigi nalał Ilisidi mały kieliszek likieru: Ilisidi wyznała, że trochę ją boli ręka.

- Mam także imię kierownika biura podróży Mglista Wyspa - powiedział Geigi - który mówi, że jeśli trzeba będzie przysłużyć się man'chi prowincji Sarini, to ogłosi apel o zgłaszanie łodzi.

Morze jest wzburzone i wahałbym się zachęcać dziś małe łódki do wypływania, ale są przecież łodzie wycieczkowe z wyszkolonymi

załogami. Nie wyposażono ich w radary, ale mają radia.

Wystarczy, że wydam polecenie.

- To je wydaj - rzekła Ilisidi. - Nie działamy już chyba w wielkiej tajemnicy. Wiatr przyniesie nam to, co przyniesie.

- Czy można... - odezwał się cicho Bren - czy można też poprosić, żebyśmy zadzwonili na Dur? Jest jeszcze ktoś oprócz Hanks. Istnieje szansa, że Mercheson-paidhi uciekła z wyspy, a jeśli tak, to bardzo lekką łódką. Przy tym sztormie, o ile pamiętam mapę, wiatr zagnałby ją prosto na zachód.

- Na południowy wschód, nadi.

- Słyszałem, jak silny jest prąd, ale wiatr...

- Z północnego zachodu. Burza i prąd, nand' paidhi, ateva cię zapewnia.

- Sztorm przyszedł z zachodu. Kiedy rozbiliśmy obóz, wiatr wiał nam prosto w twarz, prawda, nadiin-ji?

- Z północnego zachodu, Bren-ji - rzekła Jago. - Przylądek Mogari-nai nie jest równoległy do tego na południu. Jest zwrócony na północny zachód.

Całe wyczcucie terenu przez Brena było błędne. Patrzył na mapę i uwierzył, że przylądek jest skierowany na zachód.

- Urwisko jest osłabione przez niezliczone sztormy, które uderzają w przylądek, nand' paidhi - powiedział pan Geigi. - Przez fale bijące o te skały. Przy wzburzonym morzu jest to bardzo

niebezpieczne miejsce. Lecz od czasu, kiedy atevi przed wiekami usypali falochron, by nie dopuścić do spłynięcia zatoki, na całym tym odcinku na skałach osadza się piasek. To, co przyniesie tam burza, zagarnia następny sztorm, ale biorąc pod uwagę tę przedwczorajszą wietrzną noc, przede wszystkim spojrzałbym na Plażę Saduri. Powiedziałbym też, że do takiego samego wniosku dojdzie każdy żeglarz na tym wybrzeżu.

- To rządowy rezerwat - rzekła Ilisidi. - Czy nikt na tym

506

brzegu nie respektuje tablic?

- Rozbitkowie z pewnością nie - odparł pan Geigi. - Baji-naji, oni tam przyplływają, 'Sidi-ji. I zrobi tak każdy, kto zechce ich znaleźć.

- Dwa dni temu atevi Direiso przyplłynęli tu frachtowcem - odezwał się Cenedi. - Ładunek czterech ciężkich ciężarówek. Dziś wieczorem wyjechały drogą do falochronu. Myślą więc o tym samym.

W oknach pojawiły się światła. Z dala od brzegu stały łodzie.

A więc Gesirimi wezwał rybaków. Pan Geigi miał układy z Saduri i ze swoimi sąsiadami znad Zatoki Onondisi.

Północny brzeg Półwyspu tym razem przyłączył się do Shejidan, by przeciwstawić się secesji północnych prowincji.

- No, no - powiedział Geigi, spoglądając do tyłu nad poduszką

- będziemy mieli pomoc. - Odwrócił się i wziął swój kieliszek. -

Tymczasem, gdyby ktoś chciał z siebie zmyć kurz podróży, to prosto i na lewo jest umywalka.

Jago wstała i szybko poszła w kierunku rufy.

- Przepraszam - powiedział Bren; Banichi poszedł razem z nim. Człowiek nie uznał pokładu za zbyt niespokojny; obawiał się jednak, że żołądek Jase'a będzie miał inne zdanie. Drzwi były zamknięte.

Bren westchnął ze znużeniem i oparł się o ścianę.

- Przynajmniej nie choruje tak jak ty po tamtej herbacie - powiedział Banichi.

Bren o tym zapomniał.

Na szczęście.

- Czy mamy jakiegokolwiek kłopoty w Patinandi? - zapytał

Banichiego, bo była to pierwsza sposobność do rozmowy z ateva od spotkania z Geigim.

507

- Nie, nie, nie - odpowiedział cicho Banichi. - Geigi nie bardzo mógł wzmocnić ochronę, jakby miał powody obawiać się swoich dobrych sąsiadów. Ale skoro wdowa poprosiła pana Geigiego o pomoc przeciwko przemytnikom, to Tabini musiał dać mu wsparcie i ochronę. - Banichi błysnął zębami w uśmiechu. - Jak wam poszło z Jago?

Banichi tak zaskoczył Brena, że temu odjęło mowę.

Drzwi się otworzyły. W środku był Jase; twarz i okalające ją

rozpuszczone włosy miał mokre.

- Czy człowiek może wyjść na pokład? - zapytał. - Chcę popatrzeć na wodę.

- Człowiek może, ale mógłbyś wypaść za burtę. Tu jest dość głęboko. I ciemno.

- Chcę wyjść na zewnątrz - powiedział Jase.

Bren spojrział na Banichiego, który zerknął na znajdujące się niedaleko nich drzwi. Wychodziły na pokład i wąskie przejście prowadzące na pokład rybacki na rufie oraz na pokład dziobowy przed mostkiem.

Znawali się na środku zatoki i na wietrze było zimno, czego Bren się spodziewał; skinął jednak głową i wrócił do salonu, by porozumieć się z Jago.

- Wychodzimy na chwilę na dwór - powiedział. - Jase potrzebuje świeżego powietrza.

- Ateva rozumie - rzekła Jago i razem z nim wyszła na pokład.

Banichi i Jase byli na pokładzie dziobowym. Jase stał na samym dziobie, na wietrze i w bryzgach wody. Przemoknie, pomyślał Bren. Banichi zwariował, że stoi tak obok niego.

Podeszli z Jago do relingu.

- Jak tu jest głęboko? - zapytał Jase, przekrzykując szum wody i hałas silników.

508

- O... - Bren właściwie nie miał pojęcia. Ponieważ ochroniarze

nie odpowiadali, wymyślił odpowiedź. - Jakieś trzydzieści metrów.

- To jesteśmy wysoko.

Dziwny sposób patrzenia na ocean.

- Chyba tak.

- Jeśli się wpadnie do wody, to spada się aż na dno?

Bren zrozumiał teraz w jakim kierunku zmierzają myśli Jase'a i wcale mu się to nie spodobało.

- Fale wyrzucają rozbitka na brzeg - odparł i nie wiedział, jak wyjaśnić tę cechę oceanu człowiekowi z kosmosu. - Jase? Nie spisuj jej na straty.

- Wcale tego nie robię. Nie chcę. Nie mogłem zwymiotować, Bren. W nocy jest lepiej. Widać gwiazdy.

To prawda. Łąd po obu stronach był czarny. Woda lśniła. W dali w poprzek wylotu zatoki sięgała czarna linia; na jej końcu widać było światło, które kładło się kreską na falach. To był falochron, ciągnący się od urwisk na południe. Tam była plaża.

- Tam daleko są łodzie - rzekła bystrooka Jago. Bren ich nie widział.

- Za falochronem - powiedział Banichi i uniósł rękę. -

Wypłyniemy za niego i skęcimy, paidhiin-ji. W tej chwili obok nas biegnie droga, u podnóża tamtych urwisk, gdybyśmy śmieli zaufać Saduri albo panu Atigeinich, to powinniśmy zostawić was obu w mieście.

- Nie - rzekł Bren. - Cieszę się, że tu jesteśmy. Tylko... jak dostaniemy się tą łodzią na brzeg, nadiin? Nie możemy jej wyciągnąć na plażę.

- Dobre pytanie - orzekł Banichi, ale nie odpowiedział na nie.

Bren spróbował jeszcze raz.

509

- Czy możemy wyjść na brzeg, nadiin-ji?

- My wyjdziemy na brzeg, Bren-ji - odparła Jago. - Jeśli będziemy musieli, co nie jest jeszcze żadną miarą pewne.

- Wyjdziecie z nami!

- Słuchaj swojej ochrony, Bren-ji. Zawsze słuchaj swojej ochrony.

- Cholera, byłem z wami w Malguri, byłem z wami w Taiben.

- Moja partnerka - powiedział Jase. - Nadiin, moja partnerka i Hanks-paidhi. Właśnie tam.

- Złe liczby - odparł Banichi. - Nie.

- Nie jesteś wyznawcą liczb, nadi - sprzeciwił się Bren. -
Wiem, że nie. Cztery to bardzo dobra liczba.

Banichi roześmiał się i spojrzał na otwarte morze przed dziobem.

- Jeśli są w to wplątani ludzie, to będziecie potrzebować tłumaczy.

- Jago-ji - powiedział Banichi - zostaniesz z nimi. Pomyślna trójka.

- Nie - rzekła Jago.

- Twój obowiązek, Jago-ji. Ktoś musi przytrzymać ich na pokładzie.

- Ja idę - oznajmił Bren.

- Nie, nie idziesz, paidhi-ji - powiedział Banichi. - Możesz jednak patrzeć.

Bren zamilkł, zniechęcony, mówiąc sobie w duchu, że to niesprawiedliwe z ich strony, ale że i on nie na wiele się przyda, jeśli odbierze Jago jej partnerowi tylko po to, żeby ich pilnowała.

- A zatem wiedz, Jago-ji, że mogę zostać bezpiecznie ze strażą

510

na pokładzie i że nie będę ryzykował życia Banichiego, zatrzymując cię tutaj. Ocaliłaś go w Malguri, a potem w Marid...

- Przesada - powiedział Banichi.

- Chcę, żebyście oboje wrócili, nadiin.

Tak daleko od brzegu wiatr był lodowaty. Falochron

znajdował się już bardzo blisko. Łodzie nie były oświetlone.

Widać było tylko jedno światło, to na końcu skał falochronu.

- Lepiej wejdźmy do środka - rzekł Banichi. - Wszyscy. Jeśli umieścili kogoś, by utrzymał zatokę, to będziemy przepływać blisko miejsca dogodnego dla snajpera.

Banichi puścił ich przodem. Na tle łuny miasta Saduri nawet ludzkie oczy widziały płynące za nimi łodzie rybackie, sześć czy siedem, a za nimi może następne.

Światło w salonie zostało zgaszone. Teraz było u nich tak samo ciemno jak na pozostałych łodziach. Bren wymacał drogę do salonu, mając za sobą Jase'a, Banichiego i Jago.

- Niech wszyscy lepiej usiądą na podłodze, nadiin - zarządził Banichi. - Zbliżamy się do falochronu.

- Bardzo dobry pomysł - poparł go Cenedi. - 'Sidi-ji?

- Cholerna niewygodna - mruknęła Ilisidi. - Zostań w środku, 'Nedi-ji. Na zewnątrz nie ma nic ciekawego. Na podłogę!

Wdowa usiadła na podłodze. To przesądziło sprawę. Wszyscy usiedli, schylając głowy. Silniki dudniły spokojnie.

Nagle ryknęły; rybacki jacht udowadniał, co ma w rezerwie.

Pewnie mijali latarnię na falochronie, jedyne miejsce dogodnie do zastawienia pułapki.

Jase skulił się na podłodze. Kiedy pod wpływem zwiększenia mocy silników pokład przechylił się ostro na lewo, Bren wstrzymał oddech; nagle łódź zatrzęsła się, zakołysała i coś wybuchło jednocześnie przy kadłubie i nadbudówce.

511

- Cholera! - zaklął Geigi do wtóru ryku diesli, a pokład przechylił się ostro w drugą stronę. Łódź płynęła po łuku. Z pewnością znaleźli się za falochronem. - Nie straciliśmy silnika - powiedział Geigi; była to pierwsza rzecz, jaka przychodziła na myśl przy takim ruchu. Sądząc po odgłosie, miał rację, ale pilot na mostku musiał skrócić ster do oporu w prawo i jeśli minęli

falochron, to muszą zawracać do...

Kil w coś uderzył, ale silniki nadal pracowały, chociaż jeden umilkł, kiedy łódź uderzyła prawą burzą w skałę. Poduszki, atevi, szkło i pozostałości okna rufowego przejechały do przepierzenia; Bren i Jase ześliznęli się korytarzem do szaleńczo rozhuśtanych drzwi.

- Wyjdźcie! - krzyknął Banichi, kiedy ruch nieco ustał. -

Mamy pełno paliwa!

- Jazda! - wrzasnął Bren, popychając Jase'a. Byli najbliżej drzwi, które właśnie się otworzyły, jako że łódź mocno się przechyliła; kiwała się i uderzała o brzeg, pchana wiatrem, falami oraz przez ostatni działający silnik. - Wychodź!

Jase podniósł się, prawie wypadł przez otwarte drzwi i zjechał w kierunku relingu; Bren znajdował się tuż za nim, mając przy sobie któregoś z atevich. Przeskoczyli reling i wpadli po pas w wodę, a o burty zagrzechotały strzały z broni palnej.

Obok nich wylądowały dwie osoby z wyraźnym podwójnym pluskiem.

- Schylcie się - usłyszeli głos Banichiego. - Nie podnoście się powyżej linii przyływu! Trzymajcie się blisko wody, chyba że wybuchnie zbiornik!

Bren zastosował się do tej rady; trzymając rękę na plecach Jase'a, zrobił miejsce innym opuszczającym łódź, która, pozbawiona teraz obu silników, szorowała o skały wpychana na

nie przez fale. Byli na falochronie. Reszta grupy znalazła się w wodzie, po czym wszyscy ruszyli na dziób. Wciąż do nich

512

strzelano.

- Gdzie jest Lasari? - zawołał Geigi. - Lasari! Casurni, on nie odpowiada.

- Odsuń się, nandi! - usłyszeli czyjś głos. - Wydostanę go!

Gdzieś z tyłu, w ciemnościach, rozległ się huk broni dużego kalibru.

Pocisk trafił w urwisko.

- Mam go - ktoś się odezwał. - Geigi-ji, mam go, schodzę!

Jakaś ręka odnalazła ramię Brena.

- Jazda, nadiin! Do tej skały!

Bren jej nie widział. Ruszył jednak do przodu, nisko pochylony, a Jase wraz z nim. Dwie czy trzy osoby przebiegły z pluskiem obok ich trójki, rozpląszczyły się na skałach, znów wstały i pobiegły dalej; cały czas było słychać strzały, a łódź obijała się o falochron.

- Starają się wysadzić łódź - powiedziała Jago.

- Gdzie jest wdowa? - zapytał Bren. - I Banichi?

- Idźcie, paidhiin-ji!

Teraz widział już przed sobą schronienie, skałę Jago, olbrzymi głaz zagrzebany w piasku; w miejscach, gdzie padały kule, wzbijały się w powietrze jego obłoczki.

Rzucił się za skałę, Jase padł obok, a Jago na sekundę przykryła ich własnym ciałem; po chwili już szukała celów w skałach u podnóża urwiska, wznoszącego się nad nimi na wysokość urwisk Mogari-nai. Bren przypominał sobie - po raz pierwszy sobie przypominał - że ma broń. Ugniatała go w żebra; wyjął ją i odbezpieczył.

- Widzisz coś? - zapytał.

- Jesteśmy...

513

Jago pchnęła ich na skałę i piasek, a sama przywarła do głazu; gdzieś z prawej strony padł strzał w ich kierunku. Jago wystrzeliła tak blisko Brena, że o mały włos nie oszpeciła mu twarzy.

Nic nie widział.

- Nie podnoście się! - rzuciła Jago, szyfrem powiedziała coś do Banichiego przez komunikator.

Otrzymała odpowiedź, jednak Bren jej nie słyszał. W uszach dzwoniło mu od huku broni. Jase ciężko dyszał. Łokieć Jago i występ skalny wbijały się Brenowi boleśnie w ciało, ale nie poruszył się, podobnie jak Jase.

W pobliżu rozbrzmiały kolejne dwa strzały, Jago drgnęła, dało się słyszeć kilka następnych, w tym dwa z broni Jago. Bren zobaczył błysk, odpowiedział ogniem i usłyszał bezładną strzelaninę z innego kierunku.

Wtedy z ogromnym hukiem wybuchły zbiorniki łożysk,

rzucając ostry kontrast światła i cienia na skalny falochron i plażę.

Bren zobaczył leżącą na piasku obok nich jakąś postać -

mężczyznę, którego zastrzelił.

Od łodzi oderwały się inne atewskie postacie i ruszyły biegiem

po skałach na brzeg.

- To Cenedi - powiedziała Jago bez tchu. Bren w Bogu

pokładał całą nadzieję, że miała na myśli biegnących.

- Jesteś ranna? - zapytał Bren. - Jago-ji, nic ci się nie stało? -

Potrząsnął nią, a wtedy Jago syknęła. - Jesteś ranna?

- Posiniaczona... posiniaczona, nadi. - Gdzieś dalej wciąż było

słysać strzały. W coraz słabszym świetle padającym od płonącej

łodzi Bren sięgnął palcami do poszarpanego kaftana atewy.

Napotkał kuloodporną wyściółkę, wybrzuszoną w jednym miejscu

na kształt kuli: włókna wchłonęły energię kinetyczną i na stałe

przybrały tę formę.

Jedno z tych nowych tworzyw sztucznych. Dla programu

514

kosmicznego.

- Zostańcie w cieniu - poleciła Jago, chwyciła się za bok i

wsparłszy się plecami o głaz, zmieniła magazynek. - Ateva jest

wdzięczna, nadi - powiedziała przez zęby - ale jeśli Banichi nas tu

znajdzie, to często będę o tym słyszała. Potrzebujemy lepszej

osłony.

Powierzchnia wody była oświetlona jak w karnawale.

Strzelano do nich spod całego urwiska, gdzie wydmy tworzyły naturalne osłony. I właśnie tam, na granicy światła rzucanego przez łódź Geigiego, leżał na piasku jacht żaglowy, stanowiąc jakby lustrzane odbicie ich zniszczonej łodzi. Obok niego tkwiły trzy nadmuchiwane łódki.

- Boże. - Bren trącił Jago. Ona też dopiero w tej chwili zauważyła wrak. Wywołała kogoś przez komunikator i tym razem, przycupnięty bardzo blisko niej i dzięki chwilowej przerwie w strzelaniu, Bren usłyszał głos Banichiego:

- Widzę go. Poza tym żadnych oznak ruchu.

Zmasowany ogień przeczesał plażę i odłupał kilka odłamków z głazu.

- Ateva sugerowałaby, żebyście się nie podnosili - rzekł Banichi.

- Ateva sugerowałaby, żebyś zrobił to samo - odcięła się Jago i wcale nie wyglądała na zadowoloną; najwyraźniej nie wierzyła, że Banichi usłucha własnej rady. Obróciła się na jednym kolanie, nisko pochylona, i szybko wyjrzała.

Bardzo szybko. Padające pociski rozrzuciły piasek, który Bren musiał wypluć i zetrzeć z twarzy.

- Jesteśmy w kłopotliwym położeniu - powiedziała Jago. -

Zamierzam pobiec, Bren-ji, i muszę was poprosić, żebyście tu zostali. Masz broń. Chcę, żebyś zechciał wystrzelić dziesięć razy nad moją głową, kiedy będę biegła do skał. Wtedy osłonię ogniem

Banichiego i Casumiego, którzy ruszą ze swojego miejsca.

Dziesięć strzałów opróżni twój magazynek. - Wcisnęła mu do ręki zapasowy. - Przeładuj jak najszybciej i celuj, proszę, powyżej mnie.

- Jago...

- Muszę ci zaufać, że to zrobisz, nadi. Widzisz błyski strzałów?

Strzelanina nie ustawała. Zaryzykował spojrzenie i rzeczywiście zobaczył błyski.

- Tak.

- Zaczynij strzelać, Bren-ji. Już!

Nie dała mu szansy na protest. Pobieгла. Zaczął strzelać, starając się jak najdokładniej wypełnić polecenie Jago. Ktoś inny też strzelał. Bren pomyślał, że może Banichi.

Odpowiedziano im jednak ogniem. Jago potknęła się, upadła i wstała; Bren strzelał miarowo. Jago była ranna i usiłowała biec; wtem ktoś z ich strony opuścił swoją kryjówkę, dobiegł do Jago i porwał ją ze sobą w chwili, kiedy Brenowi skończyła się amunicja.

- Cholera! - wydyszał i postarał się spokojnie zmienić magazynek; wcisnął go i strzelił. Skała obok rozprysnęła się i Bren poczuł ułknięcie w brodę. Zobaczył, że dwie postacie dopadają osłony i otwierają ogień - usłyszał dwa strzały.

- Udało jej się! Udało im się! - krzyknął obok niego Jase.

Bren wstrzymał ogień może na dwie sekundy, bo zostało mu jakieś siedem lub osiem naboju. Znow zaczęli strzelać, Bren domyślał się, że to Jago i Banichi, osłaniający atewę Geigiego, Casumiego. Ogień był zbyt gęsty, żeby strzelała tylko jedna osoba. Zaczął strzelać, żeby dać im wsparcie.

Wtedy...

516

- Bren! - krzyknął Jase i odciągnął go nieco na bok, gdzie na wodzie oświetlonej płomieniami dostrzegł jakiś ruch.

Od morza zbliżało się coś olbrzymiego; minęło wrak jachtu jak jakiś pływający biały potwór z ziejącą ciemną paszczą, stanowiąc niewiarygodny widok oświetlony blaskiem pożaru.

Wbiło się w piasek między nimi i zniszczonym jachtem. Z hukiem opadła szeroka kłapa i na plażę wylała się fala uzbrojonych atevich. Napis na nadbudówce głosił: „Dur - Saduri”.

- Boże - powiedział Bren do wtóru strzelaniny.

- Co to jest? - zapytał Jase.

Bren odpowiedział słabym głosem, nie bardzo wierząc we własny wniosek:

- Chyba prom z wyspy Dur.

517

Rozdział 27

Wśród przybyszy byli członkowie Gildii w czarnych

mundurach. Bren widział, jak idą po plaży, jak używają

kieszonkowych komunikatorów i, pełen nadziei, wstrzymał

oddech. Przez chwile ogień był bardzo gęsty i Bren krzyknął

głośno:

- Finezja, nadiin! Tam są nasi!

Ktoś - był lekko pochylony i kulał - szedł w kierunku ich

kryjówki, i Bren schował się za głaz, ze strachu, że źle ocenił

sytuację. Już miał poradzić Jase'owi, żeby pobiegł do jednej z

nadmuchiwanych łódek, kiedy cień dotarł do głazu, oparł się o

niego - blask ognia odbijał się od metalowych ćwieków, którymi

była nabijana czarna skóra jego kaftana - i powiedział głosem

Nawariego, atevy w służbie Ilisidi:

- Nic wam się nie stało, nadiin?

- Absolutnie nic - odparł Bren, wstając, a Jase poszedł w jego

ślady; jeżeli stoi Nawari, to i Bren może to zrobić. - Jago, Banichi

i, chyba, Cenedi poszli w tamtym kierunku! - Strzelanina nie

ustawała. Brenowi drżały kolana. - Masz zapasowy magazynek,

nadi?

Nawari dał mu amunicję i ruszył biegiem.

- Chodź - powiedział Bren do Jase'a i pobiegł za ateva w

518

kierunku skalnego wału, który, jak zobaczył w blasku ognia,

stanowił nasyp drogi biegnącej tuż pod urwiskiem i kończącej się

na plaży.

To tutaj koncentrowała się walka. Tutaj znalazł innych członków ich grupy, a wśród nich pana Geigiego oraz Ilisidi; i Jago, która nogę tuż nad cholewą buta miała owiniętą zakrwawionym bandażem i która strzelała w ciemność. Kiedy razem z Jasem przypadł do niej, popatrzył w tamtym kierunku i dostrzegł - między ich stanowiskiem i miastem Saduri - dachy ciężarówek. Jago tylko rzuciła tam okiem.

- Jaki cel? - zapytał.

- Te ciężarówki. Mierz wysoko! Mój partner to głupiec!

Bren zaniepokoił się.

- Gdzie jest Banichi? - zapytał. W ciemności, gdzie według niego była woda, zobaczył błyski wystrzałów i uświadomił sobie, że padają z rybackich łodzi. Płynął z nimi drugi ochroniarz Geigiego, Gesirimu; łodzie zbliżały się do brzegu, ostrzeliwując z wody ciężarówki znajdujące się na drodze.

- Powiedział, że zajmie się ciężarówkami! - Jago na chwilę przestała strzelać, zmieniając magazynek.

- Jesteś pewna, że wiesz, kto jest w tych ciężarówkach, Jago-ji? Zaginęła partnerka Jase'a!

- Jesteśmy pewni. Hanks ma kieszonkowy komunikator.

Zaapelowała do nas, żebyśmy się rozeszli i upokorzyli broń.

To był absurd. Paidhiin strzelali do siebie nawzajem. Tam, w ciemności, wśród kuł nadlatujących znad wody i z ich stanowiska, znajdował się jego przyjaciel Banichi. Bren zaczął strzelać

wysoko, chcąc strącić kilka kamieni z urwisk na ciężarówkę. Bał się, że trafi Banichiego.

Jago przyłączyła się do ostrzału, celując niżej i, czego Bren był pewien, stanowiąc większe niebezpieczeństwo dla wroga.

519

Dołączył do nich ktoś trzeci.

- Nadiin! - odezwał się młody głos. - Mój ojciec uwierzył atevim wdowy! Mam broń! Gdzie mam strzelać?!

- Nad ciężarówkami! - krzyknął Bren. - Celuj w urwisko.

Przydadzą się rykoszety!

- Tak! - powiedział Rejiri, uniósł swą wielkokalibrową strzelbę i wypalił.

Wśród ciężarówek wybuchł ogień; w błysku utrwalającym na siatkówce oka obraz ciężarówek i postaci, światło zalało skały, piasek, morze, oświetliło łodzie i głazy, za którymi się schronili.

Ziemię przebiegło drzenie, odezwało się im echem w kościach i zanim zniknęło światło, od urwiska oderwał się fragment skały i zaczął sunąć ku ciężarówkom. Dał się słyszeć odgłos silnika jednej z nich, gwałtownie ruszającej z miejsca.

- Dziesięć, dziesięć - powiedziała Jago z niepokojem do mikrofonu.

- Trafiłem je - przypląnął głos Banichiego. - Wszystkie oprócz jednej, niech to cholera.

Sądząc z cichnącego dźwięku silnika, ciężarówka wracała do

Saduri. Jago wyrzuciła z siebie kilka zakodowanych słów, określających, jak się domyślał Bren, ich tożsamość. Skończyła na słowach „Prom z wyspy Dur”, na co dobiegła z głośnika zaskoczona i niegrzeczna uwaga

Strzały ucichły. Na ramieniu Brena zacisnęła się czyjaś dłoń -

Jase'a Bren wyciągnął swoją i uściśnił drżącą rękę Jase'a, czując w nagłej ciszy chłód wiatru. Jago dalej coś mówiła do komunikatora

W pewnej chwili odpowiedziała:

- Dziesięć, dziesięć, cztery, szesnaście. Kierują się do was.
- Popełnili błąd - padło z głośniczka.

520

- W oddali coś wybuchło, odbijając się echem od urwiska.

Potem nastąpiła cisza, nie licząc dzwonienia w uszach.

- Pozdrowienia od pana Tatiseigiego - dobiegło wyraźnie z komunikatora.

Deana Hanks nie żyła. Banichi powiedział, że może to sprawdzić i że prawdopodobnie lepiej nie zbliżać się do ciężarówek, ale Bren tam poszedł. Wszędzie śmierdziało dymem, olejem i oceanem - głównie spalenizną. Gdzieś wysoko na urwisku obluzował się kamień i spadł w kaskadzie żwiru.

Sześcioro ludzi. Przynajmniej był stosunkowo pewien, że sześcioro. Atevich więcej. Poskręcany metal, złuszczone farby.

Banichi trafił ich granatem.

Siły Tatiseigiego zajęły samo miasto i przy pomocy jego mieszkańców zablokowały drogę. Tak podawało radio.

Łodzie rybackie podeszły jak najbliżej do brzegu w Zatoce Saduri. Teraz tam kotwiczyły. Było widać liny kotwiczne znikające w wodzie. Wracając z Banichim na plażę, Bren zaczął sobie zdawać sprawę, że wstaje świt.

Jase i Jago czekali na niego w miejscu, gdzie brukowana droga ustępowała piaskowi i skąd było widać obie zniszczone łodzie, osiadły na plaży prom z wyspy, morze pełne turystycznych jachtów i łodzi rybackich, a wszystko to w cieniu przylądka Saduri.

Jago miała ze sobą komputer Brena. Futerał prawie cały się stopił. To cud, że pasek wytrzymał.

- Bren-ji, robiłam, co w mojej mocy - powiedziała.

- Jago, spisałaś się cudownie. - Wziął od niej to, co zostało z jego komputera. Zrobił, co mógł. Może uda mu się odzyskać jakieś dane, ale bardzo w to wątpił. - Jak się czujesz?

521

- Nic poważnego, nadi. Wdowa ma się dobrze, pan Geigi też.

Cenedi skaleczył się szkłem. My nie odnieśliśmy poważnych ran.

Pilot pana Geigiego ma złamane obie ręce i wiele skaleczeń, ale wspaniale skierował nas na brzeg, kiedy został trafiony mostek.

- Człowiek jest bardzo zadowolony, Jago. - Bren oparł się o głaz i złapał oddech. A przynajmniej starał się to zrobić. Pokazał

na prom. - Wiedziałaś o tym?

- Ateva nie miała pojęcia, nadi - rzekła Jago. - Nasz personel miał rozkaz nie używania radia. Chłopiec oraz jego ojciec zebrali mieszkańców wyspy. Zobaczyli ogień i przybyli.

- To zdecydowanie była Hanks - powiedział Bren. - Strasznie to wszystko wygląda. Nie dowiemy się, co się stało, ale musiała przybić do tych skał. - Mówiąc to, patrzył na morze. I wśród atewskich jachtów, w mgiełce dymu i poranka, zobaczył nie pasującą do tego towarzystwa łódź motorowo-żaglową z wysokim masztem, sunącą pod żaglem.

Nie pasowała do tego towarzystwa.

Nie pasowała do tych wód. Jej miejsce było na północnym wybrzeżu Mospheiry.

- Mój Boże - powiedział, a potem dodał w ragi: - To łódź mojego brata!

- Bren! - usłyszeli męski głos i paidhi rozpoznał mężczyznę biegnącego ku niemu od wyciągniętej na brzeg łodzi - mężczyznę w jasnej rybackiej kurtce i kapeluszu, idiotycznym kapeluszu z poprzczepianymi spławikami. Razem z nim z pomarańczowej łódki z materiału wysiadła Yolanda Mercheson, a trzecią osobą był Shawn Tyers. Yolanda usiłowała biec, ale niezbyt pewnie czuła się na lądzie; właśnie wtedy Toby zajął całe pole widzenia Brena, Toby nie ogolony, wyglądający, jakby nie spał od kilku dni, i uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Boże, jak dobrze cię widzieć!

- Właśnie - powiedział Bren, a Toby go objął; Bren

odpowiedział mu uściskiem. Atevi pewnie się dziwili, ale nic go to nie obchodziło.

- Co ty tu robisz? - udało się wykrztusić Brenowi.

- A co ty tu robisz? - spytał Toby. - Wybuchła wojna czy co?

Szło nam dobrze, ale przyprowadziła nas tu kanonierka.

- Nasza. Jak się czuje mama?

- Dobrze. Nie mogliśmy jej zabrać ze sobą. Ale jest z nią Jill. I dzieciaki. Przywieźliśmy za to rodzinę Shawna.

Shawn stał w grubej, ocieplanej, jasnoniebieskiej kurtce, która była najswobodniejszym strojem, w jakim kiedykolwiek widział go Bren. Puścił Toby'ego i oprzytomniał na tyle, żeby wyciągnąć rękę.

- Witam na lądzie, sir. Rozumiem, że miał pan z tym coś wspólnego.

- Robiło się nieprzyjemnie - powiedział Shawn i skinął głową przez ramię, gdzie Jase i druga paidhi ze statku dawali atevim przedstawienie, niepomni na nic. - Szczerze powiedziawszy, uznałem, że łatwiej jest rozmawiać z aijim niż z Georgem.

Zebraliśmy się w Bretano, a Toby poleciał na wybrzeże i sprowadził łódź. Zabraliśmy moją żonę, dzieci, niejaką panią Johnson, która powiedziała, że ją przysłałeś...

- Boże, Sandrze się udało.

- Przyszła do mnie z dwoma kwiatkami w torbie na zakupy, kiedy wyjeżdżałem do Bretano. Powiedziałem, żeby jechała ze mną i że wszystko wyjaśnimy. Powiedziała, że nie chce wyjeżdżać tak daleko, ale uznała, że tu będzie bezpieczniej. -

Shawn rozejrzał się po plaży. - Pewnie zmieniła zdanie.

Bren spojrzął za siebie, gdzie stał rząd atevich, Banichi, Jago i

523

Cenedi: twarze bez wyrazu, mundury, broń.

Nagle zdał sobie sprawę, jakie muszą sprawiać wrażenie na Tobym i Shawnie. Zamrugał i zobaczył swoich najważniejszych przyjaciół.

524

Rozdział 28

Znad morza wiał letni, ciepły i przyjemny wiatr. Pnącze djossi szeroko rozrosło się na murze i jego liście poruszały się w leniwym, sennym szeleście.

Pan Geigi odprowadzał do brzegu łódź. Nową, o dwa metry dłuższą łódź, z wdzięcznością ofiarowaną mu przez Muriniego, pana Kadigidich. Do wody było niedaleko.

- Spokojny dzień - powiedziała Jago, opierając się łokciami o poręcz. Wykonała kilka gestów dłonią. Paidhi mógłby się założyć, że na dole jest Banichi i pilnuje kei.

Jago wykonała jakiś wściekły gest, a potem dała znak

odprawy, ale nie w gniewie, tylko ze śmiechem. Bren był pewien, że niewidoczny komentarz Banichiego był sprośny.

- Łódź przybija - rzekła Jago.

- Człowiek tak myślał - odparł Bren, po czym wstał i sam wyjrzał nad barierką.

Wybierał się z nimi Toby - to była ta druga łódź, zacumowana tuż obok. Geigi szczególnie polubił Toby'ego: nazywał go dobrym żeglarzem, prawdziwym rybakiem. Toby otrzymał oddzielne zaproszenie i na trzydniową wizytę zbiegającą się z dwutygodniowym pobytem paidhiin w posiadłości Geigiego przywiózł matkę. Jill, która była w ciąży, dzielnie rzuciła się na

525

głęboką wodę i razem z żoną Shawna nie tylko zabawiała teściową, ale wzięła ze sobą na plażę dzieci obchodzące urodziny najstarszego potomka Shawna, co dało zajęcie Tano i Alginiemu.

- Nadi. - Dołączyli do nich Jase z Yolandą, którzy właśnie wyszli z domu. - Czy obiecano nam sprzęt wędkarski? Człowiek chce mieć pewność.

- Tak, nadiin - powiedział Bren. - Zapewniam was, że jest na łodzi.

- Upewnię się, zanim wejdziemy na pokład - rzekł Jase i dość szybko jak na astronautów zszedł z Yolandą na dół.

Statek... tkwił na niebie. Rząd Mospheiry zachowywał się teraz zupełnie grzecznie, przeprosiwszy za nieporozumienie -

człowiek wiedział, że tak będzie. Aiji zagroził embargiem nie tylko na aluminium, jeśli nie wydadzą paszportów wszystkim, o kogo poproszą paidhiin - wagę tej oferty wypróbowała Sandra Johnson, wracając w odwiedziny i na wieczorne przedstawienie w teatrze machimi w Shejidan, które było wydarzeniem jej związanego z biurem życia. Teraz departament stanu chciał, żeby Yolandą wróciła i wykładała na wydziale studiów zagranicznych na uniwersytecie. Człowiek był całkowicie pewien, że nie przyjmie oferty, chociaż Shawn powiedział, że mając Eugene'a Weinberga jako sekretarza stanu, na pewno będą honorować jej paszport.

Wymownym faktem było to, że rząd Mospheiry, nie mogąc już dłużej udawać, że ma jakikolwiek program kosmiczny, rozmawiał z Patinandi w sprawie rozbudowy zakładów na kontynencie, by zbudować w nich drugi statek, stanowiący część floty pięciu takich statków, co było dla ludzi jedyną drogą dostania się na stację kosmiczną; a „Feniks” naprawdę ich potrzebował.

Shawn nie wracał na Mospheirę. Przyjechali do niego wysłannicy, ale on powiedział, że zaczeka do następnych wyborów, by zobaczyć, czy wyborcy rzeczywiście nabrali nieco

526

rozumu. Postępowi Unioniści chcieli, żeby Shawn ubiegał się na jesieni o fotel prezydenta Mospheiry, ale on powiedział, że się

jeszcze zastanowi. Tymczasem, gdyby tylko zechcieli ruszyć głową, bardzo dobrą kandydatką na stanowisko sekretarza spraw zagranicznych była Sonja Podesty. Shawn napisał do Weinberga, sugerując, żeby Weinberg stanął do wyborów prezydenckich z ramienia Unionistów i wyznaczył Sonję na jakieś stanowisko w gabinecie.

Mospheira musiała zrewidować swoje pojmowanie wszechświata, tak jak to zrobił Geigi - ale z o wiele większymi konsekwencjami dla swoich oczekowań.

Program radiowy nadawany po drugiej stronie wyspy, gdzie częstym gościem bywał George Barrulin, wciąż utrzymywał, że atevi przepłyną cieśninę i wszystkich wymordują; ale trzeba było to powiedzieć tego lata kupcom, którzy ujrzeli otwierające się rynki, i przedsiębiorstwom zawierającym umowy z kontynentem.

Biuro Spraw Zagranicznych i departament stanu zaczęły wydawać zezwolenia handlowe i firmy rzucały się sobie do gardeł, by jak najwcześniej znaleźć się na rynku - nawet jeśli aiji nie chciał chronić patentami żadnych produktów dłużej niż trzy lata. Aiji co prawda uznawał niektóre mospheirskie patenty - kiedy służyło to interesom atevich albo kiedy paidhiin zalecali wyjątkowe traktowanie. Wszystko wśród atevich opierało się na patronacie i zasługach. Zawsze tak było. A Gaylord Hanks nie znajdował się na liście aijiego.

Na tej błękitnej wodzie fale opadały i wznosiły się; ta, która

wyniosła Deanę Hanks na szczyty wpływów, opadała. Jej ojciec wciąż miał pieniądze; stare fortuny nadal zbierały się na spotkaniach Towarzystwa i rozmawiały o niesprawiedliwości, ale pieniądze znaczyły mniej, kiedy kupowane i wspierane przez nie idee odpływały wraz z opadającą falą popularności i osadzały się na mieliznach, skąd wszelkie stworzenia uciekały na głębszą, bezpieczniejszą wodę.

527

Aiji był w Shejidan, dziedzic Dur studiował na uniwersytecie, babka jeździła na mecheiti w Malguri nad jeziorem, a wuj Tatischei politykował w Shejidan z fragmentami patronatu, który niegdyś obracał się wokół Direiso, a teraz bardzo chciał być widzianym z wujem i panem Geigim. Ten ostatni był w kręgach towarzyskich gościem sezonu.

Jeśli chodzi o złych sąsiadów w kosmosie, ci, którzy powinni o nich wiedzieć, zostali ostrzeżeni. Pracowano nad tym. Nikt o tym nie wspominał. Na razie.

Bren podniósł z tarasu kosz z drugim śniadaniem i zaczął schodzić z Jago po schodach.

Pewne sprawy zaczęły im wychodzić bardzo dobrze. Jago nazywała to praktyką.

Aiji-wdowa zaprosiła do siebie na koniec lata paidhiin wraz z personelem - aiji-wdowa obiecała im dwojgu przejażdżki łodzią oraz sypialnie równie nawiedzaną przez duchy, co jezioro.

„Słyszano tego lata dzwon duchów” - napisała do nich Ilisidi tym starannym, delikatnym charakterem pisma, w którym Jago rozpoznała dawną szkołę kaligrafii.- „Planuje spędzić noc w starej wieży strażniczej na wyspie. Jeśli nie zastaniemy żadnych duchów, to widok gwiazd będzie nadzwyczajny, a jeśli będzie padało, to kominek jest nienaruszony.

Zapewniam Cię o bezpieczeństwie starej wieży oraz ostrożności naszej kuchni, a także szczelności naszych granic.

Dziury po pociskach zostały wypełnione. Flagi powiewają. Tego lata wi'itikiin założyły gniazdo na dachu.

Te cholerne stworzenia wykorzystały remont i stają się zbyt bezczelne”.

Document Outline

- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)
- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)
- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)
- [Rozdział 27](#)
- [Rozdział 28](#)